

# Wszystkim, których kochałem

Martin Gray



calibre 0.9.27

*MARTIN GRAY*

*WSZYSTKIM,*

*KTÓRYCH KOCHAŁEM*

*(PRZEŁOŻYŁA JULIA MATUSZEWSKA)*

*Zanim pęknie mi czaszka*

*Żyję. Chwilami nie jest to wcale łatwe. Wczoraj znów*

*odwiedził mnie jakiś dziennikarz. Znam ich już dobrze.*

*Przybierają odpowiedni wyraz twarzy, są smutni, ale ciągle*

*zadają pytania, węszą wszędzie, nagle otwierają jakieś drzwi,*

*chcą wiedzieć, tragedia nie stanowi dla nich żadnej bariery,*

*po prostu wykonują swój zawód. Przypominają mi ludzi*

*Pinkerta, „króla nieboszczyków”, tych, co ładowali na wózki*

*zwłoki, których poprzedniego wieczoru nie zdążono*

*uprzątnąć z ulic getta: trupy dzieci w łachmanach, z*

*opuchniętymi, czerwonymi nóżkami, mężczyzn, którym*

*przechodnie zrabowali odzież, a potem przykryli papierem,*

*małych dziewczynek, którym nikt nie miał odwagi odebrać*

*brudnej szmacianej lalki. Ludzie Pinkerta pracowali w czap-*

*kach nasuniętych na oczy, na prawym rękawie nosili opaski z*

*gwiazdą Dawida. Podnosili zwłoki, układali jedne na drugich,*

*następnie zaprzęgali się do wózków i wieźli trupy na*

*cmentarz, do wspólnego dołu. Pracując gawędzili, byli radzi,*

*gdy któremuś udało się zdobyć kawałek chleba o smaku*

*gipsu. Pogwizdywali, czasem rzucali sobie od wózka do*

*wózka jakiejś uwagi, a „granatowi” - polscy policjanci, wśród których byli i tacy, co bez wahania zabijali dzieci - spoglądali na nich z oburzeniem. „Żydowskie świntuchy” - mówili na ludzi Pinkerta i prawie bez rewizji przepuszczali skrzypiące wózki, z których sterczały sztywne ramiona rzuconych beładnie wychudłych ciał.*

*Wczorajszy dziennikarz zachowywał się jak amator. To wyciągał notes, to znów magnetofon; paraliżowało go zakłopotanie, ledwie ważył się podnieść na mnie wzrok, mówił po cichu, chodził na palcach. Wolę zawodowców, oni wiedzą, co to nieszczęście, śmierć, życie. Ten nie wiedział nic i sprawił mi ból. Uśmiechał się nieśmiało pod swym małym czarnym wąsikiem, a jego milczenie krzyczało mi prosto w twarz: „Cóż pan tu właściwie robi, przyjmuje mnie pan, spaceruje sobie po pokoju, rozmawia ze mną... Jak pan może żyć? Czy panu nie wstyd?” Kręcił głową, patrzył na fotografie moich najbliższych, mojej żony Diny, naszych dzieci, Nicole, Zuzanny, Karola i Ryszarda, które uśmiechały się na zdjęciach. Dłuższy czas oglądał fotografię przedstawiającą wszystkich pięcioro na łące przed domem: Zuzanna stoi z podniesionymi ramionami, Dina tuli w ramionach Ryszarda. Nie odzywał się, kiwał tylko głową. Miałem ochotę schwycić go za kark i wyrzucić na dwór, zadać mu ból, a jednocześnie roztrzaskać moją własną czaszkę, waląc nią o ścianę;*

*chciałbym wziąć swoją głowę w obie ręce i cisnąć ją z całej siły, jak granat, w ten dom, który budowałem razem z Diną dla naszych dzieci. Moja głowa pękłaby i miałbym wreszcie spokój.*

*Tymczasem siedziałem tutaj, spoglądając na dziennikarza, który od czasu do czasu podnosił na mnie wzrok i wnet go opuszczał, jakby chciał mi powiedzieć: „Pan żyje, a oni zmarli. Nie śmiem rozmawiać z panem o pana życiu i ich śmierci. Dlaczego nie zginął pan tak jak oni? Jak panu nie wstyd żyć dalej? To skandal, że pan żyje”.*

*Łatwo mi to było odgadnąć, ponieważ od wielu miesięcy, od 3 października 1970 r., powtarzam sobie ciągle te słowa. Gdy tylko cichnie mi szum w uszach, dławi mnie wspomnienie mojej żony i dzieci. Wówczas, tak jak podczas rozmowy z tym dziennikarzem, chciałbym roztrzaskać sobie łeb o ścianę. Tak strasznie łomocze mi w czaszce, nie mogę wprost znieść tego bólu. Zaciskam wargi, gryzę się w policzki, żeby nie krzyknąć. Chciałbym rozerwać sobie pierś rękami i ryczeć: „Ja żyję!”, wyć głośno - i słyszę swój krzyk, podobny do skowytów męki, jakie rozlegały się w lochach gestapo przy alei Szucha w Warszawie, które wydawałem ja sam.*

*Najgorzej jest wieczorem; wtedy najwięcej nienawidzę życia, które zachowałem. Włączam radio na cały regulator, aż nie mogę już znieść przeraźliwej kakofonii słów tak głośnych, że*

*niepodobna ich rozróżnić, ani muzyki, która już nie jest  
muzyką. Uspokajam się, ten hałas mnie kaleczy, a fizyczny  
ból przynosi ulgę. Mogę o nich myśleć, widzieć ich znów taki-  
mi, jakimi byli. W przeddzień pożaru, 2 października, biegli  
wszyscy ku mnie, wyrzucając w górę swoje szkolne teczki.  
Było ciepło, niebo lśniło błękitem, nie padało już od kilku  
miesięcy i czuło się pierwsze powiewy mistralu. Wtedy wła-  
śnie zrobiłem to zdjęcie. Mam je teraz przed sobą. Nazajutrz w  
moim życiu była kompletna pustka: żona i dzieci nie żyły, nad  
Tanneron unosiła się chmura czarnego dymu. Nie widziałem  
tak wysokich płomieni od czasu pożaru warszawskiego getta.  
Wówczas też zostałem sam, całe moje życie legło w gruzach.  
Wyszedłem z pola ruin, z kanałów, wydostałem ale z  
Treblinki, a wszyscy moi zginęli. Ale miałem wtedy dwa-  
dzieścia lat, pistolet w garści, polskie lasy były gęste, a nie-  
nawiść podsycala we mnie wolę życia: żyć, aby zabijać! Po  
okresie samotności zdawało mi się, że przyszedł dla mnie czas  
pokoju - miałem żonę, dzieci. A potem ten pożar, Tanneron w  
płomieniach, trzask ognia, zapach i żar, jak w płonącej  
Warszawie. Zły los odebrał mi wszystko, czym mnie na krót-  
ko obdarzył: żonę, dzieci, sens istnienia. Po raz drugi zosta-  
łem w życiu zupełnie sam.  
t Przez wiele dni i nocy po prostu nie mogłem w to uwierzyć.  
chciałem skończyć z życiem, które się mnie uczepiło, położyć*

*res temu, co się znów zaczęło. Strzegli mnie przyjaciele, luzie obeznani z wojną i widokiem śmierci, pragnący zgłębić niepojętą zagadkowość losu: cudem wyrwany śmierci żołnierz spada z trapu, wysiadając ze statku, który go odwiózł do ojczyzny, i ginie na miejscu. Dzień po dniu prolongowałem sobie życie - i oto jestem żywy. Najwięcej dziwił się ci, którym nieszczęście jest obce. Jak ten wczorajszy dziennikarz, którego odprowadziłem do furtki i który nieustannie kiwał głową, spoglądając na konary drzew z uczepionymi huśtawkami moich dzieci. Nie wiem, co on napisze, na pewno nic nadzwyczajnego, gdyż nie ośmieli się wyjawiać tego, co myśli: że oburza go, iż pozostałem żywy, że on tego nie rozumie. Tym gorzej dla niego. To jeden z tych, co nie rozumieją, dlaczego setki tysięcy poszły na śmierć w gettach Warszawy, Zambrowa i Białegostoku, dlaczego walczyliśmy, a niektórzy z nas mimo wszystko przeżyli. Nie rozumie, jak mogliśmy grzebać w Tre-blince tysiące trupów, leżące z otwartymi oczami martwe dzieci, które zasypywaliśmy żółtym piaskiem. Nie rozumie, jak to się stało, że ja i inni jednak uciekliśmy, że znaleźliśmy w sobie dość siły, by rozpocząć nowe życie, że mieliśmy dzieci. Nie pojmuję, że żyję jeszcze i usiłuję walczyć, aby zapobiec następnym pożarom i ich tragicznemu żniwu. A jeśli pojmuję, to tylko powierzchownie, i nie mam mu tego za złe. Nigdy nie*

*dotknęło go prawdziwe nieszczęście i nie życzę mu, by go  
zaznał.*

*Dziś - podobnie jak wczoraj, gdy z nim rozmawiałem - pęka  
mi głowa i nie rozumiem, jak mogę tkwić tu jeszcze, gro-  
madzić dokumenty, zabiegać o fundację, wymuszać w mini-  
sterstwach spotkania, aby uzyskać pomoc w realizacji moje-  
go przedsięwzięcia. Nie mam w ręku broni, jak niegdyś w  
polskiej partyzantce; ale chwilami czuję w sobie tę samą siłę.  
I czasem sam siebie nie rozumiem.*

*Dlatego też chcę opisać swoje życie, nasze życie. Aby gdy  
wreszcie któregoś dnia pęknie mi czaszka, inni wiedzieli i by  
życie moich bliskich pozostało żywe.*

*Część pierwsza*

*Przeżyć*

*Narodziłem się z wybuchem wojny*

*moje życie zaczęło się wraz z wojną. Wyły syreny, bombowce  
przelatywały tuż nad dachami domów, ich cienie mknęły po  
jezdni, a ludzie przebiegali ulicami, zasłaniając głowy  
dłońmi. Początek mojego życia to początek wojny; zbiegamy  
po schodach do piwnicy, ściany drżą, białe płaty tynku i  
wapna spadają nam na włosy. Moja matka jest śmiertelnie  
blada, pieką mnie oczy, kobiety krzyczą. Na chwilę zapada  
cisza, ale wnet rozlegają się syreny wozów strażackich, i  
znów krzyki kobiet.*

*Jest wrzesień 1939 r.: wtedy się naprawdę urodziłem. Po-  
przedzające te dni czternaście lat jakby w ogóle nie istniały,  
ale ich nie pamiętać. Po co wspominać ten okres szczęścia  
spokoju? Uganialiśmy się po ulicach za dorożkami, zapę-ajac  
się czasem aż na Stare Miasto do serca Warszawy. Czasem  
ojciec brał mnie za rękę i szliśmy do fabryki. Maszy-ly  
przywiezione ze Stanów Zjednoczonych; na stali widniała  
firmy i miasto: „Manchester, Michigan”. Przechadza-|em się  
dumnie po halach obok ojca, który od czasu do czasu srał do  
ręki pończochę lub rękawiczkę, każąc mi odcyfrować nasz  
znak fabryczny: 7777; byliśmy udziałowcami dużej fa-|;bryki,  
sprzedawaliśmy pończochy i rękawiczki w całej Polsce, . a  
także za granicą; w Stanach miałem rodzinę, moja babka  
mieszkała w Nowym Jorku. Niekiedy szliśmy Alejami Jerozo-  
limskimi, przez most Poniatowskiego nad Wisłę. Przechodzi-  
liśmy przez park Krasińskich, gdzie handlowali Żydzi w czar-  
nych chałatach. Byli biedni. Ale wtedy jeszcze nie  
wiedziałem, co to bieda. Tak naprawdę to nawet nie  
wiedziałem, że jesteśmy Żydami. Obchodziliśmy wszystkie  
święta, ale mieliśmy w rodzinie kilku katolików.*

*Uznawaliśmy obie te religie, a mój ojciec, wysoki, silny,  
energiczny, wydawał mi się zaczątkiem świata. W drodze  
powrotnej marudziłem trochę w Ogrodzie Saskim,  
ostatnim parku przed Senatorską. Dochodziliśmy do domu.*



*Ojciec otwierał drzwi, pamiętam jeszcze miły zapach, krzyki moich dwóch braci. Matka czekała na nas przy nakrytym stole. To było, nim się urodziłem, w pięknej epoce, która skończyła się wraz z latem 1939 r.*

*I nagle wojna. Mój ojciec w oficerskim mundurze kładzie mi ręce na barkach i zdaje sobie sprawę, że jestem prawie tak wysoki jak on. Zostawiamy w domu matkę i moich młodszych braci i obaj idziemy na dworzec. Ulica wygląda już zupełnie inaczej: grupki żołnierzy, ciężarówki, przed sklepami pierwsze kolejki. Idziemy obok siebie jezdnią, ramię w ramię. Ojciec nie trzyma mnie już za rękę: stałem się mężczyzną. Z okna ruszającego wagonu krzyknął do mnie coś, czego nie zrozumiałem, a po chwili znalazłem się sam na ulicy. To był chyba pierwszy dzień bombardowania Warszawy; widziałem lecące nisko, trójkami, srebrzyste samoloty z czarnymi krzyżami.*

*- Wejść tutaj! - krzyczy polski policjant, wskazując mi bramę, w której tłoczą się przerażeni przechodnie.*

*Puszczam się biegiem przez opustoszałą ulicę: muszę wrócić do domu, nie słucham nikogo. Mam przed sobą ojca, który wołał coś do mnie z wagonu. Muszę być tak silny jak on.*

*Matka wepchnęła mnie do piwnicy, wapno poodpadało już ze ścian, dusiliśmy się, kobiety krzyczały i łkały. Po skończonym nalocie zobaczyliśmy przez okno pierwsze pożary w ro-*

*botniczej dzielnicy, na Pradze. Zacząłem czytać gazety: Fran-  
cja, Anglia, Ameryka, cały świat miał nam pomóc. Będziemy  
się bić do końca, Niemcy nigdy nie wejdą do Warszawy. Pre-  
zydent miasta apelował przez radio: Warszawa nie podda się.  
Moi bracia bawili się, matka płakała. Siedzieliśmy oboje  
przed odbiornikiem, obejmowałem ją ramieniem i czekaliśmy  
na wiadomości. Wzdłuż całej granicy toczyły się boje, a nasze  
wojsko wszędzie ponosiło klęski. Niemieckie radio donosiło,  
że wzięto do niewoli tysiące Jeńców, że nazajutrz Hitler  
będzie w Warszawie. „Polacy - oznajmiał radosny głos - to  
Żydzi ściągnęli na was nieszczęście. Żydzi chcieli wojny,  
Żydzi zapłacą”. Potem usłyszeliśmy chóralne pieśni.*

*Zmieniałem kanał: radio warszawskie nadawało ponurą  
muzykę fortepianową. I znów bombowce; wracały  
regularnie, piwnica drżała. Zapalające bomby padały na  
żydowską dzielnicę tuż obok is ł gdy wracaliśmy na górę,  
powietrze było przesycone tłu-ktym dymem. „Celują w  
Żydów” - powtarzano.*

*Odwiedził nas mój wuj. Rozmawiał głównie ze mną.*

*- Jeżeli Niemcy wejdą do Warszawy - rzekł - zabiorą się  
przede wszystkim do Żydów. Wiesz przecież, co wyprawiali w  
Niemczech. Twój ojciec nie miał do nich zaufania.*

*Kiwałem głową, jak gdybym o tym wiedział. Mama siedziała  
koło nas. Potakiwałem, ale nie rozumiałem; cóż to za ludzie ci*

*Niemcy, których językiem umiem mówić, dlaczego niszczą nasze życie, czemu tak nienawidzą Żydów? Potem zaczęli ostrzeliwać z armat całe miasto; celowali w wysoki gmach Towarzystwa Ubezpieczeń, srebrzyste bombowce co dzień wracały nad stolicę, a ledwie ugaszone pożary wybuchały znów na Muranowie, na Pradze, w pobliżu Smoczej lub Starego Miasta. Spędzałem teraz całe dni poza domem: chciałem zobaczyć, zrozumieć, walczyć, bronić nas wszystkich. Ulice roiły się od żołnierzy w podartych mundurach, bez karabinów; niektórzy kładli się na chodnikach, inni, gestykulując żywo, przemawiali do grupek milczących słuchaczy. Mówili o tysiącach czołgów, o gnijących na szosach martwych koniach, o bombardowaniu Grudziądza, gdzie znajdowała się armia polska, a więc i mój ojciec. Matka nawet nie próbowała mnie zatrzymać. Wychodziłem co rano, wałęsałem się w okolicy Muzeum Narodowego, dokąd zwożono rannych, przypatrywałem się leżącym na zakrwawionych noszach brudnym ludziom, słyszałem płacz kobiet i dzieci. W niektórych dzielnicach ulice zasypane były gruzem, z którego unosił się biały pył; rodziny rozgrzebywały ruiny, szukając swoich bliskich.*

*Na Nowym Świecie wszystkie sklepy były zamknięte. Biegałem za czerwonymi i żółtymi autobusami, które wiozły żołnierzy na Żoliborz. Przez kilka dni kopaliśmy tam doły i szan-*

*ce, bo zamierzaliśmy bić się do końca, a niebawem mieli przybyć Anglicy i Francuzi. Gdy zakurzony i brudny wracalem do domu, matka nie robiła żadnych uwag. Ale pewnego wieczoru nie mogłem się umyć, nie było wody.*

*- To już tak od rana - powiedziała matka.*

*Wkrótce nie zostało już nic do jedzenia. Przestałem jeździć kopać rowy na przedmieściach. Trzeba było żyć, nauczyć się walczyć o jedzenie i wodę, jak zwierzęta. Ulice roily się od bestii. Wtedy poznałem ludzi. Biłem się, broniąc swego miejsca w kolejce przed pobliską piekarnią. Przepychałem się, potrącałem nawet kobiety. Byłem silny, musiałem zdobyć to, co konieczne dla mnie i mojej rodziny, ale rozglądałem się dokoła i starałem się zrozumieć. Może ta walka, tylko dla siebie i dla swoich, jest czymś naturalnym? Znajomi jakby przestali istnieć. Niekiedy żołnierze rozdawali swoje racje żywnościowe. Zobaczyłem raz dwóch na skwerku, niedaleko naszego domu. Skoro tylko otworzyli chlebaki, otoczyły ich kobiety, a po chwili podszedł brodaty, stary Żyd w czarnej jarmulce.*

*- Nie, nie! Żydowi nie! - zaczęły krzyczeć kobiety. - Najpierw Polakom, nie dawajcie nic Żydowi!*

*Żołnierze wzruszyli ramionami i podali staremu kawał razowego chleba, ale jedna z kobiet rzuciła się na niego i wyrwała mu kromkę.*

*- Najpierw Polakom! To nie dla Żyda! - wrzeszczała jak*

*szalona.*

*Starzec oddalił się bez słowa. Żołnierze dalej rozdawali swoje porcje. Zacisnąłem zęby i nie odezwałem się. Wziąłem kawałek chleba. Nie wyglądałem na Żyda, ale teraz wiedziałem już, że na ulicę wyległy bestie. Trzeba było mieć się na baczności, być gotowym do skoku, do ucieczki. Biłem się, żeby zachować swoje miejsce w kolejce przy studni i przynieść do domu wodę. Chodziłem aż nad Wisłę, gdzie tworzyły się długie kolejki po wodę pitną. Czasem przychodziło dwóch niewiele starszych ode mnie Polaków, którzy wołali:*

*- Żydzi oddzielnie! Osobna kolejka dla Żydów.*

*Wtedy Żydzi opuszczali swoje miejsca i czekali. Zdarzało się, że tylko co dziesiąty uzyskał prawo do wody. Nie ruszając się czekałem w kolejce, zacisnąwszy zęby. Ludzie przedzierzgnęli się w zwierzęta i umierali jak zwierzęta.*

*Wracając pewnego dnia do domu z pełnym wiadrem, usłyszałem nadlatujące z północy, od strony Żoliborza, bombowce. Leciały z hukiem, od którego ziemia drżała; wnet rozległy się eksplozje i krzyki, a dym zasłonił niebo. W głębi ulicy, przede mną, runął nagle dom, buchnęły płomienie. Zanurzyłem głowę w wodzie, potem zacząłem biec. Bombowce odleciały. Na jezdni płonęła dorożka, koń był już tylko walającą się na bruku bezkształtną masą, obok niego trup woźnicy, ogromny, napuchnięty tak samo jak zwłoki zwierzęcia. Do-*

*biegłem do następnej ulicy, gdzie ludzie rozgarniali ruiny. Przyłaczyłem się do nich, widziałem, Jak z gruzów wyciągały się ręce. Pobiegłem dalej. Na niektórych ulicach grupki ludzi rabowały porozbijane sklepy. Kobiety napelniały fartuchy puszkami konserw i uciekały do domu. W pobliżu Senatorskiej spotkałem syna naszych sąsiadów, Tadka. Był trochę starszy ode mnie i nigdy nie wychodziliśmy razem, ale tego dnia, nic nie mówiąc, zaczęliśmy iść obok siebie. Krążyliśmy po ulicach. Byłem głodny i czułem, że to ja prowadzę. Tadek szedł za mną. Szukaliśmy. Na ulicy Stawki ujrzeliśmy rozprawiającą żywo gromadkę ludzi. Podeszliśmy bliżej. Była tu przetwórnia konserw ogórków, a teraz wyważone drzwi stały otworem. Na podłodze i półkach wzdłuż ścian stały setki puszek. Nie wahałem się, jako jeden z pierwszych wpadłem do wnętrza. Zrobiłem sobie worek z koszuli, działałem szybko, w milczeniu. Od czasu do czasu rzucałem okiem na prawo i lewo. Upatrzyłem sobie okno. Wiedziałem już, że trzeba zawsze zabezpieczyć sobie odwrót. Tadek wziął ze mnie przykład. Gdy uciekaliśmy, kobiety na sali zaczynały się bić. Tego wieczoru najedliśmy się do syta grubych kwaśnych ogórków, samych tylko ogórków, które chrupały w zębach i paliły dziąsła, ale nie byliśmy już głodni. Matka nie pytała o nic. Ona też najadła się ogórków. W nocy mieliśmy wszyscy okropne wymioty; ale nie byliśmy już głodni. Takie było wtedy życie.*

*Nazajutrz znów pobiegłem z Tadkiem do miasta. Ulice pełne były wojska w rozsypce, po ulicach toczyły się chłopskie wozy. Uciekinierzy siedzieli na trotuarach wśród tobołków. Szedłem naprzód, widziałem ich nie widząc: trzeba było jeść, żyć. Ale sklepy były puste, ogołocone z towarów. Przebiegli jacyś ludzie, wołając: „Na dworcu stoi pociąg z mąką!”*

*Puściliśmy się tam pędem, wysunąłem się naprzód. Trzeba było żyć, jeść, trzeba było biec. Na torze wyladunek odbywał się w milczeniu. Pracowaliśmy jak mrówki, ale każdy tylko dla siebie. Uniosłem worek, ale zaraz upuściłem go na szyny; ważył ze sto kilo. To nie była mąka, tylko ziarnka dyni.*

*Podzieliłem się tym łupem z Tadkiem i każdy umknął z 50 kilogramami na plecach. W domu wyglądano teraz moich powrotów, stałem się żywicielem rodziny. Gdy wszedłem z workiem, matka ucałowała mnie, a bracia zaczęli skakać z radości i zanurzać ręce w szeleszczące białe nasiona. Trzeba było żyć. Usiadłem półżywy ze zmęczenia, pot zlepiał mi włosy, nie byłem już nawet głodny. Ogarnął mnie kojący spokój; to wielka radość żywić swoich bliskich.*

*Odtąd udawałem się codziennie na podobne wyprawy, aż nagle pewnego popołudnia ulice opustoszały. Byłem po drugiej stronie Wisły, dymy pożarów skrywały miasto. Poczulem się samotny, zacząłem biec. Od czasu do czasu spotykałem przechodniów, którzy także biegli.*

*- Co się stało? - zawołałem do jednego z nich.*

*- Niemcy! Niemcy! Poddaliśmy się! Zwyciężyli. Weszli do Warszawy.*

*Jaka siłą kryje się w człowieku*

*Zobaczyłem ich. Są wszędzie. W zwartym szyku defilują*

*Alejami Jerozolimskimi, bulwarem Trzeciego Maja.*

*Maszerują l wolnym, równym krokiem. Wąskie ulice*

*rozbrzmiewają stukiem ich obcasów. Idę chodnikiem, na*

*którym ustawili się ' zafascynowani gapie. Chcę im się*

*przyjrzeć, zrozumieć, robią wrażenie niezwyciężonych,*

*wysocy, jasnowłosi. Niektórzy uczepili sobie hełmy do*

*pasków, Jakby chcąc zadokumentować, że nie obawiają się*

*już niczego, że jesteśmy bezsilni. Od początku oblężenia*

*Warszawy przywykłem do nędzy, do widoku polskich*

*żołnierzy, zarośniętych, pokonanych, a teraz ta potężna*

*armia, za którą sunie nie kończący się rząd czołgów i*

*ciężarówek. Niziutko nad Alejami Jerozolimskimi przelatują*

*ich samoloty. Po chodnikach krążą patrole, zdają się nie*

*dostrzegać ludzi, wszyscy rozstępują się przed nimi. Przez j*

*chwilę idę za trzema żołnierzami w krótkich butach, z długi- f*

*mi czarnymi bagnetami u boku. Tak, czekają nas cierpienia. '*

*Myślę o ojcu, od którego nie mamy żadnych wiadomości.*

*Ale nie mam czasu myśleć; trzeba walczyć i przetrwać. Na*

*rogu ulicy zatrzymała się duża ciężarówka z brezentowym*



*dachem. Wkoło gromadzą się ludzie, wyciągają ręce. Wśród dużych okrągłych chlebów stoi dwóch żołnierzy; śmieją się i ciskają w tłum bochenki. Obok ciężarówki otwarty samochód, a w nim dwóch oficerów: jeden fotografuje tę scenę, drugi kręci film. Trzeba jeść. Wchodzę w tłum, przepycham się, dostaję dwa bochenki i przyciskając je do siebie oddalam się spiesźnie. Nazajutrz głośniki oznajmiają, gdzie Niemcy rozdawać będą chleb. Żołnierze zainstalowali się w opróżnionym żydowskim składzie niedaleko ulicy Siennej. Gdy zjawiam się tam, zastaję już długą kolejkę. Stoją ludzie z różnych środowisk, rozmawiają po cichu, ktoś szepce, że Niemcy będą również wydawać zupę. Nagle na progu ukazuje się postawny żołnierz z gołą głową, w kurtce z zakasanyimi rękawami. Widzę go jeszcze, jak stoi przed nami, wspierając obie ręce na biodrach, i ryczy: Juden raus! Ludzie w kolejce przygarbili się trochę, ale nikt nie opuścił swego miejsca. Juden raus/-wrzasnął powtórnie. Wtedy odeszły dwie kobiety. Pamiętam Jedną z nich, drobną staruszkę z głową owiniętą czarnym szalem. Żołnierz przeszedł się wzdłuż kolejki. Przyglądał się nam badawczo. Nagle z końca ogonka wystąpił jakiś mężczyzna w kapeluszu, podszedł do Niemca i wskazując kogoś rzucił: Jude. Obejrzawszy się zobaczyliśmy, że wszyscy odsuwają się spiesźnie od niskiego bruneta z krótką, kędzierzawą bród-*

*ką. Żołnierz dał mu znak i brunet podszedł do Niemca powoli.*

*Zadowolony z siebie denuncjator przyglądał się temu K  
uśmiechem. Żołdak schwycił Żyda za brodę i zaczął nią tar-  
mosić na wszystkie strony, następnie kopnął go; człowiek  
rzucił się do ucieczki, a cała kolejka wybuchła śmiechem.*

*Możliwe, że ja też się śmiałem, z wściekłości i ze strachu.*

*Dostałem chleb, zupę i poszedłem stać w innych kolejkach.*

*Wszędzie ludzie denuncjowali innych. Przypatrywałem się,  
chcąc zapamiętać twarze tych kobiet i mężczyzn, którzy  
wypychali z kolejek podobne sobie kobiety i mężczyzn, nazy-  
wając ich Juden. Ale za wiele było tych twarzy i za wielu żoł-  
nierzy, którzy wyrywali starym Żydom brody i włosy. Gdy  
parę minut przed godziną policyjną wracałem do domu Sena-  
torską, zobaczyłem dwóch żołdaków szarpiących wysokiego  
wyprostowanego mężczyznę. Podbiegłem, gdyż wydawało mi  
się, że rozpoznaję ojca, ale był to jakiś nieznajomy Żyd. Kazali  
mu zdjąć buty, a potem kopniakami zmusili, żeby skakał jak  
żaba na jezdni. Przyglądali się temu długo, pękając ze  
śmiechu, a gdy im się wreszcie znudziło, rzucili jego buty  
któremuś z przechodniów i odeszli. Na ulicy został tylko bosy  
człowiek, który był podobny do mojego ojca.*

*Matka czekała już w otwartych drzwiach. Teraz często  
niepokoila się o mnie i płakała. Chodziliśmy codziennie od  
urzędu do urzędu, aby dowiedzieć się czegoś o ojcu, i wszędzie*

*odprawiano nas z kwitkiem. Tego wieczoru oczekiwał mnie także wuj. Okazało się, że poszedł do naszej fabryki, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Powiedział, że bomba zniszczyła część fasady! i schodów, ale mimo to dotarł na górę do magazynów, gdzie znalazł nietknięte maszyny i setki par rękawiczek, do których I nikt się jeszcze nie dostał.*

*Niewątpliwie Niemcy sądzili, że cała nieruchomość uległa zniszczeniu. Nazajutrz wczesnym rankiem zabraliśmy się do roboty. Było zimno, chwilami padał śnieg, od Wisły wiał wilgotny wiatr. Przyszliśmy wszyscy: moja matka, wuj i obaj bracia. Jeden z nas stał na czatach, a pozostali wynosili z ruin worki pełne rękawiczek. Liczyliśmy, że pomogą nam przetrwać jakiś czas. Skoczyłem do fabryki ostatni raz; zostały już tylko dwie maszyny do szycia. Nie tak dawno temu przychodziłem tu z moim ojcem. Wziąłem maszynę na ramię i wyszedłem. Była już godzina policyjna. Na rogu stała niemiecka ciężarówka; usłyszałem krótkie rozkazy, ochryple głosy brzmiały jak szczekanie na pustej ulicy. Schowałem się w bramie. Żołnierze gonili spóźnionych przechodniów, ładowali ich na ciężarówki. Jeden próbował uciec. Rozległ się strzał, białozółta błyskawica przeleciała tuż obok mnie, usłyszałem krótki krzyk. Potem ciężarówka ruszyła; w świetle jej latarni zobaczyłem człowieka leżącego nieruchomo pośrodku jezdni. Ruszyłem dalej z maszyną na ramieniu.*

*Takie to były czasy. Ciężka maszyna miażdżyła mi ramię, ale takie były czasy; trzeba było zacisnąć zęby. Jednym susem przebiegłem Senatorską, odetchnąłem dopiero na schodach. Powoli wszedłem na górę, ale drzwi nie były otwarte, jak zwykle, gdy matka mnie oczekiwała. Zapukałem lekko dwa razy. Mama ucałowała mnie, uśmiechnęła, jak dawniej. Gdy postawiłem maszynę przy wejściu, popchnęła mnie lekko do pokoju. Na łóżku spał W ubraniu mój ojciec; ale natychmiast otworzył oczy i przyciągnął mnie do siebie.*

*- To dobrze, Marcinie, to bardzo dobrze - powtarzał. Uściskał mnie mocno i posadził obok siebie.*

*- Uciekłem - zaczął. - Jutro wyjeżdżam. Słuchałem uszami, oczami.*

*- Niemcy, gestapo, przyjdą tu na pewno prędzej czy później. Spokojnie udzielał mi rad. Mówił bez osłonek, miał do mnie zaufanie.*

*- Nie daj się nigdy schwytać. Jeśli cię złapią, pamiętaj, że musisz myśleć tylko o jednym: o ucieczce. Nawet jeśli będziesz się bał. Musisz uciec. U nich nie masz żadnej szansy.*

*A Jeśli im się wymkniesz, pozostaje jeszcze jakaś nadzieja. Nigdy nie czekaj. Pierwsza okazja jest zawsze najlepsza.*

*I uśmiechnął się.*

*- Pamiętaj, jak biegałeś za dorożkami? Doganiałeś konie. No więc, jeśli cię któregoś dnia złapią, bierz nogi za pas i zmykaj!*

*Było to nasze dawne, ulubione powiedzonko i obaj roze-  
śmieliśmy się. Ojciec mówił dalej. Powiedział, że jest w  
Warszawie już od kilku dni, ale obserwował dom, zanim nas  
odwiedził. Będzie teraz żył pod innym nazwiskiem,  
organizując przeprawę przez Bug dla licznych chętnych,  
pragnących przedostać się na tereny zajęte przez Rosjan.*

*Będziemy spotykać się na ulicy, w parkach, u jego przyjaciół,  
ale nigdy na Senatorskiej. Nazajutrz rano obudził mnie, żeby  
się pożegnać. W długim skórzanym płaszczu i butach z  
cholewami wydał mi się ogromny, a przecież byłem prawie  
tak wysoki jak on. Na ulicy wziąłbym go za hitlerowca lub  
volksdeutscha, brakowało mu tylko opaski ze swastyką.*

*- Wyglądasz jak Niemiec - powiedziałem ze śmiechem.*

*- Rób tak, jak ja. Aby przetrwać, musisz ich przechytrzyć.*

*To było nasze ostatnie spotkanie na Senatorskiej.*

*Opuścił nas, ale wszyscy poczuliśmy się silniejsi. „Prze-  
trwać”. Powtarzam to słowo, idąc szybko ulicą. Jest zimno.*

*Wiatr podnosi fale na Wiśle i rzeka zdaje się płynąć na połu-  
dnie. Na moście gromadka mężczyzn, zgarniętych prawdopo-  
dobnie z jakiejś ulicy, pcha dwie uszkodzone niemieckie cięż-  
arówki. Przechodzę prędko, muszę dojść do wielkiego bazaru  
na Pradze. Na rynku i w pobliskich uliczkach, na podwórzach  
sąsiednich domów i w bramach sprzedaje się wszystko: wie-  
śniacy poustawiali na ziemi worki kartofli, jakaś kobieta*

*sprzedaje buty, inna - tkaniny. Choć pada śnieg, handlarze nie ruszają się, najwyżej parę kroków w prawo czy w lewo, by pokazać lub podać towar. Ja sprzedaję rękawiczki.*

*Zawiesiłem je sobie na szyi parami, jak wianek, pokazuję je przechodniom, wchodzę do sklepów. Ale teraz nie pozwolę się już okraść: podałem raz parę rękawiczek sklepikarzowi, popatrzył na nie, potem na mnie, szybkim ruchem głowy odrzucił w tył długie czarne włosy, po czym położył na ladzie dwa złote. Gdy chciałem odebrać swój towar, zaczął mi grozić.*

*- Chcesz, żebym zawołał policję, ty łobuzie? - krzyczał.*

*Uciekłem. Biorą mnie za złodzieja, a ja nie protestuję -jestem Żydem. Od połowy listopada miałem obowiązek nosić na prawym rękawie białą opaskę z gwiazdą Dawida, wysokości co najmniej trzech centymetrów. Tak znakuje się człowieka, którego wolno okraść, pobić, zabić. Nie noszę opaski, ale jestem zdany na łaskę byle przechodnia. Muszę się strzec.*

*Stałem się czujny, nie wchodzę już do sklepów, wybieram sobie klientów, uczę się, jak wyciskać z nich złotówki, za które moja rodzina utrzymuje się przy życiu. Dopóki będziemy mieć złotówki, w domu będzie chleb.*

*Czasem sprzedaż idzie mi tak dobrze, że przed południem wracam na Senatorską, biorąc następną partię, i znów idę do inlnsta. Nie mówię wiele; daję pieniądze, przynoszę chleb i*

*znów wyruszą na ulicę. Pewnego dnia spotykam na*

*Targowej, w pobliżu bazaru, grupkę żołnierzy. Wałęsają się*

*po jezdni beczynni, niebezpieczni. Jeden z nich, starszy*

*człowiek z porysowaną i pokrytą zmarszczkami twarzą, woła*

*do mnie, szczerząc złote zęby:*

*- Co tam sprzedajesz, Polaku?*

*Trzeba udawać, że się nie rozumie: w Polsce na ogół tylko*

*żydzi znają niemiecki. Uśmiecham się, udaję głupka. Stary*

*kołnierz o sympatycznym obliczu zbliża się i błyskawicznie,*

*ule dając ml czasu odskoczyć, jedną ręką wykręca mi ramię, a*

*drugą mnie rewiduje, znajduje ukryte pod kurtką rękawiczki*

*i ciska je swoim kolegom. Następnie podaje mi parę złotych.*

*Przyzwoity żołnierz; nie miałyby sensu protestować, taki Jest*

*teraz świat.*

*Mogą robić, co im się podoba. Polscy policjanci, funkcyjona-*

*riusze organizacji Todta, zachłanni kupcy, gangsterzy,*

*ktokolwiek posiadający władzę może mnie obrabować. Wiem*

*o tym i rozumiem, że będę mógł żyć dalej, tylko jeżeli uda mi*

*się ich przechytryć. Chowam część pieniędzy w butach, a*

*ulicznicy, którzy kilka dni temu napadli na mnie w parku*

*Krasińskich, musieli zadowolić się jedynie parą rękawiczek.*

*Pewnego razu łapie mnie za rękaw granatowy policjant.*

*- Skąd masz te rękawiczki?*

*Nie słyszałem, kiedy się zbliżał, byłem zajęty dobijaniem*

*targu z jakąś starszą panią. Taka sytuacja jest niebezpieczna.*

*Muszę błyskawicznie ocenić tego człowieka w mundurze, omyłka może oznaczać koniec nie tylko mój, ale i moich najbliższych. Spod daszka policyjnej czapki jego oczy spoglądają ze zmęczeniem. Ostrożnie próbuję oswobodzić swój rękaw; nie, nie trzyma mnie zbyt mocno.*

*- Jestem głodny! Jestem głodny!*

*- Skąd masz te rękawiczki?*

*- To nasza własność. Mój ojciec miał fabrykę. Ojciec nie żyje - mówię szybko, patrząc mu prosto w oczy.*

*- Żyd? - pyta.*

*Kręcę głową tak, by mógł to uznać za potwierdzenie lub zaprzeczenie. Policjant puszcza mnie bez słowa i pędzę do domu.*

*Niekiedy bywa gorzej. Tych trzech policjantów śledziło mnie.*

*Może wydał mnie jakiś kupiec. Otoczyli mnie, trochę pobili i zaprowadzili do komisariatu. W korytarzu czekało ze dwadzieścia osób; dwie, z żydowskimi opaskami na rękawach, miały pokrwawione twarze. Wepchnięto mnie między innych, ale nawet nie usiadłem. Ucieknę! Wiedziałem, że muszę uciec. Policjanci odchodzą, ja zaś idę za nimi w odległości jednego metra. Drzwi są otwarte. Rzucam się naprzód i biegnę. Nigdy nie czekać, nigdy nie dać się złapać. Nazajutrz wróciłem na Pragę, ubrany w długi płaszcz i kapelusz. Rzy-*



*kowałem, ale przecież trzeba było jeść. Nikt mnie nie poznał i handlowałem dalej.*

*Wieczorem zasypiałem natychmiast. Każdej nocy miałem ten sam sen: idziemy na spotkanie z ojcem - co robiliśmy istotnie od czasu do czasu. Zachowujemy się bardzo ostrożnie, krążąc godzinami po opustoszałych ulicach, aby się upewnić, czy nie śledzą nas agenci gestapo. Przodem kroczy matka z dwójką moich braci, ja trzymam się w sporej odległości za nimi. Dochodzimy do wąskiej ślepej uliczki, w głębi której oparty o mur stoi ojciec. Mama i bracia rzucają się ku niemu, gdy nagle nadjeżdża wielka niemiecka ciężarówka... sunie prosto na nich, rozgniecie ich za chwilę, a ja nie mogę nawet krzyknąć. To mi się śni niemal co noc. Budzę się przerażony i przypominam sobie scenę, której byłem świadkiem na Gęsiej, ruchliwej żydowskiej ulicy, gdzie wszyscy nosiliśmy opaski. To już nie był sen, widziałem to na własne oczy: załadowana żołnierzami ciężarówka wjechała tam nie zwalniając, prawdopodobnie w drodze na Pawiak. Ludzie zaczęli krzyczeć, rzuciliśmy się do bram, a ciężarówka zamiotła zygziem jezdnię, wpadając na trotuary, i zniknęła za rogiem. Tylko jeden człowiek z podniesionymi jeszcze rękami trwał rozplaszczony na murze. Powychodziliśmy z bram, wróciliśmy do życia, do swoich zajęć, sunąc jezdnią, zapelniając chodniki, jak kolumna mrówek.*

*W niedzielę nie chodzę na Pragę. Zamykamy się w domu,  
palimy trochę w piecu, czasem odwiedza nas mój wuj i  
rozmawiamy, liczymy pozostałe rękawiczki, nasz cały  
majątek. Wuj dzieli się ze mną zasłyszanymi wiadomościami,  
z mamą rozmawia o kartkach żywnościowych, które  
otrzymujemy po zarejestrowaniu się w gminie żydowskiej.*

*Widnieje na nich Ogromne „J”, które - podobnie jak opaski z  
gwiazdą - wydaje nas na łup złodziei i morderców.*

*Wprowadza się już przymus pracy, pozamykano żydowskie  
szkoły, na oblodzonych trotuarach spotyka się żebrzące, bose  
dzieci. Bandy uzbrojonych polskich młokosów rozbijają  
witryny żydowskich sklepów, wrzeszcząc: „Niech żyje Polska  
bez Żydów! Nie chcemy Żydów W Warszawie!” Czuję chęć  
mordu. Gotów jestem zabijać.*

*Ten człowiek przyszedł w niedzielę. Wysoki, postawny, około  
trzydziestki. Nosił wysokie czarne buty, widywany rzadko W  
Warszawie szary mundur i opaskę ze swastyką:  
volksdeutsch.*

*- Moje pieniądze! - powiedział i położył na stole plik papier  
rów. - Jestem komisarzem, występuję w imieniu właściciela  
fabryki łódzkiej. To są wasze długie. Płaćcie.*

*Przyniósł stare, przedwojenne weksle za towar, który mój  
ojciec zakupił w Łodzi.*

*- Nie mamy już nic - rzekła pokornie moja matka. Ale on*

wciąż powtarzał: - *Pląćcie! Gdyby wykonał jakiś ruch, byłem gotów go zabić, ale ogra-liczył się do krzyku, gróźb, obelg i w końcu trzaśnięcia drzwiami. Gdy wyszedł, matka usiadła i zawołała mnie. - Bałam się o ciebie, Marcinie - rzekła. - Oni są silniejsi. Trzeba przeżyć, więc musisz opanować gniew.*

*Później, kochany, później.*

*Jesteśmy jak mrówki. Poszedłem na spotkanie z ojcem, który odziany w swój „hitlerowski” skórzany płaszcz czekał przy kolumnadzie na placu Piłsudskiego.*

*- Oni wrócą, Marcinie - powiedział. - Nie załatwiają niczego połowicznie, są wytrwali. Ale my też. Trzeba powynosić wszystko, przygotować się na najgorsze.*

*Gdy rozstaliśmy się, słyszałem, że idzie za mną, jak obcy przechodzień; potem, zrównawszy się ze mną, rzucił, nie patrząc w moją stronę:*

*- Zemścimy się, Marcinie. W końcu my okażemy się silniejsi.*

*Opróżniliśmy mieszkanie. Pomagali nam sąsiedzi. Na szczęście nie wszyscy przedzierzgnęli się w dzikie zwierzęta.*

*Zostawi-; liśmy tylko łóżka, kilka krzesel, trochę naczyń. Nasz dom upodobił się teraz do obecnego życia, stał się zimny, pusty, odpychający. Lubilem nasz duży niebieski dywan i posązek z brązu, i wysokie srebrne świeczniki. Nic z tego nie zostało. Mieszkanie jest teraz jak ta ulica z ogołoconymi sklepami, żebrzącymi dziećmi, pełna kobiet i mężczyzn,*

*którzy sprzedają wszystko, gdyż nie mają pracy, a ceny rosną z każdym dniem; nasz dom | przywołuje na myśl ich wychudzone twarze i osłupiałe oczy. I tutaj, jak na ulicy, panami są Oni. Przyszli ponownie gestapowcy w długich płaszczach i kilku volksdeutschów.*

*- Gdzie twój mąż?*

*Matka powtarzała, że nie ma pojęcia, że zniknął na samym początku wojny.*

*- Powiedźcie mi wszystko - prosi. - Nawet jeśli został zabity.*

*Chcę wiedzieć.*

*Milczą. Patrzą na nas, oglądają mieszkanie, otwierają jedyną szafę, którą zachowaliśmy. Nie zdjęli kapeluszy, ociągają się z odejściem. Czekamy. Wiedzieliśmy, że wrócą, oczekiwaliśmy ich co wieczór, przygotowaliśmy się. I oto są. Mówią o naszym zadłużeniu w Łodzi.*

*- Jeśli nie zapłacicie, zabierzemy wszystko.*

*Moi bracia płaczą głośno; matka wskazuje nasze nędzne Umeblowanie.*

*- Zmusimy cię do wydania biżuterii - oświadczają.*

*- I powiesz nam, gdzie jest twój mąż - rzuca jeden z nich na odchodnym.*

*Zamknęli za sobą drzwi i zostawili nas pełnych niepokoju W pustym mieszkaniu. Mama zaczęła uspokajać malców, ja Ubrałem się do liczenia rękawiczek. Nagle jeden z gestapow-*

*ców kopniakiem otworzył drzwi.*

*- Niedługo nam powiesz, gdzie jest twój mąż! - wrzasnął od progu. I wyszedł.*

*Chwilami mam ochotę walić pięściami w ściany: dlaczego nie możemy nic zrobić, a oni są tacy silni, dlaczego oni są panami, a my niewolnikami, i wszyscy to akceptują?*

*Dlaczego przechodnie śmieją się, gdy zmusza się chasydów, by tańczyli jak małpy na ulicy? Skąd ta nienawiść do nas, dlaczego zewsząd czyha Śmierć? Spotkałem się z ojcem w Ogrodzie Saskim. Rozmawiał ze mną jak z przyjacielem, chciał pomóc mi zrozumieć: hitlerowcy szczują przeciw nam Polaków, dużo jest ludzi chciwych, gotowych wykorzystać sytuację, aby zająć nasze miejsce, ale są przecież i tacy, którzy spieszą z pomocą, na przykład nasi sąsiedzi. Rozmowę przerwały nam kroki i śmiechy; ujrzeliśmy biegnącego przez zaśnieżony park nagiego mężczyznę, którego gonili żołnierze strzelający w powietrze. Odeszliśmy samą. Nalewki roily się od drobnych handlarzy i żebraków.*

*- Niemcy zrobią getto - powiedział ojciec. - Będziemy wszyscy razem, ale to też okaże się straszne. Nie zostawią nas w spokoju.*

*Nic nie odpowiedziałem. Czulem się dorosły i rozsądny, jak on.*

*- Zabrali się już do tego w Łodzi. I tu zrobią to samo. Będę*

*widował was rzadziej, bo gestapo wróci.*

*Rozstaliśmy się naprzeciwko synagogi na*

*Tłomackiem. Widziałem, jak oddalał się wyprostowany,*

*silny. Wchodząc do dzielnicy żydowskiej, gdzie podobno*

*będziemy musieli mieszkać, założyłem opaskę. Szedłem Gęsią,*

*Miłą, Wołyńską i Niską. Ulice były wtedy moim światem.*

*Szedłem i myślałem, że będę musiał iść handlować na Pragę,*

*a także z matką na pocztę, żeby wymienić dolary, które*

*przesłała nam babka z Nowego Jorku; myślałem, jak bardzo*

*zmieniło się życie w ciągu zaledwie kilku miesięcy; pogrążony*

*w tych rozważaniach zapomniałem, że powinienem ciągle*

*mieć się na baczności, i wpadłem w pułapkę przy ulicy*

*Zamenhofa. Wzdłuż chodników stały ciężarówki, do których*

*żołnierze zgarniali wszystkich mężczyzn, nie szczędząc przy*

*tym kopniaków i uderzeń. Jakiś oficer popychał mnie, waląc*

*jednocześnie kolbą karabinu po plecach.*

*- Piętnaście lat - zawołałem. - Mam dopiero piętnaście lat!*

*Nie miałem wiele nadziei, ale należało spróbować, gdyż za-*

*sadniczo nie zabierali mężczyzn poniżej szesnastu lat.*

*- Kłamiesz, Żydzie, łajdaku! Powtórzyłem swoje. To było*

*ryzyko: strzelają z byle powodu, czasem wystarczy jedno*

*zbędne słowo.*

*- Wsiadaj tu!*

*Kopnął mnie tak, że upadłem na śnieg. Wdrapałem się na*

*ciężarówkę. Pod plandeką wszyscy milczeli; jakiś żołnierz wsiadł za mną i ruszyliśmy. Kołatała mi w głowie tylko jedna myśl: wyskoczyć! Wywalczyć tę szansę, inaczej zginę w zbiorowej egzekucji w lasu za Żoliborzem nad Wisłą, gdzie rozstrzelali już dziesiątki Żydów, zgarniętych przypadkowo z ulicy. Ale żołnierz nie ruszał się. Zalatywał od niego zapach wełny i potu, butem dotykał mojej nogi, na kolanach położył broń z ręką na spuście. Nagle ciężarówka zatrzymała się; padły krótkie, szczekliwe rozkazy. Po widoku jednorodzinnych domków i willi zorientowałem się, że jesteśmy na Żoliborzu, gdzie rozkwaterowali się Niemcy, wysiedliwszy stamtąd uprzednio wszystkich Polaków. A więc nie jechaliśmy na śmierć. Rozdano nam łopaty i zaczęliśmy uprzętać alejki. Ale wiatr roznosił świeży śnieg, jak pył, a niskie ciemne chmury zwiastowały dalsze opady. Nasza praca była zupełnie bezsensowna; musieliśmy jednak odgarniać śnieg.*

*- Zdejmij rękawiczki! - wrzeszczy oficer o białych oczach.*

*Przecież wiesz, że trzeba pracować bez rękawiczek.*

*Uderzył mnie. Pracowałem dalej. Moje palce zaczerwieniły ule, zsiniały, skostniały. Oficer był daleko. Włożyłem rękawiczki. Nie zauważyłem, jak wracał.*

*- Ty łajdaku!*

*Nie krzyczał. Uderzył mnie w kark i w twarz. Kazał mi od?*

dać rękawiczki i, śmiejąc się, cisnął je jakiemuś innemu Żydowi. To są ich metody; chcą czynić zło. Pracowaliśmy cały leń, a gdy śnieg zaczął padać jeszcze gęściej, wsiedliśmy powrotem do ciężarówek. Zapadał zmrok. Może teraz zawiozą nas na rozstrzelanie, W tych czasach wszystko mogło się zdarzyć w każdej chwili. Koło mnie usiadł znów ten sam żołnierz; pogwizduje sobie, pali, kto by pomyślał, że ten spokojny człowiek może być zabójcą? Znów padają rozkazy, ciężarówka wjeżdża na wybrukowany kocimi łbami dziedziniec, otoczony zabudowaniami oraz zasiekami z drutu kolczastego; to dawne koszary po drugiej stronie Wisły. Jakiś chudy młodzieniec o kędzierzawych rudych włosach mówi, żebym się nie przejmował, każą nam wykonywać pracę poborowych, on wie, bo już tu kiedyś był. Czekamy, stojąc na mroźnym wietrze. Przechodzą przed nami ze śpiewem dwie wyjeżdżające na manewry kompanie. Żołnierze maszerujący z gołymi głowami zdają się nas nie dostrzegać, jesteśmy kamieniami brukowymi, przedmiotami, niczym. Po chwili biegamy po dziedzińcu z łopatami, wiadrami; szorujemy podłogi w barakach. Gdy, odgarniając od wejścia śnieg, przechodzimy koło kantyny, rudy młodzieniec daje mi znak: na drewnianym stole leżą zapasy żywności. W jednej chwili chłopak wpada do baraku i wsunąwszy pod koszulę parę śledzi wyskakuje na dwór i za-oddala się ze swymi wiadrami.



*Pracowaliśmy całą noc.*

*Udało nam się kilka razy wskoczyć do baraku, żeby się trochę ogrzać. Zaczynało świtać; niebo było czyste, niebieskie jak woda.*

*- Teraz nas odwiozą - szepnął mi rudzielec.*

*Kazano nam ustawić się na dziedzińcu w dwóch szeregach.*

*Powoli zbliżył się oficer o białych oczach. Zatrzymał się przede mną i pomyślałem: on chce, żebym zginął.*

*- Jest tutaj złodziej - powiedział spokojnie. - Niech ten, kto ukradł śledzie, przyzna, się. Ma pięć minut czasu. On lub dziesięciu spośród was.*

*I natychmiast wskazał mnie pierwszego i dziewięciu innych.*

*Ranek jest taki piękny. Matka na mnie czeka; mam zginąć, nie wzięwszy udziału w walce. Oficer przechadza stó przed nami zacierając wesoło ręce.*

*-To ja!*

*Rudowłosy wyszedł z szeregów i stanął przed oficerem. .*

*- To ja! - powtórzył.*

*Na pewno każdy ze stojących w obu szeregach miał tak jak ja wrażenie, że za chwilę pęknie mu serce. Białooki oficer zawahał się chwilę, po czym z całej siły kopnął w brzuch rudego chłopaka, który bez jęku zgiął się wpół; oficer wziął łopatę i zaczął nią okładać mojego towarzysza, którego nazwiska nawet nie znałem. Skatowany, bez jednego krzyku, padł na*

*śnieg, osłaniając głowę rękami. Wówczas Niemiec wyciągnął rewolwer i strzelił. Wróciliśmy do pracy pod gradem obelg, żołnierze wymyślali nam od świń i brudasów. Wczesnym popołudniem odwieźli nas do Warszawy. Ciężarówka zatrzymała się w pobliżu ulicy Zamenhofa i wszyscy rozbiegliśmy się do domów. Nie powiedziałem nic ani matce, ani braciom; takie było teraz życie, zależało od jednego słowa, warte było mniej niż kilka śledzi. Wiedzieliśmy o tym, po co więc opowiadać?*

*Przez kilka dni nie mogłem zapomnieć o białockim oficerze. Miałem wrażenie, że jego niepojęta nienawiść ściga mnie wszędzie; zdawało mi się, że rozpoznaję go w każdej dostrzeżonej z daleka sylwetce w mundurze; uciekałem, chowałem się na podwórzach domów, wbiegałem na schody i czekałem długo, skulony i drżący. Po raz pierwszy od początku wojny bałem się: zetknąłem się z nienawiścią, która zabija bez powodu. Nigdy przedtem nie spotkałem tego oficera, a on chciał mojej śmierci. Gdy patrząc na mnie zabijał tamtego człowieka łopata, zabijał mnie. Staralem się przemówić sam sobie do rozsądku, by pozbyć się tej psychozy, lęków, które tliły się we mnie od tygodni. Nie zwierzyłem się nikomu, wyleczyłem się Mm, zmuszając się, by nie przyspieszać kroku na ulicach, mijając żołnierzy, spoglądać im w oczy i ryzykować najgorsze. W końcu zwyciężyłem. Któregoś dnia mogłem*

*znów iść na bazar na Pragę. Pogwizdywałem, to biegiem, to  
zwalniałem kroku, nadłożyłem drogi, aby iść wzdłuż Wisły.  
Odkryłem, jaką siłę może mieć w sobie człowiek. Jeśli chce,  
może przewyciężyć samego siebie, może umrzeć bez jednego  
krzyku, jeśli chce, może wytrzymać. Dziękuję ci, rudowłosy  
towarzyszu. Umarłeś dla mnie bez jęku. Przestałem się bać.  
Mijały dni. Handel na Pradze był teraz bardzo utrudniony.  
Coraz częściej zjawiali się granatowi policjanci, a Niemcy  
blokowali ulice, przewracali stragany, aresztowali ludzi.  
Pewnego ranka około dziesiątej stałem nieco na uboczu z  
towarem pod pachą, obserwując rynek, starając się wyczuć  
atmosferę, odgadnąć, czy przyjdą tego dnia. I oto zjawiają się  
polscy policjanci. Biegną, łapią ludzi, wpychają ich do  
furgonetek. Niemcy obserwują tę akcję z pewnego oddalenia.  
Wszedłem do jednego ze sklepów, bez słowa położyłem za  
drzwiami paczkę rękawiczek i spieszenie wyszedłem.  
Okrążyłem plac; ludzie uciekali. Położyłem się na ziemi, na  
brzuchu. Przenikał mnie mróz, śnieg topniał pode mną,  
przesiakkając przez odzież, ale nie ruszyłem się. Wkrótce  
uświadomiłem sobie, że stoi nade mną kilku policjantów.  
Jeden kopnął mnie w bok. Z drugiej strony placu dobiegały  
krzyki uciekających, którzy odkryli, że są otoczeni, gdyż  
zatarasowano wszystkie uliczki i prowadzące nad Wisłę.  
- Co mu jest? - zapytał ktoś nade mną.*

*Dostałem jeszcze jednego kopniaka. Ani drgnąłem. Odeszli w końcu, zostawiając mnie na śniegu. Leżałem nieruchomo, przemoczony, zmarznięty, ale wolny. Czas włókł się niemiłosiernie. Ładowano handlarzy do policyjnych wozów. Byli to Polacy, toteż groziła im jedynie grzywna; mnie zaglądała w oczy śmierć, z którą musiałem ciągle igrać. Potem na placu zapanowała cisza. Handlarki, lamentując, starały się ustawić poprzewracane stragany. Czekałem jeszcze. Staęło nadę mną kilka kobiet.*

*- Zabili go - mówiły.*

*Odczekałem chwilę, po czym zerwałem się jednym susem i skoczyłem do sklepiku. Moje rękawiczki leżały na ladzie; porwałem je w biegu.*

*- Jak śmiesz! - wrzasnął sklepikarz. Ale byłem już na dworze.*

*- Ty draniu! - krzyczał za mną, ale nic mnie to nie obchodziło.*

*Żyłem i miałem swój towar. Nie czułem nawet lodowatej koszuli, która przylepiła mi się do pleców.*

*Nie było czasu na rozpamiętywanie, jakie to się miało szczęście, i gratulowanie sobie sprytu. Życie stało się torem przeszkód: przeskoczyłeś jedną, a już czekała druga, wyższa, tuż za nią następna, jeszcze trudniejsza. Nie było czasu, by nabrać tchu. Gnębiły nas złe wiadomości. Niemcy zwyciężali wszędzie, zarządzenia stawały się coraz surowsze, łapanki częstsze. Tylko niebo zlagodniało. Na wiślanych skarpach*

*i w ogrodach odrastała wreszcie trawa. Miałem ochotę biegać wśród drzew, iść jak kiedyś do lasów, po których godzinami chodziłem dawniej z ojcem. Ale czas miłych spacerów skończył się. Teraz wychodziłem wczesnym rankiem, by popatrzeć na rzekę i barwy wody. Świtało, miasto zdawało się spokojne, na pustych ulicach żebracy wyglądali jak czarne kulki, można ich było nie zauważyć. Chciwie wdychałem mroźne powietrze, które ścisnęło mi krtani, czułem się wolny. Na skarpie przesiadywał kot. Był to ogromny zwierzak o krótkiej szarej sierści; godzinami próbowałem się do niego zbliżyć. Co rano przemawiałem do niego po cichu, a on obserwował mnie zmrużonymi oczyma, podkurczywszy łapy, gotów do ucieczki. Nazwałem go Lajtak. Mówiłem do niego, snułem projekty, opisywałem mu swą radość, gdy udało mi się wymknąć z łapanki na rynku.*

*- Czy jesteś Żydem, Lajtak?*

*I zanosilem się od śmiechu. Czasem rzucałem mu trochę (rdzenia, które pożerał nie spuszczał mnie z oczu. Gdy zbliżałem się, znikał. Lajtak był czujny, tylko raz czy dwa udało mi się go dotknąć. Widocznie też zakosztował jakiejś wojny, M Ja upodobałem się teraz do tego kota. Wiedziałem, że ranki bywają spokojne, natomiast wieczory niebezpieczne, toteż po zmierzchu nie przebywałem na ulicy.*

*Wracałem do domu na Senatorską, gdzie czekaliśmy na Awit*

*w nadziei, że nie przyjdą tej nocy. Na wiele tygodni zostawili nas w spokoju, w dręczącym oczekiwaniu. Potem zjawili się.*

*Wyważyli drzwi; jacyś nowi, w nasuniętych na czoło kapeluszach. Było ich pięciu. Tylko jeden mówił po polsku, ule krzyczeli wszyscy.*

*- Idź po twojego męża!*

*Matka znów zaczęła wyjaśniać: od początku wojny nie ma żadnych wiadomości, może właśnie oni, panowie z policji, będą mogli udzielić jej jakichś informacji. Czuję, że tym razem będzie gorzej. Ten, który mówił po polsku, tłumaczył. Jeden z mężczyzn podszedł do mojej matki i uderzył ją w twarz, aż rozplótł jej się kok; uczułem, jak krzyk wściekłości dławi mnie w krtani, ale nie ruszyłem się. Mężczyzna wymierzył drugi policzek i zaczął mówić po niemiecku, a jego kompan tłumaczył:*

*- Teraz mi pani powie, gdzie jest mąż. Powtórzyłem w duchu słowo - „pani”. Człowiek, który uderzył moją matkę, nazwał ją panią.*

*- Proszę pani, zabierzemy tego młodego człowieka.*

*Zostawimy pani nasz adres i dwadzieścia cztery godziny czasu na odnalezienie i przyprowadzenie do nas męża.*

*Spoglądał na mnie bez uśmiechu. Jego kamraci przeszukiwali mieszkanie, wyrzucając różne rzeczy na podłogę.*

*- W każdym razie oddamy pani tego młodzieńca; żywegf lub*

*martwego.*

*Mama zaczęła krzyczeć, czepiała się mnie, błagając o litotość.*

*Stałem jak słup, a ona wołała:*

*- Zostawcie mi go! Nagle przestała krzyczeć.*

*- Zaaresztujcie mnie - rzekła. - Zostawcie dzieci. Jeden z nich pisał.*

*- Proszę, oto adres. Niech go pani da mężowi i w przeciągu dwudziestu czterech godzin przyjdzie po syna.*

*Wypchnęli mnie na schody. Matka rzuciła się za mną, przycisnęła mnie do siebie. „Uciekaj, Marcin, uciekaj!” Ode-  
rwali ją ode mnie i przewrócili. Sprowadzili mnie po scho-  
dach, a na samym dole jeden z nich, ten który dotychczas nie  
odzywał się ani słowem, kopnął mnie w żołądek, wyciągnął  
rewolwer i powiedział po niemiecku: - Zaprowadzisz nas do  
swego ojca.*

*Najlżejszym drgnieniem nie zdradziłem, że zrozumiałem to  
zdanie. Zacząłem mówić dopiero wtedy, gdy mi je przetłuma-  
czyli. Powiedziałem, że nic nie wiem, że chętnie zaprowadził-  
bym ich do ojca, ale nie mam pojęcia, gdzie on przebywa.*

*Spoglądali na siebie z wahaniem. Czyżbym wygrał? Okazało  
się jednak, że nie.*

*- Przypomnisz sobie wszystko w alei Szucha. W alei Szucha  
była siedziba gestapo. Na ulicy wepchnęli mnie do karetki  
więziennej, w której czekał milczący żołnierz, a sami wsiedli*

*do samochodu i ruszyliśmy. Jechaliśmy szybko. Zacząłem mówić po polsku do żołnierza, ale pchnął mnie | kolbą tak, że znalazłem się na drugim końcu karetki. Złapali Lajtaka - pomyślałem - ale będzie milczał i ucieknie. I*

*To mi dodało odwagi. Zatrzymywaliśmy się kilka razy, ale żołnierz nie spuszczał ze mnie oczu. Wreszcie aleja Szucha i jasno oświetlony gmach gestapo. Weszliśmy. Drzwi, korytarze, I znowu drzwi i korytarze. Pod ścianami mężczyźni i kobiety, wszyscy sparaliżowani strachem, który wyzierał im z oczu. Kazano mi wejść do jakiegoś pokoju. Zdążyłem tylko spostrzec okno i panujący na dworze mrok. Zbir, który spoliczkował moją matkę, zbliżył się i wymierzył mi cios w usta.*

*Twój ojciec Jest nikczemnym tchórzem - powiedział złą polszczyznę. - On cię porzucił.*

*Zdjął kapelusz. Miał okrągłą głowę i włosy ostrzyżone na jeża.*

*Wszyscy Żydzi to podli tchórze - dokończył i nie spojrzawszy na mnie wyszedł na korytarz, nie zamykając drzwi, zobaczyłem kobietę stojącą z podniesionymi rękami.*

*Skoczyłem do okna i otworzyłem je. Powiało chłodem; na dworze było ciemno. Odwróciłem się; kobieta otworzyła usta ze zdumienia i zgrozy. Wyskoczyłem. Pomyślałem: „zabiję się” - i już przelazłem przez dziedziniec do okalającego go muru.*



*Wspiąłem się, zeskoczyłem na inne podwórze, pobiegłem dalej, przesadziłem furtkę i znalazłem się na ulicy. Gnałem bez wytchnienia, musiałem przecież zdążyć przed nimi.*

*Wpadłem na schody, pchnąłem drzwi, krzyknąłem:*

*- Mamo, chłopcy! Zostawcie wszystko, chodźcie!*

*Puściliśmy się pędem w dół po schodach, jeden z moich braci na bosaka, a potem, uważając, czy nie ma w pobliżu patroli, biegliśmy wyludnionymi ulicami Warszawy, przez opustoszałe, ciemne place. Wuj mieszkał na Freta. Przyjął nas na noc. Słuchał mnie w milczeniu, matka zaś całowała mnie z uniesieniem.*

*- Wiedziała, że tak będzie. Jesteś taki sam jak twój ojciec.*

*Byłem z siebie dumny. Nazajutrz z samego rana rozproszyliśmy się po różnych znajomych, którzy udzielili nam schronienia. Ponieważ byłem przekonany, że mnie poszukują, nie wychodziłem z domu przez dwa lub trzy dni.*

*Zamelinowałem się u przyjaciółki mojej matki w wielkim, ciemnym mieszkaniu na końcu Siennej. Jej mąż, lekarz, wyjechał za granicę w przeddzień wybuchu wojny i więcej nie wrócił. Kobieta tuliła mnie do siebie, kazała mi mówić i mówić, więc opowiadałem, puszyłem się jak młody kogut, ale w nocy zamykałem się na klucz i w tym pachnącym kurzem obcym pokoju rozwiewała się egzaltacja, którą odczuwałem we dnie, gdy rozmawiałem z moją gospodynią. Nie mieliśmy*

*już domu, nie powrócimy na Senatorską, byliśmy porozdzielani, jeden z moich braci na jednym krańcu Warszawy, drugi z matką gdzie indziej, ojciec przeprowadzał się niemal co dzień. Niedawno dał nam znać, że wkrótce otrzymamy fałszywe dokumenty na nowe nazwisko. Więc nawet tyle nie zachowamy z przeszłości. Zrozumiałem, co to jest rodzina. W tamtych dniach wyraźniej niż kiedykolwiek zdałem sobie sprawę, ile ona dla mnie znaczy. Nie wydałbym ojca nawet na torturach gestapo, a gdy ten zbir uderzył moją matkę, nie drgnąłem, ale zdawało mi się, że wyję głośno, że za chwilę oszaleję. Rodzina to cały świat, a oni go rozbili. Podczas tych bezsennych nocy myślałem, że któregoś dnia odbuduję dla siebie świat, rodzinę. Ale ten dzień wydawał się równie daleki jak czas pokoju, a tymczasem spędzałem większość nocy na czuwaniu, nasłuchując kroków patroli, zrywając się, gdy w pobliżu zatrzymał się samochód. Po paru dniach nie mogłem już wytrzymać w tym mieszkaniu, z oszalałą ze strachu kobietą, która wzdychała tuląc się do mnie i napomykała o naszym wspólnym wyjeździe z Warszawy. Któregoś ranka skorzystałem z jej nieobecności i uciekłem, żeby znów znaleźć się na ulicy, w słońcu. Jeśli już mają mnie schwytać, niech się to stanie pod jasnym niebem. Mój ojciec, zawiadomiony wcześniej, wyznaczył mi spotkanie na Starym Mieście, gdzie kręte*

*uliczki i ciemne podwórza ułatwiały ucieczkę.*

*Był poważnie zatroskany.*

*- Jesteś prawdziwym mężczyzną - rzekł. - Wymknąłeś im się,*

*To dobrze. I wiem, że nic byś nie powiedział.*

*Poczułem się silny. Dobrze było żyć. Jak się to działo, że ojciec*

*jednym słowem potrafił tchnąć we mnie radość, ale czy*

*zdołam kiedyś obudzić w innych tyle ufności? W moich*

*przyszłych dzieciach?*

*- Co chcesz zrobić?*

*Teraz on mnie pytał. Wyjaśniłem, że muszę wrócić na Pragę,*

*odebrać towar, który oddaliśmy na przechowanie krewnym i*

*znajomym. Matka próbowała handlować na bazarze, ale to*

*nie było jej zadanie, tylko moje. Poza tym nie nadawała się do*

*tego; zbyt łatwo można było ją okraść.*

*Nie wążaj się po Senatorskiej ani po alei Szucha -*

*powiedział ojciec ze śmiechem.*

*i, choć nie robił tego prawie nigdy, ucałował mnie. Znów*

*znalazłem się sam na ulicy. Zmieszałem się z tłumem. Setki*

*pozbawionych pracy Żydów stały na chodnikach, usiłując*

*sprzedać roń ze swoich rzeczy, by zdobyć trochę pieniędzy na*

*utrzymanie. W oczach wszystkich widziałem strach, tę*

*chorobę, która dotknęła także mnie, gdy patrzyłem na śmierć*

*mego rudowłosego towarzysza. Przysłuchując się*

*rozmowom, dowiaduję się, że na Miejskiej i na innych ulicach*

*zaczęto wznosić mur. Idę zobaczyć. Pracują tam Żydzi w opaskach, układają cegły, a szary cement spływa na chodnik, gdyż nie umieją go równo rozprowadzić. Są to robotnicy przypadkowi, zapewne szczęśliwi, że dano im tę pracę. Mur ma już dwa metry wysokości, a jeden z zatrudnionych, stojąc na drabinie, jeszcze dokłada cegły. Cała ulica będzie zagrodzona, a my skoszarowani na niewielkim terenie, zamknięci jak zwierzęta. Podobno w Łodzi zamknęli już getto. Mam ochotę uciec. Wyjadę z Warszawy, będę pracować U chłopów, na wsi, mówię po polsku bez tego specyficznego akcentu, po którym łatwo poznać Żyda, będę jadał do syta, a po wojnie wrócę do Warszawy. Gdy tak sobie marzę idąc przez Nalewki, nadjeżdżają nagle ciężarówki i wraz z innymi przechodniami muszę podskakiwać na czworakach, szybko, bardzo szybko, a żołnierze śmiejąc się biją nas po plecach; starych, którzy nie posuwają się dość szybko, obalają na ziemię. Unoszę lekko głowę: cała ulica jest na czworakach, a żołnierze strzelają na wysokość człowieka. Z odległych ulic dochodzą także odgłosy strzałów. Musi to być wielka łapanka, dzień igrzysk i grozy. O kilka metrów przede mną stoi na jezdni kobieta, trzymając w ramionach niemowlę, które usiłują jej odebrać dwaj wysocy żołnierze. Widzę jej oczy, nic, tylko jej oczy, ogromne, rozszerzone przerażeniem. Wyrwawszy dziecko, żołnierze zaczynają rzucać je jeden drugiemu, jak*

*piłkę, a ona stoi wyciągając ramiona, nie wiedząc, do kogo zwrócić się o pomoc, próbuje pochwycić niemowlę, które nawet nie krzyczy. W końcu jeden z żołnierzy nie schwytał dziecka.*

*Ciężarówki odjechały. Podnieśliśmy się i poszedłem dalej.*

*Przypomniałem sobie, o czym marzyłem poprzednio, nim żołnierze wjechali na Nalewki... coś o wsi, o ucieczce. Ale czy mężczyzna może uciec i porzucić swoich bliskich? W ciągu następnych kilku dni chodziłem znów na Pragę, choć mieliśmy już tylko resztki towaru - a zresztą, kto kupuje rękawiczki, gdy nadchodzi lato? Poza tym ludzie bali się, mówiono wciąż o masakrze, której dokonano na ulicach Warszawy. Zabito setki Żydów, innych uprowadzono do lasów. Od tej pory wielu melinowało się w rozmaitych kryjówkach. Matka, z którą spotykałem się co parę dni, błagała mnie, żebym nie wychodził, ale chciałem zobaczyć, co się dzieje. Teraz już niechęć handlowania wyganiała mnie codziennie na ulicę; wychodziłem, aby patrzeć, zobaczyć, zapamiętać. Stało się to moim nałogiem, za wszelką cenę musiałem zobaczyć, utrwalić sobie w oczach, w umyśle ten zdziczały świat, aby któregoś dnia opowiedzieć o wszystkim, co widziałem i co przecierpieliśmy. Wiedziałem, że mogło mnie to drogo kosztować.*

*To ja namówiłem wtedy Staśka Borowskiego, żeby zostać na*

*Siennej. Bardzo lubiłem Staśka. Często wałęsaliśmy się i użera i już kilka razy udało nam się zwiać w ostatniej chwili. Stasiek był okrągłutki jak kulka mięśni, ale mimo swej wngi biegł równie szybko jak ja. Gdy tego dnia zobaczył, co się dzieje na Siennej, chciał odejść, ale ja stałem jak sparaliżowany: Niemcy spędzili na jezdnię gromadę Żydów i kazali im tańczyć, śpiewać i rozbierać się, podczas gdy inni, zachęceni wrzaskiem i pięściami żołnierzy, musieli klaskać w ręce do taktu. Pośrodku gromady stary, prawie nagi Żyd udawał niedźwiedzia, stojąc na jednej nodze i wznosząc ku nam błagalne spojrzenie. Otaczał nas tłum rozbawionych widzów, same pogodne, wesołe twarze. Stasiek pociągnął mnie za rękaw, ale nie chciałem odejść. Nie nosiliśmy opasek, zastygły Uśmiech rozciągał mi usta; to miała być moja legitymacja; zresztą wiadomo było, że Żydzi nie lubią igrać z ogniem, nauczyli się już dawno, że zawsze lepiej zwiać. Ale chciałem nasłuchać się tych śmiechów, przypatrzeć się łysemu mężczyźnie w kamizelce, który aż zgiął się wpół, parskając z uciechy. W tej chwili interesowali mnie nie tyle oprawcy i ich ofiary, ile publiczność. Stasiek dał mi szturchańca; za późno, ulica była już zamknięta. Żołnierze posuwali się ku nam ramię przy ramieniu, zapadła nagle cisza; nawet łysy mężczyzna przestał ile śmiać, rozglądając się z przerażeniem*

*na prawo i lewo. Popchnięto nas ku ciężarówkom, a Żydzi zostali, nieruchomi, na środku jezdni; gdy odjeżdżaliśmy, zobaczyłem, że stary, półnagi Żyd zaczyna się powoli ubierać; posłużył za przynętę. Tego dnia hitlerowcy upodobali sobie jako bydło rzeźne Polaków.*

*I tegoż dnia po raz pierwszy znalazłem się na Pawiaku, w wielkim, szarym więzieniu, o którym mówiła cała Warszawa, byłem aresztowany po raz pierwszy, a los chciał, że zatrzymano mnie jako Polaka. Stasiek Borowski odzyskał już humor.*

*- Może nas zwolnią, jeżeli włożymy opaski z gwiazdą -rzekl. - Chcesz spróbować, żeby się przekonać? Przecież zawsze chcesz zobaczyć, dowiedzieć się! Masz teraz znakomitą sposobność!*

*Milczałem. Staliśmy na dziedzińcu wraz z kilkuset innymi.*

*Podzielono nas na małe grupki i wrzaskiem oraz kopniakami skierowano do wilgotnych korytarzy. Stasiek i ja usiłowaliśmy trzymać się razem. Wepchnięto nas obu do celi tak prze-ludnionej, że więźniowie ledwie mogli się poruszać. Jedni ję-czeli, drudzy prosili o papierosa, niektórzy rozmawiali ze so-bą głośno, inni przeklinali Żydów, bo to wszystko przez nich.*

*Usiłowałem zbliżyć się do małego okienka.*

*- Zamknijcie się, do cholery! - rzucił jakiś głos z głębi celi. I zaraz zarządził, jak się roztasować. Stopniowo posłuchali go*

*wszyscy i w końcu mogliśmy usiąść. Więzień, który do nas przemówił, miał około trzydziestu lat, szeroką bliznę na policzku, a jego akcent zdradzał, że to warszawski ulicznik. Kosmyki siwych, brudnych włosów prawie zasłaniały mu oczy. Zacząłem z nim rozmawiać. Na dźwięk słowa „ucieczka” wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Potem usnął. Trzymałem się blisko niego. Włóczędzy są obeznani z więzieniami; nie zamierzałem szukać rady u łysego jegomościa, który znalazł się tu razem z nami i sapiąc okrył sobie głowę kamizelką, by ochronić się od zimna. Nieco później Siwy, ulicznik, zaczął mówić. Okazało się, że po pijanemu zwymyślał policjanta i wrócił na „Pawiaczek”. Mówił o więzieniu jak o kobiecie.*

*- Nie możesz porzucić Pawiaka; to on cię wyrzuci, gdy ma ciebie dość, ale ponieważ kochasz go i on cię kocha, nie zapomina o tobie. Zawsze wraca się na Pawiak. Zawsze.*

*Nazajutrz zebrano nas na podwórzu. Stałem obok Siwego.*

*- Jesteście tu po to, żeby pracować! - ryczał ktoś, kogo nie widziałem. - Polska rozpętała wojnę z Reichem, zabijając niemieckich żołnierzy. Polacy muszą zapłacić za to pracę.*

*Czekaliśmy nieruchomo, starając się odgadnąć, co z nami zrobią; Stasiek i ja szczególnie czujni, bo - jako Żydzi - byliśmy podwójnie winni, przeznaczeni na śmierć.*

*Zrozumieliśmy, co się święci, gdy polscy strażnicy ustawili*



*pod murem stoły i przynieśli maszyny do pisania.*

*- Opaski - szepnął Stasiek. - Mogą nas zrewidować.*

*Ścisnąłem w kieszeni ten kawałek płótna, od którego zależało*

*nasze życie. Zacząłem rozszarpywać go paznokciami, M*

*potem strzępy wsunąłem do ust. Stasiek poszedł za moim*

*przykładem i żując zaczęliśmy prześlizgiwać się na koniec ko-*

*lumny więźniów, która uformowała się na podwórzu.*

*Żołnierz przy stole krzyczał:*

*- Podać nazwisko! Opróżnić kieszenie! Jeżeli coś ukryjemy,*

*kaputt!*

*Położyłem pieniądze na stole. Zostałem bez grosza. Stasiek*

*tak samo. Ale zachowaliśmy jeszcze życie; na razie.*

*Wiele godzin czekaliśmy w milczeniu. Patrzyłem w niebo,*

*starając się nie widzieć dachów ani kamienic, jedynie samo*

*niebo. Nagle zjawili się esesmani. Zналиśmy ich dobrze, tych*

*żołdaków w czarnych mundurach, wiedzieliśmy, do czego są*

*zdolni: widziałem, jak któryś z nich oderwał od matki*

*niemowlę, a drugi upuścił je na bruk. Nie tracąc czasu kazali*

*nam ustawić się w szeregi; polscy strażnicy i niemieccy*

*żołnierze biegali, wykonując jak psy rozkazy swoich panów,*

*którzy trzymali się na uboczu, pod murem dziedzińca. W*

*pewnej chwili wysunęli się naprzód, a z głównego budynku*

*wyszła grupa oficerów w czerni.*

*- To Himmler - szepnął Stasiek.*

*Oficerowie rozmawiali ze sobą, spoglądając na nas ze śmiechem. Przechodzili między rzędami, zatrzymując się przed niektórymi z pojmanych. W moim rzędzie stał bardzo wysoki, chudy mężczyzna z długą czarną brodą. Wyglądał na nauczyciela lub lekarza. Grupa oficerów zatrzymała się przed nim. Usłyszałem ich rozmowę.*

*- Za co cię aresztowano?*

*- Bardzo bym chciał się tego dowiedzieć, Herr Reichsmiraster.*

*Jego donośny głos, który rozlegał się na pewno po całym dziedzińcu, był jak policzek wymierzony oficerowi SS.*

*- Trzeba karać zdrajców, profesorze Bursche.*

*- Na honor, nie jestem zdrajcą!*

*- Zdradziłeś ojczyznę.*

*- Nigdy nie zdradzę swojej ojczyzny.*

*Kilku oficerów zachichotało i cała grupa poszła dalej. Trudno było uwierzyć, że ten niski tłuścioch, wtłoczony w obcisły czarny mundur, to minister Rzeszy, Himmler, Reichsführer SS, dowódca oprawców.*

*Podjechały ciężarówki, do których esesmani zaczęli nas znów wpychać. Trzymałem się koło Siwego, Stasiek tuż za mną.*

*Każdą ciężarówkę eskortował samochód pełen esesmanów.*

*- Trzeba uciekać, Siwy - rzekłem.*

*- Żegnaj, żegnaj, Pawiak! - powtarzał.*

*Zacząłem opowiadać mu o obozach, o egzekucjach w lasach.*

*Słuchał, rozgarniając długie, jasne włosy.*

*Rozpoznałem dworzec w Szczęśliwicach. Esesmani zaczęli krzyżeć, walić kolbami na prawo i lewo, dwa razy strzelili w powietrze, a my, jak bydło, tłoczyliśmy się na peronie. Nie opuszczałem Siwego.*

*- Zastrzelą nas, Siwy!*

*Załadowali nas do bydłowych wagonów. Stojąc koło drzwi macałem dłońmi ścianę, starając się przesunąć w głąb. Czekaliśmy wiele godzin. Zapadał zmierzch, kilka osób zemdlalo; potem wagon drgnął i wpadło trochę powietrza.*

*- Mam nóż - powiedział Siwy. - Na końcu wagonu, po twojej stronie, jest krata. Przepychaj się.*

*Posuwaliśmy się naprzód centymetr po centymetrze, wreszcie poczułem na nogach chłodny powiew.*

*Trzeba było przykucnąć; Stasiek odpychał naszych towarzyszy niedoli; niektórzy spali na stojąco. Siwy zabrał się do roboty.*

*- Zaraz skoczę - powiedział. - Oprę się o ciebie, a ty mnie wypychaj. Po mnie skaczesz ty, toczysz się po ziemi, osłaniając głowę ramionami, potem leżysz nieruchomo.*

*Objaśniłem wszystko Staśkowi. Schyliliśmy się. Siwy przykucnął, wysunął głowę na zewnątrz, popchnąłem go. Potem już nic, po prostu trochę więcej miejsca w wagonie.*

*- Najpierw ty - powiedział Stasiek Borowski. Popchnął mnie.*

*Poraniłem sobie dłoń o żwir, ale podę mną była ziemia,  
jędrna, twarda ziemia. Niemal natychmiast legły się strzały;  
pociąg zwolnił, ale był już daleko. Może .ek także wyskoczył.  
Pobiegłem przed siebie, trawa była , gałęzie czepiały mi się  
ubrania. Wreszcie jakaś zagroda okolona drewnianym  
plotem. Gospodarz nie pytając o nic, dał mi kawał chleba i  
trochę pieniędzy. Wieśniacy pomogli mi, pokazali, w jakim  
iść kierunku, by lasami dotrzeć do Warszawy. Rano, gdy  
opadła mgła, zobaczyłem otoczony polami dworzec w  
Żyrardowie. Wsiadłem do pierwszego pociągu; wagon pełen  
był rumianych, pulchnych wieśniaczek w białych  
chusteczkach na głowach. Życie spokojnie płynęło dalej. Na  
dworcu w Warszawie nie miałem żadnych kłopotów i po  
chwili znalazłem się znów na znajomych ulicach, pełnych  
żebraków i dzieci w łachmanach. W dwa dni później  
spotkałem się z ojcem.*

*- Byłem na Pawiaku - rzekłem.*

*Musiałem opowiedzieć o mojej pierwszej wielkiej ucieczce.*

*- Jesteś nieostrożny, Marcinie. Nie wolno liczyć zawsze na  
•woje szczęście.*

*Ale nie miał czasu na długie kazanie. Wraz ze swym zgru-  
powaniem brał niedawno udział w pierwszej podziemnej ak-  
cji; w jednej z podwarszawskich restauracji zabili słynącego z  
wyjątkowego okrucieństwa niemieckiego żandarma. Oku-*

*panci zastosowali represje, jeszcze większy terror zwałił się na Warszawę. Za każdą akcję płaciło się wysoką cenę.*

*Nie zobaczyłem już nigdy ulicznika z Pawiaka, Siwego, ani mojego przyjaciela, Staśka Borowskiego, który pomógł mi skoczyć w ciemność.*

*Gra życia i śmierci*

*Dawniej, gdy jeszcze nic nie rozumiałem, zanim się narodziłem, przed wojną, ojciec nie pozwalał mi przeszkadzać w pracy mrówkom w lesie. Pamiętam, jak ogromne, czerwone, sunęły po drózkach w zdyscyplinowanych, długich kolumnach. Szedłem za nimi aż do mrowiska, leciutko dotykałem gałązką któregoś z otworów, przez które wchodziły do wnętrza, i nie mogłem się oderwać, zafascynowany szaleńczym zamieszaniem, jakie spowodowałem. Roily się ich tysiące, sunęły naprzód, wpadały na siebie, zawracały, gorączkowe podniecenie w jednej chwili udzielało się najodleglejszym kolumnom. Daremnie ojciec wołał mnie. W końcu podchodził bliżej.*

*- Znowu mrówki!*

*Potem mówił o pracy, o porządku rzeczy, którego nie woli no zakłócać. Słuchałem nieuważnie, pochłonięty tym, co widziałem. |*

*Od początku października jesteśmy jak te oszalone mrówki.*

*Gromadki ludzi gestykują na ulicach, mężczyźni wchodzą i wychodzą z domów, spiętrzają się stosy mebli, potenajj wnosi*

*się je z powrotem na górę, następnie wyrzuca przez okna. Na dole klóć się Polacy: jakiś Żyd wystawił swoje o razy na licytację. Wchodzę na nasze podwórko; przy brami siedzi, płacząc, jakaś starsza kobieta.*

*- Trzydzieści siedem lat, tu jest całe moje życie, i musze to wszystko porzucić!- woła, jakby biorąc mnie na świadka.*

*Nie mam odwagi zostać, znów wychodzę. Rodziny pchają wózki załadowane pościelą, walizkami - mrówki. Umieszczona na samochodzie głośnik podaje w regularnych odstępach czasu granice dzielnicy żydowskiej, ogłasza rozmaite zakazy, terminy przeprowadzek: 31 października, potem 15*

*listopada. Patrzę, słucham. Ojciec przyszedł do nas kilka razy.*

*Mamy więc getto - powiedział. - Wyrządzą nam wiele złego.*

*Ale będziemy wśród swoich. Może tak będzie prościej przez pewien czas. Tylko przez pewien czas.*

*Wiemy, dokąd się udać. Przeprowadzimy się na ulicę Miłą POD nr 23, do jednego z zakonspirowanych mieszkań ojca. Ale czekamy na ostatni wyznaczony termin, aby się upewnić, że nie będzie nowej zwłoki, nowych zarządzeń. Czy można mieć jakąś pewność? Co dzień, co chwila przekonuję się, że w tych czasach prawa, słowa, życie nie są pewne. Polacy i Żydzi stali się zwierzętami, zdanymi na łaskę ślepego losu, przypadku.*

*Widziałem, jak potężnie zbudowany, łysy tragarz, zanosząc się od śmiechu, wyrzucał meble z domu przy ulicy Dzielnej*

*pod dwudziestym trzecim. Słyszałem na Wroniej żydowskie*

*dziecko, które krzychało:*

*-Jestem Niemcem! Jestem Niemcem!*

*Jego piskliwy głosik rozdzierał mi serce. Jakiś starzec głaskał malca po włosach, bezskutecznie usiłując go uspokoić.*

*Nie trzeba wpadać w panikę, tylko mieć się na baczności powtarzał mój ojciec.*

*Matka chciałaby przeprowadzić się niezwłocznie. Tulę ją do siebie, proszę - tak jak ojciec - by jeszcze zaczekała, by nie wychodziła na ulicę. Wczoraj spotkałem na Ciepłej grupę esesmanów. Szli jezdnią, która pustoszała przed nimi. Idący na czele odwracał głowę na prawo i lewo, a pozostali śmieli się. Szedłem w dużej odległości za nimi, wślizgując się co chwila do bramy. Weszli do jakiegoś sklepu i usłyszałem głośnie krzyki; ze sklepu wybiegły dwie nagie kobiety, przyciskając do siebie odzież. Tego samego dnia zobaczyłem na Mura-nowskiej dwudziestu Żydów stojących pod ścianą z podniesionymi rękami. Mijam ich, idę dalej. Te ulice to obraz świata, który oszalał, wszyscy się potracają, z trudem można przejść. Na Lesznie, na Grzybowskiej tłum jest tak gęsty, że muszę torować sobie drogę łokciami. Ojciec niepokoi się.*

*- Nie powinieneś przebywać tyle na ulicy. Robią oblawy.*

*Zabijają.*

*Matka błaga mnie, z płaczem prosi ojca, aby kategorycznie*

*zakazał mi wychodzić.*

*- Trzeba wiedzieć, co się dzieje.*

*To moja jedyna odpowiedź. Chcę wiedzieć. Chcę widzieć, jak*

*rośnie ten ceglany mur, jak się wydłuża, żeby nas zamknąć.*

*Przy placu Paryskim wygląda jak mur więzienny, a cała*

*nasza dzielnica (zakazano nam przez megafon nazywać ją*

*gettem) stanie się więzieniem, Pawiakiem warszawskich*

*Żydów. Chcę wiedzieć, bo nie mam zamiaru dać się zamknąć.*

*Chodzę w tłumie i powtarzam sobie: „Nie dam się schwytać!”*

*Jestem niemal szczęśliwy, dokoła ludzie kulą się i drżą z*

*zimna, ale ja nie czuję chłodu, raczej siłę i spokój. Jestem*

*Lajtak, kot z nadwiślańskiej skarpy, który nigdy nie pozwolił*

*się schwytać.*

*Sobota, 16 listopada. Mieszkamy w getcie. Wczoraj ojciec*

*zaprowadził nas na Miłą pod dwudziesty trzeci. Przechodząc*

*koło kościoła na Nowolipkach zobaczyliśmy księży, zbierają-*

*cych podpisy na petycji o wyłączenie tej ulicy z getta. Każdy*

*stara się, jak może, usiłuje bronić swego, czepiając się prze-*

*szłości, wszystkiego, czym dawniej żył. Niektórzy stracili*

*wszystko; do getta przywieziono ciężarówki Żydów z Pragi.*

*Nie mają już nic, cały ich dobytek mieści się w kilku waliz-*

*kach. Chroniąc się od zimna koczują na klatkach schodo-*

*wych, przed drzwiami mieszkań.*

*- Teraz wszystko będzie kwestią solidarności - powtarzał*



*ojciec. - Musimy im pokazać!*

*Obejrzałem pobieżnie cztery pokoje nowego mieszkania, względu na matkę i braci rad jestem, że znów mamy dom, świat, ale nie mogę się w nim zasklepić, chcę widzieć, nie mieszka z nami, zajmuje się rozlokowaniem wysieli mych, ma do wykonania konkretne zadania. Matka błaga mnie, całując ją, tulę do siebie, tak bardzo ją kocham! Bracia czepiają się mnie, śmieją się z nich, żartują, ale nie ma rady, nich, dla siebie muszą być na ulicy, ocierać się o przemoc, o życie, o śmierć innych. To mój naród, moi bracia. W tę sobotę 16 listopada na rogach wszystkich ulic stały ale. Niemcy w hełmach, parę metrów za nimi funkcjonariusz policji polskiej, dla których przyjęła się już nazwa „granatowi”, a jeszcze dalej policjanci żydowscy z Judischer Ordnungsdienst w wysokich butach i pasach, z żółtymi lub opaskami z gwiazdą Dawida na rękawach. Oni interesują mnie najbardziej; mają utrzymać porządek w getcie, są z nami, czy przeciw nam? Sprawdzają dokumenty chodników, nadzorują długie kolejki, które tworzą się przed sklepami. Wszędzie tłumy ludzi, i nagle duże, puste strefy: tam są ONI. Podchodzę bliżej. Trzej starzy Żydzi robią skłony z wyciągniętymi w górę ramionami. Jeden z nich traci równowagę i pada w błoto. Leży nieruchomo, a niemiecki żołdak depta po nim. Nieco dalej, na Lesznie, esesmani każą żydowskim policjantom*

*skakać rytmicznie na jednej nodze; im także, tak samo jak nam. Na Ogrodowej jakaś kobie całuje trotuar, a oni śmieją się głośno. Jesteśmy uwięzieni, bezsilni. Tłumy ludzi stoją wzdłuż muru. Zafascynowani oglądają w milczeniu na widoczne wyraźnie na szczycie odłamki szkła i zwoje drutu kolczastego. Patrzą, odchodzą, Trzeba by przesadzić ten mur, zdobyć trochę desek, drabiny. Albo wydostać się przez jeden z domów przechodnich, których bramy wychodzą na aryjską stronę. Przejścia są zamurowane; ale mury się przecież przesadza, wybija się w nich otwory.*

*Szedłem wzdłuż muru, a w głowie tętniła mi tylko jedna myśl: nie zamkną mnie! Doszedłem do jednego z wejść. Pośrodku ulicy ustawiono barykadę z drutu kolczastego, a po obu stronach wąskiego przejścia budki strażnicze. W przejściu gawędzili Niemcy, uzbrojeni, w hełmach. Miałem ochotę skoczyć, przedrzeć się między nimi i popędzić dalej, ale ulica była pusta i zastrzeliliby mnie natychmiast. Chodzi o to, by przejść i żyć. Stałem zafascynowany: to wąskie przejście to drzwi naszej klatki, za nim jest wolność.*

*Pod eskortą granatowych policjantów nadeszła kolumna Żydów wysiedlonych z polskiej dzielnicy; dźwigali płócienne toboły, walizy. Niemcy odsunęli się. Żydzi byli zmęczeni, brudni, dzieci powłóczyły nogami. Skąd przyszli? Może z Pragi? Przechodząc koło Niemców, mężczyźni obnażali gło-*

*wy. Tylko jeden młody nie zdjął kapelusza. Spostrzegli to; padł rozkaz. Kolumna zatrzymała się, wypchnięto go z szeregu. Żołnierze kolbami stręcili mu kapelusz z głowy. Scenę tę obserwował niemiecki oficer, stojący ze skrzyżowanymi ramionami przed budką wartowniczą. Żołnierze okładali młodego człowieka kolbami, aż padł na jezdnię, po czym zawołali żydowskich policjantów. Wtedy oficer podszedł i wydał rozkaz; żołnierze parsknęli śmiechem i niebawem żydowscy policjanci zaczęli oddawać mocz na rannego. Po chwili kolumna ruszyła naprzód, a żołnierze gawędzili dalej! na środku jezdni. Zbierało mi się na wymioty. Usiadłem na brzegu trotuaru; Więzili nas, bili, zabijali, upokarzali. Myślałem o Staśku Borowskim, który został w wagonie, i o tej kobiecie, która wyciągnąwszy w górę ręce stała oniemiała ze zgrozy w budynku gestapo, w alei Szucha; przypomniałem sobie niemowlę, które esesmani w zabawie upuścili na bruk, i zabitego łopatą rudowłosego towarzysza. Moje krótkie życie wypełniło się zmarłymi. Niemal co chwila padały wokół mnie trupy. Wstałem i poszedłem w kierunku Milej. Na Nalewkach zobaczyłem tramwaj; dwa wagony wjeżdżały właśnie do getta z „aryjskiej” Warszawy, od strony parku Krasińskich. Na platformie pierwszego wagonu stało kilku niemieckich żołnierzy. Ze śmiechem patrzyli na przewalające ulicą tłum, zwiedzali getto jak rezerwat. Na pomoście*

*drugiego wagonu „granatowy” polski policjant pilnował, żeby nikt nie wsiadł podczas przejazdu przez naszą dzielnicę. Pasażerami byli Polacy, przejeżdżający przez getto z jednej aryjskiej dzielnicy do drugiej. Na skrzyżowaniu Nalewek z Gęsią, gdy drugi wagon był jeszcze na Nalewkach, jakiś człowiek wyskoczył i natychmiast zniknął w tłumie.*

*Pobiegłem za tramwajem. Jechał szybko długą, prostą ulicą Zamenhofa. Zwolnił na Dzikiej, przy bramie, po czym przejechał przez nią na aryjską stronę. Puściłem się ulicą Zamenhofa w odwrotnym kierunku, Gęsiej i Nalewkom, i znów pobiegłem za dwoma wagonami. A więc była to prawda: przez getto, odbijamy na Nalewkach do bramy przy Dzikiej, kursował tramwaj. Granatowy policjant pilnował, by nikt nie wsiadał ani nie wysiadał na tej trasie, ale kto potrafił wskoczyć lub wyskoczyć, dostawał się do getta lub je opuszczał.*

*Tej nocy nie mogłem spać. Rano stanąłem na posterunku w pobliżu bramy na Nalewkach. Obserwowałem. Było wczesnie. Przepuściłem kilka tramwajów. Na przednich platformach nie widziałem Niemców; za wczesna godzina na zwiedzanie naszego zoo. O tej porze zabawiali się jeszcze w łózkach warszawskich dziwek. Usłyszałem metaliczny szczęk nadjeżdżającego tramwaju. Nawet nie musiałem go widzieć, gnałem już wszystkie te odgłosy; wiedziałem, że motorniczy*

zwolni przed zakrętem, i po chwili ujrzałem pierwszy wagon  
wjeżdżający na Gęsią. Zatrzymuje się. Wejście do wagonu jest  
tuż przede mną. Wskakuję. Tramwaj jedzie dalej. Zostaję na  
pomocie. Polscy pasażerowie udają, że mnie nie widzą, od-  
wracają wzrok. Wjeżdżamy na Zamenhofa, tłum przelewa się  
z chodników na jezdnię, czarny, tragiczny. Już jesteśmy koło  
Miłej. Powietrze jest rześkie, mam ochotę krzyknąć, chcę wy-  
łamać się spod ich praw, wyzbyć się strachu, nie dać się  
schwytać, żyć. Trzask pantografu tchnie we mnie siłę. Nie  
opuściłem jeszcze getta, ale już wiem, że to zrobię. Dojeżdża-  
jąc do bramy przy Dzikiej motorniczy zwolnił. Skuliłem się.  
Tramwaj stanął i wtedy zobaczyłem sylwetkę żołnierza; to nie  
był esesman. Zbliżył się i utkwił we mnie wzrok. Nigdy nie  
zapomnę tej szczupłej, niemłodej twarzy, krzaczastych, si-  
wych brwi. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie, po czym  
Niemiec mrugnął porozumiewawczo. Tramwaj ruszył. Znalaz-  
łem się poza gettem. Spotkałem człowieka.  
Z opaską w kieszeni jechałem na zachód Warszawy. Oczy-  
wiście zagrażało mi śmiertelne niebezpieczeństwo, ale byłem  
wolny, gdyż zlekceważyłem ich zarządzenia. Gdyby mnie  
teraz zastrzelili, zabiliby wolnego człowieka, a to wielka  
różnica. Wyskoczyłem z tramwaju za cmentarzem. Ulice  
wydawały mi się puste po prostu dlatego, że nie zalegał ich  
tłum, jak w naszym przeludnionym mrowisku, gdzie

*gnieździło się pół miliona mieszkańców spędzonych z Warszawy i z prowincji. „Aby tu umrzeć z głodu”, Jak mówił mój ojciec. W tej powabnej aryjskiej Warszawie powietrze wydawało mi się ożywcze, przechodnie odprężeni, spokojni, elegancy, zapominało się o osłupiałych z głodu i przerażenia oczach. Kawiarnie na Nowym Świecie wypełniał tłum ludzi, przechodzili Niemcy, mijalem roześmiane kobiety, ale od czasu do czasu spostrzegałem zrywające się nagle do ucieczki grupki małych żebraków, prawdopodobnie żydowskich dzieci, które tak jak Ja zdołały się tu jakoś przedostać. Ale ja nie przyszedłem żebrać. Protestowałem przeciwko więzieniu, uciekając przechytrzyłem oprawców, okazałem się silniejszy od nich; wbrew nim, na przekór zarządzeniom zrobiłem to, co chciałem. Przeszedłem tu, żeby nabrać sił w parku nad Wisłą. Bo getto było światem z cementu i betonu, pozbawionym drzew, ponieważ my nie mieliśmy prawa do zieleni. Przechadzałem się więc po Ogrodzie Krasieńskich, a w dali za Świętojerską widziałem mur i niemieckich wartowników, dobrze było czuć swoją siłę, mięśnie, moc jasno, precyzyjnie formułować myśli! Miałem ochotę biec. Wydostałem się, ale wrócę tam, choć będę wychodzić, wracać, żyć.*

*Wszedłem na Długą. Była tam cukiernia i piekarnia Gogolewskiego, do której chodziłem dawniej z ojcem.*

*Poznałem ją o białej fasadzie. Nie zauważyłem żadnej kolejki.*

*Kupiłem chleb, który był dość drogi. Z rozkoszą wgryzłem się w bochenek. Potem kupiłem jeszcze kilka ciastek z serem i bajaderki, które nieraz przynosił nam ojciec. Czekałem na tramwaj*

*w pobliżu placu Teatralnego. Widziałem wznoszący się ponad mur dach wielkiej synagogi na Tłomackiej. Wracałem wolny, syty powietrza i pszennego chleba. Na ostatnim przystanku przed gettem na platformę drugiego wagonu wskoczył granatowy policjant. Stanął obok, lecz nie zwracał na mnie uwagi. Spojrzałem na niego przelotnie i nie odsunąłem się.*

*Miałem przy sobie jeszcze trochę pieniędzy. Policjant pociągnął ramię dzwonnka i tramwaj ruszył. To był hazard. Dotknąłem jego dłoni i bez słowa włożyłem w nią kilka banknotów. Zmiął je i, nie odwracając się, wsunął do kieszeni.*

*Przy bramie na Nalewkach „granatowy” dał znak i tramwaj, który najpierw zwolnił, teraz znów przyspieszył. Wygrałem.*

*Byłem z powrotem w getcie; wyskoczyłem na rogu Gęsiej, w chwili gdy zniknął już pierwszy wagon. Założyłem opaskę.*

*Otaczał mnie znów rozgadany tłum, mężczyźni i kobiety, niektórzy z obłędem w oczach, żebracy. To byli moi bliscy, moi bracia, może za starzy, za słabi, aby narażać życie, ale ja - dość młody i silny - mogłem dla nich ryzykować. Szedłem Gęsią, przyciskając do siebie bochenki chleba, z paczką*

*ciastek w rękę. Spoglądano na mnie.*

*-Ile?*

*Mężczyzna kładzie mi dłoń na ramieniu; starszy pan w eleganckim płaszczu i kapeluszu.*

*- Nie stójmy tu. Niech pan wejdzie.*

*Pociąga mnie do bramy. Mam się na baczności, ale spostrzegłem na prawo schody, którymi ewentualnie będę mógł uciec.*

*;*

*- Kupuję. Ile? .*

*- Sprzedam tylko chleb.*

*- Ile?*

*Wymieniam kwotę, która wydaje mi się ogromna.*

*- To są kilogramowe bochenki - wyjaśniam.*

*Mój klient, nie słuchając mnie, wyciąga już pieniądze z portfela. Z ulicy dobiega stłumiony dźwięk głosów i kroków szaroczarnego tłumu.*

*- Będę kupował codziennie. Jeżeli pan może. Oto mój adres -*

*oświadcza nieznajomy, podając mi banknoty i świstek*

*papieru, po czym odchodzi, ukrywając oba bochenki pod*

*płaszczem. Jest tak wysoki, że widzę wyraźnie jego kapelusz,*

*który wyrasta ponad tłum, aż w końcu zasłania go przejeżdżający tramwaj z niemieckim żołnierzem i granatowym poli-*

*cjantem na platformie. Wróciłem do bramy, aby w samotności*

*złożyć w całość fragmenty tego dnia, mojego wielkiego*



*dnia i wspaniałej przygody. Usiadłem na pierwszym stopniu schodów, którymi zamierzałem ewentualnie uciekać. Ale ten zamożny, stateczny, starszy pan interesował się tylko kupnem chleba. Spoglądam na swoją dłoń: jest pełna złotych, moich własnych. To rezultat hazardu: postawiłem na tramwaj, postawiłem na Niemca, na granatowego policjanta, zaryzykowałem życie i udało się: oto moja wygrana. Śmieję się. Jeszcze czuję w dłoni pulchne palce granatowego, przyjmującego przed chwilą pieniądze od zaszczutego żydowskiego chłopaka, który zdołał wydostać się z getta i dobrowolnie do niego wrócił. Zagrałem o życie, ale te złotówki stanowiły najmniej ważną część mojej zdobyczy; największe znaczenie miało dla mnie porozumiewawcze mrugnięcie niemieckiego żołnierza, najwspanialsze było poczucie wolności.*

*Dawniej ojciec podawał mi czasem dla zabawy swoje cygaro; zaciągałem się głęboko, spowijał mnie obłok dymu, ale tak kręciło mi się w głowie, że musiałem natychmiast usiąść i dywanie. Teraz też kręci mi się w głowie; radość, strach, ufność splotły się w jeden kłęb. Muszę spokojnie uporządkować swoje myśli.*

*Dzięki ryzyku, które podjąłem, przekonałem się, że można, chociaż raz, znaleźć człowieka w mundurze oprawcy i można kupić kogoś, kto nas nienawidzi. Zrozumiałem, że człowiek*

*jest jak ta nadwiślańska glina, z której nieraz lepiłem*

*różnokształtne bryły.*

*Długo siedziałem nieruchomo na schodach. Tłum na dworze*

*zrzedniał i poszarzał. Zbliżała się godzina policyjna. Nie*

*spieszyłem się jednak. Nie byłem jednym z tych*

*przechodniów, którzy starali się jak najprędzej dotrzeć do*

*swych domów. Wydostałem się za mur, zwyciężyłem*

*ciemieźców. Wszyscy ci mężczyźni i kobiety, moi rodacy z*

*białymi opaskami na rękach, jeśli się nie zbuntują, pozostaną*

*oznakowanymi zwierzętami, przeznaczonymi na śmierć. To*

*moi bracia, a przecież czułem, że jestem inny, miałem ochotę*

*zawołać do nich: „Róbcie tak jak ja! Wszystko jest możliwe!”*

*Ale czy byli zdolni iść za moim przykładem? Moją szansą była*

*młodość. Szedłem i snułem plany, obliczałem, ile bochenków*

*będę mógł kupić nazajutrz i po jakiej cenie je sprzedam,*

*organizowałem, kalkulowałam. Nie myślałem chaotycznie.*

*Nie wolno było zostawiać niczego na zrzęczenie losu,*

*należało pamiętać o złotówkach dla granatowego, znaleźć*

*sposób, by nie wpaść w łapy Niemców;*

*oni rzadko bywają tolerancyjni. Z każdym krokiem*

*precyzowałem swój plan: to była moja wolność, dowód, że*

*jestem silniejszy od nich, od strażników, katów, zabójców, że*

*będę żyć.*

*Jakaś żydowska rodzina rozsiadła się wśród walizek na rogu*

*Wołyńskiej i Zamenhofa. Może byli to Żydzi z Pragi, których przywieziono tu jakąś ciężarówką i którzy nie posiadali już nic. Mała dziewczynka z warkoczykami wpatrywała się przed siebie osłupiałym wzrokiem. Przeszedłem przez jezdnię i położyłem jej na kolanach dwa ciastka. To był, oczywiście, drobiazg, ale skoro postanowiłem żyć i być wolnym, trzeba choć trochę pomagać innym. Bo żyć tylko dla siebie nie warto.*

*Przed drzwiami czekał na mnie ojciec z jakimś nieznanym.*

*- Późno wracasz - powiedział. - Za późno.*

*Nie patrzył na mnie, jakby się bał usłyszeć prawdę.*

*- To jest pan doktor Celmajster, nasz sąsiad - ciągnął.*

*-Organizujemy Domowy Komitet Pomocy dla*

*Najbiedniejszych.*

*Słuchałem z roztargnieniem. Podobnie jak ja, ojciec chciał przeżyć, walczyć, pomagać słabszym. Czulem, że muszę mu wszystko opowiedzieć, nie mogło być między nami żadnych niejasności.*

*- Tato, byłem po tamtej stronie.*

*Patrzyli na mnie w milczeniu. Pokazałem im paczkę z ciastkami.*

*- Od Gogolewskiego na Długiej - powiedział doktor Celmajster.*

*Ojciec słuchał mnie ze ściągniętymi brwiami. Opowiedziałem*

*wszystko, o niemieckim żołnierzu, o granatowym policjancie,  
o chlebie. Milczał.*

*- Mówiłeś, że chcą nas zgłodzić, wydusić. - Wyczuwając jego  
gniew, podniosłem głos.*

*- I sądzisz, że ty sam, piętnastoletni smarkacz, w pojedynek...*

*Nigdy dotąd nie stawiałem mu czoła; ale też nigdy nie sprawił  
mi takiej przykrości.*

*- Nie pozwolę się zakatrupić, ojczy. Będę miał chleb. Chyba nie  
damy zamorzyć się głodem? Podszedłem do nich bliżej.*

*- Nie pozwolimy, by cały ten tłum zginął*

*- Możesz wpaść - szepnął doktor Celmajster.*

*- Muszę ryzykować.*

*Milczeli obaj. Ulica Miła opustoszała. Bez słowa poszliśmy na  
górze.*

*Trzeba mu zaufać - powiedział doktor, wchodząc do swojego  
mieszkania.*

*Gdy zostaliśmy sami na schodach, ojciec zaczął mówić. Stał o  
dwa stopnie niżej ode mnie, więc podnosił głowę, co  
uszcześliwiało i krępowało mnie jednocześnie. Słuchając go,  
miałem ochotę wziąć jego twarz w dłonie i szepnąć: „Możesz  
mi ufać, tato!” Zdawało mi się, że zdołam ich uratować, jego,  
naszych najbliższych, całe getto.*

*- Wiesz, że oni zabijają - mówił - że chcą wykończyć nas  
głodem, morderczą pracą. Proszę, zrozum to, Marcin!*

*Dodał jeszcze, że aby ich zwyciężyć, trzeba walczyć, nie ustępować, a w razie potrzeby oszukiwać. Słuchałem go uważnie: takie właśnie miałem zamiary.*

*- Ale aby przetrwać, tato, trzeba przede wszystkim jeść. To biorę na siebie. Roześmiał się.*

*- Nie brak ci tupetu - rzekł. Popchnął mnie lekko w górę i dodał:- Naprzód, przemytniku!*

*Ojciec znalazł właściwe określenie. Stałem się naprawdę przemytnikiem. Wskakiwanie i wyskakiwanie z tramwaju, chowanie opaski pod koszulę, wsuwanie jej z powrotem na rękaw, rozpoznawanie żandarmów, którzy dadzą się przekupić, wynajdywanie towaru i odsprzedawanie go, kalkulacja kosztów i zysku - to było teraz moje życie.*

*Wychodzę zaraz po godzinie policyjnej, gdy jest jeszcze ciemno. Czatuje na odpowiedni tramwaj: który granatowy ma dziś służbę? Czasem ryzykuję, niekiedy idę na pewniaka, ale zawsze gram. Kilka razy dziennie przedostaję się przez mur, kilka razy dziennie ryzykuję życie, ale jestem wolny. Z każdą przeprawą moje metody doskonalą się, świtają mi w głowie nowe pomysły. W śmiertelnym niebezpieczeństwie umysł pracuje szybko. Mam teraz nowe kontakty, stosunki, dostawców. Także fałszywe dokumenty, zaświadczenie, że mieszkam w „aryjskiej” Warszawie i jestem rodowitym Polakiem. Mimo zimna nie zapinam kołnierzyka koszuli, żeby*

*było widać cieniutki złoty łańcuszek i medalik z Matką Boską.*

*Wieczorem uczę się mszy po łacinie i najważniejszych  
pacierzy; moje życie może zależeć od tych kilkunastu słów,  
które sobie przepowiadam.*

*Zarabiam bardzo dużo, gdyż getto Jest wygłodzone i nie ma  
opału. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem temperatura spa-  
dła do minus 15 stopni. Widziałem na Karmelickiej grupki  
obdartych dzieci, które tuliły się do siebie, wyciągając ręce po  
wsparcie. Cała dzielnica pełna jest wygłodzonych sierot; cze-  
kają przed ośrodkami, gdzie wydaje się darmową zupę. Daję,  
ile mogę. Na rogu Milej czekała na mój powrót mała dziew-  
czynka o zsiniałych z zimna, chudych nóżkach. Gdy nadcho-  
dziłem, nie ruszała się, tylko patrzyła na mnie. Zjawiała się  
przez kilka wieczorów; potem znikła.*

*„Pijawki, które wysysają nam krew” - śpiewa się w getcie.*

*Powtarzam w duchu te słowa i zaciskam zęby; bo oni istotnie  
chcą nas wykończyć głodem, zimnem, pracą, okrucieństwem.*

*Wczoraj widziałem, jak przez bramę na Lesznie wracała gru-  
pa żydowskich robotników, zatrudnionych po aryjskiej  
stronie. Niemieccy strażnicy rzucili się na nich jak wilki, bili  
ich kolbami, obrzucali wyzwiskami, kazali tym  
zmordowanym, wychudłym ludziom klęczeć na bruku. Potem  
zrewidowali ich, wyrzucili na jezdnię kilkanaście  
znalezionych kromek chleba, trochę ziemniaków, torebeczkę*

*mąki. Kazali Im przerzucić to wszystko na drugą stronę muru. Jeżeli ktoś usiłował ugryźć chociaż kęs chleba, dostawał natychmiast kolbą po głowie.*

*Chcę naszej zagłady. Czasem wstyd mi, że jadam do syta, wstyd mi handlować, wstyd, gdy spoglądam na wychudzone jak szkielety dzieci, które czepiają się przechodniów, na żebraków, skazanych na śmierć, na tę uszminkowaną kobietę, gdy usiłuje uśmiechnąć się zalotnie, wyciągając rękę.*

*Czasem chciałbym także leżeć na trotuarze, zdychając z zimna i głodu.*

*Ale szybko otrząsani się z takiego nastroju. Chcą, żebyśmy zginęli wszyscy, ale ze mną i jeszcze z innymi to im się nie uda. Ojciec powiedział mi o sierocińcu doktora Korczaka, który ratuje od głodu setki dzieci. Gdy tylko mogę, zanoszę tam pieniądze i zboże. Moja matka organizuje z panią Celmajster rozdzielnictwo żywności. Daję; ale nie okłamuję się, to tylko kropla w morzu. Nasze getto to piekło nędzy, chory stwór, którego 500 000 ran wyje z głodu, zimna, rozpaczy. Jesteśmy jak oszalałe mrówki, staramy się przeżyć, jakoś uratować, a strażnicy niemieccy i polscy, żołnierze śmierci, przyglądają się, jak gnijemy i umieramy za murami, za którymi nas zamknęli. Gdy usiłujemy wymknąć się przez kraty więzienia, zabijają nas.*

*Parę dni temu, przechodząc przez Leszno, usłyszałem krzyki i*

*zobaczyłem człowieka pełzającego wśród ruin poczty.*

*Żołnierze kluli go bagnietami. Wyjaśniono mi, że spostrzegli go, gdy wychodził z piwnicy. Zapewne znalazł jakieś przejście pod murem i wydostał się na drugą stronę. Wracał z chlebem, a za chwilę miał umrzeć. Zabijają, biją wszystkich: kobiety przekradające się z kawałkiem chleba, dzieci, którym udało się wyżebrać parę groszy po aryjskiej stronie. Niekiedy żołnierze przymykają oczy, czasem rozdzielają odebrany łup, czasem usprawiedliwiają się spojrzeniem, nie rewidują, przepuszczają dzieci.*

*Ale to tylko wyjątki, rzadkie odruchy człowieczeństwa, które niczego nie zmieniają. Chcą naszej zagłady, a ja na swój sposób walczę, aby to uniemożliwić. I jeżeli getto jednak żyje dalej, to dlatego, że nie ja jeden przeprowiam się przez mur.*

*Nasza dzielnica roi się od przemytników. Polacy wchodzą do getta, sprzedają swój towar za dolary „twarde”, to znaczy złote, lub za „miękkie”, czyli papierowe. Na Koźlej można przejść na aryjską stronę przez strych jednej z kamienic. Nawet oprawcom nie jest łatwo upilnować 500 000 ludzi. Poza tym są to chciwi mordercy; pootwierali „szopy”, fabryki, gdzie każą nam pracować jak niewolnikom. Wyrabiamy mundury, czapki i pasy dla wielkiej armii naszych wrogów.*

*Tak, są chciwi. Ponieważ nie mogą wymordować wszystkich w jeden dzień, pozwalają niektórym z nas organizować życie*



*w getcie. Na Lesznie pod 13 Ganzweich i Sternfeld  
zmontowali autoryzowaną i kontrolowaną przez gestapo  
policję gospodarczą, instytucję zorganizowanego rabunku i  
przemytu, mafię. Ale tych „trzynastu”, jak ich nazywamy,  
pomaga nam także żyć; pamiętają o najbiedniejszych, grabią,  
ale też rozdają jałmużnę. Są także Kohn i Heller, dwaj kupcy,  
oficjalni i tolerowani przemysłowcy. Ich dwukonne wozy są  
naszymi tramwajami; śmierdzące, brudne, ale użyteczne  
posuwają się wolno między „rykszami”, rowerowymi  
taksówkami. W tych ostatnich rozpierają się elegancko  
ubrane tłuszciochy, których przewożą wynędzniali ludzie,  
torujący sobie drogę wśród smutnego, zgłodniałego tłumu.  
To sceny warte sfilmowania, toteż filmują nas często.; W  
getcie wszystko jest krańcowe, zarówno bogactwo, jak i  
nędza. Wiem, że są tu nocne lokale, przed drzwiami których  
padają z głodu dzieci. Korupcja ociera się o poświęcenie.  
Sprzedają szmuglowane towary po zawrotnych cenach,  
zajadam ciastka od Gogolewskiego i rozdają Jałmużnę. Czy to  
niemoralne? Żyję jak mogę w tym piekle, które nam  
stworzyli. Bronię się, wszyscy próbujemy się bronić.  
To prawda, że stałem się nieczuły, że mogę nie zatrzymując  
się przejść obok umierającego. Bo zrozumiałem, że aby go  
pomścić, muszę żyć - a żeby żyć, trzeba umieć nie zatrzymy-  
wać się, nauczyć się patrzeć. Jak on umiera. Znieczulica to*

*jedyna broń, jaką rozporządzam.*

*Co dzień idzie mi lepiej. Wskakuję z workiem na platformę tramwaju, a granatowy na służbie nie reaguje, czasem na rogu Gęsiej pojazd zwalnia specjalnie dla mnie. Biegnę do sklepów i mieszkań, gdzie już na mnie czekają. Kilka słów, parę ruchów, worek już pusty, zagarniam zarobione złotówki, znów pędzę na Nalewki, skąd ruszam w następny kurs, ścisnąc w rękę banknoty dla granatowego.*

*„Mues, mues to najlepsza rzecz na świecie” - pogwizduję naszą piosenkę. „Mues” to pieniądze. Kupuję oprawców. Ludzie, którym muszę tak wiele płacić, są nic niewarci, oszukują swoich, którzy powierzyli im zadanie do wykonania. Nigdy nie nadużyłem zaufania moich bliskich za parę wymiętoszonych banknotów. Wracam na Miłą podniecony, wesoly, zmęczony, przynoszę słodczy, czasem pomarańcze. Ojciec już nic nie mówi, ale czuję, że boi się o mnie, a jednocześnie jest dumny. Parę dni temu przeszmużlowałem dla niego trochę pieniędzy, które był mu winien ktoś po aryjskiej stronie. Ojciec podziękował, ale na pewno nie zdawał sobie sprawy, Jak mnie to uszczęśliwiło. Jestem mężczyzną, walczę, żyję. Kilka razy dziennie triumfuję nad okrutnymi prawami zaborców. Ale nie mogę już sam wszystkiemu podoleć. Zwróciłem się do Pawła, syna naszych sąsiadów:*

*- Zrozum, Paweł, żeby ich zwyciężyć, trzeba robić to, czego zakazują. - I wyjaśniam mu, co mianowicie robię.*

*Stoimy razem na podwórku. Paweł to typ żydowskiego intelektualisty: kędzierzawe włosy, okulary; należy do organizacji Hachomer Hatsair, której celem jest udoskonalanie człowieka. Potrząsa głową, waha się. Próbuję go uspokoić.*

*- Nie będziesz przechodzić przez mur, to nie dla ciebie. Masz zbyt wyraźny semicki wygląd.*

*Paweł śmieje się. Nie jest jeszcze przekonany.*

*- Sprzedawać! - mówi z lekką wzgardą.*

*- Żyć!*

*Jeszcze raz tłumaczę mu szczegółowo.*

*- No więc?*

*W końcu zgadza się. Jestem z siebie rad. Zaczynam znać się na ludziach, spotykam ich tyłu. Wiem, jak trzeba do nich mówić; ich wiek, nawet mundur nie robią już na mnie wrażenia. Wystarczy zorientować się, w którym miejscu nacisnąć, aby zrobili to, o co mi chodzi, pomyśleć szybciej od innych, zdecydować przed nimi, za nich.*

*Paweł i ja pracujemy teraz razem. Nie potrzebuję już wyskakiwać z tramwaju: wyrzucam napelniony worek, a on podaje mi drugi, bez towaru, ale z pieniędzmi. Znow jadę na aryjską stronę, kupuję nowy towar, a gdy wracam, Paweł*

*czeka już z pustym workiem i pieniędzmi. Wieczorem obliczamy zarobek. Dzielimy pieniądze na kupki; pierwsza jest zawsze przeznaczona na dobroczynność. Zadaniem Pawła jest zasilić najpilniej potrzebujących: sierociniec doktora Korczaka, żebraków lub organizowane w getcie punkty rozdawnictwa zupy. Każdy banknot jest moim zwycięstwem.*

*Paweł uważa, że ryzykuję za wiele, że wystarczyłyby dwie przepawy dziennie. Po co „obracać” tyle razy, dlaczego nie wybrać jednego, dwóch granatowych policjantów, wypróbowanych współników, „grajków”, i nie ograniczyć się do „gry” z nimi? Paweł nie rozumie pochłaniającej mnie namiętności i zapału.*

*Podczas wieczornych rozmów w jego pokoju stara się mnie przekonać. Palimy, słucham go nieuważnie, zmęczony, szczęśliwy, nie mogąc się już doczekać następnego ranka.*

*Ożywiam się, gdy wraca Pola, siostra Pawła, zaczynam rozprawiać, puszę się jak kogut, zaciągam się dymem, niczym jakaś ważna osobistość. Pola godzinami nie odzywała się ani słowem. Wreszcie któregoś wieczoru rzekła: - Dla Marcina to pasja. Zrozumiała mnie. Paweł wzruszył ramionami.*

*- W końcu to nie ja przepawiam się przez mur - powiedział.*

*- Chcesz przeżyć, a grasz za wysoko.*

*Banknoty leżą jeszcze na stole. Biorę część przeznaczoną na*

*dobroczynność.*

*- Jest ich więcej niż wczoraj, Paweł!*

*- A jeśli przegrasz, jutro nie będzie nici Zszedłem z Połą na podwórze. Otacza nas ciemność, jest bardzo zimno.*

*- Paweł boi się o ciebie. Czuje się winny, bo nie przeprawia się razem z tobą.*

*Słysząc strzały. Wracamy do domu; w ciemnościach*

*wchodzimy aż pod dach. Mój ojciec zaczął wraz ze mną*

*przygotowywać kryjówkę. „Nigdy nie wiadomo - mówił. -*

*Nawet tu, w getcie, nie dadzą nam spokoju". Długą chwilę*

*leżeliśmy z Połą obok siebie nieruchomo, bez słowa. Potem*

*zeszliśmy do mieszkania.*

*- Nie daj się złapać, Marcin!*

*Dałem się złapać, ale nie żołnierzom. Gdy jak zwykle*

*wyskoczyłem z tramwaju koło cmentarza, czułem się zupełnie*

*bezpieczny. Bez kłopotów przeszedłem przez bramę. Idąc*

*szybko dalej zastanawiałem się, Jaką cenę za zboże*

*zapropnuję mojemu nabywcy. Za późno usłyszałem, że ktoś*

*biegnie za inną. Było ich czworo, mieli paskudne gęby*

*uliczników, a jeden, z twarzą poznaczoną ospą, uśmiechał się*

*idiotycznie.*

*- Co za piękny kot- powiedział. - Miau... miau... Chwytają*

*mnie za ręce, wpychają na jakieś podwórze.*

*- Tłuściutki beduin; jeszcze niewiele wycierpiał!*

*Oddech mówiącego zionie wódką. „Kot”, „beduin”, znam te wyrażenia, oznaczają żydowskiego przemytnika, na którego chuligani czatują, aby go obrabować.*

*- Dawaj, Żydzie!*

*Otaczają mnie, popychają; usiłuję odskoczyć, ale przewracają mnie na ziemię, siadają na mnie i rewidują; znajdują pieniądze. Jeden z nich, mierzący chyba ze dwa metry, gwiżdże przez zęby.*

*- Wspaniały kot! - powiada.*

*Zdejmują mi buty, które jeden z nich przymierza. Biją mnie po twarzy, raz jeszcze rewidują i odchodzą.*

*- Do rychłego zobaczenia! - woła ten, od którego zalatuje wódką.*

*Pada deszcz. Obrabowany, bosy siedzę na pustym podwórku, płacząc ze wstydu i ze złości. Więc oprócz oprawców czyhają jeszcze i szakale. I z nimi właśnie poniosłem pierwszą porażkę. Moi klienci pożyczili mi trochę pieniędzy na powrót; musiałem przecież opłacić granatowego. Wróciłem do swego procederu, ale zachowywałem się ostrożniej, wyskakiwałem z tramwaju trochę dalej, żeby tylko nie wpaść w ich łapy. Lecz „szmalcownicy” dobrze mnie zapamiętali. Tuczyli się przecież naszą krzywdą. Pewnego razu, biegnąc bardzo szybko, zdołałem uciec, ale ryzykowałem aresztowanie. Była to nierówna gra, w której nie miałem szans. W ciągu kilku dni obrabowali*

*mnie jeszcze trzykrotnie. Nie mogłem ani krzyknąć, ani się bronić, aby nie mieć śladów uderzeń na twarzy: pobity człowiek wygląda podejrzanie. Schwyciwszy mnie, śmieli się z zadowoleniem:*

*- Znowu ty!*

*Byłem łatwym łupem; nawet już się nie szamotałem. Rewidowali mnie od stóp do głów, dawali parę szturchańców.*

*- Uparty beduin!*

*Zwróciłem uwagę na tego ze śladami ospy oraz na rudowłosego. Chciałem porozmawiać z nimi, ale nie słuchali mnie zajęci liczeniem pieniędzy, które klóćąc się dzielili między sobą.*

*- Niedługo znów przyjdź! - zapraszali.*

*Pewnego wieczoru odwróciłem rolę; śledziłem ich, idąc za nimi w bezpiecznej odległości. Szli kołysząc ramionami, popychając się, roztrącając przechodniów. Widziałem, jak pobiegli za jakimś młodym Żydem, pobili go i omdlałego zostawili w bramie. Ale nie miałem czasu zająć się nim. Wreszcie weszli do jakiejś knajpy na Długiej i zaczęli pić. Przyglądałem im się zafascynowany: śmieli się, pili. To przecież moje pieniądze leżały na ich stole, a ze szklanek sączyli życie moje i innych ludzi, którzy umierali z głodu o kilkaset metrów stąd, a których śmierć mógłbym za te pieniądze opóźnić o parę dni.*

*A te bydlaki piły. Nie mogłem oderwać się od tego miejsca, skąd widziałem, jak kupowali butelkę po butelce, ale*

*musiałem przecież zorganizować sobie powrót, zdobyć*

*pieniądze, znów ryzykować życie; opowiedzieć ojcu, Pawłowi,*

*Poli. Paweł powtarzał:*

*- Łajdaki, świnię, co za nikczemnicy!*

*Naturalnie myślałem to samo i od paru godzin powtarzałem*

*w duchu te słowa.*

*- Nie ma o czym mówić - rzuciłem. - Tacy już są. Zacząłem im*

*tłumaczyć, przekonując sam siebie, kim są ci ludzie i dlaczego*

*muszę się z nimi liczyć.*

*- To następny mur, przez który trzeba się przedrzeć. Ale ta*

*przeprawa jest z pewnością łatwiejsza.*

*Nazajutrz przez cały dzień chodziłem po getcie. Dawno już nie*

*włóczyłem się po przeludnionych ulicach. Dzieci rozgrzebują*

*śmieć, na rogu Nowolipek i Smoczej żebrze jakaś kobieta z*

*martwym niemowlęciem na ręku, pośrodku jezdni spostrze-*

*gam elegancko ubraną parę: bardzo przystojny mężczyzna*

*stoi ze skrzyżowanymi ramionami, uszminkowana kobieta*

*śpiewa. Tu sprzedaje się całe kosze książek, nieco dalej leży*

*na chodniku nieprzytomny człowiek; prawdopodobnie padł z*

*zimna i głodu. Śmierć jest wszędzie, pustoszy wszystko*

*dokoła. Na końcu ulicy Stawki buduje się baraki, przerabia*

*jezdnię i perony, z których ładuje się na ciężarówki ludzi*

*schwytych w łapankach; czasem żołnierze wpadają na*

*któraś ulicę i zgarniają ludzi bez żadnego powodu, nawet bez*



*pretekstu. Urządzają takie obławy, bo to ich bawi, bo są siłą i prawem. Moja matka boi się i prawie wcale nie wychodzi. O paręset metrów dalej inny świat - kabaret „Melody Pałace” na Rymarskiej zapowiada: „Diana Blumenfeld wykona piosenki z getta”.*

*Podchodzę do malej grupki ludzi przed drzwiami, błazen Rubinstein gestykuluje, wygina się, wołając:*

*- Jesteśmy wszyscy równi! Połóż się na boku, zostaw trochę miejsca dla sąsiada.*

*Bardzo go lubię. Widziałem, jak lekceważąc niebezpieczeństwo, podbiegał do żołnierzy, drwił z nich, ale jednocześnie rozśmieszał, grał o życie. On też walczył na swój sposób.*

*Zapomniałem o tych odrażających ulicach, o nędzy. Czuję się tu gorzej niż w tramwaju, gdy wtykam „grajkom” złotówki i na chwilę składam życie w ich ręce. Trzeba będzie znów stąd wyjść, skruszyć mur chciwych, prostackich*

*„szmalcowników”. Chcą pić, w porządku, dam im pieniądze na wódkę.*

*Nazajutrz rano wyjechałem z getta pierwszym tramwajem.*

*Padła gęsty śnieg i miasto za murem wydawało się puste, pograżone jeszcze we śnie. Miałem przy sobie bardzo mało pieniędzy i parę banknotów wsuniętych do butów, najgorszych, jakie posiadałem, z dziurawymi podeszwami, przez które przedostawała się wilgoć, ziębiąc mi stopy. Na Wroniej kupi-*

*łem dwie butelki wódki i poszedłem na swój punkt obserwacyjny naprzeciwko ich meliny na Długiej. Po ulicy hulał wiatr, podnosząc tumany sypkiego śniegu. Schroniłem się pod wąskim występem bramy, ale co chwila kłęby mokrych płatków waliły mi prosto w twarz. Przeklinałem tych łajdaków, plulem, marzyłem, że wrzucę granat do tej podlej knajpy, że oczyszczę Warszawę z grasujących tu szakali. W końcu uspokoiłem się. Nie miało sensu złorzeczyć, to był jeszcze jeden mur i nie rozwalę go przekleństwami; trzeba było czekać. Pierwszy zjawił się Rudy z podniesionym kołnierzem; wkrótce po nim do knajpy weszli dwaj inni, klepiąc się przyjaźnie po plecach. Nieco później, w towarzystwie otulonej w futro dziewczyny, przyszedł najstarszy, ten ze śladami ospy na twarzy. Czekałem, choć żarła mnie niecierpliwość; wiedziałem, że tak trzeba, przypomniałem sobie Lajtaka, który potrafił długie minuty wpatrywać się w kawałek mięsa, jaki mu przyniosłem, zanim w końcu rzucił się nań bezbłędnie obliczonym susem. Powinienem pozwolić im pić, zjawić się dopiero wtedy, gdy złagodnieją trochę pod wpływem alkoholu. Szczęście sprzyjało mi: w gęstym śniegu nie mogli polować na „beduinów”, kieszenie ich były na pewno puste, a pragnienie ogromne.*

*Pędem przebiegłem jezdnię i gwałtownie otworzyłem drzwi.*

*Buchnął zapach kapusty, dymu i fala wilgotnego ciepła, jak w*

*łażni. Ktoś krzyknął:*

*-Drzwi!*

*Zapomniałem je zamknąć. Byłem spocony. Siedzieli roz-  
waleni przy stole pod ścianą, naturalnie z flaszką wódki.*

*Wśród nich była dziewczyna, którą widziałem już na ulicy.*

*Siedziała sztywno, miała blond włosy, splecione w długi war-  
kocz. Spojrzawszy na nią, pomyślałem: „Uda mi się!” Nie za-  
uważyli mnie. Usiadłem przy końcu ich stołu i postawiłem  
przed sobą dwie butelki wódki z czerwonymi kapslami.*

*- Jestem Marcin- powiedziałem. - Czasem nazywają mnie  
Mietek.*

*Popatrzyli na mnie i na butelki. Dziewczyna obrzuciła ich  
pytającym spojrzeniem.*

*- To beduin - rzekł Rudy. ,*

*- Jestem Marcin.*

*Otworzyłem pierwszą butelkę, a oni podsunęli kieliszki.*

*Wtedy zacząłem:*

*- Dziś nie mam nic, nawet porządnych butów. Przyszedłem  
pomówić o interesach.*

*Ospowaty zachichotał cicho. Podał mi swój kieliszek.*

*- Cholernie uparty beduin. Dostaje po łbie i znów przychodzi;  
w interesach. Wszyscy beduini są tacy sami.*

*-A ty kto jesteś?*

*- Stefan, Stefan Dziobak. Dziobak, Ospowaty.*

*I śmiał się dalej. Kolejno przedstawili się wszyscy. Był tam Mietek Skower, inaczej Mietek Olbrzym: okrągła, dziecinna, niemal pozbawiona zarostu twarz, dwa metry wzrostu i małe, lśniące oczka zboczeńca. Ostatni, który mówił najmniej, nazywał się Mokotów, tak jak jedno z warszawskich więzień, a jasnowłosa dziewczyna, Maria, była jego siostrą. Mówilem, wyjaśniałem, a oni pili. Nie wspomniałem o getcie, o konających z głodu, bo i po co? Mówilem o wódce, o możliwości codziennych zarobków, o wyżerce i możliwości dużego zysku przy niewielkim ryzyku.*

*- Chcę, byśmy utworzyli spółkę. To nam wszystkim pozwoli dobrze zarabiać.*

*- Jesteś tylko Żydem - powiedział Dziobaty. - A Żyd to Żyd!*

*- A złotówki to złotówki. Jeżeli beduini są sprytniejsi od was...*

*- Maria powiedziała to szeptem, ale usłyszeli ją wszyscy.*

*- Wyjaśnij nam.*

*Mokotów mówił poważnie. Pił najmniej ze wszystkich.*

*Otworzyłem drugą butelkę; czułem. Jak wzbiera we mnie radość, radość z odniesionego zwycięstwa, wiedziałem, że skruszę ten drugi mur. Byłem niczym, żydowskim wyrostkiem w opałach, a ci ludzie, szakale, łotry ze środowiska przestępczego, siedzieli, słuchając moich słów. Może dlatego, że już nie miałem żalu za obrabowanie, a może czuli, że proponuję im zawiązanie współpracy lukratywnej i trwałej. Spytałem, czy*

*mogę im zaufać. Dziobaty znów się roześmiał i, wskazując*

*Mokotowa, rzekł:*

*- Nazywają go Mokotów Mogiła, rozumiesz, grób. A poza tym, kochany beduinku...*

*Wyjął sprężynowy nóż i położył go na stole.*

*- Czy myślisz, że gdybyśmy cię nie lubili choć troszeczkę, to nie obcielibyśmy ci języka? Albo twego ogonka?! Wszyscy wybuchnęli śmiechem.*

*- Ale on ma już obcięty ogonek - rzekł Mietek Olbrzym.*

*Walili pięściami w stół z uciechy, a ja śmiałem się razem z nimi. Tylko Maria siedziała nadal sztywno, nie biorąc udziału w szaleńczej wesołości, która nas nagle ogarnęła.*

*- Jest już Mietek Olbrzym - powiedział Dziobaty. - Ty będziesz Obcięty Mietek.*

*Znów wybuchnęliśmy śmiechem, a ja napiłem się razem z nimi. Czulem się dobrze; zdawałem sobie sprawę z tego, że muszę zaprzyjaźnić się z tymi prostytutkami i zostać ich szefem.*

*Przedstawiłem im swój plan: będą mnie chronić, a ja będę im za to codziennie, regularnie płacić. Ponieważ Polakom wolno przejeżdżać tramwajem przez getto, będą mnie asekurować, a ja zajmę się resztą. Będą stać wokoło mnie, gotowi w razie potrzeby użyć pięści, bo istniało więcej band polujących na beduinów. W zamian za to złotówki, wódka, wyżerka.*

*- Będzie coraz mniej beduinów przeprawiających się przez*

*mur, a ze mną, codziennie... Zamówiłem następną butelkę.*

*- Zostań, Jadzia! - Mietek Olbrzym chwycił kelnerkę za ramię. Była to wysoka blondynka o roześmianej, rumianej twarzy, apetyczna i świeża, jak soczysta pomarańcza.*

*- Jakaś ty piękna, Jadziu! - rzuciłem, prawdopodobnie pod wpływem wódki.*

*Roześmiała się, potrząsając głową.*

*- Jak ci się podoba ten Obcięty Mietek? - zapytał ją Dziobaty.*

*Śmiała się, zaglądając mi w oczy. Byłem szczęśliwy, miałem ochotę śmiać się, pierwszy raz w życiu wyobraziłem sobie, że tulę twarz do piersi kobiety. Mówiłem jej to wszystko oczami, patrząc na nią ze śmiechem.*

*- Kiedy zaczynamy? - zapytał Mokotów.*

*Mietek odepchnął Jadzię, a ja od razu wytrzeźwiałem: wygrałem! Mokotów Mogiła był ich szefem. Wyczułem to z ogólnego milczenia, gdy zabierał głos; Rudy na przemian drapał się po głowie lub czyścił sobie paznokcie; Mietek Olbrzym zamykał oczy, zdawał się nie słuchać, ale w istocie był czujny, spięty; na ustach Dziobatego pojawiał się ciągle niepokojący, zagadkowy uśmiech, który obserwowałem od początku naszej rozmowy. Dziwne osobniki, łotrzyki, ale w końcu, siedząc z nimi w tej knajpie, czułem się rozluźniony, i to nie tylko dlatego, że zdołałem ich namówić do współpracy ze mną, oni po prostu byli bez masek, nie nosili mundurów, nie*

*reprezentowali prawa ani sprawiedliwości. To były warszawskie szumowiny, ukradli mi pieniądze, czyhali na beduinów, ale przecież to nie oni zbudowali mur w getcie i na pewno nie krzyczeli Juden raus w kolejkach po chleb i zupę, którą Niemcy wydawali pod koniec 1939 r. Widziałem wtedy statecznych mieszczan w kapeluszach, którzy wychodzili z kolejki, aby denuncjować ludzi. Widziałem oficera, który zatłukł na śmierć mojego rudowłosego towarzysza; widziałem policjantów, stróżów prawa i sprawiedliwości, którzy bezkarnie bili kobiety i dzieci; a ja sam kilka razy dziennie wsuwałem pieniądze w łapę granatowego, groźnego funkcjonariusza, który sprzedawał się za złotówki. Oni - Rudy, Mietek Olbrzym, Dziobaty i Mokotów-Mogiła - to włóczędzy, ulicznicy, złodzieje, szakale; nie usiłowali uchodzić za nic innego, grali w otwarte karty. Lubili pić i objadać się; kradli. Wiadomo - kanalie.*

*- Jutro zaczynamy.*

*Trzeba było bezzwłocznie opanować sytuację, pokazać im natychmiast, że nasza współpraca im się opłaci. Choć nie bardzo jeszcze wiedziałem, jak to wszystko zorganizować, choć drżałem na myśl o porażce, nie mogłem się już wycofać. Umówiliśmy się na spotkanie koło cmentarza, tam gdzie schwytali mnie pierwszy raz. Mokotów napelnił dwa kieliszki. W butelce nie zostało już nic. Tręciliśmy się i jednym*

*haustem wypiliśmy do dna.*

*Mokotów wyszedł razem ze mną. Śnieg wciąż jeszcze padał, ale wiatr ustał. Gdy uszliśmy kilka kroków, powiedział:*

*- Możesz nam zaufać.*

*Odwrócił się i odszedł.*

*Wróciłem do getta; granatowy, łapówka, tramwaj zwalnia, wyskakuję, i znów tłum, żebrzące dzieci, na pół rozebrane zwłoki porzucone na trotuarze, przykryte papierem, na który teraz sypie śnieg. Codzienna rutyna ryzyka i piekła. Najbliższe godziny są dla mnie decydujące. Muszę się skoncentrować i osiągnąć sukces. Z wyrobnika staję się przedsiębiorcą, przechodzę z amatorstwa na zawodowstwo, zatrudniam teraz pracowników, a chcąc ich zatrzymać, muszę im płacić i w ten sposób rozszerzam swoją działalność handlową.*

*Maszyna zaczyna się kręcić, jeśli nie zwiększę swych obrotów, zginę. Zwróciłem się do Poli i Pawła; ich matka ma jeszcze trochę oszczędności; powiedziałem, że są mi niezbędne na jutro.*

*Potem poszedłem porozmawiać z ojcem. Wiedziałem, gdzie go szukać. Co dzień przyjmował Żydów, których Niemcy przysyłali nam z całej Europy, z Reichu, z Austrii. Zjeżdżali tu z walizami, pudłami, ze swą arogancją, poczuciem wyższości wykształconych Żydów z Zachodu i odkrywali nagle nasze więzienie, to polskie getto, gdzie ludzie umierali przez byle*



*nieostrożne słowo czy spojrzenie, gdzie zdychało się z głodu i zimna, gdzie szerzył się tyfus. Gdy wszedłem do ośrodka na Prostej pod czternastym, ojciec przyjmował właśnie wysiedlonych z Gdańska, a jeden z nich, wymachując elegancką laską z gałką, krzyczał, że jest katolikiem, że jego ojciec był już chrzczony, że nienawidzi Żydów i chciałby wiedzieć, czy jest tu gdzieś kościół. Miałem ochotę zdzielić go pięścią w twarz, ale ojciec odpowiedział spokojnie:*

*- Na Grzybowskiej znajdzie pan kościół dla nawróconych.*

*Spostrzegł mnie i zbliżył się z uśmiechem.*

*- Ojczy, chodzi o gruby interes.*

*Słuchał, kiwając głową. Czytałem dezaprobatę w jego oczach i skrzywieniu ust, ale nawet nie próbował mi się sprzeciwić i w końcu zapytał po prostu:*

*- Czego chcesz?*

*Chciałem, żeby skontaktował mnie z szefem tragarzy, stanowiących zamknięty cech, stowarzyszenie silnych, brutalnych mężczyzn, którzy kontrolowali transport w getcie i często trudnili się przemytem. Oni też wspomagali niekiedy biednych i wiedziałem, że ojciec miewał z nimi styczność.*

*- Marcinie, to szumowiny getta!*

*Wzruszyłem ramionami; obojętne, kim są, byli mi potrzebni, byli potrzebni nam wszystkim, mojemu ojcu, który rozdzielał zapomogi, dzieciom z sierocińca doktora Korczaka, malcom*

*żebrzącym na ulicy, modlącym się chasydom i inte-*

*lektualistom, wydającym tajne gazetki, które Paweł pokazy-*

*wał mi czasem i które Pola kolportowała. Wyszedłem z ojcem.*

*Zapadła już noc i było tak ciemno, że przechodnie wpadali nft*

*siebie na ulicy. Okupanci wprowadzili nakaz całkowitego za?*

*ciemnienia; przebąkiwano o wojnie z Rosją. ;,*

*- Wstąpię tutaj - powiedział ojciec. - Zaczekaj na mnie.*

*Staliśmy pod jedną z kamienic na końcu Koźlej.*

*- Polecę cię, ale nie żądaj niczego więcej. Potem odejdę.*

*Podziękowałem mu. To były moje sprawy, musiałem rozegrać*

*Je sam. Stałem na zimnym podwórku, po którym hula!*

*mroźny wiatr. Po chwili ojciec zawołał:*

*- Czekają na ciebie!*

*Poklepał mnie po plecach, jakby chciał powiedzieć: „Idź, sy-*

*nu, życzę ci powodzenia. Idź, skoro uważasz, że dobrze*

*robisz”.*

*Było ich czterech w prawie pustym mieszkaniu; mieli potężne,*

*bycze karki, szerokie bary, a jeden z nich długą bliznę na*

*policzku. Tego dnia było mi przeznaczone przebywać wśród*

*warszawskich szumowin zarówno aryjskich, jak i ży-*

*dowskich.*

*- No więc, smarkaczu, chcesz polować na naszym terytorium?*

*Nie odpowiedziałem na to. Oparłem się o ścianę i*

*wytłumaczyłem, o co mi chodzi. Tu też nie używałem*

*żadnych! wielkich słów; mówiłem o pieniądzach, o workach, które na-| leżało zaność do moich klientów w getcie. Nie potrzebują! o nic się troszczyć, tylko znaleźć się przy tramwaju, gdy zacznie zwalniać. Ja zrzucę worki, oni zaś chwycą je i uciekną z nimi jak najprędzej... To był ich fach.*

*Dopiero później dowiedziałem się, że nazywają się:*

*Trisk-Wózek, Ślepy Jankiel, Długi Kiwa i Chaim-Małpa. Tego wieczoru nie przedstawili mi się. Wysłuchali mnie, targowali się o ceny i w końcu porozumieli się wzrokiem.*

*- Jutro będziesz miał tragarzy - powiedział Ślepy Jankiel. - Ale to tylko na próbę, na jeden dzień. Potem zobaczymy.*

*Nie chciałem niczego więcej; trzeba było tylko puścić maszynę w ruch. Spotkałem się z Pawłem i Połą, którzy dali mi pieniądze. Wszystko było gotowe. Paweł miał czekać na Zamenhofa; tam, między Wołyńską i Muranowską, odbędzie się szybko wyładunek. Tragarze muszą jedynie zabrać worki, ja -skłonić motorniczego, aby zwolnił.*

*Wyciągnąłem się w ubraniu na łóżku. Czulem się zmordowany, mdliło mnie, ponieważ nie byłem przyzwyczajony do picia i palenia, a przede wszystkim dlatego, że poznałem ludzi, jakich kilka miesięcy temu nie potrafiłbym sobie nawet wyobrazić - Dziobatego, Ślepego Jankiela, Mokotowa-Mogilę; pertraktowałem i piłem z nimi. Marzyłem, że przytulam się do Jadzi, do jej piersi, rysujących się tak kusząco pod haftowaną*

*bluzką. Żyłem w dziwnych czasach, kiedy wszystko było możliwe. W ciągu godziny mogłeś zestarzeć się o dziesięć lat, a chwilę nieuwagi przyplacić życiem, zginąć pod buciorami jakiegoś esesmana, któremu przyszlaby ochota skopać cię na śmierć. Możliwe, niemożliwe - te słowa nie miały już sensu w Warszawie, gdzie panowało barbarzyństwo graniczące z obłędem. Musiałem zaufać ludziom, którzy zamiast nazwisk mieli więzienne przydomki, a nie dowierzać policjantom, reprezentującym prawo. Ja, syn inteligenckiej rodziny z Senatorskiej, zostałem przemytnikiem, współpracowałem z Rudym i Mietkiem-Olbrzymem, nie byłem już Marcinem, tylko Obciętym Mietkiem.*

*W umówionym miejscu stawili się wszyscy. Poznają ich z daleka: Mietek-Olbrzym i Mokotów-Mogiła siedzą przy bramie, Rudy stoi o parę metrów dalej, jeszcze dalej Dziobaty pali samotnie, ze swym nieodłącznym uśmiechem na ustach.*

*- Dla ciebie mur nie istnieje - mówi. - Kręcisz się po obu stronach.*

*W odpowiedzi kiwam tylko głową. Dziś rano muszę ich mocno wziąć w garść, skończyły się żarty i picie. Teraz pracujemy.*

*Stają wkoło mnie, słuchając, co do nich mówię: żandarmi niemieccy zmieniają się co dwie godziny, polscy policjanci co cztery, żydowscy - co siedem. Muszą zapamiętać granatowych, z którymi „gram”, czyli których przekupuję;*

*wprawdzie to moja funkcja, ale lepiej, żeby ich rozpoznawali.*

*Idziemy szybko pod niskim, ciężkim niebem, które wróży*

*śnieg. Dziobaty sapie, gdy przyspieszamy kroku.*

*- Przecież to nie wyścig, beduinie. Zamęczysz nas!*

*- Schudniesz. Będzie ci się lepiej piło.*

*Następnie wyjaśniam, że mam cztery worki, które pozostały,*

*gdyż opóźniłem akcję. Będziemy czekać na odpowiedni*

*tramwaj, a gdy tylko wsiądzie jeden z granatowych na moim*

*żołdzie, załadujemy towar.*

*- To twoje zadanie, Olbrzym. Jesteś najsilniejszy. Potem*

*ustawiacie się wokół worków, wykrzywiacie gęby w groźne*

*miny, istny mur koło worków.*

*O getcie mówię im krótko; zobaczą sami.*

*- Zrzucam worki na Zamenhofa - ciągnę dalej. - Nie wy-*

*siadamy z tramwaju. Jeżeli niemieccy żandarmi okażą się*

*nieprzekupni, udajemy, że się w ogóle nie znamy. Wy jeste-*

*ście dobrzy, młodymi Polakami, śmierć beduinom!*

*Śmieją się. Mam ich w ręku; wiem, czego chcę, i to jest moja*

*siła.*

*No i zaczęliśmy. Jedna przeprawa, dwie, wkrótce staje się to*

*rutyną. Rzykuje się życiem dziesięć razy dziennie, ale to już*

*rutyna. Niekiedy ładujemy na platformę dziesięć worków -*

*któż by uwierzył: tonę towaru! Moja gwardia ustawia się*

*wkoło, tworząc groźny mur ze swymi odrażającymi gębami*

*notorycznych łotrów. Pieniądze zwracają się, podwajają, potrajają, pomnażają czterokrotnie. Oplacam policjantów, tragarzy, konduktora, nawet Niemców, płacę Mokotowowi, Dziobatemu i Rudemu. Zawsze osobiście zrzucam worki na Zamenhofa. Widzę Pawła, który daje dyspozycje tragarzom. Któż pojmie radość i dumę, gdy chwytam worki zboża, unoszę je jednym mocnym podrzutem i przez szorstką jutę lub płótno czuję miłe ciepło ziarna, mąki lub cukru. W tych workach szmugluję życie dla moich bliźnich, dla getta. Podczas wyładunku, który trwa najwyżej parę minut, moi ludzie otaczają mnie, stojąc zwartym kręgiem, ramię przy ramieniu; to jest mój mur ochronny. Płacę im dobrze, obżerają się i piją jak nigdy dotąd, a poza tym zobaczyli getto. Nie robili żadnych uwag, ale kilkakrotnie widziałem, jak Mokotów dawał jałmużnę żebrakom, którzy podchodzili do tramwaju. Nigdy więcej nie mówili o Żydach ani beduinach.*

*Parę razy musieliśmy bić się z innymi bandami, które nas śledziły. Mietek-Olbrzym, powodując się nie tylko chęcią do trzymania umowy, rozdzielał ciosy, które mogłyby zwalić drzewo. Wydaje mi się, że oni też nienawidzą szakali.*

*Dziobaty chciał nawet zabijać; Mokotów i ja musieliśmy interweniować.*

*- Trzeba się z nimi ułożyć - powiedziałem do Mokotowa. -Bójki mogą ściągnąć na nas Niemców. Dziobaty wbił swój nóż w*

*stół.*

*- Zrozumieją - rzekł.*

*Wyjawilem mu swoje obawy oraz plan: musimy nawiązać stosunki z najlepszymi ludźmi z innych band, inaczej ktoś może wydać nas gestapo. Jeżeli odmówią, to wtedy, może... I wskazałem nóż. Mokotów ruszył na obchód warszawskich spelunek i wkrótce dokooptowaliśmy Zamka-Mądralę, olbrzymiego boksera o kwadratowych pięściach, a potem jego szwagra, nieocenionego Wacka-Wieśniaka. Wacek to autentyczny chłop, który pewnego dnia przyjechał do Zamka i stał się przestępcą, jakby nie zdając sobie z tego sprawy; możliwości zarobkowania w mieście ograniczały się dla niego do kradzieży pod wszelką postacią. Wacek to półglówek, ale dzięki niemu kupujemy zboże bezpośrednio na wsi. Czasem dwukonną rolwągą jeździmy po niego na Dworzec Wschodni, na Pragę. Przybywa ze swymi wiejskimi kompanami i w parę minut, nieraz w obecności żandarmów, ładujemy worki i zmykamy. Potem musiałem jeszcze przyjąć Ptaszka, łotryka o delikatnej, mizernej twarzy. Woląłem mieć go z sobą niż przeciw sobie, bo to urodzony szpicel. Patrzy na mnie ze słodyczą, mówi służalczym tonem, a wiem od Mietka-Olbrzyma, że powtarza przy każdej okazji:*

*- Nie potrzebujemy beduina. Możemy robić to samo bez tego Żydka.*

*Mokotów pobił go już kilkakrotnie, ale Ptaszek nawet się nie bronił, tłumacząc, że tylko żartował. Polecilem Rudemu, żeby go pilnował, choć często myślę o nożu Dziobatego. Wiem, że ci ludzie trzymają się mnie tylko dlatego, że im płacę, ponieważ mnie cenią, nie działają pod wpływem strachu. Istnieję tylko dlatego, że daję im grubo zarobić; wiedzą dobrze, że wystarczyłoby jedno słowo, by sprzątnęło mnie gestapo, niemiecki żandarm lub polska policja. Jeśli doszłoby do użycia przemocy, nie miałbym oczywiście żadnych szans wobec tych osiłków i lotrzyków, obeznanych z walką na pięści i noże. Muszę sprytnie panować nad tą bandą, a nęcąc zarobkami zyskiwać ich przyjaźń. Czasem na ich widok ogarnia mnie przerażenie. Zdarza się, że wypadam ze swej roli, gdy patrzę na nich przez chwilę „dawnymi” oczami i gdy widzę tę siedzącą ze mną przy stole zgraję. Odnoszę wrażenie, że to jakiś zły sen. Nie mogę patrzeć na Piłę; jest uosobieniem brzydoty: niskie czoło, bardzo blisko siebie osadzone oczy i zapadnięty podbródek; twarz typowego przestępcy. Siedział we wszystkich polskich więzieniach i z każdego uciekł. Wolę nie wiedzieć, w jaki sposób: nosi w bucie coś w rodzaju cieniutkiej, stalowej igły z drewnianą rękojeścią. Gdy Piła stoi na platformie tramwaju, polscy pasażerowie wchodzą do wnętrza wagonu, a jeśli obok niego stoją Mietek, Mokotów, Rudy, Dziobaty, Wacek i Zamek, nikt się nas nigdy nie czepia.*



*Jeżeli jakiś ciekawski ociąga się trochę, Mokotów lub*

*Mietek-Olbrzym zbliżają się i bez słowa popychają go lekko do środka.*

*Ja stoję spokojnie z Polakami i, udając, że czytam gazetę, obserwuję, co się dzieje na platformach. Czy granatowy jest przekupny? Czy wsiądą Niemcy? Stawką każdej mojej przeprawy jest moje życie, chociaż za każdym razem staram się o nowe atuty. Zewnętrznie nie różnię się teraz niczym od przeciętnego polskiego wyrostka, noszę biały kapelusik z podniesionym rondem, wysokie buty „saperki”, przez rozpięty kołnierzyk koszuli widać złoty łańcuszek i medalik z Matką Boską. Gdy z niewinną miną przeglądam gazetę, wyglądam jak naiwny żółtodziób, nieszkodliwy młody głupek. Dopiero za bramą, gdy getto ukazuje nam swe ropiejące rany, sprężam się, jestem gotów; za chwilę zakręt na rogu Nalewek i Gęsiej, następny przy skrzyżowaniu Gęsiej z Zamenhofa, i już prosta trasa, już szcudrze opłacony motorniczy zwalnia; odkładam gazetę, kątem oka dostrzegam Wołyńską: teraz! Jeśli przegram, zginę. Jednym susem rzucam się na platformę, Mietek-Olbrzym popycha ku mnie worek, podrywam go w mgnieniu oka i zrzucam tragarzowi, który już czeka, potem następny i jeszcze jeden. Te sekundy stanowią o życiu ludzkim. Nie zamieniamy z sobą ani słowa, przechodnie spoglądają ze zdumieniem. Paweł*

*podaje mi opróżnione z towaru worki, do których włożył  
pieniądze. Tragarze żywo poruszają się w tłumie. Na rykszy,  
którą prowadzi jakiś mężczyzna z ogoloną głową, widzę dwa  
pękate worki zboża. Wszystko to, cała pasjonująca operacja  
przerzutu, w której gram o życie, trwa kilkanaście sekund.*

*Już wchodzę z powrotem do środka tramwaju, narażając się  
na niespodziewanie zaostrzoną kontrolę, na denuncjację  
jakiegoś pasażera lub granatowego policjanta, który sprzeda  
mnie, jeśli sterroryzuje go Niemiec.*

*Puściłem w ruch ogromną maszynę. Paweł, Pola, mój ojciec,  
nawet Mokotów, a przede wszystkim matka, proszą, abym  
ograniczył działalność i ilość przepraw. Ich słowa spływają  
po mnie bez żadnego efektu. Przedostawanie się przez mur,  
lekceważenie zarządzeń okupanta, oszukanie go - to teraz  
treść mojego życia. Ryzykuję je codziennie, ale nie przekradać  
się więcej, nie podnosić tych worków zboża, które stanowią  
żywą krew getta, to by dla mnie oznaczało śmierć. Zaniechać  
walki, której taktykę sam obmyśliłem, to przestać istnieć.*

*Przeprawiam się więc nadal, nawet po dziesięć razy dziennie,  
złotówki mnożą mi się w rękach, rozdają je wokół,  
mój ojciec kupuje dewizy, które wymieniam po aryjskiej stro-  
nie, nasze zyski rosą, a ośrodek wysiedlonych i sierociniec  
doktora Korczaka otrzymują regularnie swoją część. W getcie  
czekają już na mój powrót. Błazen Rubinstein wita mnie*

*ucieszonymi grymasami, zbiegają się dzieci w łachmanach, w  
nędznych okryciach pospinanych agrafkami na gołym ciele.  
Dają i dają, ale to nic nie pomoże: jutro, za tydzień lub miesiąc  
nie będą już żyć. Widzę śmierć w ich oczach, a gdybym nawet  
uratował tych kilkoro, zostałoby mnóstwo innych, tłoczących  
się w punktach rozdawnictwa darmowej zupy, skulonych na  
trotuarach, zostałyby te dziesiątki tysięcy głodujących w  
getcie. Cóż więcej mogę zrobić? Gdy po powrocie z aryjskiej  
Warszawy idę ulicą Zamenhofa, a potem Miłą, mam ochotę  
wyć z wściekłości i rozpacz. Tyle nędzy, te dzieci, cała ta  
hańba, a ja miałbym zrezygnować? Gdybym mógł,  
pracowałbym również w nocy. Wycofując się teraz, popełnił-  
bym zbrodnię, to by była moja śmierć.  
Zrzucam worki coraz prędzej, moje ruchy są coraz spraw-  
niejsze. W tramwajach, niby to rozluźniony, zastanawiam  
się, jak udoskonalić swój system, organizację. Rzykuj,  
Marcinie! Przeprawiaj się, Obcięty Mietku! I jeszcze, i jeszcze!  
Wydaje mi się, że nikt nie jest dość szybki, że kilku tragarzy  
jest niezręcznych. Niekiedy upuszczają worek, który pęka;  
ziarno rozsypuje się, przechodnie co prędzej napętniają sobie  
kieszenie. Złorzeczę Pawłowi, Chaimowi-Małpie, Ślepemu  
Jankielowi, Triskowi i Długiemu Kiwie. Nie chodzi mi o  
stracony towar, parę złotych mniej czy więcej nie odgrywa  
roli; wiem, że ani jedno ziarnko nie ujdzie oczom dzieci i*

*żebraków, którzy, wbijając wzrok w ziemię, będą po sto razy wracać do tego cudownego miejsca, gdzie pękł worek. Jestem wściekły na tragarzy, którzy mogą wszystko popsuć, gdyż Niemcy zawsze są blisko.*

*Parę dni temu alarm podnieśli weseli urlopowicze z frontu, którzy między dwiema rundami po warszawskich burdelach przyszli zobaczyć, jak umieramy za murem. Jadąc w pierwszym wagonie zauważyli, jak zrzucam worki; rozległy się krzyki, padło kilka strzałów. Tragarze uciekli, zostawiając towar. Chciałem wyskoczyć, lecz zawahałem się: o sekundę za długo. Tramwaj zatrzymał się i już stało przede mną dwóch żołnierzy z rewolwerami w dłoniach. Chwycili mnie za ramiona, zaciągnęli na przednią platformę i tramwaj ruszył. Byliśmy niedaleko bramy przy ulicy Dzikiej. Motorniczy na naszym żołądź jechał wolno, jakby chciał umożliwić mi ucieczkę. Ale jak? Pilnowało mnie czterech drabów, którzy nie szczędzili ordynarnych wyzwisk. Nagle rozległy się krzyki i motorniczy zwolnił jeszcze bardziej. Zobaczyłem, że Mokotów bije się w wagonie z Mietkiem-Olbrzymem. Do bójki przyłączył się Dziobaty, Rudy oraz Pila i Wacek-Wieśniak, polscy pasażerowie cofali się w popłochu w stronę platformy, jakaś kobieta krzyczała przeraźliwie, motorniczy jeszcze trochę zwolnił, zdeorientowani Niemcy wrzasnęli raz i drugi, ale bójka trwała nadal. Ktoś stłukł szybę, czułem, że*

*żołnierze na chwilę spuścili mnie z oka. Tym razem to oni  
spóźnili się o sekundę, a ja wmieszałem się w tłum i pędziłem  
już ulicą Niską. Odczekałem parę godzin, odnalazłem Pawła,  
któremu udało się uratować kilka worków, a potem  
poszedłem na nasz punkt zborny na Długiej. Zostałem tam  
wszystkich przy butelce. Powitali mnie radosnymi  
okrzykami. Piliśmy palącą gardło warszawską wódkę;  
łączyły nas teraz tygodnie wspólnej pracy, różne incydenty,  
cała przeszłość, a dzisiaj uratowali mi życie.*

*Mokotów powiedział mi na osobności, że zwerbował dwóch  
nowych członków. Miałem do niego zaufanie. W dwa dni póź-  
niej poznałem Gutka i Brygity. Ze swą kształtną głową i krót-  
ko obciętymi, jasnymi włosami Gutek wyglądał jak  
prawdziwy volksdeutsch; na prawym rękawie nosił czerwoną  
opaskę ze swastyką, chociaż urodził się w Warszawie, a  
dorastał wśród żydowskich łobuziaków z okolicy Smoczej i  
znał jidysz. Był to ulicznik o wyglądzie poczciwego dziecka,  
piękny młody aryjczyk, który nienawidził Niemców. Był to  
jeden z genialnych pomysłów Mokotowa. Czarując swą  
hitlerowską fizjonomią i opaską okupanta, Gutek jeździł na  
przedniej platformie w roli przewodnika żołnierzy  
przebywających na urlopie. Złorzeczył tłumowi Żydów,  
wyśmiewał nabożnych, brodatych starców w myckach, a  
żołnierze cisnęli się wokół niego. Wymieniał nazwy ulic,*

*wskazywał kobiety, sypał plugawymi dowcipami, a podczas gdy rozbawieni żołnierze wychylali się, patrząc w jedną stronę, ja zrzucąłem na drugą worki z tylnej platformy. Gutek pozwalał się czasem zapraszać do naszej meliny na Długiej i, pijąc z nami, pluł nienawiścią i obrzydzeniem, a my pocieszaliśmy go.*

*Brygitki był drugim genialnym odkryciem Mokotowa. To wątle, drobne stworzonko o długich dłoniach z wysmukłymi palcami niemal ginęło przy Mietku-Olbrzymie i Pile. Zdołał jednak uciec z więzienia we Lwowie, którego nazwę przejął jako przyzwisko, a już po paru dniach odkryłem zasięg jego talentów i stosunków. Dzięki niemu posiadałem, za grube pieniądze, cały asortyment dokumentów i opasek. Aż do czasu przystąpienia do wojny Stanów Zjednoczonych miałem paszport amerykański, potem zaś paszporty rozmaitych republik Ameryki Południowej, a oprócz tego oczywiście papiery stwierdzające, że jestem Polakiem, aryjczykiem. Ale za największy triumf Brygitki uznałem dostarczenie mi opaski volksdeutscha oraz papierów na nazwisko Schmidt.*

*Musiałem być teraz symulantem i kuglarzem. Gdy z dala dostrzegłem polskich policjantów, rezygnowałem ze statusu ulicznika. Z płaskiego metalowego pudełeczka, ukrytego stale, w lewej kieszeni, wyciągałem opaskę ze swastyką, która jako; symbol wyższej rasy była zawsze czysta i*

*starannie uprasowana. Wsuwałem ją na lewe ramię i przeistaczałem się w Schmidta, aroganckiego, znudzonego, mówiącego po polsku i z niemieckim akcentem, a granatowi, którzy bez najmniejszych skrępołów maltretowali Żydów, ledwie wazyli się mnie legitymować. Kilkaset metrów dalej trzeba było znów przedzierzgnąć się w ulicznika; ściągnąwszy opaskę volksdeutscha, zaczynałem znów stąpać lekko i sprężysto, ulubionym krokiem warszawskich łobuziaków. Jeżeli potem wyskakiwałem z tramwaju w getcie, wkładałem żydowską opaskę, którą nosiłem zawsze w lewej kieszeni. Musiałem kilka razy dziennie zmieniać wyraz twarzy, nazwisko, osobowość i język, nieustannie mieć się na baczności, by, obserwując przeciwnika, nie wypaść z roli, aby wcześniej niż on zdecydować, co trzeba zrobić. Musiałem dwoić się i troić; mówiłem i słyszałem swoje słowa, wykonywałem jakieś ruchy, a myślami byłem już gdzie indziej i planowałem następne posunięcie. Byłem zmuszony patrzeć i nie widzieć, gdyż tylko wtedy miałem szansę przeżyć.*

*Czasem, mimo godziny policyjnej, zostawaliśmy wszyscy wieczorem w getcie. Zapraszałem całą bandę na kolację. Zamykaliśmy się w kawiarni „Sztuka” na Lesznie, gdzie wśród śpiewów i śmiechów objadaliśmy się, paliliśmy i piliśmy. Obsługiwały nas ładne dziewczyny. Bywali tu miejscowi kupcy,*

*ludzie Kohna i Kellera, informatorzy gestapo, kolaboranci i przemytnicy oraz książęta naszego więzienia: piekarze. Jedzenie i picie uważano za ogromny i skandaliczny zbytek, na który pozwalało sobie nasze uprzywilejowane grono. W tej właśnie „Sztuce” Niemcy zgarnęli mnie któregoś wieczoru w łapance. Spędzili nas razem z kobietami i religijnymi Żydami, którzy szli do rytualnej piątkowej kąpieli - mykwy. Kazali nam się wszystkim rozebrać, sfilmowali nas, a ich śmiechy rozbrzmiewały mi w czaszce jak strzały. Należało być czujnym nawet w czasie pijackiej libacji.*

*Musiałem pić z Dziobatym, trącać się z Ptaszkiem, który pragnął mojej śmierci. Gdy najedzeni wychodziliśmy ze „Sztuki”, od Gertnera lub też z „Negresco”, gdy Rudy i Mietek Olbrzym zataczali się na zaśnieżonym Lesznie, a ja myślałem o pomarańczach i bananach, którymi raczyliśmy się na deser, to aby móc dalej żyć, musiałem patrzeć i nie dostrzegać tych dzieci w łachmanach, tych wynurzających się z ciemności żebraków, którzy wyciągali do nas ręce z tragiczną prośbą: „Ulituj się, żydowskie serce!”*

*Trzeba było to widzieć, a zachowywać się, jakby się nie wiedziało o niczym; takie to było życie. Podwójne, czasem potrójne, i tylko dlatego, że co chwila ryzykowałem swoje własne, mogłem istnieć dalej. Aby nie przepaść w tej grze, której reguły zmieniały się bez żadnego uprzedzenia, należało nie*



*tylko być ciągle czujnym, zachowywać coraz większą ostrożność, posiadać fałszywe papiery, mobilizować przyjaciół i współników, ale również mieć szczęście, żeby trafić na życzliwego niemieckiego żołnierza, a podczas łapanki znaleźć uchylone drzwi. Ale szczęście było w tamtych czasach kapryśne; czasem ofiarowywało tylko ułamek sekundy, by człowiek zdecydował natychmiast lub zginął.*

*Często trzeba było je prowokować, mówić sobie, że się pojawi, lub pod ciosami oczekiwać na nie bez słowa. Niekiedy przychodziło, gdy wszystko zdawało się już stracone.*

*Wówczas musiałem znaleźć w sobie dość siły, by skoczyć i schwytać je, i nie mogłem sobie powiedzieć: „Jestem cały we krwi, muszę choć parę minut odetchnąć”, bo odwróciłoby się, umknęło i zostałaby tylko śmierć. Byłem młody, zwinny, często prowokowałem i wykorzystywałem swoje szczęście, ale czasami musiałem długo na nie czekać.*

*Owego ranka polscy policjanci złapali mnie na Marszałkowskiej. Szedłem sam i to był błąd; już kilkakrotnie miałem okazję przekonać się, że granatowi miękli na widok Mietka-Olbrzyna, Piły i innych moich kumpli. Zrewidowali mnie dokładnie, znaleźli opaski, a przede wszystkim „kluski”, czyli dolary, które miałem doręczyć ojcu. Wepchnęli mnie do samochodu i podzielili się łupem. Policja, tak samo jak szmal-cownicy, polowała na „beduinów”.*

*- Co my z tobą poczniemy, Żydziaku?*

*Jeden z nich kopnął mnie w żebra; bez powodu, po prostu dlatego, że niektórzy ludzie to bestie. Zaczęli się naradzać. Byłem dla nich niewygodny, ponieważ mnie okradli. Nie mogli się zdecydować, komu mnie przekazać: gestapo czy żydowskiej policji. Zagrałem na całego.*

*- Nie zabijajcie mnie! - wrzasnąłem. - Nie pożałujecie! r;, Samochód jechał dalej, kierowca spojrział pytająco na swych trzech towarzyszy. Myśleli o mojej opasce volksdeut-scha, o opasce żydowskiej i o dolarach. Byli dezorientowani. W końcu odstawili mnie na policję żydowską, na Gęsią; to rozwiązanie wydało mi się pomyślne; mogli mnie przecież zabić. Wygrałem pierwszą rundę, ale to jeszcze nie koniec. Żydowscy policjanci, nie szczędząc kuksańców, wepchnęli mnie do celi, w której tłoczyło się już ze trzydziestu nieboraków. Jakiś starzec modlił się w kącie. Ogarnęła mnie wściekłość: na razie więzili mnie Żydzi, ale miałem wszelkie szansę wyłączenia w gestapo, gdyż Niemcy regularnie zgarniali aresztantów z getta lub żądali dostarczenia kilkuset robotników, których prezes żydowskiej gminy, Czerniakow, posyłał im z więzień. Każdy w tej celi spodziewał się z dnia na dzień zesłania do jakiegoś obozu pracy, z którego nikt nie powracał.*

*Zacząłem wrzeszczeć, walić w drzwi, wszcząłem taki*

*harmider, że przybyli strażnicy z pałkami, a gdy zabrali się do mnie, skoczyłem jednemu na szyję i w czasie gdy mnie okładał, wyszeptałem kwotę w złotówkach, nazwisko Pawła i adres - Miła 23. Zrobiłem, co mogłem, aby na zewnątrz dowiedziano się, gdzie jestem. Strażnicy zostawili mnie pobitego na ziemi, a ci żydowscy policjanci walili mocno i sprawnie. Rzucałem wyzwania swemu szczęściu i czekałem. W trzy dni później wyszedłem z więzienia na Gęsiej. Kosztowało to ojca bardzo drogo. Wyostałem się z aresztu wcześniej rano, a tegoż dnia wieczorem Niemcy przyjechali po więźniów. Z daleka, z krańca Gęsiej, tłum przyglądał się, jak ładowano ich pod plandeki ciężarówek. Wiedziano, że więcej nie wrócą.*

*- Miałeś szczęście - powiedział Paweł.*

*Chciał, żebym trochę odczekał, ale wcale się nie spodziewał, że go usłucham. Fakt, że znalazłem się w żydowskim więzieniu, wzburzył mnie i jeszcze wzmógł chęć walki. Nie żywiłem urazy do policjantów, którzy - w wysokich butach i z przypiętymi odpowiednimi oznakami - małpowali aryjskich żandarmów. Może spodziewali się, że pomagając najeźdźcom złagodzą nasz los lub uratują siebie. Ale widziałem przecież, jak Niemcy ich bili, jak kazali im godzinami skakać na jednej nodze, robić „żabkę” na ulicy, zachowując przy tym odległość przynajmniej 50 metrów od „aryjskich” żandarmów. Byli tak samo jak my przeznaczeni na zagładę. Więc jakże się na nich*

*oburzać? Oczywiście, znajdowali się wśród nich szpicle i okrutnicy, ale większość to były ofiary, jak my wszyscy. Winę ponoszą ci, którzy kazali wznieść mur, którzy nas głodzili i zabijali, i z nimi tylko należało walczyć. Podjąłem więc znów swoją działalność.*

*Z początku wszystko szło dobrze. Kilka razy dziennie jeździłem do aryjskiej Warszawy, chodziłem po jej przestronnych, czystych ulicach, a potem wracałem do naszego getta, brudu, nędzy, tłumu łachmaniarzy, którzy krzyczeli: „Jeśli masz kupić szmatę, kup nową!”*

*Nieco później wynikły nowe trudności. Specjalny dekret pod groźbą tysiąca złotych grzywny zakazywał sprzedaży towarów Żydom; ceny rosły, sprzedających było coraz mniej, natomiast coraz więcej patroli. Kontrole stawały się częstsze, a ryzyko większe.*

*Gdy otoczony murem moich Mietków, Rudych i Pił rzucam tragarzom worki, nie mam czasu myśleć. Wieczorem, tuż przed godziną policyjną, wracam sam. Ze względu na matkę, a także na Polę, z którą spotykam się w kryjówce pod dachem, chcę nocować w getcie. Ten powrót z paczką ciastek od Gogolewskiego dla moich braci to mój triumf, moje wyzwanie, wyraz pogardy dla naszych katów, afirmacja mojej wolności. A czymże jest życie bez buntu, bez triumfu?*

*Stałem na platformie drugiego wagonu. Mam zawsze wra-*

*żenie, że się duszę między tymi szarymi murami, w smrodzie  
przepelnionych pojemników na śmieci i zalegającego ulice  
tłumu. Tramwaj zatrzymał się na chwilę przy bramie. Nie  
zwracam na to szczególnej uwagi, mam już rutynę. Jadący z  
nami polski policjant to „grajek”, któremu dawniej nawet się  
nie śniło, że może zarobić tyle, ile dostaje ode mnie. Chyba  
pod wpływem jakiegoś instynktu podniosłem głowę na czas:  
po długiej pochwie rewolweru, zwisającej mu niemal na  
środku brzucha, poznaję zmierzającego ku mnie żołnierza o  
pucółowatej twarzy, we wciśniętej na czoło furazerce. Całe  
getto drży przed nim, to Frankenstein. Któregoś dnia zjawił  
się na długiej, prostej ulicy Dzielnej; widziano, jak biegł z re-  
wolwerem w rękę; w pewnej chwili strzelił i zabił człowieka.  
Potem podobno wyjął swój notes, coś w nim zapisał, pobiegł  
dalej, znów wycelował i zabił następną ofiarę, po czym spo-  
kojnym krokiem wrócił objąć wartę przy wejściu do getta.  
Mówią, że wyznaczył sobie normę dzienną, pięć do sześciu  
ofiar, które podsuwa mu przypadek.*

*- Co ty tu robisz, Żydziaku?*

*Uśmiecham się i czuję ból, jakby otwierała się we mnie jakaś  
rana. Potrząsam głową, niby to nie rozumiem.*

*- Co tu robisz, Żydziaku?*

*Patrząc mu prosto w oczy, powtarzam sobie w duchu:*

*- Spokojnie, Marcinie, spokojnie!*

*Na platformie stał elegancko ubrany mężczyzna, na którego zwróciłem uwagę, gdyż nosił jasne rękawiczki, podobne do tych, które przed wojną wyrabiał mój ojciec.*

*- Przecież pan widzi, że to nie Żyd - powiedział z wyraźnym polskim akcentem.*

*Frankenstein nie spuszczał ze mnie oczu. Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się w stronę nieznanego, który rzekł:*

*- Wie pan, on bierze pana za Żyda.*

*Frankenstein stał nieruchomo, ja zaś odczuwałem jego obecność fizycznie, jakby mnie przygniatał swoją atletyczną postacią. Pokręciłem głową i zwracając się do mężczyzny na platformie, powiedziałem niedbale:*

*- To zabawne, dwa dni temu też wzięto mnie za Żyda.*

*Frankenstein cofnął się o krok.*

*- Masz szczęście - rzekł. - Potrzebuję Żyda.*

*Pociągnął ostro rzemień dzwonka i wyskoczył z tramwaju.*

*Czułem pot na całym ciele, a jednocześnie drżałem z zimna.*

*Nieznanomy coś do mnie mówił, tramwaj Jechał dalej; minęliśmy Gęsią, Zamenhofa, nie ważyłem się wyskoczyć; może to agent gestapo? Pojawienie się Frankensteina zbiło mnie z tropu. Wsiadłem po aryjskiej stronie i zczekałem na tramwaj jadący w odwrotnym kierunku, ale znalazłszy się na platformie zrozumiałem, że tego dnia prześladowuje mnie pech: grana-*

*towy policjant nie przyjął pieniędzy. Wszedłem więc do wago-  
nu, zdjawszy uprzednio płaszcz i kapelusz. Frankenstein mógł  
przecież wrócić, a gdyby mnie poznał, czekałaby mnie  
niechybna śmierć. Siedziałem przy wejściu, ściskając w ręku  
sprężynowy, wyostrzony jak brzytwa nóż, który dał mi Dzio-  
baty. Na Dzikiej, tuż koło Milej, motorniczy zahamował gwał-  
townie. Tam właśnie mieszkała Pola i pomyślałem, że za  
chwilę będę z nią razem, będę rozplatać jej długie, jasne wło-  
sy, poddawać twarz pieścizotom jej dłoni. Wsiadł, stanął koło  
mnie, wysoki, jasnowłosy. Jego but dotykał mojej nogi; wy-  
starczyłoby, żeby pochylił swą piękną, aryjską głowę. Ale pa-  
trzył przed siebie i przeszedł. Widziałem jego bary, szynel  
ściągnięty grubym pasem. Znalazłem się znów za murem get-  
ta, zmordowany, lecz żywy. Wałęsałem się po parku Krasień-  
skich, wyrzucałem sobie nieostrożność, zdawało mi się, że  
słyszę głos Pawła, słowa Poli, wiedziałem, że matka  
przeplacze całą noc, przekonana, że mnie schwytano, zabito.  
Kopałem nogą zmarzniętą ziemię, przeklinając te barba-  
rzyńskie czasy i niesprawiedliwy świat. Czy człowiek jest  
jeszcze człowiekiem? Ależ nie, zmieniliśmy się w wilki,  
szakale, złe psy. Frankenstein na pewno śpi teraz spokojnie,  
niewątpliwie znalazł brakującego mu do dziennego  
kontyngentu Żyda. Kiedy wreszcie będziemy mieć karabiny?  
Kiedy będziemy mogli wydać bojowy okrzyk, pomścić*

*naszych zmarłych?*

*Zastąłem Mokotowa w knajpie na Długiej. Na stole stała butelka wódki i napełniony kieliszek. Usiadłem ciężko obok niego, a gdy poczułem jego ramię tuż przy swoim, zrobiło mi się lepiej.*

*- Co się stało, Marcin? - zapytał po prostu. Przysunął mi swój kieliszek. Wychyliłem go jednym haustem. Potem siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie zapytał:*

*- Mieszkasz na Milej pod dwudziestym trzecim? Nie odpowiedziałem nic, ale jakże kojąca była ta chęć płaczu.*

*Wstał i położył mi rękę na ramieniu.*

*- Mam nadzieję, że twoja matka nie przestraszy się zbyt na widok mojej gęby.*

*Mokotów wyszedł. Potem zjawiała się Jadzia. Miała mały, ciepły pokoik z piecykiem, który opalała drzewem. Od czasu do czasu wstawiała, by podsycić ogień, i widziałem, jak jej biała skóra i ciężkie biodra rumieniały się od blasku płomieni. Potem znów kładła się obok mnie, tkliwa i gorąca, przytulała mnie do siebie, kołysała łagodnie, nucąc niskim głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem.*

*Nazajutrz zabrałem się znów do roboty, ale miałem złą passę.*

*Ptaszek nie zjawił się na umówione spotkanie; odleciał i przez cały tydzień Mietek Olbrzym i Mokotów szukali go daremnie po wszystkich warszawskich knajpach.*



*- Musimy się mieć na baczności - powtarzał Mokotów.*

*Ale to było po prostu jedno zagrożenie więcej; trzeba było ciągnąć sprawę. I ciągnęliśmy; oplacając granatowych przeważaliśmy się w obie strony, zrzucaliśmy worki.*

*Wieczorem na ulicy witał mnie błazen Rubinstein, trochę szczuplejszy, trochę bardziej zgorzkniały, i dzieci, rzadko kiedy te same, ale wszystkie jednakowe, walczące o jeszcze jeden tydzień czy miesiąc życia. Zima już się kończyła i każdy spodziewał się przetrwać do wiosny. Z nadejściem wiosny odpadnie jeden wróg: zimno. Była to jednak bardzo zła passa.*

*Gdy tylko tramwaj zatrzymał się na trzecim przystanku przed wjazdem do getta, na przednią platformę wskoczyli polscy policjanci. Błyskawicznie wyrzucili worki i wypchnęli na ulicę Mokotowa, Wacka-Wieśniaka, Piłę i mnie.*

*-To Ptaszek - wyszeptał Mokotów, padając na śliską jezdnię. Leżał na zamarzniętym śniegu i ryczał, jakby miał złamaną nogę. Nagle Piła wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki.*

*Mokotów zerwał się i pognął za nim. Granatowi biegali bezładnie tu i tam, zasypując Wacka i mnie przekleństwami i uderzeniami. Zaprowadzili nas do komisariatu. Tam nowy stek obelg i rewizja. Wszedł niemiecki żandarm.*

*- To ty jesteś Żydem?*

*Nie zaprzeczyłem; denuncjacja była zbyt oczywista.*

*- Tamtego możecie wypuścić.*

*Wacek-Wieśniak podniósł się bez słowa, jakby mnie nie widział nigdy przedtem, ale miałem do niego zaufanie, tak samo jak do Mokotowa, Mietka i Piły. Liczyłem na nich. Niemiecki policjant wyglądał jak człowiek, miał normalny nos, dwoje oczu i siwe włosy. Nie zadając żadnych pytań zaczął mnie od razu bić po twarzy. To był mój pierwszy, prawdziwy seans bicia; jeszcze nie tortury. Ogromnymi, gołymi łapskami wymierzał mi ciosy w usta, nos, oczy, potem prostował mnie uderzeniem w podbródek albo w krzyż i zginał w pół kopniakiem w brzuch. Upadłem na ziemię. W ten sposób za kilka skradzionych śledzi zginął mój rudowłosy kolega. Dokonałem więcej niż on i wiedziałem już, że można przechrzyć naszych katów, wygrywałem z nimi codziennie, chciałem jeszcze tylko zobaczyć, jak zdychają. Ale nie byłem przyzwyczajony do przesłuchań, przeceniałem znaczenie trafnych ciosów. Teraz już wiem, że trzeba czegoś więcej, żeby zabić człowieka. Pomyślałem: „Jeszcze nie widziałem, jak zdychają”, i zebrałem całą odwagę, starając się osłonić głowę przed ciosami.*

*- Do gestapo! - szczeknął Niemiec.*

*Wrzucili mnie do lodowatej celi. Skulony, próbowałem otworzyć spuchnięte powieki i czekałem. Mokotów, Mietek, Piła i Wacek nie zostawią mnie tutaj. Powtarzałem to sobie uporczywie i powoli odzyskiwałem siły. Pozwoliłem policjan-*

*tom zanieść się do ciężarówki. W chwili gdy mieli wrzucić mnie do wnętrza, spostrzegłem Marię. Przechodziła powoli w swoim grubym futrze; nie patrzyła na mnie, ale rzekła:*

*„Mokotów tu jest. To on mnie przysłał. Odwagi!”*

*Maria, z tym pięknym blond warkoczem. Zastawałem ją czasem, gdy odwiedzałem Mokotowa na Pradze. Siedziała w pokoju, jej oczy były nieruchome, lekko ironiczne. Modliła się, a brat podkpiwał z niej.*

*- Gdybyś nie był Żydem, moja siostra chętnie wyszłaby za ciebie za mąż.*

*Patrzyła mi prosto w oczy i nie protestowała.*

*- Ale Żydzi zabili Chrystusa. Czy wiesz o tym, Marcinie?*

*Ciężarówka ruszyła, ujechała kawalek. Nagle rozległ się ostry zgrzyt hamulców i przekleństwa. Mietek-Olbrzym wyciągnął mnie za nogi, zarzucił sobie na plecy jak worek i pędem puścił się naprzód. Wszyscy czekali na nas w knajpie na Długiej.*

*Ułożyli mnie w mrocznym pokoiku na łóżku Jadzi. Ledwie ich dostrzegalem, z trudem odmykając spuchnięte powieki.*

*- Oczywiście, to była robota Ptaszka - powiedział Dziobaty.*

*Potem wróciła Jadzia i zostawili nas samych. Nie mówiąc nic, obmyła mi twarz chusteczką, którą zwilżała w grzejącej się na piecyku wodzie. Potem zasnęłam.*

*Przyszedł Mokotów.*

*- Lepiej, żebyś wrócił do getta - powiedział. - Odwiozę cię dziś*

*wieczorem ostatnim tramwajem.*

*Nie było żadnych zahaczeń. Udawaliśmy podchmielonych.*

*Mokotów i Mietek-Olbrzym szturchali się, chichocząc. Na*

*Miiej odprowadzili mnie do drzwi mieszkania, gdyż nie byłem  
w stanie wejść sam na schody, ale nie zapukali.*

*- Teraz możemy cię zostawić - powiedział Mietek Olbrzym.*

*Wypijemy za twoje zdrowie.*

*Gdy odeszli, oparłem się o drzwi, stukając w nie lekko pięścią,  
gdyż z bólu nie mogłem podnieść ręki. Gdy otworzono mi,  
wpadłem prosto w objęcia matki.*

*- Mamo - szepnąłem - miałem dużo szczęścia.*

*Z tym szczęściem bywało różnie: czasem opuszczało mnie,  
niewierne, a potem, targane wyrzutami, wracało znowu. W  
głębi duszy ufałem, że mnie nie porzuci, ale moi rodzice nie  
podzielali tej wiary. Ojciec nie nocował nigdy na Miiej, zdając  
sobie sprawę, że w każdej chwili policja może przyjść  
aresztować mnie, pospolitego przemytnika, a przy tej okazji  
schwytano by również jego, działacza tajnej organizacji poli-  
tycznej. Paweł zawiadomił go o moim powrocie. Drzemałem;  
matka, we łzach, czuwała nade mną, oskarżając okrutnych  
ludzi, którzy zabijają dzieci. Jej głos kołysał mnie. Nie zdawa-  
ła sobie sprawy z grozy, w jakiej żyliśmy od miesięcy; trochę  
słodczy, które przynosiłem co wieczór, pomagały zamydlić  
jej oczy. Biedactwo, już niedługo zobaczy, że okupanci prze-*

*znaczyli nas wszystkich na śmierć. Usłyszałem urywany oddech ojca; był to u niego zawsze objaw gniewu. Skrzyżowawszy ramiona stał w nogach łóżka.*

*- Tym razem, Marcinie, to już koniec - rzekł. - Powziąłem decyzję i będę stanowczy.*

*Poprosił matkę, żeby wyszła z pokoju, zamknął drzwi i wciąż stojąc ze skrzyżowanymi ramionami zaczął mówić o gestapo, o torturach. Powiedział, że jestem dzieckiem, że walczyłem, wspomagałem getto i swoją rodzinę, ale teraz dość tego. W poczuciu swoich obowiązków wobec mnie prosi, abym przysiągł, że bez jego zezwolenia nie wyjdę więcej z getta. Z trudem otwierałem oczy, miałem obolały brzuch, ledwo mogłem się ruszyć, ale potrząsnąłem głową. Nie mogłem go usłuchać.*

*- Nie wyjdiesz stąd więcej, Marcinie.*

*Dobrze spałem tej nocy i rano czułem się znacznie lepiej.*

*Mogłem już odemknąć powieki i patrzeć. Młodość to najlepsze lekarstwo. Ale gdy chciałem otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte na klucz. Moja wściekłość rosła z każdą chwilą.*

*Mama wsunęła mi przez szparę pod drzwiami list od ojca, który oznajmiał, że czeka na moje przyrzeczenie, a dopóki go nie złożę, będę otrzymywał jedzenie przez okno. I*

*rzeczywiście w porze posiłku z mieszkania nad nami*

*spuszczono mi koszyk z pożywieniem. Matka, stojąc za*

*drzwiami, usiłowała mnie przekonać. Minął dzień, potem jeszcze dwa, a gdy odzyskałem pełnię sił, ogarnęła mnie istna furia. Mokotów pozdrawiał mnie z ulicy. Paweł zawiadamiał, że wszystko idzie jak najgorzej, banda rozpada się, Rudy pobił się z Dziobaty. Pila i Brygitki chcą handlować na własny rachunek. Wszyscy piją bez umiaru. Mietek-Olbrzym, Zamek-Mądrala i Wacek-Wieśniak zamierzają wrócić do dawnego procederu wymuszania okupu od przekradających się przez mur beduinów. Mokotów jeszcze czeka, ale uprzedził Pawła, że trzeba szybko podjąć jakąś decyzję. Usiłowałem pertraktować z ojcem, tłumacząc mu, że ośmieszam się wobec swojej bandy. Nie chciał tego słuchać; twierdził, że znalazłem się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a jego obowiązkiem jest bronić mnie przed samym sobą. Po raz pierwszy ł ostatni w życiu znieważylem go. Potem usiadłem w kącie pokoju. Nie miało sensu oponować, ojciec był przekonany, że ma rację, więc nie powinienem mieć do niego żalu. Miałem przed sobą nowy mur: skoro nie zgadzam się żyć w jego obrębie, muszę znaleźć sposób, żeby go przeskoczyć.*

*Zabrałem się do darcia firanek, prześcieradeł, powleczeń, splatałem, wiązałem, aż lina wydała mi się dość mocna. Przyniosłem do okna łóżko, stare, ciężkie, o rzeźbionych nogach. Przywiązałem do niego moją linę. Zwisła do drugiego piętra, my mieszkaliśmy na trzecim. Sprawdziłem węzły;*

*chciałem uciec, a nie zabić się. Opuściłem się ostrożnie, centymetr po centymetrze. Na drugim piętrze kopniakiem stłukłem szybę i wszedłem do pustego pokoju. Dopiąłem swego. Doktor Celmajster i jego żona właśnie kończyli śniadanie.*

*- Dzień dobry pani, dzień dobry, panie doktorze! Czy państwo mnie poznają?*

*Patrzyli na mnie z osłupieniem.*

*- Wychodzę.*

*I już byłem przy drzwiach, zbiegłem ze schodów, śmiejąc się na całe gardło i powtarzając: „Dzień dobry pani, dzień dobry, panie doktorze”. Wyzwolilem się definitywnie spod rodzicielskiego autorytetu. Teraz ojciec i ja byliśmy sobie równi, wbrew jego woli przyjąłem za siebie pełną odpowiedzialność.*

*W parę dni później, gdy wznowiłem wyprawy na aryjską stronę, spotkaliśmy się w kawiarni „Sztuka” jak dwaj serdeczni, szanujący się wzajemnie przyjaciele. Mokotów czekał na mnie na ulicy, a jego obecność dodawała mi pewności siebie.*

*- Nie przychodź tu często - przestrzegał ojciec. - Wiem z wiarygodnego źródła, że będzie coraz więcej łapanek.*

*Zamówiliśmy wódkę i trąciliśmy się kieliszkami.*

*- Mógłbyś mieszkać w domu - powiedział.*

*Pilem powoli.*

*- Oczywiście miałbyś zupełną swobodę działania.*

*Tego wieczoru wróciłem na Miłą. Uniosłem w górę róż-  
śmianą mamę, ucałowałem ją mocno, potem rozdzieliłem  
braci, którzy kłócili się o czekoladki, które im przyniosłem zza  
muru.*

*I znów dni mijały bez szczególnych incydentów; tylko to  
nieustanne ryzyko śmierci i jej widmo na ulicach. Na  
Bonifraterskiej przy granicy getta zobaczyłem raz  
dziesięcioletniego może chłopca, który biegł z workiem  
kartofli na plecach. Niemiecki żandarm schwycił go,  
potrząsnął nim brutalnie i uderzył bagnetem w głowę; być  
może chciał trafić w krtań, ale dziecko wyrwało się. Malec  
uciekł, trzymając ręce na zakrwawionym czole, ale wnet  
zachwiał się i padł na ziemię. Jakaś kobieta, która wyszła  
właśnie z bramy, rzuciła się do zbierania rozsypanych  
ziemniaków; żandarm strzelił i na jezdni zostały dwa trupy.  
Idę dalej. Co robić? Zacisnąć pięści. Coraz częściej spotyka się  
ludzi Pinkerta, ciągnących wózki załadowane zwłokami. Ale  
Pinkert otworzył też filię na Smoczej, gdzie przyjmuje  
zamówienia na luksusowe pogrzeby: za 12 złotych można  
sobie zafundować karawaniarzy w liberii. Umieramy jednak  
za szybko, by zdążyć załatwić pogrzeb, bo trwa na nas  
nagonka, jak na zwierzęta. W aryjskiej Warszawie usiłuję  
nieraz, mimo ryzyka, zdzierać wielkie plakaty z wizerunkiem*



*ohydneho Żyda, na którego brodzie widać wesz; na dole napis: „Żyd - wesz - tyfus”. Jesteśmy jak szczury nosicielami zarazków, trzeba więc poddać nas dezynfekcji - i te kąpiele w lodowatej lub wrzącej wodzie stanowią dodatkową męczarnię, oprócz łapanek i zimna.*

*Pracuję tak, jak się zabija: z nienawiścią. Zasklepiam się w niej, ale jakże nie nienawidzić tych Polaków spacerujących sobie spokojnie po Marszałkowskiej? Akceptuję tylko moich kompanów, tak jak ja wyjętych spod prawa. Gdy ojciec poprosił mnie, abym przekazał wiadomość profesorowi Hulewi-czowi, który mieszkał niedaleko Nowego Światu, niechętnie wzruszyłem ramionami.*

*- On nam pomaga - rzekł mój ojciec.*

*Nie odpowiedziałem. Kto nam pomaga? Cały świat pozwala nam ginąć. Wtedy ojciec powiedział mi o polskim ruchu oporu, mówił spokojnie o jego nurtach i odłamach. Udałem się więc pod wskazany adres. I znów miałem szczęście: profesora nie zastałem w domu i w ten sposób poznałem Zofię.*

*Od miesięcy przebywałem z Dziobatym, Mietkiem-Olbrzymem, Brygitki i Piłą, sypiałem z Jadzią. Moi kompani zmieniali kobiety częściej niż koszule, a Jadzia darzyła tkliwością każdego, kto jej za mocno nie bił. Z Połą łączyło mnie coś w rodzaju miłosnej przyjaźni. Gdy wieczorem spotykaliśmy się w kryjówce na poddaszu,*

*bliskość naszych ciał dawała nam uczucie bezpieczeństwa w martwej ciszy getta. Gdy pierwszy raz ujrzałem Zofię, nie miałem pojęcia, co to miłość. Spojrzałem na nią i już po chwili zacząłem się śmiać, po prostu jakby mięśnie mojej twarzy odprężyły się, jakbym po wielkim zmęczeniu zanurzył się w ciepłej kąpieli i przeciągał się wypoczęty, odświeżony, czysty. Ona też się roześmiała i zaczęliśmy rozmawiać, ale nie o getcie ani o wojnie, lecz o tym, co było przedtem, o brzegach Wisły, o cyrku, który przyjechał do Warszawy w 1938 roku i dawał przedstawienia na Rynku Starego Miasta.*

*- Na placu Teatralnym - utrzymywała Zofia. Pokazała mi swoje książki i fotografię ojca, oficera kawalerii, wziętego do niewoli rosyjskiej.*

*- Dostaliśmy od niego tylko jeden list - powtarzała.*

*Matka jej zmarła podczas oblężenia Warszawy i od tej pory Zofia mieszkała u swego wuja, profesora Hulewicza. Byłem w rozpacz, że nie mogę dla niej niczego zrobić, zwrócić jej ojca, niemal z zażenowaniem wyznałem, że wszyscy moi bliscy żyją. Ale wnet znów ogarniała nas wesołość. Opowiadałem jej o mojej matce, a ponieważ nie wiedziała, co to czulent, obiecałem, że matka zrobi specjalnie dla niej tę potrawę. Odchodząc wieczorem powiedziałem z całą naturalnością: „Do jutra”. Nie mogłbym określić, kiedy ją poznałem, zdawało mi się, że znaliśmy się zawsze, że stanowiła część mojego dzie-*

*ciństwa i uśmiechnięta żyła w naszym domu wraz z moimi braćmi pod opieką naszej matki.*

*W tych czasach, jeśli chciało się skorzystać z jakiejś okazji, nie wolno było zwlekać: nazajutrz wszystko mogło już być: inaczej. Toteż przez następne dziesięć dni widywaliśmy się z Zofią regularnie. Odwiedzałem ją przed powrotem do getta, rozmawialiśmy, śmialiśmy się. Potem przyszła ze mną do naszego piekła, ale czy dlatego, że świeciło pierwsze marcowe słońce, czy też dlatego, że widzieliśmy już tylko siebie, getto wydało mi się mniej ponure niż zwykle. Poszliśmy do teatru na Skapca. Zofia, śmiała się, ponieważ na afiszu świadomie pominięto Moliera, umieszczając tylko nazwisko żydowskiego tłumacza: nie mieliśmy prawa oglądać sztuk aryjskich autorów. Następnie spacerowaliśmy nad Wisłą, przeszliśmy przez most Poniatowskiego. Nadrobiłem te parę godzin, pracując potem w jeszcze szybszym tempie.*

*- Tak - mówiła - zdaje mi się, że zawsze cię znałam.*

*Opowiadała o swoim ojcu.*

*-Jest wierzącym katolikiem, ale bynajmniej nie antysemitą.*

*Zobaczysz.*

*W teatrze „Eldorado” w getcie musiałem jej wytłumaczyć, dlaczego wszyscy widzowie śmiali się, gdy na scenę wynurzała się zza kulis czyjaś głowa, pytając przejmującym szeptem:*

*„Czy można?” W getcie wszyscy znali to pytanie; rzucali je so-*

*bie przechodnie przed skręceniem w jakąś ulicę, bo właśnie mógł nią biec Frankenstein z rewolwerem w ręku albo Niemcy akurat tam łapali ludzi, by wysłać ich do obozu, do kąpieli, na śmierć.*

*- To wszystko się skończy - mówiła Zofia.*

*Ja też w to wierzyłem. Byłem tak szczęśliwy, gdy słuchałem jej, patrzyłem na nią, rozgarniałem jej blond włosy, które układały się w loczki na karku. Była pierwszą kobietą, którą brałem za rękę i szliśmy kołysząc ramionami, jakby wojna w ogóle nie istniała, a Warszawą nie rządzą ludobójcy. Snuiliśmy plany, jak gdyby przyszłość zależała od nas. Gdy widziałem się z nią po raz ostatni, powiedziała:*

*- Jeżeli dwie istoty mają wrażenie, że znały się zawsze, to może istnieje wielka miłość na całe życie.*

*Nie pocałowaliśmy się nigdy, nawet tego ostatniego wieczoru.*

*Ale czasy były bezlitosne, kto nie chwycił okazji, tracił ją na zawsze, nie było odroczenia.*

*W nocy 24 marca - są daty, które na zawsze zostają w pamięci*

*- ojciec zapukał do drzwi mojego pokoju. Często teraz dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że uznaje moją niezależność.*

*Stanąwszy na progu pokoju, powiedział:*

*- Bądź jutro szczególnie ostrożny. Są rozjuszeni. Dlaczego mnie obudził? Przecież zawsze byłem ostrożny.*

*- Igo Sym zginął z wyroku polskiego ruchu oporu. Niemcy aresztują aktorów i intelektualistów. To łapanka na wielką skalę.*

*Co mnie mógł obchodzić Igo Sym, jakiś aktor-kolaborant?*

*Jeśli chodzi o represje, znaleźliśmy przecież ich nikczemne metody. A może gdy będą zajęci po aryjskiej stronie, dadzą nam trochę wytchnienia?*

*- Zabrali profesora Hulewicza i jego siostrzenicę.*

*Zamknął drzwi. „To wszystko się skończy” - mówiła Zofia.*

*Znałem tylko miękkość jej dłoni, a rozmawialiśmy, jakbyśmy byli z sobą przez całe życie. Leżałem nieruchomo w ciemności.*

*Miałem wrażenie, że rozcięto mi całe ciało, od stóp do głowy.*

*Tej nocy nic się nie da zrobić. Może jutro. Na pewno*

*zamknięto ich na Pawiaku. „Zawsze wraca się na Pawiak” -*

*mówił Siwy, który wyskoczył z wagonu przede mną.*

*Przypomniało mi się zebranie na dziedzińcu, może i Himmler,*

*i ten profesor z czarną brodą: „Daję słowo honoru, że nie*

*jestem zdrajcą”. Zofia była teraz na Pawiaku, a ja leżałem tu*

*rozdarty, rozłupany na dwoje straszliwym bólem, o wiele*

*gorszym niż wszystkie cięgi, jakie kiedykolwiek dostałem.*

*Wszyscy byliśmy skazani na śmierć, taki los wyznaczyli nam*

*kaci, byłem tego teraz zupełnie pewien. Odebrali mi Zofię, ten*

*promień wolności w piekle, w którym żyłem, pozbawili mnie*

*jej śmiechu, słodyczy, wszystkiego, co mi ukazała:*

*prawdziwego życia z czasów, gdy ludzie nie będą już wilkami.*

*Leżałem tak aż do rana, niezdolny nawet wspominać tych wszystkich chwil, które spędziliśmy ze sobą. Byłem zupełnie pusty, czułem tylko bunt, zimny jak ostrze. Kiedy wydamy wojenny okrzyk, Zofio? Kiedy się zemścimy?*

*Szukaliśmy wszelkich sposobów, aby ich uratować. Próbowaliśmy działać przez policję polską, przez szumowiny warszawskie, znaleźliśmy nawet dojście do strażniczki więziennej. Nadaremnie; zakładników osadzono gdzieś w głębi więzienia i straciłem zupełnie nadzieję. Co wieczór robię obchód tej dzielnicy; jedynie po to, by podjąć jeszcze jedno ryzyko dla Zofii, idę Pawią, potem Smoczą, Dzielną, Karmelicką. Prostokąt zamyka się, jestem znów w punkcie wyjściowym. Nie pozostaje już nic innego, jak wrócić do domu albo pić. Więc piję w jednym z lokali getta. Przed „Casanovą” na Lesznie wita mnie ukłonem Rubinstein.*

*- Równość w getcie Jesteśmy wszyscy równi! I śmiejąc się piskliwie mówi dalej:*

*- Grubasy stopnieją i będziemy mieli tłuszcz. Krzywi się i odchodzi, wołając:*

*- Jesteśmy wszyscy równi!*

*Mokotów jest jedynym wtajemniczonym. Nie opuszcza mnie, pijemy razem, ale zawsze zachowuję umiar. Piję tak, jak się bierze lekarstwo, żeby pozbyć się uczucia tego wewnętrznego*

*zimna, od którego mam wrażenie, że drętwieją mi wszystkie stawy. Czekaliśmy wiele, wiele dni; wreszcie dowiedzieliśmy się, że rozstrzelano ich wszystkich. Spędzili na Pawiaku tylko kilka dni; niepotrzebnie kręciłem się koło więzienia.*

*Tego dnia, musiało to być gdzieś na początku kwietnia, bo przygrzewało słońce, poszedłem do małego getta przez most nad Chłodną, która pozostała aryjska. Chciałem jak najbardziej oddalić się od Miłej. Zbadałem starannie klatki schodowe i piwnice; zabrało mi to dużo czasu. Odwiedziłem wszystkie domy przy Siennej i Twardej, wbijając sobie w pamięć układ podwórek, piwnic i klatek schodowych, po czym zacząłem się na rogu Siennej i Twardej. Czasem pilnujący bramy getta niemieccy żandarmi zapuszczali się aż tutaj; z karabinami na ramionach, pewni siebie, niepokonani, jak wchodzący do klatki pogromcy dzikich zwierząt. Czekałem długo; wreszcie usłyszałem znajomy odgłos kroków na trotuarze i zobaczyłem cień żołnierza. Skoczyłem naprzód z nożem Dziobatego w rękę. Ale nie zauważyłem nadchodzącej kobiety, która mnie potrąciła; poślizgnąłem się, nóż wypadł mi z dłoni, a żołdak już wrzeszczał: Halt! Zacząłem uciekać ulicą Śliską. Słyszałem jego kroki, gdy mnie gonił. Strzelił. Ukryłem się na jednym z podwórek. Już był za mną.*

*- Wychodź, Żydzie! - krzyczał.*

*Wślizgnąłem się na schody; była tam wnęka, prowadząca do*

*piwnic. Czekalem. Znow ujrzalem jego cień. Nosil hełm, wydawal się olbrzymi, cały obleczony skórą i metalem. Ostrożnie posuwal się naprzód. Skoczyłem mu na szyję. Uczepiłem się go i ściskałem ze wszystkich sił, ale okręcił mną, nie zachwiał się nawet. Otrzymałem cios bagnetem w lewe oko; miałem wrażenie, że pękła mi głowa, ale ściskałem wciąż jego krtań, aż padł na kolana i upuścił karabin, by spróbować rozpleść moje palce. Dusilem go jeszcze, ale oślepiła mnie krew, moja własna krew. Puściłem się przez podwórko, potem ulicą Śliską do mostu. Opuchlizna zdawała się rozsadzać mi twarz i nie mogłem otworzyć oka. Ale szczęście sprzyjało mi, dotarłem do Milej. Ból dobrze mi robił, był tak dojmujący, że przestało mi dokuczać wrażenie wewnętrznego zimna i pierwszy raz, odkąd utraciłem Zofię, uczulem, że zaczyna tlić się we mnie życie, nieposkromione, nienawistne. Trzymałem tę szyję, brzeg jego hełmu rozorał mi nos, ale ściskałem, drapałem i ludobójca padł na kolana. Żyłem, chociaż zapłaciłem za to drogo: straciłem lewe oko.*

*Doktor Celmajster delikatnie zdezynfekował mi ranę, powiedział, że mam uszkodzony łuk brwiowy i źrenicę; może nie jest jeszcze całkowicie zniszczona, ale muszę stale pamiętać, że mam już tylko jedno oko.*

*- Strzeż go, Marcinie - powiedział. - To twój największy skarb.*

*Doktor przychodził codziennie i dzięki niemu szybko wy-*



*zdrowiałem. Podczas ostatniej wizyty udzielił mi jeszcze kilku  
przestróg. Mówił o moim prawym oku, ale wyczuwałem  
doskonale, że chciał powiedzieć coś więcej, porozmawiać o  
mnie. Stojąc już w drzwiach, rzucił niemal nieśmiało:  
- Uważaj na siebie, chłopcze. Strzeż się, aby wytrwać do  
końca. Chodzi o życie, a ty, a wy, młodzi, jesteście naszym  
życiem.*

*Gdy mogłem znów wyjść, przekonałem się, że doszliśmy do  
następnego kręgu piekła. Nie umierano już z zimna, ale  
śmiertelność była coraz większa. Co dzień zbiera się z ulicy  
zwłoki zmarłych z głodu, co dzień zabija się ludzi; niemieccy  
strażnicy pozbawieni są wszelkich hamulców, łapanka goni  
łapankę, ludzie boją się wychodzić z domów, gnieźdzą się po  
piwnicach. Na ulicach leżą odarte z odzieży trupy. Dzieci w  
łachmanach nazywają ulicę Karmelicką koło Pawiaka  
„Kuźnią Śmierci”. Straciłem już nadzieję, którą usiłował  
tchnąć we mnie ojciec, że wojna skończy się niedługo. Niemcy  
zwyciężają wszędzie, w Grecji, w Jugosławii, weszli już do  
Rosji. Podobno w Kijowie wymordowali wszystkich Żydów.  
Mówi się o Einsatzgruppen, komandach zagłady, których za-  
daniem jest zlikwidowanie Żydów. Ale w warszawskim getcie  
jest nas coraz więcej; zgłodnieli, odarci ze wszystkiego wysie-  
dleńcy coraz liczniej tłoczą się w naszych murach, opowiada-  
jąc o przeżytych okropnościach. Na ulicy spotykani często*

*obląkaną kobietę, wołającą swoje dziecko, które żandarm wyrzucił na tor z pociągu; kiedy matka chciała za nim wyskoczyć, satrapa zagroził, że zabije wszystkich Żydów w wagonie. Dojechała więc do Warszawy i teraz oszalała biega po ulicach getta. Stopniowo wszyscy tracimy zmysły. Na podwórzu jakiegoś domu przy Miłej widziałem, jak dzieci lechtały trupa, którego rzucono tam w oczekiwaniu na ludzi Pinkerta.*

*Przeprawiam się nadal przez mur, ale jest coraz trudniej, a ryzyko coraz większe. Ogłoszono oficjalnie karę śmierci za potajemne przebywanie poza obrębem getta. Nie przerywam jednak swojej działalności, jest przecież coraz więcej wynędzniałych dzieci. Niektórzy mali żebracy mają po trzy do czterech lat. Wspomagam „Centos”, który usiłuje je wyżywić, ale któż czyta plakaty tej instytucji: „Nasze dzieci muszą żyć”.*

*I kto może uratować te dzieci. Dokoła panoszy się egoizm, korupcja, obojętność, panuje przemoc. Czerwone afisze ogłaszają, że w więzieniu na Gęsiej, gdzie siedziałem parę dni, rozstrzelano ośmiu Żydów, którzy nie mogli zapłacić jakiegś grzywny. Jedną z kobiet zabito, bo nie miała 100 złotych. A o kilka przecznic dalej kawiarnia „Mery!” organizuje konkurs tańca z pierwszą nagrodą 2000 zł.*

*Nikczemnicy. Usiłują zabić w nas uczucie litości, chcą, byśmy upodobnili się do szerzonego przez nich wizerunku Żyda.*

*Potem nas zlikwidują.*

*Teraz, gdy spadł pierwszy śnieg, odcinają nam dopływ gazu i elektryczności, zmniejszają przydziały żywności. Na ulicach bose dzieci ledwie mają siłę wyciągać ręce po jałmużnę. Na rogu Leszna i Karmelickiej co dzień słyszę jęki i zawodzenia osieroconych bezdomnych malców, którzy gromadzą się, by umrzeć razem.*

*Jak mógłbym zrezygnować z przekradania się przez mur?*

*Tylko że teraz nie jeżdżą już tramwaje. Spodziewałem się takiego zarządzenia i jestem gotów.*

*Spotkałem się z wszystkimi kumplami w knajpie na Długiej.*

*Przyzwyczaili się do tramwaju, do łatwych zarobków, do całonocnych pijatyk i do prostytutek w getcie.*

*- Kaput, Obcięty Mięciu - powtarzał Dziobaty. - Zamelinuj się ze swymi dewizami gdzieś we Lwowie lub w Warszawie.*

*Musisz stąd prysnąć.*

*- Pomogę ci się ukryć - zapewnia Wacek-Wieśniak. -Znajdzie się jakieś gospodarstwo w pobliżu naszego, będziesz pracował, trochę płacił; masz taką poczciwą gębę wieśniaka.*

*- Przecież nie będą tu zawsze - mówił Zamek-Mądrala.*

*Przysłuchiwałem się ich słowom, wiedziałem, że mnie lubią.*

*- Zaczniemy od Koźlej - rzekłem.*

*- Uparty beduin - mruknął Dziobaty. Mokotów roześmiał się wesoło.*

*-Ty płacisz, ty ryzykujesz, ty decydujesz - zawyrokował*

*Dziobaty.*

*Jeden z domów na Koźlej wychodził na aryjską ulicę Fre-ta.*

*Niemcy zabezpieczyli wszystkie wyjścia, okna i okienka*

*piwnic metalową siatką. Ale w oczka siatek wepchnęliśmy*

*setki powsuwanych jeden w drugi lejków o szyjkach grubości*

*gwoździa. Wystarczyło porządnie pchnąć, a lejki wciskały się*

*mocniej w siatkę i lało się przez nie mleko lub sypało zboże,*

*na które oczekiwali już na Koźlej tragarze Trisk-Fura i*

*Chaim-Małpa. Przyjeżdżaliśmy ciężarówką pod mur getta*

*wieczorem, po godzinie policyjnej, wybierałem miejsce jak*

*najodleglejsze od bramy przy placu Parysowskim, granatowi*

*byli dobrze opłaceni. Za murem, w getcie czekał Paweł.*

*Przerzucaliśmy drabiny i w gęstych zimowych ciemnościach,*

*w najgłębszym milczeniu spuszczaaliśmy worki. Siedziałem na*

*murze, na desce, która chroniła mnie od powtykanych w*

*beton odłamków szkła. Zawsze dozorowałem przerzuty*

*osobiście: to był mój towar i moje getto. Czasem zjawiał się*

*patrol niemieckich żandarmów, rozlegały się wrzaski,*

*strzały, odskakiwałem, słyszałem krzyki rannych, widziałem*

*żółte błyski karabinowych serii, ale myślałem przede*

*wszystkim o towarze, który należało uratować. Towar był*

*cenny jak ludzkie życie, był życiem. Pewnej nocy musiałem*

*zejść do ścieku w okolicy placu Parysowskiego i ukrywać się*

*tam przez cały dzień, ale uratowałem dwa worki zboża. Gdy brudny i cuchnący przy-taszczyłem je do naszej meliny na Długiej, popijający tam właśnie moi kumple popatrzeli na mnie ze zdumieniem.*

*- Cholerny kot, ten Mietek - powiedział Brygitki. - Nie da się zakatrupić.*

*I to była prawda, nie chciałem dać się zakatrupić. Paweł, Trisk-Furman, Chaim-Małpa i Ślepy Jankiel operowali po stronie getta. Co ciekawe, między Warszawą aryjską i gettem istniało jeszcze połączenie telefoniczne. To była nasza broń, Pawła i moja. Rozmawialiśmy krótko:*

*- Która „meta” gra?*

*„Metą” nazywaliśmy odcinek muru, do którego należało się skierować, gdzie przez godzinę czy dwie straż pełnili przekupieni granatowi. Paweł opłacił ich już uprzednio, podobnie jak bandy ulicznych, którzy kontrolowali cały mur, pełniąc wobec szmuglerów funkcje tajnych celników; wyznaczono takse od worka i nie było mowy o żadnych kantach. Przy mnie czuwali zawsze Pila oraz Mietek-Olbrzym i oni też nigdy mnie nie oszukiwali.*

*Nasza ciężarówka stała w pogotowiu w jakiejś szopie, czasem na drugim końcu Warszawy, w pobliżu Dworca Wschodniego. Dzwonił Paweł. Pytałem: „Która meta gra?”, jednocześnie dając sygnał, żeby zapuścić motor.*

*I już bieglem, mocnym pchnięciem otwierałem drzwi szopy, wspinałem się na samą górę załadowanej ciężarówki, gdzie siedzieli już Mietek i Mokotów. Nie zapalając świateł, jechaliśmy wyznaczoną uprzednio trasą bez żadnych przeszkód, gdyż mieliśmy rozstawione na drodze czujki, „świece”, które zawiadaniały nas, czy następny odcinek drogi jest przejezdny. Pęd powietrza przecinał nam oddech, zmarzniętymi palcami musieliśmy trzymać się worków, które przesuwały się z jednej strony na drugą. Akcja była zaplanowana precyzyjnie, niczym szturm; gdybyśmy przyjechali za późno, „meta nie grałaby”, wartę pełniliby inni granatowi, którzy nie wahaliby się nas zastrzelić. Dowodziłem w milczeniu, gestami, i czasem w ciągu kilku minut przerzucaliśmy przez mur dziesiątki worków cenniejszych niż sztaby złota.*

*Potem wzmocniono strażę; patrole żandarmów na motocyklach pojawiały się niespodziewanie wśród warkotu motorów, i nasz towar był „spalony”, stracony. Wściekałem się i piłem na umór. W końcu zmieniłem taktykę.*

*Porozumiawszy się z ludźmi Pinkerta zacząłem napelniać żywnością trumny, szmuglowałem mąkę w wozach załadowanych zwłokami, do których Niemcy nie zbliżali się w obawie przed tyfusem. Wiedząc jednak, że wykorzystujemy naszych zmarłych, by ratować żywych, zamurowali cmentarz. Wtedy wpadłem na jeszcze inny pomysł; zacząłem*

*szmuglować towar w samochodach, które wywoziły śmieci i czasem przejeżdżały przez bramy getta.*

*To była gra na śmierć i życie. Metodycznie zaciskali nam pętlę na szyi, coraz trudniej było złapać oddech. Dostarczałem trochę życiodajnego powietrza, ale trudności ciągle się piętrzyły. Musiałem w końcu zacząć działać z otwartą przyłbicą.*

*Pola uważała to za samobójstwo. Z rozpaczą chwyciła mnie za rękę. Paweł, przygnębiony, palił w milczeniu.*

*- Niektórzy tak robią - rzekłem.*

*- Ale po kolei wyłapują prawie wszystkich. Czyż nie mamy „prawie wszyscy” zginąć? Podniosłem się z miejsca. To nie był czas na dysputy.*

*- Więc jak, Paweł, zgadzasz się czy nie?*

*- Możesz na mnie liczyć - powiedział.*

*Wypadłem na schody. Nareszcie zacznę znów działać, i to na wielką skalę. Zainwestowałem w tę operację prawie cały mój kapitał: opłaciłem policjantów żydowskich i granatowych oraz „trzynastu z Leszna”, którzy twierdzili, że z moich funduszków dają łapówki niemieckim żandarmom, opłaciłem ludzi Konna i Hellera, oficjalnych dostawców towarów do getta, oczywiście ze swej strony opłacających się również Niemcom, zapłaciłem za wóz i dwa piękne konie, za fałszywe dokumenty, za pozwolenie wwozu w „Transferstelle”*

*(instytucji udzielającej tego rodzaju uprawnień). Jak wszystkie dobre pomysły mój plan był prosty: nie będziemy szmuglować przez jakiś fragment muru, „metę”, ale wjedziemy przez bramę. I wjechaliśmy. Siedziałem wysoko na załadowanym wozie, pokazałem fałszywe dokumenty granatowemu, który udawał, że je sprawdza; „grał” z nami, „grała” cała brama. Wjechałem tak kilka razy. W getcie Paweł wskazywał mi trasę; miałem dwie godziny czasu, niekiedy mniej; wpadałem na jakieś podwórko, ze wszystkich kątów, z piwnic, z klatek schodowych wychodziły dziesiątki tragarzy i w parę sekund fura była rozładowana. Zdarzyło się, że zostawialiśmy jednego konia, zaprzęgając tylko drugiego na drogę powrotną. Pewnego dnia wjechałem w dwa wozy i cztery konie, a opuściłem getto w dwa konie zaprzężone do dwóch furmanek. Gdy czasem wjeżdżałem przez Dziką na końcu ulicy Stawki, tragarze oczekiwali mnie na małych uliczkach, Wołyńskiej czy Kupieckiej, a jadąc z powrotem ku bramie na Okopowej spotykałem ich zgiętych wpół, z wysiłkiem ciągnących lub popychających ryksze załadowane moim towarem.*

*Przewoziłem tony zboża, cukru, a gdy za bramą wjeżdżałem w tłum i siedząc wysoko na załadowanej furmance spoglądałem na długą ulicę Gęsią, na kolumny przygarbionych przechodniów, czułem się ich panem, jakimś dobrym duchem,*



*niosącym swemu ludowi zbawienie i nadzieję.*

*Nigdy dotąd nie podejmowałem takiego ryzyka, działałem przecież otwarcie. Każdy przejazd przez bramę graniczył z cudem. A szczęście bywa zdradzieckie.*

*Zatrzymałem się przed bramą na Dzikiej. Zamek-Mądrala powoził. Siedząc wysoko na workach zboża, widziałem wśród tłumu Pawła. Był zapewne, jak zwykle, trochę niespokojny.*

*Ale Dzika „grała”. Pogoda była zmienna, słońce to ukazywało się na niebie, to znów chowało za chmurami. Zsuwając się ostrożnie po workach na ziemię czułem miły zapach ziarna.*

*Czekał mnie jeszcze jeden transport, również zboże, które Mokotów załadował już na pewno na drugą furmankę w szopie na Pradze. Podąłem granatowemu dokumenty, według*

*których byłem młodym Polakiem, zamieszkałym przy ul. Powązkowskiej. Ledwie rzucił na nie okiem. Niemiecki strażnik pozostał w swojej budce. On też był na naszym żołdzie.*

*Wspinałem się właśnie na wóz, gdy usłyszałem, jak nadjeżdżają, sunąc wzdłuż muru.*

*- Ty nic nie wiesz! - rzuciłem Zamkowi-Mądrali na wszelki wypadek.*

*Zahamowali przed bramą, zeskoczyli z motocykli; jeden wycelował w naszą stronę automatyczny pistolet, drugi skierował się do budki wartownika. Wszyscy zaczęli krzyczeć,*

*polski i niemiecki łapownik najgłośniej, aby się uratować.*

*Dwaj żandarmi w długich skórzanych płaszczach ryknęli na nas, każąc nam zejść, pokazać dokumenty i podnieść ręce. I zaraz zaczęli bić mnie po głowie i plecach. Wyciągnąłem ku nim dokumenty, wołając:*

*- Ale dlaczego? Nie wiem, dlaczego!*

*Zamek milczał.*

*Jeden z motocyklistów odjechał, drugi pilnował nas, nie szcedząc nam razów. Daleko, na końcu ulicy, widziałem Pawła. Był na pewno w rozpacz; musiał mieć do mnie żal, że sprowokowałem los, szczęście dotąd nam sprzyjało.*

*Motocyklista wrócił, a zaraz za nim samochód. Chodziło im głównie o mnie, na Zamka-Mądralę prawie nie zwracali uwagi. Niewątpliwie znów denuncjacja. Pobici, skopani, wepchnięci na tylne siedzenie samochodu przejechaliśmy przez bramę na Dzikiej, skręciliśmy w Zamenhofa, potem na Dzielną. „Zawsze wraca się na Pawiak” - mówił Siwy; i wróciłem na Pawiak. Zrewidowali mnie, miałem przy sobie za dużo złotych, żeby udawać niewiniątko. Dostałem jeszcze kilka kulaków i wrzucili mnie do jednoosobowej celi.*

*Definitywnie rozstałem się z Zamkiem. Usiadłem w najciemniejszym kącie. „Zachować siły, oszczędzać się, nie wpadać w panikę!” - powtarzałem sobie, żeby się uspokoić, ale chwilami ogarniała mnie rozpacz, myślałem o matce, o*

*Zofii, a także o Staśku Borowskim.*

*Minęło jeszcze kilka godzin, potem krzyki na korytarzu, otwierają się drzwi, ciężarówka, inni więźniowie, milczący, z pospuszczanymi głowami. Odjeżdżamy. Rozpoznaję ulicę, bramę przy Nalewkach, potem aryjska Warszawa, spokojni, swobodni przechodnie, dalej drzewa ozdobione nieśmiałą, bladą wiosenną zielenią: jesteśmy w alei Szucha, gestapo. Byłem tu już kiedyś dawno temu, jeszcze jako dziecko, gdy dopiero zaczynałem odkrywać świat, jaki oni dla nas zmontowali. Miałem wtedy szczęście, uciekłem. Teraz stałem z podniesionymi rękami pod ścianą celi w suterenie. Potem znów uderzenia kolbą karabinu, schody i pełen słońca biurowy pokój, a w nim starannie uczesany mężczyzna, który milczał przez chwilę.*

*- Opowiadaj! - mówi wreszcie.*

*Przy oknie stoi tłumacz.*

*Zacząłem mówić: jestem Polakiem, spotkałem kogoś na ulicy, chciałem zarobić trochę pieniędzy, nic więcej nie wiem.*

*Ponownie wymieniam swoje przybrane nazwisko.*

*Mężczyzna nawet na mnie nie patrzy.*

*- Opowiadaj! - powtarza.*

*Zaczynam znów mówić, proszę, aby zadawał mi pytania;*

*będę odpowiadał, jestem niewinny. Nie czekając, aż tłumacz skończy, Niemiec wstaje powoli, bierze długą giętką bambu-*

*sową łaskę i zaczyna mnie bić. Słyszę świst uderzeń, które przecinają powietrze i moją skórę. Jak tu nie krzyczeć?*

*- Opowiadaj!*

*Usiadłem znów za biurkiem. Chwytając z trudem oddech zaczynam po raz trzeci. Wtedy zerwał się z pąsową twarzą i pchnął mnie na ścianę, przytykając mi do pleców lufę pistoletu.*

*- Opowiadaj! - ryknął. - Liczę do dziesięciu.*

*Dlaczego mam umierać? Palą mnie policzki, wydaje mi się, że język tak mi spuchł, że się duszę. Zofia też nie żyje, moja matka nie poczęstuje jej czulentem, który przyrządza tak znakomicie. Żegnajcie wszyscy, dla których walczę, nie usłyszycie mego bojowego okrzyku. Żegnajcie!*

*Otworzyły się drzwi i ktoś wszedł.*

*- Już ja go nauczę - powiedział mój oprawca po niemiecku.*

*Wtedy zaświtała mi nadzieja.*

*- Teraz już tylko do pięciu - rzekł.*

*- Nic nie wiem! Przysięgam.*

*Policzył do pięciu i w uszach wybuchnął mi huk strzału, oddanego tuż koło mnie przez drugiego oprawcę. Żyłem jednak. Po prostu metoda zastraszania.*

*- Zostawiam cię do jutra.*

*Wyciągnął mnie na środek pokoju i wymierzył mi w pod-brzusze kopniaka, od którego zgiąłem się wpół.*

*- Chcę mieć nazwiska członków bandy i żołnierzy, którzy ci pomagali - powiedział. - Jutro.*

*Nie miałem pojęcia, ile wiedział. Zdawał się nie podejrzewać, że jestem Żydem. Znalazłem się znów w celi na Pawiaku. Na ziemi koło mnie leżał w błocie człowiek, cały posiniaczony, z obłędem w oczach; śmiertelnie skatowany konał, nawet już nie jęcząc. Jutro moja kolej. Ale przez cztery dni jakby o mnie zapomnieli. Drugiego dnia zaryzykowałem, wymieniłem sumę polskiemu strażnikowi, który nalewał zupę. Podniósł głowę, kwota była bardzo duża. Popatrzył na mnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.*

*- Trzeba tylko zawiadomić mojego przyjaciela, gdzie jestem. On zapłaci.*

*Zawahał się. Powtórzyłem sumę.*

*- Kto? - zapytał krótko.*

*Dałem mu adres naszej szopy na Pradze, gdzie byłem pewien, że oczekuje mnie Mokotów. Strażnik odszedł. Zaryzykowałem, teraz trzeba było czekać. Czwartego dnia zjawił się uprzejmy, uśmiechnięty. Zrozumiałem, że Mokotów zapłacił, i to grubo.*

*- Mogiła i Olbrzym zajmą się rym - powiedział.*

*A więc Mokotów i Mietek. Miałem do nich pełne zaufanie. To mi dodało sił. Ale czwartego wieczora przyjechało po mnie gestapo. Samochodem, a nie ciężarówką, przewieźli mnie do*

*innego biura, gdzie w jasno oświetlonym pokoju oczekiwał  
mnie inny oprawca, wysoki, elegancko ubrany, łysy, o purpu-  
rowej twarzy.*

*- Nie powiedziałaś, że jesteś Żydem.*

*Może w izbie chorych na Pawiaku, gdzie opatrzone mnie  
trochę, zauważyli, że jestem obrzezany.*

*- Żydzi zawsze sypią - powiedział.*

*Był tak pewien, że znam niemiecki, że nawet nie wezwał  
tłumaczy. Odpowiedziałem po polsku, że jestem niewinny i że  
mówię tylko po polsku. Twarz pociemniała mu jeszcze ze  
wściekłości, przyskoczył do mnie z rykiem, szczerząc polatane  
złotem zęby.*

*- Dość tego, Żydziaku!*

*Byłem pewien, że niczego nie powiem; mógł mnie zabić, ale  
nie złamie mojego milczenia. Wiedziałem, że to będzie moje  
zwycięstwo, a jego wściekłe wrzaski są tylko objawem nie-  
mocy. Wiedziałem, że Jest nikczemny, bezsilny, godzien po-  
gardy, że należy do świata dzikich bestii, które zabija się,  
gdyż są szkodliwe, a ja, a my, ich ofiary, wbrew wszystkiemu,  
co robimy i co oni z nas zrobili, mimo egoizmu, do którego  
nas zmuszają, mimo tchórzostwa i służalczości niektórych  
spośród nas, jesteśmy ludźmi, zachowaliśmy człowieczeń-  
stwo. Wiedziałem, że nawet zabijając nas nie odniosą pełnego  
zwycięstwa. Żałowałem tylko, że nie będę mógł uczestniczyć*

*w nagonce, gdy zostaną wreszcie pokonani.*

*Zaczęło się. Stanęli wkoło i rzucali mnie jeden do drugiego jak piłkę, którą chce się przedziurawić. Potem położyli mnie na stole i dwóch biło mnie kolejno trzcina i pałką. Następnie chłostali mnie skórzanymi rzemieniami. Kopali mnie w genitalia i nazajutrz oddawałem mocz z krwią. Trwało tak przez kilka dni; wrzucali mnie do ciężarówki, wciągali za włosy do celi, aby rano lub w nocy zacząć wszystko od nowa. Podczas każdego przejazdu spodziewałem się, że Mokotów-Mogiła lub Mietek-Olbrzym zaatakują ciężarówkę. Ale nic się nie działo. I to poczucie osamotnienia bolało najwięcej. Potem ułożyli mi dłonie na stole, przytykali zapalone papierosy do nasady kciuków, a następnie pędzlowali rany kwasem. Zawiesili mnie za ręce i nogi jak zwierzę na wystawie rzeźnika. Byli przecież rzeźnikami. Zrozumiałem, że jeśli pójdzie tak dalej, mogę załamać się i zacząć mówić, więc muszę zdecydować się na śmierć. Myślałem o samobójstwie, ale miałem siedemnaście lat, pasję życia i nieprzepartą ochotę znieważać ich, spróbować raz jeszcze sprowokować szczęście.*

*Gdy odcięli mnie i spadłem na ziemię, a spocony oprawca z purpurową twarzą podszedł bliżej, powiedziałem po niemiecku:*

*- Będę mówić.*

*Zaczął klepać się po udach, popieścił mi twarz batem i rzekł z*

*uśmiechem:*

*- No widzisz, Żydzie!*

*Tak jak się spodziewałem, zawołał żołnierzy.*

*- Nasz Żydek zdecydował się mówić.*

*Wypiął się dumnie, żołnierze śmiali się. Wstałem. Bolały mnie żebra. Palce miałem przeżarte kwasem.*

*- On nie umie zmusić Żydka do mówienia! - krzyknąłem.*

*Zbliżył się z uniesioną wysoko pałką. Zebrałem wszystkie siły i plunąłem mu w twarz.*

*- Nie potrafi zmusić Żyda do mówienia. I zabije mnie, bo nie umie tego zrobić. Zabije mnie i będę milczał. Nie potrafił!*

*Zabije mnie! - wrzeszczałem wniebogłosy.*

*Potem zamknąłem oczy. Nikt się nie odezwał. Aż nagle usłyszałem jego wściekły ryk:*

*- Będziesz mówił, Żydzie! Będziesz mówił! - darł się przeraźliwym głosem, podskakując jak kangur po pokoju.*

*Kazał żołnierzom wyjść. Usłyszałem ich szepty, potem zapadła cisza. Znow zostałem z nim sam.*

*- Będziesz mówił, Żydziaku! Czulem jego twarz tuż przy swojej.*

*- Zabijesz mnie, a niczego się nie dowiesz.*

*I znow splunąłem. Wyprostował się, pobladł, schwycił rewolwer. Zawahał się, i szczęście, które sprowokowałem, też zawahało się, czy do mnie wrócić. Potem wyszedł. Odstawio-*



*no mnie na Pawiak. Minęły dwa dni. Moje rany gniły, czułem, że zbliża się śmierć. Ledwie mogłem się ruszać. Trzeciego dnia drzwi celi otworzyły się i mój oprawca stanął nade mną.*

*- Jesteś odważny, Żydzie. I sprytny. Proponuję ci interes.*

*Wysłuchałem go. To było proste: życie w zamian za ujawnienie mojej organizacji. Życie za wydanie Polaków i Niemców, którzy z nami „grali”. Nie miałem dość sił, by się na niego rzucić, ale ta niemoc pomogła mi opanować nienawiść, powziąć plan działania.*

*- Skoro chcesz, żebyś żył, każ mnie przede wszystkim wyleczyć.*

*Mówiłem mu „ty” i już dla samej tej satysfakcji warto było żyć.*

*- I dasz mi aryjskie papiery.*

*Dyskutowałem, jakby szło o dobiecie targu, ponieważ chciałem, by uwierzył, że ta transakcja mnie interesuje. Jego oczy zabijały mnie, ale słowa były słodkie jak miód.*

*- Zgoda, Żydzie. Wyleczymy cię. I będziesz miał jedwabne życie jako młody aryjczyk.*

*Zapewne śmiał się w kulak, myśląc o kuli, jaką mnie poczęstuje. Wysuwałem nowe obiekcje; odmówiłem udzielenia informacji bezzwłocznie.*

*- Najpierw opieka lekarska.*

*Umieścili mnie w izbie chorych na Pawiaku. Moich drzwi*

*pilnowali żołnierze. Odwiedził mnie doktor Scherbel z gestapo, niski, uśmiechnięty tłuscioszek. Dowiedziałem się później, że czasem, „dla rozrywki”, operował więźniów bez narkozy. Pewnego ranka polski lekarz, który opiekował się mną od tygodnia i nigdy dotąd nie odezwał się ani słowem, rzekł z uśmiechem:*

*- Nie jest z panem wcale tak źle, ale Mogiła i Olbrzym uważają, że najlepiej zrobiłby panu tyfus.*

*Radość zalsniła jak słońce, jak powracające życie. Wziąłem go za rękę, którą uścisnął, mrugając porozumiewawczo. Zrobił mi zastrzyk. W dwie godziny później dostałem wysokiej gorączki, bredziłem. Czym prędzej wywieziono mnie z*

*Pawiaka: Niemcy panicznie bali się chorób zakaźnych.*

*Umieszczono mnie w szpitalu św. Stanisława, na jednym z warszawskich przedmieść. Mokotów-Mogiła i*

*Młetek-Olbrzym dali dyrektorowi do wyboru: śmierć albo bardzo duża kwota pieniężna. I pewnej nocy spuścili mnie z okna. Pamiętam niejasno kołysanie się liny spływającej w dół po fasadzie. Na moim miejscu w łóżku ułożyli czyjeś zwłoki.*

*Potem udało im się przemycić mnie do getta. Przespałem wiele dni i nocy. Opiekował się mną doktor Celmajster, stosując leki, które udało mu się znaleźć. Atutem była moja młodość. Dni mijały leniwie, pogodnie, żyłem jak w pólśnie.*

*Zdawało mi się, że wróciliśmy na Senatorską, do tych błogich*

*czasów, gdy chorowało się pod opieką mamy, którą wołałem co chwila ochryłym głosem zakatarzonego dziecka.*

*Wreszcie któregoś dnia wstałem. Skończył się koszmar i marzenia. Miałem złamany nos i parę żeber, kilka wybitych zębów i uraz ręki, której nie mogłem unieść do pozycji pionowej. Ale żyłem. Nad podwórzem świeciło ciepłe kwietniowe słońce, oddychało się lekko.*

*Wyszedłem. Widok był nie do zniesienia. Na rogu Gęsiej i Smoczej jakieś widmo w łachmanach, stojące koło zwłok, wołało w regularnych odstępach czasu:*

*- Parę groszy, żeby pogrzebać mojego jedynaka, Mońka!*

*Długo chodziłem po naszym piekle, a z każdym krokiem wraz z rosnącą nienawiścią wracały mi siły. Wieczorem postanowiłem, że wznowię dawną działalność. Ale nie zdążyłem.*

*Weszli do getta pod wieczór w piątek 17 kwietnia. Słyszałem ich kroki i szczekliwe głosy. Nie chodzili na oślepi, zabierali „politycznych”, tych, którzy pisali, drukowali lub czytali tajne gazetki. Zabrali też piekarzy, ludzi z „Leszna 13”. Gdy tylko rozległy się pierwsze strzały, wdrapaliśmy się do naszego schowka. Niektórych pojmanych zabijali od razu, przed ich drzwiami. Nazajutrz ojciec potwierdził, że do Warszawy przybyły brygady eksterminacyjne.*

*Getto w milczeniu oczekiwało najgorszego; potem burza minęła. Daremnie starałem się nawiązać znów kontakt z mo-*

*ją bandą: o uwięzionym na Pawiaku Zamku-Mądrali słuch zaginął. Dziobaty wyjechał z Warszawy, Wacek-Wieśniak handlował produktami, które przywoził ze wsi. Mój długi pobyt w więzieniu był ważnym ostrzeżeniem, stracili już serce do naszej roboty, bali się, nawet Mokotów-Mogiła i Mietek-Olbrzym, którym zawdzięczałem życie. Dzięki mnie zarobili dużo, potem uratowali mnie, byliśmy kwita.*

*Przeprawilem się jeszcze kilka razy z Mokotowem, ale trudności piętrzyły się z tygodnia na tydzień i w końcu stały się nie do pokonania. Na murze getta wymalowano w pięćdziesięciometrowych odstępach duże białe cyfry i przed każdą postawiono żydowskiego wartownika, który odpowiadał za dany odcinek.*

*Trzeba było znaleźć inną drogę. Wtedy pomyślałem o ścieżkach. Schwyтали mnie, gdy próbowałem podnieść klapę na Muranowskiej. Od 17 kwietnia patrole były liczniejsze, minął już czas działającego w pojedynkę Frankensteina. Od czasu do czasu ustawiano kilku Żydów pod ścianą na którymś podwórku i rozstrzeliwano dla przykładu, pod byle pretekstem.*

*Dwaj żołnierze w hełmach kazali mi podnieść ręce i wepchnęli mnie na podwórze jakiegoś domu przy ulicy Pokornej. Czyżby szczęście znów odwróciło się ode mnie? Na podwórzu stało już pod ścianą kilkunastu mężczyzn z podniesionymi rękami.*

*Pilnowało ich czterech żołnierzy; pozostali Niemcy*

*prawdopodobnie patrolowali jeszcze ulice; potem, gdy uformuje się pluton, dadzą ognia. Zbliżywszy się do ściany, spostrzegłem wychodzące na podwórze oszklone piwniczne okienko. Powoli zacząłem posuwać się ku niemu. „Pierwsza szansa, Marcinie, wykorzystaj zawsze pierwszą szansę! Nie ma nigdy odroczenia”. Z zaciśniętymi pięściami skoczyłem naprzód, rozbiłem szybę i wylądowałem na jakichś skrzyniach w ciemnej piwnicy. Natychmiast rozległy się strzały i znajome, wściekłe wrzaski. Wyważyłem drzwi, wbiegłem na schody. Dokoła pustka, cisza, jakieś otwarte drzwi. „Pierwsza szansa, Marcinie!” Wszedłem. W pokoju z lalką w ramionach leżała nieruchomo ubrana w białą sukienkę wychudła, mała dziewczynka o pożółkłej skórze. Umarła z głodu. Trzeba żyć, Marcinie. Słyszałem, jak krzyczą. W drugim pokoju stała wielka skrzynia z pościelą. Opróżniłem jedną z szuflad, wsunąłem prześcieradło i kołdrę pod leciutkie jak piórko martwe dziecko, po czym skuliłem się w szufladzie i pomagając sobie paskiem i paznokciami zamknąłem ją szczelnie. Już walili kolbami w drzwi, strzelili kilka razy i weszli; słyszałem ich przekleństwa i stukanie podbitych gwoździami butów. Ledwie rzucili okiem na martwe dziecko. Przeszukiwali dom godzinami, zgromadziwszy na schodach wszystkich mieszkańców. Wyobrażałem sobie przerażenie kobiet, uderzenia, których na pewno nie skąpili. Ale miałem prawo*

*tego uniknąć: musiałem żyć, aby pomścić tę dziewczynkę,  
która zdawała się spać.*

*Potem cisza. Padła komenda i z podwórza, gdzie powinienem  
był się znajdować, dobiegł huk salwy karabinowej oraz kilka  
pojedynczych strzałów.*

*Teraz głód, zimno, tyfus, bicie i sporadyczne zabójstwa już im  
nie wystarczały. Chcieli masowego mordy, gigantycznej  
rzezi.*

*Skulony w tej szufladzie, szarpany skurczami mięśni, oddy-  
chając z trudem, wiedziałem, że nie doszedłem jeszcze do dna  
okropności. Nie widziałem niczego, niczego nie dokonałem.*

*Oprawcy przemówili*

*W środę 22 lipca 1942 roku oprawcy przemówili. Przed afi-  
szami Rady Żydów grupki ludzi gromadzą się i szybko roz-  
chodzą. Mężczyźni oddalają się w pośpiechu, kobiety krzyczą.*

*Jedna z nich, siedząc nad rynsztokiem na rogu Milej, szlocha  
trzymając się za głowę; lamentuje jak oszalała, jej*

*zawodzenie to wzmagą się, to cichnie. Spostrzegam w oknie*

*moją matkę, próbuję uspokoić ją gestem, lecz ona błagalnie*

*wznosi ręce do nieba. Na Zamenhofsza pada kilka strzałów, po*

*czym rozlega się znów lament tej kobiety, śmiertelne*

*zawodzenie getta.*

*Oprawcy przemówili: żądają dostarczenia im codziennie ty-*

*sięcy mieszkańców getta w celu przesiedlenia ich na Wschód.*

*Umsiedlung. Chcą opróżnić warszawskie getto i żądają, aby*

*Rada Żydów werbowwała ofiary.*

*Kręcę się po getcie; wszędzie obłęd, strach, krzyki, strzały;*

*kobiety i mężczyźni uganiają się w poszukiwaniu jakiegoś*

*urzędowego dokumentu, który na kilka dni zabezpieczyłby*

*ich przed „przesiedleniem”; może to być Lebenskarte, kartka*

*żywnościowa, ten świstek, który pozwala żyć, świadectwo le-*

*karskie, stwierdzenie, że są członkami rodziny żydowskiego*

*policjanta. Każdy dokument ma już ustaloną cenę, rabini wy-*

*dają fikcyjne świadectwa ślubu, żydowski policjant zwyżkuje.*

*Pola prosiła mnie, bym za wszelką cenę wystarał się dla niej o*

*jakiś urzędowy papierek. Paweł kupił sobie zaświadczenie*

*pracy. Wierzę, że się uratują. W najgorszym wypadku uzy-*

*skają odroczenie. Dochodzę do końca ulicy Stawki; tu, przed*

*szpitalem żydowskim, sanitariusze zwalili na stos łóżka, sto-*

*ły, krzesła i zaczynają znosić chorych. Ładuje się ich na*

*ryksze, na wózki, niektórych krewni zabierają na plecach.*

*Szpital ma być punktem zbornym przesiedlanych, musi być*

*ewakuowany do wieczora. Na godzinę szóstą zażądali sześciu*

*tysięcy spośród nas. A ilu jutro?*

*Oprawcy przemówili i nasza wczorajsza niepewność wydaje*

*nam się teraz stanem błogiego spokoju i szczęśliwości w*

*porównaniu z tym, co rozpętało ich kilka słów. Wracam do*

*domu, aby uspokoić mamę, ale jak ją przekonać, skoro całe*

*getto drży ze strachu, a niektórzy lokatorzy naszego domu w rozpaczliwym poczuciu bezsilności szykują już piętnaście kilogramów bagażu, które wolno im zabrać z sobą. Jakby ten Wschód, o którym nam mówią, mógł być czymś innym niż etapem w drodze do śmierci. Przyszedł mój ojciec, zdyszany, potargany, ze zmienioną twarzą. Wziął mnie za rękę i zaciągnął na klatkę schodową, aby nie słyszeli nas moi bracia, którzy bawili się w pokoju, i matka, oszołomiona, milcząca.*

*- Brygady eksterminacyjne już są w Warszawie - powiedział.*

*I dodał zaciskając pięści: - A my nie mamy broni.*

*Po chwili uspokoił się trochę i dał mi karty pracy: byliśmy rzekomo zatrudnieni w jednym z niemieckich przedsiębiorstw w getcie.*

*- Może pracujący przez jakiś czas unikną wywiezienia.*

*Jakiś czas. Żyjemy tak z tygodnia na tydzień, od września 1939 roku. Spodziewaliśmy się zwycięstw aliantów, rychłego końca wojny. Getto obiegały plotki, wprawiające ludzi w stan gorączkowego podniecenia: Goering nie żyje, angielskie lotnictwo zrównało Berlin z ziemią, Rosjanie rozbili w puch niemiecką armię, podchodzącą do Moskwy, Ameryka, przybrana ojczyzna tylu naszych, wykończy ich kompletnie. Tymczasem oni są wszędzie, panoszą się od Atlantyku do Wołgi, od Bałtyku po Morze Czarne. I nikt nie troszczy się o nasz los. Musimy ratować się sami. Jak tysiące innych, biegałem po*



*getcie. Na Zamenhofa gromadzą już więźniów, na innych ulicach wylapują i spychają na jezdnię przybyszów spoza Warszawy, starców, chorych, sieroty, żebraków. Żydowscy policjanci z podniesionymi pałkami wrzeszcząc rzucają rozkazy. Do wieczora potrzeba im 6000 ludzi. Gdy stado rusza, idę za nimi. Pędzą ich ulicą Zamenhofa, ten tłum starców, nędzarzy w lachmanach, złodziei, kalek, dzieci, rozbitków przybyłych z odległych gett: 6000 ludzi. W miarę jak posuwają się naprzód, chodniki pustoszeją, ludzie patrzą na nich ze zgrozą. Jutro my będziemy tak szli. Jakaś kobieta koło mnie szeptem: - Bóg ich zabiera. To dobrze, skończy się ich męka. Towarzyszę im aż do szpitala. Chcę wiedzieć; przy peronach czekają już bydlęce wagony, policjanci wrzeszczą. Spozstrzegam olbrzyma, Szmerlinga, który wymachuje szpicrutą, biegając z raportem od stada pojmanych do esesmanów. A jest przecież Żydem, tak jak oni, jak ja. Wpycha się ich do wagonów, rozdziela rodziny. Kto krzyczy, wrywa się, protestuje, dostaje żelaznym prętem po głowie; padają strzały. Patrzę, chcę wszystko dokładnie zobaczyć: jutro może przyjdzie kolej moja lub moich bliskich. Muszę wiedzieć, bo żeby się uratować, zwyciężyć, trzeba poznać ten plac przesiedleń, „Umschlagplatz”. Wczoraj było to tylko ruchliwe skrzyżowanie ulic, wczoraj to słowo nie istniało. Ale oprawcy przemówili i to miejsce stało się teraz centrum piekła, a*

*„Umschlagplatz” złowieszczym słowem, którego każdy się  
lęka. Jak wyroku.*

*Nabiegałem się, ale w końcu znalazłem stolarza. Cenią się  
teraz na wagę złota, ale mam dość pieniędzy. Zmuszam go,  
aby biegł za mną, ciągnę go za rękę. Dokoła istny oblęd, lu-  
dzie pakują się, uciekają, wracają, wpadają na mur, na barie-  
ry, którymi zagrodzono wiele ulic, niektórzy wrzeszczą wnie-  
bogłosy. Oprawcy przemówili, getto drży. Ale dlaczego nie  
mamy broni? Dlaczego pozwalamy się zarzynać? W  
mieszkaniu odsuwam na bok matkę i braci, chcę mieć pewną  
kryjówkę, to warte więcej niż najlepsze zaświadczenie pracy.  
Stolarz zabiera się do dzieła, przerabia tylną ścianę szary na  
drzwi, które będzie się zasuwac przy pomocy niewidocznego  
kołka. Następnie ustawiamy szafę przed wejściem do jednego  
z pokoiów. Tam, za tą szafą pełną bielizny, będzie kryjówka  
mojej matki i braci. Następnie każę przerobić dla siebie drugą  
szafę. Stolarz ma siwe włosy, duże, oblepione trocinami  
dłonie. Gdy mu płacę, chwyta chciwie banknoty, prawie na  
mnie nie patrząc. Należałoby zabić jego pamięć, zmusić, by  
zapomniał, ale musimy mu zaufać. Nasze życie jest w jego  
rękach i kto wie, czy nie poświęci go, ratując swoje własne.  
Odpędzam od siebie bezowocne myśli, trzeba działać. Chodzę  
po mieszkaniu, gromadzę w kryjówce żywność, zapas wody  
pitnej, materace. Matka spogląda na mnie biernie, z rezy-*

*gnacją.*

*- Wszystko będzie dobrze, mamo, przysięgam ci. Wszystko będzie dobrze.*

*Całuję ją i tulę do siebie, żeby czuła moją siłę, odwagę, pewność siebie. Potem proszę, żeby weszli; bracia śmieją się, chcą zostać w szafie. Wreszcie mogę umieścić półki, poukładać z powrotem bieliznę, zamknąć obie połowy drzwi, usiąść. Co noc będę ich wypuszczał, usuwał nieczystości. Z ulicy słychać krzyki, odgłosy bieganiny, żydowscy policjanci łapią przechodniów, widocznie brakuje im kilku „głów”, więc chwytają kogo się da. Widzę, jak jeden z nich, uzbrojony w pałkę, goni jakąś kobietę, która ucieka podniósłszy w górę ręce, ale wkrótce traci siły i pada, a policjant podnosi ją za włosy i uprowadza.*

*Oprawcy przemówili i niektórzy spośród nas zamienili się w dzikie bestie, innych ogarnęło szaleństwo, jeszcze inni stali się bezwładnymi istotami, biernie poddającymi się katom.*

*Trudno jest zachować człowieczeństwo. 28 lipca o godzinie wpół do dziewiątej przewodniczący Judenratu, Czerniakow, popełnił samobójstwo. Ofiarował nam swoją śmierć jako krzyk gniewu, buntu, rozpacz, a także ostrzeżenie. Ale niewielu to pojmuje. Policjanci muszą dostarczyć kontyngent „głów”, inaczej wieczorem na Umschlagplatzu oprawcy załadują ich, naganiaczy, do wagonów. Ratuj się, kto może:*

*moje życie za czyjąś śmierć. Trudno jest zachować  
człowieczeństwo.*

*Po opustoszałych ulicach grasują grupy policjantów, wcho-  
dzą na schody domów, wyważają drzwi, wyciągają ludzi z łó-  
żek, kierując się prosto do kryjówek, wydanych przez  
kogoś z sąsiadów lub krewnych. Potem pojawiają się  
Ukraińcy, Łotysze, Litwini, zdziczali tropiciele Żydów w  
służbie SS. Umschlagplatz zapelnia się, esesmani liczą  
pojmanyh i zamykają wagony. Nieważne, czy oddziela się  
matkę od dzieci. Czasem na placu odbywa się selekcja ofiar:  
na prawo do wagonów, na lewo do pracy dla esesmanów. Na  
lewo jest nadzieja.*

*Złapano mnie na ulicy, jak tysiące innych, i wraz z innymi  
pognano w długiej kolumnie na Umschlagplatz, a stamtąd do  
szpitala, gdzie poupychano nas przed załadowaniem do  
wagonów. Wtedy zobaczyłem, jak nisko może upaść człowiek.  
Pierwsze dwa piętra zarezerwowano dla Ukraińców i  
Litwinów; obozują tam, zabijają, gwałcą. Na wyższych  
piętrach my, Żydzi, przeznaczeni do wywózki na ten Wschód,  
o którym jedni mówią, że to śmierć, a inni sądzą, że przebłysk  
nadziei.*

*Gdy Ukraińcy otwierają drzwi szpitala, żeby skierować nas  
do wagonów, zaczyna się bitwa: ludzie walczą, by dostać się  
na wyższe piętra, zyskać może godzinę, może dzień. Na ulicy*

*Stawki Ukraińcy strzelają z okien, padają trupy. Kobiety krzyczą, mężczyźni gestykulują dziko, w salach walają się ekskrementy, ludzie śpią na trupach, niektórzy wyskakują z okien, a Ukraińcy ze śmiechem strzelają do nich, tak jak celuje się do ptaków w locie.*

*Chwymano mnie i uciekałem; czasem wymykałem się dwukrotnie jednego dnia, przekupując żydowskiego policjanta, wykorzystując chwilę nieuwagi; wyznaczony „na lewo”, do obozu pracy, wyskakiwałem z ciężarówki. Jestem coraz bardziej pewny siebie, coraz lepiej przygotowany do ucieczki. Noszę linę owiniętą wkoło pasa, mam nóż i pieniądze. Poza tym, jako przemytnik, znam prawie wszystkich żydowskich policjantów, moich dawnych współpracowników, „grajków”, którzy boją się mnie i szanują, wiedząc, jakie mam zasoby. Pomagają mi.*

*Ale ceny rosną szybko, kaci są coraz bardziej wymagający. Pewnego razu na Niskiej złapało mnie kilku esesmanów. Jeden z nich, piegowaty rudzielec, trzymał w dłoni przez rękawiczkę kawał kolczastego drutu; zbliżył się i kilkoma uderzeniami rozorał mi twarz. Rany krwawią, pieką niemilosiernie, ale milczę, idę, nie czuję uderzeń, myślę o Umschlagplatzu; wiem, że rany i okaleczenia wyznaczają mnie do załadunku na wschód. Trzeba milczeć, czekać, aż*

*rudy esesman odejdzie do innych ofiar. Na Umschlagplatzu, gdzie mnie znów odstawiają, panuje jak zwykle szaleństwo.*

*Malutki esesman, najmniejszy, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się zobaczyć, pilnuje wejścia do wagonów i z uśmiechem, wymachując biczyskiem, oddziela matki od dzieci. Policjanci żydowscy wylapują nieszczęśników, usiłujących prześlizgnąć się do zatrudnionego w tym piekle doktora Remby, który wraz z kilkoma sanitariuszkami próbuje ocalić choć parę ofiar przed załadunkiem do wagonów. Bo w owym wszechświecie korupcji i barbarzyństwa przetrwała jednak grupka prawdziwych ludzi. Ale policjanci odpychają ku wagonom tych, którzy nie mogą zapłacić. Płacę i czekam dwa dni, aż zagoją mi się rany na twarzy, po czym wracam do getta.*

*Zgarniają mnie, płacę, uciekam, znów wpadam w łapankę; i tak co dzień, takie jest teraz moje życie. Aby przetrwać, nie wolno widzieć ani słyszeć. Wczoraj na Karmelickiej wrzucano ludzi do ciężarówki jak worki. W godzinę później żydowski policjant gonił dziecko na Małej; gdy je schwycił za ramię, zawołał:*

*- Złapałem go!*

*Wtedy rodzice malca wyszli z ukrycia i wszyscy razem ruszyli na Umschlagplatz. Dzieci są doskonałą przynętą.*

*Chciałem zabijać, a przecież gdy nadarzyła się okazja, za-*

*wahałem się.*

*W pokoju córeczki pani Celmajster stał żydowski policjant i szamotał się z małą, która czepiała się to konia na biegunach, to matki, przy czym obie krzyczały przeraźliwie. Wszedłem do nich, nie mogąc już dłużej znieść własnej bierności, bo zdarzają się chwile, gdy bez względu "na ryzyko nie wolno stchórzyć. Zacząłem perswadować policjantowi, błagać go, wreszcie znieważać, ale on tylko wytrzeszczał na mnie okrągłe, końskie oczy, a potem zamierzył się pałką. Wtedy rzuciłem się na niego głową naprzód, zmasakrowałem mu twarz i powaliłem go na ziemię. Pani Celmajster i jej córeczka wtulone w kąt pokoju obserwowały tę scenę, zatykając sobie usta dłońmi. Policjant leżał na podłodze i przeląknęłem się, że go zabiłem. I chociaż marzyłem, żeby zabijać lajdaków, którzy, aby ratować własną skórę, wydawali nas na śmierć, poczułem się nagle bliski temu nędznikowi, bo on też, tak jak ja, tylko w inny sposób, padł ofiarą oprawców: zrobili z niego narzędzie. Gdy się podniósł, stałem przed nim z jego pałką w ręku. Wepchnąłem go do szafy, którą zamknąłem na klucz.*

*- Wypuszczę cię wieczorem, gdy będą już mieć wymaganą ilość głów. A jutro zmyjesz się stąd.*

*Pamiętam jego okrągłe, ogłupiałe ze strachu oczy.*

*- Mój kontyngent - powtarzał.*

*- Jutro i gdzie indziej.*

*Oprawcy przemówili: każdy żydowski policjant musi dostarczyć cztery osoby, „głowy”, dziennie. Taka jest teraz norma, potem będzie pięć, potem siedem. Przemówili i ten człowiek przedzierzgnął się w bestię.*

*Akcja trwała. Co dzień są łapanki. Moja matka i bracia nie opuszczają już kryjówek. Pola chowa się wysoko pod dachem. Nie powinienem wychodzić, ale ryzykuję, kręcę się po ulicach, stałem się hieną, wpadam do opustoszałych mieszkań, z których dopiero co wyszli Ukraińcy i żydowscy policjanci. Idę po ich tropie, szukam żywności. Czasem muszę odsunąć zwłoki zamordowanej, zgwałconej kobiety; to znów w pustym pokoju widzę samotne niemowlę. Próbuję nie zastanawiać się, cóż mogę zrobić? Wsuwam łupy pod koszulę i wracam do rodziny.*

*Na czwartym piętrze którejś z kamienic na Nowolipiu znalazłem się nagle oko w oko z Ukraińcem, zapewne maruderem, plądrującym mieszkania w pojedynkę. Był tak opasty, że prawie nie miał szyi. Schwycił mnie za ramię i wypchnął na schody. Nie padło między nami ani jedno słowo, była tylko jego brutalność i moja pozorna uległość. Na drugim piętrze zwabiły go otwarte drzwi jakiegoś mieszkania; puszcza mnie na sekundę, pcham go z całej siły i blokuję drzwi do chwili, aż drab zaczyna strzelać; wtedy wskakuję do stojącego również otworem sąsiedniego*



*mieszkania. Ukraińiec popędził schodami na górę, a ja*

*wpadłem do mieszkania, które przed chwilą opuścił.*

*Zostawiłem drzwi otwarte, byłem gotów bić się, ale on zbiegł*

*na dół. Oczekałem parę sekund i znów przedzierzgnąłem się*

*w hienę, skradającą się po żywność, by zanieść ją swoim*

*bliskim.*

*Zwyciężają nas głodem. Dobrze wiedzą, że skoro przemyt stał*

*się teraz prawie niemożliwy, głód wywabia ludzi z ukrycia.*

*Pod koniec lipca kazali porozlepieć na murach*

*zawiadomienie: każdemu, kto zgłosi się dobrowolnie na*

*Umschlagplatz, będzie przysługiwać 3 kilo chleba i kilogram*

*marmolady; wyjeżdżające na wschód rodziny nie będą tam*

*roz- dzielone. Wtedy zobaczyłem gromady zgłodniałych ludzi,*

*którzy przede wszystkim chcieli się najeść, którym chleb z*

*marmoladą wydał się bardziej kuszący niż życie. Podążyli*

*tlumnie na Umschlagplatz, żydowscy policjanci nie*

*potrzebowali nikogo poganiać biciem. Widziałem, jak*

*wymizerowane kobiety w chustkach śmiejąc się obłąkańczo*

*chwyciły podawany im chleb, który natychmiast podnosiły*

*do ust lub rozdrapywały paznokciami. Widziałem też*

*rodziców, którzy godzili się na wszystko, byle tylko nie rozłą-*

*czać się z dziećmi.*

*Stałem jak zaczarowany; chciałem im powiedzieć, żeby*

*uciekali, że nie wolno ufać ludobójcom, że lepiej umrzeć z głó-*

*du. Ale wiedziałem, że nikt mnie nie usłucha. Poza tym było mi wstyd: ja sam nie zaznałem nigdy głodu. Wiedziałem również, że większość wyjeżdża, aby nie rozłączyć się z rodziną. Ochotnicy napływali tak licznie, że część zawracano. Ci, którym nie pozwolono wejść na Umschlagplatz, błagali, żeby ich wpuścić, chcieli dostać chleb i marmoladę, mieć prawo opuścić getto razem z rodziną. Ale cofnięto ich. Wtedy przez kilka dni getto opanowało inne szaleństwo. Wschód, nic tylko Wschód, tam się pracuje, tam można się najeść. Kilka osób dostało stamtąd listy od krewnych, którzy zapewniali, że praca jest ciężka, ale wyżywienie obfite. Biegli więc na Umschlagplatz. Jakże mogli nie uwierzyć?*

*Całymi dniami przebywałem teraz na ulicach, towarzysząc kolumnom subordynowanych, niemal wesółych ochotników. Któregoś ranka zobaczyłem nadjeżdżające furmanki. Tego dnia prażyło słońce, po długim deszczu rozpogodziło się i getto dusiło się w spiekocie. Rozpoznałem ich z daleka:*

*Chaim-Małpa, Ślepy Jankiel i Trisk-Fura. Jechali ulicą Zamenhofa. Oni również podążali na Umschlagplatz.*

*Podszedłem bliżej, uczepiłem się jednej z furmanek.*

*- Trisk, Jankiel, czyście oszaleli? Śmieli się.*

*- Będziemy mieć zapewnione bezpieczeństwo, pracę i chleb - odparli.*

*A Ślepy Jankiel dorzucił:*

*- Na co czekasz, Mietek? Tam na wschodzie pierwsi przybysze  
urządzą się najlepiej. Decyduj się, jedź z nami!*

*Chaim-Małpa stroił jak zwykle miny, gestami zapraszając  
mnie na furmankę.*

*Błagałem ich, żeby zrezygnowali, zastanowili się jeszcze,  
poczekali. Ale na wszystko mieli kontrargumenty:*

*przychodzą stamtąd listy, fakt, że Niemcy nie wpuszczają  
wszystkich chętnych na Umschlagplatz. Pozwolili się*

*oszukać, omamić, zgłupieli otumanieni nadzieją. Przy końcu*

*Zamenhofa zeskokczyłem z furmanki; żegnaj, Chaimie,*

*Jankielu, żegnaj, Trisk! Kaci byli nie tylko barbarzyńcami,*

*umieli także oszukiwać, metodycznym działaniem*

*wprowadzać między nas podziały. Nieprędko da się ich*

*pokonać i nasze zwycięstwo pochłonie wiele ofiar. Za wszelką*

*cenę trzeba znaleźć się wśród tych nielicznych, którym uda*

*się przeżyć.*

*Potem nie było już ochotników ani chleba, ani marmolady,*

*zaczęły się znów łapanki, zamykanie ulic, strzelanina. Prze-*

*chodząca raz Lesznem Polka zwymyślała Niemców, którzy ła-*

*pali dzieci: rozległ się krzyk, padło kilka strzałów, oblawa*

*trwała dalej.*

*Mieszkańcy getta chowają się, gdzie mogą; gnieźdzą po roz-*

*maitych norach i lipcowe słońce praży puste ulice. Moja mat-*

*ka i bracia duszą się w swojej kryjówce, smoła topnieje na da-*

*chach, powietrze jest nieruchome, brakuje wody. Staram się rozerwać moich braci, ale oni wciąż tylko pytają: dlaczego? dlaczego? Chcą wyjść, chcą biegać, a muszą uczyć się milczeć, leżeć nieruchomo, skoro tylko posłyszają jakiś hałas lub głosy; zdarzało się, że przez krzyk niemowlęcia ginęło kilkanaście osób. We dnie wyprawiam się na poszukiwanie żywności. To musiało być gdzieś w połowie sierpnia. Wracalem do domu, gdy usłyszałem ich śpiew, a po chwili zobaczyłem, jak idą, czyste, starannie uczesane, trzymające się za ręce. Na przedzie kroczył doktor Korczak: prowadził dzieci ze swego sierocińca na Umschlagplatz. Oklaskiwałem nieraz ich deklamacje, zabawne scenki, w których występowały na dobroczynnych przedstawieniach w teatrze Femina. Regularnie wspomagałem sierociniec. Teraz dzieci szły na zagładę. Trzymając za ręce dwóch małych chłopców doktor Korczak szedł z kamienną twarzą, patrząc prosto przed siebie. Zacząłem iść obok niego, szepcząc: „Panie doktorze, panie doktorze!” Błagałem, ale nie odpowiadał, jak gdyby mnie nie poznawał, nie słyszał. Doszedłem aż do bramy, potem patrzyłem, jak wchodzą na Umschlagplatz. Wagony stały już przy peronach i mały esesman uśmiechał się.*

*- Chodź - ojciec wziął mnie za rękę i pociągnął ku Milej.*

*-Korczak chce oszczędzić im strachu. Jedzie razem z nimi.*

*Nic nie odpowiedziałem. Ale dlaczego nie postarał się ukryć*

*tych dzieci, po co ofiarował się na śmierć?*

*- Nie sądz go. Nikogo nie sądz. On robi, co w jego mocy, aby uchronić je przynajmniej od męki strachu. Szliśmy dalej.*

*- Chcą nas zniszczyć, wytrzebić nasz naród, Marcinie! Nasze nadzieje, wszystko, co stworzyliśmy na przestrzeni wieków, dzieci, naszą przyszłość, wszystko to systematycznie niszczą. Mają plan: Wschód to nasza śmierć.*

*Przed domem, w którym mieszkaliśmy, uściskał mnie.*

*- Przeżyć, Marcinie, pamiętaj. Dzisiaj i zawsze!*

*Wiedziałem, że usiłował zdobyć broń, nawiązując kontakt z polskim ruchem oporu; ale broń była cenna, a wśród dowódców podziemnej armii - wielu antysemitów. Dyskutowali, wahał się, szukali wykrętów. Tak jakbyśmy mogli czekać, podczas gdy getto wyludnia się systematycznie, a żydowscy policjanci jeden po drugim zmieniają się w okrutne bestie, którym esesmani co dzień grożą podwyższeniem wymaganego kontyngentu ludzkiego. Widziałem, jak żydowski policjant rozwaliał siekierą drzwi mieszkań, by wyciągnąć z nich lokatorów; widziałem innych, wlokących po ziemi wrzeszczące kobiety. Ukraińcy i Łotysze gwałcą i zabijają; stopniowo martwa cisza zalewa getto jak rozszerzająca się kałuża krwi. Codziennie trzeba opróżnić jeden kwartał ulic: kamienice między Dzielną, Zamenhofs, Nowolipiem i Karmelicką, potem małe getto, następnie domy*

*między Zamenhofa a Nalewkami. Mieszkańcy mają niekiedy pięć minut czasu, by zejść na ulicę, pod gradem uderzeń ustawić się w szeregi i ruszyć na Umschlagplatz. Potem Ukraińcy, Łotysze, Litwini oraz żydowscy policjanci plądrują mieszkania i zabijają każdego, kogo w nich zastaną.*

*Dziurawią meble, rozpruwają pościel, rozwalają ściany, szukają kryjówek, w których mogliby schować się ludzie, a także złota, biżuterii. Spragnieni są złota, kobiet, krwi. Glejty z dnia na dzień tracą ważność, karty pracy muszą być teraz stemplowane przez esesmanów lub policjantów z SD. To powoduje nowe szaleństwo: każdy chce należeć do grupy, którą tolerować będą najdłużej. W warsztatach pracujących dla Niemców widuję przerażone małe dziewczynki o upudrowanych twarzach i uszminkowanych wargach; aby uzyskać kartę pracy, starają się wyglądać jak młode kobiety. Widuję również starców, którzy pofarbowali sobie włosy. Do czego doszliśmy? Jakiej makabrycznej tragedii jesteśmy aktorami? Po diabła tak się maskujemy?*

*Ale tak samo jak inni dbam o swoją aparycję, muszę wyglądać krzepko i młodo. Uratowało mnie to, gdy znów zaprowadzili mnie na Umschlagplatz i wpakowali do szpitala. Znów krzyki kobiet i dzieci, trupy uwalane nieczystościami, nieznośny fetor; tłum, doprowadzony do szaleństwa przez Ukraińców, którzy oddają w powietrze serie*

*z karabinu, odrywają od rodzin i wprowadzają kobiety,  
których nikt już więcej nie zobaczy, znów jestem w piekle  
Umschlagplatz, gdzie człowiek umiera.  
Dwukrotnie wyznaczono mnie do obozu pracy, ale za każdym  
razem udało mi się wyskoczyć z ciężarówki. Teraz wiem już,  
którą jadą trasą, z jaką szybkością i kiedy należy wyskoczyć.  
Wszystkiego można się nauczyć, nawet tego, jak uniknąć  
śmierci. Dwa razy wepchnięto mnie do wagonu. Gdy  
usłyszałem skrzypnięcie, a potem trzask zamykanych drzwi,  
za którymi dusiliśmy się, zacząłem rozpychać się, krzyczeć;  
nie jestem już nowicjuszem, ale doświadczonym starym wy-  
gą. W kilkoro oderwaliśmy kraty, które zabezpieczały otwór  
na górze, po lewej stronie wagonu, i wyskoczyliśmy. Nastę-  
pnym razem miałem przy sobie krótką piłę; wiedziałem już, co  
robić. Chcąc uniknąć strzałów, nie zeskoczyłem, ale wciągną-  
łem się na dach wagonu i czółgając się z jednego na drugi  
dotarłem prawie do końca pociągu. Słyszałem śpiew  
żołnierzy, ich śmiechy i pisk jakiejś kobiety. Byłem już na  
dachu przedostatniego wagonu, gdy niemal w ostatniej  
chwili spostrzegłem żołnierza pełniącego straż na klapie nad  
buforami. Pełzając, przemierzyłem cały pociąg w odwrotnym  
kierunku, pod wiatr, i zeskoczyłem na pierwszym zakręcie.  
Za każdym razem udaje mi się wrócić do getta z którąś z grup  
żydowskich robotników, których Niemcy zatrudniają jeszcze*

*w aryjskiej Warszawie. Dokąd miałbym pójść? Moi najbliżsi byli w getcie, za szafą pełną bielizny, co wieczór czekając, bym przyniósł im trochę nadziei i usunął śmieci, które nagromadziły się w schowku przez cały dzień. Moja matka i bracia oszaleliby beze mnie. I naprawdę miałem nadzieję. Każda ucieczka umacniała moją ufność, wierzyłem, że wystarczy mocno chcieć, aby zniewolić szczęście.*

*Gdy schwytano mojego ojca, zgłosiłem się dobrowolnie na Umschlagplatz. Ucieczka, żydowska policja, to była moja domena. Ojciec siedział w jednej z najciemniejszych sal szpitalnych, spoglądając nieruchomym wzrokiem na ludzi leżących w odchodach i krwi.*

*Powiedziałem: - Chodź!*

*Zawahał się.*

*- To ja, ojczu.*

*Zaciągnąłem go na parter, którego wszyscy tak się bali. Wyszliśmy na dwór i wkrótce znaleźliśmy się na Umschlagplatzu, w kakofonii lamentów i krzyków. Nawet do tego zdążyłem się już przyzwyczaić. Poznałem metody esesmanów i sposób, w jaki selekcjonowali swoje ofiary.*

*- Rób to, co ja.*

*Ojciec patrzył na mnie pytająco. Byłem pewien, że mi się uda, i istotnie skierowali nas na lewo, do ciężarówek. Rzuciłem się pierwszy i zająłem miejsce na samym końcu, kulakami*



*rezerwując sąsiednie dla ojca, a skoro tylko ciężarówka*

*ruszyła, skuliłem się do skoku.*

*- Teraz! - rzucił ojciec.*

*- Za wcześnie. Czekał na mnie!*

*Gdy dałem znak, zeskoczyliśmy jednocześnie, nie prowokując  
nawet większej strzelaniny. Wpadliśmy na jakąś pustą ulicę,  
potem na zalane słońcem podwórze. Upał był nieznośny,  
umyliśmy się i usiedli pod jakimś murem.*

*- Jesteś mistrzem, Marcinie! Roześmiałem się.*

*- Chciałeś wyskoczyć za wcześnie, tato, gdy ciężarówka  
dopiero co ruszyła.*

*Rozmawialiśmy długo, jak dwaj bracia. Opowiadałem o swo-  
ich ucieczkach, o pociągach, wspominałem o pile i linie, którą  
się opasywałem. Ojciec śmiał się, a ja gadałem jak pijany. Po-  
tem wróciliśmy za mur z robotnikami. Getto było naszym po-  
lem bitwy i nie mogliśmy zdezerterować.*

*Ale walka o przeżycie stawiała się coraz trudniejsza i za każ-  
dym powrotem zastawiałem nasze więzienie świeżo  
okaleczone; ciągle przybywało wymarłych dzielnic. Gorący  
wiatr upalnego lata wymiatał ulice, którymi płynęły niegdyś  
tłumy: Zamenhofa, Gęsią, gdzie znałem każdy kamień, gdzie  
podbiegali ku mnie Trisk-Fura i Ślepy Jankiel, by wprawnym  
ruchem chwycić worki zboża; ulice, po których skakałem  
wesolo, ilekroć udało mi się przechytryć oprawców, i te,*

*którymi chodziłem z Zofią do teatru i do kawiarni „Sztuka”.*

*Miłą, którą pogwizdując piosenki getta biegłem z paczką ciastek od Gogolewskiego; opustoszałe dziś ulice, gdzie hula wiatr, wznosząc czarnożółty pył.*

*Kiedyś cierpiałem, patrząc na szary, tragiczny tłum, który się wtedy przelewał, bolał mnie widok żebraków i dzieci w łachmanach, ale to jeszcze było życie, nasze życie. Teraz zostało tu tylko trochę lichych przedmiotów, puste ściany, ludzie gnieźdzący się w rozmaitych kryjówkach, nieraz pod ziemią. Chyba wtedy, przebiegając szybko jezdnię, skacząc od bramy do bramy, tego lata 1942r., zrozumiałem, że liczy się tylko jedno - życie. Na środku Gęsiej pianino, zapewne wyrzucone przez okno, nieco dalej na chodniku meble, podarte koldry. Idę wśród tego wszystkiego i za późno spostrzegam ukraińskich strażników. Znow jestem w kolumnie, maszerującej ciężko wśród wrzasków, pod gradem uderzeń na Umschlagplatz. Jakże to, Marcinie, Mietku, czy po to zaszedłeś tak daleko, by dać się schwytać, pozwolić im zatriumfować nad sobą?*

*Przeszedłem selekcję i załadowałem się do ciężarówki, ale nie ma mowy o ucieczce; wyjeżdżamy z Warszawy, a wznoszący się spod kół biały pył skrywa okolicę. Staram się zapamiętać jakieś znaki rozpoznawcze, bo przecież będę musiał wtedy wracać.*

*Zatrzymujemy się kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy:  
przed nami obóz, kompleks baraków otoczonych drutem  
kolczastym. To dawny poligon wojskowy w Rembertowie.  
Mój pierwszy obóz. Mijają dni. Moi bliscy są w Warszawie.  
Chcę wierzyć, że czekają, że ojciec będzie ich codziennie  
odwiedzał. Na razie rozmyślanie o nich jest bezcelowe. Mogę  
im pomóc tylko swoją ucieczką i tylko o tym trzeba teraz  
myśleć. Pracujemy przy transporcie piasku, kopujemy kanały,  
ale dzięki ulicznikom z getta, którzy zajmują tu najlepsze  
stanowiska i którzy mnie lubią, unikam najcięższych robót i  
ograniczam się do popychania wagoników. Uderzenia sypią  
się gęsto, ale żyję.*

*Pewnego wieczoru rozmawiam o ucieczce z młodym więź-  
niem, Jankielem Eisnerem. Co rano koło wyjścia z obozu gro-  
madzą się Polacy, którzy w zamian za chleb kupują od nas  
różne rzeczy. Jankiel waha się, jego ojciec jest razem z nim.*

*Moi najbliżsi są w Warszawie i muszę być przy nich.*

*Wystarczają mi dwa dni. Pewnego ranka nawiązuję kontakt z  
jednym z Polaków, a gdy nazajutrz wychodzimy do pracy,  
staję tuż przy nim, wślizgnąwszy się w tłum kupujących.*

*Dostaję od niego czapkę i już jestem polskim młodzieńcem,  
spoglądającym na oddalającą się kolumnę. Spostrzegam  
Eisnera, który ogląda się kilka razy. Ucieczka kosztowna, ale  
łatwa. Wracam szosą, czasem dając nura do rowu, aż*

*spotykam żydowskich robotników, wracających do getta z lotniska na Okęciu. Popatrz Marcin, popatrz Mietek, masz znów przed sobą twój ceglany mur, twoje ulice, szyny tramwajowe, oto Miła 23. Szafa jest zamknięta, bielizna porządnie ułożona. Nie mogę czekać do zmierzchu, wyrzucam poszewki, prześcieradła; są tam, skuleni pod ścianą, moja matka i bracia, przerażeni, z obłędnym strachem w oczach, ale na mój widok wybuchają bezgłośnie, niepohamowaną radością; matka obejmuje mnie, bracia czepiają mi się nóg.*

*Żyją!*

*Mijają dni. Ojciec żyje również. Pochłonięty działalnością organizacji odwiedza nas rzadko, ale wystarcza mi świadomość jego obecności w getcie. Nawet jeśli nie spotykamy się przez parę dni, jestem zawsze przy nim i wiem, że on jest przy mnie. Kilkakrotnie rozmawiał ze mną o „Wschodzie”. Tam się po prostu zabija naszych. Pewien człowiek, któremu udało się wyskoczyć z pociągu i wrócić do getta, opowiadał, że tory prowadzą przez wrzosowiska do pustkowia, które wieśniacy nazywają Treblinką. Tam znikają całe transporty naszych, a po paru godzinach puste wagony wracają do Warszawy, na Umschlagplatz. W ciągu miesiąca wywieźli od nas 200 000 osób. Treblinką. To słowo rozrasta się we mnie jak chwast i czuję, jak z godziny na godzinę ogarnia mnie coraz straszniejsza wściekłość, furia, dławiąca i zaciemniająca*

*umysł. Nie mogę sypiać ani siedzieć w ukryciu, muszę wychodzić, zmierzyć się z nimi twarzą w twarz.*

*I naturalnie schwyтали mnie esesmani. Jest ich z dziesięciu; szeroko rozstawiwszy nogi stoją pośrodku ulicy. Na nas, Żydów, prawie nie patrzą. Ruchem karabinu każą nam ustawić się rzędami. Jest nas już wielu, złapanych na ulicy, powyciąganych z mieszkań. Nagle chwiejnym krokiem zbliża się jakiś pijany, nagi mężczyzna, śpiewając i tańcząc staje wśród nas, potem wychodzi z szeregów i zaczyna podskakiwać. Esesmani śmieją się. Jeden z nich podnosi już karabin, inni go wstrzymują, chcą się trochę pobawić, nim zabiją nieszczęśnika. Daję susa i już pędzę po schodach kamienicy na rogu Miłej, już słyszę krzyki i kroki jednego z nich. Przypominam sobie żołnierza, którego chciałem zabić; przepuściłem wtedy szansę. Na trzecim piętrze chowam się za drzwiami na drugą klatkę schodową, prowadzącą na podwórze. Jest mało widoczna, ale od paru tygodni doskonale znam te kamienice, orientuję1' się bezbłędnie w ich topografii. Nie podejrzewając niczego esesman zaczyna wchodzić na schody, nawet nie rozgląda się dokoła; wskakuję mu na plecy i chwytam za szyję. Jestem teraz silny, pod ich ciosami mięśnie stwardniały mi jak stal, palce, które mi miażdżyli i przypiekali, umieją się teraz zacisnąć jak żelazo, są mocne jak moja nienawiść. Niemiec szamocze się, ale nie puszczam go i wnet pada na*

*plecy: leży, młóćąc nogami posadzkę; gdy wlokę go na kuchenne schody, przestaje się ruszać i krew zalewa mu twarz. Następne kilka sekund decyduje o moim życiu: gdy taszczę go do piwnicy, na dworze rozlegają się już krzyki; widocznie więźniowie wykorzystali okazję, by próbować uciec. Słychać strzały, odgłosy kroków. Wrzeszczą, szukają. Ale robi się późno, pora policzyć „głowy”. Kolumna drgnęła; krzyki zaczęły się oddalać. Zakopałem go w ubitej ziemi, tego wielkiego żołnierza, mojego pierwszego zabitego. Zakopałem jego zwłoki bez wahania, bez żadnych wyrzutów. Mój ojciec odebrał mi karabin, nie pytając o nic. Rzekł tylko:*

*- Jutro musisz być ostrożny.*

*Istotnie, wrócili nazajutrz, zablokowali ulice, strzelali do okien, rewidowali, zabijali, uprowadzali ludzi. Cały dzień przesiadzałem skulony w swojej kryjówce; stopniowo uspokajałem się, drzemałem. Gdy zapadła noc, wdrapałem się na dach. Było tam chłodno. Niebo rozpinęło się jak niebieskawa, rozległa równina. Po hukach, krwi, upale, po przeżytych tego dnia okropnościach kładę się koło jednego z kominów. Blacha jest jeszcze ciepła; zapadam w drzemkę, a lekki wiaterek chłodzi mi twarz. Dachy są teraz moim nowym terenem działania. Przebiegam je we wszystkich kierunkach, przyzwyczajony się szybko do wąskiego pasa przeznaczonego do poruszania się na szczycie między dwiema*

*pochyłościami. Pas ma nie więcej niż 30 centymetrów szerokości, ale chodzę po nim śmiało. W ten sposób mogę dostać się z ulicy Miłej na Zamenhofa, z Gęsiej na Nalewki, mogę posuwać się wzdłuż Kupieckiej, zaglądając na podwórka, a przede wszystkim czuć się wolnym, gdy śmierć wymiata ulice.*

*Znałem każdy kamień na ulicach, potrafiłem wyskoczyć z najszybciej jadącego tramwaju, rozpoznać przekupnego granatowego po jednym jego spojrzeniu. Teraz zaznajamiałem się z dachami. Przyciskając stopę orientuję się, jaka jest wytrzymałość blachy, drewna czy dachówki.*

*Umiem zwinnie skakać, ukryć się za jakimś kominem, potrafię uczepić się stopami tak, by leżąc na spadzistym dachu śledzić posunięcia Ukraińców i esesmanów na dole.*

*Zaznajomiłem się z dachami i one są mi życzliwe. Ratują mnie, chociaż Ukraińcy i Łotysze do nich też się czasem dobierają, krusząc pociskami ich fragmenty, aby wypłoszyć rodziny koczujące na strychach i facjatkach. Leżąc, widzę z mojego obserwatorium dymy eksplozji od strony Dzielnej, słyszę ostry trzask uderzających w blachę granatów. Z pewnością któregoś dnia siepacze dojdą aż tutaj, ale na razie to moje terytorium. Tu właśnie, na jednym z dachów, po raz drugi w życiu zabiłem człowieka.*

*Stałem na środku drewnianego chodniczka na szczycie, gdy*

*zobaczyłem, jak wysuwa głowę z okienka najbliższego strychu. Ukrainiec. Wynurzał się ł powoli podniósł karabin.*

*Nie musiał się spieszyć, nie mogłem przecież szybko się odwrócić, dlaczego więc miałby odmówić sobie przyjemności celowania? Ukraińcy umieją strzelać, wiedziałem o rym, i nim zdążył przyłożyć karabin do ramienia, zapytałem po polsku, po niemiecku i po rosyjsku:*

*- Chcesz złoto?*

*Powtórzyłem magiczne słowo „złoto”. Ukraińcy to grabieżcy, a skoro jestem Żydem, to na pewno mam złoto.*

*- Chcesz złoto?*

*Złoto. Złoto. Ręka trzymająca karabin nieruchomieje. Podchodzę bliżej, by nabrać ufności. Opowiadam o skrytce ze złotem i biżuterią, proponuję cały ten skarb za życie. Zbir spogląda na mnie: nie jestem przecież uzbrojony, cóż więc ryzykuje?*

*- Gdzie?*

*Jeszcze nie przegrałem, jeszcze nie wygrałem. Wskazuję okienko przy końcu wąskiego chodniczka, na którym stoję i na który będzie musiał wejść, by zagarnąć mój majątek.*

*- Cofnij się - powiedział. -i nie odwracaj się.*

*Jest ostrożny. Stopniowo, ze skierowaną wciąż ku mnie lufą karabinu, ukazuje się cały, ogromny, ciężki, w wysokich czarnych butach, obciskających mu pod kolanami płócienne*



*spodnie. Widzę to wszystko wyraźnie, wpatruję się w tego człowieka, którego będę musiał zabić. Oparł się o komin, waha się; stoję o dwa metry od niego, nieruchomo, z podniesionymi rękami. Oby moja twarz miała naiwny wyraz, oby nie zdradził mnie błysk oczu, obym wydał mu się tchórzliwy i słaby.*

*- Złoto.*

*Zaczynam od nowa, pokazując mu okienko, a on podchodzi ku mnie, zbliża się ostrożnie z palcem na spuście karabinu.*

*- Nie ruszaj się - mówi.*

*Bądź spokojny, ty ukraiński morderco, kot Mietek na ciebie czeka. Skoczyłem, wyrzucając naprzód obie stopy, opadłem na dłoń, czepiając się desek, czubkami butów ledwie dotknąłem jego piersi, ale to wystarczyło, by stracił równowagę i wystrzeliwszy kulę w niebo z wyciem stoczył się z dachu, obrywając po drodze rynnę i wydając jeszcze jeden przeraźliwy skowyt, gdy już straciłem go z oczu. Ale w getcie nikt się nie dziwi, słysząc krzyki i strzały. Upadł w kąt podwórza. Pozwoliłem sobie na kilka chwil wytchnienia; potem zszedłem, zaciągnąłem jego zwłoki trochę dalej i zastawiłem je jakimiś skrzyniami, a w nocy zakopałem go z pomocą kilku żydowskich policjantów. Oni albo my, ich wojna zwalnia od wyrzutów sumienia.*

*Dachy są strefą mojej wolności, przebywam na nich cały*

*dzień, dopiero w nocy schodzę do matki i braci, którzy w dzień śpią. Ale matka źle się czuje w tym zamknięciu, nie może znieść nieustannego, śmiertelnego napięcia, boi się o swoich synów, a także tej ciszy, która zapanowała w całym domu.*

*Nie wiem, gdzie są Paweł i Pola czy państwo Celmajster z córką. Istniejemy tylko tymczasowo. Ojciec wpada do nas, gdy tylko może, usiłuje zorganizować ruch oporu, objaśnia słowo Treblinka. Ale jak walczyć? Rezygnacja, głód, strach, złudzenia demobilizują mieszkańców getta. A poza tym nie mamy broni. Pozostaje samotna walka o przeżycie, poszukiwanie żywności w zdewastowanych mieszkaniach, wola przetrzymania jeszcze jednego dnia, aż do późnych godzin nocnych, gdy przestają na nas polować. Wtedy po ulicach przemykają cienie, ludzie idą po wodę lub wyrzucić śmieci, wylazą z piwnic albo szaf, by trochę wytchnąć, i znów wrócić do swych kryjówek, nim nastanie nowy dzień.*

*Posepny dzień, gdyż nad całym gettem w nieznośnym upale unosi się zapach śmierci. Zaczyna się wciąż ta sama męka i oczekiwanie nocy. Wracam na dachy, lażę po nich, czatuję, odkrywam coraz to nowe przejścia, podchodzę coraz bliżej krawędzi. Wspomnienia mieszają mi się, każdy dzień może przynieść tyle niespodzianek, że nie pamiętam już, co było wczoraj. Moje ucieczki, Ukraińiec, esesman, przemyt, Pawiak, wszystko to stanowi magmę przeszłości, nawet to, co*

*wydarzyło się poprzedniego dnia, a przeszłość się nie liczy.*

*Trzeba żyć z dnia na dzień z niezłomnym postanowieniem*

*doczekania jutra. Kto sięga myślą wstecz, jest już martwy.*

*Wspominanie tego, co było kiedyś, czasów człowieczeństwa,*

*myślenie o Zofii, o dorożkach, za którymi się uganiałem, o*

*ulicy Senatorskiej - to choroba, która mnie zabija. Moja*

*matka zapadła na nią także. Apatyczna, z dłońmi złożonymi*

*płasko na kolanach, wpatrzona w próżnię myśli o „dawniej”.*

*- Mamo, błagam cię, mamo!*

*Potrząsa głową, uniesiona falą wspomnień, pochłonięta roz-*

*pamiętywaniem dawnych, szczęśliwych dni. Nie mogę z nią*

*zostać, muszę czatować, obserwować patrole, przeszukiwać*

*mieszkania. Trzeba przecież jeść.*

*Rywkę znalazłem na strychu jednej z kamienic na Gęsiej, Nie*

*spozregłem jej od razu, bo przycupnęła w najciemniejszym*

*kącie, gdzie dach stykał się niemal z podłogą. Ale w kimś, kto*

*od wielu miesięcy musi mieć się na baczności, rozwija się*

*szósty zmysł: wyczułem, że na strychu znajduje się jakaś*

*żywa istota, słabsza ode mnie, skoro się boi. Przeszukałem*

*kąt przeciwległy do tego, w którym się schowała, po czym*

*odwróciłem się gwałtownie.*

*- Wychodź albo cię zabiję!*

*Jęknęła i usłyszałem, jak dzwonią jej zęby.*

*- Wychodź!*

*Czołgała się ku mnie na kolanach, a gdy znalazła się w smudze dziennego światła, zobaczyłem opadające jej na ramiona jasne włosy; zbliżywszy się, uniosła lekko głowę i zniechęciła. Kimże jestem, co się ze mną stało, że sterroryzowałem drugiego człowieka? Co oni ze mną zrobili? Przykucnąwszy, zacząłem gładzić jej włosy, miałem nieprzepartą ochotę przytulić ją do siebie, płakać razem z nią.*

*- Nie możesz tu zostać. Znajdą cię prędzej czy później. A poza tym umrzesz z głodu.*

*Nie ruszała się, cała drżąca, z oczami zagubionego, oszalałego ze strachu zwierzątka.*

*- Gdzie twoja rodzina?*

*Potrząsnęła głową i zaczęła łkać po cichu, bez łez. Nie potrzebowałem odpowiedzi. Głaskałem ją po głowie, czując jak podnosi się we mnie fala tkliwości.*

*- Uspokój się, uspokój! Żyjesz.*

*Kłęczała wciąż, wstrząsana łkaniem. Podniosłem ją, ukłosałem w ramionach jak dziecko. Dowiedziałem się, że ma na imię Rywka. Po jakimś czasie uspokoiła się.*

*- Pójdiesz ze mną.*

*Wiedziałem, że to nieostrożne, gdyż będę musiał ciągnąć ją po dachach, i nierozsądne, bo przecież trzeba będzie ją żywić, a jej obecność zmniejszy przestrzeń oraz ilość powietrza w kryjówce mojej matki i braci. Ale nie po to chcę przeżyć, żeby sa-*

*memu stać się oprawcą. Wyciągnąłem ją na dach. Znów zaczęła się trząść ze strachu, chwycił ją zawrót głowy i nie była w stanie iść wąskim chodniczkiem, po którym nauczyłem się już biegać, więc kazałem jej czołgać się na brzuchu metr po metrze. „Nie mogę” - powtarzała, ale posuwała się naprzód. Nasza trasa prowadziła przez Nalewki, potem skręcała nad podwórza. Raz schowaliśmy się za jakimś kominem przed dwoma Ukraińcami, którym zachciało się wyleźć na dach z pistoletami w dłoniach. Dotarliśmy na Miłą 23 w nocy, półżywi ze zmęczenia. Kiedy pomagałem jej zeskoczyć na strych, poczułem silny zapach gazu. Pobiegłem szybko. Rywka za mną. W naszym mieszkaniu zapach był jeszcze silniejszy. Otworzyliśmy wszystkie okna, powyrzuciłem z szafy kołdry i prześcieradła, odciągnąłem drewnianą zasuwkę; leżeli jedno na drugim w kryjówce. Dałem im parę klapsów, spryskałem twarze wodą, Rywka pomagała mi. Wreszcie zaczęli powoli przychodzić do siebie, wymiotując i jęcząc. Ale zapach nie słabł. Zszedłem po schodach, zaglądając do wszystkich opuszczonych mieszkań. Dopiero na parterze odkryłem, skąd ulatnia się gaz. Okna pokoju były zamknięte, a na podłodze przykrytej kocami, tak że zatykały wszystkie szczeliny, leżały zwłoki sześciu osób, sześciu samobójców, w tym dwojga dzieci, które wyglądały, jakby spały. Jedno z nich rozłożyło ręce z zaciśniętymi*

*piąstkami nad okrytą jasnymi lokami głową. Obok*

*pootwierane butle. Ogarnęła mnie wściekłość i rozpacz: nikt*

*nie miał prawa iść na rękę ludobójcom! Stałem nieruchomo,*

*aż zbliżyła się Rywka i delikatnie rozluźniła mi dłonie,*

*którymi chwyciłem się za włosy. Wróciliśmy do mojej matki i*

*Rywka została od razu przyjęta do rodziny; matka*

*rozmawiała z nią, jakby znały się od dawna, moi bracia*

*zaczęli się z nią bawić. Potem usnęli, a Rywka weszła ze mną*

*na dach. Trzymając się za ręce, staliśmy oparci o ciepły*

*komin, gdy nagle niebo rozszumiało się głuchym warkotem*

*samolotów. Wyprostowaliśmy się.*

*- Rosjanie! - krzyknąłem. - Rosjanie!*

*Rywka przytuliła się do mnie. W parę minut zrobiło się widno*

*jak w dzień: rakiety świetlne opadały powoli na ziemię,*

*iluminując Warszawę, potem od strony Pragi rozległo się*

*kilka detonacji. Krzyczeliśmy, przyzywaliśmy grad bomb,*

*zagładę oprawców, nawet gdybyśmy mieli zginąć razem z*

*nimi. Ale znów zapadła ciemność, zostaliśmy sami i*

*położyliśmy się obok siebie.*

*To wszystko zdarzyło się w ciągu jednego tylko dnia - dnia*

*dobrego, ponieważ udało nam się go przeżyć.*

*Rano obręcz wokół nas zacieśniła się jeszcze. Już o świcie*

*zapowiadającym upał widzę z dachu żydowskich policjantów,*

*którzy rozlepiają afisze na Gęsiej. Gdy odchodzą, na ulicy*

*ukazują się sylwetki ludzi; wysuwają się z domów, złączą z dachów, podchodzą do afiszy, po czym rozbiegają się szybko.*

*Idę zobaczyć, o co chodzi; na plakatach nowe zarządzenie ewakuacyjne, podpisane przez Radę Żydów: mieszkańcy Smoczej, Gęsiej i Dzikiej muszą do godziny dziesiątej opuścić swoje mieszkania, które mają zostawić otwarte. O dziesiątej Niemcy i Ukraińcy zablokują ulice. Obserwuję ich z góry, zachowują się jak na manewrach, jakby te rozszlochane kobiety i przerażone dzieci w ogóle nie istniały. Potem pędzą kolumnę na Umschlagplatz, a w pustych mieszkaniach zaczyna się polowanie na zbiegów i grabież. Wieczorem żyliśmy jeszcze.*

*Późno w nocy zawołał mnie Paweł. Zostawiłem Rywkę, podpełzłem do okienka, skąd dobiegał jego głos, i położyłem się na brzuchu. Ale nie widziałem twarzy Pawła.*

*- Zrobili łapankę u Toebbensa i Schultza - powiedział. Mówił urywanym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem, gniewnym, zdławionym strachem.*

*- Zabrali Polę, moją matkę i wszystkie nasze pieniądze.*

*Teraz widziałem już jego twarz, ściągnięte rysy, zarost na policzkach.*

*- Nie możesz już więcej chodzić do „szopu”, Paweł. Złapią cię nie dziś, to jutro, ale złapią na pewno. Ukryj się!*

*- Nie! - krzyknął.*

*- Oni sprzedają numerki - ciągnął po chwili. Zostawią w*

*getcie 35 000 osób. Muszę mieć numerek, Marcinie!*

*Przez chwilę milczeliśmy obaj, ja - wyciągnięty na dachu, on - skulony na strychu. Czekałem.*

*- Ty masz dużo pieniędzy, Marcin.*

*Nie odpowiedziałem. Paweł mówił po cichu, ale jego słowa tchnęły nienawiścią.*

*- Masz jeszcze matkę, braci, ojca. I masz pieniądze. Muszę mieć pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy. Dziś w nocy.*

*- Ukryj się. Paweł!*

*- Wiem, gdzie jest wasza kryjówka. Dobrze wiem.*

*Raczej zawył, niż wykrzyknął te słowa. Więc z niego też zrobili bestię. Wskoczyłem przez okno i schwyciwszy go za ramiona szarpałem i potrząsałem nim, jak szarpie się zgnity pniak, który chce się wyrwać z ziemi.*

*- Znajdę cię, Paweł. Choćbyś się nawet schował pod ziemię, znajdę cię. I zabiję.*

*Nie stawiał oporu. Był chory ze strachu. Paweł, mój przyjaciel, zamierzał nas wydać; doprowadzili go do utraty zmysłów. Ścisnąłem mu gardło.*

*- Zwiewaj stąd, Paweł, i to daleko. Zapomnij o ulicy Miłej.*

*Potem puściłem go. Upadł i długą chwilę leżał nieruchomo, wreszcie podniósł się bez słowa. Słyszałem na schodach jego kroki, Pawła, mojego przyjaciela, który wypatrywał mego przybycia na Zamenhofa, oczekiwał na Gęsiej; śmieliśmy się*



razem, dzieliliśmy radość i strach, byliśmy braćmi, pomaga-  
łem mu zarobić sporo pieniędzy, biorąc na siebie całe ryzyko;  
Paweł, który brzydził się handlem, uważał to za niegodny  
proceder, za pogwałcenie uświęconych zasad. Teraz był  
niczym. Wylazłem z powrotem na dach. Ze strachu i grozy, ja-  
ką rozsiewali dokoła, wykielkowało w nas ziarnko  
nikczemności. Chcieli nas zdeprawować, zniszczyć. Żegnaj,  
Pawle, mój dawny Pawle, oni cię już zabili.

Znów spędzam dni na dachach, z których Niemcy uszkodzili  
już bardzo wiele. Widzę, jak wyrzucają przez okno paralityka  
w inwalidzkim wózku i strzelają do niego ze śmiechem; jak na  
Nalewkach ustawiają pod ścianą gromadkę ludzi, którzy  
zaczynają śpiewać niemal wesoło i wnet padają pod kulami.  
Nie wiem, z którego podwórka dobiegają nocą dziecinnie  
głosy, wołające: „Mamo, mamo!”, ile jest tych dzieci. Nie  
mogę już tego słuchać, przytulam się do Rywki, kochamy się  
namiętnie u stóp naszego komina i zasypiamy, obejmując się  
ramionami, chroniąc się wzajemnie w tym uścisku.

Wciąż płynęły dni pełne grozy, aż pewnego ranka, bardzo  
wczesnie, na dachu jednego z domów zjawił się Dawid i zaczął  
dawać mi znaki. Był to drobnej budowy, zawsze uśmiechnięty  
mężczyzna, który, jak wiedziałem, często wyprawiał się z  
moim ojcem na aryjską stronę, starając się zakupić tam broń.  
Podbiegłem do niego, przeskakując z jednego dachu na drugi.

*Siedział oparty o występ muru.*

*- Więc jeszcze żyjesz, Marcinie! Objął mnie ramieniem.*

*- Przedwczoraj zabrali twojego ojca. Nie mogliśmy nic zrobić.*

*Podniósł się szybko.*

*- Powodzenia, Marcinie. Idę już. Oni jeszcze śpią.*

*Wślizgnął się do okienka któregoś strychu. Zostałem sam.*

*Trochę dalej zobaczyłem Rywkę, która czekała na mnie, nie-*

*ostrożnie stojąc w słońcu. Moja matka i bracia też na mnie*

*czekali. Znałem dobrze dachy; posunąłem się naprzód wzdłuż*

*fasad, nieco wyżej okrążyłem kilka kominów. Rywka stała*

*przede mną zaniepokojona.*

*- Pamiętaj, nigdy nie stój. Mogą cię zobaczyć.*

*Nie zapytała mnie o nic. W tamtych czasach, jeśli wydarzało*

*się coś nowego, to mogło być tylko nieszczęście. Poszliśmy*

*razem do kryjówki za szafą. Moi bracia powitali ją milcząco,*

*radosnymi gestami. Matka położyła mi głowę na piersiach.*

*- Nie mogę już wytrzymać, Marcinie. Nie zniosę tego dłużej.*

*Kołysałem Ją jak dziecko, uspokajałem, gładziłem jej włosy.*

*Byłem taki stary, a oni wszyscy, mama, Rywka, moi bracia,*

*tak słabi i bezbronni; byłem starszy o to wszystko, czego nie*

*wiedzieli. Ojciec zabrany na Umschlagplatz, a potem z*

*pewnością do Treblinki.*

*Zostawiłem ich, wylazłem na dach i położyłem się w cieniu.*

*Ojciec ucieknie, wyskoczy z pociągu, wróci do Warszawy.*

*Skoro mnie się udało, on potrafi to na pewno sto razy lepiej.*

*Tego dnia nie broniłem się przed falą wspomnień: przypomniałem sobie, jak po ucieczce z ciężarówki umyliśmy się zimną wodą, a potem zanosiliśmy się od śmiechu na tym obcym podwórku; a przedtem nasze przypadkowe spotkanie w kawiarni „Sztuka”, gdy ojciec uznał moją niezależność, a Mokotów czekał na mnie, spacerując przed wejściem na ulicy.*

*Choć nie widywaliśmy się często, szliśmy naprzód ramię w ramię, nieodmiennie sobie bliscy. On tchnął we mnie siłę; to, czego chciał, stawało się także moim celem. Byliśmy nierozzerwalnie złączeni z sobą, i dopóki jeden z nas będzie żył, drugi nie zginie. Dzięki ci, ojcze, za moje życie.*

*Skulony, przyciskając palce do ust, przeżywałem tę eksplozję wspomnień. Płakałem.*

*Przez kilka dni panował spokój. Widziałem dym unoszący się z kominów w błękitne niebo; lato było w całej pełni, nad Wisłą pewnie bawiły się dzieci, brodziły w wodzie. Wstąpiła we mnie nadzieja; może znajdziemy się wśród tych kilku tysięcy, którzy przeżyją? Zacząłem znów biegać po dachach i szperać po opuszczonych mieszkaniach. Gdy czasem, płosząc szczury, wchodziłem do jakiegoś pustego pokoju, wśród panującego w nim nieładu zastawiałem nakryty stół, przewracane krzesła i żywność, którą zabierałem.*

*Ale okres względnego wytchnienia był krótki. Znów zablo-*

*kowali ulice; ciągle jeszcze było nas za dużo. Dzień za dniem, godzina po godzinie zbliżali się do Milej. Obserwowałem bacznie, widziałem, jak rodziny schodzą na ulicę, ustawiają się w szeregi i ruszają na Umschlagplatz. Od czasu do czasu na dach włązili Ukraińcy, ciskali granaty, oddawali serie strzałów. Przetrwaliśmy do połowy września 1942.*

*Siedziałem wciśnięty między dwa kominy, pod których osłoną słuchałem krzyków i obserwowałem dachy aż do Nalewek. Ukraińcy nie grasowali jeszcze w tym sektorze i, spodziewając się, że nadejdą stamtąd, zamelinowałem się na przeciwległym narożniku, niemal za rogiem Milej i*

*Zamenhofa, gdzie byli już dawniej. Przez parę minut nie patrzyłem na ulicę. Potem spuściłem wzrok i zobaczyłem ich:*

*Rywka stała wyprostowana między moimi braćmi, trzymając ich za ręce, za nią moja matka, przyciskając do piersi trochę odzieży. Byli w środku kolumny. Gdy znów otworzyłem oczy, leżałem zlany potem między dwoma kominami. Stali tam wciąż jeszcze nieruchomo, pojmani. Stolarz czy Paweł, czy po prostu przypadek? Po co dociekać, skoro nas zgarnęli?*

*Miałem przy sobie noże, linę i krótką piłę. Zszedłem powoli.*

*Chciałem odzyskać równowagę. Spokojnie, Marcinie, spokojnie, Mietek!*

*Ulica była pełna kurzu i słońca; Ukraińcy ryczeli, strzelali w powietrze, w kierunku dachów, potem kilka razy na wyso-*

*kości człowieka; kolumna drgnęła i zakolysała się. Pozwolili mi przejść, jakby mnie w ogóle nie widzieli. Kimże dla nich byłem? Jedną z tych 400 000 ofiar, które poddawały się bez oporu, rzadko kiedy ryzykując ucieczkę. Podszedłem z podniesioną głową; nie wiedzieli, kim jestem, dlaczego się zbliżam, ja, którego dłonie przypalano ogniem i kwasem, który potrafiłem milczeć, przemycać na ich oczach worki zboża, przekupując oprawców tak, jak oplaca się lokajów.*

*Jakiś Ukrainiec wepchnął mnie do kolumny. Zabiłem twojego kamrata, ty kacie; tymi oto rękami zabiłem też twojego władcę, esesmana.*

*- Nie płacz, mamó!*

*Stanąłem obok niej. Odebrałem jej powoli części odzieży, które przyciskała do piersi jak najdroższy skarb, i zrobiłem z nich niewielkie zawiniątko. Poglaskałem główki braci.*

*- Jestem z tobą, Rywka!*

*Była spokojna, jakby dotarła wreszcie do kresu drogi. Popchnąłem ich w środek tłumu, stojący z brzegu otrzymywali najwięcej uderzeń. Ruszyliśmy ulicą Zamenhofa. Żegnaj, Miła, żegnaj, Zamenhofa. Stąpaliśmy po podartej odzieży, po rozrzuconych książkach, omijaliśmy połamane meble; deptaliśmy po wszystkim, co stanowiło kiedyś życie dziesiątków tysięcy naszych bliźnich, na co ciężko pracowali. Tratowaliśmy własne życie. Piekące słońce, wyjątkowo*

*upalne jak na wrzesień, prażyło nam plecy. Szedłem tuż za moją rodziną, uważając, by nie dali się wypchnąć na brzeg kolumny. Wkrótce znaleźliśmy się na Dzikiej i zobaczyłem Umschlagplatz i szpital. Znałem na tym placu każdy kamień, każdego z oprawców.*

*- Uciekniesz, Rywka!*

*Miała szansę. Posiadałem dość pieniędzy, żeby kupić jej wolność. Ale moi dwaj bracia nie zdołają wymknąć się z Umschlagplatzu, zatem matka i ja wyjedziemy z nimi.*

*- Musisz uciec, Rywka!*

*Szeptalem w jej jasne, opadające aż na ramiona włosy.*

*- Mogę cię uratować. A potem się spotkamy. Mówiłem błagalnie, przejmująco, ale ona nie odwróciła nawet głowy.*

*- Uciekaj, Rywka! Teraz, nie zwlekaj!*

*Już słyhać było szczekanie esesmanów, skrzypienie drzwi wagonów, krzyki przerażenia, strzały.*

*- Korzystaj z okazji! - zaklinałem ją -Prędko! Nie wiem, co się potem stanie!*

*Widziałem już wagony i żydowskich policjantów, którzy spędzali w uformowane przed pociągiem szeregi wszystkich próbujących się wymknąć. Jak zawsze, obecny był również mały esesman z pejczem w ręku.*

*- Rywka!*

*Nie odpowiedziała, nie odwróciła głowy, ale na chwilę pu-*

*ściła dłoń jednego z moich braci, wyciągnęła do mnie rękę, a znalazłszy moją, uścisnęła ją mocno.*

*Nie skierowali nas nawet do szpitala. Kontyngent „głów” był potrzebny od zaraz, ich zadanie dobiegało końca. Spieszyli się, nie było już „na prawo!” i „na lewo!”, ładowali wszystkich do pociągu. Udało mi się wepchnąć swoich do niezupełnie jeszcze pełnego wagonu; byliśmy więc wszyscy razem, lecz gdy zamknęli drzwi, znaleźliśmy się w samym środku, otoczeni ze wszystkich stron, i moje wysiłki, by zbliżyć się do ściany, były bezowocne. Matka, Rywka i ja stanowiliśmy wyspę, w środku której stali moi bracia.*

*Czekaliśmy, oddychając z brudem; trzeba było starać się nie słyszeć lamentów, krzyków, wołania o pomoc.*

*Wreszcie wagon drgnął i natychmiast zacząłem mówić, przekonywać moich sąsiadów o możliwości ucieczki, chwilami podnosiłem głos aż do krzyku, ale nie byłem sam, tkwiłem unieruchomiony w środku zatłoczonego wagonu, zdecydowany, że nie porzucę swoich braci, matki i Rywki.*

*Milkłem, znów mówiłem, wyjaśniałem cierpliwie, aż przybliżyłem się o kilka centymetrów do okienka. Ale moi bracia nie mogli posuwać się za mną bez narażenia się na stratowanie. Umilkłem więc i objąłem ramionami matkę i Rywkę, chłopcy stali między nami, czepiając się naszych nóg. Matka płakała po cichu, a jej łzy spływały mi na dłonie. Od*

*czasu do czasu w wagonie wybuchała przeraźliwa wrzawa, a zbita ciżba falowała gwałtownie. Wtedy naprężyłem się mocno, aby chronić swoich.*

*Nasz pociąg jechał do Treblinki.*

*Tu musiałbym dysponować innym głosem*

*Nasz wagon jechał do Treblinki, a podróż trwała całą noc.*

*Nie słychać było zgrzytu osi ani sapania lokomotywy, ani rytmicznego, głuchego stukotu kół na stalowych szynach; pociąg nie darzył nas żadnym z monotonnych, znajomych odgłosów pracującej maszyny; ten pociąg był krzykiem. W wagonie było prawie sto pięćdziesiąt osób, stłoczonych ciasno, spoconych ze strachu w upale niekończącego się polskiego lata. Jakiś człowiek obok mnie modlił się, a inny, stojący za nim, wymyślał mu i usiłował go uderzyć. Krzyki biły o ścianę wagonu, wzmagaly się, wracały jak echo, czasem odzywał się płacz dziecka. Bracia tulili się do mnie, obejmowałem mocno matkę i Rywkę, chciałem, żeby cała moja siła i tkliwość spłynęły mi w ramiona, żeby je odczuli moi najbliżsi, z którymi nie mogłem nawet rozmawiać, gdyż krzyki zagłuszały głos.*

*Potem przyszło pragnienie; ludzie bili się, chcąc dotrzeć do okratowanego okienka, gotowi zabić, by zaczerpnąć haust świeżego powietrza.*

*A potem zapachy, woń fizycznego strachu: smród moczu i*



*ekskrementów.*

*Następnie ludzie zaczęli padać, a kilku dostało obłądu. Gdy się rozwidniło, zobaczyłem, jak jedna z kobiet rozdrapywała sobie paznokciami twarz.*

*Nagle pociąg stanął i krzyki umilkły. Usłyszeliśmy kroki, głosy, szcęk odczepianych i odjeżdżających wagonów.*

*Czekaliśmy. Słońce weszło i rozgrzewało drewniane ściany i blachę; znów jakieś hałasy, wstrząsy doczepianych wagonów, ruszamy powoli, potem odgłos spiesznych kroków, i pociąg staje.*

*Zgrzyt, wrzaski, oślepiające światło, wagon opróżnia się przy akompaniamencie wściekłych ryków i padających gęsto uderzeń.*

*To Treblinka.*

*Tu rozpoczyna się inna era.*

*Tu trzeba by przemówić innym głosem, dysponować innymi słowami, a każda litera każdego wyrazu powinna ukazywać całą urodę życia każdego z tych tysięcy, którzy tu zginą.*

*Trzeba osiąść umiejętność opisanego spojrzenia mojej matki, czepiających się mnie kurczowo palców braci, włosów Rywki, którą dostrzegam z daleka w formowanej za pomocą kopniaków i bicia kolumnie kobiet i dzieci. Jest tam moja matka, moi bracia i Rywka. Żegnajcie, najdrożsi!*

*Tu zaczyna się inna era. Znam Treblinkę tylko z nazwy, ale*

*wiem, że tu zginą moi najbliżsi.*

*Dokoła wrzaski i przekleństwa; esesmani i Ukraińcy uganiają się z biczami i pałkami, walą gdzie popadnie, po głowach i plecach. Z głośnika płynie nieustannie obojętny głos:*

*- Mężczyźni na prawo, kobiety i dzieci na lewo.*

*Schyliwszy głowę, by uniknąć uderzeń, spoglądam na nie^ wielki dworzec, czytam napisy: bufet, poczekalnia, toaleta, kasa. Wszystko czyściutkie jak dekoracja teatralna. Potem w dali dostrzegam zasieki, zamaskowane gałęziami sosny.*

*Żegnajcie, najdrożsi! Już straciłem ich z oczu w tłumie przygarbionych postaci, wśród głów siwych, kędzierzawych, jasnowłosych, moją matkę, Rywkę, obu braci. Czuję całym sercem, którego bicie rozsadza mi pierś i boleśnie ścisła gardło, że oni nie wrócą. Że nie zdołam uchronić ich od śmierci, że ona ich zabierze. A może ojciec też znalazł się tutaj?*

*Posuwam się naprzód możliwie wolno, starając się zyskać parę minut, żeby się rozeznać, nie ulegać ślepo, móc wybierać. Wkoło więźniowie, zgarbieni, wtulający głowy w skulone ramiona, biegają we wszystkie strony, zbierają bagaże, popędzają nas. Zatrzymuję jednego z nich, który mnie potrącił.*

*- Co się tu dzieje? Odpycha mnie brutalnie.*

*- Wszystko w porządku. Nie twoja sprawa. Rób, co ci każą!*

*Idę za innymi, starając się unikać uderzeń. Starych kieruje się do wejścia, nad którym widnieje czerwony krzyż: „Laza-*

*ret". Z głośnika płyną ciągle rozkazy:*

*- Rozbierzcie się! Weźmiecie prysznic, po czym porzysła się was do nowych miejsc pracy.*

*Patrzę na zasieki, na odjeżdżające puste wagony, na tłum bezimiennych, milczących więźniów. Tu czai się śmierć.*

*- Zabierzcie z sobą wartościowe przedmioty i dokumenty. Nie zapomnijcie o mydle.*

*Dochodzę do placu, na którym stoją Już nadzy mężczyźni, i wtedy słyszę ten huk, głośny, regularny, jak warkot potężnego motoru, krztuszącego się chwilami przed nabraniem rozpędu, tętno obozu, którego nie zagłuszają nawet wrzaski esesmanów.*

*Esesmani w czarnych mundurach, z biczami w rękach, przechadzają się między nagimi więźniami, co pewien czas odciągając któregoś i każąc mu się z powrotem ubrać. Nie zdjąłem jeszcze odzieży; roztrącając więźniów, schylających się z trudem, żeby zdjąć buty, wsuwam się w gromadkę na nowo ubranych. Pcha mnie ku nim jakiś nieprzeparty instykt, który woła: „Tak chcę! Tak trzeba! Idź, Marcin! Idź, Mietek! Tam jest życie! Idź!”*

*Jeden z esesmanów odsuwa mnie na bok uderzeniem szpicruty w ramię.*

*Żegnajcie mi, najdrożsi! Żegnajcie!*

*Mogę zrobić dla was tylko jedno: przeżyć. Aby was pomścić i*

*opowiedzieć, jacy byliście i jak was zgładzili.*

*Zacząłem biec wraz z innymi; wśród wrzasków i uderzeń  
odstawialiśmy tobołki z odzieżą na plac, gdzie je sortowano.*

*Biec, biec ze spuszczoną głową, zwalać na stos te ubrania,  
wszystko, co pozostało z ich życia. Przyjechały następne wa-  
gony, ostatnia część pociągu, którym przybyliśmy, i plac,  
jeszcze godzinę temu rojący się od porozbieranych ludzi,  
gdzie - nim zabrano ich do baraku - czekali moi bracia, matka  
i Rywka, był teraz zupełnie pusty. Znów odezwał się głośnik. I  
znów biegłem, chwytalem najcięższe tobołki, pędziłem coraz  
prędzej i prędzej: trzeba było przeżyć.*

*Z każdym krokiem poznawałem Treblinkę, żółty piasek, jej  
wszechobecny zapach, nie milknące krzyki i jej tętno: ten mo-  
tor, huczący na północnowschodnim krańcu obozu, tam gdzie  
przy końcu alei obrzeżonej szerniałymi karłowatymi  
sosnami rysował się ceglany budynek, częściowo zasłonięty  
skarpgą, ogrodzoną zasiekami kolczastego drutu; coś na  
kształt obozu w obozie. Na placu, gdzie sortowano rzeczy  
więźniów, układałem osobno odzież dziecięcą, kapelusze  
męskie, okulary, płaszcze, każdy przedmiot na odpowiedni  
stos, biegając od jednego do drugiego. Ukraińcy smagali nas  
batem, a od czasu do czasu któryś z esesmanów zabijał kogoś  
strzałem z karabinu lub uderzeniem kolby. Toteż biegałem z  
pochyloną głową.*

*- Uważaj na twarz! - rzucił mijający więzień.*

*Potem podniósł się wiatr i hałas motoru wzmógł się jeszcze; w tamtym obozie rozkopywano piasek, słyszałem wyraźnie, jak metalowe pazury rozdrapują ziemię. Coś tam kopano, kopano bez ustanku. Zgromadzono nas na większym placu, między barakami. Przed szeregami przechodzili esesmani. Ukraińcy stali po bokach jak psy. Były tam również i psy, ogromne, usiłujące zerwać się ze smyczy. Przechodząc, esesmani wskazywali więźniów, którzy wychodzili z szeregów i oddalali się pod straż Ukraińców. Potem rozległy się strzały. Ustawiliśmy się w kolumny, każdy otrzymał po miseczce wody z paroma kartoflami, po czym wpędzono nas do baraku. Żyłem. Ale czy można to jeszcze nazwać życiem? W baraku panował nieznośny smród, ludzie jęczeli, niektórzy modlili się. Przykucnąłem obok mężczyzny, który z oczami wbitymi nieruchomo w jakiś punkt drżał cały, zacisnąwszy szczęki i pięści. Nosił czerwoną oznakę, był to zatem dawny więzień.*

*- Dokąd oni idą? - zapytałem. Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc.*

*- Dokąd idą tamci, z pociągu? ; - Do gazu.*

*- Dokąd?*

*- Do tego drugiego obozu, na północy.*

*Oparłem się o drewnianą ścianę. Moja rodzina, tysiące, cała Warszawa... a ja żyję.*

*W nieprzeniknionej ciemności słysząc było płacz. Potem hałas odepchniętej skrzynki i charczenie. Ktoś zaczął się modlić. Niektórzy więźniowie postanowili umrzeć tej nocy. Zebrałem siły, żeby sobie na to nie pozwolić, żeby się oprzeć pokusie tchórzliwej ucieczki w spokój śmierci. Skoro odbierają nam życie, to dlatego, że jest ono skarbem; skoro moi najbliżsi zginęli, ja dziedzicząc ich życie, przekazali mi swoją przeszłość i to, czym mogliby się stać, całą radość i smutki, jakie były ich udziałem. Tylko we mnie żyła jeszcze ulica Senatorska i nasza kryjówka w getcie, pozostało wciąż żywe spojrzenie Zofii lub Rywki. Tylko we mnie; a może ojciec żyje i walczy gdzieś, w terenie, albo wrócił do Warszawy. Stanę się narzędziem zemsty. Postanowiłem żyć. Postanowiłem uciec. Dla tych, których kocham.*

*Rano z belek u sufitu zwisały cztery trupy. Spędzono nas na plac apelowy, gdzie przemówił do nas esesman „Lalka”.*

*Oznajmił, że jesteśmy niczym, marniejsi od psów, niewarcom ziemi, do której wrzuca się nasze ciała, nędznym robactwem, a on należy do rasy królów.*

*Był to dopiero mój pierwszy ranek w Treblince, a już przeszłość blakła, już okres getta mieszał mi się z tym, co było „dawniej”, przed wojną, nim się urodziłem. Nazajutrz zobaczyłem, jak się żyje i umiera w Treblince. Widziałem, jak opuszczają szeregi „klepsydry”, to jest ci, których uderzenia*

*siepaczy trafiły w twarz; te okaleczenia wyznaczały ich na śmierć. Szli do „lazaretu”. Widziałem, jak zabijano więźniów łopata, jak rozszarpywały ich psy. Zrozumiałem, dlaczego trzeba chodzić z pochyloną głową, i zawsze biec, i robić wszystko lepiej, prędzej; gdyż żeby dać nam bodźca, esesmani lub Ukraińcy zabijali kilku więźniów. Było nas pod dostatkim; pociągi w składzie po dwadzieścia wagonów każdy przychodziły codziennie. W wysypującym się z nich tłumie widziałem Rywkę, moją matkę i braci. Wszyscy przybywający byli moimi braćmi, moją matką, to byli moi bliscy, moja rodzina, mój naród. Wypychano ich na peron i rozdzielano: mężczyzn na prawo, kobiety i dzieci na lewo; kazano im rozbierać się, a my musieliśmy pomagać.*

*- Co się tu dzieje? - pytali.*

*- Nic, nic. Wszystko w porządku! - odpowiadaliśmy.*

*W nieustannym biegu zbierałem buty, przenosiłem naręcza przepoconej odzieży. Nauczyłem się szybkim ruchem przeszukiwać kieszenie, a znalazłszy herbatnik czy kostkę cukru, wsadzałem je do ust i, nie gryząc, połykałem te kawałki życia. Jedno poruszenie warg lub szczęk groziło śmiercią, „lazaretem”, kulą w kark lub zatłuczeniem pałką. Szedłem piękną, wysadzaną karłowatymi sosnami aleją prowadzącą do Himmelstrasse, drogi do nieba, uprzątając przedmioty porzucone przez idących tędy - aby aleja wyglądała*

*pociągająco i zacisznie. Wchodziłem do wagonów i*

*zmywałem ekskrementy, oblepiające podłogę i ściany. A*

*wieczorem, na apelu, widziałem wychodzące z szeregu*

*następne „klepsydry”, które prowadzono do „lazaretu”;*

*widziałem, jak wskazywano na chybił trafił więźniów o nie*

*okaleczonych twarzach, jednym spojrzeniem wysyłając ich*

*na śmierć. Śmierć zbierała w naszych szeregach bogate*

*źniwo. Za zwolnienie tempa pracy - śmierć; za przenoszenie*

*zbyt lekkiego pakunku - śmierć. Chcieli nas sterroryzować;*

*musieliśmy odczuwać ich władzę, jak moce niepojętych*

*bogów. Byli panami naszego losu.*

*Wróciłem do baraku żywy, ale zadyszany, wyczerpany.*

*Wiedziałem, że trzeba uciec, ale przez cały dzień musiałem*

*nieustannie strzec się śmierci i nie mogłem poświęcić uwagi*

*swoim planom. Widziałem wysokie zasieki, dalej rów najeżo-*

*ny drutem kolczastym, jeszcze jedną zaporę z drutu, dróżkę*

*dla patroli i niewielki, płaski teren, również ogrodzony zasie-*

*kami. Ustawione co dwieście metrów wieżyczki strażnicze*

*strzegły tego żelaznego muru, przez który niepodobna było*

*się przedostać. Tamtędy ucieczka była niemożliwa.*

*Jedyną ucieczką była śmierć. Tej nocy w naszym baraku*

*znów powiesiło się kilku ludzi. Gdy po raz trzeci usłyszałem,*

*że któryś z więźniów ciągnie skrzynkę, którą miał się postu-*

*żyć, by odebrać sobie życie, doskoczyłem i, schwyciwszy go za*



*ramiona, zacząłem nim potrząsać.*

*- Przecież oni właśnie chcą naszej śmierci! - zawołałem zduszonym głosem. - Nie wolno im tego ułatwiać i umierać dobrowolnie, bo co wtedy poczniemy?*

*- A cóż można począć? Zdechnąć z ich rąk?*

*Odepchnął mnie. Odszedłem do swego kąta. Położywszy się usłyszałem nieznośny odgłos przewracanej skrzyni, sprężającego się w szoku ciała i rżenia. Potem cisza. Samobójstwo jest protestem, ale to bunt pokonanych. Trzeba żyć, Mietek, żyć, aby krzyczeć, mówić, zemścić się. Żeby twoi bliscy ożyli dzięki tobie.*

*A rano znów apel i przemówienie Lalki: „Jesteście zgrają nędznych psów, niewarciu garści ziemi, jesteście robactwem”.*

*Schylaliśmy głowy. Odebrali nam bliskich, zmuszali, abyśmy wypychali z wagonów naszych braci, kazali im się rozbierać; czasem spotykaliśmy wzrok przypominający nam spojrzenie matki, wtedy odwracaliśmy oczy. Czy nie byliśmy istotnie robactwem, jak twierdził Lalka?*

*I znów biegałem, chroniąc rękami głowę; gdybyśmy godzili się na śmierć, Lalka miałby rację. Będziesz więc biegał, Marcinie, będziesz żył! Biegałem i pojęcie czasu zatarło się. Ile dni, ile pociągów? Wszystkie te twarze mężczyzn, kobiet, dzieci, ich ruchy tonących, połknięty ukradkiem sucharek, który kaleczy gardło, ale napelnia żołądek. Stosy odzieży. Co*

*wieczór powtarzam sobie uparcie: „Trzeba uciekać”. Co noc szamocę się z którymś z więźniów, który usiłuje popełnić samobójstwo; a rano człowiek, któremu nie pozwoliłem umrzeć, odchodzi w towarzystwie dwóch Ukraińców do „lazaretu”. I „klepsydra”, człowiek, któremu w nocy robiłem makijaż ze zwilżonego śliną piasku, żeby rano nie było widać siniaków, ale którego jednak zabili, gdyż dostał nowy cios w twarz.*

*Normalny czas nie istniał w Treblince. Tam mierzono go inaczej: wyznaczały go przyjazdy pociągów, wrzaski, apele i dudnienie motoru w dolnym obozie. Zapomniałem już, jak w ciągu dnia zmienia się niebo: widziałem tylko ich buty, przechodzące koło mnie. Ukradkowo, w biegu i na apelu, ocierając się o śmierć, kreśliłem w myśli rozkład baraków i plan dolnego obozu, który posiadał dwa wyjścia: jedno na końcu Himmelstrasse, gdzie znikają nasi, oraz drugie, z którego korzystali Ukraińcy i esesmani. Z zapadnięciem zmroku ogarniała mnie fala rozpacz, rosnąca w miarę zwiększającego się głodu i wyczerpania. Majaczyły mi ich twarze, siwe włosy matki, które widziałem ostatni raz w odchodzącej kolumnie, twarze moich braci. Niczego nie zdołałem zrobić ani dla nich, ani dla ciebie, Rywko! Ta fala porywała mnie, trzeba było z nią walczyć, walczyć z tymi, których niosła ku dobrowolnej śmierci.*

*Miałem tylko jeden sposób, aby nie poddać się tej czarnej fali,*

*która odbiera rozum - powtarzać sobie ciągle: żyć, żyć w imię  
wszystkich, których kochałem, żyć, żeby się zemścić i żeby  
powiedzieć światu, że Treblinka to śmierć. W Warszawie byli  
jeszcze ludzie, którzy wierzyli, że wyjeżdżają na wschód, żeby  
pracować i jak dziesiątki tysięcy innych - trafiali na  
Himmelstrasse, drogę do nieba. Żyć, uciec, krzyczeć prawdę,  
pomścić ich! Te słowa, wciąż powtarzane, układały się jak  
kamienie zapory wznoszonej przeciw tchórzostwu, rozpacz,  
rezygnacji. Ale zmęczenie, głód, codzienne przemówienia  
Lalki, wszechwładza ludobójców, przyjazdy nowych  
pociągów, te spostrzeżone w biegu dzieci i odzież, którą ni-  
czym odartą z nich skórę zwalano na stosy, wszystkie te rze-  
czy, jeszcze ciepłe, wykruszały zaporę. I trzeba ją było odbu-  
dowywać, kamień po kamieniu, słowo za słowem, żyć, uciec,  
pomścić ich, obwieszczać światu prawdę.*

*Wiedziałem, że w Treblince nie żyje się długo. Gdyby nawet  
wbrew wszystkim potwornościom udało mi się wytrwać w  
moim postanowieniu, to przypadek, przeznaczenie, kaprys  
oprawców, na przykład cios w twarz lub strzał któregoś eses-  
mana, mógł w każdej chwili zmieść mnie z tego świata. Trze-  
ba było się spieszyć. Co dzień starałem się lepiej poznać teren.  
Należałem do „niebieskiego komanda”, które przyjmowało  
transporty, gdy otwierano drzwi wagonów i oczom nowo  
przybyłych ukazywał się dworzec, drewniana makieta, która*

*przez parę minut - co wystarczało - wydawała się prawdziwym dworcem z napisami: bufet, poczekalnia. Dworzec atrapa: w Treblince życie było tylko złudzeniem, tak jak ten dworzec. Pracowałem w „czerwonym komando”, pomagałem mężczyznom rozbierać się, zanosilem odzież do sortowni.*

*Z żeńskiego baraku wynosiłem worki napchane włosami.*

*Kobiety zaraz po przybyciu musiały się rozebrać, a następnie obcinano im włosy niemal do skóry. Potem odchodziły wysadzaną czarnymi sosnami aleją Himmelstrasse. Układałem*

*stosy rzeczy: wszystkie przedmioty były sortowane,*

*klasyfikowane. Nieszczęśni Żydzi przywozili z Warszawy lub*

*z krańców Europy naczynia stołowe, wieczne pióra,*

*fotografie dzieci. Mamo, przeniosłem, przerzuciłem tyle*

*odzieży podobnej do twojej; braciszkanie moi, widziałem tyle*

*zdjęć podobnych do was! A każdy przedmiot był osobnym*

*nieszczęściem, był czyimś życiem, splotem radości i nadziei.*

*Martwym życiem, które będzie mogło istnieć dalej tylko*

*dzięki żywym, jeśli je pomszczą i opowiedzą prawdę. Żyj*

*więc, Mietek; Marcinie, żyj!*

*Pracowałem w komando drwali, żywiąc nadzieję, że w lesie*

*uda mi się uciec, ale pilnowali nas dobrze. W komando „ma-*

*skującym” przykrywaliśmy zasięki gałęziami sosny, aby obóz*

*był niewidoczny, aby stał się polaną, gdzie przepadały setki*

*tysięcy ludzi, tylko tym motorem, rozdrapującym żółty*

*piasek. W komando, do którego należało utrzymanie obozu w czystości, zmiatałem Himmelstrasse, baraki i peron. I uniknąłem „lazaretu”.*

*Potem, pewnego dnia... kto wie, jak długo po moim przybyciu; czas nie istniał w Treblince... A więc pewnego dnia wyznaczono mnie do załadunku. Przy peronie stały puste wagony, do których, zgięci wpół, zanosiliśmy paki odzieży.*

*Układaliśmy jedne na drugie, aż piętrzyły się po sam dach.*

*Biegałem wśród nieustannych wrzasków, pilnowali mnie Ukraińcy, kapo i esesmani. Wskakiwałem do wagonu, wpychałem paczki i wracałem do baraków po następne, usiłując zorientować się, gdzie są Ukraińcy i esesmani, aby zdecydować, czy zmęczony zmęczeniem i głodem, mogę pozwolić sobie zaczerpnąć tchu i przez chwilę biec trochę wolniej. I nagle zdałem sobie sprawę z tego, że oto mam przed sobą pociąg spełniający swe normalne zadanie, pociąg, który miał wyjechać z Treblinki załadowany odzieżą. Pobiegłem szybciej, mój plan krystalizował się. Wsiąść do pociągu, zrobić sobie kryjówkę pośród pakunków, zagrzebać się w nią głęboko i odjechać. Rzuciłem się naprzód, wskoczyłem do wagonu, ale załadunek już się kończył. Próbowałem gorączkowo, lecz wszędzie paki tworzyły mur, sięgający od ściany do ściany. Już zbliżali się esesmani, sprawdzali, czy nie ma ani odrobiny luzu między paczkami, i sami zatrzaski-*

wali drzwi. Musiałem opuścić peron; spóźniłem się z moim pomysłem, dałem się wciągnąć w tryby strachu, grozy, zmęczenia i przepuściłem szansę, pierwszą szansę, właśnie tę, którą trzeba wykorzystać. Nie okazałem się godny ciebie, ojczu, ty byłbyś na pewno zdążył. Tego wieczoru, pogrążony w rozpacz, zacząłem marzyć, że ojciec uciekł, że zdołał ukryć się w pociągu, który wyjechał z Treblinki, i teraz walczy.

Odtąd myślałem już tylko o załadunku paczek. Teraz nie potrzebowałem powtarzać sobie „trzeba żyć, trzeba uciekać”, wiedziałem już, jak to zrobić, i w duchu opracowywałem wciąż szczegóły powziętego planu. Obmyśliłem, jak ustawić paczki w kącie wagonu, jak najdalej od drzwi, aby tworzyły ścianę maskującą kryjówkę, jak wzmocnić jej boki, pozwalając spiętrzać się pakunkom. Byłem gotów. Ale przez kilka dni nie ładowano żadnego pociągu. Potem przydzielono mnie do komando sprzątaczy: zamiatałem. Widziałem, jak ładowano pociąg, ale nie mogłem w tym uczestniczyć. Byłem gotów, ale przepuściłem pierwszą okazję.

Wieczorem znów uniosła mnie czarna fala. Miałem przed oczami moich najbliższych, wróciłem na Senatorską, szmuglowałem worki zboża, a Mokotów-Mogiła śmiał się; piłem palącą wódkę, którą nalewała mi Jadzia; trzymałem za rękę Zofię i śmieliśmy się oboje. Porwała mnie czarna fala i znów przypomniałem sobie oprawcę z gestapo, który

*odwiedził mnie w celi na Pawiaku i nad którym*

*zatriumfowałem. I to wszystko miałoby pójść na marne?*

*Nazajutrz rano zbliżyłem się do Kievego, który w getcie należał do szumowin; był tragarzem, złodziejem, wielką bryłą ciała i mięśni. Teraz schudł, ale był jeszcze dość silny i odporniejszy niż inni. Gdy otwierał usta, widać było dziąsła i kilka czarnych pieńków, pamiątkę po uderzeniu kolbą na początku istnienia getta. Nie mieliśmy dotąd czasu ani siły, by pogadać z sobą. Przed apelem wślizgnąłem się do jego kąta. Zacząłem nim tarmosić, wyprostował się gwałtownie, jakby myślał, że stoi nad nim śmierć. Poznawszy mnie, mruknął coś pod nosem.*

*- Kieve, ty znasz tego kapusia. Musi nas zatrudnić przy załadunku.*

*Kapo, którego miałem na myśli, był niemieckim Żydem, który nie skąpił nam uderzeń - nie wiadomo, czy aby uchronić nas od gorszych ciosów, czy po prostu w obronie własnego życia.*

*Musiał albo bić, albo umrzeć. Kieve patrzył na mnie w milczeniu. W Treblince odzwyczajaliśmy się od mówienia.*

*Jedno słowo mogło zaprowadzić do „lazaretu”.*

*- Jeśli będziemy ładować, wiesz, jest pociąg, a we dwóch...*

*Schwycił mnie za ramię.*

*- Mietek, naprawdę myślisz?*

*Wyłożyłem mu szybko swój plan. Kręcił głową, gładził sobie*

*działa grubymi paluchami.*

*- Ale trzeba być w komando ładowaczy.*

*- Pogadam z kapo.*

*To był długi dzień. Przybyły dwa konwoje. Tysiące mężczyzn, kobiet, dzieci. Ich krzyki; odzież, ich włosy. Wytrzymaj, Marcin, wytrzymaj! Biegałem. Wieczorny apel był bardzo długi; do „lazaretu” pognano trzy „klepsydry” i innych więźniów, zbyt wielu, abym mógł ich policzyć.*

*W baraku nareszcie odszukałem Kiewego.*

*- Rozmawiałem - rzekł.*

*Zacząłem go wypytywać. Niepokoilo mnie, że powierzyłem swoje życie jemu i kapusiowi, miałem jakieś złe przeczucia.*

*Nie odpowiadał. Słuchał.*

*To jeszcze nic nie znaczyło; może zwykła ostrożność, którą każdy powinien tu zachować. Tej nocy źle spałem. Motor w dolnym obozie dudnił bezustannie i widziałem światła reflektorów za zasiekami, tam, na północnym wschodzie, skąd już nikt nie powracał.*

*Rano, na placu apelowym, wyciągnięto następne „klepsydry”. Potem przemówił do nas Lalka, oznajmiając, że jesteśmy bagnem tego świata. Wezwał kilku kapo, którzy, podbiegłszy, uderzyli się czapkami po pośladkach i stanęli na baczność. Potem weszli między nas. I niemiecki kapo, znajomek Kiewego, kazał jemu i mnie wyjść z szeregu.*



*Otoczyli nas Ukraińcy, ale nie popędzili nas do „lazaretu”;*

*wraz z kilkoma jeszcze więźniami ruszyliśmy przez*

*Himmelstrasse, tą obrzeżoną kwiatami i czarnymi sosnami*

*aleją wiodącą do ceglanego budynku. Z każdym krokiem*

*ukazywał nam się coraz wyraźniej, masywny, surowy, z*

*wąskimi drzwiami zwieńczonymi gwiazdą Dawida*

*przypominał trochę synagogę. Szedłem. Nie wykorzystałem*

*pierwszej okazji, zawierzyłem swoje życie innym i*

*przegrałem. Obawiając się, że któregoś dnia musiałby*

*zapłacić za naszą ucieczkę, kapo zapędził nas na Himmel-*

*strasse.*

*W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, huk motoru potężniał,*

*zgrzyt metalu drapiącego piasek brzmiał jak krzyk. Ukraińcy*

*przekazali nas swoim rodakom pilnującym wejścia do*

*dolnego obozu. Przeszedłszy przez zasieki, znaleźliśmy się*

*przed dużym ceglanym budynkiem, wyposażonym w jedne*

*tylko wąskie drzwi. Na prawo był barak „lazaretu”. Obeszli-*

*śmy murowany budynek. I zobaczyłem tę olbrzymią koparkę,*

*zagłębiającą swe stalowe ramię w żółty piach, a huk silnika i*

*odgłosy rozkopywania ziemi rozległy się koło nas. Ukraińcy*

*zaczęli wrzeszczeć do więźniów biegnących z noszami; pod-*

*nieśli bicz i pałki, więc razem z innymi puściłem się pędem*

*do noszy z grubego płótna, które nam wskazali. Chwyciłem za*

*jeden koniec, Kieve za drugi i pobiegliśmy ku rozwierającym*

*się w bocznych ścianach budynku drewnianym, trzymetrowej szerokości drzwiom.*

*I zobaczyliśmy.*

*Tu trzeba by innego głosu, innych słów.*

*Zwłoki były nagie, splątane jak liany, żółte; na twarzach zastygła krew, która ściekała pomordowanym z nosa. To byli moi bracia, matka, Rywka, mój naród. Za przykładem innych chwytaliśmy zwłoki i pędzili z nimi do więźniów, którzy, wyposażeni w kleszcze, badali usta trupów i wyrywali złote zęby.*

*- Kieve, ty znasz tego kapusia. Musi nas zatrudnić przy załadunku.*

*Kapo, którego miałem na myśli, był niemieckim Żydem, który nie skąpił nam uderzeń - nie wiadomo, czy aby uchronić nas od gorszych ciosów, czy po prostu w obronie własnego życia.*

*Musiał albo bić, albo umrzeć. Kieve patrzył na mnie w milczeniu. W Treblince odzwyczajiliśmy się od mówienia.*

*Jedno słowo mogło zaprowadzić do „lazaretu”.*

*- Jeśli będziemy ładować, wiesz, jest pociąg, a we dwóch...*

*Schwycił mnie za ramię.*

*- Mietek, naprawdę myślisz?*

*Wyłożyłem mu szybko swój plan. Kręcił głową, gładził sobie dziąsła grubymi paluchami.*

*- Ale trzeba być w komando ładowaczy.*

*- Pogadam z kapo.*

*To był długi dzień. Przybyły dwa konwoje. Tysiące mężczyzn, kobiet, dzieci. Ich krzyki; odzież, ich włosy. Wytrzymaj, Marcin, wytrzymaj! Biegałem. Wieczorny apel był bardzo długi; do „lazaretu” pognano trzy „klepsydry” i innych więźniów, zbyt wielu, abym mógł ich policzyć.*

*W baraku nareszcie odszukałem Kiewego.*

*- Rozmawiałem - rzekł.*

*Zacząłem go wypytywać. Niepokoilo mnie, że powierzyłem swoje życie jemu i kapusiowi, miałem jakieś złe przeczucia.*

*Nie odpowiadał. Słuchał.*

*To jeszcze nic nie znaczyło; może zwykła ostrożność, którą każdy powinien tu zachować. Tej nocy źle spałem. Motor w dolnym obozie dudnił bezustannie i widziałem światła reflektorów za zasiekami, tam, na północnym wschodzie, skąd już nikt nie powracał.*

*Rano, na placu apelowym, wyciągnięto następne „klepsydry”. Potem przemówił do nas Lalka, oznajmiając, że jesteśmy bagnem tego świata. Wezwał kilku kapo, którzy, podbiegłszy, uderzyli się czapkami po pośladkach i stanęli na baczność. Potem weszli między nas. I niemiecki kapo, znajomek Kiewego, kazał jemu i mnie wyjść z szeregu.*

*Otoczyli nas Ukraińcy, ale nie popędzili nas do „lazaretu”; wraz z kilkoma jeszcze więźniami ruszyliśmy przez*

*Himmelstrasse, tą obrzeżoną kwiatami i czarnymi sosnami  
aleją wiodącą do ceglanego budynku. Z każdym krokiem  
ukazywał nam się coraz wyraźniej, masywny, surowy, z  
wąskimi drzwiami zwieńczonymi gwiazdą Dawida  
przypominał trochę synagogę. Szedłem. Nie wykorzystałem  
pierwszej okazji, zawarzyłem swoje życie innym i  
przegrałem. Obawiając się, że któregoś dnia musiałby  
zapłacić za naszą ucieczkę, kapo zapędził nas Himmelstrasse.  
W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, huk motoru potężniał,  
zgrzyt metalu drapiącego piasek brzmiał jak krzyk. Ukraińcy  
przekazali nas swoim rodakom pilnującym wejścia do  
dolnego obozu. Przeszedłszy przez zasieki, znaleźliśmy się  
przed dużym ceglanym budynkiem, wyposażonym w jedne  
tylko wąskie drzwi. Na prawo był barak „lazaretu”. Obeszli-  
śmy murowany budynek. I zobaczyłem tę olbrzymią koparkę,  
zagłębiającą swe stalowe ramię w żółty piach, a huk silnika i  
odgłosy rozkopywania ziemi rozległy się koło nas. Ukraińcy  
zaczęli wrzeszczeć do więźniów biegnących z noszami; pod-  
nieśli bicz i pałki, więc razem z innymi puściłem się pędem  
do noszy z grubego płótna, które nam wskazali. Chwyciłem za  
jeden koniec, Kieve za drugi i pobiegliśmy ku rozwierającym  
się w bocznych ścianach budynku drewnianym, trzymetrowej  
szerokości drzwiom.  
I zobaczyliśmy.*

*Tu trzeba by innego głosu, innych słów.*

*Zwłoki były nagie, splątane jak liany, żółte; na twarzach zastygła krew, która ściekała pomordowanym z nosa. To byli moi bracia, matka, Rywka, mój naród. Za przykładem innych chwytaliśmy zwłoki i pędzili z nimi do więźniów, którzy, wyposażeni w kleszcze, badali usta trupów i wyrywali złote zęby, potem podbiegaliśmy do rowu, wykopanego w żółtym piachu. Na dnie, na trupach stali więźniowie i układali zwłoki... zwłoki mojej matki, braci, Rywki. I zrzuciliśmy naszego pierwszego trupa. A po nim następne, niemal nie ustając w biegu; czasem układaliśmy w poprzek na noszach ciała kilkorga dzieci. A Ukraińcy kazali schodzić do rowu wszystkim, którzy biegli za wolno albo ładowali na nosze tylko jedne lekkie zwłoki. Sto razy wrzuciłem do rowu moją matkę, braci, Rywkę, mój naród, a o dziesięć metrów dalej ekskawator rozkopywał ziemię, chrapiąc jak zwierzę.*

*Zostałem jednym z Toteryuden, Żydów śmierci, i zobaczyłem, że getto, Umschlagplatz, wagon, którym przyjechaliśmy do Treblinki, i górny obóz, skąd tu przyszedłem, to jeszcze nic. Dno było tutaj. Dno życia, dno człowieczeństwa. A przecież ludobójcy mieli ludzkie twarze i takie same ciała jak te, które wrzuciłem do rowu, wyglądali tak jak ja; a wymyślili tę fabrykę śmierci, komory gazowe, pomyślane i wykonane bezbłędnie, wyposażone w gałki do pryszniców, przez które*

wypływał gaz, w kaflowe białe ściany i małe drzwi wejściowe, od których pochyła posadzka biegła do dużych drzwi, które otwieraliśmy i za którymi kłębiły się zwłoki.

Nasze zwłoki. Gdy byliśmy Żydami śmierci; byliśmy martwi.

Poza naszymi strażnikami nie widywaliśmy nigdy żywych ludzi. Czasem dostrzegałem z daleka, w górnym obozie, sylwetkę nagiego mężczyzny, biegnącego z naręczem odzieży.

Należałem teraz do królestwa śmierci, do świata pariasów.

Gdy przywożono nam żywność, furman nie zbliżał się, zostawiał wóz przed wejściem i któryś z nas szedł po kocioł.

Żyliśmy wyłącznie wśród trupów i zabójców. A jednak chciałem żyć. W zagrodzonym zasiekami baraku, stanowiącym więzienie, w obozie otoczonym obozem, samobójstwa były częste i co wieczór usiłowałem je udaremniać. Bo widziałem rowy ze stosami trupów i wiedziałem, że jesteśmy wszyscy świadkami. Mój głos wzmocni się tysiącami głosów zduszonych gazem i żółtym piaskiem; mój odwet będzie zemstą pomordowanych, których ciała więźniowie układali ciasno na dnie rowów. Gdy leżały już w dwóch albo trzech warstwach, koparka zasypywała wszystko piaskiem. Moje życie będzie życiem tych tysięcy, których zwłoki podnosiliśmy mocnym szarpnięciem i rzucali na nosze.

Wielu więźniów zdawało się nie rozumieć, co robią, jak gdyby ich ruchy już nie miały znaczenia. Stali się manekinami,

*spełniającymi rozkazy pod wpływem bicia i strachu. Inni, tak jak ja, starali się wytrzymać. A wieczorem walczyłem z samobójcami, gdyż powinniśmy zespolić się w jednolity blok, stać się pięścią, która kiedyś zabije, nim zostanie strzaskana. Ale samobójstwa nie ustawały i śmierć trzebiła naszą gromadę.*

*Pewnego dnia, kiedy?... W dolnym obozie przy rowach czas nie istniał, nawet rytm dnia, utrzymywany w obozie na górze, tutaj tracił sens. Pewnego dnia, gdy otworzyliśmy wielkie drzwi komór gazowych i ukazały nam się żółte, mokre trupy, które zaczęliśmy ciągnąć ku sobie, by położyć je na nosze, Kieve wydał nagle krzyk wściekłości i bólu; upuścił nosze i schwyciwszy jedno ze zwłok, zaczął nimi potrząsać, jakby chcąc się upewnić, że nie pozostała w nich ani iskierka życia, potem podbiegł do Ukraińca, który strzela. Po chwili Kieve legł w rowie. Nawet nie rzuciłem okiem na tamte zwłoki. Tacy byliśmy wszyscy, unikaliśmy spojrzenia w twarze zmarłych, nie chcieliśmy wiedzieć, czy nie znaliśmy, nie widzieliśmy już kiedyś tej twarzy.*

*Pilnował nas Iwan, olbrzymi Ukrainiec z malutką, jakby skurczoną głową. Zabijał z najbliższego powodu. Toteż ładowałem najcięższe trupy, niekiedy po dwa na jedno nosze, aby uniknąć uderzenia w twarz, które napiętnowałoby mnie jako „klepsydrę”, aby nie usłyszeć rozkazu: „Złaż”; wtedy trzeba było wskoczyć do rowu, a Iwan często zmuszał skazańców, by*

*kładli się na ciepłe jeszcze trupy, które zrzuciliśmy przed chwilą.*

*Musieliśmy być nieustannie w biegu, tak że ledwie dyszałem, a w dodatku dręczył nas głód. Wybierałem „dentystów”, którzy pracowali szybko i w niecałą minutę lustrowali jamę ustną trupa mężczyzny lub kobiety, ludzi, którzy pół godziny wcześniej byli żywymi istotami, obdarzonymi pamięcią, całym bogactwem wspomnień dawnego życia. Palec przesuwiał się po dziąsłach, a kleszcze wyrywały. Trzeba było wybrać sprawnego dentystę, gdyż w stanie krańcowego wyczerpania niełatwo jest stać nieruchomo z trupem w ramionach. A człowiek zmęczony musi zginąć.*

*Biegałem więc, starając się oddychać równomiernie, zaciskając zęby: żyć, Marcinie, żyć i zabijać ich. Te słowa tłoczyły mi się do oczu, ust, do głowy; były moim narkotykiem i pożywieniem. A gdy wieczorem słyszałem, że ktoś mówi: „Odpychaj”, co znaczyło, że któryś z więźniów ma odsunąć skrzynkę spod stóp jednego ze swych towarzyszy, aby pomóc mu umrzeć, usiłowałem zerwać się, by temu przeszkodzić. Ale niekiedy rezygnowałem, zachowując energię, aby ratować własne życie, bo ja przecież chciałem żyć. Potworność była nam czasem sprzymierzeńcem. Gdy uruchomili nowe komory gazowe, oparci o stos noszy łapaliśmy oddech, czekając długo, aż uda im się próba zabijania nowym środkiem,*



*którego używali po raz pierwszy. Zdarzało się, że któryś z „dentystów”, narażając się szaleńczo, przepuszczał mnie po pozornym tylko postoju. Ryzykował życiem. Jeden z nich, szczupły, młody człowiek o długich, białych dłoniach odznaczał się wyjątkową zręcznością. Dał mi znak, bym przeszedł ze zwłokami trojga zaledwie kilkuletnich dzieci. W tej chwili podszedł esesman, którego nazywaliśmy „Idioten”, gdyż ciągle częstował nas tym epitetem.*

*- Dlaczego? - spytał.*

*- Mieli tylko po pięć lat. Skąd by u nich złote zęby? Obok mnie stał Ukrainiec, który przyszedł za swoim panem.*

*- To dobra wymówka - powiedział idioten.*

*Gestem wskazał rów i młodzieniec o białych dłoniach legł w nim niemal jednocześnie ze zwłokami trojga dzieci.*

*Tu potrzeba innego głosu, innych słów.*

*Wśród ciepłych zwłok znaleźliśmy raz przytulone do trupów matek żywe jeszcze dzieci. I zadusiliśmy je własnymi rękami, nim wrzuciliśmy je do rowu, bo w ten sposób traciliśmy czas.*

*Oprawcom zależało na pośpiechu. Popędzali nas tak*

*brutalnie, że gdy kończyliśmy jedno zadanie, niemal na-*

*tychmiast czekało nas następne; wnet słyszeliśmy zbliżający*

*się zgiełk, szaleńcze wrzaski, ujadanie psów. Potem znajdo-*

*waliśmy okaleczonych mężczyzn, leżących na ziemi z*

*podbrzuszem zalanym krwią. Ludzie nauczyli psy zaganiać*

*żywych w otchłań śmierci.*

*Musiałbym posłużyć się innym głosem, użyć innych słów, by opisać chwile, gdy jak fala mdłości zalewał mnie wstyd, że jeszcze żyję, a zaraz potem wracała niezłomna wola przetrwania, aby opowiedzieć to, cośmy widzieli, co oni robili i do czego nas zmuszali. A im byli niegodziwsi, tym głębiej wierzyłem, że zostaną pokonani, że niepodobna, żeby królestwo śmierci stało się królestwem ludzi. Ta plaga skończy się któregoś dnia. A wtedy trzeba będzie wystąpić jako świadek i sędzia w imieniu tych poduszonych dzieci. W imieniu wszystkich zamęczonych. Biegałem, szczególnie zmordowany, gdy zwłoki były ciężkie; z ich wagi domyślałem się, że ci anonimowi zmarli pochodzili z krajów, które nie zaznały głodu, gdzie okrutny los zaskoczył Żydów żyjących w zupełnej nieświadomości i pokoju.*

*Wieczorem wracaliśmy otepiali ze zmęczenia, czując wkoło śmierć. Niektórzy więźniowie uśmiechali się łagodnie, jak wariaci, inni wymyślali sobie, czasem wszczynali bójki, niektórzy wieszali się. Nie mogłem zasnąć, oczekując tego zło-wróźbnego „odepchnij”, oczekując esesmanów. Wraz z Ukra-  
ińcami przychodzili nocą do naszego baraku po nowe ofiary, które zbierali przy drzwiach, a potem zabijali nad rowami. Ale niektórzy więźniowie byli wieczorem zbyt osłabieni, aby powlec się do środka lub w głąb baraku. Ofiarowywali się na*

*śmierć.*

*Miałem dość sił, by co wieczór położyć się jak najdalej od wejścia. A jednak zmogła mnie choroba.*

*Przez całą noc męczyły mnie koszmary; budziłem się gwałtownie, gdyż zdawało mi się, że słyszę słowo „odepchnij” i hałas odsuwanych skrzyń, że leżę w rowie między moimi rodzicami. Rano wymiotowałem czerwonawą śliną, było mi zimno, nogi mi się trzęsły, a oczy zachodziły żółtą mgłą koloru piasku w Treblince. Trudno mi było utrzymać się na nogach, a także poruszać ramionami. Mimo to stałem na apelu i biegałem wraz z innymi, choć własne kroki dudniły mi w głowie, a krzyki strażników jak igły raniły uszy. Wziąłem nosze i zaczęła się robota. Nowe komory gazowe pracowały sprawnie, przybywały liczne konwoje, spiętrzały się stosy trupów. Gryząc sobie policzki, spełniałem swe funkcje Żyda śmierci, mięśnie ramion drżały mi jak naciągnięte sprężyny, a ilekroć stawałem przed „dentystą”, bałem się, że runę u jego stóp. Nie otwierałem ust, bo zacząłbym krzyczeć; biegłem, rzucałem, nawet wciągałem swojego towarzysza w ten szybki rytm, widziałem, że Ukraińcy mnie obserwują. Gdybym zwolnił, byłbym trupem. A chciałem przecież żyć. Aby więc uśpić nieufność Iwana, oszukać jego śledzące mnie okrutne, lisie oczy, ładowałem najcięższe ciała. „To worki, Marcinie, dalejże, Mietek, wytrzymaj, przeżyj!” Zebrawszy się w sobie,*

*podnosiłem nosze i biegłem do „dentysty”. Biec znaczyło żyć.*

*Wytrzymałem prawie do końca, a mieliśmy długi dzień, komory były przepelnione, a zwłoki ciężkie. Nareszcie ostatnia runda, komory opróżniły się.*

*- Prędko - szepnąłem cicho, błagając wzrokiem „dentystę”.*

*Uniósł jednym palcem wargi trupa i przeszedłem.*

*- Halt!*

*Idioten stał przy mnie ze szpicrutą w ręku. Zawołał „dentystę”. Z boku lśnił złoty ząb. Nie czekając na rozkaz, człowiek wskoczył do rowu, a ponieważ ekskawator pracował blisko nas, nawet nie usłyszałem strzału. Idioten podniósł szpicrutę i uderzył mnie. Zachwiałem się, ale nie upadłem. Potem przesunąłem zwłoki „dentysty” w rowie. Wiedziałem, że nie wytrzymam ani jednego dnia dłużej. Palila mnie gorączka i myślałem, że jestem już skazany, skoro pokrwawiwszy mi twarz Idioten oznakował mnie jako „klepsydrę”, jednego z tych, którym na apelu kazano wychodzić z szeregów. Ale nie zwrócili na mnie uwagi i zacząłem pełznąć w głąb baraku, czolgając się po ziemi na niemal bezwładnych łokciach i kolanach. Wtedy podszedł jakiś człowiek i odciągnął mnie z głównego przejścia.*

*Pokazałem mu twarz.*

*- Klepsydra?*

*Było prawie zupełnie ciemno. Schylił się i przesunął mi*

*palcami po policzkach.*

*- Nie masz żadnych śladów - powiedział. Zdarzało się, że więźniowie kłamali, aby zapobiec nocnym samobójstwom.*

*- Nie odbiorę sobie życia - rzekłem.*

*- Nie masz żadnego znaku. Przysięgam ci.*

*Leżałem wstrząsany dreszczami, gorączką, mdłościami.*

*- Chory?*

*Usiłowałem zwymiotować.*

*- Trzeba wytrzymać - powiedział. - Skąd jesteś?*

*Znów napłynęła czarna fala wspomnień. Więzień miał akcent uliczników getta. Zacząłem mówić jak w malignie. Przemyt, setki przepraw przez mur, pachnące tak mile worki zboża, Frankenstein, kawiarnia „Sztuka”.*

*- Abram jest tutaj - powiedział.*

*Abram, tak zwany Abramle. Często wraz z Dziobatym,*

*Mokotowem-Mogilą, Piłą, Zamkiem-Mądralą i Pawłem,*

*Pawłem sprzed tamtej sierpniowej nocy, wpadaliśmy*

*hurmem do jego*

*restauracji. Abramle szczerze zastawiał dla nas stół, uśmie-*

*chając się błogo na myśl o sumce, jaką u niego zostawimy,*

*dowcipkując, pokpiwając z Pawła. Był jednym z moich naj-*

*wierniejszych klientów.*

*-W kuchni.*

*-A kto ty jesteś?*

*- Mosze. Znałeś Triska-Furę?*

*Ślepy Jankiel, Chaim-Małpa, Trisk; pamiętam, jak nie słuchając moich rad jechali ulicą Zamenhofa. A teraz dołączyłem do nich tutaj, w Treblince.*

*- Jestem jego krewniakiem - ciągnął dalej. - Pomogę ci.*

*Tak więc w tej otchłani okrucieństwa zbliżył się do mnie człowiek. Człowiek, który według litery prawa był przestępcą, wypowiedział tak dziwnie brzmiące tu słowa: „Pomogę ci”, które oznaczały gotowość podjęcia dodatkowego ryzyka w królestwie śmierci, gdzie każdy tylko jakimś cudem utrzymywał się przy życiu.*

*Mosze zaprzyjaźnił się z kilkoma kapusiami, dzięki Abramle odżywił się trochę lepiej i, nie wiedząc czemu, był protegowanym zabójcy Idioten. Chcąc przeżyć w Treblince, należało mieć znajomości wśród tych, którzy nie ginęli masowo z głodu, z nadmiaru morderczej pracy, na skutek pobicia lub przypadku - czyli wśród kapusiów.*

*Na rannym apelu miałem jeszcze gorączkę, ale ożywiła mnie nowa nadzieja. Jednak gdy esesmani i Ukraińcy lustrowali nasze szeregi, odwracałem twarz, obawiając się, że Mosze skłamał i że stałem się „klepsydrą”. Ale popatrzysz na mnie, poszli dalej, śmierć ominęła mnie.*

*Tego dnia nie pracowałem w komorach gazowych ani nad rowami, ale w komando sprzątaczy, w ogrodzie. Obracałem*

*studzienną korbę. Wykonujący razem ze mną tę robotę więzień pomagał mi jak mógł, męczył się sam, podczas gdy ja opierałem się tylko o stalowy drąg obrzeżający głębie, z której unosił się wilgotny chłód. Należałem teraz do kasty uprzywilejowanych w dolnym obozie. Ale na wieczornym apelu każdy z nas mógł zostać wyznaczony na śmierć. Nazajutrz również uniknąłem komór gazowych. Jeden z kapusiów zaprowadził mnie do kuchni. Tam rezydował Abramle, jak zawsze jowialny, ruchliwy. Wcale nie zdziwił się na mój widok.*

*- Spotykamy się tu wszyscy - rzekł. - Ostatni stół dla Mietka! Wskazał mi odległy kąt.*

*- Jedz prędko - powiedział, spoważniawszy nagle.*

*Łykałem gorące ziemniaki. Mój głód był większy niż gorączka. W ten sposób zdołałem trochę odpocząć, zyskać kilka dni, uratowany przez kilku współwięźniów, którzy nie ztraćili człowieczeństwa. I gdy tak stałem oparty o studnię, której korbę wprowadzał w ruch mój towarzysz, nie odzywając się do mnie ani słowem, byłem przekonany, że nadejdzie dzień, gdy ludzie pognębią te nikczemne bestie, które nas dziś zabijają; uwierzyłem, że trzeba żyć.*

*Ale śmierć czyhała na nas; Abramle, Mosze i ja byliśmy Żydami śmierci, uzależnionymi od kaprysów naszych panów, od wymogów „fabryki”. Na razie korzystaliśmy z*

*zawieszania. Ilekroć przybywał większy konwój, gnano nas nad rowy, do drewnianych drzwi komór gazowych i musieliśmy chwycić płócienną noszę i biegać w rytm dudnienia ekskavatora, wykopującego żółty piasek na następne rowy. Wytrzymałem. Dopóki jeszcze miałem gorączkę, podnosiłem i przenosiłem lekkie zwłoki, tak jak doradził mi Moszek, który mi je podsuwał, osłaniał mnie i ciągnął za sobą. Idioten przymykał oczy i dawał nam te fory, które dla mnie znaczyły życie. Stopniowo zwalczałem gorączkę, pozbywałem się jej bez pośpiechu, bo chciałem żyć, a dzięki Abramle dostawałem teraz o parę ziemniaków więcej i ominęły mnie tryby śmierci, regularnie zbierające swe żniwo w rowach i w „fabryce”.*

*Pewnego wieczoru Moszek nie wrócił do baraku: Iwan zastrzelił go koło kuchni, ponieważ nie biegł dość szybko. Tej nocy zrozumiałem, że jeśli nie ucieknę, niedługo i na mnie przyjdzie kolej. W dolnym obozie na wszystkich czekała zagłada. Nazajutrz nad rowem Iwan dał mi pierwsze ostrzeżenie. Moje nosze nie były dostatecznie obciążone, ale zamiast mnie zabić, co byłoby zupełnie normalne z jego strony, kazał mi stanąć przed sobą na baczność. - Jeżeli krzykniesz, Żydzie, zabiję cię. I zaczął grzmocić mnie po całym ciele, oszczędzając jedynie twarz, może przez pamięć o Moszku. Nie krzychałem; nie uszkodził mi wzroku, ale kazał mi zejść do rowu i stojąc na*



*zwłokach musiałem układać je niby drewniane kloce, depcząc po nich, jakby pół godziny temu nie były żywymi istotami, szarpanymi strachem, spragnionymi nadziei.*

*Wielu więźniów w dolnym obozie dostawało pomieszania zmysłów, inni przyzywali śmierć. Otrzymywali ją z rąk Iwana lub innych Ukraińców. Wylazłem z rowu mokry, z poplamionymi krwią rękami. Nie zostało mi już wiele czasu, moje życie dobiegało końca. Kaci zwrócili już na mnie uwagę, za długo byłem więźniem, na pewno popełnię błąd, który mnie zgubi.*

*Usiadłem w baraku; walczyłem, żeby przeżyć, ale to nie wystarczało. Reguły tej gry wymagały, żebym przegrał. Przepuściłem pierwszą sposobność, nie wskakując do załadowanego pociągu. Teraz znalazłem się u kresu podróży; może jeszcze parę dni, może parę godzin. Uciec albo zginąć. Wszystko, czego dokonałem, pamięć o moich bliskich, cała moja odwaga, gniew i zemsta obrócą się wniwecz, jeśli mi się nie uda.*

*Gdybym pogodził się z tą myślą, że tu umrę, oprawcy wygraliby ostatnią rundę i wszystkie zwycięstwa, które nad nimi odniosłem, na Pawiaku i w getcie, poszłyby na marne.*

*Muszę wydostać się stąd, właśnie z Treblinki, i jedynie to zwycięstwo będzie się liczyć, gdyż osiągnąwszy je, będę świadkiem, mścicielem, człowiekiem, dzięki któremu ożyją moi bliscy, wszyscy, których kochałem.*

*Powtarzałem sobie te słowa jak ślubowanie, aby wpaść w egzaltację, dodać sobie sił. Musiałem działać sarn: Mosze nie żył, Abramle był niepewny, inni mogli obawiać się represji. Musiałem liczyć tylko na siebie. Przez całą noc metodycznie układałem plany. Zasieki były nie do przebycia, wyjście przez Himmelstrasse nie wchodziło w rachubę: „fabryka” była strzeżona, wykluczone, by ktoś wydostał się przez bramę przy drodze do nieba. Pozostawało wyjście od zachodu, z którego korzystali esesmani i Ukraińcy, ale było zbyt oddalone od baraku, żebym mógł do niego dotrzeć, i niewątpliwie strzeżone. Była to jednak jedyna droga ucieczki z dolnego obozu do górnego, gdzie mogłem ponownie próbować dostać się do pociągu, jedyny sposób, jedyny plan do przyjęcia, szaleńczy, oczywiście, ale żyłem przecież w świecie szaleńców. Trzeba uciec albo zginąć. Ucieczka stała się moim obowiązkiem.*

*Czy zostawią mi dość czasu? O tym zdecyduje przeznaczenie. Dzięki Abramle udało mi się zostawać w kuchni, skąd miałem lepsze pole obserwacji. Przychodziło mi do głowy, żeby zabić któregoś esesmana lub Ukraińca i wyjść w jego mundurze. Ale to wydawało mi się nieziszczalnym marzeniem. Czekałem; każda przeżyta godzina była zdobytym atutem, a cel, który sobie postawiłem, dodawał mi sił. Kazano mi znów wrócić nad rowy. Pracowałem jak maszyna, biegałem, niecierpliwie*

*drepcząc w miejscu przed „dentystą”, nie wolno umrzeć,  
musiałem wytrwać.*

*Nie mam pojęcia, jak długo to wytrzymałem, ile godzin, ile  
dni. W Treblince nie istniała normalna miara czasu. Żyłem  
tak aż do chwili, gdy zobaczyłem ciężarówkę pełną  
esesmanów, która, przejechawszy przez główną bramę,  
skierowała się do naszych baraków. Esesmani śpiewali.*

*Weszli do pomieszczenia, gdzie składowano powyrywane  
trupom złote zęby, rozkradane często przez Ukraińców.*

*Wypytywałem Abramle, który wiedział różne rzeczy od  
kapusiów.*

*- Esesmani przyjeżdżają, żeby zabrać sobie złoto. Przecież  
wiesz, Mietek, Żydzi są bogaci.*

*I zaczął się śmiać.*

*Obserwowałem ciężarówkę. Nikt jej nie pilnował. Widziałem,  
jak nie zwalniając nawet wyjechała przez zachodnią bramę, a  
esesmani wskakiwali do niej, klepiąc się po plecach. Potem  
znikła za barakami górnego obozu. Tam była moja szansa.*

*Wieczorem opracowałem sobie plan. Czuwałem; jak każdej  
nocy, tak i tej powiesiło się kilku więźniów. Parę razy usły-  
szałem słowo „odepchnij” i szuranie skrzyni na podłodze. Gdy  
zapadła cisza, zakłócona jękami śpiących, których dręczyły  
złe sny, podszedłem do wisielców, przysunąłem skrzynię;  
delikatnie brałem w ramiona moich martwych towarzyszy,*

*którzy mi dopomogą. W Treblince wieszano się na paskach, a  
mnie potrzebne były paski. Brałem w ramiona moich  
towarzyszy i, odwiązawszy ich, zabierałem paski. Następnie,  
szczipając po dwa razem, zrobiłem dwa mocne popręgi,  
owięzałem się nimi jak liną, która w czasie ewakuacji getta  
służyła mi w ucieczce ze szpitala i Umschlagplatzu. Nikt nie  
zdziwi się nazajutrz rano, znajdując zwłoki na podłodze.*

*Jakież znaczenie miały leżące w baraku trzy trupy dla nas,  
którzy zbieraliśmy codziennie setki zwłok!*

*Wróciwszy rano nad rowy, robiłem wszystko, żeby tylko nie  
zginąć tego dnia. Kładłem na nosze po dwa, trzy trupy.*

*Więzień, który prznosił je ze mną, dyszał ze zmęczenia. Bie-  
gałem, żeby żyć. Przez następne kilka dni trzymałem się w  
pobliżu kuchni, z łopatką w ręku, bałem się jedynie apeli,  
spojrzenia jakiegoś pijanego Ukraińca, pecha, który zabija.*

*Wreszcie któregoś wieczoru, gdy słońce zniknęło już za  
drzewami zamykającymi horyzont w Treblince, w tumanie  
żółtego kurzu przyjechała znów ciężarówka z esesmanami.*

*Kierowca zahamował ostro przed barakami i esesmani zesko-  
czyli na ziemię. Byłem tylko niewyraźną sylwetką w mroku, a  
ich myśli zaprzętało złoto.*

*Oparłem łopatkę o barak i rozejrzałem się dokoła. Uda mi się.*

*Całe moje życie, życie wszystkich pomordowanych, wszyscy  
moi bliscy byli przy mnie, aby mnie chronić; potrzebowali*

*mnie. Dopnę swego, bo muszę. Wsunąłem się pod ciężarówkę.*

*Wymacałem pręty, poprzeczki podwozia, i przesunąłem przez nie paski, którymi się okręciłem, czepiając się paznokciami chropowatej stali, z twarzą przylepioną do metalu, do którego przylegałem ciasno, całą moją wolą, całym życiem.*

*Ciężarówka była moim ciałem, opiekuńczą matką, wcisnąłem się między jej koła jak do brzucha i tylko śmierć mogła mnie ^stamtąd wyciągnąć. Byle nie myśleć o zmęczeniu. A przecież zdawało mi się, że nie wytrzymam. Mięśnie mi drżały, paski wrzynały się w szyję, w nogi; jakże ciężkie było to moje niedożywione ciało. Czas dłużył się jak agonia. Wreszcie usłyszałem ich śmiechy, odgłos kroków w ciężkich butach tuż nademną. Zawarczał silnik, ciężarówka drgnęła i ruszyła z miejsca. Po paru metrach o mało nie zawyłem głośno, tak dotkliwie zapiekła mnie oparzona stopa, którą dotykałem rury wydechowej; przesunąłem się trochę. Tworzyłem teraz całość z wibrującą maszyną, tą matką, która mnie unosiła, szarpiąc bezlitośnie i zasypując tumanem kurzu.*

*Trzymałem się. Dziękuję wam, towarzysze, nieszczęśni samobójcy, dziękuję ci, Moszek, i tobie, nieznajomy kolego, który obracałeś za mnie korbę studni, dziękuję, Abramle, za gorące kartofle, które dodały siły moim palcom i dłoniom. Dziękuję ci, narodzie mój! Dziękuję wszystkim zwłokom w rowach i wam, dzieci, które udusiłem własnymi rękami, aby wam*

*oszczędzić śmierci pod zwalami wilgotnych trupów, dziękuję,  
że daliście mi wiarę w siebie i ciężarówkę, która mnie wiezie.  
Trzęsę się pod tobą, maszyno, niemiłosiernie, ale uczepiłem  
się ciebie mocno i nie ma siły, która by mnie oderwała. Śmia-  
ło, Marcin, śmiało, Mietek!*

*Jechaliśmy po gruzłowym piasku z warkotem motoru i  
smakiem kurzu w ustach. Wreszcie ciężarówka zatrzymała  
się. Dokoła rozległy się wrzaski, przekleństwa, jak zawsze  
podczas apelu. Usłyszałem stuk ich buciorów; widocznie ze-  
skoczyli na ziemię. Ale musiałem czekać. Chwytały mnie bo-  
lesne kurcze, ścigały mi mięśnie tak, że ledwie mogłem po-  
ruszać palcami, i gdyby nie dwa paski, które podtrzymywały  
mnie na wysokości szyi ł tydek, byłbym niewątpliwie spadł na  
ziemię. Wytrzymałem jednak. Słyszałem rozmowy i kroki  
koło ciężarówki, potem nagle ściemniło się i w obozie zapadła  
cisza. Czekałem jeszcze. Światła reflektorów omiatały zasięki;  
od czasu do czasu trzaskały drzwi któregoś baraku i jakieś  
głosy nawoływały po niemiecku. Rozluźniłem jeden z poprę-  
gów i osunąłem się na dół. Co za rozkosz dotykać ziemi, wy-  
ciągnąć się na tym piasku, który stał się grobem moich naj-  
bliższych, a mnie przyjmuje tak życzliwie! Przyłgnąłem do tej  
ziemi całym ciałem, objąłem ją obolałymi ramionami, wtuli-  
łem w nią zdrętwiały kark. Wiedziałem, że muszę być ostroż-  
ny, więc znów uczepiłem się ciężarówki, opadając na ziemię*

*tylko chwilami, gdy obawiałem się, że zacznę krzyczeć z bólu. Rozciągnąłem się właśnie na plecach, gdy usłyszałem nagle odgłos stąpania. Nie zdążyłbym już uczepić się podwozia; chwyciłem buteleczkę cyjanku, którą dostałem od Moszka, gotów podnieść ją do ust. Nie odwróciłem się nawet, oczekując błysku latarki, krzyku, strzału. Po chwili poczułem, że kładzie się koło mnie jakieś stworzenie: był to jeden z olbrzymich, płowych owczarków niemieckich; obwąchał mnie przyjaźnie, a gdy go pogłaskałem, polizał mi dłoń. Pokręcił się trochę koło mnie, a potem, łagodny, życzliwy, odszedł w cichą noc, podczas gdy w wąskich korytarzach „fabryki”, na które wychodziło pięcioro drzwi komór gazowych, jego koledzy, psy tej samej rasy, tresowane, by zabijać, rzucały się na ludzi i rozdzierały im podbrzusza. Ale kto był dziką bestią, człowiek czy pies? Z psa, tak jak z człowieka, można zrobić wszystko. Nie ma rasy ani nikczemnych ludzi, ani psów, ale są ludzie, którzy stali się oprawcami, i ci, którzy ich tego nauczili. Może istnieją społeczeństwa, które produkują więcej ludobójców niż inne. Gdy pies odszedł, pomyślałem, że może sprowadzić swojego pana, więc znów przywiązałem się do ciężarówki, ale po chwili odzyskałem spokój. Teraz musiałem już tylko czekać. Jeżeli ciężarówka ruszy, uczepię się jej, jeśli nie skorzystam z odpowiedniej chwili, z pierwszej sposobności.*

*Rano ochłodziło się. Nisko nad ziemią unosiła się lekka mgielka, niczym dobra wróżka. Z wieżyczki obserwacyjnej rozległ się strzał, oddany z karabinu maszynowego w stronę dolnego obozu, tam gdzie była koparka, gdzie został Abramle i moi towarzysze z baraku. Gdyby ktoś w ogóle zauważył moją nieobecność, to chyba tylko Abramle i na pewno długo nie zaprzętałby tym sobie głowy. Dla naszych katów nie mieliśmy numerów ani żadnych dokumentów, ani twarzy, byliśmy trupami, które jeszcze pracują, przedmiotami, które czasem krzyczą lub zabarwiają się na czerwono, gdy trafia je kula. Byliśmy niczym. Słyszałem zgrzyt koparki, najgłośniejszy, gdy szuflada zagłębiała się w pierwszą najtrudniejszą do od-sypania warstwę piachu: kopano nowe rowy; zaraz więźniowie ruszą do pracy, „klepsydry” wysuną się sami z szeregu, inni będą biec z obładowanymi noszami. Wydostałem się z dolnego obozu, z krańca Himmelstrasse, skąd się nie powraca, skąd - jak powiadają towarzysze - nikomu jeszcze nie udało się trafić gdzie indziej, jak do nieba. Wydostałem się stamtąd i wiedziałem, że muszę uciec także z górnego obozu, to było moim obowiązkiem, to sobie ślubowałem, a gdy tu, na górze, słyszałem dudnienie koparki i oczyma wyobraźni widziałem rowy i moich towarzyszy, stojących na warstwach trupów, gdy znalazłem się tu z dala od nich, a przecież wciąż z nimi, czułem w sobie wzrastającą na-*



*dzieję i siłę. Powiedzie mi się. W imię tych, których kocham.*

*Mgła zgęstniała. Dobiegał mnie nie zmieniony głos Lalki, który obwieszczał naszą nicość i nasz bliski kres; nadeszła pora apelu. Okręciłem się popręgami i czekałem. Za chwilę postawię wszystko na jedną kartę. Koło ciężarówki usłyszałem głosy, prowadzące rozmowę w jidysz; doczołgałem się aż do kół. O jakieś dwadzieścia metrów dalej stała gromadka więźniów. Wyprostowałem się i stanąłem koło ciężarówki, szukając wzrokiem ukraińskich strażników. Zbliżyłem się we mgle, która była mi sprzymierzeńcem. Szedłem na sztywnych nogach, ramiona mi ciążyły. Potknąłem się o niewidoczną we mgle taczkę. Schwyciłem ją. Nikt nie zdołałby mi jej wyrwać. Jeden z więźniów odwrócił się. Spojrzał na mnie zdumiony, płonącymi gorączką oczami.*

*- A ty skąd się tu wziąłeś? Skinąłem głową.*

*-Później.*

*Zawahał się sekundę, po czym wzruszył ramionami. W Treblince mało kto interesował się kimkolwiek poza samym sobą. Przez chwilę stałem z tą grupą, był to oddział sprzątaczy, a na apelu odsunąłem się daleko od nich. Wiedziałem, że muszę zgubić się w tłumie więźniów. Szansę przetrwania dawało mi barbarzyństwo katów, regularne egzekucje; co dzień wyciągali z szeregów i prowadzili do „lazaretu” ludzi, których trzeba było przecież zastąpić.*

*Podobnie jak w dolnym obozie, w górnym nie było żadnych nazwisk, numerów ani twarzy. Dostałem zupę, tak jak inni.*

*Udało się. Nie byłem już na dnie otchłani.*

*Rozpocząłem znów życie w górnym obozie. Żyłem mimo potworności, których byłem świadkiem, mimo że już wiedziałem, co to rowy i „fabryka”; wydostałem się z ostatniego kręgu piekieł i żyłem, chciałem żyć, gdyż miałem nadzieję. Biegając ze zgiętym grzbietem i twarzą zwróconą ku ziemi, powtarzałem sobie, że również i tu, tak samo jak na Pawiaku i w alei Szucha, zatriumfowałem nad nimi, władcami, królami śmierci. Jedyнным moim orężem była wola i to dowodziło, że jestem człowiekiem, że góruję nad nimi. Zabijają, wrzeszczą, ale są tylko opętanymi pajacami. Gadaj sobie, Lalko, mów, że jestem błotem, plugawym robakiem, przemawiaj, ty arogancka czarna kukło; jestem człowiekiem, zwycięzę, prześlizgnę się między twoimi palcami.*

*Miałem tylko jeden cel: przydział do komando zatrudnionego przy załadunku wagonów. Musiałem jednak działać ostrożnie i sam: starać się zbadać „układy” w obozie, rozpoznawać kapusiów i stanowiących tutejszą elitę „złotych Żydów”.*

*Musiałem wymykać się śmierci, pracować szybko, kryć twarz, stać się szarym, niewidocznym. Nie wolno mi było opaść z sił; toteż mimo ryzyka jednym szybkim ruchem przesuwałem odzież, którą zanosiliśmy do sortowni, nie rusza-*

*jąc żuchwami łykałem znalezione sucharki lub kostki cukru.*

*Skulony, odczepiałem od garderoby etykiety, aby stała się anonimowa; ryzykowałem, ukryłem stalowy nóż, który znalazłem w czyjejś skórzanej kurtce; bo przecież będę musiał wy dostać się jakoś z wagonu. Przeszedłem powtórnie przez wszystkie rodzaje służby, przenosiłem worki włosów, wysortowanych według kolorów, naręcza obuwia. Potem musiałem pracować w „lazarecie”. Tam znów spotkałem się z żywą śmiercią. Barak, nad którym wznosił się ogromny czerwony krzyż, znajdował się we wschodniej części obozu, za placem, na którym sortowano odzież. Poczekalnia robiła przyjemne wrażenie, była czysta, wyposażona w wygodne fotele. Stamtąd przechodziło się do izby przyjęć, do której nowo przybyłych wpychał więzień w białej bluzie. Ale w tej sali znajdowało się, zasłonięte kotarą, szeroko rozwarte wyjście, za którym czekał nad rowem uzbrojony Ukrainiec. Musiałem znów przenosić nie ostygłe jeszcze zwłoki starców, dzieci, kalek, ale udało mi się stamtąd wymknąć, zagubić w innych komandach. Jak dawniej przychodziły transporty i jak dawniej musiałem wytrzymywać straszliwe, błędne spojrzenia dzieci i kobiet. Niektóre chwytaly mnie za rękę. -*

*Co się dzieje? Gdzie jesteśmy?*

*- Nic, nic. Wszystko w porządku.*

*Co mówić? Co robić? Niektóre twarze wydawały mi się*

*znajome. Niezbyt wychudzonym mężczyznom, którzy mieli ja-*

*kąś szansę przy selekcji, szeptałem:*

*- Nie rozbieraj się.*

*Robiłem to z narażeniem życia, gdyż nie wolno nam było odzywać się do nowo przybyłych i w ogóle ich dostrzegać.*

*Któregoś dnia jakiś nabrzmiały radością i trwogą*

*rozdzierający głos kobiety zawołał do stojącego obok mnie*

*więźnia:*

*- Szlojme, Szlojme, to ja!*

*Wiedziałem, że zainterpelowany nie obejrzy się, że uwija się*

*szybko, żeby nie zareagować, słyszałem jego oddalające się*

*kroki i głos, który krzyczał:*

*- Szlojme, Szlojme, to ja!*

*Potem ciężkie buciory zbliżyły się, poszły za Szlojmem,*

*którego twarzy nawet nie zdążyłem dostrzec; padł strzał. Le-*

*piej pozbyć się więźnia, który zobaczył, że przywieziono jego*

*matkę czy siostrę.*

*- Szlojme, Szlojme! - wołała dalej kobieta.*

*Czyściłem wagony, wynosiłem zwłoki tych, którzy zmarli z*

*pragnienia: dzieci i starców. Na każdym wagonie widniała*

*wypisana porządnie kredą liczba osób, które mieścił: 120,*

*160, 145. Tam, na Umschlagplatz, jakiś pedantyczny esesman,*

*może ten mały z nieodłączną szpicrutą, kontynuował swą*

*metodyczną robotę. Przybycie każdego konwoju było dla*

*mnie nową męką; zdawało mi się, że z wagonu wysiądzie znów moja matka, bracia, Rywka, że znów będę musiał patrzeć, jak odchodzą, pozwolić im umrzeć. A teraz wiedziałem już wszystko, wróciłem stamtąd, gdzie pracuje koparka, gdzie w korytarzach wyją psy, gdzie niektóre dzieci żyją jeszcze, gdy rozwierają się szerokie, drewniane drzwi. Wiedziałem, widziałem to wszystko. I w każdym konwoju wypychano z wagonu na peron moją matkę, ojca, Rywkę, braci, mój naród.*

*A ja byłem bezsilny. Czasem mężczyźni i kobiety krzyčili:*

*- Nie jesteśmy Żydami!*

*Jak zagubione, oszalałe zwierzęta podbiegali do Ukraińców lub esesmanów, skowycząc:*

*- Polak, nie Żyd, nie Żyd, katolik! Nienawidzę Żydów!*

*Natychmiast padali od kuli albo dzielili wspólny tu wszystkim los. W Treblince nie chodziło o zabijanie Żydów, o wytępienie pewnej określonej rasy; oprawcy chcieli wyniszczyć człowieczeństwo; postanowili zacząć od ludzi zwanych Żydami, ale na zagładę skazani byli tu wszyscy. Przy życiu pozostać mieli tylko kaci oraz ich psy. W Treblince dokonywano zagłady. Ale żeby lepiej zamaskować te gigantyczne przedsięwzięcie, ludobójcy próbowali ukryć człowieka pod nazwą Żyd.*

*Toteż Polacy, którzy wyskakiwali na peron krzyjąc: „Nie Żyd, nie Żyd, katolik!”, ginęli. Dla oprawców to nie miało zna-*

*czenia; ci Polacy byli przecież ludźmi, należało ich zatem wykończyć. Słuchałem przeraźliwych krzyków tych, których złapano może gdzieś w pobliżu muru getta lub którzy mieli semickie rysy twarzy. Zginą, nie rozumiejąc, że ani ich wyznanie, ani rasa nie chroniłaby ich długo, że prędzej czy później musieliby dokonać wyboru między losem bestii a życiem człowieka. Żyd czy nie Żyd - to nie miało znaczenia. Naprawdę istotny był tylko człowiek:*

*To także będę musiał rozgłaszać po świecie. Ale czas mijał, a w Treblince więźniowie umierali szybko. Staralem się pracować w komandach zatrudnionych na peronie. Tam stykałem się z okropnością konwojów, ale tylko stamtąd mogłem uciec. Pewnego dnia Ukraińcy wyprawili mnie do rozbieralni, gdzie pracowała część „czerwonego komanda”. Miałem pomagać rozbierać się dzieciom i starcom. Nowo przybyli ruszali się wolno, niesprawnie, zmordowani, osłabieni podróżą. Pytali głosem i oczami. Ja wiedziałem. Byłem chyba jedynym spośród więźniów „czerwonego komanda”, a może nawet spośród wszystkich więźniów górnego obozu, który widział to na własne oczy. Poznałem ich los. Całą moją istotą, oczami, rękoma, wiedziałem, co ich czeka, a musiałem ich przynaglać, moją matkę, braci, i powtarzać:*

*- Nic, nic. Wszystko w porządku.*

*A widziałem już wrzucone do rowu wilgotne, żółte zwłoki. I byłem bezsilny.*

*Wracałem kilkakrotnie do rozbieralni, aż w końcu uczulem, że nie wytrzymam dłużej, że rzucę się na któregoś Ukraińca czy esesmana, żeby go zabić. Znalazłem się znów u kresu drogi, w punkcie, w którym istnieje już tylko wybór między życiem a śmiercią. Musiałem ryzykować.*

*Jeden z kapusiów był warszawskim Żydem, jednym z uliczników, którzy czyhali przy „metach” i wymuszali haracz od przemytników przerzucających worki do getta. Uprzednio już zamieniłem z nim kilka słów.*

*- Ty jesteś Mietek - powiedział. Potem zapadło długie milczenie.*

*- Twoje zboże na nic im się nie przydało.*

*To była tylko intonacja, ale w jego głosie oprócz rozpaczli zabrzmiała nuta braterstwa. Postanowiłem zaryzykować.*

*Siedzieliśmy obok siebie w głębi baraku.*

*- Przychodzę stamtąd.*

*Znów milczenie. Nie pytał o nic i to był dobry znak.*

*- Słyszysz?*

*Tej nocy ekskawator rozkopywał ziemię. W ciągu dnia przyjechały dwa transporty, jakby w Warszawie czy w innych zakątkach Polski albo jeszcze gdzieś dalej przybywało ciągle Żydów.*

*- Kopie rowy.*

*Zacząłem opowiadać i przeciągnęło się to do późnej nocy.*

*Mówiłem o Abramle, o Moszku, których zapewne znał z ulic getta z czasów, gdy istniało jeszcze życie. Milczał długo, a potem rzucił:*

*- Mietek, nigdy nie opowiadaj!*

*Wygrałem, znalazłem człowieka.*

*- Muszę być przy załadunku wagonów, przy najbliższym załadunku.*

*Nie rozłączaliśmy się aż do apelu.*

*- Nigdy nie opowiadaj - powtarzał.*

*Nie widziałem go przez kilka dni - nie wiem, jak długo; czas ludzi i życia nie istniał w Treblince. Przechodziłem z Jednego komanda do drugiego. Aż któregoś dnia, gdy rozchodziliśmy się po apelu, kopnął mnie kilka razy w lędźwie, wrzeszcząc:*

*- No jazda, ruszaj się, biegiem!*

*I pchnął mnie w stronę innego kapo, przy komandzie załadunku.*

*Obrzucani obelgami kapusiów ruszyliśmy na peron, przy którym czekał już pociąg z otwartymi pustymi wagonami; paki były gotowe do załadunku.*

*Dziękuję ci, towarzyszu, dziękuję, człowieku.*

*Pamiętałem dokładnie wszystkie szczegóły planu, który obmyśliłem dawno temu, jeszcze przed pobytem w dolnym*



*obozie. Składałem pakunki w kącie wagonu, nie za wiele, nie za mało, akurat tyle, ile było trzeba, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi; być niczym jedna z mrówek w pracowitej, bezimiennej kolumnie. Potem przeniosłem się z tego kąta i jamy, którą tam zrobiłem, na drugą stronę wagonu.*

*Pracujący ze mną więźniowie rzucali na stos paki, które upychałem. Skakałem, wspinałem się, układałem coraz wyżej. Kapo wrzeszczał, Ukraińcy i esesmani chodzili po peronie, rojącym się od więźniów, którzy zgięci wpół biegali, wskakiwali do pociągu, ładowali. Zostałem sam w wagonie najwyżej minutę, ale to wystarczyło. Dałem nura do przygotowanej jamy, przysunąłem pakunek, który zamknął otwór mojego schowanka, wyciągnąłem ręce, żeby podtrzymać piętrzące się nade mną toboły, blokując inne plecami i głową. Czulem uderzenia pak, które zwałali więźniowie i które pchały mnie coraz bliżej ściany wagonu, zacieśniając ten mój kąt wolności. Potem zapadła cisza. Czekałem, ściskając w prawej dłoni buteleczkę z trucizną, a w lewej nóż. Usłyszałem jakieś głosy, huk wystrzału. Prawdopodobnie któryś Ukrainiec czy esesman zabił na peronie jakiegoś więźnia. W moim schowanku nie słyszałem koparki, jakbym już opuścił piekło.*

*Zaczęły dobiegać mnie zgrzyty i trzaski, esesmani zamykali wagony. Chwila ciszy i krzyki, może któryś wagon nie został*

*dostatecznie załadowany, po czym znów zgrzyty i trzaskanie drzwiami. Zamknięto mój wagon. Potem następne. Czekam. Pociąg drgnął i zatrzymał się. Na jak długo? Znów czekanie, długie, jak połączone w jeden łańcuch zniweczone, wrzucone do rowu życie tych wszystkich ludzi; jak ów apel, gdy bałem się, że uznają mnie za „klepsydrę”, jak droga z komór gazowych do rowów, gdy trawiła mnie gorączka, jak tortury, które przeszedłem w gestapo, i równie nieznośne jak ta chwila, gdy zawołali: „Mężczyźni na prawo, kobiety i dzieci na lewo”, i rozdzielono mnie z matką, braćmi i Rywką. Tak długie, jak cały mój pobyt w Treblince.*

*Wreszcie mój wagon zaczął toczyć się po szynach, z początku wolno, lecz niebawem przez szpary w drewnianych ścianach powiało świeżym powietrzem.*

*Słyszeć było zgrzytanie osi, sapanie lokomotywy, rytmiczny, głuchy stukot kół. Wszystkie te odgłosy pracującej maszyny działały na mnie kojąco.*

*Ten pociąg to był krzyk, krzyk mojego życia.*

*Będę opowiadał o Umschlagplatzu, wagonach i rowach*

*Pociąg jechał. Tkwiłem tuż przy ścianie wagonu, badając chropowate deski, których tyłu moich braci dotykało ustami, czolem, na których tyłu połamało paznokcie między Warszawą a Treblinką. Zmusiłem się, by czekać, nie dać się ponieść egzaltacji, zwalczyć niepokój i strach, które podszeptywały*

*mi, by podziurawić to drewno, przebić je głową, wepchnąć  
nóż byle gdzie, zębami, dłońmi powyrywać deski, które  
odgradzały mnie od wolności. Powoli opanowałem się,  
złapałem oddech, odzyskałem zdolność myślenia, ułożyłem  
sobie plan. Zacząłem od rozszerzenia szpary między dwiema  
deskami, żeby wyjrzeć na świat, i nagle ujrzałem horyzont,  
ciemnoczerwoną przestrzeń, nie okaleczoną wieżami  
wartowniczymi ani zasiekami, ograniczoną jedynie ciemnym  
pasmem lasów, lekko zamglonych w zapadającym zmierzchu;  
zobaczyłem uprawne pola, zawleczone miejscami szarawymi  
kłębami oparów; ukazał mi się rozległy wiejski krajobraz,  
gdzie nie było ani jednego człowieka w hełmie, żadnego trupa  
czy kolumny przygarbionych więźniów. Nie mogłem oderwać  
oczu od tego widoku, tych pól i łąk, spokojnych i cichych,  
pogodnych i sennych, od tej piaszczystej, niewinnej ziemi,  
miejscami zalanej bagnami, gdzie umiejscowiono Treblinkę.  
Pociąg zwolnił znacznie i znów ogarnął mnie niepokój.  
Przejeżdżaliśmy przez jakiś dworzec. Pod ścianą leżała broń,  
kaski i plecaki, które zdjęli żołnierze, posilający się teraz na  
peronie. Niektórzy, z menażkami w rękach, rozsiedli się tuż  
przy torach, patrząc na pociąg, i zdawało mi się, że spotkają  
moje spojrzenie, zerwą się, zaczną krzyczeć. Ścisnąłem w rękę  
nóż - nigdy nie wrócę do Treblinki. Potem pociąg znów nabrał  
tempa i mknął wśród pól, w zupełnych już ciemnościach.*

*Wówczas zabrałem się do roboty; rozpychałem, obrzynałem deski, drzazgi wchodziły mi w palce, pocilem się. Znow mineliśmy jakiś opustoszały dworzec, oświetlony jedynie dwiema żółtymi, migotliwymi latarniami. Gdy tylko wjechaliśmy ponownie w ciemność, z całej siły oparłem się o paki odzieży, odepchnąłem się gwałtownie, i nagle deski ustąpiły z trzaskiem, owiał mnie wilgotny, zimny pęd powietrza, a moja kryjówka napelniła się hukami pociągu i zapachem wsi. Musiałem się spieszyć, bo następny dworzec mógł roić się od żołnierzy. Czepiając się desek i nie puszczając ścian skulony wychyliłem się na zewnątrz w głęboką jak otchłań noc. Ale nie czułem strachu. Od lat moje życie składało się ze skoków w próżnię, z wypadków w nieznanie. Poza tym przybywałem z miejsca, gdzie jedynie ludzie są okrutni, ale nie rzeczy. Dlaczego miałbym się bać skoku w czarną noc? Szybkość, ziemia, ciemność, nawet kamienie wydawały mi się przychylniejsze niż bestie o ludzkich twarzach, z którymi miałem tam do czynienia. Oslaniając głowę ramionami wskoczyłem, stoczyłem się ze skarpy i wylądowałem w obrośniętym trawą rowie pełnym lodowatej wody. Oszołomiony wsłuchiwałem się w ciszę, w szum wiatru wśród drzew, w plusk wody. Doczołgawszy się do brzegu rowu, przytuliłem twarz do wilgotnej, tłustej ziemi, wdychając zapach trawy i wody, usiłując zapomnieć prześla-*

*dujący mnie uporczywy zapach śmierci, zwłok, rowów z trupami, tę unoszącą się nad Treblinką woń, którą przesiąkła moja odzież. Tarzałem się w trawie, nacierałem sobie twarz liśćmi, napiłem się wody z rowu; wstałem wreszcie, cały drżący wśród naturalnych szmerów nocy, z daleka od dyszenia ekskavatora, który od tygodni regulował rytm mojego życia.*

*Całą noc szedłem przez pola, przez moczary, które oblepiały mi nogi błotem, rozgarniając gałęzie niskich, ciemnych świerków, których kępy porastały równinę. Kilkakrotnie drgnąłem na widok stosów buraków, podobnych do stert odzieży, które ustawialiśmy na placu przy sortowni w Treblince; ale to były po prostu płody ziemi, ciężkie i chropowate jak kamienie, i można je było oskrobać, a potem długo żuć słodkawym, twardym miąższem. Rankiem ujrzałem, jak nad mgłą wstaje zasnuwane obłokami słońce, i wpatrywałem się w ogromny, czerwony krąg, szczęśliwy, że mogę już bez strachu spoglądać w niebo. Potem wszedłem do lasu i zmordowany wyciągnąłem się na skraju, pod drzewami, zajadając buraki. Pode mną była ziemia, przyłgnąłem do niej brzuchem, nogami, położonymi na płask dłońmi, jakbym ufał, że tchnie we mnie swoją siłą, przywróci mi równowagę, nauczy, jak zacząć na nowo żyć. Odrywałem płatki mchu i przyglądałem się pełzającym pod nim długim, brązowym robakom, śledziłem monotony, cierpliwy marsz*

*mrówek. Odkrywałem na nowo czas i rzeczy. Tak minął dzień. Widziałem w dali sylwetki wieśniaków postępujących za swymi końmi, jakiś wóz na drodze, a na wschodzie, tam gdzie wzeszło słońce - wioskę.*

*Musiał minąć jeszcze jeden dzień i noc, nim uwierzyłem własnym oczom, uszom, wszystkim swoim zmysłom, że natura żyje dalej mimo istnienia Treblinki, a ludzie normalnie wykonują prace polowe, postępując spokojnie za swymi końmi. Dzień i jeszcze jedna noc; myślami byłem wciąż w Treblince, przy mojej matce, braciach i Rywce, nad otwartymi rowami, ale obok tych wizji odrodził się świat, w którym uczyłem się znów poruszać. Rankiem drugiego dnia otrząsnąłem się z otumanienia człowieka skazanego na śmierć. Wydostałem się stamtąd, żeby rozgłaszać wśród swoich prawdę o Treblince, żeby się zemścić, a kto wie, może ojciec również przeżył? Umyłem się lodowatą wodą z sadzawki i poszedłem wzdłuż skraju lasu; musiałem przyzwyczać się spoglądać znów w niebo i na ludzkie twarze. Aby dochować wierności zmarłym w Treblince, musiałem nauczyć się żyć jak normalni ludzie i wśród nich przestać myśleć o Treblince, żeby o niej nie zapomnieć.*

*Drugiego dnia, koło południa, odważyłem się wyjść z lasu i ruszyłem na przelaj polem w stronę szosy, na której stała załadowana burakami fura. Na poboczu siedział wieśniak.*

*Miał ogorzałą twarz, zsunął czapkę w tył głowy i zjadł*

*chleb ze słoniną. Podszedłem do niego i powiedziałem:*

*- Szukam pracy. Nie mam z czego żyć. Moi rodzice umarli.*

*Powoli żuł miękki, świeży chleb, grubą słoninę. Potrząsnął głową.*

*- Nie - odpowiedział. - Nie ma mowy.*

*- Mogę robić wszystko. Bardzo potrzebuję. Jadł dalej, potrząsając głową.*

*- Może po tamtej stronie Bugu.*

*Tam, w Treblince, tak niedaleko stąd, moi towarzysze biegali*

*do rowów i wrzucali do nich dzieci; tam nieustannie zabijali*

*Iwan i Idioten. A Abramle może już nie żył. Miałem ochotę*

*schwycić tego chłopca za kark, potrząsnąć nim mocno, wyja-*

*wić, skąd przychodzi, opowiedzieć mu o „fabryce”, o konwo-*

*jach, o wyrywanych zębach, o dzieciach, o mojej matce, bra-*

*ciach i Rywce. Ale spytałem tylko:*

*- Czy można przeprowić się przez Bug?*

*Chłop wstał. Był przygarbiony, poruszał się wolno, z cha-*

*rakterystyczną dla wieśniaków ociężałością. Wyciągnął rękę*

*i wyjaśnił mi, jak znaleźć bród.*

*- Pewnie wolisz nie przechodzić przez most? - dodał z po-*

*rozumiewawczym błyskiem w oczach.*

*Nie czekał na odpowiedź. Podziękowałem mu i odwróciłem*

*się, żeby odejść, gdy przywołał mnie z powrotem. Podszedł do*

*wozu i przyniósł mi pół okrągłego bochenka chleba i kawał słoniny.*

*- Mam dosyć dla siebie - powiedział.*

*Z rękami pełnymi chleba i słoniny poszedłem przez pole do lasu. Tam usiadłem i, opierając się o drzewo, rozłożyłem przed sobą jedzenie. Dzięki ci, wieśniaku, dzięki, człowieku, któryś mi pomógł odnaleźć świat ludzi. Jadłem powoli, ucząc się na nowo smaku świeżego chleba, pachnącej, miękkiej słoniny. Mogłem teraz żuć, nie tylko spiesznie łykać, by uniknąć morderczego ciosu, którym się zabija w Treblince. Dziękuję ci, wieśniaku, dziękuję, człowieku.*

*Wieczorem przepравиłem się przez Bug.*

*Szedłem. Przez lasy, pola, potykając się o twarde skiby ziemi, zakurzonymi szosami i wzdłuż rowów, do których wskakiwałem często, by ukryć się przed nadjeżdżającą niemiecką ciężarówką; uczyłem się Polski, przemierzając jej ziemię, śpiąc pod jej drzewami, moknąc w jej lodowatych strumieniach. Poznałem nieruchome twarze wieśniaków, ręce, które dają chleb, i takie, które podnoszą się, by uderzyć, zobaczyłem wioski, gdzie chałupy kryte są słomianą strzechą, a przed kościołami mężczyźni i kobiety w czarnych chustkach tworzą oddzielne grupy. Prosiłem o pracę i chleb. Kradłem ziemniaki, zagrzebane w słomie. Kradłem zapalki, rozpalałem na skraju lasu ognisko i w gorącym popiele piekłem ziemniaki, którymi*



*potem parzyłem sobie usta. Nocą, aby nie zamarznąć, okrywałem się gałęziami; starałem się usnąć, ale nie mogłem; przed oczami jawili mi się wszyscy moi zmarli, cały naród zmarłych. Każdej nocy dręczyły mnie koszmary, wciąż wrzucałem do rowu swoją matkę, braci, Rywkę. Potem wyciągałem się obok nich i budziło mnie przenikliwe zimno. Omijając moczary wchodziłem głębiej w las, aby ogrzać się, rozpałałem ognisko, ale oni wciąż byli przy mnie i musiałem znów wrzucać ich do rowu. Niekiedy, wyczerpany bezsennością, wyrzucałem sobie, że jeszcze żyję, że nie chciałem podzielić ich losu; wtedy przywoływałem wspomnienie ojca. Czasem na Senatorskiej wieszałem mu się na szyi, on zaczynał się kręcić i po chwili miałem wrażenie, że się oderwę, polecę daleko, bardzo daleko, aż uderzę w którąś ze ścian. Czepiałem się go, ścisnąłem mocniej za szyję, krzycząc ze strachu i uciechy. W lasach za Bugiem uczepiłem się mojego ojca. „Trzeba żyć, Marcinie!” - powtarzał. On także chciał żyć i na pewno żył. Z każdym dniem mocniej wierzyłem, że tak jak ja uciekł z Treblinki, żeby walczyć i pomścić nas.*

*Kierowałem się ciągle na północ, aby jak najbardziej oddalić się od Treblinki. Przechodziłem przez liczne wioski. Jedna z nich nazywała się Srebrna. Wzdłuż drogi ciągnęły się kryte słomą chatupy, a pobudowane za nimi stodoły stały już pra-*

*wie pod lasem. Przed ostatnią chatą oparty o widły stał wie-  
śniak, patrząc jak nadchodzi. Był wieczór, szedłem od rana i  
biały pył okrywał mi twarz. Przywołał mnie gestem.*

*- Chcesz pracować? Mam zboże do mlócenia. Dostaniesz  
Jedzenie i spanie.*

*Zgodziłem się. W zapadającym zmierzchu zaprowadził mnie  
do stodoły.*

*- Tu będziesz nocował. Rozgość się, jak ci się podoba. Jutro po  
ciebie przyjdę. Nazywam się Chmielnicki.*

*Nie ufałem już ludziom. Zacząłem od inspekcji stodoły;  
powyjmowałem ostrożnie kilka gwoździ i rozluźniłem deski  
ścian, za którymi rozciągał się las. Potem umocowałem je z  
powrotem; wystarczy mocno pchnąć, gdy będę chciał uciec.*

*Chmielnicki wyglądał poczciwie, ale twarz człowieka nieraz  
kłamie. O świcie obserwowałem przez szparę, jak w porannej  
mgłę krzątał się po klepisku. Potem zawołał mnie i zaczęła się  
praca. Ciężka praca, gdyż myślami byłem gdzie indziej i tylko  
moje ręce zajęte były czyszczeniem koni i krowy; podnosząc  
cep przy mlócce, widziałem Iwana z podniesioną pałką,  
miażdżyłem kłosy, tak jak on miażdżył głowy; czyszcząc  
łśniąca, miękka sierść konia myślałem o naszej skórze, posi-  
niaczonej, krwawiącej; napełniałem psią miskę ziemniakami  
ze słoniną i skórkami chleba, wiedząc, że ludzie na apelu  
pozabijaliby się za garść takiego jedzenia, a setki dzieci w*

*getcie nie dostawały nigdy takiej porcji. Wieczorem, przy stole, spoglądając, jak Chmielnicki i jego matka posilają się w milczeniu, dostawałem czasem mdłości, nie mogłem niczego przełknąć, miałem ochotę krzyknąć do nich: „A wiecie, co oni zrobili z moją matką?” Ale milczałem, potrząsałem głową, gdy podawali mi chleb, i tak samo jak oni modliłem się na początku i po skończonym posiłku.*

*W ciągu tygodnia Chmielnicki mówił niewiele, ale w sobotę pił i wtedy, podczas gdy jego matka przesuwiała paciorki różańca, podśpiewywał sobie i monologował, ale lubił mieć audytorium, toteż siedziałem z nim dłużej niż zwykle w izbie oświetlonej naftową lampą. Na ogół nie zadawał pytań, wolał mówić sam. W trzecią sobotę, jaką u niego spędziłem, wypił więcej niż zwykle. Tego dnia po południu przyszedł do wsi fotograf; przed każdą zagrodą gromadzili się wieśniacy, dziewczęta w białych chusteczkach ustawiały się obok chłopaków. Chmielnicki wypchnął mnie do przodu.*

*- Ty też, Mietek.*

*Próbowałem się wykręcić, ale Chmielnicki nalegał.*

*- Niech wszyscy zobaczą, że mam parobka z Warszawy!*

*Stawaj z nami, Mietek!*

*Zostałem sfotografowany wraz z innymi. Wieczorem*

*Chmielnicki był mocno pijany.*

*- Bałeś się, Mietek? Nie chciałeś się sfotografować. Oparł*

*podbródek na dłoniach i przymknął oczy.*

*- A może ty jesteś Żydem? Jego matka przeżegnała się.*

*- My tutaj nie lubimy Żydów. Oni zabili Chrystusa. Stara przeżegnała się ponownie.*

*- Przecież nie ma już więcej Żydów, gospodarzu. Umarli, „kaput”.*

*Uderzył pięścią w stół i splunął na podłogę z ubitej ziemi.*

*- Idź do Zambrowa, a zobaczysz ich, jeszcze bardziej spasionych niż dawniej. Tu, po tej stronie Bugu, jesteśmy niemieckim Reichem. Tu są tłuści Żydzi. Dają Niemcom złoto, ale rekwizycje przeprowadza się u nas, Polaków. Wychylił kieliszek wódki.*

*- Jeżeli jesteś Żydem, Mietek, zabiję cię. Roześmiałem się.*

*- Wszyscy Żydzi zginęli, szefie.*

*Matka Chmielnickiego nadal przesuwiała paciorki różańca; on zaś mruknął:*

*- Zabiję cię, Mietek.*

*Potem położył głowę na stole i zaczął chrapać.*

*Na dworze była widna noc, północny wiatr rozpędził mgłę, było zimno. W stodole, gdzie się zainstalowałem, konie rozgrzebywały ziemię. Sprawdziłem, że deski, które oblużowałem, dadzą się z łatwością rozsunąć. Wiedziałem, że będę musiał uciec którejs nocy, gdyż Chmielnicki należał do tych porządnych ludzi, którzy potrafią zabić lub*

*zadenuncjować. Ale byłem przygotowany. Wiedziałem, co mi zagraża. Inni, mogli ich być tysiące, jak ci w Zambrowie, uwierzyli w miraż Wschodu; „urządzali się”, czekając aż przejdzie szalejący, barbarzyński huragan. Nie wiedzą nic o Treblince, ale któregoś dnia załaduje się ich do wagonów. A ja siedzę tutaj, nie działając, myśląc tylko o tym, by przeżyć.*

*W niedzielę poszedłem, tak jak wszyscy, na mszę. Chmielnicki tkwił na chórze obok mnie, klękał przy podniesieniu, pochylał swój ciężki chłopski kark, porządny, prosty człowiek, który nie zawaha się zabić. Po mszy zatrzymaliśmy się wraz z innymi przed kościołem. Przechodziłem od grupki do grupki, starając się nawiązać z poszczególnymi wieśniakami rozmowę o Żydach z tego okręgu. Wszyscy powtarzali, że Żydzi żyją spokojnie zarówno w Zambrowie, jak i w innych małych miejscowościach.*

*- Niemcy nic im nie zrobią. Potrzebują ich złota. Trzeba było jak najprędzej stąd się wydostać, ostrzec tych z Zambrowa, opowiedzieć im o Treblince. Jak w każdą niedzielę przed południem Chmielnicki zaprzągnął konia do wozu, aby pojechać w odwiedzin do swojego brata w sąsiednim miasteczku.*

*Matka włożyła plisowaną czarną spódnicę. Przytrzymałem konia, podałem Chmielnickiemu lejce, po czym gonilem ich wzrokiem, aż zniknęli za lasem. Wówczas rzuciłem się w stronę domu, wyważyłem drzwi, skoczyłem ku dużej skrzyni,*

*w której Chmielnicki trzymał swoją odzież. Zabrałem wysokie czarne buty i kurtkę, a ze spiżarni trochę słoniny, chleba i ziemniaków oraz zapalki, po czym puściłem się pędem do lasu, który zaczynał się tuż za stodołą, a lasem na północ w kierunku Zambrowa.*

*Szedłem przez cały dzień, noc i jeszcze jeden dzień. Nie czulem zmęczenia ni głodu, musiałem dotrzeć do Zambrowa, zanim Niemcy przystąpią do likwidacji getta. Straciłem już za dużo czasu. Żeby nie zablądzić, szedłem drogą wiodącą od pól do lasu. Chwilami biegłem, żeby przybyć jak najprędzej.*

*Wiedziałem, jak do nich przemówić: opowiem im o Warszawie, o Umschlagplatzu, potem o „lazarecie”, o rowach, o koparce. Biegłem; jeżeli zdołamy się uzbroić, to może uda nam się dotrzeć do Treblinki i, zaskoczywszy strażników, uwolnić więźniów.*

*Na drodze w lesie ujrzałem gromadkę pracujących mężczyzn; gawędzili swobodnie, niektórzy pogwizdywali, zdawało mi się, że poznają żydowskie piosenki i rozróżniam słowa jidysz.*

*Położyłem się na brzuchu na wilgotnej ziemi i pod osłoną gęstych krzaków podpełzłem bliżej. Rzeczywiście, byli to Żydzi, niektórzy nosili czarne mycki, inni przyszytą do odzieży gwiazdę Dawida. Pierwsi Żydzi, jakich zobaczyłem od opuszczenia Treblinki; może komando z jakiegoś sąsiedniego obozu. Poszukałem wzrokiem Ukraińców lub Niemców,*

*którzy powinni ich pilnować, ale na prostej drodze w lesie nie było żadnego żołnierza, tylko ci ludzie, z których część zasypywała koleiny, a część kopała rów przy drodze.*

*Cofnąłem się trochę, po czym wyskoczyłem na drogę i pewnym krokiem ruszyłem wprost ku nim, mocno wbijając obcasy w ziemię. Widząc, że się zbliżani, stopniowo przerwali pracę, niektórzy zdjęli mycki i stali z opuszczonymi głowami. Podszedłem bliżej...*

*- Gdzie są wasi strażnicy? - zwróciłem się ostro do jednego z najstarszych spośród nich.*

*Zapytany zawahał się, spojrział w prawo, w lewo, szukając poparcia.*

*- Jesteśmy wolnym komandem, młodzieńcze. Patrzyłem na nich; nie mogłem tego pojąć. Wolni Żydzi tak blisko Treblinki?*

*- Wolni? Jesteście przecież Żydami!*

*Niektórzy zabrali się z powrotem do pracy. Stary mężczyzna spoglądał na mnie z uśmiechem.*

*- Co wieczór wracamy do Zambrowa. Niemcy ufają nam.*

*Żeby uciec z Treblinki, chwyciłem się wszelkich sposobów w nadziei, że uda mi się na chwilę zmylić uwagę strażników, a ci Żydzi byli sami w środku lasu, wystarczyłoby im oddalić się o parę metrów, zniknąć wśród drzew.*

*- Co wieczór wracacie do Zambrowa?*

*Powtórzyłem to niewiarygodne zdanie. Podeszedłem do starego mężczyzny, który udzielił mi tej informacji. Może dlatego, że nosił okulary, wyglądał jak nauczyciel lub lekarz. Patrzyłem mu prosto w twarz i z jego przerażonych oczu wyczytałem, że moja wściekłość była widoczna.*

*- Proszę pana - rzekłem - przybywam z Warszawy. Tam morduje się wszystkich Żydów. I byłem w Treblince, gdzie jest „fabryka”, w której zabija się gazem wszystkich, kobiety i dzieci.*

*Inni odsunęli się od nas, widziałem ich pochylone ku ziemi grzbiety. Nie chcieli słyszeć. Stary człowiek stał roztrzęsiony, ze ściągniętą twarzą.*

*- Jeżeli nie uciekniecie natychmiast, wyślą was do „fabryki”, was i wasze dzieci. Uchodźcie stąd czym prędzej!*

*Podchodziłem do nich kolejno, niektórych chwytalem za ramiona, potrząsałem nimi, prostowałem ich pochylone ku ziemi barki.*

*- Uciekajcie! Uciekajcie!*

*Krzyczałem i biegałem wśród nich na wszystkie strony.*

*Odsuwali się ode mnie i wracali do pracy, jakbym w ogóle nie istniał, nic sobie nie robiąc z mojego krzyku i wyzwisk. Upuściłem na ziemię worek z żywnością, gestykulowałem, lecz nagle zatrzymałem się: spostrzegłem ukradkowe spojrzenia, które wymieniali podnosząc jakiś pień, który zagradzał*



*drogę. Znów nabrałem głęboko tchu:*

*- Posłuchajcie mnie! Jestem Żydem, tak samo jak wy!*

*Wierzcie mi, zabijają nas wszystkich. Czy wiecie, co to jest  
Treblinka?*

*Nikt nie podniósł głowy.*

*- Uwierzcie mi.*

*Zachowywali się, jakbym w ogóle nie istniał, a Treblinka była  
tylko wymysłem szaleńca. Usiadłem przy drodze, nie patrząc  
już na nich. Oprawcy zniewolili nasze umysły, potrafili wielu  
otumanić. Dźwigałem przecież w ramionach setki zwłok.*

*Niechże mi uwierzą, niech zrozumieją!*

*- Zabierz swój worek, młodzieńcze! Przede mną stał ów  
starszy mężczyzna.*

*- Nie wierzy mi pan? Uśmiechnął się.*

*- Tutaj jest zupełnie inaczej. Zambrów należy do Reichu.*

*Niemcy nas potrzebują, rozumie pan? Warszawa i Treblinka  
nie są przyłączone do Rzeszy, tam jest Polska. Tu jest inaczej.*

*Niech pan weźmie swój worek, mój drogi.*

*Mówił do mnie jak do nierozgarniętego dziecka. Zarzuciłem  
worek na ramię.*

*- Jak mam iść do Zambrowa?*

*- Prościutko; osiem kilometrów.*

*Nie spojrzałem już na nich. Szedłem, stąpając cicho, w ustach  
czułem gorycz, dławiała mnie wściekłość. Czy ludzie nie*

*potrafią zdać sobie sprawę z nieszczęścia, zanim ich nie zdruzgocze? Czy nigdy nie daje się wiary świadkom? Czyżby moi najbliżsi zginęli na darmo? Zachodzące słońce raziło mnie w oczy. Idąc płakałem z bezsilności. Będą musieli mnie wysłuchać, opowiem im o Umschlagplatzu, o wagonach, o rowach. Powiem im o mojej matce, braciach i o Rywce. Ale czy rozumieją? Podobnie jak kiedyś w warszawskim getcie, teraz tutaj kaci sprytnie rozstawili pułapki z przynętą nadziei. Wiedzieli, że nie można wyobrazić sobie Treblinki, obdarzyli poszczególnych skazańców złudzeniem uprzywilejowania. Dlatego ci Żydzi z lasu, tak jak niegdyś wielu w Warszawie, wyobrażali sobie, że kto jest przydatny Niemcom, korzysta ze szczególnych praw.*

*Widziałem już rysujące się na widnokręgu domy Zambrowa. Drogą przejeżdżały wozy, od czasu do czasu jakaś ciężarówka. Będę mówił. Wiedziałem, że to konieczne, ale nie wierzyłem już, że mnie wysłuchają; rozumiałem, że Żydzi z Zambrowa nie chwycą za broń i nie pomaszerują na Treblinkę. Jakże mógłbym ich do tego nakłaniać, skoro cały świat pozwala nas wyrzynać? Trzeba jednak próbować; tam ekskawator dalej ryje ziemię. Przeszedłszy przez drewniany most nad zamuloną rzeką, znalazłem się na pierwszych ulicach Zambrowa. Liczne domy pobudowane były z drewna, niektóre bielone jak wiejskie chaty, jezdnia - z ubitej ziemi.*

*Kierowałem się ku wąskim uliczkom, gdzie musiało  
znajdować się getto. Na końcu jednej z nich zobaczyłem napis  
i kilka drewnianych kozłów, między którymi rozpięto trochę  
kolczastego drutu; w otwartym przejściu stał żydowski  
policjant. Tu zaczynało się zambrowskie getto. Wszedłem bez  
żadnej kontroli, sklepy były otwarte, przed synagogą  
gawędziły spokojnie grupki ludzi, perorowało kilku starców.  
Widziałem unoszącą się nad nimi rozchichotaną śmierć,  
która zasłoniwszy im oczy i uszy, nie odstępowała ich  
przecież na krok. Przemówię do nich, nie dam się oczarować  
ich złudzeniom. Nie poddam się nawet, jeśli nie zechcą mnie  
wysłuchać, choćbym miał być jedynym, który przeżyje,  
jedynym, który zostanie, żeby ich pomścić.*

*Podszedłem do jednej z gromadek. Jakiś niski grubas o  
nalanej czerwonej twarzy i tłustej cerze przemawiał do słu-  
chającego uważnie audytorium. Mówiąc podnosił miarowo  
rękę, jakby wybijał takt do swoich słów.*

*- Jest wojna - mówił. - Nie mogą dać nam wszystkiego, czego  
potrzebujemy, ale potrzebują nas.*

*Potakiwali potulnie, poważnie kiwając głowami. Kilka razy  
usłyszałem słowo „cierpliwość” i przypomniałem sobie pracu-  
jących w lesie Żydów, którzy także mówili: „Oni nas potrze-  
bują”.*

*- Treblinka, słyszeliście o Treblince?*

*Z zarzuconym na plecy workiem włóczęgi stałem wśród nich.*

*Niedaleko stąd jest „fabryka”, są rowy... oni wyrywają naszym złote zęby...*

*Mówiłem wśród takiej ciszy, że słyszałem ich oddechy.*

*Ważniak doskoczył do mnie, twarz mu spąsowiała.*

*- To, co pan mówi, to nieprawda! To niemożliwe. Niemcy nie są szaleńcami. Po co mieliby nas zabijać, skoro im się oplacamy i pracujemy dla nich? W ich interesie jest zachować nas przy życiu tutaj, w Zambrowie. To pan jest szalony, szalony! Stracił pan rozum!*

*Wykrzyknął to ostatnie zdanie z uniesieniem. Potem powtarzał:*

*-To niemożliwe. Niemcy nie są wariatami. Gdyby nawet chcieli zrobić to, o czym pan mówi, świat by zaprotestował.*

*Próbowałem mówić dalej.*

*- Nie słuchajcie go. To na pewno wariat!*

*Odciągnął ich. Stałem sam, patrząc jak się oddalają; ważniak perorował z podniesioną ręką, a niektórzy jego towarzysze odwracali się, spoglądając na mnie ze śmiechem. Nie chcieli mi wierzyć, bo spojrzenie w otchłań przeraża, a oni woleli nie widzieć i nie wiedzieć. Nie mogli mi uwierzyć, bo niepodobna wyobrazić sobie Treblinki. Zdrowy człowiek nie może pojąć, że*

*czyha na niego śmierć. Ci poczciwcy nie wyobrażali sobie*

*żądzy mordy, jaka opanowała ludobójców. Mówili o celowości, rozsądku, użyteczności; ludobójcy chcieli tylko eksterminacji.*

*Chodziłem od gromadki do gromadki, opowiadałem o mojej matce, o braciach i Rywce, o nocnym szuraniu skrzyń w barakach, o żółtym piasku w rowach, o zaduszonych dzieciach, o psach, koparkach, „lazarecie” i odzieży w sortowni, o Idioten, esesmanach i Ukraińcu Iwanie. Czasem zdawało mi się, że moje słowa znajdują oddźwięk u uchodźców z Warszawy, że zdołam ich przekonać, ale szok był zbyt gwałtowny. Nie mogłem pokazać im trupów, moje ręce wyglądały jak zwykłe ręce, któż wiedział, że przenosiły setki zwłok. Moje słowa to były tylko słowa. Czasem, podnosząc na mnie osłupiałe ze zgrozy spojrzenie, ktoś pytał:*

*- Więc co trzeba zrobić?*

*Wtedy zdawało mi się, że odniosłem zwycięstwo. Mówiłem o lasach wkoło Zambrowa, o atakach na niemieckie czołgi; zabierzemy im broń, przyłączymy się do Armii Krajowej, tej podziemnej armii polskiej, o której opowiadali mi wieśniacy. Słuchając tego kobiety oddalały się, mężczyźni potrząsali głowami.*

*- To są antysemita. Bylibyśmy w ich rękach. Chłopi wydaliby nas, a partyzanci pozabijali. Tu, w getcie, jesteśmy wśród swoich.*

*Jeden z nich wciąż powtarzał:*

*- Niemcy nie są tacy głupi.*

*Drugi dodał: - Zresztą wojna nie będzie trwać wiecznie.*

*Ktoś inny, przymrużając oko, rzucił dowcipnie:*

*- A w Rosji jest tak zimno.*

*Śmiali się i odchodzili, zacierając ręce. Przegrałem. Jaka to męka wiedzieć, być pewnym, że ma się rację, a nie potrafić przekonać, stać wśród ludzi, do których i dla dobra których przemawia się tak gorąco, i wiedzieć, że słowa nie trafiają do nich. Taka bezsilność to koszmar!*

*Sypiałem w remizach, w kątach podwórek, żebrałem o żywność, którą podawano mi z uśmiechem politowania; byłem błaznem z tragedii, posępnym Rubinsteinem zambrowskiego getta. Niezmordowany kaznodzieja co dzień zjawiałem się przed synagogą, chwytalem ludzi za poły kurtek, usilujac ich przekonać, ale z uplywem czasu coraz bardziej słabło znaczenie moich słów. Stałem się częścią tamtejszej scenerii, byłem za młody, by zdobyć posłuch, a ponieważ życie wciąż płynęło spokojnie i wolne komanda co wieczór wracały z lasu, z każdym dniem umacniało się przekonanie, że jestem zbzikowanym gadulą, któremu nie należy wierzyć, jeśli chce się żyć dalej. Pewnego wieczoru pobięła za mną ulicą wysoka chuda dziewczyna, z upiętym na karku czarnym warkoczem.*

*- Ja panu wierzę - rzekła, idąc obok mnie. Mówiła szorstko, stanowczo.*

*- Jestem z Warszawy. Znałam doktora Korczaka. Widziałam, jak szedł z dziećmi na Umschlagplatz.*

*Mieszkała w małym pokoiku, niemal w piwnicy. Spędziliśmy z sobą wiele nocy, rozmawiając o Warszawie. Chciała wiedzieć wszystko o Treblince, gdyż pod koniec lipca wywieziono jej rodzinę. Nie zostawiłem jej żadnej nadziei; nie pragnęła jej zresztą. Nie chciała już ani uciekać, ani walczyć, tylko po prostu wiedzieć, co stanie się z nią i z gromadką dzieci, którymi opiekowała się w Zambrowie. Gdy trzymając się za rękę siedzieliśmy w lodowato zimnym, ciemnym pokoiku, usiłowałem tchnąć w nią chęć życia, ona zaś wzmocnić moją wolę walki.*

*- Musisz przeżyć dla nas, Mietek - powtarzała. - Odejdiesz stąd i będziesz walczyć. Ty nas pomścisz.*

*Miała na imię Sonia, była chuda, zrozpaczona, bohaterska w swej woli poznania prawdy.*

*- Musisz stąd odejść, Mietek. Tutaj nic nie zdasz. Oni nie chcą wiedzieć. Jeżeli zostaniesz, któregoś dnia jakiś szpicel wyda cię Niemcom. A tobie nie wolno zginąć. Tak wiele wiesz.*

*Jesteś naszą pamięcią.*

*Pewnej nocy poprosiła mnie po prostu, żebym się z nią kochał, bo przecież musiała umrzeć, więc chciała wiedzieć, jak*

*to jest. Trzymałem w ramionach jej wątłe, drżące ciało, płonące żarem tych wszystkich lat, których nie będzie jej dane przeżyć. Potem płakaliśmy i śmialiśmy się, zrobiliśmy sobie małą ucztę, zajadając kartofle upieczone w rozżarzonego popielniku i popijając wódką. Z rozpuszczonymi na białe ramiona włosami i błyszczącymi oczyma Sonia była bardzo piękna. Rano znów stawiałem się na placu przed synagogą, przechodząc jak zwykle od jednej grupki do drugiej. Spostrzegłem żydowskiego policjanta, który zdawał się kogoś szukać. Intuicja? Skierowałem się ku niemu; nauczyłem się w getcie i w Treblince, że jednym ze sposobów zażegnania niebezpieczeństwa jest wyjście mu naprzeciw. Policjant niemal zderzył się ze mną. Trzymał w ręku fotografię.*

*- Może znasz? - zapytał. Poszukują go.*

*Pokazał mi zdjęcie. W grupie wieśniaków przed chałupą stałem z twarzą obrysowaną kopiającym ołówkiem; złodziej, który okradł Chmielnickiego. Wziąłem fotografię.*

*-Ależ tak, on jest tu, na górze, w którymś z pokoi biurowych. I wskazałem kamienicę obok siedziby Judenratu. Policjant wyrwał mi zdjęcie i szybko ruszył w stronę budynku.*

*Parę minut później wyszedłem z getta i natychmiast opuściłem Zambrów. Znalazłem się znów na piaszczystej drodze, znów w lasach.*

*Żegnajcie, zambrowscy Żydzi, żegnaj, bohaterska Soniu. Dla*



*was, a także dla ciebie, muszę żyć. Zrobiłem dla was, co tylko mogłem, narażałem się na śmiertelne ryzyko - agitując co rano na placu przed synagogą, dobrowolnie wchodziłem w potrzask. Powiedziałem wam wszystko. Jeśli mógłbym wam jeszcze coś ofiarować, to tylko moją własną wolność, ale na co by się to przydało? Postanowiłem walczyć dla wszystkich moich braci, dla was, dla ciebie, Soniu.*

*Po dwóch dniach marszu znalazłem się we wsi Zaremby i nająłem się do pracy u gospodarza, który nazywał się Zaremba. Był to płowłosy, mocno zbudowany chłop, o jasnej cerze i łagodnym usposobieniu; nigdy nie widziałem, żeby pił. Po wieczornym posiłku czytał głośno swojej matce i siostrze książki, które pożyczał mu ksiądz, powieści historyczne lub żywoty świętych. Maria, siostra, płakała czasem, a matka z zachwytem spoglądała na swoje dzieci. Ja sam zapominałem chwilami, że jestem ściganym Żydem, który pragnie walczyć. Zarembie powiedziałem krótko, że pochodzę z Warszawy; nie mówiłem z żydowskim akcentem i od razu, pierwszego ranka zaprowadził mnie do księdza, szczupłego, żywego, młodego człowieka. W kilka dni później zacząłem chodzić do niego sam, po książki dla Zaremby lub żeby zanieść trochę jajek. Ksiądz chciał, żebym opowiadał mu o Warszawie, a ja bez trudu wcielałem się w Mokotowa-Mogilę lub Wacka-Wieśniaka i mówiłem o ich*

*życiu, jak o swoim. Potem napomknąłem o getcie, opowiedziałem o młodym Żydzie, który trudnił się przemytem, dopóki Niemcy nie wywieźli go wraz z całą rodziną do obozu w Treblince, gdzie podobno zabija się wszystkich Żydów.*

*- Niemcy rozpętali zło - powtarzał ksiądz. Pewnego dnia dał mi zadrukowaną kartkę, broszurkę Armii Krajowej.*

*- To narodowa armia polska - powiedział. - Czy chcesz nam pomagać?*

*Wziąłem ulotkę. Nareszcie będę się bić!*

*- Ale nie opowiadaj zbyt wiele o twoim przyjacielu Żydzie*

*- rzekł ksiądz. - Ludzie z AK nie lubią Żydów - dodał z uśmiechem.*

*Czyżby się domyślił? Nic nie odpowiedziałem. Gdy zapadła noc, zacząłem biegać od chałupy, do chałupy, roznosząc pachnące jeszcze świeżym drukiem ulotki. W niedzielę grupa akowców zbierała się otwarcie przed kościołem. Prawie cała wieś popierała AK, a Niemcy zjawiali się tu rzadko. Komentowano komunikaty emigracyjnego Rządu Polskiego w Londynie, rozprawiano o sukcesach armii alianckich. O prześladowaniu Żydów nie mówiono nigdy; jakby w ogóle nie istniało. Na razie milczałem; najważniejsze, żebym także mógł się bić.*

*Co niedzielę pytałem:*

*- A broń?*

*- Jeszcze nie pora, Mietek. Będzie i broń.*

*Wieczorem Zaremba usiłował mnie uspokajać. Maria uśmiechała się do mnie, ale myślałem o Rywce, z którą rozstałem się na peronie w Treblince, o Soni, która została w Zambrowie. A Zaremba czytał.*

*Wreszcie pewnego wieczoru, gdy spodziewaliśmy się, że niedługo już spadnie pierwszy śnieg, Zaremba rzucił:*

*- Jutro o czwartej rano zaprzęgiesz konia do dużego wozu.*

*Jadę do Zambrowa.*

*Nie powiedział nic więcej, ale wydawał mi się zatroskany.*

*Nazajutrz, z naftową lampą w ręku, stałem koło wozu w mokrej mgle, która niczym lekki deszczyk zwilżała, mi twarz i ręce.*

*- Jeżeli pan chce, gospodarzu, pojedę z panem.*

*- Nie ruszysz się stąd.*

*Wsiadł do wozu; odprowadziłem go do szosy. Panował tam wielki ruch, furmanki zajeżdżały sobie drogę, chłopci nawoływali się: wójt kazał wszystkim gospodarzom przyjechać wozami do Zambrowa.*

*- Na pewno będzie się wywozić Żydów - domyślali się wieśniacy. Jedni złorzeczyli wójtowi, inni Niemcom, większość przeklinała Żydów.*

*Przez cały dzień krzątałem się bez wytchnienia, sprzątałem stajnię, ułożyłem siano, pracowałem, żeby nie myśleć o Soni i*

*o Żydach z Zambrowa. Zaremba wrócił późno wieczorem. Bez słowa, nie patrząc na mnie, podał mi lejce. Gdy wszedłem do kuchni, jego matka i Maria stały w milczeniu, wpatrując się w niego z osłupieniem: Zaremba pił wódkę prosto z butelki.*

*Skoczyłem, wyrwałem mu z rąk flaszkę. Nawet się nie bronił.*

*- Masz rację, Mietek. Po co pić?*

*- Szło o Żydów z getta?*

*Skinął głową, potem zaczął mówić powoli, jak to miał w*

*zwyczaju. Od czasu do czasu ocierał dłonią łzy, często*

*przerywał sobie, wtrącając:*

*- Co miałem począć, Mietek? Nie mogłem nic zrobić, musiałem być posłuszny.*

*Widział, jak esesmani i strażnicy otoczyli getto i zakazali*

*mieszkańcom opuszczać je; słyszał strzały; widział kobiety,*

*które wyskakiwały z okien, widział na chodniku leżące obok*

*siebie z wyciągniętymi ramionami trupy starców, zabitych*

*strzałem w kark, dzieci skoszone serią z karabinu maszyno-*

*wego, dziewczęta, które Niemcy zaciągali na podwórza. Że-*

*gnajcie, Żydzi z Zambrowa, żegnaj, bohaterska Soniu! Na-*

*stępnie, waląc kolbami na prawo i lewo, Niemcy kazali Ży-*

*dom wsiadać do chłopskich wozów i cały konwój ruszył do*

*pobliskich starych koszar. Wybierając się w drogę powrotną*

*do wsi, Zaremba znów słyszał krzyki i strzały. Zawisłem oczy-*

*ma na jego ustach, jakby mógł mi powiedzieć, że niektórym*

*udało się uciec, że w ostatniej chwili stał się cud i Sonia żyje.*

*Ale Zaremba powtarzał tylko:*

*- Co miałem począć? Nie mogłem nic zrobić, pozwoliłem*

*zabijać dzieci. Słyszysz? Dzieci, staruszki, moją matkę.*

*Zapadło milczenie. Jego matka modliła się. Maria uklękła*

*przed krucyfiksem. Wstałem i położyłem dłoń na ramieniu*

*Zaremby, który, choć dwa razy starszy ode mnie, dopiero dziś*

*zetknął się z barbarzyństwem.*

*- Tak to jest, gospodarzu. Nie mógł pan nic zrobić. Teraz*

*trzeba się przespać.*

*I wyszedłem do stodoły, gdzie nocowałem. Byłem tak samo*

*bezsilny, jak Zaremba; dopuściłem do tego. Męczyłem się*

*przez całą noc, wyrzucając sobie, że nie potrafiłem przekonać,*

*walczyć z nimi skutecznie, nie zdołałem nawet uratować Soni;*

*całą noc gryzłem pięści, żeby nie wyć z rozpacz, przeżywając*

*znów getto, Pawiak, wspominając Zofię, Rywkę,*

*Umschlagplatz. Kaci nie zabili mnie, ale zostawili we mnie*

*bakcyła śmierci. Przeciw temu też muszę się bronić.*

*Rano przyszedł wójt, grubas o tłustych dłoniach i piegowanej*

*twarzy. Wiedziałem, że to lichwiarz i szpicel, że oszukiwał*

*przy ważeniu zboża i przywłaszczał sobie część kontyn-*

*gentów, które wieśniacy przymusowo odstawiali dla Niem-*

*ców. Wszedł do stodoły, gdzie pracowałem razem z Zaremba.*

*Popatrzył na mnie, a nauczyłem się już czytać z oczu. Ten*

*człowiek był moim wrogiem.*

*- Zaremba, musisz iść z twoim parobkiem do Zambrowa.*

*Niemcy wydadzą wam kenkarty. Kontrolują i wymieniają dokumenty. Wszędzie ukrywają się Żydzi.*

*Od pobytu w Treblince nie posiadałem żadnego dowodu tożsamości. Czulem, że potrzask się zamyka. Zaremba udał się do Zambrowa nazajutrz, polecając mi stawić się w komendanturze następnego dnia. Zwlekałem, odkładałem załatwienie sprawy z dnia na dzień. Trudno mi było powziąć jakiś plan: czy iść na całego i zgłosić się po kenkartę, czy lepiej poczekać? Wyczerpany złymi snami, które dręczyły mnie teraz co noc, nie byłem w stanie się zdecydować. Wójt przyszedł jeszcze kilkakrotnie.*

*- No, jak z tą kenkartą?*

*Zrozumiałem, że nie mogę dłużej zwlekać, i albo muszę uciec, albo wystarać się o ten dokument. Zabrałem się z Zaremba, który jechał do Zambrowa, aby odstawić Niemcom wyznaczony kontyngent zboża.*

*Wyładowaliśmy worki przed składem na dużym placu, daleko od dawnego getta. Wnosiliśmy je do środka, a ja postanowiłem po skończonej pracy udać się do komendantury. Zaremba wszedł do składu, ja zaś czekałem przy wozie, gdy nagle ujrzałem wójta, który wskazywał mnie niemieckim żandarmom. Za późno! Wahalem się, zapomniałem o*

*przestrogach mojego ojca, o doświadczeniach, które wyniosłem z Trebłinki, i pozwoliłem innym decydować za siebie.*

*Nie mogłem uciec, plac był pusty, a żandarmi uzbrojeni w karabiny. Wójt został w tyle i skrzyżowawszy ramiona spoglądał, jak zbliżają się do mnie. Patrzyłem w jego małe oczka zimnego łotra, zobaczyłem jego uśmiech, zadowoloną minę i to dodało mi bodźca; moja śmierć sprawiłaby ci za wiele przyjemności, ty szpiclu. Będę żył, nie przepuszczę już żadnej okazji.*

*- Daj swoje papiery.*

*Żandarm, który do mnie podszedł, mówił doskonałą polszczyzną. Zacząłem mu spokojnie wyjaśniać, że jestem z Warszawy, że mój ojciec, który jest chory, ma u siebie wszystkie moje dokumenty.*

*- Do komendantury!*

*Znowu byłem w ich rękach, ale dręczące mnie od kilku dnia wahania znikły. Wiedziałem, co muszę zrobić: walczyć o życie, uciec.*

*W pokoju, do którego wepchnęli mnie w komendanturze, usłyszałem tak dobrze znane mi wrzaski, ujrzałem znów ich twarze, naznaczone arogancją, jaką daje siła i bezkarność, ich oczy, podobne do białych oczu oficera, który zastrzelił mojego rudowłosego towarzysza za kradzież dwóch śledzi.*

*- Czapka, Żydzie!*

*Stałem nieruchomo; Polak nie zna niemieckiego. Oficer, szczupły brunet z zaczesanymi do tyłu włosami, uderzeniem linijki strącił mi czapkę z głowy. Podniosłem ją i położyłem na jego biurku. Z wściekłością zepchnął ją na ziemię, wrzeszcząc na całe gardło. Wszyscy mieli ten sam głos. Zacząłem go przepraszać po polsku. Trzasnął linijką o biurko, rzucił wiązkę przekleństw na Żydów oraz na Polskę i zawołał tłumacza. Wszedł niemłody już oficer.*

*- Skąd jesteś, Żydzie?*

*- Ależ Ja nie jestem Żydem!*

*Opowiedziałem moją historyjkę, mówiłem szybko, gubiłem się w szczegółach; nie mam dokumentów, mój ojciec i matka są w Warszawie, a ja tu, żeby móc pracować, jeść. Tłumacz miał ludzki głos, patrzyłem na niego, gdy przekładał na niemiecki moje słowa, gestem ręki podkreślając moje wypowiedzi, starając się uczynić je wiarygodnymi. Od czasu do czasu rzucił mi życzliwe spojrzenie. Oficer przy biurku bawił się linijką, wahał się, jeszcze niezupełnie przekonany.*

*- Więc chcesz kenkartę? Czulem, że wygrałem.*

*- Chcę tego, co trzeba mieć, żeby móc pracować.*

*Ktoś zapukał i jakiś cywil wsunął głowę w uchylone drzwi.*

*- Co się znów stało?*

*- Chodzi o tę kradzież zeszłej nocy.*

*Do pokoju wszedł pochylony służalczo pracownik komen-*



*dantury. Polak. Zaczął rozmawiać z oficerem o zaginionych workach zboża. Stałem nieruchomo w kącie pokoju, czułem, że sytuacja zmieniła się. Polak odwrócił się ku mnie i oficer przypomniał sobie nagle o mojej obecności.*

*- A według ciebie to Żyd czy Polak? Człowiek zawahał się, po czym odpowiedział:*

*- Żyd - mrugnął do mnie okiem.*

*Zaprzeczyłem, nie zrobiłem przecież nic podobnego, ale oficer już był przy mnie. Uderzył mnie. Zapłaciłem za złodziei zboża.*

*- Sprawdź - rzucił oficer.*

*Człowiek podszedł do mnie. Patrzyłem mu prosto w oczy.*

*Mógł mnie uratować albo zgubić. Był panem mojego życia, wszystkich moich wspomnień, panem tego, co dzięki mnie zostanie żywe z tysięcy istnień ludzkich. Ale on też miał białe oczy bestii w ludzkim ciele. Nie mogłem z nim walczyć.*

*- Obrzezany, Żyd, przecież panu mówiłem. Ja się nigdy nie mylę.*

*Polak śmiał się.*

*- Niech mu pan da dobrą nauzkę - powiedział na odchodnym.*

*Próbowałem jeszcze protestować, wyjaśniać, że byłem chory i operowany jako dziecko, ale nie słuchali mnie i mówiłem tylko po to, by nie rozpaczać. W głosie tłumacza wyczuwałem niepokój. Oficer przerwał mu.*

*- Zaraz przywrócimy mu pamięć - rzekł.*

*Do pokoju weszli żołnierze i ustawivszy się wkoło zaczęli mnie kopać i okładać pięściami. Oficer prowadził dalej przesłuchanie tylko dla przyjemności bicia. Kazał mi położyć się na ławie i za każdym moim krzykiem mocniej chłostał mnie batem. Potem podniósł mnie, ciągnąc za włosy.*

*- Podasz nazwiska partyzantów, których znasz, Żydzie.*

*Powiesz nam, gdzie ukrywają się Żydzi.*

*Zaprzeczyłem ruchem głowy. Znów szarpnął mnie za włosy.*

*- Uparte Żydzisko.*

*Skatowali mnie okrutnie. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem na ziemi, w celi, miałem pokrwawioną twarz i plecy, całe ciało poznaczone siniakami. Próbowałem się podnieść, ale nie mogłem. Leżałem więc dalej nieruchomo, myśląc o moich najbliższych, wspominając całe swoje życie. Czy po to uciekłem z Treblinki, by zginąć w Zambrowie? Nie wiem, na jak długo zapadłem w meczący, pełen koszmarów sen.*

*Obudziło mnie stukanie butów i głosy:*

*- Wstawaj!*

*W otwartych drzwiach stał oficer. Zdobywam się na wysiłek, padam znów na ziemię, myślę o rowach w Treblince. Gryzę się w policzki, stoję opierając się o ścianę. Widzę dwóch żołnierzy i oficera-tłumacza. Rozmawiają. Słyszę, jak tłumacz nalega:*

*- Jeżeli zabijecie go tutaj, trzeba będzie go pochować. Naj-*

*prościej byłoby zaprowadzić go tam.*

*Wchodzi do celi, krzyżuje mi ręce na plecach, na przeguby zakłada kajdanki i ściąga mi buty z nóg.*

*- Ręczę, że nie ucieknie.*

*Stojący wciąż w drzwiach oficer waha się chwilę, a następnie odchodzi. Ten tłumacz, człowiek w niemieckim mundurze, uratował mi życie. Wypchnął mnie na dwór, dwaj żołnierze wzięli mnie między siebie; było ciemno, spadł śnieg, szedłem z trudem, schylony, chwiejąc się za każdym krokiem. Zmierza-  
liśmy w stronę wsi. Tłumacz szedł za mną. Odwróciłem się.*

*- Czy chrześcijanin, człowiek, pozwoli mi zginąć?*

*- Nie mogę zrobić nic więcej.*

*Mówił szybko, po cichu, przejęty, ze spuszczonej oczami, obawiając się niewątpliwie podejrzliwości obu żołnierzy, którzy nie byliby w stanie pojąć, że oficer może prowadzić rozmowę z Żydem.*

*- Chcieli cię zabić. Idziesz do obozu.*

*Stopy paliły mnie na śniegu. Musiałem koncentrować całą energię i wolę na jednym tylko zadaniu; wyciągnąć ze śniegu jedną nogę, potem drugą, nie ulec chęci położenia się; musiałem dojść do obozu o własnych siłach, bo wiedziałem, że żołnierze nie zadadzą sobie trudu, by mnie tam zaciągnąć żywego. Czulem potrzebę mówienia. Nabrałem w piersi tchu, aż myślałem, że pęknie mi serce. Zabolał mnie żołądek.*

*- Wysłuchaj mnie, oficerze, jesteś przecież człowiekiem!*

*Uratowałeś mi życie, wysłuchaj mnie!*

*Słyszałem odgłos jego kroków na śniegu. Nie odezwał się.*

*- Musisz się dowiedzieć, usłyszeć o Treblince.*

*Mówiłem przy akompaniamencie skrzypienia śniegu pod jego butami, urywając w pół słowa, w pół zdania, gdyż brakowało mi tchu. Zobaczyłem światła, zasieki wokół dużego budynku, przypominającego koszary, i obóz w Zambrowie. Podszedł do nas strażnik.*

*- Macie następnego! - rzucił jeden z eskortujących mnie żołnierzy.*

*- Mogliście go sobie zatrzymać.*

*Zbliżył się tłumacz. Zdjął mi kajdanki i nagle mocno uścisnął mi dłoń.*

*- Uciekaj - szepnął. - Uciekaj. Strażnik wrzasnął.*

*- Biegiem, Żydziaku, jest zimno, czy chcesz, żebym cię rozgrzał?*

*Puściłem się pędem; żołnierze śmieli się z moich niezdarnych ruchów, ale nie upadłem; wszędzie byli jeszcze ludzie, którzy zachowali swoje człowieczeństwo, niektórzy nosili mundury oprawców. Również dla nich trzeba oprzeć się pokusie śmierci i walczyć dalej.*

*Krzycząc i śmiejąc się jednocześnie strażnik skierował mnie do baraku na podwórzu. Uderzył kolbą w drzwi:*

*- Do pana, doktorze Menkes, jeden z pana braciszków.*

*Wszedłem. Doktor należał do uprzywilejowanych więźniów, których Niemcy tolerują przez pewien czas, gdyż są im potrzebni. Doktor Menkes, wypielegnowany tłuszcioch, miał zleconą opiekę lekarską nad obozem w Zambrowie.*

*Gdy rozebrałem się z trudem, zaczął powoli smarować mi plecy jakąś maścią; drżałem z bólu, z zimna, ze zmęczenia.*

*-Skąd jesteś?*

*Dotyk jego rąk był delikatny. Zacząłem mówić o Warszawie, o Treblince, i jeszcze o Treblince.*

*- Wstawaj. Ubieraj się.*

*Ton jego głosu zmienił się, był teraz agresywny.*

*- Jeśli piśniesz w obozie słowo tej propagandowej gadki, potrafię zmusić cię do milczenia.*

*Wypchnął mnie z pokoju, powtarzając, że mam milczeć.*

*Wypędził mnie, jakbym był nosicielem jakiejś zarazy. Gdy znalazłem się już w ciemnościach, na dworze, zawołał mnie i wręczył parę starych domowych pantofli.*

*- To wszystko, co posiadam - rzekł już bez gniewu, niemal serdecznie.*

*- Zobaczysz - dodał. - Tu nie jest tak źle, jak myślisz. Będziesz trzymał język za zębami, żeby nie przysparzać nam kłopotów.*

*Ich gniew skrupiłby się na nas wszystkich. Możesz mi wierzyć, że do tego nie dopuszczę.*

*Śnieg stwardniał. Z trudem wsunąłem spuchnięte stopy do kapci, zmęczenie utrudniało mi ruchy, moje ciało było jedną piekącą raną. Jak mówić dalej i po co? Menkes odprowadził mnie do baraku.*

*- Pamiętaj! - powtórzył.*

*Nigdy nie zapomnę zaślepienia większości, tchórzostwa niektórych i zręczności, z jaką kaci wykorzystywali strach, chęć życia, dobroć, egoizm. Nie zapomnę tej długiej, ciemnej sali, gdzie ludzie bili się, by spać jak najdalej od wejścia, przy którym stanąłem. Nikt nie potrzebował wyjaśniać mi, dlaczego: tu także, jak w Treblince, Niemcy przychodzili co noc po kontyngent ludzki. Biada tym, którzy znaleźli się najbliżej. W zambrowskim obozie obchód robił osobiście komendant Bloch ze swym olbrzymim owczarkiem, którego sierść jeżyła się na widok więźnia. Bloch wchodził do baraku jak wszechwładny, okrutny bóg i wśród grobowego milczenia wybierał jednego z więźniów, trącając go nogą.*

*- Zimno ci, Żydzie? Ciepło ci?*

*Odpowiedź nie miała znaczenia. Więzień wiedział, że to kres jego życia: wyjdzie, żeby się trochę „rozgrzać” lub „ochłodzić”, i więcej nie wróci. Jednak rano, gdy drżąc z zimna staliśmy na placu apelowym, chłostani wiatrem, który sypał nam śnieg prosto w oczy, komendant Bloch, przechadzając się przed szeregami ze swym nieodłącznym psem, gotowym w*

*każdej chwili rzucić się na któregoś z nas, mówił:*

*-Żydzi z zambrowskiego getta, nie lękajcie się niczego.*

*Zależy mi na was, Żydzi. Muszę zachować was zdrowych i całych. Wymienimy was na Niemców, mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Ale uwaga! Wymagam od was posłuszeństwa, bezwzględnego posłuszeństwa.*

*I ci ludzie wierzyli jego deklaracjom, choć co noc po wyjściu Blocha z baraku słyszeli strzały, choć widzieli niejednego więźnia, który skulony, tarzając się po ziemi usiłował obronić się przed rozwścieczonym psem komendanta. Zrozumiałem, że dla niektórych ludzi, może dla większości, największą udręką jest poznanie prawdy.*

*Pierwszego wieczoru zabrakło mi sił, by walczyć o życie.*

*Ległem koło drzwi baraku i nie byłem w stanie iść ani kroku dalej. Narażałem się na śmierć: niech mnie wreszcie zabierze.*

*Przez cały dzień ocierałem się o nią tak blisko, wymykałem się tak często, że przestałem się jej bać. Obudziły mnie dopiero kroki udających się na apel więźniów; tej nocy Bloch nie przyszedł do naszego baraku. Zjawił się następnej, wyznaczył dwóch więźniów, ale Ja leżałem już w głębi, zdecydowany, że przeżyję Zambrów.*

*Był to obóz przejściowy dla Żydów z Zambrowa, Łomży, Śniadowa i Czyżewa; mieli tu czekać, aż nadejdzie ich godzina, aż przygotuje się dla nich rowy w Treblince. Spotkałem tu*

*kilku mieszkańców zambrowskiego getta, między innymi „ważniaka”, który przemawiając przed synagogą akcentował zawsze swoje słowa ruchami ręki. Schudł trochę, ale nie stracił pewności siebie i mówiąc, nadal wybijał rytm do wypowiadanych słów. Pewnego wieczoru podszedłem cicho do jego łóżka; drzemał, a jego twarz o zamkniętych oczach i pulchłowatych policzkach przypominała twarz różowego, pulchnego dziecka. Szarpnąłem go. Instynktownym ruchem zasłonił się ręką, jak przyłapany na gorącym uczynku psotny chłopak. Chciałem porozmawiać z nim jeszcze o Treblince, wypomnieć mu jego błędy, czy myliłem się uprzedzając, jaki los czeka Żydów z zambrowskiego getta?*

*- O co chodzi? Co się stało?*

*- Nic, nic. Zajmuje pan trochę za dużo miejsca.*

*Trochę protestował, potem posunął się i spędziłem noc, leżąc obok niego z otwartymi oczami. Już wiedziałem, że nie potrafiłby wykorzystać prawdy; przygniotałaby go, może doprowadziła do utraty godności ludzkiej. Niechże odkrywa ją sam; nie będę jej głosić, aby przekonać tego człowieka, który robił, co mógł, by nie wyjść z ciasnych ram swojej osobowości. Szukałem w obozie ludzi, z którymi mógłbym porozmawiać. Nie było ich wielu, większość postanowiła zostać na miejscu razem z rodziną. Gdy opisywałem im Treblinkę, wielu potrząsało głową.*



*- Za późno - mówili. - Nasze dzieci są z nami. Czy chcesz, żebyśmy je porzucili?*

*Nie zniechęcałem się, ostrożnie namawiałem do ucieczki, do buntu; obserwowałem patrole wartowników, liczyłem rzędy drutu w zasiekach. Ucieczka była możliwa, nawet łatwa.*

*Nocą panowało tak przeraźliwe zimno, że wartownicy na wieżyczkach obserwacyjnych nie wychodzili z budek. Widziałem, jak z podniesionymi kołnierzami szyneli wspinali się po drewnianych drabinach i natychmiast znikali w małych kabinach, które chroniły ich od lodowatego wiatru. Zauważyłem również, że do obozu wpuszczano bez żadnej kontroli wszystkich Żydów, którzy zjawiali się przy wejściu. Przychodzili codziennie, niektórzy w poszukiwaniu rodzin, inni nie chcąc już dłużej żyć, jak tropiona zwierzyna, a byli i tacy, którzy wierzyli jeszcze w człowieczeństwo katów. Obmyśliłem szaleńczy, urągający zdrowemu rozsądkowi plan, któremu usiłowałem nadać pozory rozsądku: ucieknę, wystaram się u wieśniaków o chleb, wrócę do obozu, sprzedam chleb, a potem znowu ucieknę i, mając dość pieniędzy, kupię odzież i dokumenty, które zapewnią mi bezpieczeństwo, może nawet zdołam wrócić do Warszawy, odnaleźć ojca, przyłączyć się do partyzantów.*

*Przez wiele dni nadaremnie myszkowałem po obozie w poszukiwaniu nożyc. W końcu zabrałem duże nożyczki z baraku*

*doktora Menkesa i jeszcze tego wieczoru schowałem się pod jedną z wieżyczek obserwacyjnych, gdzie nie docierały światła reflektorów. Te skrawki ciemności były zasadniczo patrolowane, ale zziębnięci żołnierze grzali się w budkach. Czekałem nieruchomo, wyciągnąłem bose stopy z pantofli i rozcierałem je dłońmi, nawet już nie szczekałem zębami. Słyszałem ujadanie psa komendanta przed barakiem, widocznie Bloch przyszedł po swą conocną daninę. Potem zapadła cisza. Rozkopałem zamarznąłą ziemię, przeciąłem zasieki, podarłem odzież, poraniłem się, czółgałem się, wsluchiwałem w ciszę, spocony mimo mrozu; wreszcie znalazłem się wśród drzew. Byłem wolny. Ruszyłem przed siebie, doszedłem do jakiejś wsi. Wstawał dzień. Niebo wisiało nisko, ciężkie od śniegu, ale na szczęście wiatr ustał. Pukałem kolejno do wszystkich drzwi, prosząc o chleb. Chłopi i wieśniaczki spoglądali na mnie w milczeniu, mówiłem tylko:*

*- Chleba, chleba.*

*Patrzyli na moje czerwone ręce, na poszarpaną kurtkę, podarte łapcie i podawali mi okrągłe, twarde bochenki. Jakaś opatulona chustkami wieśniaczka dała mi kubek gorącego mleka i worek. Nie rozmawialiśmy z sobą. Podarta odzież, przez którą przeglądało moje czerwonosine od uderzeń i zimna ciało krzyczały, że jestem Żydem. Ale dali mi chleba. Dziękuję wam, polscy wieśniacy. Przenocowałem w stajni razem*

*ze zwierzętami, rano napiłem się ciepłego mleka prosto od krowy, potem z workiem pełnym chleba ruszyłem do obozu. Powtarzałem sobie, że nazajutrz wydostanę się znów, a za niemieckie marki zafunduję sobie nową tożsamość i inny wygląd. Nie czułem już nawet zimna. Byłem z siebie dumny jak w okresie getta, ilekroć przedostawszy się przez mur wracałem do domu, przechytrzywszy oprawców. Wartownik uchylił lekko drzwi.*

*- Jestem Żydem. Chcę wejść. Tu są moi rodzice.*

*Wskazał mi drogę gestem, bez słowa, jakbym był zwierzęciem, które dobrowolnie idzie do rzeźni. Wróciłem do mojego baraku i przez cały dzień sprzedawałem chleb. Utworzyła się tu, jak we wszystkich obozach, sieć handlowa i większą część mojego towaru odstąpiłem hurtownikom, którzy następnie rozprzedali go detalicznie. Wieczorem miałem pieniądze. Spałem spokojnie. Musiałem nabrać sił przed moim ostatnim dniem w obozie i kolejną ucieczką. Ale któż może być pewien jutra? Okazało się, że znów przepuściłem szansę. Na porannym apelu komendant Bloch długo przechadzał się między szeregami więźniów, aż w końcu zatrzymał się przed nami. Nosił długi skórzany czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem, wysokie buty, zacierał dłonie w rękawicach, a my staliśmy nieruchomo, zdychając z zimna.*

*-Jestem bardzo zmartwiony. Żydzi. Niektórzy z was zawiedli*

*moje zaufanie. Miały miejsce ucieczki. Skradziono i*

*zniszczono niemiecki sprzęt i narzędzia. Trzeba za to zapłacić,*

*Żydzi!*

*Wszedł znów między nas, wybrał dziesięciu ludzi, wśród*

*których spostrzegłem ważniaka z Zambrowa; był teraz przy-*

*garbiony, cały jakby się skurczył. Co by mu z tego przyszło,*

*gdyby o parę dni wcześniej poznał prawdę? Komendant Bloch*

*kazał zakładnikom ustawić się rzędem.*

*- Żydzi, ci ludzie umrą z waszej winy. Mogliby doczekać końca*

*wojny w Ameryce, ale teraz umrą.*

*Żołnierze stali już w pogotowiu, kilkunastu ludzi w hełmach i*

*grubych szynelach; czekali ciężcy, masywni, jak groźne*

*zwierzęta. Sypał lekki, drobny śnieg. Komendant Bloch nie*

*spieszył się, coraz to rzucał kilka nowych zdań. Igrał z*

*naszym życiem, którym dysponował.*

*- No, Żydzi, idźcie do waszego Boga!*

*Kazał zakładnikom odwrócić się. Patrzyłem tylko na waż-*

*niaka z Zambrowa; na jego czerwonej twarzy malowało się*

*zdziwienie, podniósł rękę, myślałem, że przemówi, ale żoł-*

*nierze brutalnie równali już rząd skazańców, skończyła się*

*pora słów, przemówiły karabiny. Niebawem na śniegu leżało*

*dziesięć trupów, wokół których kręcił się, ujadając, pies ko-*

*mendanta. Ale komendant jeszcze z nami nie skończył. Kazał*

*wystąpić z szeregów ojcom rodzin, którzy mieli dzieci w*

*obozie.*

*- Żydzi, kochacie wasze dzieci. Zwierzęta też kochają swoje małe. Życie dzieci jest w waszych rękach. Każdej nocy będziecie pełnić straż, jeden Żyd co dwadzieścia metrów. Wy i wasze dzieci będziecie płacić za zbiegów. Skończyłem.*

*Nowy system wprowadzono w życie tego wieczoru. To była zaporą nie do przebycia. Próbowałem nawiązać kontakt z żydowskimi strażnikami, tłumaczyłem, że zginiemy wszyscy, że musimy ważyć się na jakieś wspólne działanie, że nasze losy są połączone ze sobą, jak palce jednej dłoni, o, spójrzcie, bracia, na moją, dusiłem nią konające żydowskie dzieci, aby im oszczędzić męki powolnej śmierci w żółtym piasku Treblinki, słuchajcie, bracia, musimy spróbować uciec wszyscy razem, teraz. Nie uratujecie waszych dzieci, akceptując prawo ludobójców. Nie chcieli mnie słuchać, potrząsali głowami, unikali mojego spojrzenia. I czy można mieć im to za złe?*

*Zastanawiałem się nad szansą samotnej ucieczki, ale wiedziałem, że udaremnią ją, uważając mnie za niepoczytalnego wyrostka, niegodziwca, który naraża ich oraz ich rodziny na bezlitosną zemstę komendanta Blocha. A przecież jeśli chcę uciec, to również z myślą o nich, o mojej rodzinie i wszystkich, którzy leżą w rowach Treblinki, o moim ojcu, który może przeżyć, i po to, żeby walczyć i żeby samemu przeżyć. Ale jak wytłumaczyć to w kilku słowach, gdy kaci są w pobliżu,*

*rozmawiać można tylko potajemnie, a strach odbiera jasność myślenia.*

*Miałem jeszcze inne pomysły, można by na przykład zaatakować wartownika, często stojącego samotnie przy wejściu do obozu. Przez cały dzień obserwowałem żołnierza, którego postanowiłem zabić, ale w chwili, gdy miałem się na niego rzucić, nadszedł jego kolega i został z nim razem. Naza jutrz również wartę pełniło stale dwóch żołnierzy. Mój plan obrócił się wniwecz, a dni mijały. Ekskawator w Treblince kopał już na pewno rów dla nas, mój grób. Trzeba było uciekać, uciekać! Przekupiłem polskiego furmana, który przywoził kartofle do kuchni, i zająłem jego miejsce na wozie, ale spojrzenie, jakim obrzucili mnie żołnierze przy bramie, wystarczyło, bym zrozumiał, że ten fortel się nie uda; tylko Żyd mógł nosić takie łachmany i szmaciane kapcie.*

*- A ty co tu robisz?*

*Wymyśliłem prędko wyjaśnienie: woźnica prosił, żebym powoził aż do bramy. Zeskoczyłem z furmanki i dostałem parę kopniaków.*

*- Spływaj stąd, Żydzie, i to prędko!*

*Znów stracony dzień, który przybliżał mnie do Treblinki.*

*Rano gotów byłem ważyć się na wszystko, na największe szaleństwo, rzucić się na dwóch żołnierzy przy wejściu, zasztyletować ich, uciekać, może chybią strzelając do mnie? Apel*

*włókł się bez końca; przechadzając się wśród nas, komendant*

*Bloch poszczuł swojego psa na więźnia, który zapomniał*

*stanąć na baczność. Potem jakiś oficer zażądał robotników*

*-malarzy, stolarzy i cieśli. Bez wahania podniosłem rękę.*

*Może tu była jakaś szansa?*

*Kazano nam ustawić się rzędem, po czym ruszyliśmy.*

*Przeszedłszy przez pierwszą bramę i zasieki znaleźliśmy się*

*na szosie. Ale towarzyszyło nam dwóch żołnierzy, pola były*

*gołe, ucieczka równałaby się samobójstwu. Gdy minęliśmy*

*zakręt, zobaczyłem kompleks zabudowań otoczony zasiekami*

*i drewnianym parkanem: tu mieszkali oficerowie i żołnierze.*

*Mieliśmy wyremontować jeden z tych budynków. Żołnierze*

*podzielili nas na małe grupy; oświadczyłem, że jestem malarzem, i wraz z trzema innymi robotnikami znalazłem się w*

*długim, pustym korytarzu bez żadnego dozoru. Przez okno*

*widać było za parkanem pobliski las. Wyszedłem na podwórze; było puste. Przy wejściu, na końcu palisady, stała tylko*

*jedna budka strażnika. Zostaliśmy sami. Gdy wróciłem, zastałem już moich towarzyszy przy pracy.*

*Powiedziałem: - Nie ma nikogo.*

*Zaskoczeni egzaltowanym tonem mojego głosu, wszyscy trzej*

*oderwali się od roboty.*

*- Już odeszli. Można by przejść przez parkan. Otworzyłem*

*okno, ale jeden z nich skoczył naprzód, odciągnął mnie,*

*...*

*zamknął okno i stanął przed nim.*

*- Nie wolno otwierać - powiedział. - Jeżeli przyszedłeś tu, żeby próbować jakichś sztuczek, zapomnij o tym od razu. Nie śmiał nawet użyć słowa „uciec”.*

*- A dlaczego?*

*Wtedy odezwał się jeden z więźniów, starszy już człowiek.*

*- Jesteś młody - mówił wolno - ale my mamy tu w obozie rodziny i wszyscy za ciebie zapłacimy.*

*Opowiedziałem im o Treblince bardzo zwięźle, wiedziałem*

*już, że to bezcelowe. Ci ludzie nie ruszą się stąd i muszą zgi-*

*nąć; uznali, że obowiązuje ich prawo katów, którego nie znali*

*i nie chcieli poznać. Ale ja je znałem i postanowiłem przeżyć.*

*Możliwe, że za mnie zapłacą, rozumiałem ich motywy, ale by-*

*liśmy wszyscy skazani na śmierć i cokolwiek by myśleli, mieli*

*tylko jedną alternatywę: ucieczkę albo śmierć. W obozie*

*zambrowskim albo w Treblince. Nie mogli tego pojąć i mnie*

*też nie mogli zrozumieć. Żegnajcie, bracia.*

*Pracowałem z nimi aż do wieczora. Aby zatrzeć wrażenie*

*moich poprzednich słów, udawałem bez troskę, starałem się*

*ich rozerwać, pogwizdywałem, śpiewałem. Potem wyszedłem,*

*aby zapoznać się dokładniej z obozem: byłem pewien, że jest*

*tu jakaś szansa, którą muszę bezzwłocznie wykorzystać. Za-*

*sieki, parkan, murowane budynki, a obok jednego z nich*

*drewniany barak ze smołowanym dachem: latryny.*



*Wróciłem na korytarz, zabrałem się do pracy i znów wyszedłem. Tu mogłem się schować, tylko tu, w latrynie, w ostatniej chwili. Przesadzenie parkanu w biały dzień było ryzykowne, szosa przebiegała niedaleko. To nie mogła być tylko próba, ta ucieczka musiała się udać. Postanowiłem zatem czekać do nocy, która właśnie się zbliżała.*

*Teraz trzeba dokonać wyboru, odważyć się jeszcze raz na skok w nieznane, zerwać z niepewnym wprawdzie, ale zorganizowanym życiem w obozie, zdecydować się porzucić tych ludzi, których twarze stały się mi już znajome, pogodzić się z myślą, że będą mnie przeklinać i cierpieć; oderwać się od grupy, którą z nimi mimo wszystko tworzyłem, znieść uczucie, że dopuściłem się wobec nich zdrady. Ale przecież zdecydowałem się żyć właśnie po to, by dochować im wierności, pozostać sam, aby być z nimi wszystkimi, ze zmarłymi z Treblinki i z getta, i tymi, którzy jeszcze o tym nie wiedząc, niedługo legną w rowach.*

*Schowałem się w latrynie i wyciąłem nożem dwa otwory w drewnianych ścianach, aby widzieć, co się dzieje na zewnątrz. A gdyby ktoś tu wszedł? Barak był goły, położone w poprzek deski z dziurą pośrodku przykrywały dół kloaczny. Uniostłem deski, pozostało trochę wolnego miejsca między nimi a zamarznąłą warstwą ekskrementów, którą rozbiłem obcasem; pod spodem zobaczyłem topiel odchodów. Zostawiłem*

*deski rozsunięte, musiałem w każdej chwili być gotów do ucieczki. Jak wolno zapadała ta noc. Słyszałem ich krzyki, szczekanie psów, nawoływanie. Zanurzyłem się w łajno najpierw po pas, potem jeszcze głębiej, aż po szyję, żołądek kurczył mi się z obrzydzenia, usta miałem pełne gorzkiej żółci. Nie myśl, Mietek, wytrzymasz, Mietek. Ułożyłem deski nad sobą, na ich poprzednim miejscu, dotykając rękami zmarzniętej substancji, która zaczynała już topnieć wkoło mnie. Na dworze przed barakiem ujadaly wciąż psy. Do latryny wszedł jakiś żołnierz. Stąpając ciężko po drewnianej podłodze, którą oświetlał latarką, rozmawiał jednocześnie z kolegą, który został na dworze.*

*- Cholerny Żyd, nie trzeba nic mówić Blochowi.*

*Słyszę, jak się zbliża, a po chwili jego kał spływa mi po plecach. Potem wchodzi drugi i też wypróżnia się na mnie. Nie ruszam się, nie oddycham, nie istnieję, jestem nieczułym przedmiotem, twardym oszczepem wetkniętym w kupę gnoju, kawałem żelaza, którego nic nie zdoła wyszczerbić. Oni przegrają, Mietek, a ty przeżyjesz to wszystko, nikt nie zapłaci za twoją uciezkę, gdyż strażnicy boją się powiadomić o niej komendanta Blocha, wygraleś, Mietek. To nieważne, że masz ich kał na grzbiecie, wokół siebie, że grzęzniesz w ich łajnie.*

*Wytrwaj, Mietek, przeżyj!*

*Psy ujadaly długo, do latryny wchodzili jeszcze inni żołnierze,*

*potem stopniowo w obozie zapanowała cisza, ale czekałem jeszcze przez parę godzin, stojąc nieruchomo w tej ohydnej mazi, którą przesiąknęłam cały. Potem uniosłem deski, wyrwałem kilka innych, na których wsparłem się, podciągnąłem w górę i wylałem wreszcie z dołu, cały oblepiony ekskrementami. Na dworze chwycił mnie mróz, zacząłem się trząść, a w tym pancerzu z lajna byłem tak ciężki i niezdarny, że nie mogłem biec. Doszedłem do płotu; musiał mieć ze dwa lub trzy metry wysokości. Za nim była wolność. Próbowałem się wspiąć raz, dwa, dziesięć razy. Czasem jedną ręką dotykałem już szczytu, po czym ześlizgiwałem się, ich diabelnie ciężkie lajno nie pozwalało mi odbić się od ziemi. Oczyszcziłem się, aby się odciążyć, osuszyć i odpocząć, ale minuty mijały szybko, nieubłaganie zbliżał się świt. Zrozumiałem, że nie zdołam przejść przez płot. Nabrałem głęboko tchu w piersi, chwyciłem nóż i ruszyłem wzdłuż parkanu ku wartowni. Aby się wydostać, musiałem obezwładnić wartownika.*

*Szedłem wolno; od oświetlonej strefy przy wejściu dzielilo mnie jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy nagle zawadziłem dłonią o drewnianą poprzeczkę. W parkanie była zapewne kiedyś furтка, którą zablokowano deskami przybitymi w kształcie litery Z. Wygrałeś, Mietek! Powoli windowałem się wzwyż, deski umożliwiały mi wspinaczkę. Gdy wpętląłem na samą górę, zaczerpnąłem głęboko tchu, po czym upadłem na*

*drugą stronę. Byłem wolny. Przez chwilę leżałem nieruchomo: nikogo. Czołgałem się, szedłem, biegłem, zapadałem się w śnieg, maszerowałem przez pola, po jakimś czasie ujrzałem światło w wiejskiej chacie i ruszyłem w tę stronę. Zapukałem do drzwi. Usłyszałem ciężkie, męskie kroki. Od człowieka za tymi drzwiami będzie zależało moje życie. Otworzył, zobaczyłem jego potężną sylwetkę, stanął w progu, ale natychmiast się cofnął, podnosząc ręce do twarzy: poczuł bijący ode mnie smród.*

*- Mam dużo pieniędzy - powiedziałem od razu, podchodząc bliżej. - Więcej, niż będzie pan miał kiedykolwiek okazję zobaczyć. Chcę się umyć i dostać trochę odzieży.*

*Pokazałem mu mokre banknoty; wahał się, spoglądał to na pieniądze, to na mnie.*

*- Chodź.*

*Zaprowadził mnie do izby. Przyszło kilka kobiet i krępy mężczyzna o niskim czole i szerokich szczękach.*

*- Wody - powiedział ten, który mnie wprowadził. Podałem mu banknoty i zacząłem się myć, odżywać. Potem, gdy się wycierałem, mężczyźni przynieśli odzież.*

*- To będzie kosztować dużo pieniędzy - powiedział ten z niskim czolem. - Bardzo dużo.*

*Drugi patrzył w ziemię, jakby nie śmiał podnieść na mnie oczu.*

*- Jesteś Żydem. Masz jeszcze pieniądze. Dawaj.*

*Musiałem oddać im ostatnie banknoty, za które zamierzałem kupić żywność i dokumenty, odebrali mi te kawałki mego przyszełego życia, pieniądze, dla zdobycia których ryzykowałem tak wiele, wracając do obozu z workami chleba.*

*Upewniwszy się, że nie mam już więcej, dali mi odzież. Czysty i ciepło ubrany odzyskałem trochę energii. Przed odejściem błagałem, żeby dali mi choć jeden banknot.*

*- Spływaj stąd - powiedział ostro krępy mężczyzna. - I to prędko.*

*Byli silniejsi ode mnie. Wieśniak zatrzasnął za mną drzwi i znów znalazłem się sam, o wczesnym poranku, obrabowany, ale wolny. Musiałem iść dalej.*

*Szedłem przez pola i lasy, wpadałem w zaspę, sypiałem po stodołach, niczym lis kradłem jajka i kurczaki, potem idąc wzdłuż torów sprzedawałem moje łupy dróżnikom, którzy nie lubili wieśniaków, kradłem też chleb i słoninę, nieraz chłopcy gonili mnie aż do skraju lasu, gotowi zarżnąć jak prosiaka.*

*Grabież i nadzieja trzymały mnie przy życiu. Zdarzało się, że przez kilka godzin lub dni pracowałem u wieśniaków, niekiedy pukałem do drzwi i z niewinną miną szeptałem tradycyjne powitanie:*

*- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Odpowiadali:*

*- Na wieki wieków, amen.*

*Potem sprzedawałem im, cenione w tym okresie niedostatku, worki z juty, które przed chwilą skradłem im ze schodów prowadzących na strych.*

*Zetknąłem się z bestiami o ludzkim obliczu, ale też i z wieloma zacnymi ludźmi, którzy dawali mi chleb i nocleg, ryzykując życiem pozwalali mi schronić się przed śniegiem lub deszczem. Dzięki nim zachowałem nadzieję. Opowiadali mi o partyzantach z Armii Krajowej, o której już uprzednio słyszałem, a także o Żydach, którzy zaszyli się gdzieś w wielkim borze, wśród stuletnich drzew tak wysokich, że nie było widać ich wierzchołków, w rozciągającej się na południe od Białegostoku nieprzemierzonej kniei, do której Niemcy nie zapuszczali się nigdy. Szedłem do tej Puszczy Białowieskiej, bo wiedziałem, że jeśli Żydzi biją się, a ojciec mój żyje, to na pewno jest wśród nich. Minąłem miasteczko Łapy i dotarłem do Białegostoku. Tu Żydzi mieszkali wciąż jeszcze w getcie, ślepi i głusi, podobnie jak kiedyś ich warszawscy i zambrowscy bracia przekonani, że są potrzebni Niemcom i podlegają innym ustawom. Przemawiałem, przekonywałem, jak w Zambrowie. Czasem młodzi słuchali mnie, gdy mówiłem, że trzeba przystąpić do armii podziemnej; niektórzy wiedzieli, gdzie ukrywają się żydowscy partyzanci, ale nie chcieli opuścić Białegostoku. Nie mieli odwagi ryzykować, zdecydować się na radykalne cięcie, nie*

*rozumieli, że mają do wyboru tylko dwie możliwości:*

*samotną walkę lub masową zagładę.*

*Opuściłem więc Białystok i ruszyłem do Puszczy Białowie-  
skiej. Znalazłem się wreszcie wśród tych wielkich drzew, któ-  
re zasłaniały niebo. Szedłem, od czasu do czasu wpadając w  
zamaskowane śniegiem doły, śpiewając i pogwizdując ży-  
dowskie piosenki, żywiąc się ziemniakami; aż któregoś dnia  
ujrzałem ich wśród drzew. Zacząłem śpiewać bardzo głośno,  
żeby zorientowali się, kim jestem. Było ich około dziesięciu,  
posiadali dwa lub trzy rewolwery, mieszkali w szałasach z  
gałęzi, żywili się tym, co wyprosili u wieśniaków, więcej się  
kryli, niż bili. Rozmawialiśmy całą noc; oni przynajmniej  
uwierzyli mi. Siedząc nieruchomo wokół ogniska, szeroko  
otwartymi oczami spoglądali na mnie poprzez płomienie, a  
na ich twarzach malowała się zgroza. Musiałem kilka razy  
opowiedzieć im o tym, co widziałem i przeżyłem w Treblince.  
Gdy wreszcie skończyłem, Izaak, chudy młodzieniec, którego  
wyraziste rysy twarzy skrywał czarny zarost, powiedział:*

*- A wiesz, Mietek, że w Warszawie się bili?*

*Bili się? Nasi z getta?*

*Wieśniacy, którzy wrócili z Warszawy, mówili o jakimś  
buncie, o walkach z esesmanami. Izaak wiedział tylko tyle.*

*Mój ojciec tam jest; przeczuwałem to, a teraz byłem pewien.*

*Tam, w naszym mieście. Nie mogłem spać dręczony zimnem,*

*a przede wszystkim gwałtowną żądzą powrotu. Izaak chciał mnie powstrzymać, ale jak wstrzymać rzekę płynącą ku morzu? Uściskaliśmy się serdecznie, zbrataliśmy się przez te kilka godzin. Martwiłem się o nich, zdawałem sobie sprawę, że nie przetrwają długo, nie zorganizowani, bez pożywienia, bez broni. Ale wiedziałem również, że będą się bić nawet gołymi rękami. Żegnajcie, bracia. Ten okres naszego życia składał się z pożegnań.*

*Wyszedłem z puszczy. W niedzielę, w porze mszy świętej, przyszedłem do jakiejś wsi, przeszukałem kilka domostw, ukradłem trochę żywności, a na dnie drewnianego kufra w jednej z chałup znalazłem pod stosem odzieży polski paszport na nazwisko Lewandowski i kilka banknotów. Zabrałem to wszystko. Nie czułem wyrzutów sumienia. Prowadziłem osobną wojnę, na własną rękę. Musiałem mieć te pieniądze i paszport, żeby się dostać do Warszawy. W nocy pojechałem pociągiem do Hajnówki, wdrapałem się na dach wagonu, czepiając się oblodzonego metalu, który parzył z zimna.*

*Znalazłem się znów w Białymstoku; musiało to być jakoś pod koniec stycznia. W tamtejszym getcie panował teraz strach, mówiono o powstaniu w Warszawie, obawiano się represji, odczuwano wyraźnie, że Niemcy coraz mocniej zaciskają kleszcze. Zebrałem, sypiałem w piwnicach, zmieniłem figurującą w paszporcie datę urodzenia, znów trochę*



*przemawiałem, ale miałem przed sobą tylko jeden cel: nie wpaść w pułapkę białostockiego getta, dotrzeć do Warszawy, bić się tam - gdzie -jeśli tylko przeżył - na pewno znajduje się mój ojciec, który wiedział, że wrócę na Miłą, by pomścić nas wszystkich.*

*Gdy opuszczałem Białystok, Niemcy rozpoczęli tam właśnie akcję „przesiedleńczą” na wschód; przyszła kolej i na to miasto.*

*Wsiadłem do pociągu do Warszawy. W Łapach do wagonu weszli Niemcy, kontrolowali dokumenty i walizki. Koło mnie stała duża skórzana torba. Gdy otworzyli ją, okazało się, że jest pełna słoniny. Zaprzeczyłem, zapewniałem, że to nie moja torba, ale tak samo zaprzeczali inni pasażerowie, a Niemcy zdecydowali, że mnie właśnie zabiorą do komendantury. Towarzyszący mi żołnierz szedł obok mnie spokojnie, obojętnie: drobny przemytnik słoniny to nic ciekawego, ot, mała płotka. Myślałem o wyskrobanej dacie w paszporcie i o tym, co mnie spotkało w komendanturze w Zambrowie. Na jakiejś pustej ulicy kopnąłem żołnierza dwa razy w podbrzusze, a gdy zgiął się wpół z bólu, dołożyłem mu jeszcze i uciekłem. Na końcu ulicy wpadłem na parę Polaków, których przedtem nie spostrzegłem, ale którzy niewątpliwie byli świadkami mojej agresji. Nie wiem dlaczego, od razu poczułem do nich zaufanie.*

*- Tędy - rzekł mężczyzna.*

*Zabrali mnie do siebie do domu i zaczęliśmy rozmawiać przy  
flaszce wódki. Opowiedziałem im o Treblince. Miałem rację,  
że im zaufałem; słuchając mnie młoda kobieta płakała.*

*Mężczyzna potrząsał głową i zaciskał pięści.*

*- Aby dostać się do Warszawy - powiedział po prostu - trzeba  
przejsć przez granicę na Bugu; z jednej strony są tereny  
przyłączone do Rzeszy, z drugiej „Generalna Gubernia”, a tuż  
obok Treblinka. Wszędzie pełno strażników. Lepiej kierować  
się na południe, na Bielsk Podlaski, a potem do Siedlec.*

*Tamtędy można przejść.*

*Młoda kobieta otarła oczy.*

*- Znam dobrze połączenia kolejowe - rzekła z uśmiechem. -*

*Jesteśmy kurierami Armii Krajowej. Znów wypiliśmy.*

*- Pan może być nam bardzo pomocny - powiedział mężczyzna.*

*Chciałem za wszelką cenę dostać się do Warszawy, ale radzili,*

*bym trochę poczekał, gdyż Niemcy bardzo pilnie strzegli*

*okolicy. Spędziłem u nich dwa dni, po czym wszyscy troje*

*wyruszyliśmy do Brześcia. Tam zobaczyłem prawdziwych bo-*

*jowników, zrozumiałem zadanie oficera, który odpowiada za*

*życie grupy ludzi i musi decydować sam. Pojąłem, że wojna to*

*trudne rzemiosło. Kobieta powiedziała mi nieśmiało:*

*- Proszę nie mówić, że pan jest Żydem. Niech to będzie nasza*

*tajemnica. Są ludzie, którzy tak samo jak Niemcy nienawidzą*

*Żydów. Ale my takich także potrzebujemy do walki z okupantem.*

*A walczyli dobrze. Poznałem kapitana Paczkowskiego, zwanego Wania, i Mieczysława-Bociana. Od nich dostałem moją pierwszą broń, ciężkiego colta, który stał się Jakby przedłużeniem mojej ręki i dodawał pewności siebie.*

*Nareszcie, nareszcie będę się bić. Ciągle jeszcze chciałem wyjechać do Warszawy, ale przede wszystkim nauczyć się wojaczki, aby później umieć walczyć w naszych szeregach. Z kapitanem Wanią chodziłem po zamrożonych rzekach, czołgałem się w lasach, rozkładałem materiały wybuchowe na torach, piłowałem słupy telefoniczne. Potem Wanię schwytano, a ja zdołałem znów wymknąć się z ich szponów, wyskakując z ciężarówki, którą wieźli nas do więzienia w Pińsku. Musiałem schronić się w Brześciu, zmieniać kryjówki, czekać, odwlec wyjazd do Warszawy, aby uczestniczyć w zorganizowanym przez Jana-Ponurego oswobodzeniu kapitana Wani.*

*Jan przyjechał z Warszawy. O takich jak on mówi się: to urodzony wódz, z twarzy bije mu szlachetność i odwaga. Wyznałem Janowi, że jestem Żydem, opowiedziałem mu o Treblince. On też, słuchając mnie, zaciskał pięści. Wania i on byli spadochroniarzami, wysłannikami Polskiego Rządu Emigracyjnego w Londynie; nie miał pojęcia o skali ekstermina-*

*cji, ale radził mi zataić moje pochodzenie. Zrozumiałem, że nie mogę przystać do Armii Krajowej, chciałem walczyć z otwartą przyłbicą dla swoich i razem z nimi. Oswobodzenie Wani miało być moją ostatnią akcją w AK. Przygotowałem napad na więzienie w Pińsku razem z Janem i pierwszy raz nie byłem tropionym zbiegiem, ale strzelcem, zwiadowcą, obserwującym strażników ze świadomością, że na dany sygnał położymy ich trupem.*

*Przyjechaliśmy pod więzienie samochodem i jeden z nas, ubrany w mundur SS, kazał otworzyć bramę. Wskoczyliśmy, zasztyletowaliśmy wartowników, rozwarliśmy następną bramę. Ponury wydawał nam rozkazy gwizdkiem.*

*Umówiliśmy się, że nie będziemy mówić po polsku; w celu oszczędzenia ludności represji, chcieliśmy, aby wzięto nas za radzieckich partyzantów. Wyważyliśmy drzwi cel i więźniowie pobiegli korytarzami do naszych ciężarówek. Co to za radość odnieść prawdziwe zwycięstwo, wydać bojowy okrzyk, nareszcie zacząć się mścić.*

*Uwolniliśmy Wanę; był ranny, storturowany, ale żył. W Armii Krajowej nauczyłem się władać bronią i poznałem trochę wojennego rzemiosła. Teraz spłaciłem dług; mogłem wyjechać.*

*Wypiłem z Janem za naszą przyjaźń i walkę. Jan był żółnierzem, prawdziwym mężczyzną; werbował do swojej armii*

*kogo się dało, nie mógł nic poradzić, jeśli wśród partyzantów  
znalazło się kilku antysemitów; po wojnie trzeba będzie zbu-  
dować inną Polskę. Piliśmy. Ja byłem z warszawskiego getta,  
zostawiłem moją matkę, braci i Rywkę w Treblince, Sonię w  
Zambrowie i tylu innych w żółtym piasku, a jeśli mój ojciec  
żyje, to na pewno jest w Warszawie, gdzie nasi Już się biją.  
Tam jest moje miejsce, pośród swoich.*

*- Tak, Mietek, masz rację! Nie wolno wypierać się swojego  
sztandaru ani tego, kim się jest!*

*Uściskaliśmy się.*

*W dwa dni później byłem w Warszawie.*

*Byliśmy odporni jak skała*

*Moje miasto, moje ulice, moja przeszłość: oto Dworzec*

*Wschodni, Praga, rynek, gdzie sprzedawałem rękawiczki i  
raz rzuciłem się na ziemię, udając trupa. Tą ulicą uciekłem,  
oto Wisła, most Poniatowskiego, skarpa, kot Lajtak i Zofia,  
którą trzymałem za rękę setki lat temu, w innym życiu.*

*Przejeżdża tramwaj, idę powoli, bez żadnego celu. Życie toczy  
się tu jak dawniej, czy to możliwe, żeby w ciągu tych wieków,  
które przeżyłem, mężczyźni i kobiety rozpoczynali tu co rano  
nowy, spokojny dzień, pracowali, spożywali posiłki,  
dokazywali z dziećmi, kochali się?*

*Wszystko staje się szare, niewyraźne, jakbym upił się na  
smutno, czuję wkoło siebie niesprawiedliwość, egoizm, obo-*

*jętność, ignorancję: ulice Warszawy, przechodnie, wody Wisły, przęśła mostu, całe miasto ukazuje mi naszą samotność. Czym jesteśmy dla tych spacerowiczów, dla bawiących się dzieci? Niczym, nie istniejemy, moja matka, bracia, Rywka, Sonia, Zofia, i ty, ważniaku z Zambrowa, zastrzelony na śniegu, i ty, „dentysto” o zwinnych dłoniach, wrzucony do wspólnego dołu, i wy, moi bracia, przysypani żółtym piaskiem. Ta obojętność i egoizm zabijają nas po raz drugi, przysypują szczerzej niż piaski Treblinki. A gdzie indziej, daleko od Warszawy, w Nowym Jorku i jeszcze dalej, kto może wiedzieć, kto?*

*Przeszedłem na drugi brzeg Wisły i jak dawniej wałęsałem się po mieście. Przed wejściem do getta chciałem poczuć wokół siebie życie Warszawy; ulicą Dziką doszedłem do cukierni Gogolewskiego z pomalowaną na biało fasadą, potem do kawiarni, w której spotykałem się z moją bandą. Wszedłem: zastałem jakąś nową Jadzię, bardzo podobną do tej dawnej, miała również obfity biust, szerokie biodra, chichotała z byle powodu i tak samo jak tamta pozwalała obejmować się mężczyznom przypominającym Zamka-Mądralę, Piłę i Brygitki. Wypiłem kieliszek wódki, słuchając ich śmiechów i urywków rozmów. Mężczyźni przy stolikach rozprawiali o ukrywających się po aryjskiej stronie „kotach”, „beduinach”, których zamierzali szantażować. Śmieli się. Nowi „szmalcownicy”, tu-*

*czący się naszą krwią, zajęli miejsce Dziobatego,*

*Mietka-Olbrzyna, Rudzielca, Ptaszka. Egoizm, podłość,*

*obojętność -oprawcy mieli wciąż tych samych sojuszników,*

*wykorzystywali ciemne strony człowieka, które mogą*

*zawładnąć nim całym i zamienić go w bestię.*

*Wyszedłem. Idąc parkiem Krasińskich, Świętojerską i Na-*

*lewkami przybrałem chód warszawskiego ulicznika, aby wy-*

*prowadzić w pole tropiące „beduinów” bandy i zmylić*

*czatujących wciąż pod murem granatowych, Ukraińców i*

*Niemców.*

*Ale ich obecność ucieszyła mnie: dowodziła, że getto jeszcze*

*żyje i może jest tam mój ojciec, że trzeba tam wrócić, za-*

*dokumentować dramatycznie naszą obecność, krzyczeć, że*

*istniejemy, otworzyć w sercu Warszawy krater płomieni,*

*żeby było widoczne, że tu żyjemy, i aby świat dowiedział się,*

*że nas zabijają. Bić się, bić się, byłem teraz zupełnie pewien,*

*że tylko w ten sposób zdołamy przeżyć i uratować od*

*zapomnienia wszystkich naszych, przysypanych żółtym*

*piaskiem. To jedyne, co możemy zrobić, żeby mogli żyć dalej.*

*Wróciłem na Pragę i zapukałem do drzwi Mokotowa-Mogily.*

*Jemu mogłem zaufać. Nikt się nie odezwał. Czekałem chwilę,*

*ukryty w piwnicy, po czym zapukałem powtórnie.*

*Otworzyła mi Maria, jego siostra. Nie poznała mnie, ale wy-*

*czułem z jej wahania, że szuka w pamięci, z głębi, której wy-*

*nurza się moja twarz.*

*- Mietek, jestem Obcięty Mietek.*

*Ze zdumieniem otworzyła usta, potem wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała mnie po twarzy.*

*- Mietek, Mietek, jakiś ty chudy!*

*Jej głos był łagodny, ciepły, patrzyła na mnie uważnie, jakby odczytując z moich rysów, z mojej cery wieki, które przeżyłem.*

*- Uratowałeś się.*

*Poprosiła, żebym usiadł, przyniosła jedzenie, a kręcąc się koło mnie gładziła mi włosy, twarz, ramiona.*

*- Opowiedz mi, Mietek!*

*Potrząsnąłem głową. Nie byłem w stanie tu, przy niej, wspominać moich zmarłych.*

*- To więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Wszyscy zamordowani. Wszyscy moi najbliżsi. Ale czuję, że mój ojciec jest tutaj. Lepiej ty opowiedz mi o was.*

*Mokotów zerwał z ulicznikami, pracuje teraz, jako kierowca ciężarówki, należy do Armii Ludowej, grupującej lewicowych partyzantów. Maria zaczęła gorączkowo przerzucać poukładane w szafie stosy bielizny, spod których wyciągnęła małą, źle wydrukowaną gazetkę, „Głos Warszawy”, organ Polskiej Partii Robotniczej.*

*- Wiesz, Mietek, ja je kolportuję.*



*Nie słyszałem, kiedy wszedł Mokotów, i nagle poczułem na ramionach jego ręce.*

*- Wiedziałem, że wrócisz któregoś dnia.*

*Uściskaliśmy się mocno; nie widzieliśmy się dawno, ale przez cały ten czas Mokotów-Mogiła szedł ku mnie - on, dawny łowca „beduinów”, został jednym z walczących robotników.*

*Usiadł naprzeciw mnie i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.*

*- Wracasz z daleka, Mietek?*

*- Tak, z dość daleka. Podał mi kieliszek wódki.*

*- Ale nie na darmo. Tam biją się teraz. Przedzierzgnęli się w lwy.*

*Mój ojciec tam jest, na pewno, na pewno. Żyjemy i człowiek zwycięży bestię; tak jak u Mokotowa ciemna strona zniknie, odrzucona daleko.*

*- Zaczęło się w styczniu. Oblewali Niemców wrzącą wodą i gorącą oliwą, obrzucali kamieniami, używali też broni, ale mają jej mało.*

*Pilem wódkę, lecz ciepło, które w sobie czułem, nie płynęło z alkoholu. Nareszcie, nareszcie rzuciliśmy bojowy okrzyk.*

*- To było blisko waszego domu, na Miłej i Muranowskiej, w twojej dzielnicy. A Niemcy zmyli się, zaniechali deportacji, ł odtąd codziennie słyszeć strzały.*

*Podniosłem się.*

*- Mój ojciec na pewno tam jest.*

*Te słowa, które po raz pierwszy wypowiedziałem głośno,  
umocniły jeszcze moje przekonanie.*

*- Pójdę tam natychmiast.*

*Mokotów zalecał mi ostrożność. Mówił, że ulice roją się od  
szpicli i donosicieli; wylapują wszystkich, których wygląd  
wydaje się podejrzany, okradają ich, zabijają. Jeśli jakiejś  
rodzinie żydowskiej uda się znaleźć za grube pieniądze  
mieszkanie po aryjskiej stronie, bandy opryszków nachodzą  
ją kolejno, żądając okupu za milczenie,*

*- Szakale, pijawki, wampiry. Przekazują sobie wzajemnie  
adresy i dzielą się zarobkiem; potem, gdy już doszczętnie wy-  
cisną swoją ofiarę, denuncjują ją i otrzymują za to nagrodę.*

*Tak to jest, rozumiesz, Mietek?*

*Ruchem ręki odepchnął od siebie przeszłość.*

*-Ainni, Piła, Dziobaty...*

*- Zgraja szakali.*

*Podeszła Maria i wzięła mnie za rękę.*

*- Zaczekaj trochę tutaj, Mietek. Potem możesz się bić, razem z*

*Mokotowem walczyć w Armii Ludowej, przecież możesz...*

*Ale Mokotów wkładał już czapkę.*

*- Chyba trudno jest czekać, gdy przychodzi się stamtąd, skąd  
ty wracasz, Mietek.*

*Ucałowałem Marię, wypilem pożegnalny kieliszek wódki i*

*razem z Mokotowem ruszyłem w stronę getta.*

*- Co wieczór przez Leszno wracają „placówkarze”. Możesz spróbować.*

*Już dawniej kilka razy udało mi się wślizgnąć między Żydów pracujących we dnie poza gettem; kontrola nie była ścisła, chyba tylko wariat pchałby się dobrowolnie do więzienia.*

*Szliśmy Lesznem; ulica ta, dawniej jedna z głównych w getcie, stanowiła obecnie jego granicę. Domy na Grzybowskiej, na Krochmalnej, na Okopowej były puste, ich mieszkańcy zapelnili wagony na Umschlagplatzu, a potem rowy w Treblince. Przez pamięć o nich trzeba było tu wrócić.*

*Ulicą Żelazną szła kolumna, którą prowadzili niemieccy żołnierze. Zobaczyłem wynędzniałe twarze, przygarbione plecy, podartą odzież „placówkarzy”. Uściskałem Mokotowa.*

*- Powodzenia, Mietek!*

*Przed wejściem do getta kolumna zatrzymała się; wkoło stali polscy gapie, żebracy, łowcy „beduinów”. Skoczyłem naprzód, wtopiłem się w kolumnę, bez słowa przyjęli mnie w swoje szeregi, które natychmiast znów się zacieśniły. Zgiąłem kark i wbilem oczy w ziemię, przybierając postawę pokornego niewolnika. Po chwili kolumna ruszyła, przeszliśmy przez bramę. Byłem u siebie, w getcie.*

*Jest opustoszałe, wykrwawione, dogorywa, ale jeszcze żyje.*

*Do naszej kolumny dołączają robotnicy od Toebbensa i*

*Schultza, a doszedłszy do Nowolipek wszyscy się rozchodzą. Ulice pustoszeją, ludzie biegną w milczeniu i znikają w nadchodzącym zmroku, w martwej ciszy spustoszonego miasta. Biegnę także, rozpoznaję trotuary, bramy, odnajduję swoją przeszłość, jak dekoracje spektaklu, którego aktorzy zniknęli. W bramie jakiegoś domu na Dzielnej czatuje grupka młodych ludzi, zaczepiają robotników, podają im ulotki, których niektórzy nie przyjmują, a inni chwytają i szybko wsuwają do kieszeni. Dają mi jedną, po czym natychmiast, nim mogę coś powiedzieć, rozpraszają się; zostaję sam przed tą bramą, na wyludnionej ulicy. Dokoła cisza. Na podwórzu przeczytałem, wchłonąłem ten tekst jak życiodajny chleb, jak przejrzystą źródlaną wodę, jak świeżą krew, którą podaje się rannym:*

*Żydowska Organizacja Bojowa*

*Żydzi, niemieccy bandyci nie zostawią was długo w spokoju. Grupujcie się wokół sztandarów ruchu oporu. Bądźcie ostrożni, ukryjcie wasze żony i dzieci i niech każdy w granicach swoich możliwości przystąpi do walki z hitlerowskimi oprawcami Żydowska Organizacja Bojowa liczy na wasze całkowite poparcie zarówno moralne, jak i materialne. Warszawa -getto, 3 marca 1943. Dowództwo ŻOB*

*Ucałowałem ten pomięty arkusik i wybiegłem na ulicę.*

*Spotkam ich i odnajdę go, bo on musi być tam, wśród wal-*

*czących tak jak ja, mój ojciec, który dał mi przykład, który już od pierwszych dni okupacji, gdy spacerowaliśmy w parku Krasińskich, wiedział, jaki los gotują nam Niemcy. Ten tekst to jego głos, a także i mój, gdy tygodniami głosiłem prawdę w Zambrowie, w Białymstoku - nadaremnie.*

*Nie oświetlone ulice wydają się puste, ale w miarę jak idę, mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności i coraz wyraźniej dostrzegam sylwetki zgarbione pod ciężarem worków i desek, przebiegające od domu do domu. Poszedłem ulicą Zamenhofa i wkrótce znalazłem się na rogu Gęsiej. Tu przemawiał do mnie każdy metr bruku, pamiętałem każdą fasadę; tu ustawiały się*

*kolumny ruszające na Umschlagplatz. Matka, bracia, Rywka, Pola i Paweł, dawny Paweł sprzed nocy swego upadku, to serce mojego życia, tak już odległego; na tych dachach tuliłem cię do siebie, Rywko, tu krzyczała córka doktora Celmajstera, i na tych dachach Dawid powiedział mi, obejmując mnie ramieniem: „Przedwczoraj aresztowali twojego ojca. Nie mogliśmy nic zrobić”. Tu jest serce mojego okrutnego życia.*

*Zatrzymałem się na rogu Milej i Zamenhofa, spojrzałem w okno, jakby mogła w nim jeszcze stać moja matka, wyciągając ku mnie delikatną, szczupłą rękę, którą machała leciutko, nieśmiało, aby dodać mi otuchy. Zdawało mi się, że widzę jej zamglone niepokojem i smutkiem oczy. Nigdy im nie*

*wybaczę śmierci mojej matki. Nigdy. Szedłem ulicą Miłą,  
jakbym poruszał się w ciemnej jaskini. Wszedłem na schody  
pod numerem 23.*

*Zatrzymuję się, siadam, jakieś cienie przebiegają, ocierają się  
o mnie. Z podwórza dolatuje stuk młotów, słyszę odgłos  
spadających na ziemię narzędzi i zgrzyt piły. Schodzę z po-  
wrotem na podwórko: od strony Kupieckiej widzę gromadkę  
ludzi, którzy kopią, cementują. Utworzyli łańcuch i podają  
sobie wiadra, worki, deski.*

*- Pomóż, zamiast się przypatrywać.*

*Mężczyzna wskazał drugi koniec drąga, który trzymał.*

*Uniosłem go i pracowałem z tą grupą do świtu. Chodziło o  
zbudowanie dwóch bunkrów, wychodzących na ulicę Kupiec-  
ką, połączonych licznymi tunelami z Miłą. Pracując zapo-  
mniałem o czasie, zapomniałem, skąd przyszedłem, jak wszy-  
scy wokół mnie uwijałem się gorączkowo, jak gdyby Niemcy  
mieli zjawić się tu już o świcie, jakby od tego bunkra zależał  
los całego naszego narodu. I to prawda, los naszego narodu  
zależał od tego bunkra i wielu innych, które powstały na  
wszystkich ulicach getta, niczym wysepki oporu i przetrwa-  
nia, podziemne getto.*

*Wstał bladoniebieski cichy świt. Przez podwórko szły ku nam  
dwie postacie. Posuwały się wolno. Ludzie rzucili pracę i  
otoczyli nowo przybyłych. Odłożyłem piłę i też się zbliżyłem.*

*Jeden z dwóch mężczyzn mówił:*

*- Te bunkry, towarzysze, są jak nasze serca, nasze życie. One są nie tylko dla nas, ale dla świata, żeby wiedział. W tych bunkrach musimy się trzymać, wytrwać tydzień, żeby nasz głos słychać było przez wieki.*

*Ten egzaltowany ton, dźwięczny głos, te słowa wydały mi się znajome.*

*Zbliżyłem się. Za przemawiającym zobaczyłem siwowłosego mężczyznę z pochyloną jakby ze zmęczenia głową; był wysoki, stał ze splecionymi w tyle rękami. Podeszedłem jeszcze bliżej, odepchnąłem brutalnie jakąś dziewczynę, rzuciła mi przekleństwo, mężczyzna odwrócił się. Wiedziałem, że on żyje.*

*Stopiliśmy się w jedno, z piersią wspartą o pierś, obejmując się ramionami. Czulem na policzku jego zarost, jak dawniej, na Senatorskiej. Piłem jego słone łzy, a on łykał moje, spływające mu na dłonie, którymi pieścił mi policzki. Gdzież my jesteśmy? Po co ta wojna, getto, Treblinka, całe to szaleństwo, barbarzyństwo bestii w ludzkim ciele, po co, ojczy, ojczy, dlaczego te rowy, te martwe dzieci, skoro tyle szczęścia daje dotyk twoich rąk, ujście cię żywym, ojczy, po co ten świat, całe to spustoszenie?*

*Plakaliśmy trzymając się w objęciach, rozmawialiśmy ze sobą bez słów, a kuzyn, Julek Feld, który przyszedł z moim*

*ojcem jako delegat PPR, milczał.*

*Otoczająca nas grupa stawała się coraz liczniejsza, a wszyscy patrząc na nas płakali ze wzruszenia lub z żalu po swoich zmarłych, płakali z radości lub rozpacz. Potem nas zostawili. Stykając się ramionami staliśmy na środku podwórka, ale przed odejściem nasi towarzysze podchodzili i kolejno ściskali nam obu dłonie, jak gdyby chcąc się upewnić, że wszystko jest możliwe i że któregoś dnia, na jakimś podwórku w getcie, albo - kto wie, może po wojnie - oni też odnajdą kogoś ze swoich bliskich.*

*Gdy wszyscy odeszli, trzymając się za ręce weszliśmy po schodach na górę, tam gdzie kryliśmy niegdyś tych, których kochaliśmy, a którzy nie umieli się bronić. Mieszkanie było spustoszone. Szafa, która służyła za schowanko, leżała na podłodze z wybitym dnem; w kącie było jeszcze kilka książek moich braci i szydełkowa chustka, którą matka lubiła zarzucać sobie na ramiona. Wciąż trzymaliśmy się za ręce, wciąż jeszcze nie zamieniliśmy z sobą ani słowa. Inni, tam na dole, mówili za nas: Julek Feld wyjaśniał im, kim jestem. Tak wiele miałem do powiedzenia, ale nie mogłem sformułować ani jednego zdania. Tyle nagromadziło się we mnie męki, zgrozy, tyle pytań i nie wyznanych nikomu lęków, których nigdy nie śmiałem uświadomić sobie jasno w obawie, by nie wciągnęły mnie w swoje kłębownisko. Chciałem wypowiedzieć je teraz,*



*krzyczeć, że to niesprawiedliwe, że ta chustka, ta szafa i książki są jeszcze tam, gdzie nie ma już mojej matki i braci, że życie jest bezsensowne, a świat w ogóle nie zasługuje na to, by istniał, skoro martwe przedmioty przeżywają tych, których kochamy, a którzy odchodzą. Obejmowaliśmy się ramionami, nie śmiać się odezwać, dławiał mnie koszmar Treblinki, o której chciałem opowiedzieć, i te wszystkie pytania.*

*- Ojcze, ojcze!*

*- Nie wstydź się, Marcin, trzeba odważyć się płakać.*

*Łkałem w jego objęciach, płakałem, aż zdania zaczęły układać się same, i wtedy opowiedziałem mu wszystko. On też już nie płakał, siedzieliśmy naprzeciw siebie, na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami.*

*- To dobrze, Marcinie - mówił od czasu do czasu. Gdy zatrzymywałem się, nie ponaglał mnie i dopiero po chwili prosił:*

*- Mów dalej, synu.*

*- A ty, ojcze?*

*Podczas selekcji na Umschlagplatzu udało mu się otrzymać przydział do obozu pracy.*

*- Dzięki twoim naukom, Marcinie. Uciekł stamtąd i wrócił do Warszawy.*

*- Was tu już nie było. Żadnych śladów. Ale wiedziałem, że ty*

*nie jesteś z tych, co rezygnują. Wiedziałem. Ufałem ci.*

*Dzień zszedł nam na opowiadaniu, rozmowie, syceniu oczu  
wzajemną bliskością, wymianie wspomnień. Potem, gdy  
zapadł zmrok, usłyszałem znów stukot młotów, zgrzyt pił i  
szufli.*

*- Teraz przyszedł czas walki, synku. Zajmiesz swoje miejsce.*

*Ojciec wstał, wyciągnął rękę i jednym mocnym szarpnięciem  
podciągnął mnie w górę, jak dawniej, na Senatorskiej, gdy  
dla zabawy udawałem, że nie chcę się podnieść, żeby przyjść  
do stołu. Przez chwilę zatrzymał moją dłoń w swoich:*

*- Będziesz się bić, Marcinie, bo musimy się bić. Będziemy  
walczyć do końca. Większość z nas zginie. Ty postaraj się  
przeżyć. Żyj, Marcinie, żyj dla nas wszystkich.*

*Ucałowaliśmy się. Na podwórzu zgrzytała piła. Podarowano  
nam cały dzień; jeden dzień, który mamy wyłącznie dla  
siebie, to niemal wieczność w tym gorączkowym czasie. Nie  
mogliśmy wymagać więcej.*

*Tej nocy opowiedziałem członkom Żydowskiej Organizacji  
Bojowej o Treblince. W getcie wiadano już, że jest to obóz  
eksterminacyjny, ponieważ oprócz mnie udało się stamtąd  
uciec kilku innym, ale byłem pierwszym, który wrócił z dol-  
nego obozu. Mówiłem o ekskawatorze, o rowach w żółtym  
piasku, o Iwanie i Idioten. Następnie poprosiłem o przyjęcie  
mnie do organizacji.*

*Zaczęły się teraz dni twarde jak stal. Potrzebowaliśmy pie-  
niędzy, broni, ludzi; trzeba było zamknąć usta tchórzom,  
przekonać wahających się, ukarać zdrajców. Mimo  
deportacji, mimo wszystkiego, co wiedziano o Treblince,  
mimo Umschlag-platzu i styczniowych walk byli jeszcze tacy,  
którzy otrzymawszy od Niemców „numerek”, prawo do życia,  
wciąż wierzyli, że wysługując się okupantom doczekają  
końca wojny.*

*Widziałem robotników z „szopów” Toebbensa i Schultza,  
ochotniczo zgłaszających się na wyjazd. Pewnej marcowej no-  
cy porozlepiłem na murach getta afisze ŻOB, w których or-  
ganizacja wyjaśniała, że są to wyjazdy na zagładę, a nie do  
pracy, i że należy je sabotować. Nazajutrz Niemcy pozdzierali  
nasze plakaty. Toebbens i gruby Schultz zwoływali swoich  
robotników na zebrania. „Wasza praca jest nam potrzebna  
-mówili do nich z balkonu. - Ale ponieważ nie możecie zostać  
w samej Warszawie, wybraliśmy inne miejscowości, na przy-  
kład Trawniki, Poniatów. Tam zainstaluje się dla was warsz-  
taty, tam dostaniecie pracę i chleb”. I obaj ręczyli za to sło-  
wem honoru.*

*Trzeba było zadawać kłam takim przemówieniom, lecz  
czasem, wchodząc do jakiegoś sklepu słyszałem, jak ostatni  
szacowni kupcy, których Niemcy zostawili jeszcze w getcie,  
mówili o nas „zapalone głowy”, „smarkacze, którzy ściągają*

*na nas prześladowania i nieszczęście".*

*Ale minął czas szanowania cudzych opinii; byłem w Treblince, w Zambrowie, w Białymstoku i wiedziałem, ile warta jest ugodość. Wraz z kilkoma towarzyszami podjąłem się ściągania kontrybucji na rzecz organizacji. Nieraz wystarczało zażądać, niekiedy trzeba było wyciągnąć broń, czasem zabrać zakładnika. Za młodego Wielikowskiego, syna jednego z trzech członków Judenratu, uzyskaliśmy milion złotych. Rekwirowaliśmy żywność u kupców, zabijaliśmy niemieckich łupieżców, którzy wyprawiali się do getta na rabunek. Skazaliśmy na śmierć i wykonaliśmy wyrok na zdrajcy Jakubie Hirszfeldzie, który był kierownikiem „szopu” Hallmana.*

*Walczyliśmy o lepszy świat, wiedząc, że naszym zwycięstwem może być tylko gnębienie wroga, a nie pokonanie go, gdyż byliśmy wyspą, grobem, odrębnym gettem, otoczonym obojętnością lub nienawiścią, osaczonym przez nieprzyjaciela, a na dodatek nie mieliśmy broni. I może właśnie dlatego, że chcieliśmy po prostu bić się, spotkałem w ŻOB takich ludzi, w jakich istnienie chciałem zawsze wierzyć: Mordechaja Anielewicza, Michała Rosenfelda. Julka Felda i wielu innych, Bera Brando, Arona Bryskina i tylu, tylu jeszcze, którzy tak jak ja uważali, że dochowaniem wierności ofiarom Treblinkii jest walka i zemsta. Ale nie mieliśmy broni.*

*Zacząłem znów wyprawiać się do aryjskiej Warszawy, ale nie po zboże, lecz karabiny, pistolety, granaty i amunicję.*

*Brnąłem przez brudną wodę ścieków, początkowo z przewodnikiem Polakiem, a po kilku przeprawach, gdy zacząłem się orientować w kanałach - sam. Poznałem już dawno topografię ulic, torów tramwajowych i muru, a potem geografię dachów, teraz zagłębiłem się w ciemny świat podziemnych kanałów, badałem pozbawione wszelkich znaków informacyjnych skrzyżowania i przecinające się, jednakowe galerie, prowadzące może do jakiejś bezkresnej drogi, do szaleństwa. Ścieki stały się teraz moimi ulicami, tam była moja wolność. Umawiałem się z Mokotowem-Mogilą, który czekając u wybranego wylotu obserwował ulicę i ostrzegał mnie, jeśli w pobliżu pojawiał się jakiś policjant lub łowca „beduinów”; gdy teren był bezpieczny, unosił klapę wjazdu, momentalnie wspinałem się na żelazną drabinę i już biegliśmy ulicami Starego Miasta. Tam, za każdym razem w innym domu, spotykałem się z żołnierzami Armii Ludowej i partyzantami z grupy Witolda, od których dostawałem trochę broni. Czasem kontaktowałem się z członkami Armii Krajowej, ale ci współpracowali mniej chętnie. Kilka razy Mokotowowi udało się kupić dla mnie broń; każdy taki sukces oblewaliśmy w jego mieszkaniu na Pradze. Wracałem o zmierzchu, Mokotów odprowadzał mnie do wjazdu i stał na czatach, podczas gdy*

*podnosiłem klapę i schodziłem do kanałów, z którymi*

*zdażyłem się już zaznajomić.*

*Wychodziłem w getcie, w ciszy zakłóconej stukiem narzędzi,*

*bo każdy chciał się ukryć, zagrzebać w ziemi pod ochroną*

*betonowych ścian. Nie podobały mi się te piwnice, te*

*zamknięte lochy; choć do niektórych dochodziła woda i elek-*

*tryczność, posiadały telefon i oddzielną toaletę - ale dla mnie*

*były to groby bez wyjścia. Postanowiłem, że gdy zacznie się*

*bój, będę na ulicach, na dachach, raczej w ściekach niż w tych*

*głębokich lochach. Często, klucząc ulicami, skacząc od bramy*

*jednej kamienicy do drugiej, chowając się na strychach, sam*

*zanosilem broń, nieraz, tylko jeden rewolwer, na*

*Świętojerską pod trzydziesty drugi. Tam mieściła się główna*

*kwatery organizacji, w dwóch pokoikach, w których*

*zastawałem zawsze z dziesięciu uzbrojonych towarzyszy.*

*Parę domów dalej, na tej samej ulicy, były „szczotkarnie”,*

*gdzie wyrabiano rozmaite przedmioty dla Niemców. Przez*

*strychy i dachy dostawałem się do ośrodka wojskowego,*

*dziewczęta podawały mi posiłek, po czym wracałem na Miłą.*

*Szedłem to ulicą, to po dachach, uszczęśliwiony:*

*będziemy się bić, wdychałem ożywcze wiosenne*

*powietrze, czasem przy pełni księżyca o trzeciej nad ranem*

*było widno jak w dzień. Dobrze było żyć. Ojca zastawałem w*

*domu. Bunkier dowództwa znajdował się na Miłej pod*

*osiemnastym, niemal naprzeciwko numeru 23. Ojciec wyglądał mnie z taką samą niecierpliwością, z jaką ja nie mogłem doczekać się spotkania z nim. Po długich rozmowach układaliśmy się do snu obok siebie na rozłożonych na podłodze materacach. Nie musieliśmy mówić o mojej matce i braciach, oni byli koło nas, żyli w nas dzięki naszej walce.*

*Ojciec rozmawiał ze mną, jakby chciał mi przekazać wszystko, co przemyślał, czego się nauczył. Pomimo szalejącej dokoła wojny i śmierci mówił o społeczeństwie, któremu nie będą znane takie plagi, jak nędza i niesprawiedliwość, o świecie, w którym najważniejszy będzie dla człowieka jego stosunek do innych ludzi i do siebie samego, nie zaś brudne interesy. Mówił mi, jak wiele nasz naród dał ludzkości i jaką sumę cierpień musiał mimo to zapłacić za przetrwanie.*

*- Życie, Marcinie, to świętość. Dziś musimy zabijać, ale pamiętaj, myśl zawsze o życiu, o twoim życiu. Trzeba dawać życie. Ciężko jest być ojcem, ale decydując się na to wybierasz trudną rolę prawdziwego mężczyzny. Przetrwaj, Marcinie.*

*Chciałbym, żebyś miał dzieci, później, gdy to wszystko się skończy, gdy prawdziwi ludzie odniosą zwycięstwo. Ale twoim dzieciom musisz dać z siebie wszystko. One będą świętością.*

*Wsluchiwałem się w jego głos, stanowczy i łagodny zarazem.*

*Niekiedy opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o tym, jak*

*doszedł do posiadania fabryki, jak poznał moją matkę. Po czym urywał:*

*- Śpij już, Marcinku, zostawmy resztę na jutro.*

*Owo jutro było już blisko; i znów przedzierałem się przez ścieki i dachy w oczekiwaniu wieczoru i dalszej rozmowy.*

*Gdy nie wracał długo, nie mogłem zasnąć. Pewnej nocy przyszedł później niż zwykle, dopiero o świcie.*

*- Julek Feld nie żyje.*

*Zastrzelili go esesmani podczas łapanki. Mało znałem Julka, ale podobała mi się jego szczupła twarz intelektualisty i dźwięczny głos, brząający egzaltacją.*

*- Zawsze zwalczał zło. Wierzył w wielkie idee. Julek był prawdziwym mężczyzną.*

*Ojciec opowiadał mi o mojej babce, ciotce Julka, tej upartej starszej pani, która w pradawnych czasach, gdy z nami korespondowała, przysyłała długie listy i prosiła o fotografię swego wnuka.*

*- Będziesz musiał pojechać kiedyś do Nowego Jorku, Marcinku, tchnąć w nią trochę życia. Ona cię kochała. Widziała cię tylko raz, gdy zaczynałeś chodzić. Zaciskałaś wtedy piąstki.*

*Słuchałem. Jak życiodajny trunek piłem ten głos, te słowa.*

*Owej nocy, gdy przyniósł wiadomość o śmierci mojego kuzyna, powiedział:*



*-Julek szedł zawsze aż do końca. Mężczyzna, Marcinie, musi iść do końca.*

*Stał koło okna. We wpadającym do pokoju świetle księżyca widziałem jego łzy, którym pozwalał spływać po policzkach.*

*-Właściwie nie wiem, po co to mówię. Ty, Marcinie, już kilka razy doszedłeś do końca. Jesteś mężczyzną, prawdziwym mężczyzną, i to od dawna.*

*Dziękuję ci, ojcze, za te słowa.*

*Nie mamy już czasu na rozmowy. W sobotę, 18 kwietnia, organizacja ogłosiła stan pogotowia. Wraz z innymi biegałem po ulicach, rozlepiając afisze, rozdając ulotki, rozgłaszając nasze hasło: „Zginąć z honorem. Mężczyźni do broni, kobiety i dzieci do schronów”.*

*Nadszedł moment próby; byłem wśród swoich, z bronią w ręku, zmusimy ich, by zaczęli płacić; a dług był olbrzymi.*

*Uganiałem się po getcie do późnej nocy, chciałem być wszędzie, biegałem od jednego bunkra do drugiego, roznosiłem butelki z benzyną, przekazywałem rozkazy z sektora*

*„szczotkarzy” na Świętojerskiej i Wałowej do „szopów” na*

*Lesznie i Nowolipkach. Wspinałem się z podwórek na strychy,*

*z ulic na dachy, znałem tu każdą kamienicę, każdy komin,*

*każdy schodek. Tutaj byłem u siebie, tu biło serce mojego*

*życia, tu byłem niezwyciężony.*

*Spotkałem się z ojcem w domu na rogu Miłej i Zamenhofa.*

*- Granatowi okrążyli getto - rzekł mi. - Jutro zaczynamy.*

*Musisz teraz odpocząć, Marcinie. Potem kto wie, kiedy będziemy mogli się przespać.*

*Położyłem się i spałem mocno, spokojnie, póki ojciec nie wziął mnie za rękę.*

*- Już są.*

*Noc jest widna, blada. Słyszę w pobliżu, gdzieś koło muru, może w sektorze „szczotkarzy”, kilka wybuchów granatów i strzały. Potem cisza. Podchodzę do okna. Dostrzegani ich.*

*Ostrożnie, gęsiego idą wzdłuż kamienic. Wynurzają się z ulicy Zamenhofa, za nimi, z dala, suną na pewno samochody, może czołgi. Potem otrzymałem rozkaz: udać się do bunkrów na Kupieckiej i Nalewkach, aby powiedzieć naszym, że mają czekać na sygnał otwarcia ognia. Z rewolwerem za pasem przeskakiwałem z jednego dachu na drugi, wślizgiwałem się na strychy, zbiegałem ze schodów jednym susem, jak skacze się w wodę; pamiętam, jaki byłem lekki w tych dniach boju - ziemia, dachy, schody były jak trampolina, która przerzucała mnie dalej, prędej.*

*Od czasu do czasu rozlegał się jakiś pojedynczy huk, wybuch granatu; prawdopodobnie Niemcy posuwając się naprzód celowali do któregoś okna lub omiatali jakąś piwnicę.*

*O szóstej rano, gdy niebo rozjaśniło się błękitem, a esesmani doszli do skrzyżowania Milej i Zamenhofa, dostaliśmy*

*wreszcie upragniony rozkaz: „Do ataku!”*

*Huki, bieganina wśród eksplozji, podaję zapalające butelki, pędzę do piwnic i wracam obładowany materiałem wybuchowym, wyprodukowanym tu, na miejscu w getcie; widzę, jak żołnierz, w którego trafiła butelka z benzyną, wije się i miota opleciony płomieniami, inni biegną, ktoś woła: „Uciekają, spieszą!”*

*Wspinam się na dachy, dochodzę do rogu Kupieckiej i Zamenhofa, wychylam się: ulica jest pusta. Uciekli, ci kaci, opancerzeni stalą, ulica Zamenhofa jest nasza. Od strony sektora „szczotkarzy”, Nalewek i Gęsiej dolatuje huk pękających granatów. Potem cisza. Widocznie stamtąd też uciekli.*

*Schodzę na ulicę, wszyscy ściskamy się, krzyczymy z radości. Potem całą gromadą biegniemy ulicą w poszukiwaniu broni. W oddaleniu trzech metrów od siebie leży trzech żołnierzy. Jeden z nich, który padł na plecy, ma poparzoną twarz, jęczy potwornie okaleczony. Dobijam go. Trochę dalej towarzysze, do których się przyłączam, zaciągają na podwórko zabitych, zabierają im mundury, hełmy i buty. W ten sposób wchodzę w posiadanie kompletnego umundurowania esesmana. Teraz czekamy, odpoczywamy, bo przecież wrócą, pokonają nas na pewno, ale naszym triumfem jest ich ucieczka, fakt, że się bijemy, a miarą zwycięstwa będzie czas trwania naszego oporu. Nie jesteśmy już gnany na ubój bydłem, które*

*pokornie idzie do rzeźni.*

*- Wracają.*

*Idą ostrożnie, omiatając fasady ogniem karabinowym,  
skaczą z bramy do bramy i nagle słyszymy szczęk gąsienic na  
jezdni. Pędzę do mego obserwatorium na dachu; na rogu Gę-  
siej i Zamenhofa widzę kilka bezkształtnych brył: czołgi. Dwa  
wjeżdżają w Zamenhofa, ostrzeliwując kamienice.*

*Jest dwunasta w południe, 19 kwietnia. Pamiętam niebo,  
słońce, lekkość powietrza, a także warkot silników i zgrzyt  
gąsienic. Myślę o ekskawatorze sapiącym w dolnym obozie.  
My tu w getcie zniszczymy te maszyny śmierci. Czołgi suną  
naprzód, mijają nasze stanowiska zainstalowane na Zamen-  
hofa w domach nr 29 i 50, dojeżdżają do rogu Milej, gdzie pod  
dwudziestym ósmym ojciec i ja czatujemy z zapalającymi  
butelkami w rękach. Za dwoma czołgami posuwa się piecho-  
ta, spostrzegam żołnierza, który idzie pochylony z  
ostrożności lub ze strachu, wyobrażam sobie niespokojne  
spojrzenie jego oczu. Przyszła kolej na ciebie, ty kacie.  
Ciskani obie butelki, ogień strzela w górę, rozlegają się huki  
detonacji, obydwa tanki niemal jednocześnie stają w  
płomieniach i odjeżdżają w kłębach czarnego dymu, oddział  
piechoty ucieka, jakiś żołnierz biegnie jak oszalały, trzymając  
się za brzuch, i wnet pada na jezdnię. Nasi bojownicy ze  
stanowisk przy Zamenhofa stosują manewr obchodzący i*

*Niemcy uciekają w rozsypce. Wypadam na ulicę, zbieram broń, helmy. Przy pomocy towarzyszy zaciągam jakiegoś zabitego na podwórze i rozbieramy go. Te mundury mogą się przydać, uratować nam życie, jeśli któregoś dnia będziemy musieli uciekać, uciekać, żeby przetrwać i walczyć dalej.*

*Dzień się kończy. Czuję wewnętrzny spokój. Biję się, jestem w akcji. Wieczorem, klucząc najpierw po dachach, a potem ulicami, dochodzę aż do sektora „szopów”, do fabryki Schultza na Lesznie. Nie atakowano ich bezpośrednio, ale widzieli, jak Niemcy przeszli i skierowali się do naszej dzielnicy. Kierownik Schultz jest przerażony i oburzony zarazem. „Zachowanie Żydów jest niesłychane” - powtarza.*

*Poczekaj, ty pasibrzuchu, będziesz miał jeszcze więcej powodów do zgorszenia.*

*Skaczę od strychu do strychu, w miarę możliwości unikam ulic, przedostaję się przez podwórka i piwnice. Chcę wiedzieć, zobaczyć. Ulica Nalewki spowita jest czarnym dymem: nasi podpalili wielki niemiecki magazyn Werterfassung na Lesznie pod trzydziestym trzecim. Nie mogę się zbliżyć, gdyż Niemcy są tam jeszcze, blokują ulicę Gęsią i strzelają na chybił trafił. W pozostałej części getta panuje spokój. Wracam po dachach na Miłą. W bunkrze zastaję mężczyznę, który mówi ze spuszczoną głową i skrzyżowanymi na piersiach ramionami; wkoło niego głębokie milczenie. Ten człowiek wi-*

*dział, jak Niemcy podpalili dziecięcy szpital na Gęsiej, jak rozbijali o ściany główki noworodków, rozpruwali brzuchy ciężarnych kobiet, rzucali chorych w płomienie. Widział to wszystko.*

*Mimo to spałem tej nocy. Wiedziałem, że nazajutrz czeka nas jeszcze cięższy dzień. Budzę się o świcie. Jest piękna pogoda w ten wtorek 20 kwietnia, pierwszy dzień żydowskiej*

*Wielkanocy. Ojciec jest w pobliżu, pozdrawia mnie ruchem ręki, nie potrzebujemy z sobą rozmawiać, by czuć, jak jesteśmy sobie bliscy, a gdy się rozłączamy, wiemy, że nic nas nie rozdzieli. Idę do sektora „szczotkarzy”. Wczoraj panował tam spokój. Toebbens proponował nawet robotnikom, żeby wrócili do pracy. Zainstalowałem się na jednym ze strychów; około trzeciej po południu zjawiają się Niemcy, wchodzą na podwórko i natychmiast następuje straszliwy wybuch.*

*Bojownicy organizacji umieścili tam minę, która wymiata Niemców; ich ciała wylatują w powietrze, żołnierze uciekają. Potem wracają, sunąc gęsiego pod murami. Celują w mój strych.*

*Zrzucam butelki zapalające, strzelam. Jest gorąco, wokoło huki i dym. Wylażę ze strychu i kładę się płasko na dachu. Na podwórzu stoi kierownik „szczotkami” w towarzystwie dwóch oficerów, którzy żądają, abyśmy się poddali, obiecując, że następnie - bez żadnych represji - wyjedziemy do obo-*

*zów pracy w Poniatowie i w Trawnikach. Mamy piętnaście minut czasu do namysłu. W odpowiedzi ze wszystkich stron padają strzały. Poddać się? Patrzyliśmy, jak wrzucają nasze matki do wspólnego rowu, widzieliśmy naszych rozstrzelanych ojców, skatowanych na śmierć braci i mielibyśmy się poddać? Zaufać mordercom?*

*Wracają, więc z posiłkami. Atakują getto od parku Krasińskich, strzelają z ciężkich karabinów maszynowych i panzerfaustów. Kuląc się skaczę z dachu na dach. Słyszę wchodzącą na schody grupę Niemców, ciskam swoją ostatnią butelkę, rozlegają się wrzaski, wycie, uciekam. Nagle upał, czarny dym kłębi się i opada, gęsty jak ciepła tkanina, która otula cię, dusząc jednocześnie. Teraz zaczyna się czas płomieni; dni się mieszają. Niemcy palą sektor „szczotkarzy”, smołowana jezdnia topnieje, idę wśród płomieni, rozcieram dłonią skwierczące włosy, od rozprężonej nawierzchni zapalają się podeszwy, topią się odłamki szkła. Domy płoną, pożar rozszerza się, ogarnia coraz liczniejsze dzielnice. Zaczyna się teraz czas, gdy mężczyźni i kobiety wyskakują z okien, aby umrzeć, uciec od płomieni i zabić niemieckiego żołnierza, miażdżąc go swym ciężarem. Zobaczyłem z dachu stojącą w otwartym oknie kobietę, z włosami zjeżonymi ze zgrozy czy z żaru; w wyciągniętych wysoko nad ulicą ramionach trzymała swoje dziecko, które za chwilę miała rzucić na*

*bruk. Krzyknąłem: „Uratuję je, przeniosę je przez dach”. Ale nie mogła mnie dosłyszeć. Upuściła dziecko, po czym z przeraźliwym krzykiem skoczyła za nim.*

*Biegałem wśród płomieni, wśród walących się murów i gruzów, a samoloty z czarnymi krzyżami, jak te, które widziałem we wrześniu 1939 roku, dawno, dawno temu, gdy się urodziłem, latały nad gettem, rzucając bomby zapalające; niektóre z nich nie wybuchały, leżały na jezdniach, czarne, groźne, a moi towarzysze próbowali rozbijać je, aby zdobyć proch.*

*Ludzie pochowali się w bunkrach, zagrzebali w gruzach, pod szczątkami domów. Kręciłem się wśród tego wszystkiego, wolałem umrzeć w dymie, z niebem nad głową, niż udusić się pod betonową płytą. Zdjąłem buty, aby uratować je od płomieni, i okręciłem stopy szmatami, które tłumiliły odgłos kroków, gdy unikając niemieckich patroli chodziliśmy nocą od bunkra do bunkra.*

*Dni płynęły pod błękitnym niebem, często zasnutym dymem. Byłem głodny, dręczyło mnie pragnienie, bomby zniszczyły przewody kanalizacyjne, piłem więc wodę z kałuż, w których dostrzegałem niekiedy jakąś niewyraźną, ciemną masę, być może zwłoki ludzkie. Czasem jakiś występ muru odsłaniał nagle zalaną łzami kobietę, która ze wzniesionymi ku niebu ramionami klęczała przy zwłokach kogoś bliskiego, oplakując*



*go, jakby był jedynym zmarłym w tym niegdyś pół-*

*milionowym mieście, z którego zostały tylko ruiny, trupy i  
garstka żywcem pogrzebanych.*

*Zaczął się wtedy czas bohaterstwa: widziałem młodą  
dziewczynę, która oblała się benzyną, podpałiła i runęła na  
czołg; widziałem mężczyzn, którzy z podniesionymi rękami  
podchodzili do Niemców, aby rzucić się na nich niespodzianie  
i odebrać im broń.*

*Aby przetrwać, chwytałyśmy się wszelkich sposobów. Raz,  
schowawszy się w ruinach, nawoływałem Niemców, naśladu-  
jąc gardłowy głos jednego z nich, a gdy podeszli, zarżnęliśmy  
ich w ciemnościach. Kiedyś znów kilku z nas przywdziało  
es-esmańskie mundury, które zdobyliśmy pierwszego dnia -  
pamiętam, że przejrzałem się w kawałku lustra, żeby  
zobaczyć, jak też wyglądam, ja, Mietek, w hełmie i butach  
ludobójców - i pomaszerowaliśmy ulicą do rogatki strzeżonej  
przez około dziesięciu żołnierzy. Zbliżyliśmy się spokojnie, po-  
czym otworzyliśmy ogień. Udało nam się dogonić i położyć  
trupem trzech, którzy rzucili się do ucieczki, ale zginęło  
czterech naszych. Zdobyliśmy sporo broni, ale postanowiłem  
zaniechać takiej metody walki; aby tego rodzaju akcja była  
skuteczna, musieliśmy maszerować środkiem jezdni, dając  
jednocześnie naszym do zrozumienia, że nie jesteśmy  
prawdziwymi esesmanami, ryzykując jednak śmierć od kuli*

*któregoś z towarzyszy. A ja nie chciałem umrzeć w mundurze SS.*

*Zacząłem znów krążyć w oceanie płomieni, którym stało się getto, strzelając do Niemców, gdy się tylko dało, przenosząc z bunkra do bunkra amunicję, broniąc z wyższych pięter dwóch schronów na Kupieckiej. Widziałem, jak żołnierze generała Stroopa wypędzali z bunkrów kobiety i dzieci, kazali im kłaść się na ziemi wśród gruzów, potem zabijali wszystkich; widziałem kobiety wyskakujące z okien płonących domów oraz inne, które rzucały się na żołnierzy i ginęły natychmiast. Czasem jednak formowała się kolumna więźniów; z podniesionymi rękami szły kobiety i dzieci, wśród nich kilku mężczyzn, wczorajszych bojowników, dziś wyczerpanych, złamanych jak sprężyny, które za mocno naciągnięto. Patrząc na te kolumny, spowite w czarny tłusty dym pożarów, przysiągłem sobie, że będę bić się dalej, że jeśli pokonają nas tutaj, przetrwam do dnia, gdy Berlin też zmieni się w pogorzelnisko, w pole ruin. Naszym zadaniem jest dotrzeć aż do jaskini morderców, odpłacać ciosem za cios. Nie wystarcza już umrzeć z bronią w ręku. Trzeba odnieść całkowite zwycięstwo, zgnieść ich, jak rozgniata się butem robaka.*

*Dym był teraz tak gęsty, że dni niemal nie różniły się od nocy, a nocą płomienie oświetlały dzielnice, na które Niemcy kierowali również swoje reflektory. Dwudziestego siódmego*

*kwietnia włożyłem mundur esesmana i zszedłem do kanałów.*

*Niemcy zaczęli dopiero zdawać sobie sprawę, że to jest droga przerzutu broni, że tędy przechodzą ludzie z Armii Ludowej i z AK. Kobiety, dzieci i starcy, a także bojownicy, których przeprowadzałem na aryjską stronę, godzinami czekali ; w brudnej wodzie na ciężarówki, które wywoziły ich do podwarszawskich lasów. Starzy i ranni szli zgięci wół, niektórzy nie chcieli iść dalej, rezygnowali z życia, zanurzali głowy w plugawą wodę, w której stali, wymiotowali.*

*Wyciągałem ich, podnosiłem, taszczyłem aż do żelaznych schodów. Potem , wracałem, prowadząc ludzi przenoszących amunicję, którzy chwalili moją zwinność i znajomość terenu.*

*Wyszliśmy z kanałów w getcie i przedzierając się przez dym zaprowadziłem polskich partyzantów na plac Parysowski, pole gruzów. Poprzedzane ostrzałem z karabinów maszynowych, nadjeżdżały niemieckie czołgi; pochowaliśmy się za występami murów, w stosach gruzu i oblupanych tynków. Przekradając się od domu do domu, zdołałem wypatrzyć stanowiska Niemców, następnie dotrzeć na Miłą, gdzie był mój ojciec. Ucałował mnie, uczułem na policzku jego gęsty zarost.*

*- Żyjesz, Marcinie, żyjesz! Znów mnie uściskał.*

*- Nie umieraj, chociaż ty jeden nie umieraj i mijają dni.*

*Niemcy metodycznie przeszukują getto, strzelają, wysadzają*

*w powietrze bunkry, wpuszczają gazy do ścieków, obrzucają pociskami pogorzeliska. Błądząc wśród ruin i płomieni w poszukiwaniu jakiegoś schronienia, spotykam kobiety, dzieci i mężczyzn czekających rozpaczliwie na broń. Niekiedy prowadzę ich moimi szlakami, okrążam pożary, wchodzę na ocalałe jeszcze części dachów. Niekiedy odchodzę, udzieliwszy kilku rad. Nie mogę niczego dla nich zrobić, muszę się bić.*

*Pierwszego maja spotykam się z towarzyszami w bunkrze na Lesznie pod siedemdziesiątym czwartym. Tłoczą się tam pod niskim sufitem, a jeden z nich przemawia w atmosferze, która wydaje mi się ciężka, nieznośnie duszna. Mówca chce uczcić majowe święto.*

*- Nasza walka - zapewnia - będzie miała niewątpliwie ogromne znaczenie historyczne dla narodu żydowskiego, ale również dla organizacji ruchu oporu, które rozsiane po całej Europie niszczą hitlerowców.*

*Wśród tych umorusanych sadzą ludzi, którzy prawie wcale nie posiadają broni i muszą zginąć, czuję, że nasze zwycięstwo jest pewne. Żeby uczcić Pierwszy Maja, postanowiliśmy zaatakować Niemców w biały dzień. Puszczam się pędem po gruzach, przedzieram się przez kłęby dymu, czółgam pośród ruin, omijając niemieckie stanowiska. Getto jest polem szarych kamieni i poczerniałych, walących się z trzaskiem murów. Wpadam na Miłą, ojca nie ma, poszedł do sektora*

*„szczotkarzy”. Wychodzę, chcę być z nim razem. Dokoła szaleją pożary, grzmią armaty, nigdy dotąd detonacje nie były tak częste, serie pocisków rozdzierają powietrze. Dym zaciemnia ulice, z okien buchają płomienie. Widzę w biegu, jak obnażony do pasa mężczyzna uniósłszy w górę ramiona skacze bez krzyku z czwartego piętra. Przedarłszy się przez ruiny, wchodzę do sektora „szczotkarzy” od ulicy Świętojerskiej. Słyszę strzały, ale gdzieś dalej, od strony Franciszkańskiej; wiem, że bunkier pod numerem trzydziestym postanowił również ruszyć do ataku na cześć Pierwszego Maja.*

*Potem rozpętała się strzelanina, schowałem głowę w ciepłe gruzy, usłyszałem rzucane po niemiecku rozkazy, krzyki, zobaczyłem około dziesięciu mężczyzn, którzy okryci pyłem, ze splecionymi nad głową rękami szli ku esesmanom.*

*Zobaczyłem mojego ojca z podniesioną głową, z dłońmi uniesionymi na wysokość czoła. Szedł pośród innych, widziałem go i czekałem na cud, i pragnąłem zanurzyć głowę j w odłamki tynku, żeby nie widzieć. Ale moim obowiązkiem było patrzeć, odważyć się spojrzeć śmierci w twarz, żeby mówić potem w jego imieniu, w imieniu nas wszystkich.*

*Wydali okrzyk, krzyknąłem jednocześnie z nimi, i rzucili się na esesmanów, z których dwóch czy trzech padło - odziane w stal i skórę ciała potoczyły się po gruzach; i natychmiast*

*nawała ognia, ryk komendy, żołnierze wycofują się, a granaty, które cisnęli na martwych już bojowników, wznoszą tumany białego pyłu. Potem cisza, tylko w oddali słychać jeszcze eksplozje. Ojciec został wśród kamieni getta, głaz na rumowisku. Żegnaj mi, ojcze! Żegnam twój gęsty, siwy zarost, który pieścił mi policzki, twój łagodny, stanowczy głos i dłonie, które kładłeś mi na ramionach, i twoje słowa; żegnaj, nie zobaczysz sprawiedliwego społeczeństwa ani człowieka oczyszczonego z ropiejących ran i błota. Pokonali cię. Żegnam ciebie, który zrobiłeś ze mnie mężczyznę. Żegnaj, ojcze.*

*Stałem nieruchomo niczym kamień, ze wzrokiem utkwionym w tę strefę szarości, z której wynurzały się gdzieś czarne bryły. Potem popelzłem wstecz. Wpadałem w leje, widziałem rozłupany jak orzech bunkier, którego wewnątrz roilo się od szczurów biegających po trupach, czołgałem się nie tyle z konieczności, ile żeby przyłgnąć do tej ziemi, mojej ziemi, która przyjęła moich najbliższych. Byłem sam. Matka, ojciec, bracia, Julek Feld... otaczała mnie pustynia podobna do tego getta, ale w tych ruinach, z twarzą przytuloną do rozprażonych kamieni przysiągłem, że przez całe życie co rano wskrzeszać będę myślą wszystkich, których kocham, moją rodzinę, i tych z Treblinki, z Zambrowa i z Białegostoku, i stąd także, mój naród, was wszystkich, co rano, dopóki zachowam zdolność myślenia, na początku każdego dnia będę*

*was przyzywał, abyście istnieli we mnie, dzielili moje życie.*

*To wam przysięgam pośród ruin.*

*Poszedłem do bunkra na Miłej. Śpiewałem wraz z innymi pieśń getta Es brent, po czym wróciłem do ruin. Teraz płonie całe getto. Kamienica na Miłej pod siódmym jest niemal jedyną, która pozostała nietknięta. Co chwila przybywają gromadki ludzi, bojownicy, kobiety, dzieci. Brak żywności, wody, amunicji, niektórzy myślą o ucieczce przez ścieki, ale Niemcy odkryli już główną sieć kanałów, wpuszczają gaz, cementują wyjścia, podkładają granaty, które wybuchają przy najlżejszym dotknięciu.*

*Czuję, że grób się zamyka. Już ponad dwa tygodnie niemal gołymi rękami staramy się do tego nie dopuścić, od dwóch tygodni krzyczymy światu, że ludobójcy wyrzynają cały naród.*

*Nadaremnie. Polscy partyzanci kilkakrotnie zaatakowali peryferie getta, kilku odważnych ludzi przyszło tu, by zginąć razem z nami, ale na obrzeżach naszego piekła gapie przyglądają się pożarom, liczą strzały niemieckich baterii, patrzą, Jak ludzie rzucają się w płomienie.*

*Teraz grób się zamknie. To już tylko kwestia godzin.*

*Biłem się jeszcze koło bunkrów na Kupieckiej, gdzie spotkałem towarzyszy, którym udało się wymknąć ze Smoczej.*

*Niemcy używają pocisków, gazów, granatów. Nikt z naszych nie poddaje się. Niektórzy odbierają sobie życie, innych*

*zabija wróg. Wszędzie brakuje amunicji. W bunkrze na Lesznie zostało już tylko kilka butelek kwasu siarkowego. Czy trzeba umrzeć tu, ze swoimi, czy próbować bić się jeszcze gdzie indziej? Bojownicy z Leszna zamierzali opuścić getto i przedrzeć się do lasu, by walczyć dalej, ale nie zdążyli; Niemcy wymordowali ich. Z jakiegoś balkonu »a Zamenhofa rzucam moje ostatnie dwa granaty na niemiecki patrol, po czym przez podwórza i piwnice przedostaję się do bunkra na Miłej pod osiemnastym. Zastaję tam około stu bojowników, nie ma czym oddychać. Nie chcę tu umierać, chcę mieć nad sobą niebo getta, widzieć, kto mnie zabije.*

*Wyszedłem. Jednym skokiem przesadziłem jezdnię i znalazłem się w naszym domu na Miłej. Wspinając się na górę po rozbitych schodach, słyszę nadjeżdżające samochody, rozkazy, niemieckie szczekanie. Okrążają dom pod osiemnastym, skąd dopiero co się wymknąłem, dziesiątki esesmanów, samochody pancerne. Rozkazują wszystkim naszym wyjść i poddać się. Może moi towarzysze odważą się kontratakować. Cisza. Po chwili huk eksplozji, chmury gazu, a potem spokój, tylko pojedyncze, suche detonacje. Zapewne popelniają zbiorowe samobójstwo. Leżę wyciągnięty płasko wśród gruzów, słyszę, ale nie rozumiem krzyków oprawców, czuję mocny zapach gazu.*

*Żegnam w myśli Mordechaja Anielewicza, żegnajcie mi, to-*



*warzysze, wy, prawdziwi ludzie pośród ludzi.*

*Przeleżałem tak aż do nocy, na pół zagrzebany w odłamkach tynku, betonu, cegieł. Nie myślałem, byłem ni żywym, ni martwym kawałkiem getta. W nocy zacząłem się czołgać, spotkałem jakieś sylwetki podobne do ludzi, pokryte błotem postacie w lachmanach. Szukają świecy, jakiegoś schronienia, żywności. Żyli, ale były to już tylko strzępy ludzkie. Czołgam się do placu Muranowskiego na końcu Milej, bo niedaleko stamtąd jest piwnica, przez którą podziemnym przejściem można dostać się do ścieku. Podciągając się na kolanach, na łokciach, trafiłem do tej piwnicy i odnalazłem drogę do kanału. Jestem sam w wąskim, podziemnym przejściu, cuchnącym brudną wodą i gazem. Szedłem zgięty w pół, ze świeczką w rękę. Udało mi się nie zawadzić o porozwieszane na drutach u wyjścia granaty. Śmiało, Mietek, bywało już gorzej, poznałeś Pawiak, Treblinkę, rowy. Teraz już wiesz, że nie bestie zwyciężą, ale ludzie, bo w tym getcie, gdzie za długo panowała cisza, zagrzemiał przecież bojowy okrzyk. Idź i przetrwaj.*

*Posuwałem się naprzód. Nie znałem dobrze tej trasy, gdyż były to kanały boczne, ale wówczas jedynie możliwe do przebycia. Szedłem pod ulicą Przebieg. Przy pierwszym wyjściu nie zaopatrzonym w granaty uczepiłem się żelaznej drabiny. Po nogach spływała mi woda i ekskrementy, byłem spocony,*

*śmiertelnie zmęczony. Chciało mi się pić i mdliło mnie z głodu. Wytarłem się, jak mogłem, przyglądałem trochę włosy, po czym karkiem podważyłem płytę wjazdu. Na dworze noc, eksplozje, strzelanina, jakieś błyski o parę metrów dalej. Trzeba było zaryzykować, wylazłem z kanału i położyłem się płasko na jezdni. Wkoło mnie i w głębi, w boksach stoją tramwaje; miałem szczęście, znalazłem się w zajezdni, nie narażony na niczyje spojrzenia. Zamknąłem klapę. Tam bili się jeszcze, ale ja chciałem przeżyć, żeby zwyciężyć, a tam walka już się kończyła. Należało bić się dalej gdzie indziej. Śmierć mnie ominęła, nie uciekłem przed nią, ale nie chciałem wyjść jej naprzeciw.*

*Patrzyłem na luny nad gettem, słuchałem strzałów. Żegnaj ojczy, żegnajcie towarzysze, żegnaj getto!*

*Przeskoczyłem przez mur remizy; w aryjskiej Warszawie panował spokój, obowiązywało zaciemnienie, ale znałem miasto, a ciemność była mi sprzymierzeńcem. Strzegłem się patroli, na widok jakiejś podejrzonej grupki ludzi dawałem nura do piwnicy. Potem przeszedłem Wisłę i znalazłem się na Pradze. Przez chwilę, stojąc po przeciwległej stronie ulicy, obserwowałem dom, w którym mieszkał Mokotów. Świtało, dookoła była pustka, cisza. Szybko wbiegłem na górę po schodach. Zdążyłem tylko raz zapukać, a już otworzyły się drzwi i przede mną stał Mokotów.*

*- Czekalem na ciebie co noc - powiedzial. Wziales go za rece.*

*- Widzisz, Mokotow, nie udalo im sie mnie zakatrupic, bo chce sie jeszcze bic, pomscić moich braci, wszystkich moich bliskich.*

*- Wiem, Mietek. Ty jesteś uparty.*

*Trzymalem jego dlonie w swoich. Jakie to mocne. Jakie dobre*

*- żywy człowiek.*

*Część druga*

*Zemsta*

*Witaj, towarzyszu!*

*Biją się Jeszcze. Co dzień Mokotow udaje się na zwiady w po-*

*blize getta, a gdy wraca wieczorem, domyslalam się, dlaczego*

*jest w rozterce. Chcialby opowiedzieć mi o strzelaninie, o roz-*

*rywajacych się granatach, o zaladowanych żołnierzami*

*ciężarówkach i dymie pożarów, ale obawia się, że zechcę tam*

*wrócić, przyłączyć się do ostatnich straceńców, których wróg*

*będzie musiał zabijać kolejno, bo wiem, że się nie poddadzą.*

*Niepotrzebnie się niepokoi: dla mnie front jest teraz gdzie in-*

*dziej. Razem z towarzyszami pomagalem wznosić ten pomnik*

*z ciał naszych braci, pomnik, który został w sercu getta. Jest*

*tam mój ojciec, głaz na rumowisku. Po jego śmierci chce nie*

*tylko bic się, co przecież czyniliśmy wszyscy, i nie tylko żyć,*

*wszak jestem żywy - chce zwyciężyć. Ludobójcy są śmiertelni,*

*jak inni ludzie. Widzialem, jak uciekają, widzialem ich wy-*

*krwawione zwłoki. Chcę ich pokonać; dlatego tam nie wrócę.*

*Zamelinowany u Mokotowa odzyskuje siły. Jem, śpię. Wyli  
niosłem z getta więcej pieniędzy, niż mi potrzeba. Któregoś  
wieczoru Maria szepnęła:*

*- Mógłbyś gdzieś przeczekać. W jakimś małym miasteczku.*

*Któregoś dnia Niemcy odejdą, a ty masz tyle pieniędzy, że  
wystarczyłoby ci... Przecież zrobiłeś już swoje i...*

*Ledwie miała odwagę mówić, ale widocznie uważała to za  
sвій obowiązek. Chciała mówić dalej, ale Mokotów skrzywił  
się, jakby zamierzał splunąć.*

*- Kobiety nie mają głosu - rzekł. - Zamknij się.*

*Zawstydzona swoim wystąpieniem Maria ukryła twarz w  
dłoniach i zaczęła płakać. Musiałem opowiedzieć jej o Rywce,  
o Soni, o mojej matce, a także o tych dwóch dziewczynkach,  
które trzymając się za ręce wyszły spod stosu trupów koło  
jakiegoś domu w getcie; okryte były zaschniętą krwią, jakimś  
cudem uniknęły śmierci, a jedna z nich powtarzała: „Moja  
mamusia umarła. Niemcy zabili tatę, nie chcę dłużej żyć, nie  
chcę żyć”. Czy można wobec tego wszystkiego pozostać  
biernym, czy wolno czekać, myśląc jedynie o ocaleniu swojej  
własnej, drogocennej skóry? A w jej oczach cóż byłoby warte  
życie okupione tchórzostwem?*

*Przytulilem do siebie Marię, a ona objęła mnie za szyję,  
wstrząsana łkaniem.*

*- Nie chcę, żebyś zginął. Nie powinienesz umrzeć.*

*- Nie martw się. przepuścili odpowiedni moment. Teraz już  
mnie nie dostaną.*

*Byłem tego pewien, jak również tego, że dojdę do końca,  
jakby wszystko, co przeżyłem dotąd, było najeżoną przeszkoda-  
dami wspinaczką, która doprowadziła mnie wreszcie na  
szczyt: zobaczyłem ich porażkę, nasze zwycięstwo i naszą ze-  
mstę.*

*Szesnastego maja Mokotów zaprowadził mnie na Stare  
Miasto do swoich towarzyszy z Armii Ludowej. Opowiedzia-  
łem o naszych walkach, o Treblince, Zambrowie, o postawie  
niektórych wieśniaków, jak również niektórych żołnierzy Ar-  
mii Krajowej.*

*- Zbudujemy inną Polskę - powtarzał dowódca grupy, Witold.*

*- Chcę się bić jako Żyd - powiedziałem. - Jako Żyd i Polak.*

*Zgodzili się, ale musiałem zaczekać jeszcze kilka dni, aż  
wyrobią mi fałszywe dokumenty. Miałem pieniądze i zapłaci-  
łem, aby mogli to przyspieszyć. Wracaliśmy z Mokotowem na  
Pragę, gdy wkolo nas szyby zadrżały od eksplozji w getcie;  
następnie rozległy się jeszcze dwie, słabsze. Przechodnie za-  
trzymywali się na ulicy, spoglądali w niebo, zamieniali z sobą  
kilka słów, po czym szli dalej w swoje własne życie. Nazajutrz  
dowiedziałem się, że Niemcy wysadzili wielką synagogę na  
Tłomackiem; nie wystarczyło im zabijanie ludzi, chcieli*

*uśmiercić także kamienie. Ale to im się nie uda, nasze życie miało teraz odporność głazu, a nasze kamienie pozostaną wieczne, Jak życie.*

*W kilka dni później Mokotów przyniósł mi triumfalnie dwa paszporty: Jeden polski na nazwisko Zamojski, drugi, według którego byłem volksdeutschem i nazywałem się Krause.*

*- Znowu zacznę grać - powiedziałem. - Jak dawniej.*

*Musiałem udać się do Lublina pod wskazany adres w śródmieściu, skąd zostaną skierowany do oddziału partyzantów w lesie. Nareszcie zacznę się bić z otwartą przyłbicą. Mokotów odprowadził mnie na dworzec. Pociągi chodziły rzadko, pełne powracających do domu chłopów i uciekinierów, którzy wyjeżdżali z Warszawy na wieś. Z trudem można było zamknąć drzwi wagonów. Mokotów czekał do ostatniej chwili. Uścisnęliśmy się mocno. Kto wie, czy nasze drogi jeszcze się kiedyś spotkają?*

*- Każ im drogo zapłacić, Mietek - powiedział.*

*- Jeśli mi się to uda, to dzięki tobie. Wzruszył ramionami.*

*- Maria i ja bardzo cię lubimy. Zwłaszcza ona. Roześmiał się.*

*- Znasz przecież kobiety. Żegnaj, Mietek!*

*Odwrócił się. Wskoczyłem do pociągu i ze stopnia wagonu patrzyłem na przesuwane się ostatnie domy Warszawy.*

*Zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie, pociąg musiał omijać uszkodzone mosty, przepuszczać jadące na wschód trans-*

*porty materiału wojskowego i żołnierzy. Parę razy mnie kontrolowano; polskim policjantom okazywałem mój paszport volksdeutscha, niemieckim żandarmom - paszport polski. Na pierwszych spoglądałem z wyższością, drudzy widzieli w moich oczach naiwność i pokorę młodego człowieka niższej rasy. Dojechalśmy do Lublina. Był wczesny ranek i miasto okrywała lekka sina mgielka. Chodziłem po ulicach, piłem z wieśniakami, czekałem zmierzchu, a gdy się ściemniło, odnalazłem w pobliżu katedry niski dom, gdzie mnie oczekiwano. Pamiętam to stare polskie małżeństwo: kobieta była siwowłosa, wyprostowana i szczupła, mąż przeciwnie, przygarbiony, ale jego zaciśnięte szczęki wyrażały stanowczość. Do późnej nocy siedzieliśmy przy świecy i musiałem im opowiadać.*

*-Trzeba być bezlitosnym dla hitlerowców. Dla hitlerowców, nie dla Niemców - powtarzał mężczyzna.*

*Stara kobieta przygotowała mi postanie na kanapie w małym pokoiku.*

*- Tutaj - powiedziała - sypiał nasz syn. Niemcy zabrali go we wrześniu, gdy weszli do Lublina. To już dawno temu, w 1939 roku, ale mnie się wydaje, że to było wczoraj.*

*Ucałowałem ją, miałem ochotę z nią rozmawiać, nazwać ją matką, powiedzieć jej, że nienawidzę tej wojny, tego szaleństwa, które pozostawia ją, mnie, miliony ludzi osieroconych*

*na zawsze. Po co to spustoszenie, to barbarzyństwo? Odszedłem wcześniej rano, mój gospodarz przeprowadził mnie przez miasto i zostawił na krańcu jednej z wylotowych ulic, gdzie, oparty o wóz, czekał na mnie jakiś wieśniak. Znałem hasło. Wieśniak zmierzył mnie wzrokiem.*

*- Wsiadaj - rzekł.*

*Okolica, którą jechaliśmy, była piękna, zielona, usiana żółtymi plamami. Od czasu do czasu wóz grzązł w koleinach, pełnych błotnistej wody, i wysiadałem, aby go popchnąć. Fizyczny wysiłek dobrze mi robił. W dali widzieliśmy drzewa stojące ściśle obok siebie, jak bratni naród, dął lekki wiatr, wszystko to napępniało mnie radością. Wjechaliśmy w las.*

*W pewnej chwili wieśniak zatrzymał wóz i zaczął naśladować pohukiwania sowy. Odpowiedział mu podobny odgłos.*

*- Wsiadaj i idź prosto. Oni tam są.*

*Nawrócił wóz, a Ja ruszyłem pod wielkimi drzewami w chłodną ciemność lasu. Nie usłyszałem ich kroków; nagle jakiś głos za mną rzucił wesóło:*

*- Witaj, towarzyszu.*

*Koło mnie stało trzech partyzantów. Wyglądali na wieśniaków, zbudowani solidnie, o grubych rysach twarzy; ubrani byli w ciepłe kurtki i czapki. Przez cały dzień posuwaliśmy się naprzód gęsiego; omijając moczary, szosy i wsie wchodziłiśmy coraz głębiej w las. Sasza, najmłodszy, któremu jasne*



włosy wymykały się spod czapki, nosił u paska żelazne ha-  
czyki: od czasu do czasu przyczepiał je do obuwia i wspinał  
się po gładkich, śliskich pniach, których wysokość dochodziła  
niekiedy do kilkudziesięciu metrów. Znikał wśród konarów, a  
w parę minut później ukazywał się znów z dłońmi ob-  
lepionymi żywicą, po czym - zgodnie z jego rozeznaniem - pę-  
dziliśmy ku najbliższej bezpiecznej drodze, przesadzaliśmy ją  
jednym susem i znikaliśmy w następnym lesie. W nocy do-  
tarliśmy do borów janowskich. Zatrzymaliśmy się w ciemno-  
ściach; niedawno padał deszcz i wiatr strącał krople z drzew;  
słysząc było szmer pobliskiego strumyka. Jeden z chłopaków  
wydał okrzyk, gdzieś z pobliza odpowiedział mu taki sam, po-  
czym zabłyśła latarka. Ruszyliśmy dalej i nagle wyszliśmy na  
polanę, ujrzelśmy szalasy, wielkie ognisko, ludzi, którzy  
śpiewali, toczące się w głębi lasu życie. Przywitano mnie  
przyjaznym poklepywaniem i mnóstwem pytań o Warszawę ł  
getto. Zwłaszcza żydowscy partyzanci byli chciwi wiadomo-  
ści i złościli sobie, że nie wspomagali swoich w tamtych  
dniach.

- Bracia, najważniejsze to bić się!

Rozmawiałem długo z Żydem z Łomży, Gustawem Alfem,  
którego nazywaliśmy Bolek. Siedząc przy ogniu ze schyloną  
głową, nie patrząc na mnie, rozgrzebywał patykiem ziemię.  
Chciał wiedzieć wszystko o obozie zambrowskim, do którego

*wywieziono jego rodzinę. Gdy starałem się zostawić mu trochę nadziei, potrząsnął głową.*

*- Chcę wierzyć, że nie cierpieli za bardzo - powtarzał.*

*To była jedyna nadzieja; krótkotrwała męka najbliższych.*

*Milczeliśmy, inni zaś śpiewali, siedząc ramię przy ramieniu wokół ogniska; wsuwali do żaru kartofle, a upieczone toczyli ku sobie gałęzią i, parząc się, rozłupywali je w dłoniach. Podsunęli mi kilka; potem przyszedł ktoś z harmonią i znów popłynęły piosenki. Bolek zaczął śpiewać, a ja podchwyciłem refren. Noc była księżycowa, chłodna, drzewa okalały nas jak mury fortecy. Śpiewaliśmy, a z tego śpiewu tryskało życie.*

*Czułem, jak ich głosy, tak jak mój własny, rozpierają mi piersi radosną, życiodajną siłą. Kilku chłopców przyniosło ogromny, poczerniały od długiego użycia kocioł pełen ziemniaków ze słoniną, rodzaj potrawy, którą nabieraliśmy drewnianymi łyżkami, siedząc w krąg z twarzami zaczerwienionymi od ognia. Potem poszła wkoło flaszka bimbru, a gdy ktoś przytrzymał ją za długo, rozlegały się protesty.*

*- To uczta na cześć Mietka.*

*Rosyjscy partyzanci, rekrutujący się z uciekinierów z obozów jenieckich, zaczęli tańczyć, a my klaskaliśmy do taktu.*

*Wybuchaliśmy śmiechem, gdy któryś z nich uniesiony pędem wywracał koziołka, zaraz jednak podnosił się i tańczył dalej z*

*jeszcze większym zapalem. Śmiałem się i śmiałem, klaskałem w dłonie, śpiewałem, ja, który od miesiący, od wieków zapomniałem, że życie to także radość; nie pamiętałem ni leśnej ciszy, ni szelestu liści, gdy z gałęzi odlatuje ptak, ani nawet szumu wiatru. Moją głowę wypełniały odgłosy pożarów, huk pękających granatów, trzask walących się murów, ryk oprawców i sapania koparki; wszystko to wciąż tkwiło we mnie. Musiałem znów przywyknąć do ludzkiego śpiewu, do zdrowia, drzew, które ostatnio widziałem w Zambrowie i w wielkiej Puszczy Białowieskiej. Ale tutaj nie byłem Już sam, nie kryłem się przed nikim, miałem towarzyszy.*

*- Tu nie ma żadnych różnic, Mietek. Wszyscy są Polakami, partyzantami, towarzyszami.*

*Grzegorz Korczyński siedział w swoim szałasie. Mówił wolno, tak jak przemawia się do nerwowego, narowistego zwierzęcia. Był dowódcą liczącego ponad 400 ludzi zgrupowania „Tadeusz Kościuszko”.*

*- Chcę się bić, zemścić się.*

*Znałem tylko te słowa; były jak szyny, po których toczyło się moje życie. Żyłem nimi i tylko dla nich.*

*- Będziesz się bić, Mietek, na pewno. My wszyscy chcemy się bić.*

*Grzegorz nie kłamał. Przy ognisku, w lasach poznałem wielu partyzantów, Żydów, Polaków, rosyjskich zbiegów,*

*Francuzów, Czechów, cały naród mścicieli, leśną Polskę, armię cieni z całej Europy. Żydzi, w których oczach malowała się zgroza tragicznych przeżyć, byli uchodźcami z getta. Rosjanie widzieli dziesiątki tysięcy swoich towarzyszy, którzy padali pod kulami lub ginęli z głodu. Polacy opowiadali o spalonych wsiach, o pomordowanych zakładnikach, mężczyznach i kobietach, których Niemcy rozstrzelali na jakimś placu na oczach oniemiałego tłumu i porzucili tam, pod ścianą. Zbliżywszy się potem do trupów, świadkowie odkrywali, że twarze ofiar nosiły ślady tortur, a usta ich napelnione były stwardniałym już gipsem, aby nikt umierając nie mógł wydać ostatniego krzyku buntu.*

*Mieczysław Moczar, który przebył szmat drogi, nim dotarł z Warszawy do nas, rzekł głucho: „Chcą zgładzić naród, ale to im się nie uda”. Zacisnąłem pięści; : wszyscy chcieliśmy się bić, byliśmy Polską mścicieli, zaludnialiśmy lasy parczewskie, chełmskie, borowskie, lubartowskie. Tam, na polanach, gdzie zatrzymywaliśmy się na posto-  
-jje, poznałem prawdziwych mężczyzn: Kota, Kruka, Kolkę, ranka Sławińskiego-Tyfusa, Długiego Janka. Pilem i śpiewałem z nimi. Biłem się w grupie imienia Mickiewicza pod dowództwem Jana Holoda, którego nazywaliśmy Kirpiczny.*

*- Dobrze się bijesz, Mietek - mówił Moczar.*

*Wysyłał mnie na rekonesans, a wieczorem piliśmy razem.*

*- Dwaj Mietkowie chcą pokazać, który Jest lepszy przy wódce!*

*- wołał Bolek.*

*Z wódką też nieźle dawałem sobie radę.*

*Często Grzegorz zwoływał nas i zaczynał przemawiać:*

*- Towarzysze, wiecie, że hitlerowcy, faszyci...*

*Wszystko wydawało się takie proste. Słuchałem: Związek*

*Radziecki Jest naszym wielkim sojusznikiem. Hitler to*

*kapitalizm, niedługo powstanie Polska socjalistyczna, a my*

*jesteśmy jej czerwoną armią. Słuchałem, miałem wrażenie, że*

*to echo słów Julka Felda i nadziei mojego ojca, zdawało mi*

*się, że rozumiem przyczyny tych krzyczących*

*niesprawiedliwości, które widziałem w getcie. Byłem po*

*stronie biednych, zmarłych z głodu, żebraków, ofiar.*

*Słuchałem, ale nie miałem czasu myśleć. Chciałem przede*

*wszystkim bić się i zwyciężać. Potem przyjdzie czas na*

*zastanowienie.*

*Grzegorz, Moczar, Sławmski-Tyfus, który opowiadał mi o*

*wojnie w Hiszpanii i wraz ze zbiegłym z obozu jeńcem,*

*Maurycym-Francuzem, ciągle wspominał Marsylię, Tyfus,*

*który więcej oplakiwał Barcelonę niż Warszawę,*

*Teodor-Albert, oficer radziecki, również uciekinier, wszyscy*

*bili się dobrze. Ufałem im. Tak samo jak ja chcieli rozbić w*

*puch hitlerowców. To zadecydowało, że przystałem do nich.*

*Czasem przeprawialiśmy się przez Bug i nie kończącymi się*

*lasami maszerowaliśmy na wschód. Wczoraj była tu Polska, dziś - Rosja, wczoraj czyhali na nas Niemcy, dziś - ukraińscy banderowcy, łupieżcy na żołdzie oprawców; zmieniała się okolica, ludzie, ale las pozostał ten sam. Szedłem, wpadałem często w bagniste kałuże, przechodziłem przez wieś nocą, sypiałem we dnie, zanosilem pocztę generałowi Aleksemu Fiodorowiczowi, dowódcy białoruskich partyzantów.*

*Radziecki obóz był bardzo duży, umundurowani oficerowie gawędzili ze słuchającymi ich uważnie młodymi partyzantami. Pierwszy raz zobaczyłem samolot lądujący na lotnisku polowym. Radzieccy partyzanci byli bogaci, a my wydawaliśmy się biedakami, daremnie wypatrującymi zrzutów. Orientacyjne ognie dogasały na polanie, świtało.*

*Wciąż jeszcze wpatrywałem się w puste niebo.*

*Nareszcie pewnej nocy usłyszeliśmy szum samotnego samolotu.*

*Chlusnęliśmy benzynę na dziewięć sygnalizacyjnych ognisk, które tworzyły literę M. Buchnęły wysokimi, błękitnymi płomieniami, samolot przeleciał tuż nad drzewami i zrzucił na polanę spadochroniarzy: przyleciało dwóch wysłanników z Moskwy, Czech i Niemka, którzy mieli udać się do Warszawy, ale - co najważniejsze - przywieźli nam broń, pepesze z okrągłymi magazynkami, jakie widziałem u partyzantów generała Fiodorowa.*

*Rano Moczar kazał nam ustawić się w szeregu na polanie.*

*Obok stały otwarte skrzynie z karabinami. Moczar zatrzymywał się przed każdym z nas, wyjmował pepeszę i wręczał ją żołnierzowi. Stanąwszy przede mną mrugnął porozumiewawczo.*

*- Masz, Mietek, zrobisz z niej właściwy użytek.*

*Chwyciłem karabin; ściskając w dłoniach zimną stal czułem, że trzymam solidne narzędzie zemsty.*

*Zaczęliśmy teraz wychodzić z naszych lasów. Wysłano mnie na rekonesans. Mówiłem po polsku i po niemiecku, miałem przy sobie fałszywe papiery. Chodziłem po wsiach, rozmawiałem z mieszkańcami, starałem się ustalić miejsce stanowisk nieprzyjaciela, na ulicach ocierałem się o żołnierzy niemieckich, których parę godzin później miałem wziąć na cel. Jeden z nich, uśmiechnięty, uprzejmy olbrzym, zatrzymał mnie kiedyś w jakimś miasteczku.*

*- Jajka, jajka - powtarzał, schwyciwszy mnie za rękę, i ze śmiechem naśladował gdakanie kury.*

*Patrzyłem na niego, potrząsając głową; ten oprawca wyglądał jak człowiek. Wróciłem do lasu. Wojna to barbarzyństwo. Ten żołnierz będzie zabijał i zostanie zabity. Takie jest wojenne prawo. Moczar uważnie wysłuchiwał moich informacji.*

*- Masz wspaniałą pamięć, Mietek - mówił.*

*Niekiedy wyruszaliśmy w kilkoro. Nauczyłem się wlażyć na*

*drzewa; obserwowaliśmy drogę z Włodawy do Sosnowca.*

*Cieżarówki niemieckie wznosiły tumany kurzu;*

*przepuszczaliśmy konwoje. Gdy dostrzegałem z daleka jadący*

*samotnie samochód, wydawałem umówiony okrzyk i*

*spiesznie zeskakiwałem na ziemię, przeciągaliśmy pień*

*drzewa w poprzek szosy; samochód nadjeżdżał, prażyłem z*

*pepeszy, padali zabici. Czasem rzucałem się w pościg za*

*jakimś uciekinierem. Nie wolno było zostawić żadnego śladu,*

*który naprowadziłby Niemców na trop naszych oddziałów.*

*Gałęziami czyściłem drogę z krwi, zdobyczną ciężarówkę*

*wiwatując wpychaliśmy w las, odarte z odzieży zwłoki*

*topiliśmy w grzęzawiskach. Po niespełna godzinie droga*

*wyglądała znów normalnie, wijąc się spokojnie wśród drzew,*

*jakby ziemia i las otworzyły się skwapliwie, by przyjąć trupy,*

*i natychmiast zasklepiły z powrotem.*

*Zgłaszałem się ochotniczo do wszystkich akcji. Co rano długą*

*chwilę wspominałem moich zmarłych, widziałem wyraz ich*

*oczu, gdy stali na peronie w Treblince, i twarz ojca, gdy rzucił*

*się na patrol esesmanów w sektorze „szczotkarzy” na*

*Świętojerskiej. Co rano w szalasię, gdy las ociekał jeszcze wil-*

*gocią, przeżywałem swoją przeszłość i śmierć moich najbliż-*

*szych. Miałem ogromny dług do wyegzekwowania od opraw-*

*ców.*

*- Jesteś bezcenny, Mietek - powtarzał Moczar. Chciał odsunąć*



*mnie do drugorzędnych działań.*

*- Wolę zachować cię jako kuriera - mówił. Ja jednak nalegałem. Widziałem swoje miejsce wśród bojowników, Moczar wzruszał ramionami.*

*- Więc idź i wracaj żywy. Jesteś mi potrzebny.*

*- Po co umierać? Chcę iść na Berlin.*

*- Wariat z ciebie, człowieku, istny wariat.*

*Uczestniczyłem we wszystkich wypadach, w sabotażu na torze kolejowym Włodawa-Chełm. Gdy rozłożyliśmy materiał wybuchowy i koledzy odbiegli, żeby się ukryć, zostałem na miejscu mimo ich gwizdków; chciałem widzieć, jak wylatują w powietrze szyny, pociąg, most, patrzeć na efekty mojej zemsty, na moje zwycięstwo. Nauczyłem się kilkoma uderzeniami siekiery powalać słupy telegraficzne, żelazo rozszczepiało drzewo, siekiera uderzała w serce rany, którą otworzyłem.*

*Jeszcze, Mietek, jeszcze, przypomnij sobie Iwana, jak stał z pałką nad rowem - i słup padał zdruzgotany, ciągnąc za sobą przewody. Biegałem od jednego pala do drugiego, waliłem siekierą, aż omdlewały mi ramiona, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze mimo zmęczenia.*

*Chodziłem po wsiach, rozdając ulotki i gazetki, które redagował Bolek, zachęcające chłopów, by nie oddawali Niemcom zboża ani mleka; wysadziłem w powietrze kilka mleczarni, żeby pozbawić ludobójców masła; niech się utopia w mleku, je-*

*śli chcą. Palilem tartaki. Przyłączyłem się do grupy Janusza, syna drwala, dowodzącego setką ludzi w lasach koło Lubartowa i Ostrowca. Niemcy byli wszędzie, nawet w najmniejszych miasteczkach. Chciałem czuwać z chłopakami w pobliżu, żeby zadać niechybny cios. Wyprawialiśmy się nocą we trzech lub czterech, cichaczem dostawaliśmy się do wsi lub miasteczka, znienacka atakowaliśmy posterunki niemieckie, terroryzowaliśmy polskich zarządców, zmuszaliśmy policjantów do ucieczki. Całe rejony zalesionej okolicy dostawały się w nasze ręce.*

*Potem poprosiłem, by skierowano mnie do miast. Zobaczyłem znów Niemców spacerujących spokojnie po ulicach, komendanturę, samochody stojące przed nią, strażę. Ale nie byłem już ściganym Mietkiem, wiejskim parobkiem, wydanym przez złodzieja i szpicla, wójta ze wsi Zaremby, który grubymi paluchami wskazał mnie niemieckim żandarmom. Byłem teraz Mietkiem-partyzantem, który wypatrywał zdrajców, żeby wymierzyć im karę. W biały dzień, wraz z towarzyszem, obaj odziani w niemieckie mundury, zapukaliśmy do drzwi człowieka, który zadenuncjował grupę partyzantów, zasztyletowaliśmy go, po czym nienagabywani przez nikogo, wyszliśmy z miasta. Byłem teraz Mietkiem-mścicielem; zapoznawałem się z terenem, obserwowałem różne miejsca, ludzi, rejestrowałem*

*w pamięci szczegóły, moje sprawozdania były czytelne jak mapa.*

*Znałem kiedyś geografię getta, jego ulice, dachy, ścieki; teraz las stał przede mną otworem, odgadywałem położenie osiedli, intuicyjnie wyczuwałem obecność Niemców, nastawienie wieśniaków. Wyruszałem w drogę sam, nauczywszy się na pamięć zaszyfrowanego meldunku, którego sensu nie rozumiałem. Chodziłem z jednego lasu do drugiego, od wodcy jednej grupy do szefa innej. Nauczyłem się naśladować głosy ptaków, wiedziałem, jak dać się rozpoznać czujkom; byłem kurierem. Recytowałem meldunek, z którym mnie przysłano, i przespawszy się trochę szedłem z powrotem wśród znajomych drzew, przesadzając jednym susem szosę. Sypiałem w stodołach; gdy nadeszły chłody, zagrzebywałem się głęboko w ciepłe, świeże siano. Czasem wchodziłem do chłopskich chałup, żeby się ogrzać, siadałem na jednej z ław ustawionych wokół wysokiego glinianego pieca, rzadko kiedy układając się na nim do snu, jak to niektórzy czynili. Byłem ostrożny, chciałem żyć i doczekać zwycięstwa. Wolałem marznąć.*

*Pewnego dnia wezwali mnie Moczar i Janusz. Moczar siedział otulony grubym kocem, Janusz nie znał uczucia zimna, to był leśny człowiek.*

*- Znasz Treblinkę, Mietek. Opowiedz nam.*

*Mówiłem całą noc. Mógłbym mówić całe wieki.*

*- Na południe od Lublina jest Majdanek - powiedział Moczar.*

*To była druga Treblinka, z „fabryką” i rowami.*

*- Może będziemy mogli go zaatakować.*

*Marzyłem o ukaraniu katów, o szturmie, o więźniach, którzy*

*będą mnie witać bez wyrazu przerażenia w oczach. Ma-*

*rzyłem. W jakiś czas potem znaleźliśmy zwłoki Janusza, oka-*

*leczone, z obciętymi uszami. Janusz padł ofiarą*

*enes-zetowców, partyzantów, którzy walczyli przeciwko nam*

*o inną Polskę, i wydawali Niemcom Żydów, pobierając po*

*pięć kilo cukru za głowę. Byli to nielitościwi fanatycy,*

*uważali nas za „czerwonych”, za „Ruskich”, wierzyli, że tylko*

*oni wybawią Polskę „katolicką i wieczną”.*

*Wykopaliśmy dla Janusza grób w czarnej ziemi, my wszyscy*

*związani z nim, naszym towarzyszem. Potem zostaliśmy tam,*

*śluchając Moczara i Grzegorza.*

*- Musimy mieć kogoś z naszych w NSZ - rzekł Moczar.*

*Byłem towarzyszem Janusza, który chciał zaatakować*

*Majdanek; byłem bratem tych Żydów, tropionych przez*

*enes-zetowców po wsiach i miasteczkach. Walcząc z*

*karabinem w ręku lubiłem uczucie otuchy, jakim darzyli mnie*

*towarzysze dzięki przyjaznym gestom lub dźwiękom gwizdka*

*lub gdy na przykład Bolek podśpiewywał sobie, czatując ze*

*mną na niemiecką ciężarówkę. Woląłem nie być sam. Ale nie*

*byłem w lesie po to, żeby robić, co mi się podoba. Zostawiłem swoją pepeszę, z którą czułem się tak bezpiecznie, porzuciłem towarzyszy i - zaopatrzony w polski paszport - ruszyłem samotnie do obozu wroga.*

*Dowiadując się o pracę u chłopów wpadłem w pułapkę.*

*Trafiłem do jednej z wiosek opanowanych przez enes-zetowców i strzeżonych przez ich wartowników, którzy mieli chronić przed nami swoje terytorium. Zobaczyłem ich: stali z zatknietymi za pas granatami i spod nasuniętych na oczy wysokich futrzanych czap patrzyli, jak się zbliżam. Było ich dwóch, pozdrowiłem ich ręką i przepuścili mnie. Nie mieli czego się bać, byłem sam, bez broni. Poszedłem prosto do kościoła, powiedziałem księdzu, że uciekłem z obozu pracy w Niemczech i dlatego chcę mieszkać na wsi. Ksiądz wysłuchał mnie w milczeniu, a potem wymienił nazwisko jednego z wieśniaków. Dostałem pracę i znów popłynęły monotonne, długie dni, jakie znałem już z pobytu we wsi Zaremby przed powstaniem w getcie. Przerzucałem siano, sprzątałem oborę, a gdy wieczorem rozmawialiśmy w chałupie, powtarzałem, że chciałbym się bić. Mój gospodarz kiwał tylko głową. Wreszcie któregoś wieczoru rzucił:*

*- Możesz przydać się komendantowi Ziembie. Zgłoś się do niego w moim imieniu.*

*Siedziba komendanta Ziembie mieściła się w chałupie na*

*krańcu wsi. Wszedłem. Zobaczyłem na stole karabin i granaty, a na ścianie srebrny krucyfiks. Komendant przyjrzał mi się uważnie. Znałem te białe oczy, uśmiech, który jest tylko grymasem warg, ironiczny głos; Ziemia był bestią o ludzkim obliczu. Zadał mi kilka pytań, lśnięcymi od pierścionków grubymi, chłopskimi paluchami przekartkował mój paszport, następnie poczęstował mnie wódką. Zachowałem zupełną trzeźwość.*

*- Jeśli chcesz się bić, przyjdź jutro - powiedział.*

*Rano wyruszyliśmy w około dwudziestu do wioski, której ludność podejrzewano o udzielanie pomocy partyzantom.*

*Wraz z paroma innymi zostałem na czatach na skraju drogi.*

*Słyszałem krzyki kobiet, detonacje. Widziałem, jak chłopci uciekali do lasu, niektórzy padali od wybuchu granatu. Potem wróciliśmy do bazy, a wieczorem brałem udział w pijatyce. Piłem, aż chwyciły mnie mdłości i zacząłem wymiotować.*

*Ale nie tylko na skutek alkoholu: to była brudna wojna; wspominałem wypadki z lasu z Bolkiem, który nucił żydowskie piosenki. A teraz znalazłem się wśród tych bandytów, piłem, dowcipkowałem z nimi. Moja kalwaria trwała kilka tygodni. Nocą wymykałem się ze wsi do lasu, gdzie oczekiwał mnie któryś z towarzyszy. Podawałem nazwiska enes-zetowców oraz chłopów, którzy z nimi współpracowali, określałem położenie przyjaznych im wsi. Dwa czy trzy razy*

*udało mi się uprzedzić o zaplanowanej akcji i gdy zbliżaliśmy się do wioski, którą Ziemba chciał zaatakować i ograbić, nasi partyzanci byli już na miejscu i zmusili tamtych do ucieczki. Przeklinałem wraz z innymi, piłem z nimi i wyprowadzałem ich w pole. Ale stopniowo zacząłem odczuwać narastającą nieufność. Ziemba wezwał mnie do siebie i tonem niby to przyjaznym, serdecznym wypytywał o moich rodziców, o powody, które ściągnęły mnie do tej wioski. Jego białe oczy ani na chwilę nie odrywały się od mojej twarzy, podczas gdy upierścienione łapy bawiły się długim nożem. Myślałem o Pawiaku, o gestapo i alei Szucha...*

*- Wiesz - powiedział - szpiegów rezerwuję zawsze dla siebie; oczy, uszy, ciach! Niektórych ukrzyżowaliśmy. Tu nie brak drzew, krzyż robi się bardzo szybko.*

*Roześmiałem się i przepiłem do niego, ale w bucie miałem schowany granat. Chciałem żyć.*

*W kilka dni później, jak to było w ich zwyczaju po każdej udanej akcji, opijaliśmy ten sukces w chałupie przy wejściu do wsi. Ziemba perorował z flaszką wódki w ręku.*

*- Są szpiegzy - powtarzał. - Bandyty z Armii Ludowej. Mają wszędzie szpiegów. Ciach, i spadną im uszy!*

*Wszyscy śmieli się, patrząc na jego wymowny gest. Gadał tak jeszcze przez parę minut i zdawało mi się, że wciąż spoglądają w moją stronę. Chciałem żyć, zwyciężać, a nie zdechnąć w*

*chłopskiej chałupie, zadżgany przez pijanych łotrów.*

*Zwyciężyć. Życ. Byłem to winien tym, których kochałem.*

*Podniosłem się, jakbym chciał coś powiedzieć lub poprosić o dolewkę, po czym skoczyłem ku drzwiom, odwróciłem się, cisnąłem do wnętrza granat i pędem puściłem się do lasu, do moich drzew, mojego schronu.*

*Szukali mnie przez całą noc po wsi, w pobliskiej okolicy, także w lesie. Wspiąłem się na drzewo i ścisnąłem jego pień, jakby mógł tchnąć we mnie siłę. Enes-zetowcy krzyczeli, strzelali na chybił trafił, rzucili kilka granatów, ale bali się lasu - naszego królestwa. Czekałem długo, aż omdlały mi ramiona. Przed świtem pobiegłem w las, przespałem się w jakimś rowie i biegłem dalej, aż odnalazłem Moczara, Grzegorza i innych. To miała być moja ostatnia szpiegowska misja. Wieczorem, siadłszy koło Bolka przy ognisku, zanurzyłem drewnianą łyżkę w wielkim, szerniałym kotle. Byłem mężczyzną wśród mężczyzn, z odsłoniętym obliczem, słuchałem ich bratnich głosów milcząc, w pokoju. Nazajutrz w lesie spadł pierwszy śnieg, potem nastąpiły dalsze białe, mroźne poranki. Las stał się nieprzyjazny, mokre drzewo nie chciało się palić, ogniska gasły, żywności stale ubywało.*

*- Towarzysze, Armia Czerwona...*

*Moczar i Grzegorz mówili o sukcesach radzieckich, ale naszym udziałem był sabotaż, dręczyło nas zimno i mgła. Leżąc*



*na lodzie czatowałem na ciężarówce, zmarzniętymi palcami  
układałem na szynach materiały wybuchowe, patrzyłem, jak  
wylatują w powietrze pociągi przewożące czołgi, piłem  
koniak i szampana zrabowane z piwnic zamku, którego  
właściciel współpracował z Niemcami, maszerowałem w  
śniegu, głębokim jak morze, bywały dni, gdy całe moje  
pożywienie stanowił palący bimber, kopałem w zmarzniętej  
ziemi doły dla zmarłych towarzyszy. Zastawiałem zasadzki,  
zabijałem, patrzyłem na konających. Wojna była  
zrutynizowanym piekłem. Niekiedy sypiałem u wieśniaków.  
Któregoś ranka, dość późno, obudziło mnie ujadanie psów i  
krzyki żołnierzy. Niemieccy żandarmi grasowali po wsi,  
wywalali drzwi, szukając żydowskiej rodziny, którą  
prawdopodobnie jakiś szpicel wydał za parę banknotów.  
Leżałem zagrzebany w sianie. Przed kościołem stała  
gromadka żołdaków, ze śmiechem podawali sobie z rąk do  
rąk butelkę wódki, a wśród nich troje dzieci z podniesionymi  
rękami, mężczyzna i kobieta na kolanach. Nie miałem przy  
sobie broni. Poraziło mnie wspomnienie wszystkiego, co  
widziałem od 1939 roku. Zamknąłem oczy. Potem szedłem,  
biegłem, płacząc dotarłem do naszej polany. Bolek czuwał  
przy mnie przez cały dzień; byłem zupełnie załamany. Te  
dzieci, ci ludzie, których ujrzałem rano, to była moja rodzina,  
moja matka na kolanach, pohańbiony ojciec, bracia skazani*

*na śmierć, wyznaczeni do Majdanka lub Tre-blinki.*

*- Musimy się zemścić, Bolek!*

*Obmyśliłem zasadzkę. Wiadomo było, że Niemcy otrzymują wiele anonimowych donosów. Bolek napisał do nich, podając nazwę wsi, gdzie rzekomo ukrywają się Żydzi. Czyhałem dniami i nocami, nie bacząc na mróz i sypiący na mnie śnieg. Żywiłem się śniegiem i wódką; nie chciałem zejść ze swego stanowiska ani pozwolić się zastąpić.*

*Wreszcie zjawili się. Brutalni, butni esesmani. Szli przez wieś z karabinami w pogotowiu. Towarzyszyła nam Nadia, młoda Rosjanka z naszego ugrupowania. Podniosła się z miejsca jednocześnie ze mną i ruszyliśmy im na spotkanie, a gdy nas spostrzegli, rzuciliśmy się do ucieczki w las. Zaczęli strzelać, wrzeszczeli:*

*- Halt, Jude, halt!*

*Przed nami były drzewa, a za nimi Bolek, Grzegorz, Kot i Kruk. Położyliśmy ich trupem co do jednego. Wszystko musiało odbyć się bez świadków, tylko czarne zwłoki czerwieniły śnieg. Podchodziłem kolejno do każdego z nich, rozluźniałem zaciśnięte na karabinach palce. Zbliżył się Bolek.*

*- Pomściliśmy ich - rzekł.*

*Potrząsnąłem głową. Nigdy nie będziemy pomszczeni, śmierć ludobójców nie darzy życiem, zemsta jest zawsze gorzka.*

*- Gdybyśmy nawet wybili ich wszystkich, nie wskrzesi to*

*moich braci, Bolek.*

*Usiadłem na śniegu. Iluż ich jest w dołach Majdanka,  
Treblinka, ilu nie odrodzi się już nigdy? Co za spustoszenie, co  
za szaleństwo! Ja też musiałem zabijać, aby zapobiec masa-  
krom. Zabijać te bestie o ludzkich twarzach.*

*- My też zabijamy, Bolek*

*- No to co? Nie mamy wyboru.*

*Miał rację. Zostawiliśmy ich półnagich na skraju lasu.*

*Pod koniec zimy front przybliżył się. Czołgałem się w błocie  
ku szosom, którymi przejeżdżały ciężarówki wiozące rannych  
z Rosji. Konwoje jechały w stronę Lublina.*

*- Więcej, widzisz, Mietek?*

*Bolek szalał z radości. Urządzaliśmy spieszne napady, po-  
czym znikaliśmy w lesie. Pewnego dnia, wczesnie rano, nad  
naszym obozem koło Ramblowa przeleciał niziutko samolot.  
Wdrapałem się na szczyt sosny, a gdy wracał, strzeliłem jed-  
nocześnie z towarzyszami, celując w silnik i pilota. W sno-  
pach czarnego dymu i wysokich płomieni runął w las, obala-  
jąc drzewa. Krzychałem triumfalnie: Hurra! Ale wkrótce po-  
tem nasi prześladowcy wrócili. Tym razem samoloty były  
bardzo liczne.*

*Moczar zwołał nas i objął dowództwo. Było nas w lesie kil-  
kuset, zobaczyłem partyzantów sowieckich ze zgrupowania  
kapitana Czepigi.*

*- Będzie ciężko, towarzysze!*

*Wywierciłem jamę pod drzewem; inni chowali się wśród  
gałęzi.*

*Czekaliśmy w milczeniu, czas się dłużył; potem usłyszałem ich  
wrzaski i zobaczyłem, jak skaczą od drzewa do drzewa. Byli  
to esesmani z dywizji Wiking, zapewne pijani, skoro odważyli  
się wejść do naszego lasu. Żyć, Mietek, i zabijać, żeby żyć,  
takie jest prawo. Celowałem, strzelałem, podobnie jak inni.*

*Bez litości, bez żadnych względów. Zabijać, żeby żyć.*

*Trzaskała kora, jęczały rozdarte drzewa, ludzie rycieli. Zabi-  
jać, żeby żyć.*

*Moczar rzucił rozkaz:*

*- Ruszajcie, towarzysze!*

*Wyskoczyłem z mojej jamy i z krzykiem biegłem wśród drzew  
na ich mundury, na ich twarze, karabiny i noże. Krzyczałem,  
żeby zabijać. Ze mną krzyczeli pomordowani w Treblince, ci z  
getta, z Zambrowa, z Białegostoku. Przyjdź, ojcze, powstań i  
wydaj okrzyk! Wstań, Rywko, i ty Pawle, i ty rudowłose  
towarzyszu, i ty Soniu! Oni albo my. Bestie lub ludzie.*

*Zabijać, żeby żyć.*

*Wypłoszyliśmy ich z lasu, ale zostali na polach i na drogach,  
a gdy zapadła noc. ich rakiety rozdzierały ciemność.*

*Odszukałem Bolka, który trzymał się blisko Moczara i Grze-  
gorza.*

*- Musimy stąd wyjść przed świtem - powiedział Moczar.*

*W nocy pomagałem grzebać zmarłych. Przysypywaliśmy ich cienką warstwą ziemi. Potem zacząłem się czołgać w stronę niemieckich wartowników, słyszałem ich oddechy i suchy kaszel. Gdy rakiety opadały wolno na ziemię, nie ruszałem się, wtapiałem się w czarną, błotnistą ziemię, potem znów posuwałem się naprzód. Nasłuchiwałem kaszlu. Zabijać po cichu.*

*Prześlizgnąwszy się między szponami oddziału SS, przedostaliśmy się do sąsiedniego lasu, wynosząc naszych rannych.*

*Oni albo my. Tym razem my.*

*Każdy dzień świadczył teraz o ich porażce. Uciekali, nie próbując nawet atakować, starając się jedynie nas ominąć i wymknąć się z lasu. Nasze znaczenie rosło, stawaliśmy się armią. Miałem prawo do munduru. Pewnego dnia generał Rola, który przyjechał z Warszawy, zgromadził nas na polanie. Stanął przed nami w białym płaszczu i czapce osłaniającej okrągłą twarz.*

*- Towarzysze, partyzanci - zaczął - zwycięstwo...*

*Nie słuchałem dalej. Skończył się jeden etap. Radzieccy jeńcy, którzy uciekli z niewoli, wrócą do swojej armii. Polacy do miast i wiosek, gdzie oczekiwały ich rodziny. Gdzie było moje miasto, moi bliscy? W Nowym Jorku miałem babkę, ale nie pamiętałem nawet, jak ona wygląda, a wszędzie indziej*

*pustynia. Oprawcy zostawili mnie jak samotne drzewo w wyrąbanym, spustoszonej lesie. Nie mogłem tkwić tu bezczynnie, musiałem ruszyć dalej.*

*General Rola chodził wśród nas, rozdzielając awanse. Moczar zrobił dwa kroki naprzód - awansował na pułkownika, Bolek i inni również występowali z szeregu; gdy przyszła moja kolej, generał uściskał mnie - dostałem porucznika.*

*Wieczorem piłem z Moczarem.*

*- Dwóch Mietków, obaj awansowani - powtarzał Bolek.*

*- Nie jesteś wesoły, Mietek - rzekł Moczar.*

*Jak mogłem weselić się, mając w pamięci swoich bliskich?*

*- Nie zapominaj, Mietek, nasze zwycięstwo polega na tym, że tu jesteśmy, że jeszcze tu jesteśmy - ofuknął Bolek, obejmując mnie ramieniem.*

*Wódka pomogła mi otrząsnąć się ze smutku. Bolek miał rację: jedno drzewo wystarczy, by odrodził się cały las. Piłem, śpiewałem wraz z innymi. Uściskaliśmy Moczara, który udawał się do Warszawy i w Kieleckie. Tam również byli partyzanci.*

*W kilka dni później ujrzelśmy na szosie długie kolumny żołnierzy. Z przepasanymi przez pierś kocami szli, ciągnąc za sobą karabiny maszynowe na kołach, podobne do tych, które mieli partyzanci generała Fiodorowa, Na ten widok wyszliśmy z lasu, machając rękami; nasi Rosjanie biegli*

*najszybciej. „Towariszczi” - krzyczeli. Żołnierze zatrzymali się. „Na Berlin! - wołali. - Na Berlin!”*

*Wybiegłem wraz z innymi na szosę. Ten młodziutki żołnierz, spoglądający ze zdziwieniem, jak wkoło niego skaczą, też kroczył po zwycięstwo. Grzegorz przegrupował nas i szliśmy dalej z oddziałami radzieckimi. Dwudziestego pierwszego lipca wszedłem do Chełma, a dwudziestego drugiego do Lublina. Było lato, błękitne, żółte, zielone. Niemcy bez oporu opuszczali teren. W Lublinie odnalazłem dom, gdzie udzielono mi kiedyś gościny. Stara kobieta rozplakała się na mój widok, jej mąż objął mnie serdecznie.*

*- Trzeba kazać im za to zapłacić - powtarzał. - Powiesić Hitlera.*

*- Na Berlin! - wołali żołnierze na ulicy, a przechodnie podchwytywali: „Na Berlin!” Ja też zacząłem krzyżeć: „Na Berlin!”*

*Weszli do naszego getta, zostawili stosy trupów i ulice w gruzach, spalili, spustoszyli, spopielili wszystko. Ale uratowałem się i chciałem w Berlinie, w imieniu nas wszystkich krzyżeć, że jestem wciąż żywy, ja, uciekinier z getta, świadek z Treblinki! Żyję i jestem zwycięzcą.*

*Pilem z żołnierzami. Na Berlin, na Berlin! Wałęsałem się beczynnianie po korytarzach siedziby Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego na Bernardyńskiej. Nie wiedziałem, co*

*ze sobą zrobić. Spotkałem Grzegorza, partyzantów. Rozmawialiśmy o rządzie, o gazecie, którą zamierzali wydawać.*

*Grzegorz podniósł głowę.*

*- Myślałem o tobie, Mietek. Czy chcesz pomóc armii radzieckiej?*

*Stuknąłem obcasami.*

*- Na Berlin.*

*Dla ciebie, ojczu, dla was, bracia*

*- Więc urodziłeś się w Warszawie... a twój ojciec?*

*Siedziałem w niewielkim pokoju biurowym komendantury radzieckiej w Lublinie. Na podłodze walały się segregatory, hełmy, butelki, leżał karabin, ze ściany spoglądała podobizna Stalina. Było ciepło; oficer, który mnie indagował, rozpiął bluzę, pocił się i przeklinał polski klimat. Od rana siedziałem naprzeciwko niego, odpowiadając na pytania, którymi roztrząsał życie moje i mojej rodziny. W regularnych odstępach czasu powtarzał:*

*- Rozumiesz, towarzyszu, służyć w Armii Czerwonej to zaszczyt.*

*Zdejmował okulary, wycierał sobie czoło. Potakiwałem. Armia Czerwona szła na Berlin, trzeba zatem wstąpić w jej szeregi. Gdy oficer zapytał o zawód mojego ojca, odpowiedziałem bez wahania: „robotnik-mechanik” i nadmienilem, że pochodził z Rosji. Chciałem dotrzeć do*



*Berlina, a słuchając wypowiedzi Moczara i Grzegorza*

*zrozumiałem, że lepiej być synem proletariusza niż drobnego  
fabrykanta. Staralem się mówić po rosyjsku z jak  
najslabszym polskim akcentem, ale mój kontakt ze zbiegłymi  
jeńcami w lesie był na to za krótki.*

*Dochodziło już południe, gdy oficer przeczytał mi, strona po  
stronie, protokół z przesłuchania; zrobił się z tego cały plik  
papierów.*

*- Zgadza się, towarzyszc? - pytał po każdej kartce.*

*Potakiwałem; Armia Czerwona idzie na Berlin, podpisywa-  
łem każdą stronicę, dziwiąc się tym środkom ostrożności.*

*Chciałem się bić, wymknąłem się ze szponów katów, czy  
potrzeba tylu pytań i podpisów, żeby mieć prawo ryzykować  
życie?*

*- Przyjdź jutro rano, Misza.*

*Ponownie zmieniłem imię, nie byłem już Marcinem ani  
Mietkiem, ale Miszą. To nieważne, pozostałem sobą, z ciągle  
tymi samymi przeżyciami, których nikt nie wydrze mi z pa-  
mięci, z niezłomną wolą dojścia do końca. „Taki musi być  
prawdziwy mężczyzna”. Ojciec powiedział to w jedną z ostat-  
nich nocy tam, w getcie; słyszałem jeszcze jego głos, widzia-  
łem twarz. Dla mnie on będzie żył zawsze. Do końca, to znaczy  
do Berlina. A potem? Ulice Lublina były odświętnie przy-  
strojone. Niedługo przystroi się wszystkie ulice, nadejdzie*

*czas prawdziwego pokoju. Już gdy generał Rola mówił nam o zwycięstwie tam, na leśnej polanie, odczułem wkoło siebie pustkę, w której mnie zostawili. Nie mając teraz nic lepszego do roboty, jak lazić bez celu, bez żadnych planów, w oczekiwaniu jutrzejszego ranka, zacząłem wyobrażać sobie, jak to będzie potem, gdy ci, którzy nie zostali samotni, wezmą znów w ramiona swoje żony i dzieci. A ja? Cóż mi pozostanie?*

*Poszedłem nad rzekę, która przecinała miasto. Znalazłem sobie miejsce między dwoma głazami i zanurzywszy stopy w wodzie przedrzemałem całe popołudnie w słońcu. Może ja też będę kiedyś miał dzieci. Ojciec powiedział, że mężczyzna staje się prawdziwym mężczyzną, gdy decyduje się założyć rodzinę. Marzyłem w półśnie. Moimi synami zaludnię znów las; dzięki nim moi zmarli będą żyć dalej. Potem opowiem im o mojej matce i braciach, o bohaterskim czynie ojca na Świętojerskiej. Ale to potem, gdy będą już dość silni, aby zrozumieć i wytrzymać.*

*Nazajutrz rano poszedłem do komendantury. Czekałem w korytarzu, po którym kręciło się mnóstwo osób. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wreszcie oficer, który przesłuchiwał i mnie poprzedniego dnia, wrzasnął wniebogłosy moje nazwisko. Zerwałem się.*

*- Szukam cię od paru godzin! - krzyczał, popychając mnie naprzód. - Pułkownik czeka.*

*Siwowłosy krępy oficer przechadzał się po pokoju, w którym panował nie mniejszy nieład niż w pomieszczeniu, gdzie przyjmowano mnie wczoraj.*

*Oficer trzymał w ręku kartki z przesłuchania.*

*- Ach, to ty! Zdaje się, że dokonałeś już całkiem sporo. Ile masz lat?*

*- Dziewiętnaście. Gwizdnął przez zęby.*

*- Wciąż jeszcze chcesz się bić? Skinąłem głową. Jak mógł w to wątpić?*

*- Wiesz, można się bić na różne sposoby. Siadaj. Podsunął mi swoją paczkę papierosów i pudełko zapalek.*

*- My tu jesteśmy czymś w rodzaju policji - rzekł. - Wiesz, co to NKWD? Znasz tę nazwę?*

*Znałem tylko oprawców, moją nienawiść do nich i żądzę walki, pomszczenia moich bliskich.*

*- Potrzebujemy takich jak ty, ludzi, którzy potrafią wytropić bandytów. Widziałeś z bliska enes-zetowców; byłeś w*

*Zambrowie i w Białymstoku. Jeżeli chcesz, zaczniesz służbę u nas. Pokaż, co potrafisz, wykryj dla nas enes-zetowców, donosicieli, tych, którzy cię wydali, kolaborantów, takich, co nas nie lubią.*

*- Chciałem bić się inaczej. Dotrzeć do Berlina.*

*- Potem pójdziesz na Berlin. Najpierw trzeba oczyścić tyły.*

*Tutaj. No więc?*

*Pułkownik strzelił palcami.*

*- Więc jak? - powtórzył.*

*Wydawali naszych za pięć kilogramów cukru; storturowali Janusza; zadenuncjowali tych troje żydowskich dzieci, które widziałem tamtego ranka, stojące z podniesionymi rękami przed wiejskim kościołem. A wójt ze wsi Zaremby wyciągnął rękę i wskazał mnie niemieckim żandarmom. To lotry. Zgodziłem się. Trzeba wytrwale iść do końca.*

*Do Zambrowa przybyłem pewnego ranka w stroju wieśniaka. Odnalazłem znajome ulice, magazyn, przed którym aresztowali mnie żandarmi. W komendanturze niemieckiej mieściła się teraz komendantura radziecka, inni żołnierze patrolowali miasto, w którym nie zmieniło się nic - po prostu śmierć skosiła kilka tysięcy naszych, zabrała Sonię. Potem czas, jak tafla jeziora, zamknął się nad ich męką. Mogłoby się zdawać, że nie Istniała tu nigdy żadna Sonia. Ale oto zjawilem się, świadek i szperacz.*

*Chodziłem od wsi do wsi, wkradałem się między chłopów, gdy zbierali się, aby potajemnie pędzić bimber. Rozmawialiśmy. Znałem ich dobrze, tutejszych wieśniaków, cierpiałem przez nich i dzięki nim przeżyłem. Zdarzało się, że wchodząc do którejś stodoły wyczuwałem czyjąś obecność, jakiś człowiek musiał spać tam, gdzie się niegdyś ukrywałem, może też obluźował deski w tylnej ścianie, aby uciec do lasu. Tropiłem enes-*

*zetowców, a rano przyjeżdżał po nich samochód NKWD. Brali po pięć kilo cukru za Żyda. Liczyłem zatrzymanych. Placili.*

*We wsi o parę kilometrów od Zambrowa zwrócił moją uwagę nowiutki dom, siedziba bogaczy. Mieszkała tam samotna kobieta. Zaproponowałem, by wzięła mnie do pracy.*

*Odmówiła niezręcznie, motywując to takim mnóstwem rozsądnych powodów i siląc się na tyle uprzejmości, że wzbudziła we mnie podejrzenia. Jak mogła sama napęłnić swoją stodołę i komórki, sprzątać oborę, oporządzać bydło?*

*Gdy rozmawiałem o tym z wieśniakami, wzruszali ramionami. Postanowiłem zagrać na ich zawiści.*

*- W domu musi być bardzo ciepło, widziałem duże zapasy drewna. - Mówiłem tak jak oni, powoli, z uwagą i zastanowieniem.*

*Jeden z nich mruknął:*

*- Po sto marek za Żyda, stać ich było na to.*

*Poszedłem tam nocą. Mimo ujadania psów obserwowałem dom i obejście. Ktoś pracował w oborze, jakiś mężczyzna grabił tam ziemię. Zbliżyłem się. Stał pochylony nad swoją robotą, obok niego siedziała żona, przeczyszczając ściek i przeklinając. Nagle podniósł wzrok i spostrzegł mnie w ciemności.*

*Podszedł z widłami w ręku i przygwoździł mnie do ściany.*

*- Co tu robisz, do diabła?*

*Czując stalowe szpice na piersiach, patrzyłem w jego roz-*

*szerzone z wściekłości i strachu białe oczy.*

*- No więc co, do cholery?*

*- Szukam pracy. Nie mogę pozostać w mieście. Muszę pracować.*

*Kobieta wstała.*

*- On tu już był po południu, zostaw go! - rzekła błagalnie.*

*Opuścił widły.*

*- Nie ma pracy - powiedział. - Wynoś się.*

*Odszedłem powoli, żeby nie powziął podejrzeń, ale nazajutrz wróciłem z trzema żołnierzami radzieckimi. Weszliśmy do stodoły, licząc, że musi się tam ukrywać. Spał na pół pijany.*

*Potrząsnąłem nim. Zobaczył żołnierzy.*

*- Ty łajdaku, szpiclu! - wrzasnął.*

*- Ile żydowskich dzieci wydałeś? - spytałem po prostu. Zbladł i otarł sobie twarz.*

*- Łajdaku! - powtórzył.*

*Schwyciłem go za koszulę, był potężny, o wiele wyższy ode mnie. Wyrznąłem go głową w podbródek.*

*- Jestem Żydem, słyszysz? I byłem w Zambrowie, w Treblince.*

*Uczułem, że zadrżał. Jego żona nadbiegła, krzycząc:*

*- Ja nie chciałam! To on donosił, żeby pić! Żeby pić! Gdy wieśniacy zobaczyli, że prowadzimy go do czekającej u wylotu wsi ciężarówki, od razu rozwiązały im się języki.*

*Powiedzieli nam, że w lesie ukrywało się pięć rodzin z dziesięć-*

*ciorgiem dzieci. Ten łotr najpierw dostarczał im żywność, aby wymusić od nich wszystko, co posiadali, a gdy nie mieli już nic, zadenuncjował ich i otrzymał premię. Tak samo jak w Warszawie, i tutaj byli łowcy „beduinów” i „kotów”; każde miasteczko, każda wieś miała swojego Ptaszka, swojego Piłę. Trzeba było oczyścić z nich okolice, niech teraz oni płacą.*

*Tropiłem ich chodząc od wsi do wsi. sycąc się tą gorzką zemstą, która nie przywraca życia. Nie było wyboru, należało myśleć o przyszłości, o krzywdach, które ci ludzie mogli jeszcze wyrządzić; byli jak gangrena. Musiałem iść do końca.*

*Odwiędziłem wieś Zaremby; chłopci wracali z pól, było gorąco, chociaż słońce już zaszło, upał zastygł w nieruchomym powietrzu.*

*W zagrodzie Zaremby panowała cisza, pług stał w szopie. W kościele jakiś inny ksiądz klęczał przed ołtarzem. Czekalem w chłodnym półcieniu, żeby wstał i przeszedł koło mnie.*

*- Straszne nieszczęście - powtarzał w odpowiedzi na moje pytania.*

*Niemcy przyszli, zabili księdza przed kościołem. Wójta zastrzelili jednej nocy partyzanci. Wielu wieśniaków poznikalo w lesie, między innymi również Zaremba. Wróciłem do jego chałupy. Pod krucyfiksem w ciemnej izbie modliła się matka. Może to przeze mnie wojna wtargnęła do tej wsi. Odszedłem. W Zambrowie czekano na mnie. Na skraju miasta, gdzie*

*domy nie stały jeszcze w zwartej zabudowie, lecz rozproszone  
pośród pól, zjawilo się nagle przede mną trzech mężczyzn.*

*Przez chwilę obserwowaliśmy się; zagradzali mi drogę wycią-  
gniętymi ramionami, w mroku nie widziałem ich twarzy.*

*Uskoczyłem w bok, w pole żyta, potem uciekając przesadzi-  
łem jakiś strumień i biegłem, aż udało mi się wpaść do lasu,  
Gonili mnie, biegłem, chciałem lasem dostać się do miasta,  
potykałem się o korzenie, nawoływali się, ciskali przekleń-  
stwami. Stopniowo zaczynałem brać nad nimi górę w tym  
wyścigu. Byłem zdecydowany nie dać się teraz zabić. Nie  
udało » się to moim prześladowcom w Treblince, na Pawiaku  
i w getcie; nie uda się wam teraz, lotry! Dobiegłem do skraju  
lasu, wpadłem na jakieś pole, spotkałem wieśniaków.*

*Zaniechali pościgu, ale ostrzeżenie było jasne: w okolicy  
Zambrowa byłem „spalony”, bezużyteczny, enes-zetowcy  
zdemaskowali mnie. Przenocowałem w komendanturze, z  
rewolwerem u boku, a nazajutrz zarządzający Zambrowem  
kapitan postanowił odesłać mnie do Lublina.*

*- Dobrze się spisałeś, Misza. Chcą dobrać ci się do skóry; to  
niewątpliwie wyróżnienie.*

*Był koniec września. Wsiadłem na ciężarówkę pełną żoł-  
nierzy. Jechaliśmy szybko, wznosząc tumany białego, ciepłe-  
go pyłu. Żołnierze śpiewali, młodzi, jasnowłosi, w moim wie-  
ku, ale ja byłem stary, przeżyłem wieki, przygniatało mnie ty-*



*lu zmarłych. Częstoowali papierosami, śmieli się z mojego polskiego akcentu, dzielili się ze mną racjami świeżej śmietany i kaszy, klepali mnie po plecach.*

*- Towariszcz, towariszcz.*

*To było ich hasło. Chciałem, żeby opowiadali mi o swoim kraju, tej wielkiej ojczyźnie nowego świata, jak mówił Grzegorz. Wzruszali ramionami. Interesowała ich wódka, polskie dziewczyny i pokój. Śmieli się serdecznie jak dzieci, nic nie rozumieli. Przyjechałem do Lublina w niedzielę; wysiadłem przed kościołem Kapucynów. Na placu naprzeciwko kościoła odbywał się wiec. Wmieszałem się w tłum.*

*-Towarzysze...*

*Trybuna przystrojona była czerwienią, do drzew uczepiono sztandary. „Chcemy wykończyć Niemców, wytrzebić naród agresorów i grabieżców”.*

*Głościki zniekształcały słowa, rozumiało się z trudem, ale tłum klaskał. Następnie mówca oznajmił, że kaci z Majdanka zostaną przekazani sądom. Krzychałem wraz z tłumem; chyba cały Lublin był na tym placu i słuchał Gomułki. Ale parę miesięcy temu warszawscy gapie przyglądali się, jak umieramy, a lubelska kołtuneria żyła sobie spokojnie, nie narażając się oprawcom. Na jednego partyzanta, jednego Janusza, Julka Felda, jednego człowieka takiego jak mój ojciec - iluż przypadało uległych, tych, co zginali kark, akceptowali?*

*Poszedłem znów nad rzekę, daleko od dzielnic, gdzie ryczały  
głościki. Tylu ludzi w getcie, w Warszawie, w Lublinie padło  
ofiara ludobójców, tylu im uwierzyło! Byli jak płynące z  
prądem drewno, które tylko rzeczne głazy zdołają zatrzymać.*

*Ojciec, Julek Feld, Janusz, ci, którzy nie poszli na lep stawili  
opór. Byliśmy głazami, musieliśmy wytrwać do końca.*

*Zawsze przykładem jest czyjeś życie: gdyby nie ojciec, jego  
męstwo, byłbym niczym, kawałem drewna, który uniesiony  
przez tłum sunie ku śmierci.*

*W komendanturze przyjął mnie ten sam siwowłosy puł-  
kownik. Pokój był już teraz sprzątnięty. Wkoło wizerunku  
Stalina wisiały fotografie różnych generałów i wysokich oso-  
bistości. Pułkownik przeglądał moje akta, a ja stałem przed  
nim nieruchomo.*

*- Siadaj. Wykonałeś dobrą robotę. Chcieli, żebyś im za to  
zapłacił.*

*- To oni będą płacić.*

*- I płacą, już płacą.*

*Potem kazał mi opowiadać szczegółowo. Przez cały czas  
obserwowałem jego wyraz twarzy, starannie dobierałem sło-  
wa, mówiłem tylko prawdę, ale ostrożnie. Słuchał mnie, paląc  
papierosa za papierosem. Po dłuższym milczeniu spytał:*

*- Zdaje się, że chcesz iść na Berlin?*

*- Na Berlin, towarzyszu pułkowniku.*

*- Na Berlin. Usłyszysz, jak grają katusze. Dobrze, pójdziesz z nami.*

*Przydzielił mnie do jednostki NKWD, która postępując bezpośrednio za pierwszymi oddziałami bojowymi miała za zadanie oczyszczenie terenu z podejrzanych elementów.*

*Mówiłem po polsku, po niemiecku, trochę po rosyjsku, znałem enes-zetowców, byłem Żydem, zdecydowanym*

*wyegzekwować od wroga swoje prywatne zadośćuczynienie.*

*Stanowiłem doskonały nabytek dla pułkownika. Wieczorem dostałem mundur i czapkę z zielonymi wyłogami NKWD.*

*Zapracowałem sobie na bilet do Berlina.*

*Przez wiele tygodni przemierzałem okolice Lublina, czasem w mundurze, często w cywilu, współpracując z polską policją, której - zgodnie z rozkazem - byłem teraz funkcjonariuszem.*

*Obcięty Mietek, szef bandy, Mietek-przemytnik był teraz policjantem. Sam się temu dziwiłem, tak niedawno było wczoraj, a przecież świat zmienił dla mnie oblicze.*

*Potem pojechaliśmy na północ, do Warszawy. Ale Warszawa nie istniała. Na Pradze odłączyłem się od towarzyszy i poszedłem nad Wisłę. Unoszony gwałtownym wiatrem śnieg zasłaniał horyzont. Szukałem mostu Poniatowskiego i innych moich mostów. Zobaczyłem tylko strzaskane łuki i łączące oba brzegi rzeki prowizoryczne kładki. Ruszyłem na lewy brzeg. Ludzie szli gęsiego, dźwigając tobołki, chłostani*

*wiatrem. Zatrzymałem się na końcu kładki: przede mną. było tylko pole gruzów, wśród których sterczały gdzieś kikuty dzwonnicy i resztki ścian, jak gdyby pustynia getta rozszerzyła się na całą stolicę, która tolerowała kiedyś to, co działo się za murem, jakby ropiejąca rana zgangrenowała całe miasto, zostawiając tylko gruzy. Warszawa, moja Warszawa, w której było getto i Zofia, ulica Długa i Senatorska, Miła i Leszno, przestała istnieć. Wróciłem na Pragę. Moi towarzysze śmieli się. - Jesteś w domu, Mietek - mówili.*

*Spodziewałem się, że odnajdę Mokotowa-Mogilę. Na jego ulicy nic się nie zmieniło, przed bramą stał wóz rzemieślnika, który miał warsztat w oficynie. Ale w mieszkaniu Mokotowa zastałem obcych lokatorów. Nie wiedzieli, co się stało z nim i jego siostrą, o których, jak o tysiącach innych po Powstaniu Warszawskim, zaginął wszelki śluch. Pustkowie.*

*Tego Jeszcze wieczoru zacząłem penetrować teren. Chodziłem po Pradze w cywilu. Każda ulica budziła wspomnienie: tu, w tym sklepie koło rynku, zostawiłem paczkę, a właściciel zwymyślał mnie, gdy przyszedłem odebrać ją po skończonej łapance; a oto Dworzec Wschodni, gdzie Wacek-Wieśniak kupował dla mnie towar. Ale nie przyszedłem na Pragę, żeby odnawiać wspomnienia. Idąc, przyglądałem się przechodniom w nadziei, że spotkam jednego z granatowych, którzy zabijali*

*przekradające się przez mur dzieci. Na Pradze, przy*

*Targowej, urzędował Komitet Żydowski. Zastąłem tam kilku*

*ludzi, którzy zgnębieni nieszczęściem i samotnością*

*poszukiwali swoich, czepiając się nadziei, że ich odnajdą, a*

*może i poniszczą.*

*Rozmowy ograniczały się do wymieniania nazwisk, dat,*

*miejsowości. Któregoś wieczoru zjawiłem się tam w mundu-*

*rze. Ci ludzie byli, tak jak ja, wyizolowani w swojej samotno-*

*ści; powinniśmy działać teraz razem.*

*- Kto chce iść ze mną szukać ich w więzieniach na Pradze?*

*Podniosło się dwóch. Jeden, który wyglądał na starszego,*

*nazywał się Józef Rochrnan; drugi młodszy, szczupły, o smut-*

*nych oczach, ubrany tak jak ja w radziecki mundur - Tolek.*

*Chodziliśmy od więzienia do więzienia, kazałem sobie otwie-*

*rać wszystkie cele, licząc, że może znajdę tu jakiegoś granato-*

*wego, schwytanego zaraz po wyzwoleniu przez moich*

*radzieckich kolegów. Naszym zadaniem było demaskowanie*

*takich ludzi. Przyglądałem się dziesiątkom zatrzymanych,*

*usiłując odnaleźć w pamięci wszystkie tamte godziny,*

*wszystkie przeprawy przez mur, twarz granatowego*

*policjanta, który na moich oczach strzelał do dziecka, innego,*

*który nie chciał „grać”, i tych, którzy mnie bili i wydali*

*katom. W okresie getta chciałem zawsze jak najwięcej*

*widzieć, żeby zapamiętać twarze, ale tu wszyscy mieli oczy*

*wbite w ziemię i bezimiennie oblicza. Wreszcie Tolek odkrył jednego z tych lajdaków. Wszedł do jednej z ostatnich cel i pociągnął mnie za rękaw.*

*- Mietek, to jest przecież Pchła. On nas denuncjował!*

*Kazaliśmy aresztantowi wyjść na korytarz. Starszy mężczyzna o niewinnym wyglądzie spoglądał na nas z ironią. Zarękiwowałem w więzieniu biurko i kazałem usiąść mu naprzeciwko siebie.*

*- Wydawałeś Żydów?*

*Nawet nie odpowiedział. W jego oczach wyczytałem pogardę.*

*Powtórzyłem swoje pytanie.*

*- Robiłem, co mi kazano. Wykonywałem rozkazy. Zawsze.*

*- Odpowiadaj „tak” lub „nie”.*

*- Byłem posłuszny prawu.*

*Tolek zbliżył się z zaciśniętymi szczękami, wysuwając pięść.*

*Więzień splunął na podłogę.*

*- Możecie mnie bić - powiedział. - Jesteście Żydami.*

*Tolek zamierzył się pięścią i na wardze więźnia ukazała się krew. Krzyknąłem: „Tolek!” i wypchnąłem go za drzwi.*

*Poprosiłem Rochmana, żeby pozostał przy nim. Kazałem więźniowi usiąść i zająłem miejsce naprzeciw niego.*

*Przykładał sobie chusteczkę do ust. w jego oczach czytałem zadowolenie, że tanim kosztem został męczennikiem.*

*- Słuchaj, policjancie, nie będę cię bił i nie zabiję cię. Rosjanie*

*zrobią z tobą, co im się spodoba, i ty zrobisz ze sobą, co*

*zechcesz. Ale teraz mnie słuchaj. Mówisz, że byłeś posłuszny*

*prawu. Prawu, które kazało ci zabijać dzieci?*

*Potrząsnął głową na znak, że nie zabił nikogo.*

*- Posłuchaj mnie.*

*Zmusiłem go, żeby na mnie patrzył.*

*- Słuchaj, nie jesteś ofiarą, jesteś łajdakiem. Miałbym prawo*

*zabić cię tysiąc razy. Słuchaj, opowiem ci o obozie, do którego*

*wysyłałeś dzieci, słuchaj uważnie.*

*W kilka godzin później Tolek, Rochman i ja prowadziliśmy go*

*ulicami Pragi do komendantury. Szedł ze spuszczoną głową.*

*Może moje słowa przeniknęły w niego jak bakcyl, który*

*będzie dręczyć go nielitościwie przez całe życie, tak jak*

*wspomnienia dręczą Tolka, Rochmana, mnie, starszą panią z*

*Lublina i miliony innych. Nie spuszczałem oka z Tolka, który*

*szedł bezpośrednio za aresztantem. Tuż przed komendanturą*

*chciał się na niego rzucić, ale schwyciłem go za ramię i*

*trzymałem, aż się uspokoi.*

*- Zostaw to organom sprawiedliwości - rzekłem. - Nie je-*

*steśmy zwierzętami.*

*- A oni...*

*- My to nie oni.*

*Rozmawialiśmy do późna w noc, nie mogliśmy się z sobą*

*rozstać. Tolek, tak jak ja, uszedł zagładzie w getcie, znał*

*Umschlagplatz, ulice obrócone w pogorzeliska i ścieki, w których topili się najslabsi. Był w Majdanku. Został sam na świecie i również postanowił się zemścić. Tak samo jak ja chciał wkroczyć do Berlina.*

*Spotkaliśmy się znów w kilka dni później. Razem z Władkiem, partyzantem z lubelskich lasów, który również przeżył getto, staliśmy się wkrótce zespoleni i zwarci jak zaciśnięta pięść.*

*Władek, Tolek i Mietek, wszyscy trzej z getta, w mundurach z zielonymi wyłogami, kontynuowaliśmy walkę w imieniu naszego narodu.*

*Wkrótce potem wyruszyliśmy ciężarówkami z biegiem Wisły, na północ. Jechaliśmy śliskimi drogami, którymi podążały do*

*Warszawy sanitarki i chłopskie furmanki. Niekiedy zjeżdżaliśmy na bok, by przepuścić czołgi i ciężarówki wiozące*

*katusze. Przejechałem w ten sposób szmat Polski, której zupełnie nie znałem, dostrzegając wszędzie spustoszenie, ruiny,*

*małe dzieci blakające się w poszukiwaniu rodziców. W służbowym budynku przyjmowałem partyzantów, uciekinierów, nielicznych Żydów, którym udało się przeżyć. Dowiedziałem się o nowych okropnościach, wieszaniu i torturach. Usiłowałem znaleźć winnych. Zrozumiałem, że zemsta może przero-*

*dzić się w szaleństwo.*

*Nasz konwój zatrzymał się na jakimś polu, przy drodze, koło*

*grupy jeńców, esesmanów. Wychudzeni, dumni, stali*

*grupy jeńców, esesmanów. Wychudzeni, dumni, stali*

*Nasz konwój zatrzymał się na jakimś polu, przy drodze, koło grupy jeńców, esesmanów. Wychudzeni, dumni, stali*



*zasłaniając twarze od uderzeń, które się na nich sypały. Ota-  
czali Ich rozkrzyczani żołnierze radzieccy. Przyglądałem się  
zwyciężonym i zwycięzcom. W przydrożnym rowie tkwił na  
pół przewrócony autobus. Nadbiegł jakiś żołnierz, wołając do  
swoich towarzyszy coś, czego nie rozumiałem; natychmiast  
kopniakami i kolbami karabinów żołnierze zaczęli popędzać  
jeńców w stronę autobusu. Widziałem, z jakim przerażeniem  
spoglądają na siebie esesmani. Mnie też ogarnął strach, nie-  
pokój, jakby ktoś zaciskał mi palcami krtań. Mogłem kazać  
naszemu kierowcy odjechać, żeby nie widzieć, co się stanie.  
Ale chciałem patrzeć, zobaczyć, jak daleko człowiek może się  
posunąć, do jakiego stopnia wojna deprawuje ludzi, odczuć  
pasję, która miotala tymi młodymi żołnierzami.*

*Zmusili esesmanów, żeby wczolgali się do autobusu. Kilku,  
którzy odmówili - zabito, a zwłoki wepchnięto do  
zardzewiałego wehikułu. Szosą jechały dalej czołgi, ciężkie  
działa. Byliśmy blisko linii frontu, należało się spodziewać, że  
napotkamy opór. Jeden z esesmanów usiłował zwrócić się do  
żołnierzy po rosyjsku, drugi coś krzyczał. Większość czekała  
stłoczona nieruchomo w autobusie. Staralem się myśleć o  
dołach, o getcie, o Umschlagplatzu - to przecież oni tam są, ci  
oprawcy, którzy za chwilę zginą. To przecież bestie. Ale gdy  
jeden z żołnierzy oblał autobus benzyną, gdy błysnęły  
błękitne i żółte płomienie i jeńcy zaczęli wyć, napierając na*

*wiążące ich blaszane ściany, a jasnowłosi żołnierze w milczeniu patrzyli na konanie tych ludzi, rzuciłem się naprzód. Gestykulując gwałtownie zacząłem potrząsać kolejno jakby zahipnotyzowanymi młodymi Rosjanami, skażonymi już wojną i zagrożonymi przedzierzgnięciem się w bestie o ludzkich twarzach, jak ci esesmani. Było już za późno. Ogień i dym spowijały autobus. Żołnierze nie opierali mi się, ale zaczęli strzelać w płomienie. Gdy odchodziliśmy, autobus dopalał się jeszcze. Gorzka jest zemsta.*

*Wieczorem weszliśmy do Niemiec. Mijaliśmy spustoszone wsie i miasteczka, gdzie wśród płomieni i przepalonych belek wałęsali się starcy i psy. Nasza ciężarówka stanęła przed szczątkami budynku, który musiał być dawniej siedzibą burmistrza. Na kamieniu, z głową wspartą na dłoniach, siedziała stara kobieta. Gdy tylko zeskoczyliśmy, wyprostowała się i podniosła w górę ręce.*

*- Hitler kaput - powiedziała.*

*Pomyślałem o staruszkach z getta; one też podnosiły ręce na widok esesmanów.*

*- Proszę spuścić ręce - rzekłem.*

*Ale ona potrząsnęła głową i nie usłuchała mnie.*

*- Chłopcy nie są pobłażliwi - powiedział nasz kierowca.- Za dużo widzieli okropności. Od dawna szykują się na Niemcy.*

*Ja też szykowałem się na Niemcy, ale nie na ojczyznę starych*

*matek, lecz na państwo ludobójców, które przyszedłem zniszczyć.*

*Posuwaliśmy się w głąb pokonanego kraju. Rasa panów nie była bynajmniej dumna. Wszyscy wokół wołali: „Hitler kaput"! Co by zrobili, co by powiedzieli, gdybyśmy zamknęli ich w getcie? Zaakceptowaliby wszystko, wyparliby się wszystkiego?*

*Zaraz po przybyciu do Dramburga zacząłem szukać jakiejś drukarni. Tolek szedł obok mnie po zasypanych gruzem ulicach.*

*- Co chcesz zrobić, Mietek?*

*Wchodziłem do sklepów. Wszystkie drzwi były wyważone, wnętrza obrabowane. W pomieszczeniu, w którym kiedyś zapewne znajdowała się mała wytwórnia perfum, wśród potłuczonych butelek leżało nieruchomo trzech radzieckich żołnierzy z twarzami zanurzonymi w zbiorniku z płynem, którego resztki sączyły się na podłogę. Gdy potrząsnąłem nimi, przekonałem się, że nie żyją; zmarli, wypiwszy przygotowany do produkcji spirytus przemysłowy, zapili się na śmierć, a potem utopili się w alkoholu. Podniosłem jeden z pojemników, napełniłem go spirytusem i podałem Tolkowi.*

*- Zrobimy z tego wódkę dla naszej kantyny.*

*Chciałem być sam. Spoglądałem na tych trzech żołnierzy, którzy zmarli tak głupio, ale też z winy katów, zmarli tu,*

*przyszedłszy z tak daleka. Na jakiejś małej uliczce znalazłem wreszcie drukarza, który schował się w głębi swojego warsztatu.*

*- Czy możesz wydrukować dla mnie plakaty? Potrząsnął głową, wskazując na swe maszyny.*

*- Muszę je mieć na jutro rano. Sam je porozlepiasz. Cała ludność musi je przeczytać. Pisz.*

*Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował, wziął kawałek papieru i zacząłem mu dyktować. Skąd brały się te zdania, nad którymi nie zastanawiałem się, a które napływały, jak gdybym obmyślał je od czasów getta? „Rozkazuje się wszystkim obywatelom rasy niemieckiej powyżej lat szesnastu, aby chodząc po mieście nosili na prawym ramieniu opaskę ze swastyką. Opaska ta jest obowiązkowa”.*

*Drukacz popatrzył na mnie.*

*- Duże, białe plakaty, na jutro. Podpisz: „Władze radzieckie”.*

*Potem odszedłem. Tolek zmieszał alkohol z wodą, co dało białawy, wyglądający jak mleko płyn, który palił gardło i żołądek niczym najgorsza wódka. Przyszło kilku kolegów i piliśmy nie chowając flaszki u stóp, lecz postawiwszy ją otwarcie na stole, mimo że regulamin Armii Czerwonej zakazywał spożywania alkoholu. Ale nasz alkohol wyglądał jak mleko. Piliśmy i paliliśmy, aż zaczęliśmy zataczać się na siebie.*

*Nazajutrz przyszedł zbudzić mnie jakiś żołnierz.*

*- Poruczniku, poruczniku, pilna sprawa!*

*Kark bolał mnie nieznośnie, nogi odmawiały posłuszeństwa.*

*Mimo to zszedłem do naszego biura. Pod ścianą stało mnóstwo ludzi w różnym wieku, których dwóch radzieckich żołnierzy trzymało na muszce. Wszyscy nosili na prawym ramieniu opaskę ze swastyką. Żołnierze byli rozwścieczeni, pobili już cywilów, mówili, że ich zastrzelą. Na szczęście byliśmy dość daleko od frontu. Kazałem żołnierzom odejść, zwolniłem cywilów, po czym razem z Tolkiem zmusiłem drukarza, by pozrywał afisze. Tolek śmiał się.*

*- Zrobiliśmy to, co oni w getcie, i włożyli ją, tak jak kiedyś my.*

*Przez cały dzień chodziłem po mieście, żeby się upewnić, czy drukarz pozrywał wszystkie afisze, i zapobiec ekscesom, Jakich żołnierze mogliby się dopuścić w stosunku do kręcących się po ulicach cywilów. Z opaską czy bez, żołnierze nie traktowali ich zbyt delikatnie. Interesowały ich zegarki, wieczne pióra i wiele innych rzeczy. Kobiety kryły się. Nie spotkałem ani jednej ciężko poszkodowanej ofiary mojego kawału. Wieczorem rozmawialiśmy z Tolkiem o Warszawie, o naszym powstaniu.*

*- Musimy uważać, Tolek. Teraz my jesteśmy silniejsi. Nie wolno nam zatracić człowieczeństwa.*

*Całą noc nie spałem. Przed oczami majaczyły mi twarze cywilów ze śladami pobicia przez żołnierzy. Rozumiałem*

*spojrzenia tych ludzi, którzy nie pojmowali, co im się przydarzyło, dlaczego padli ofiarą swego posłuszeństwa; znałem ów krąg strachu i szaleństwa, w jakim niegdyś zamknęli nas kaci. Uważaj, Mietek, uważaj! Łatwo można stać się oprawcą.*

*Staralem się postępować ostrożnie. Nie potępiałem całego narodu, tylko oprawców. Wspominałem kilku niemieckich wojskowych, z którymi się zetknąłem, tego starego żołnierza, który nie chciał mnie wydać w tramwaju; ofłcera-tłumacza, który uratował mi życie, a potem, odprowadziwszy do obozu w Zambrowie, uściskał mi dłoń szepcząc: „Uciekaj!” Nie chciałem karać całego narodu, tylko oprawców.*

*Przybywając do miast nawiązywałem kontakt z burmistrzem, czasem moi zwierzchnicy podawali mi nazwiska dawnych komunistów, czasem żądałem, aby burmistrz wskazał mi osoby, które ucierpiały od hitlerowskich prześladowań.*

*W Rappen spotkałem wychodzącą z więzienia siwą, bezzębną kobietę. Sąd wojenny dla dezertorów na sesji wyjazdowej skazał jej syna na śmierć. Powieszono go na przęsle mostu.*

*- Miał siedemnaście lat - szeptała. - Niczego nie wiedział.*

*Oprowadziła mnie po mieście, wskazując osoby, które uważała za hitlerowców. Przysłuchałem tych ludzi, starając się ustalić ich działalność, Uczęc, że może wyczytam coś z ich oczu.*

*- Jest jeszcze ten Ukraińiec - rzekła kobieta. Pomyślałem o Iwanie, o barbarzyńskich zabójcach w getcie, o psach oprawców.*

*- Zawsze nosił opaskę. Na powitanie podnosił rękę, wrzeszczał: Heil Hitler - ciągnęła kobieta. - To prawdziwy hitlerowiec.*

*Odszukaliśmy go. Zdążył już zatrudnić się jako mechanik w radzieckiej komendanturze. Zastąpiłem go pochylonego nad silnikiem jakiegoś samochodu.*

*- Odwróć się!*

*Nie, nie znałem go. Jakim cudem mógłbym go znać? Otoczyli nas żołnierze. Spoglądał na nich przerażony, twarz mu poczerwieniała, ręce drżały. Nie budził we mnie zaufania.*

*- On był hitlerowcem - rzekłem. Żołnierze zaczęli go szturchać.*

*- Zdrajca! - wołali. - Własowiec!*

*- Jestem Żydem, jestem Żydem, poruczniku!*

*- To mów do mnie w jidysz.*

*Nie potrafił. Powiedział, że zapomniał.*

*- Trzeba go natychmiast zlikwidować - domagali się żołnierze.*

*Sprzeciwiłem się i poszedłem przeprowadzić rewizję w jego mieszkaniu. Malutki pokoik zdobyła ogromna podobizna Hitlera, która zasłaniała niemal całą jedną ścianę.*

*- Piękny mi Żyd - powiedziałem.*

*Mówił coś, gdy prowadziłem go do naszego biura, ale nie*

*śluchałem więcej. Nasz kapitan przesłuchał go. Zatrzymany płakał, powtarzał, że jest ukraińskim Żydem, że ukrył się w Niemczech i udawał hitlerowca, żeby się lepiej zamaskować.*

*Śluchając zacząłem odczuwać pewne wątpliwości. Ostrożnie, Mietek! Gdy zaproponowałem, żeby sprawdzić, czy aresztowany jest obrzezany, kapitan wzruszył ramionami.*

*- Śluchaj, Misza, jeśli on nawet jest Żydem, to wszyscy porządni Żydzi zginęli.*

*Sprawdziłem jednak: mężczyzna był obrzezany. Zawstydzony i przerażony przecierał sobie wierzchem dłoni oczy.*

*- Piekło! - mówił. - Musiałem podnosić rękę, pozdrawiać ich, pamiętać, żeby ciągle kłamać.*

*Musiałem przekonać kapitana, żeby go zwolnił. Wahał się.*

*- Żydzi też mogą być hitlerowcami, nie bądź zaślepiony,*

*Misza. Żydzi są tacy sami jak inni ludzie.*

*Śluchałem go. Oczywiście nie miał pojęcia, co to znaczyło być Żydem w hitlerowskim reżymie. Zresztą dla niego, jak dla wielu oficerów, różniliśmy się trochę od innych, staliśmy odrobinę niżej. Znałem ich opinię o nas. Często, mrugając do mnie porozumiewawczo, opowiadali sobie anegdoty, z których wynikało, że Żyd w każdej sytuacji myśli przede wszystkim o własnej korzyści. Pewnego wieczoru rozzłościło to nie tylko mnie, ale również jednego z moich kolegów. Kolega ów, olbrzymie chłopisko, podniósł niskiego, szczupłego kapitana*



*za skórzaną kurtkę i postawił na krawędzi otwartego okna.*

*- Nie budu, nie budu! Już więcej nie będę, przysięgam!*

*-krzyczał kapitan.*

*Czarnowłosy olbrzym z Kaukazu, dobrze już tego wieczoru  
podpity, zaciskał stalowe pięści i wrzeszczał:*

*- Odczepisz się wreszcie od Żydów czy nie?*

*Wiedziałem o tym wszystkim; ale Armia Czerwona szła na  
Berlin.*

*Nalegałem tak długo, aż kapitan ustąpił, i Moniek Ukrainiec  
wyszedł razem ze mną. Gdy ruszyliśmy dalej na zachód,  
został kierowcą w naszej jednostce.*

*Jechaliśmy do Berlina. Mój cel był już blisko. Nasza cięża-  
rówka musiała zatrzymać się nad brzegiem wezbranej Odry.*

*Na prowizorycznym moście, utworzonym z połączonych ze  
sobą dużych statków rzecznych, spotkały się dwie kolumny.*

*Wracający z frontu żołnierze machali rękami na powitanie;  
ujrzałem ramiona pokryte zegarkami aż po łokcie. Obie ko-  
lunmy zwolniły tempo, niemal stanęły, zorganizował się han-  
del wymienny między powracającymi z frontu a tymi, którzy  
dopiero tam szli. Nagle nisko na niebie ukazały się niemieckie  
samoloty, pierwsze, jakie zobaczyłem od opuszczenia*

*Warszawy, i zaczęły ostrzeliwać most. Przeleciały. Pociski  
rozdarły powierzchnię wody, ale ciężarówki na moście nie ru-  
szyły szybciej, wymiana handlowa trwała dalej. Wraz z jed-*

*nym z oficerów rzuciłem się ku ciężarówkom, wskazując niebo i samoloty, których warkot słyszać było coraz wyraźniej; kolumny drgnęły nieznacznie. Wsunąłem się pod swoją ciężarówkę, nie chciałem zginąć tutaj, moim celem był Berlin. Samoloty przyleciały jeszcze dwa razy, słyszałem krzyki, detonacje, plusk wody; potem niebo ucichło. Wyszedłem spod samochodu; na brzegu płonęła ciężarówka, żołnierze krzatali się przy rannych, inni dalej handlowali zegarkami. Schwyciłem jednego z nich za rękę, krzyżąc wskazywałem leżących na ziemi rannych. Odepchnął mnie brutalnie i wrócił do swego procederu. Podszedł Tolek. „Zostaw” - powiedział. - „Zostaw”. Zabici, ranni, czy ktoś przejmował się jeszcze takimi drobiazgami?*

*Ruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę do Berlina. Spotykaliśmy kolumny uciekinierów i jeńców, maszerujących trójkami, przytłoczonych zmęczeniem i rozpaczą. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, odgłos kanonady stawał się coraz bliższy, a czołgi coraz liczniejsze. Tu i ówdzie, na brzegu szosy poustawiano wielkie tablice z napisem: „Naprzód, bojownicy spod Stalingradu. To nasze zwycięstwo!” Ja przyszedłem z getta i to był także nasz triumf - tych, którzy przetrwali, którzy widzieli doły ze zwłokami, to było zwycięstwo naszych zmarłych w Treblince i kanałach.*

*Wkroczyłem do Berlina 27 kwietnia, w dzień moich dzie-*

*więtnastych urodzin.*

*Długa, nieskończenie długa była droga do tych ruin, tych gruzów, ale oto stoję wśród nich, ojcze. Stoję wśród nich i jesteście tu ze mną, bracia, i wy wszyscy moi towarzysze z getta ł z lasu, ty, Zofio, Januszu, i ty, rudowłosy kolego, zamordowany za kradzież śledzia, pamiętam de, was wszystkich, nagich więźniów z sortowni odzieży, starców z „lazaretu”, w których tliła się jeszcze resztką życia, gdy układałem ich na żółtym piasku. Oto zdruzgotany Berlin, miasto jak szkielet, martwy kat o wybaluszonych oczodołach i porozrzucanych nagich kościach.*

*Dla ciebie, ojcze, ten Berlin, dla Julka, a także dla Mokotowa-Mogily.*

*W piątek dwudziestego siódmego kwietnia rzucono naszą jednostkę do boju. „Na Berlin!” Szedłem z Tolkiem, Władkiem i Mońkiem, skakaliśmy z jednego muru na drugi. Tak jak w getcie; ale to było zwycięstwo getta, teraz szliśmy za czołgami. Na ulicach wokół nas żołnierze ze wszystkich jednostek, jakby Armia Czerwona wysłała wszystkich swoich przedstawicieli, aby wzięli udział w tej ostatniej bitwie. Szedłem naprzód, ostrzeliwując się. Musiałem żyć; znalazłem się tutaj i nie chciałem zginąć, nie zamierzałem okazywać brawury. Czekałem, aż pociski armatnie rozwalą barykady z tramwajów i naładowanych kamieniami pojazdów. Ustawione ciasno*

*obok siebie działała i katusze, które bez przerwy miały poci-  
ski, zagradzały ulice. W nocy pożary oświetlały dzielnice  
śródmieścia. Berlin płonął. Tolek, Władek, Moniek i ja zain-  
stalowaliśmy się w jakimś ogrodzie. W środku nocy przyszli  
żołnierze, pytając, czy w domu są kobiety. Nie wiedzieliśmy.  
Wyważyli drzwi i wyszli dopiero rano, machając do nas ręką  
i coś sobie opowiadając ze śmiechem. Znów rozgorzała bitwa.  
Widziałem umundurowane dzieciaki, które umierały  
ściskając swoje panzerfausty. Widziałem czerwone sztandary  
zwisające z okien ruin w niektórych dzielnicach i wszędzie  
białe chorągwie. Patrzyłem na grabież, na szaleństwo wojny,  
na niezliczonych rannych i zabitych.  
Następną nocą pożary wzmogły się, oświetlając ruiny i  
spustoszone ulice. Spałem w piwnicy z gromadką żołnierzy.  
W pewnej chwili jeden z nich wyszedł na dwór, padł strzał i  
nasz martwy towarzysz stoczył się do piwnicy.*

*- Partyzanci! - krzyknęli żołnierze.*

*Czołgając się wśród gruzów usiłowaliśmy wytropić tych  
pojedynczych strzelców, którzy celowali do nas z ruin. Nie  
wolno ci tu zginąć, Mietek, nie wolno! Ale trzeba przecież  
unieszkodliwić tych łotrów. Okrążyliśmy ich, posuwając się  
naprzód wzdłuż murów, potykając się o ciała żołnierzy, na-  
szych towarzyszy, którzy padli przed chwilą od skrytobój-  
czych kul. Skoczyłem, pchnąłem drzwi najbliższej piwnicy.*

*Tam są jacyś ludzie, może to oni właśnie strzelali; byłoby cał-  
kiem łatwo wypuścić stamtąd serię na ulicę.*

*- Wychodzić!*

*Słysząc szmer; wychodzą kobiety z podniesionymi rękami,  
między nimi chudy wyrostek z opadającymi na oczy  
czarnymi włosami. Może to on strzelał? Nadeszli żołnierze, z  
którymi nocowałem w piwnicy; zrewidowali kobiety,  
młodemu mężczyźnie kazali stanąć pod ścianą.*

*- Partyzant! - wołali. - On zabił!*

*I już podnosili broń. Stanąłem przed Niemcem.*

*- Trzeba go osądzić, towarzysze. Nie można go tak od razu  
zastrzelić.*

*Na ulicach pojedynczy strzelcy, „wilkołaki” z Wehrwolfu,  
celują do naszych. Wypatrujemy ich zgięci wpół biegnąc  
wzdłuż murów. Jestem wściekły na siebie. Nie wolno ci zginąć  
tutaj przed samym końcem, Mietek; co za bzdura, narażać się,  
żeby obronić Niemca! Przypomnij sobie Treblinkę. Po co  
ryzykujesz? Zostaw go, Mietek. Czy oni się wahali?*

*Jesteśmy nareszcie przed wieżą ciśnienną, której podziura-  
wiona kopuła połyskuje w łunie pożarów. Przed wejściem  
strażnicy ustawili karabin maszynowy. Otwieram drzwi. Za  
długim stołem siedzi czterech oficerów, zasnutę dymem wną-  
trze oświetlone powtykanymi do butelek świecami.*

*- On strzelał - rzucił jeden z żołnierzy.*

*- Zatrzymaliśmy go w piwnicy. Strzały padały skądinąd*

*-rzekłem.*

*Oficerowie patrzyli na mnie, usiłując zrozumieć, o co chodzi.*

*- Zdaje mi się, że ten chłopak Jest niewinny, pułkowniku, ale ludzie chcieli natychmiast go zabić, więc pomyślałem...*

*- Dobrze, dobrze, poruczniku, proszę nie zabierać nam czasu.*

*Oficerowie z wahaniem spoglądali na milczącego młodego człowieka, któremu czarne włosy zakrywały część twarzy.*

*- Uważajcie go za jeńca wojennego - powiedział pułkownik.*

*Młodzieńca wyprowadzono. Tam, przed celą w zambrowskiej komendanturze, oficer-tłumacz powiedział kilka słów, które uratowały mnie od doraźnego rozstrzelania. Spłaciłem swój dług.*

*Nazajutrz maszerowałem do centrum Berlina za czołgami, których pociski obracały domy w chmury szarego pyłu, wznoszącego się w niskie, zasłane dymami pożarów niebo.*

*Widziałem radzieckich żołnierzy, którzy wspinając się z piętra na piętro likwidowali gniazda oporu, innych*

*wciągających dziewczyny do piwnic, jeszcze innych*

*uganiających się za łupem. Odnalazłem Władka, Mońka i*

*Tolka, nocowaliśmy razem, owinąwszy się w koce, i kolejno przejmowaliśmy wartę.*

*Nasza wojna była niemal kampanią partyzancką; spotkałem*

*Mongołów, Kozaków na koniach i żołnierzy w futrzanych*

*czapkach. Ze swymi czołgami i katuszami potężna Armia Czerwona była jednocześnie ogromną, niejednorodną gromadą wojskową, która przemierzyła całą Europę, aby dotrzeć aż tutaj. I byłem tu z nią. Ja, uciekinier z getta, partyzant z polskich lasów, szedłem teraz za czołgami szeroką aleją Unter den Linden. Na końcu wznosiła się zwieńczona butnym zaprzęgiem Brama Brandenburska, którą widziałem na afiszach z napisem: „Naprzód, bojownicy spod Stalingradu. To nasze zwycięstwo!” Środek alei zalegały powalone drzewa. Żołnierze krzyżąc bieгли naprzód, karabinowym ogniem omiatali okaleczone fasady domów. Od czasu do czasu ziemia drżała od silniejszego huku, gdy jakiś most lub magazyn amunicji wylatywał w powietrze. Zaczęła się następna noc z kryjącymi się w ruinach „wilkołakami”. Potem od rana bitwa trwała dalej. Czołgi dojechały do Bramy Brandenburskiej. Zobaczyłem, jak żołnierze wspięli się na szczyt i na kamiennym zaprzęgu zatknęli czerwony sztandar. Za czołgami, które kruszyły jeden mur za drugim, w dymie pożarów, w huku eksplozji szedłem wraz z innymi do Reichstagu i widziałem, jak w kierunku podziurawionego pociskami gmachu biegną ludzie, machając czerwoną flagą. Zniknęli w ruinach, w ogniu karabinów maszynowych i pękających granatów, i wnet ukazali się na szczycie budynku, powiewając chorągwią,*

*sztrandem zwycięstwa nad ludobójcami. Stojąc na dole  
krzychałem wraz z innymi, oddałem kilka strzałów w  
powietrze, wrzeszczałem „hurra, hurra!” Przybyłem z tak  
daleka! Tolek rzucił mi się w ramiona i zaczęliśmy tańczyć.  
Rozwaliliśmy mur, którym otoczyli nas pewnego paździer-  
nikowego dnia, przedostaliśmy się przez zasieki, które  
pozaciągali wkóło naszych grobów, wylamaliśmy drzwi  
wagonów, odgarnęliśmy grubą warstwę żółtego piasku,  
jakim nas przysypali, i oto jesteśmy tutaj, w ich zburzonej  
stolicy, jesteśmy tutaj, żywi.*

*To za ciebie, ojcze, za was, bracia.*

*Gorzka jest zemsta*

*Idą po zasypanych gruzem ulicach, wśród ruin domów, nie-  
którzy z gołą głową, inni noszą jeszcze hełmy, większość  
czapki lub furażerki. Dźwigają torby lub plecaki, blaszanki  
objijają im się o biodra. Defilują w milczeniu żołnierze poko-  
nanego Reichu. Stoję razem z Tolkiem patrząc, jak przecho-  
dzą; nie przypominają wcale naszych oprawców, gdy butni,  
zwycięscy wkraczali w ten wrześniowy ranek do Warszawy.*

*Wszyscy tutaj są za starzy albo za młodzi, mają  
pospuszcza-ne oczy jak ofiary. Czy istnieją tylko zwycięscy  
oprawcy, a pokonani tak prędko stają się niewinni? Niemal  
wolałbym, żeby walka jeszcze trwała; wtedy wszystko było  
proste. Teraz prawda się gmatwa; kobiety, które biją się*



*wokół martwego konia, usiłując wyrwać z niego kawał  
mięsa, te staruszki, dzieci i kaleki tłoczące się przy pompie,  
żeby zdobyć trochę wody; ci przygarbieni mężczyźni,  
zbierający kawałki drzewa na ulicach, i żołnierze, którzy  
rozdzielają im szturchańce, którzy zatrzymują jadących na  
motocyklach i przywłaszczają sobie ich wehikuly, patrole  
zatrzymujące przechodniów, którym każą odgruzowywać  
ulice - widziałem już kiedyś to wszystko, tam, przed wiekami.*

*A teraz ja jestem zwycięzcą.*

*Chodzę po tym martwym mieście, żeby poznać siebie i sycić  
się zemstą. Przed wejściem do Urzędu Kanclerskiego, w  
obitym zielonym jedwabiem dużym fotelu siedzi żołnierz z  
karabinem na kolanach; to moja zemsta, moje zwycięstwo.*

*Dalej cywile pod nadzorem żołnierzy usuwają z zasłanego po-  
walonymi drzewami Tłergartenu trupy, przysypane cienką  
warstwą ziemi; dokoła unosi się nieznośny odór. Trupy okry-  
te czarnym papierem do zaciemniania wkłada się do kartono-  
wych pudeł, które następnie rzuca się na ręczne wózki. Na  
naszych ulicach zwłoki, które zabierali ludzie Pinkerta, przy-  
krywano arkuszami białego papieru. Wzdłuż*

*Charlottenburger Chaussee leżą gnijące, martwe konie,  
rozćwiartowane przez zgłodniałą ludność. W upale trzewia  
zdają się jeszcze drgać wśród zbieleiałych kości. Pamiętam, że  
podczas bombardowania Warszawy, we wrześniu,*

*zobaczyłem leżącego na jezdni nieżywego konia,*

*zaprzęzonego jeszcze do dorożki.*

*Gorzka jest moja zemsta. Czuję wokół siebie strach, znam te  
rzędy mężczyzn i kobiet, które przyszły po trochę wody, a na  
mój widok nieruchomieją, milkną. Ja też stałem w kolejce po  
wodę nad Wisłą i patrzyłem, jak zbliża się umundurowany  
obcy mężczyzna, który był władcą absolutnym, nowym  
prawem. Znam was, staruszki w czerni, czekające nierucho-  
mo z naczyniem na wodę w ręku, i was, mężczyzn pochylo-  
nych nad ruinami. Znam cię, umarłe miasto, przerażone i  
głodne, potrafię odróżnić ofiary od katów. Najpierw ugodzili  
w nas, a wyście nie protestowali; potem pchnęli was naprzód  
jak tarczę. Dziś przyszła wasza kolej. Kaci są ci sami.*

*Próbuję rozpoznawać ich w komendanturze. Członkowie  
partii hitlerowskiej mają stawić się rano. Przybywają i usta-  
wiają się karnie przed dawnym Urzędem Zatrudnienia. Nie-  
którzy posiadają świadectwa stwierdzające ich dobrą wolę;  
pomagali Żydom, więźniom, antyfaszystom. Inni milczą po-  
tulnie. Każe im się uprzętać ulice z gruzu, wykopywać trupy i  
chować je przyzwoicie, oczyszczać ścieki. Nasza zemsta nie  
jest okrutna; nie ma tutaj muru ani Umschlagplatzu, pracują  
dla swojego miasta. Potem, pewnego ranka, otrzymałem roz-  
kaz przesłuchania członków Wehrwolfu. Zgromadzono ich w  
służącym obecnie za więzienie budynku koło Pankow. Cho-*

*działem po korytarzach, zaglądając do cel, w których czekali.*

*Siedzieli na ziemi, wychudzeni, bardzo młodzi; niektórzy zdawali się nie mieć jeszcze piętnastu lat. Gdy otwierałem drzwi, podnosili głowy, spoglądali na mnie w milczeniu, złożonywszy ręce na kolanach; niektórzy, oparci o ścianę, obserwowali mnie ironicznie. Większość wydawała się u kresu sił.*

*- To są partyzanci - powiedział strażnik. Podniósł karabin.*

*- Nie potrzeba tu żadnego sądu. - Zrobił ruch, jakby kosił serią całą grupę.*

*Zainstalowałem się w niewielkiej izbie. Miałem zadawać im długą listę pytań, na które musieli odpowiadać tylko „tak” lub „nie”. W niektórych wypadkach dozwolona była bardziej szczegółowa odpowiedź. Przypomniał mi się oficer, który rozmawiał ze mną w swoim biurze w Lublinie. Armia Czerwona lubiła przesłuchania. Ale zatrzymani, których miałem przepytwać, byli jeszcze niemal dziećmi, a w grę wchodziło ich życie. Pierwszy wszedł mały, chuderlawy brunet, który machinalnie wycierał sobie ciągle nos.*

*- Czy dobrowolnie przysięgłeś dochować absolutnej wierności Hitlerowi? Spuścił oczy.*

*- Czy przysięgłeś zwalczać wszelkimi sposobami wrogów Fuhrera, nawet po kapitulacji?*

*Skinął głową. Pytania padały jedno za drugim, a on wciąż potakiwał. Wstałem. Nocami podczas bitwy o Berlin*

*„wilkołaki” wylazily z ukrycia; widzialem, jak od ich kul padali moi towarzysze. Ale który z nich strzelal? Chlopak odpowiadat na wszystko: „Tak, tak”.*

*- Ale czy ty tez cos zrobiles? - krzyknalem w koncu. - Czy umiesz poslugiwac sie karabinem?*

*Z oczu bila mu szczerość, niewinność.*

*- Nie, nie. Przez cały czas bylem w piwnicy z matka.*

*Zanotowalem moje pytanie i jego odpowiedz i kazalem mu podpisac. Wszyscy pozostali byli tak samo Jak on zatrzymani przypadkowo przez patrole pod koniec bitwy. Winni czy tylko podejrzani? Przesluchalem kolejno wszystkich; wszyscy zlozyli przysiege dochowania absolutnej wiernosci Hitlerowi, wszyscy dobrowolnie przystapili do Wehrwolfu, zaangazowali sie w ruch oporu, byli zbrodniarzami wojennymi, i wszyscy byli bez winy. Wszedl pulkownik.*

*Usilowalem mu wytlumaczyć, ale wzruszył tylko ramionami.*

*- Winni, niewinni, powystrzelaliby nas jak kaczki. Zdobyles te medale w boju, poruczniku?*

*Zadzwonil moimi odznaczeniami.*

*- Wiesz, ze to nie byla wojna z barankami. I nie z jagniatkami podpiszemy pokoj. Musimy ich przekonac, ze zostali pobici, zeby raz na zawsze odebrac im ochote ryzykowania agresji.*

*Gdy wieczorem opuszczalem budynek, w pewnej odleglosci od wejścia czekaly grupki milczacych kobiet z paczuszkami w*

*rękach. Czy po to dotarłem aż tutaj? Wracając do miasta usiłowałem zapomnieć, ale drogi roily się od uciekinierów ze wschodu, ze Śląska, z Pomorza. Po ich odzieży poznawałem, że to wieśniacy. Wiele kobiet siedziało na wyścielonych wiązkami słomy furmankach, które ciągnęli mężczyźni; posuwali się naprzód w milczeniu, nie patrząc na nikogo, za nimi dzieci. Co za rozpacz, co za szaleństwo! Gangrena, którą ludobójcy zakazili świat, rozlewała się coraz szerzej; przesłuchania, wysiedlenia - egzekucje - czy nigdy nie będę żył w szczęściu i pokoju?*

*Był początek lipca. W Berlinie obowiązywała jeszcze godzina policyjna, ale czasem o zmierzchu spotykało się grupki powracających z przejażdżki rowerzystów; w niektórych dzielnicach przywrócono już elektryczność. A potem nagle na rogu ulicy ukazywali się inwalidzi wojenni, pozbawieni rąk albo nóg żołnierze w łachmanach, którzy posuwali się naprzód siedząc na drewnianych pudłach. Wychodziłem małą, piłem w izbie oświetlonej świeczką, potem małą żarówką.*

*Jednego wieczoru Moniek Ukrainiec wziął mnie pod rękę.*

*- Chodź - powiedział.*

*Nalegał, żeby z nim wyjść. Kręciliśmy się po pustych ulicach, spotykając od czasu do czasu wałęsających się żołnierzy.*

*- Amerykanie już są. Widziałem ich - powiedział. Mało mnie to*

*obchodziło.*

*- Idę tam w nocy, Misza. Przechodzę do nich.*

*Noc była parna, nasze kroki odbijały się echem na pustych ulicach. Rozmawialiśmy, spacerując długo po godzinie policyjnej. Moniek nie miał już nikogo na Ukrainie. Wszyscy jego krewni legli w dołach.*

*- Znam Rosję i Rosjan, Misza. Oni nas nie lubią.*

*- A kto mnie uratował?*

*Z okrzęconymi przez pierś derkami wyszli z lasu na drogę byli partyzanci generała Aleksego Fiodorowicza Fiodorowa i zatknęli czerwony sztandar na Reichstagu.*

*- Wojna się skończyła, Misza. Ja chcę żyć. Nie lubię mundurów. Rosja jest pełna mundurów.*

*Odszedłem bez słowa, zostawiając go na środku jezdni, wsluchując się w odgłos moich własnych kroków, nie chcąc więcej o nim myśleć. Wyciągnęliśmy go z rąk oprawców, a on wyrzeka się nas.*

*Ja też chciałem żyć i też nie lubiłem mundurów ani przesłuchań. Wiedziałem, że wielu Rosjan nie ma o nas wysokiego mniemania. A w Nowym Jorku zachowało się ostatnie drzewo z mojego lasu, matka mojej matki, założycielka naszej rodziny, ciotka Julka Felda. Ale nie lubię pozostawiać cokolwiek winnym, a miałem długi do spłacenia temu państwu i jego armii, która zawiodła mnie aż do Berlina. Trzeba było*

*ten dług spłacić. Mężczyzna musi iść do końca. Ale Władek też się ulotnił, tak jak Moniek.*

*W kilka dni później wyjechałem do Poczdamu. Miasto było już w stanie oblężenia. Miała się tam odbyć konferencja trzech wielkich mocarstw, oczekiwano Churchilla oraz Trumana. W mieście spotykało się wyłącznie wojskowych, roily się od nich długie, proste aleje rozległych parków.*

*Żołnierze mieszkali w okolicznych zamkach. Przestukiwałem podejrzanych, aresztowałem dawnych hitlerowców, pośród nich esesmana, którego wydała własna żona. Ukrywał się w piwnicy, gdzie znaleźliśmy go z pistoletem w zasięgu ręki, wśród butelek koniaku i na pół spalonych fotografii, przedstawiających wisielców na szubienicach oraz pełne zwłok kostnice. Miał białe oczy, szeroką bliznę na twarzy, a gdy wytrzeźwiał w celi, zachowywał się zuchwale. Miał długi do spłacenia, a ja niemało do wyegzekwowania. Moniek i Władek wycofali się, ale ja byłem zdecydowany załatwić te sprawy do końca. Potem któregoś ranka wyznaczono nam służbę w parku; rozstawieni w odstępach, jeden oficer co dziesięć metrów, czekaliśmy w alei, którą przejechać miał Stalin. Zobaczyłem jego czarną limuzynę i profil, który mignął tylko za szybą i wnet zniknął. Jeden z Wielkich tej epoki. Stojąc przez parę godzin na brzegu alei marzyłem o świecie, w którym tak jak wśród partyzantów, w polskich*

*lasach, jak w getcie i w bunkrze na Miłej przywódcy*

*zachowaliby prostotę, byliby towarzyszami pośród*

*towarzyszy.*

*Z Poczdamu moja jednostka wyjechała do Lipska. Na szosach*

*spotykaliśmy kolumny ciężarówek załadowanych różno-*

*rodnym sprzętem, maszynami. Widzieliśmy gromady ucieki-*

*nierów i jeńców. Mogłoby się zdawać, że cały naród poruszył*

*się jak w mrowisku, jak niegdyś my, szukający dla siebie ja-*

*kiejś drogi, możliwości istnienia. Miasta były w ruinach, tory*

*kolejowe poprzerywane. W Lipsku ewakuowano dla nas cały*

*sektor w dzielnicy Golis, naprzeciwko dużego parku. W War-*

*szawie opróżniono dla Niemców dzielnicę Żoliborz, gdzie ofi-*

*cer o białych oczach kazał mi omiatać chodniki przed willami,*

*zarekwirowanymi dla okupanta. Dom, który mi przydzielono*

*w Lipsku, był ogromny, przeładowany masywnymi meblami*

*z rzeźbionego drzewa. Zamieszkałem sam na dwóch piętrach,*

*co należało do oficerskich przywilejów. Źle się czułem w tym*

*otoczeniu, gdzie wszystko było obce. Dręczyły mnie zmory.*

*Zainstalowałem się w małym pokoiku koło schodów,*

*sypiałem na materacu w nieopisanym bałaganie, na podłodze*

*stały butelki, na krzesłach walały się mundury.*

*Przechodziłem przez hali, wbiegałem na schody, zamykałem*

*się i piłem, usiłując zasnąć. Ale oni byli wciąż przy mnie, moi*

*najbliżsi. Rano przyzywałem Ich, wieczorem zjawiali się*



*sami. Widziałem znów Senatorską, nasz dom. Byłem*

*pokonanym zwycięzcą, zostałem sam, odarty ze wszystkiego.*

*Pewnego dnia wrócili właściciele willi. Najpierw weszła do*

*mego pokoiku kobieta, gruba mieszcza, przesadnie uprzej-*

*ma, pytała, czy może zabrać bieliznę z szafy, za nią jej mąż,*

*kaleka, demonstracyjnie eksponujący swój pusty rękaw, na*

*końcu córka. Zapukali do drzwi, patrzyli na swój dom, wzro-*

*kiem obejmując go znów w posiadanie.*

*- Nie mamy gdzie się podziać - powiedział mężczyzna. - Lipsk*

*jest pełen uciekinierów.*

*- Ludzie boją się zostawać na wsi - dodała jego żona.*

*- Niektórzy przybyli z Polski, skąd ich wypędzono - ciągnął*

*mężczyzna, gładząc swój pusty rękaw.*

*Napierali na mnie; mógłbym cisnąć Im w twarz tyle słów, tyle*

*mrożących krew w żyłach potwornych faktów, opowiedzieć o*

*polskich skazańcach, którym przed egzekucją gipsowano*

*usta, o tej trójce dzieci, które płacząc stały z podniesionymi*

*rękami na środku wiejskiego placu, o Warszawie, całej*

*Warszawie zamienionej w pustynię. O moim domu, o wszyst-*

*kich domach i wszystkich moich bliskich. Zmuszali mnie, że-*

*bym był brutalny, okrutny, chcieli zrobić ze mnie oprawcę.*

*- Rozgoście się tutaj - powiedziałem. - Ja zajmuję tylko jeden*

*pokój. Nikt więcej tu nie przyjdzie.*

*Ustąpiłem. Triumfowali, pełni pogardy. „Jesteśmy u siebie” -*

*czytałem z ich twarzy. - „Mamy do tego prawo”. Frajer lub  
oprawca - czy nie ma innej alternatywy?*

*Unikałem ich; wychodziłem o świcie, wracałem późno wie-  
czorem, miałem pracy po uszy.*

*W Lipsku tropiłem grubą zwierzynę. Miasto leżało przy po-  
łudniowej trasie, wiodącej w stronę Alp, do Austrii, Włoch, do  
wolności. Często zbyt późno dowiadaliśmy się o ucieczce  
oficerów SS lub SA. Informatorzy przybywali po fakcie; byli  
to przeważnie hitlerowcy, pragnący spóźnioną i bezużyteczną  
informacją zatrzeć swoją mętną przeszłość. Prosił o jakieś  
drobne udogodnienia, zasypywali mnie swoimi towarzyszc  
leutnant. Zaklinali się na matki i dzieci. Gnębił ich strach i  
głód, byli służalczy.*

*Zjawiwszy się przede mną, Walter nie chciał usiąść. Od razu  
poczułem do niego zaufanie. Był wysoki, siwy, białe niemal  
włosy miał obcięte bardzo krótko, mówił mało i z trudnością.  
- Nie proszę o nic dla siebie - rzekł. - Niczego nie potrzebuję.*

*Przyzwyczailem się.*

*Powoli rozłożył chusteczkę i wyjął z niej kawałek brązowego  
kartonu, który pachniał ziemią.*

*Była to legitymacja partii komunistycznej z 1921 roku.*

*Wziąłem do ręki tekturowy świstek, który ten człowiek uwa-  
żał za symbol swojego honoru. Gdy zwróciłem mu legityma-  
cję, znów zawinął ją w chusteczkę.*

*- Jesteśmy na pewnym tropie. Chodzi o kogoś ważnego. Czy to pana interesuje?*

*Przez całą siatkę stosunków i znajomości dowiedział się, że na starym mieście ukrywa się pewien człowiek, który zamierza przedostać się na południe, może do Czechosłowacji.*

*- Czego panu potrzeba?*

*Chciał tylko kilka papierosów, aby zapłacić za informację. W tym okresie w Niemczech za pół papierosa można było mieć kobietę. Dałem mu cały swój zapas.*

*- Wróć tu - powiedział.*

*Przyszedł po paru dniach. Tym razem nie był sam. Towarzyszył mu niski, chudy jak on sam mężczyzna, jeden z tych niespożytych ludzi, jakich spotykałem w getcie, w obozie, w lasach. Jeden z tych, co wytrzymują wszystko, jak gdyby mieli w sobie blok ze stali. Skatowani śmiertelnie znów się podnoszą. Widywałem takich nad dołami. Potrafiłem ich rozpoznać.*

*- Może to Martin Bormann - rzekł Walter. - Uciekł do Grimma.*

*Nie bardzo wiedziałem, dlaczego Bormann jest taki ważny, ale radio mówiło o nim kilkakrotnie.*

*- On jest bardzo ostrożny - rzekł towarzysz Waltera.*

*Uśmiechnął się.*

*- To byłby smakowity kąsek, ale tutejsi ludzie się boją.*

*Uzbierałem sobie papierosów; wyprosiłem sporo od kolegów.*

*Staralem się o „kommandirowkę”, przepustkę do Grimma, ale nadaremnie. Zanudzałem kapitana i pułkownika. Śmieli się obaj. Pułkownik, który urzędował zawsze z flaszką wódki pod stołem, z uciechy walił pięścią w biurko.*

*- Więc wytropiłeś Bormanna, Misza? Dlaczego nie Hitlera?*

*I patrzył na mnie ze śmiechem.*

*Walter zjawił się ponownie. Podejrzany znów uciekł, tym razem w stronę Chemnitz. Spojrzałem na mapę; klucząc po górskich wioskach chciał zapewne dotrzeć do lasów. Mój interlokutor opowiedział mi drobiazgowo, ile godzin musiał spędzić wśród wieśniaków, a z zambrowskich czasów pamiętałem długie gawędy, w jakie musiałem się wdawać, zanim rozwiążą się języki. Znałem upartą chłopską ostrożność.*

*- Co pan zrobi? - zapytał Walter. - Nielatwo będzie odnaleźć go w Chemnitz. Trzeba by zapłacić.*

*Tolek oddał mi swój przydział papierosów, które były taką rzadkością, że stały się niemal walutą obiegową. Walter odszukał uciekiniera w Chemnitz. Udałem się znów do pułkownika, prosząc, by zechciał przyjąć Waltera, niemieckiego komunistę.*

*- Mieszkał tu, w Niemczech, w okresie hitleryzmu? Tak, i udało mu się przeżyć.*

*-To niemożliwe, Misza, niemożliwe. Ośmieszysz nas. Nie*

*zajmuj się tą sprawą. Jeżeli Bormann jest w tych stronach, inni są już na Jego tropie. Zajmij się własną robotą i nie wykraczaj poza swoje kompetencje.*

*Gdy nalegałem, krzyknął:*

*- Nie przekraczaj kompetencji*

*Na korytarzu podszedł do mnie jakiś porucznik.*

*- Zostaw, Misza, niczego tu nie zdziałasz. Siedź cicho, malczyk.*

*Walter ścigał podejrzanego aż do Aue, u stóp Erzgebirge. Tam zaczynały się góry i lasy, Czechosłowacja i Austria były już niedaleko. Potem ślad się zatarał.*

*- Myślę, że wymknął się nam. Jeśli to był Bormann, to szkoda.*

*Cześć, towarzyszu poruczniku.*

*Zamknąłem się w swoim biurze i piałem. Przez obojętność i głupotę ukradli mi szansę zemsty. Bormann! Pułkownik wyśmiewał się ze mnie. „Bormann, ależ Misza, a dlaczego nie Hitler?” - powiedział. Pozbawieni wyobraźni uważają wszystko za niepodobieństwo. Niepodobieństwem wydawał się plan eksterminacji całego naszego narodu i getto, i*

*Umschlag-platz, niepodobieństwem była Treblinka i*

*możliwość wydostania się stamtąd, niepodobieństwem*

*zdawała się być deportacja Żydów z Zambrowa i ucieczka*

*kanalami. Za dużo się tego nasłuchałem. Wszędzie*

*spotykałem grupy ludzi, którzy wołali: „To niemożliwe!” I oto*

*ja żyję, a oni zginęli. Zawsze wierzyłem, że niepodobieństwo okazuje się czasem rzeczywistością. I wierzyłem Walterowi. Dlaczego ten podejrzany nie miałby naprawdę być Martinem Bormannem? W tych czasach nie-prawdopodobieństwo okazywało się nierzadko prawdą. Ale pułkownik i jego bezpośredni podwładni, zrozumieli i pozabawieni wyobraźni, umieli tylko przekazywać rozkazy i wykonywać je.*

*Wysłano mnie do Rosswein w Doebbeln. Tutejsze więzienia zapelniały grupy „wilkołaków”, tak samo bez winy jak ich koledzy z Berlina. Ale były rozkazy, które należało wykonywać bez szemrania. Musiałem znów chodzić po więziennych korytarzach, znosić spojrzenia tych chłopaków, którzy nie rozumieli, dlaczego ich schwytano i osadzono tutaj. Z Berlina przyjechał pułkownik, jeden z tych różowych tłusciochów, którzy ukazywali się żołnierzom po bitwie. Towarzyszyły mu dwie sekretarki.*

*- Będiesz moim tłumaczem, poruczniku. Defilowali przed nim zagubieni, mieli dziecinne ruchy i dziecinny wyraz oczu, a zadowolony pułkownik położywszy l dłoń płasko na stole uśmiechał się z satysfakcją.*

*- Przysięgaliście na wierność Hitlerowi? - powtarzał bez końca.*

*Za każdym „tak” twarz rozpromieniała mu się i klepał dłonią*

*w stół.*

*- Dobrze. Będziecie musieli za to zapłacić. To chyba słuszne, no nie?*

*Gdy któryś z więźniów nie odpowiadał, podnosił się z krzesła i krzyczał:*

*- Zadałem pytanie, gnojku jeden. No więc, słuszne czy nie?*

*Jego oczy były białe. Przestałem sypiać. Przy życiu trzymała mnie wódka, ale to nie był ten mocny, bratni trunek z lasu, pożywny, piekący bimber, to jakiś słonawy płyn, który doprowadzał mnie do zupełnego rozprężenia. Byłem funkcjonariuszem w obozie oprawców. Staralem się odrzucić tę myśl - widzisz, Mietek, sprawiedliwość jest trudna - ale szybko przestałem rozumować. Od lat mój umysł, który koncentrował się na trosce o własną skórę, przerodził się po prostu w instynkt. Nie musiałem myśleć, żeby wiedzieć. Wiedziałem, że ci młodzi ludzie są ofiarami; wiedziałem, że w więzieniu w Doebbeln znalazłem się w obozie oprawców. Piłem. Powiniennem stąd uciekać, ale po co? I co rano strzelałem obcasami przed pułkownikiem, jego sekretarki siadały za nim i rozpoczynaliśmy nowy dzień pracy. Byłem w jamie, zniewolony jak w Treblince; chciałbym zmienić skórę, stać się jednym z tych młodych ludzi, odczuwać znów wolę przeciwstawiania się niesprawiedliwości i siłę, jaką daje taka walka. Ale byłem tłumaczem oficera o białych oczach.*

*Pewnego wieczoru przyjechał do mnie z Lipska Tolek. Rozmawialiśmy, spacerując nad rzeką. Padał deszcz, nasze płaszcze stawały się coraz cięższe.*

*- Może trzeba stąd wyjechać. Przecież to nie jest nasze wojsko.*

*Słuchałem. Co by mi pozostało, gdybym opuścił tych ludzi, którym uwierzyłem? Żyłem dla zemsty, a oni ją wypaczają i odsuwają ode mnie. Więc po co żyć?*

*- Nie wolno żyć dla siebie, Tolek. Nie wolno. Mówił o Palestynie, o kibucach.*

*- Przecież ty też masz jeszcze kogoś na świecie - dorzucił na końcu.*

*Tolek wrócił do Lipska, a ja przez całą noc chodziłem w ciemnościach i deszczu, zagłębiając się coraz dalej w rozmokłą okolicę. Idąc potykałem się o rozmaite przeszkody i pod wpływem deszczu, chłodu i zmęczenia powoli odzyskiwałem równowagę.*

*Stopniowo, krok za krokiem, wychodziłem z jamy, nie godziłem się w niej lec. Krok za krokiem wydostawałem się z Doebbeln. Tak, miałem kogoś bliskiego na świecie, a jeżeli w każdym obozie są oprawcy, moje miejsce na pewno nie jest wśród nich. A skoro nie odpowiada mi żaden z systemów zorganizowanych przez Wielkich Przywódców, którzy migną czasem, gdzieś z daleka, w czarnej limuzynie, stworzę swój system, założę rodzinę, będę miał żonę, synów, wszystkich*



*wokół siebie, i będziemy żyć w naszej twierdzy, zespoleni  
mocno więzami krwi i miłością. Dla nich zbuduję zamek, moją  
własną twierdzę.*

*Nie zwracając uwagi na deszcz, wyciągnąłem się na trawie.*

*Co mi tam deszcz! Odnalazłem swoją drogę. W getcie sam  
opracowałem sobie metodę, w Treblince sam obmyśliłem  
sposób wydostania się z dolnego obozu, a teraz samodzielnie  
miałem wznosić swoją fortecę. Dla nich, dla mojej żony i sy-  
nów. Miałem kogoś bliskiego w Nowym Jorku. Tam było  
drzewo z mojego lasu. Tam zbuduję swoją twierdzę. Stworzę  
rodzinę, rzucę w glebę nowe ziarna i będę je chronić; w ten  
sposób pomszczę moich bliskich, cały mój naród.*

*Spałem w trawie, uspokojony, najpierw na deszczu, potem w  
słońcu. Zjawiłem się w koszarach późno po południu.*

*Oczekiwała mnie jedna z sekretarek, wyniosła i zła.*

*- On jest wściekły - rzekła.*

*- Źle się czuję. Jadę do szpitala do Lipska.*

*W szpitalu laziłem z badania na badanie. Marzyłem, leżąc w  
dużej sali wśród zdrowiejących rannych. Jak nigdy dotąd,  
dawałem się ponosić wyobraźni; moje dzieci były podobne do  
moich braci, żona to była moja matka, ale Zofia, Sonia i  
Ryw-ka również uosabiały tę żonę. Dookoła widziałem dużo  
drzew i rozległą, zieloną przestrzeń. Marzyłem: mój ojciec,  
matka, wszyscy dawni towarzysze byli z nami wśród tych*

*drzew.*

*Pewnego dnia major uznał, że już wyzdrowiałem. Jakiś generał z Lipska zażądał tłumacza mówiącego po niemiecku. W parę godzin później piłem z nim wódkę przy stole, przy którym siedziała również jego żona i dzieci.*

*- Jeszcze kieliszek, Misza? - częstował przyjaźnie. I niczym obawiający się inspekcji podoficerów w kantynie, odstawił butelkę pod stół. Co za dziwną mieszaninę stanowiła ta armia, ten naród! Generał zdawał się pochłonięty tylko jednym zadaniem, dostarczeniem zaprzyjaźnionym z nim innym generałom płaszczy, futer, wszelkiej odzieży.*

*- Jesteś Żydem, Misza, a Żydzi to spryciarze. Wyszukasz dla mnie to wszystko.*

*Powiedział to serdecznie. Puściłem się do starego miasta, odkrywałem sklepiki, stragany. Wykorzystywałem swoje stanowisko oficera NKWD, rekwirowałem, co chciałem.*

*- Widzicie, jakiego koloru jest moja czapka? Wiecie, co to znaczy?*

*Wiedzieli. Akceptowali moje ceny. Kupowałem, stałem się niezbędnym.*

*- Jesteś unikatem, Misza. Prawdziwym unikatem - mówił generał.*

*Żony oficerów molestowały mnie:*

*- Misza, nie mamy co na siebie włożyć!*

*Generalowie, którzy przyjechali na inspekcję i zostawili swoje małżonki w Związku Radzieckim, wzywali mnie, wręczali długie listy „upominków”, które trzeba było natychmiast im dostarczyć. Spełniałem ich życzenia. Czas płynął. Czekałem, zastanawiałem się, co też ja wyprawiam: czy po to przeżyłem getto, Treblinkę, nasze powstanie, żeby zaopatrywać oficerskie małżonki w futrzane okrycia? Ja, Mietek, który przerzuczał worki zboża, parąłem się teraz taką robotą? Szaleństwo! A oni sami, czy po to prowadzili tę wojnę? Słuchałem ich i przyglądałem się tym wygalowanym mężczyznom, którzy wiedli do boju innych, dowódcom, którym salutowano, którzy przywłaszczyli sobie prawo decydowania o życiu i śmierci. Przykro było patrzeć, jak żywo interesują się kilkoma pozszywanymi skórami. Aby udokumentować swoją odmiennność, nie nosiłem naszywek, a długi skórzany płaszcz zasłaniał moje insygnia i odznaczenia. Dawny Mietek Nieustępliwy to teraz Mietek-Dziwak. Często brał mnie na stronę komisarz polityczny, posepny, nerwowy młody człowiek, który zdawał się mieć taką samą jak ja opinię o swoich zwierzchnikach.*

*- Misza, twoje miejsce jest w partii. Ty jesteś z dobrego kruszcu. Jeśli wstąpisz do partii, możesz zajść bardzo wysoko. W którejś z Akademii Wojskowych, na przykład.*

*Ruchem ręki otwierał przede mną perspektywy. Słuchałem*

*Jego słów, ale już nie wierzyłem. Pochłaniało mnie teraz inne marzenie. Nie działałem jednak, pozwalałem, by czas płynął. Poznałem pewną młodą Polkę, która miała niedługo wracać do Warszawy, i przeżyłem z nią wiele miłych chwil. Byłem jak biegacz, który rozpręża się przed sprintem.*

*W dniu wyjazdu mojej nowej znajomej spotkałem na peronie Tolka. Był ogromnie podniecony.*

*- Mietek, złapałem Schultza.*

*Schwyciłem go za ramię. Schultz z getta, ten który przemawiał z balkonu do robotników, obiecując im błogie życie w obozach w Trawnikach i Poniatowie. Schultz, który uważał nas za niewolników. Pobiegłem z Tolkiem do więzienia.*

*Znów odżyło mi w pamięci getto, ulica Leszno i ten ostatni krzyk ojca na Świętojerskiej. Byliśmy w mundurach NKWD, weszliśmy bez przeszkód. Jakiś żołnierz zaprowadził nas do celi Schultza. Siedział tam na drewnianym stolku, ten wyzyskiwacz, sprzedawczyk, współnik katów. Podniósł oczy. Staliśmy z Tolkiem niemal przyklepieni do krat. Wyprostował się.*

*- Czego chcecie?*

*Spostrzegłem krople potu na jego twarzy. Nie ruszyliśmy się.*

*- Czego ode mnie chcecie? Głos mu się zaostrzył.*

*- Po prostu zobaczyć cię, Schultz. Widywałem cię w Warszawie, w okolicach Leszna.*

*- Chcę, żeby mnie osądzono. Nie macie prawa bez sądu.*

*Spocony, skulony pod ścianą tej lodowatej celi, Schultz był już tylko przerażonym zwierzęciem.*

*- Schultz, tu nie Treblinka. Chciałem cię zobaczyć. Pokazać ci, że tu jesteśmy.*

*Tolek splunął pierwszy.*

*- Zawsze was chronilem - wrzasnął Schultz. - Zawsze próbowałem...*

*Splunąłem także.*

*Tej nocy w moim pokoju piliśmy z Tolkiem w milczeniu, aż głowy opadły nam na stół. Mijały dni. Kupowałem futra dla żon generałów. Marzyłem. Często słuchałem radia amerykańskiego po niemiecku. Chciałem choć trochę zorientować się, co to za świat, w którym przebywa owa starsza pani, której byłem potomkiem. Była tam, po drugiej stronie życia. W kilka tygodni później Tolek odwiedził mnie w biurze.*

*- Zwolnili Schultza - oznajmił. - Zwolnili. Chcą go wykorzystać, uzyskać od niego informacje, a on wciąż powtarza, że jest gotów do współpracy.*

*Trzeba było podchodzić do spraw spokojnie, starać się wykorzystać sytuację, potrafić manipulować. Generał był przyjazny, niemal ojcowski.*

*- Misza, w gruncie rzeczy Schultz był tylko oportunistą, a nie zbrodniarzem. W stosunku do Żydów może tak, ale nie wobec*

*nas, Rosjan. Trzeba to rozróżnić, rozumiesz, Misza? On może nam się przydać. To jest życie, Misza, to jest polityka.*

*Nie dyskutowałem. Po co? General pochodził z kraju okaleczonego potwornie przez ludobójców; Kijów, Charków, Smoleńsk, Leningrad, tyle miast niemal zrównanych z ziemią, miliony zabitych. Nie miało sensu rozmawiać z nim o Warszawie, o Treblince. Żadnego sensu. Miałem przed oczami nadętego Schultza, gdy przechadzając się ulicami getta, rozdawał życie lub śmierć, przydzielając lub odmawiając wydania kart pracy w jednej ze swoich fabryk; król Schultz, pan niewolników warszawskiego getta, który gromadził złoto, wysysając ostatnie siły wygłodzonych mężczyzn i kobiet. Nie, bracia moi, nigdy nie zdołam całkowicie was pomścić, a gdybym nawet tego dopiął, nie przywróciłbym wam życia. I to jest moja porażka. Nie można okupić śmierci; można tylko złagodzić jej żniwo, tworząc nowe życie.*

*Pewnego dnia Tolek zniknął. Uprzedził mnie wcześniej.*

*- Wyjadę - oznajmił. Uściskaliśmy się. Powodzenia, bracie!*

*Czekałem jeszcze parę tygodni, musiałem zakończyć śledztwo w kilku sprawach. Należało iść do końca. Armia Radziecka zawiodła mnie do Berlina, służyłem jej, biłem się w jej szeregach. Obdarzyła mnie odznaczeniami, a potem utrudniła mi zemstę, wypaczyła ją. Byliśmy kwita.*

*Dziękuję wam, żołnierze, którzyście pewnego lipcowego dnia*

*przemaszerowali polską drogą, krzycząc: „Na Berlin!”*

*Dziękuję wam, bojownicy skoszeni na ulicach Berlina, już tak blisko zwycięstwa. Opuszczam was. Nasze drogi się rozchodzą. Każdy ma własne życie, własny cel, do którego zmierza. Nasze dążenia są odmienne.*

*Dziękuję wam, żołnierze, towarzysze.*

*Nie odpoczywałem już od wielu miesięcy. Gdy otrzymałem rangę kapitana, wezwał mnie do siebie oficer polityczny.*

*- Musisz się zastanowić, Misza. Mam tu coś takiego. Pokazał mi grubą, okrytą pieczęciami kopertę.*

*- Polacy chcieliby bardzo mieć cię u siebie. Mają problemy.*

*Faszyści tworzą bandy oporu. Grasują w górach i lasach.*

*Jesteś Polakiem, Jeśli chcesz, możesz tam wrócić, pomóc*

*swoim. Ale zastanów się - dodał, wstając. - U nas też jesteś*

*wśród swoich. Zależy mi na tobie. Więc wybieraj: my czy Polacy?*

*Uzyskał dla mnie długi urlop. Pojechałem samochodem do*

*Berlina. Nie byłem Rosjaninem. Byłem Polakiem. Ale czy to mój kraj, ta ziemia, gdzie nie żyje już nikt z moich bliskich?*

*Moją ojczyzną, jedyną ojczyzną byli ci, których ko-ałem,*

*wszyscy, dla których żyłem, ci z getta i Treblinka, i cały naród*

*- to moja ojczyzna, której ofiarowałem swoją i krew i*

*cierpienie. W jej imię mogłem dokonać jednego tylko wyboru.*

*Odchodzę, towarzysze boju.. Kończy się czas zemsty, a za-*

*czynna inny, czas nowego ładu, zbratania w waszym rozumieniu, ale nie w moim.*

*Opuszczam was, towarzysze, nasze drogi się rozchodzą. Jaka przyszłość czekałaby mnie wśród was? Zostałbym policjantem, wojskowym? Nie po to przeżyłem tę wojnę.*

*Miałem tylko jedną alternatywę. Często omawialiśmy z Tolkiem sposoby wyjazdu. W Berlinie wystarczało wsiąść do metra w sektorze radzieckim i wsiąść w zachodnim.*

*Gdy przybyłem do dawnej stolicy Reichu, miasto było jeszcze ciemne, ponure, szczątki porozwalanych murów rysowały się na niebie jak fragmenty dekoracji. Na jakimś pustym podwórku przebrałem się w cywilne ubranie, po czym wyszedłem, zmieszałem się z tłumem na stacji metra. Z trudem wślizgnąłem się do wagonu. Wysiadłem na pierwszej stacji w sektorze amerykańskim.*

*Na ulicy ogłuszył mnie ryk klaksonów, jezdnią pędziły jeepy.*

*Po chodnikach przewalał się gęsty tłum, wystawy sklepowe zalane czerwonym i żółtym światłem. Oparłem się o ścianę.*

*Nikt nie zwracał na mnie uwagi, przyglądałem się przechodzącym mężczyznom, kobietom, żołnierzom. Sprzedawca gazet przebiegał koło mnie z okrzykiem, otaczał mnie hałas, nowy świat, w którym będę musiał zbudować swoją twierdzę.*

*Część trzecia*



*Nowy świat*

*Któregoś dnia zbuduję swoją twierdzę*

*- Więc urodził się pan w Warszawie, a pański ojciec?*

*To samo pytanie zadał mi oficer radziecki w Lublinie. Prze-*

*dostałem się do innego świata i znów przesłuchuje mnie*

*oficer. Jest uprzejmy, zmęczony, obojętny. Przede mną i za*

*mną pełno ludzi, cała nędza Europy w poszukiwaniu nowej*

*ojczyzny. Żydzi, Ślązacy, Węgrzy, Czesi, ludność z Sudetów,*

*Polacy, którzy uniknęli zagłady, ogołoceni ze wszystkiego,*

*gnani strachem, wyczerpani, którym została tylko jedna*

*nadzieja: Ameryka. Ten oficer to już nowy świat w zasięgu*

*głosu i wzroku; trzeba go zjednać, przekonać. Przyglądam mu*

*się uważnie, próbuję odgadnąć, co kryje się w jego oczach, w*

*kształtnej głowie.*

*- Jak się pan dostał do Berlina?*

*Oficer mówi po polsku, prawie nie patrzy na mnie, położył*

*ręce na maszynie do pisania.*

*- Wędrowałem pieszo, sam.*

*Armia Czerwona, zemsta - to moja sprawa, to już przeszłość.*

*Lepiej, żeby o tym nie wiedzieli, może nie zrozumieliby,*

*uwiązaliby mnie do tej przeszłości, a ja chcę się odrodzić,*

*tam, za oceanem, zacząć nowe życie wolnego człowieka.*

*- Mam babkę w Nowym Jorku. Cała moja rodzina zginęła.*

*Podniósł oczy. Zobaczyłem w nich zrozumienie.*

*- Chcę się z nią zobaczyć, urządzić sobie życie, założyć rodzinę. Jestem sam, poza nią nie mam nikogo.*

*Potakując lekko głową notował informacje, które mu podawałem: nazwisko Feld, dzielnicę w Nowym Jorku, której nazwę znałem z opowiadań ojca.*

*- Odnajdziemy - rzekł. - Trzeba poczekać.*

*Nie chciałem czekać. Wiedziałem, że czekać to tyle. co zginąć.*

*Skoro zdecydowałem się pojechać tam, nie pozwolę zamknąć się w Berlinie. Zacząłem nalegać.*

*- Jestem sam - powtarzałem. - Ona nawet nie wie, że ja żyję. To staruszka, może umrzeć. Trzeba się spieszyć.*

*Wyrzucałem z siebie zdania, których wcale nie przygotowałem, a które płynęły, jakby sposobily się do tego od dawna, tkwiąc we mnie nie wypowiedziane, narastające dzień po dniu.*

*- Ona widziała mnie tylko raz. Tylko ja Jeden przeżyłem.*

*Muszę tam jechać, mogę tchnąć w nią trochę życia.*

*Głos mi się załamał. Te słowa przyplynęły z getta; wypowiedział je mój ojciec owej nocy, gdy powiadomił mnie o śmierci Julka Felda. Oficer spoglądał na mnie, potrząsając głową.*

*- Wszyscy jesteście tacy sami - rzekł. Sądzicie, że...*

*Miałem ochotę krzyknąć: „Tak, sądzę, że mam prawo nalegać, pokazywać rany, które nam zadali, które pozwolono nam*

*zadać, sędzę, że mam prawo się niecierpliwić".*

*- Nie wiem, jak jest z innymi - rzekłem - ale pragnę, żeby pan mnie zrozumiał.*

*- Mam niewiele czasu - odparł.*

*Wiedziałem, że to prawda, w korytarzu czekał tłum tułaczy, „dipisów” (displacedpersons - przesiedleńcy).*

*- Może mnie pan zrozumieć bardzo prędko. Zapalił papierosa i wstał. Był dobrze zbudowany, trochę za tęgi na swój wiek, nosił starannie wyprasowany mundur.*

*- Daję panu pięć minut - rzekł. - Nie mogę więcej. Pięć minut, oto co ci ofiarowują, matko, i wam, bracia, tobie, Rywko, wam wszystkim. Mam w pięć minut opowiedzieć o waszej śmierci, moich męczarniach i wyrazić swoje prawa. Mówiłem nie patrząc na niego; mówiłem w ich imieniu, byłem ich delegatem w tym życiu i wyjechać tam miałem również jako ich wysłannik. Oficer nie przerywał mi, a gdy skończyłem, zapadła między nami długa chwila ciszy.*

*- Pan jest taki młody - powiedział wreszcie. - Niech pan przyjdzie Jutro i zgłosi się prosto do mnie.*

*Byłem teraz pewien, że zrobi dla mnie, co będzie mógł; to był prawdziwy człowiek. Wziął mnie za rękę w tym obcym świecie, w którym poruszałem się jeszcze niepewnie, jak niewidomy na brzegu chodnika, ale niewidomy uparty, zdecydowany mimo wszystko iść naprzód. Dzięki niemu znalazło się*

*dla mnie miejsce w obozie dipisów, z którego mogłem swobodnie wychodzić i wałęsać się po tym podzielonym mieście, gdzie ruiny częściowo już uprzątnięto, a miejscami uporządkowano, tak że wyglądały jak klocki do zabawy. Dzięki niemu odnalazłem Tolka i dowiedziałem się, że Władek też wyjechał na Zachód.*

*Pewnego wieczoru postanowiliśmy z Tolkiem uczcić nasze spotkanie. Nad ruinami mrugał szyld jakiegoś baru, weszliśmy do sali pełnej dymu, muzyki, śmiechu i pisków. Żołnierze pili, tańczyli, wymieniali swoje dolary. Niemieckie dziewczyny przechodząc ocierały się o nas gołymi nogami. Unikałem ich spojrzeń, muśnięcia ich gorącej skóry, patrzyłem na rozbawionego barmana o odmrożonych uszach; on też zapewne skakał od drzewa do drzewa w polskich lub rosyjskich lasach, jak jego koledzy esesmani z dywizji Wiking, tropiąc partyzantów w puszczy ramblowskiej.*

*Piliśmy jasne piwo wzmocnione spirytusem, Weisse mit Schuss.*

*- Jest pokój - powtarzał Tolek. - Pokój. Trzeba się przyzwyczaić.*

*Nigdy nie przyzwyczaję się do tego życia, które nas otaczało, czczego, bezsensownego. Życie to bezcenny skarb.*

*- Nie zostaniemy tutaj, Tolek.*

*Mieliśmy już wyjść, gdy nagle zjawił się przed nami barman,*

*usiłujący zatrzymać nas szelmowskim mrugnięciem i ruchem ręki. Brutalnie rąbnąłem go głową w pierś, rozłożył się na środku szatni, a my zwialiśmy w ruiny. Zimny deszcz zmywał uprzątnięte, lśniące chodniki.*

*- Nerwowy jesteś, towarzyszu - rzekł Tolek ze śmiechem.*

*Roześmiałem się także i ruszyliśmy przed siebie. Byłem odpowiedzialny wobec zmarłych, najlepszych spośród nas, ojca, Julka, Anielewicza. Oni nieustępliwie przeszli przez życie i uwieńczyli je ofiarą. Muszę starać się do nich upodobnić, osiągnąć to, do czego zmierzam. Tej nocy rozmawialiśmy o Palestynie. Tolek wahał się, czy ma tam jechać. Tu, w Berlinie, odnalazł wuja. Opisywał tę starą ziemię, gołą, nie uprawianą, martwą, którą mieliśmy przekopać i ożywić. Widziałem mój naród na tej pustyni, którą trzeba ujarzmić, przeobrazić, mój naród, za który się biłem i dla którego cierpiałem. I właśnie dlatego, że cierpiałem, czułem tak głęboko, że jestem Żydem, i byłem z tego dumny. Byłem szczęśliwy, gdyż przetrwaliśmy i istniejemy mimo okrucieństwa ludobójców i obojętności świata. Któregoś dnia przyjadę do Palestyny, ale mam też inne obowiązki.*

*- Wiesz, Tolek, mam pewien plan.*

*- Ty zawsze masz jakieś plany.*

*Zaczęliśmy się śmiać. Poweseleliśmy nagle. Biegliśmy ulicami, wymieniając kuksańce. To prawda, że w tych okrop-*

*nych czasach miałem zawsze jakieś plany, starałem się myśleć szybciej niż inni, aby nagiąć ku sobie okoliczności i wykorzystać je, zamiast im się poddać. Wyjawilem Tolkowi wszystkie moje marzenia, plan, który postanowiłem zrealizować: to była moja Ziemia Obiecana.*

*- Moja babka, Ameryka, praca i praca, a kiedy zdobędę dość pieniędzy, będę miał żonę, dzieci, rodzinę i wyjedziemy gdzieś wszyscy razem. Wzniosę moją twierdzę, otoczoną drzewami. Nareszcie pokój, Tolek, dzieci, które wyrosną na prawdziwych ludzi. Ja im wytłumaczę, będą podobne do mojego ojca i moich braci. Dam im pokój, słyszysz, coś, czego myśmy nie znali.*

*Wskrzeszę was, braciszku moi, skazani na milczenie w zamkniętym pokoju, którego nie wolno wam było opuszczać, choć tęskniliście do ruchu i słońca, schowani w specjalnie zmajstrowanej szafie, którzy czepialiście się mnie, gdy przychodziłem do was nareszcie wieczorem. Wskrzeszę was, bracia moi, którzy znaliście tylko mury, beton, wagony i śmierć.*

*Pewnego dnia amerykański oficer sam odszukał mnie w baraku. Idąc korytarzem już z daleka wymachiwał listem.*

*- Nie czekał pan długo. U nas dobrze się pracuje, chcemy iść ludziom na rękę. Proszę, to od pana babki.*

*Usiadłem na ławce. Wokół mnie krzyżowały się rozmaite*

*języki: polski, niemiecki, jidysz, rosyjski, czeski; padały wywoływane nazwiska, rozlegał się płacz dziecka i stukot maszyny do pisania. Ale słyszałem i widziałem tylko te słowa, które nakreśliła ona, matka mojej matki, jej daleki, słaby głos, rozedrgane pismo, niekształtne litery, powtarzające na sto sposobów: „Przyjeżdżaj, Marcin, przyjeżdżaj!”*

*Wkrótce potem wyjechałem z Berlina do Bremy. Chłostani wilgotnym wiatrem staliśmy na nabrzeżu przed statkiem Marin-Marlyn, tłum z walizkami owiązаныmi szpagatem i rzemieniami, z tobołami, a tak spokojny i bierny, jakby tworzący go ludzie zużyli całą energię, aby dotrzeć aż tutaj. Gdy jednak padł wreszcie rozkaz wsiadania, wszyscy rzucili się do trapu, walcząc o pierwszeństwo. Powstał zamęt, wyjeżdżających ogarnął strach, że zostaną na tej ziemi, która uwięziła tylu drogich im zmarłych. Tolek ucałował mnie na pożegnanie.*

*- Przeskakujesz przez następny mur - powiedział. - Ciągle gdzieś wędrujesz.*

*Objąłem go mocno. Na pewno wrócę kiedyś na tę ziemię, gdzie tyle przecierpiałem, z którą wiązała mnie krew i śmierć, nadzieja i walka. Jestem z tej ziemi, starej, rozdarłej, porytej dołami pełnymi trupów, czułem to w chwili, gdy ją opuszczałem. Nie zapomnę jej nigdy, bo tu spoczywają moi najbliżsi.*

*- Do zobaczenia, Tolek.*

*Zostałem na pokładzie, ale wnet owinęła nas mgła. Wi-  
działem niewyraźnie płaskie, szare brzegi, wzdłuż których su-  
nęliśmy. Przed nami rozciągał się migocący, zielonkawy ob-  
szar, po którym będziemy płynąć dzień za dniem. Zaszylem  
się w jakiś kąt, spałem, trochę zwracałem. Czasem, gdy wy-  
chodziłem na pokład, zalewała mnie morska piana i znów  
schodziłem do woniejącego potem i kwasem pomieszczenia.  
Dręczyły mnie koszmary: budziłem się w wagonie do  
Treblinki; to kołysanie - to ruch mojego ciała, które zawisło  
nad rowem i za chwilę wpadnie do niego wraz z innymi;  
ocean przeobrażał się w obszar żółtego piachu. Mało piłem,  
prawie nic nie jadłem, męczyła mnie mdląca, tępa rozpacz.  
Dlaczego ich tam zostawiłem, po co jeszcze żyję, dokąd jadę,  
dlaczego -jak powiedział Tolek - ciągle gdzieś wędruję?  
Wymiotowałem; nie mogłem patrzeć na to bezkresne morze,  
bezczytność wydawała mnie na pastwę wspomnień,  
ociekająca grozą i nieszczęściem przeszłość wciągała mnie  
jak wir. Płynący na tym statku ludzie nie będą mieli siły  
walczyć z losem. Wojna wyrwała nas z korzeniami z dawnego  
życia i cisnęła w rwący nurt.  
Potem ocean uspokoił się i mogłem nareszcie przebywać na  
pokładzie, oddychać ostrym, świeżym powietrzem, spoglądać  
na ten nowy brzeg, kres mojej długiej wędrówki. Stopniowo  
inni pasażerowie również pojawiali się na pokładzie i*



*staliśmy obok siebie, stykając się ramionami, niepewni przyszłości, spoglądając w milczeniu na zbliżające się do nas ściany z betonu, szkła i stali, ten imponujący, potężny las, w którym będziemy odtąd żyć. Statek sunął po szarej, miejscami niebieskiej wodzie. Za drewnianym dokiem, do którego kierowaliśmy się, ujrzałem samochody i kilka postaci. Nagle odczuliśmy lekki wstrząs: Marin-Marlyn zatrzymał się. Na pokład weszli policjanci i bez pośpiechu ustawiliśmy się rzędem. A więc dotarłem do celu. Rozglądałem się. Teraz zacznie się inna walka, żeby pozostać sobą, nie zachwiać się, dochować wierności. Trzeba będzie odnosić nowe zwycięstwa, przetrwać w inny sposób, zachować żywą pamięć i wolę zbudowania swojej twierdzy, nie zawieść zaufania tych, których Już nie ma.*

*Pokazałem swoje dokumenty, wysypałem przed celnikiem zawartość niewielkiej płóciennej torby. Nie miałem nic, z dawnego życia zostały mi tylko koszmary i kilka fotografii, na których figurowałem jako partyzant i oficer Armii Czerwonej, a które zachowałem, aby w przyszłości wytłumaczyć moim dzieciom, Jak pomściłem swoich. Po wyjściu z hali dworca morskiego przeszliśmy jeszcze jedną kontrolę, po czym ruszyliśmy naprzód między tworzącymi długi korytarz dwiema metalowymi barierami, za którymi stali oczekujący mężczyźni i kobiety. Co pewien czas rozlegał*

*się przejmujący krzyk, ktoś podnosił rękę, dłonie wyciągały się ku sobie i szepione nad barierą nie rozłączały się już więcej, ktoś zaczynał biec. Nie odwracając głowy szedłem prosto korytarzem; nie patrząc odczytywałem pytania tych oczu, odgadywałem ich niepokój. Przerzuciłem torbę przez ramię. Ona nie może tu być. Mietek. Weźmiesz taksówkę i pojedziesz na 186 Ulicę. Washington Heights; idąc powtarzałem sobie ten adres.*

*Stała naprzeciwko mnie na końcu korytarza, wyprostowana, ubrana na czarno, ściskająca w ręku czarną torebkę. Szedłem do niej, odkąd wydostałem się z piwnicy przy placu Muranowskim, odkąd zszedłem do ścieków i oderwałem się od spustoszonego getta i od ojca, który tam pozostał, jak głaz pośród głazów; szedłem do niej, odkąd zostałem sam. Stała na końcu korytarza, szczupła, prosta. I rozpoznawałem w niej moją matkę, Julka Felda, ich oczy, uśmiech. Stanąłem przed nią, a ona objęła mnie, zamknęła w swoich ramionach; drżała i płakała. Czulem w dłoniach jej kościste ramiona, kruchość tego życia. Przytuleni do siebie staliśmy nieruchomo wśród wysypującego się tłumu. Jakiś policjant odsunął nas na bok, ale nie rozdzielił. Powiedział: - Please, please. Nie ruszyliśmy się, a ona szeptała wciąż moje imię.*

*- Wiedziałam - powtarzała. - Wiedziałam. Jesteś taki podobny do twojej matki na tych wszystkich zdjęciach, które mi*

*przysyłała.*

*Wzięła moją twarz w swoje dłonie, gładziła mi policzki.*

*Milczałem. Jedno słowo rozbiłoby zaporę, mury zwalilyby się i zacząłbym krzyczeć, szlochać z radości, z rozpacz, i skuliłbym się w jej objęciach, nazywając ją matką i prosząc, by tuliła mnie jeszcze mocniej, by schowała mnie w swoich ramionach. Od tylu lat hamowałem wzbierający we mnie potok strachu i smutku, tłumilem tęsknotę do pieśczozy tych łagodnych, macierzyńskich dłoni, mamó, mamó! Ale zdusiłem w sobie tę burzę; ona była taka wátła, kochająca, utonęłaby w mojej udręce, załamałoby ją moje nieszczęście i wspomnienia. Powinienem być dla niej oparciem, dać jej choć trochę radości. Była przy mnie, żyła, to mi wystarczało. Ogarnąłem ją ramieniem i przytuliłem do siebie.*

*Chciałem ją pocieszyć, to słowo samo wypłynęło mi na usta:*

*„Mama, mama!”*

*- Zabili ich - powtarzała. - Już nigdy... Twoją matkę, Julka, Fełę, ich wszystkich.*

*Wsparta o mnie łkała rozpaczliwie; uważałem za cud, że ona jeszcze żyje, taka była krucha, zdawało mi się, że jej kości mogą się lada chwila złamać. Musiałem ją chronić, oszczędzać. Odeszliśmy. Chciała koniecznie nieść moją płócienną torbę, przeplatała płacz okrzykami zachwytu nad moim wzrostem i siłą.*

*- Jesteś mężczyzną, Marcinie. I zaraz dodała:*

*- Ożenisz się, będziesz miał dzieci. Chcę zobaczyć twoje dzieci, zostać prababcią.*

*Śmiała się. Tulilem ją do siebie, a ona znów wybuchała płaczem.*

*- Nie widziałam twoich braci. Zabili ich.*

*To bolało, ale musiałem wytrzymać, milczeć, pomóc jej odzyskać równowagę, nie okazać, jak jestem wstrząśnięty. W taksówce wspominała Warszawę, stare domy, wybrukowane kocimi łbami jezdnie, małe sklepiki.*

*- Tu wszystko jest za duże, zbyt nowe.*

*Patrzyłem, starając się odgadnąć, jakimi prawami rządzi się ten świat, co jawił mi się w postaci długich kolumn samochodów, prostopadłych ścian, które więziły niebo, fontanną światel. Wszystko tu wydawało się ruchem, kłębowiskiem ludzkich spraw, ulic, barw i hałasów. Będę się musiał w tym rozeznać, zrozumieć, żeby dać sobie radę. Zapewne i tu także jedni pozwalają manewrować sobą, podczas gdy inni, obrawszy sobie cel, sami przecierają do niego drogę. Tak samo jak w getcie, na Pawiaku, w Treblince, jedni potulnie ustawiali się w szeregach, a inni nie godzili się ze swym losem i usiłowali z nim walczyć. Trzeba być wśród tych walczących.*

*Babcia otworzyła drzwi. Weszła pierwsza, zaaferowana, podniecona, radosna.*

*- Jesteś głodny - powtarzała.*

*Powiało miłym ciepłem, byłem w domu. Wszedłem powoli,  
chciałem stopniowo odkrywać to królestwo.*

*- Twój pokój jest tam - zawołała z kuchni. Słyszałem hałas  
przesuwanych garnków, syczenie masła na patelni,  
zobaczyłem nakryty stół, biały obrus.*

*- Umyję się - rzekłem.*

*Zamknąłem się w łazience i szlochałem, ukrywając twarz w  
dłoniach. Potem umyłem oczy zimną wodą.*

*Przez kilka dni prawie nie wychodziłem z mieszkania. Ja-  
dłem, spałem, opowiadałem. Babcia krzątała się przy kuchni,  
przygotowywała czulent, a ja przyglądałem się, jak zaszywa  
koniec gęziej szyi, sieka mięso i czosnek, zręcznie, energicznie  
rozbija jajko, miesza to wszystko. Jej zdecydowane,  
precyzyjne ruchy, przekazane wielowiekową tradycją,  
działały na mnie kojąco. Siedząc koło niej, byłem jak wyjęty z  
czasu; nic się nie zdarzyło, ta kuchnia to była nasza kuchnia,  
zaraz zjawią się moi bracia i ojciec dwa razy krótko zadzwoni  
do drzwi. Moja matka szykuje posiłek, łyżeczką wsuwa do  
gęskiej szyi farsz, który uprzednio dała mi do skosztowania.  
Wieczorem przychodził wuj. Gdy wyjechał z Polski, babka  
udała się za nim, zamierzając wrócić do Warszawy, ale czas  
mijał i wybuchła wojna. Miętosząc palcami chusteczkę  
zadawała mi wciąż to samo pytanie:*

*- Czy oni bardzo cierpieli?*

*Potrząsałem głową. Wymazywałem z pamięci krzyki bólu i zgrozy, dzieci z roztrzaskanymi głowami, mówiłem po prostu o trudnościach życiowych, które mogła zrozumieć, nie wyobrażając sobie potwornej prawdy. A jednak wybuchała płaczem, powtarzając:*

*- Ale dlaczego, dlaczego? Obejmowałem ją, przytulałem do siebie.*

*- Jestem przy tobie, mamo, jestem tutaj! Wstawiała, przynosiła mi kawałek ciasta, pachnącego cynamonem.*

*- Jedz - mówiła. - Musisz się odżywiać.*

*Czasem po skończonym posiłku smażyła dla mnie faworki.*

*Słyszałem, jak ubijała jajka. Nie byłem już głodny, ale nie chciałem psuć jej radości dawania. Przynosiła mi talerz tłustych, słodkich, chrupiących faworków. Całowałem ją na podziękowanie.*

*- Nauczę twoją żonę smażyć chrusty. To ci będzie przypominać twoją starą „mamę”.*

*Nie mogłem się nacieszyć jej widokiem, słuchaniem jej, życiem z nią razem. Tak długo byłem tropiony, poznałem, co to nienawiść i nieszczęście. W tej kuchni na Washington Heights mogłem nareszcie złożyć broń i tarczę. Rano wstawiała przede mną, słyszałem ją ze swego pokoju, uśmiechałem się nie otwierając oczu, pozwalałem sobie na jeszcze jeden dzień*

*wytchnienia, dawałem jej radość, wielką, jedyną radość, jaką jest uszczęśliwianie innych. Ale czas mijał i wiedziałem, że niedługo będę znów musiał sięgnąć po broń i tarczę.*

*- W Ameryce nie żyje się łatwo - mówił wuj. - Trzeba walczyć.*

*Nie bałem się Ameryki; poznałem kraje, gdzie się zabija, gdzie za chwile zmęczenia czy nieuwagi płaci się życiem, gdzie wszelka porażka oznacza śmierć. Nie bałem się Ameryki.*

*Utoruję tu sobie drogę, tutaj zbuduję swoją twierdzę.*

*- Jestem gotów - oświadczyłem wujowi.*

*Przez kilka dni odpoczywałem w błogim spokoju, nie każdemu było dane zaznać takiego szczęścia. Teraz musiałem zmierzyć się z Ameryką. Wyszliśmy razem pewnego ranka.*

*Nie mówiłem po angielsku, odkrywałem miasto, metro, ulice pełne spieszących się przechodniów; musiałem dopiero zapoznać się z tym wszystkim. Ale nie było tu esesmanów, Ukraińców ani dołów, ani muru; Ameryka stała przede mną otworem. Wuj był kierownikiem jednego z dużych sklepów, który posiadał liczne filie. Przedstawił mnie dyrektorowi działu zaopatrzenia. Przysłuchiwałem się ich rozmowie; szef uśmiechał się do wuja i do mnie. Nie rozumiałem ani słowa. Wuj przetłumaczył mi: będę otwierał opakowania, a potem, gdy nauczę się języka, mogę zostać sprzedawcą, zaopatrzeniowcem, dyrektorem któregoś działu, może później zajdę jeszcze wyżej. Słuchałem go uważnie. „Później”? - nie znałem takiej*

*miary czasu. Zobaczyłem, jak młodzi ludzie w białych bluzach jednym cięciem zakrzywionego noża otwierają paki.*

*- Zostanę tu dzień albo dwa - powiedziałem do wuja. - Żeby się zorientować i zarobić parę dolarów.*

*Wuj kiwnął głową. Dyrektor odszedł trochę dalej, autorytatywnym tonem rzucił krótkie rozkazy.*

*- To dobra robota na początek - zachęcał wuj. - Będziesz awansował.*

*Nie mogłem mu wytłumaczyć, dlaczego muszę się spieszyć, nie wpaść w rutynę, dlaczego, żeby poznać Amerykę, muszę zmieniać pole działania, robić dziś to, a jutro co innego, aż trafię na zajęcie, które da mi klucz, pozwoli mi stać się niezależnym, tak jak byłem w getcie, z kieszeniami pełnymi pieniędzy, tych dolarów, z którymi już tam się zapoznałem, które dają swobodę wyboru własnej drogi. Wtedy zbuduję swoją fortecę, wtedy nie będzie już dźwięczał mi w uszach autorytatywny ton szefa zaopatrzenia.*

*Spędziłem dwa dni w magazynie sklepowym, zdobyłem parę dolarów, nauczyłem się kilku słów. Wieczorem przyniosłem do domu ciastka i kwiaty. Wuj nie powiedział nic, lecz na znak potępienia wzruszył ramionami. Podeszedłem do babki.*

*- Pierwsze dolary - rzekłem. - Jutro przyniosę więcej.*

*Nazajutrz wyszedłem wcześniej w poranną szarą mgłę. Ulice otwierały się przede mną puste, proste, bezkresne; chodzenie,*



*ogrom tego miasta upajały mnie jak alkohol. Jestem teraz Mietkiem-Odkrywcą, wyprawiam się w obcy świat, aby go poznać i zdobyć. Pozostawię tu swój ślad. Chodziłem godzinami, nie czując zmęczenia, przeszedłem przez Central Park i Broadway. Wuj dał mi kilka adresów i polecający list, który wyjaśniał moje położenie. Wszedłem do wytwórni odzieży na Siódmej Alei, niedaleko Broadwayu. Podałem list młodej dziewczynie, która roześmiała się, gdyż nie zrozumiałem jej odpowiedzi.*

*- Chief, chtef, Goldman - powtarzałem.*

*Chciałem zobaczyć się z dyrektorem, z szefem. Goldman zjawił się wreszcie. Niski, łysy człowieczek w kamizelce, mówił po niemiecku. Chciał dowiedzieć się wszystkiego o wojnie, która toczyła się tam, gdzie była kiedyś jego Europa. Słuchał uważnie, z przygnębieniem. Oczywiście, da mi pracę. Pchnięciem stopy otworzył dwuskrzydłowe drzwi, za którymi w zalanych niebieskawym światłem pokojach siedzieli mężczyźni i kobiety, pochyleni nad maszynami do szycia.*

*- Jeśli pan chce, bardzo proszę - rzekł wskazując mi jedną z maszyn. - Naucz się pan szybko.*

*Potrząsnąłem głową. Chciałem ruchu, powietrza, inicjatywy. Wiedziałem, że nie można osiągnąć życiowego sukcesu, szyjąc na maszynie jak tysiące innych ludzi. Żeby zrealizować swój plan, muszę, podobnie jak w getcie, podjąć ryzyko, prze-*

*sadzać mury, znaleźć coś niecodziennego, wybrać to, czego inni nie potrafili lub nie chcieli robić. Przyjąłem pracę sprzątacza w godzinach wieczornych. We dnie chodziłem, przemierzałem ulice, miasto. Odkrywałem kolej podziemną, wsiadałem na byle której stacji, jechałem do „uptown”, przebiegałem jedną z dzielnic i znów pędziłem schodami w dół, żeby wrócić do „downtown”. To miasto to była moja wolność, ogromna i nieokiełznana jak puszcza. Przyglądałem się przechodniom, pasażerom metra, dostrzegałem w ich oczach zniechęcenie, wyczerpanie. Przez całe życie pozwalali rządzić sobą, związać się z rozkładem zajęć, przygwoździć do jednego miejsca, ale ja nie dam się złapać, będę się rządzić własnymi prawami, wygram własne karty, będę w tym mieście partyzantem, zjawiającym się tam, gdzie nikt się go nie spodziewa. Mogę żyć tylko na wolności, a jeśli zgodzę się na jakieś więzy, to jedynie na takie, jakie wybiorę sobie sam.*

*Nigdy się nie poddawać, Mietek!*

*Nosiłem bagaż, przez kilka tygodni zmywałem naczynia w restauracji, przysłuchując się, wypytując, przyswajając sobie nowe słowa, poznając Czarnych. Stopniowo miasto stawało mi się mniej obce. Wieczorem przychodził wuj.*

*- Jeżeli zdecydujesz się wrócić, możesz jeszcze dostać tamtą robotę.*

*Odmówiłem. Chciał zaniknąć mnie w jednym miejscu, a ja*

*pragnąłem badać teren, zrozumieć. Całymi nocami chodziłem, przepowiadając sobie słowa, których się nauczyłem, ciągle czujny, jak gdyby nagle mogli otoczyć mnie esesmani z dywizji Wiking. Przyjmowałem w siebie miasto, Amerykę, otwierałem się dla niej cały, aby ją lepiej zrozumieć. Trafiała mi się praca u rzeźnika na 110 Ulicy. Nauczyłem się dzielić mięso i naciskać klawisz przy wadze, aby wskazywała mniejszy ciężar, gdy rzucano na nią paczkę. Rzeźnik płacił dobrze, aby uniknąć denuncjacji, ale pracowałem u niego tylko kilka dni. Stojące po drugiej stronie lady kobiety uśmiechały się, często rozmawiały po rosyjsku, po niemiecku albo w jidysz. Gdy naciskałem klawisz pod ladą, zdawałem sobie sprawę, że je oszukuję, i nie mogłem odwzajemniać ich uśmiechów. Dawałem im więc właściwą wagę. Pewnego dnia wychodząc ze sklepu wstąpiłem do właściciela.*

*- Niech mi pan wypłaci moją należność - rzekłem. - Nie przyjdę więcej.*

*Rzucił niemieckie przekleństwo pod adresem osoby, która mnie do niego skierowała.*

*- Jeśli piśniesz słowo... - zaczął. Schwyciłem go za fartuch i potrząsnąłem nim.*

*- Pan jest złodziejem, nędznym złodziejaszkiem, a ja nie jestem szpiclem.*

*Nadbiegli jego pomocnicy. Pobili mnie i wyrzucili na ulicę.*

*Broniłem się, ale było ich czterech i mieli tłuste lapy, nawykłe do podnoszenia polaci czerwonego mięsa. Musiałem uciekać, ocierając sobie pokrwawione wargi. Chodziłem, żeby się uspokoić. Nikczemnicy. Tu, w sercu Nowego Jorku, pienila się także kasta oprawców, których tak dobrze znałem. Byli wszędzie, w Warszawie, w Zambrowie, należeli do niej esesmani, wójt z polskiej wsi, radziecki pułkownik, ten nieuczciwy rzeźnik. Z takimi ludźmi nie wolno wchodzić w żadne układy, nigdy, za żadną cenę, raczej zginąć, zrezygnować ze zbudowania swojej twierdzy niż uczestniczyć w ich nieuczciwych machinacjach. Trzeba ich zwalczać bez względu na to, pod jaką występują maską. W każdym mieście, w łonie każdego narodu istnieje jakaś granica, która oddziela ludzi od łotrów.*

*Imałem się stu zawodów, pracowałem w restauracyjnych kuchniach, dostarczałem paczki na wysokie piętra, dźwigałem skrzynie w składach. Wieczorem wracałem wykończony, spałem trochę, po czym znów wychodziłem, spacerowałem po Broadwayu, pławiąc się w jego rozedrganych światłach. Zrozumieć to miasto, ten kraj. Widywałem kobiety w migocących sukniach i mężczyzn w smokingach, wysiadających z samochodów w świetle błyskowych lamp reporterów, i stojących obok, zgiętych wpół szoferów z czapką w ręku. Wracałem i znów trafiałem na*

*długie, puste ulice, spotykałem bezdomnych Murzynów, tych wszystkich, których miasto zniszczyło. Tu także trzeba było walczyć, nie iść na łatwiznę, nie dać się przykuć do maszyny, walczyć i zwyciężyć, aby móc żyć z dala od tych ciemnych warsztatów i zakurzonych składów. Powinienem się spieszyć, jak najprędzej zrobić majątek, nie po to, by przyjmować ukłony szoferów w liberii, ale by mieć prawo dawać życie i móc chronić swoich bliskich.*

*Gdy pewnego wieczoru wróciłem do domu, babka pokazała mi całą masę chusteczek do nosa i koszul, które kupiła od jakiegoś domokrążcy.*

*- Jak mogłaś wpuścić go do mieszkania! - oburzył się wuj.*

*Oglądał zakupione przedmioty, kwestionował ich gatunek i cenę. Wreszcie staruszka rozplakała się.*

*- To był taki miły młody człowiek - tłumaczyła. - Podobny do Marcina.*

*Wuj wzruszył ramionami, a ja chwyciłem babcię w objęcia, zakręciłem nią i podniosłem ją w górę. Będę partyzantem w tym mieście. Krzyknąłem:*

*- Dziękuję, mamó, dziękuję! Odkupię od ciebie te koszule i chusteczki.*

*Śmiała się rozbawiona, oszołomiona, poprawiając sobie szpilki we włosach.*

*Tej nocy niewiele spałem. Czuję, że skończyłem już od-*

*krywanie Ameryki, teraz nadszedł czas działania.*

*Wczesnie rano udałem się na Siódmą Aleję. Wszedłem do  
wytwórni odzieży, gdzie uprzednio byłem z wujem, ale tym  
razem młoda dziewczyna, do której się zgłosiłem, nie śmiała  
się, gdy rozmawiała ze mną. Szwargotałem po angielsku,  
nosiłem modny, amerykański garnitur, białą koszulę i  
krawat w duże, niebieskie grochy. Przeszedłem znów przez  
niebieskawo oświetlone sale i otworzyłem dwuskrzydłowe  
drzwi. Goldman siedział w swej ulubionej pozie, z kciukami  
wsuniętymi za kamizelkę. Poprosiłem go o adresy  
fabrykantów chusteczek; u niego zamierzałem kupić odzież  
damską, jaką miał na składzie. Dyskutowałem z zapalem,  
czując znów satysfakcję, jaką daje przekonanie swojego  
rozmówcy, uzyskanie tego, po co się przyszło. W sąsiednich  
pomieszczeniach mężczyźni i kobiety, których wtedy  
widziałem, wciąż szyli na maszynach. Nie byli już wolni.  
Może mieli dzieci i dlatego nie chcieli ryzykować. Toteż  
ryzykować trzeba przed założeniem rodziny, iść na całego,  
grać śmiało, a dopiero potem, posiadając już majątek i  
zapewnioną wolność, dawać nowe życie. Zapłaciłem za część  
towarów gotówką, a na resztę uzyskałem tygodniowy kredyt.  
- Chcę dać ci szansę - powiedział Goldman.*

*Ryzykował tylko kilka dolarów, ale zrobiło mi się miło, gdy  
poklepał mnie po plecach, mrugając porozumiewawczo. Wró-*

*ciem do domu z dwiema pełnymi walizami. Babka z przerażeniem patrzyła, jak wykładani stosy różnobarwnych koszul i jedwabnych, damskich szalików.*

*- Co to jest, Marcinku?*

*-Będę to sprzedawał wszystkim babciom w Nowym Jorku.*

*Biegałem od fabryki do fabryki i, powołując się na Goldmana, kupowałem różowe i niebieskie chusteczki do nosa.*

*Wieczorem mój pokój tonął w stosach towaru. Babka śmiała się, zarażona moim zapalem. Włożyła koszulową bluzkę, którą jej podarowałem, zawiązała na głowie apaszkę i przyglądała się sobie w lustrze.*

*Nagle wzięła mnie za rękę.*

*- Zwracasz mi życie, Marcinku - rzekła. - Dziękuję ci, żeś przyjechał.*

*Potem zaczęła płakać i nie umiałem jej pocieszyć, gdyż ogarnął mnie nagle bezbrzeżny smutek. Ale musiałem zaciśnąć zęby, wykorzystywać doświadczenie z przeszłości, a nie pogrążyć się w niej. I iść naprzód. Rano przygotowałem dwie walizki z ułożonymi porządnie różnymi artykułami, wyuczyłem się na pamięć cen i kilku zdań. Wuj pomagał mi, ale kręcił głową, przypominał mi, że nie posiadam żadnego zezwolenia, a z policją nie ma żartów.*

*- Granatowi też nie żartowali - rzekłem.*

*- Co za granatowi?*

*- Polscy policjanci.*

*- Nowy Jork to nie Warszawa - rzekł poważnie. Wiedziałem, że to prawda. Moja staruszka odprowadziła mnie do drzwi.*

*- Jesteś stworzony do sukcesu, Marcinku - rzekła. - Zastługujesz na to, żeby ci się powiodło.*

*Zagryzłem wargi. Zupełnie idiotycznie chciało mi się płakać.*

*Wiedziałem, że nie zasługuję na nic więcej niż wszyscy nasi, którzy zginęli, zniknęli w dołach, przysypani żółtym piaskiem. Po prostu przeżyłem i walczę. Chodziłem ulicami Bronxu i po Webster Avenue. Domy tworzyły ogromne, przebite tysiącami okien bloki, w których gnieździły się tysiące ludzi, istne miasto w mieście. Fasady szare, porysowane czarniawymi smugami. Wchodziłem na podwórza, otoczone ścianami wieżowców; niemożliwe, żebym nie zdołał tu sprzedać zawartości moich waliz. Klienci byli tuż, za drzwiami, żeby tylko zechcieli je otworzyć. Ruszyłem do ataku. Schody pięły się w ciemnych klatkach, nie było widać ich końca; od zakurzonych podestów rozchodziły się liczne labirynty. W korytarzach na każdym piętrze dziesiątki drzwi. A za każdymi drzwiami kupujący, a każda sprzedana chusteczka to cegielka do mojej fortecy, krok ku wolności i szczęściu. Dzwoniłem, samotne kobiety obrzucały mnie podejrzliwym spojrzeniem, wsuwałem stopę w uchylone drzwi, recytowałem kilka wyuczonych zdań. Zdarzało się, że*



*odpowiadano mi po włosku lub po polsku, po rosyjsku, po niemiecku lub w języku jidysz. Wtedy drzwi otwierały się szeroko, pokazywałem swój towar. Czasem proszono mnie, abym usiadł, opowiadał o Warszawie, stare kobiety płakały. Wspinalem się na tysiące schodów, naciskałem setki dzwonków; w dwa dni sprzedałem wszystko. Wróciłem do domu zakurzony, lepki od potu, ale babcia już wcześniej przygotowała mi kąpiel. Na widok pustych waliz rzuciła mi się na szyję.*

*- Więc powiodło ci się, Marcinie!*

*Po jakimś czasie zrobiłem rachunki. Zarobiłem mało; za często całowałem klamkę, kobiety w dzielnicy Bronx bały się napadów. Poszedłem tam jeszcze raz, przez parę godzin spisywałem nazwiska lokatorów, potem, przy naszym kuchennym stole, zaadresowałem dziesiątki kopert, podczas gdy babcia wsuwała do każdej chusteczkę z drukowanym zaawizowaniem, anonsującym datę moich odwiedzin. Interesy poprawiły się. Mówiłem: „Pisałem do pani”, i miałem pretekst, żeby wejść. „Nie chce pani niczego ode mnie kupić, no to trudno, ale proszę zwrócić mi tę sztukę, którą przysłałem pani na wzór”. Drzwi otwierały się, kobiety szły po moją próbkę, a ja otwierałem tymczasem walizy: moje ceny były niskie, towar w dobrym gatunku, udzielałem kredytu.*

*- Wstąpię za dwa tygodnie, wtedy mi pani zapłaci.*

*Po kilku tygodniach wyrobiłem sobie klientelę, miałem dostawców, którzy mi ufali, i... wrogów. Pewien dozorca zaczął się na mnie na schodach.*

*- Mam go! - krzyczał. - Tu jest, tutaj!*

*Przyszedł policjant, zapytał, jak się nazywam, i kazał mi iść ze sobą. Starannie ostrzyżony, z pałką u boku, był to jakiś nowy rodzaj policjanta, odmienny od tych wszystkich, których widziałem dotąd. Stojący obok dozorca, gestykulując żywo, zalewał go potokiem słów, z których wiele nie rozumiałem.*

*- Lokatorzy skarżą się - powtarzał zawziętym, kłótliwym tonem.*

*Sklasyfikowałem go od razu. To był szpicel, jeden z tych, co to zawsze łaszę się do władzy, jak ci skruszeni hitlerowcy, którzy przychodzili do komendantury w Lipsku i w Rosswein, usiłując uśmiechem nawiązać ze mną porozumienie, które odrzucałem jednym słowem. Nowy Jork też ma swoich donosicieli.*

*Policjant zaprowadził mnie do sędziego, któremu podlegali przyłapani na gorącym uczynku sprawcy drobnych wykroczeń. Czekałem; walizki stały koło mnie. Siedzący na podwyższeniu sędziego wydawał się ogromny. Kręcił głową, patrząc jak się zbliżam.*

*- Nie ma pan prawa sprzedawać - zaczął.*

*- Nie mam nawet prawa żyć, a przecież żyję - odparłem.*

*Rzuciłem te słowa bez zastanowienia, mimo woli. A czy świat miał prawo pozwolić nas wymordować? Sędzia milczał, wahał się, przyglądał mi się uważnie.*

*- Proszę wyjaśnić, co pan miał na myśli - powiedział wreszcie.*

*Nie mówiłem długo, wystarczyło kilka słów.*

*- Dobrze, dobrze. Proszę nie robić tego więcej.*

*Odszedłem z moimi walizami. Postanowiłem udoskonalić swoją metodę i kontynuować handel. Tak jak niegdyś w getcie, czułem nieprzepartą chęć działania, sprzedawanie dawało mi radość sukcesu, budziło wolę dojścia do celu. Miałem już kilkaset dolarów i żeby oszczędzić sobie dźwigania ciężkich waliz, postanowiłem kupić samochód. Co wieczór recytowałem babci kodeks drogowy, który wkuwałem na pamięć, gdyż moja angielszczyzna pozostawiała jeszcze wiele do życzenia. Zdałem jednak; nie tylko odpowiadałem na zadane mi pytania w szaleńczym tempie, co zbijało z tropu egzaminatora, ale w dodatku sam zadałem sobie kilka pytań, na które również natychmiast odpowiedziałem.*

*Pochwalił moją pamięć i wręczył mi świadectwo. Nie wiedział, że przybyłem z kraju, gdzie luka w pamięci mogła kosztować życie.*

*Pewnej niedzieli zajechałem przed nasz dom na 186 Ulicy.*

*Uprzednio prosiłem babkę, żeby była gotowa. Stała już przed*

*domem w kapeluszu z dużym rondem, który skrywał jej siwe włosy, pod pachą ścisnęła torebkę. Otworzyłem drzwi niebieskiego plymoutha z roku 1940, którego kupiłem w przeddzień za czterysta dolarów.*

*- Proszę cię - rzekłem. - Proszę, mamó. Ucałowała mnie.*

*- Teraz jesteś już prawdziwym Amerykaninem.*

*Byłem po prostu człowiekiem idącym do wyznaczonego sobie celu, człowiekiem, dla którego ta łagodna starsza pani była jedynym szczęściem, jedynym świadkiem. Dobry los zrzędził, że ona istniała, że podała mi rękę, sprowadziła do tego kraju i przyjęła do siebie, zostawiając mi pełną swobodę działania i zaplanowania sobie życia wedle własnej woli.*

*Jechałem wolno, najpierw na drugą stronę Hudson River, do New Jersey i dalej, wzdłuż białej plaży, gdzie zaczynał się Atlantyk. Była piękna pogoda. Zobaczyłem sosnowe lasy, łąki, niebo, oddychałem. Drzewa stały dumne, wysokie, wspaniałe. Znow odkrywałem przyrodę. Moja staruszka siedziała milcząco wyprostowana, z torebką na kolanach.*

*Słuchałem melodii, które płynęły do mnie z polan w pobliskich lasach, tych pieśni, które śpiewaliśmy, grzejąc się ramieniem przy ramieniu wokół ogniska przy akompaniamencie harmonii. Wtedy istniało prawdziwe braterstwo, a ludzie byli sobie bliscy jak palce jednej ręki; to był czas wspólnej słusznej sprawy, której wszyscy ofiarowaliśmy życie. Dlaczego*

*nadzieja zgasła, a przemówienia Grzegorza pozostały w*

*sferze marzeń? Dlaczego trzeba zdecydować się na*

*budowanie twierdzy tylko dla swoich najbliższych, skoro tyle*

*jest ludzi wokół? Ale widocznie takie jest prawo.*

*Dojechaliśmy do Atlantic City i zjedliśmy obiad w restauracji*

*koło mola.*

*- Robisz szaleństwa, Marcinie.*

*Szaleństwem byłoby nie dawać jak najwięcej swoim bliskim,*

*dopóki tylko żyli, nie rozumieć, że może porwać ich śmierć, a*

*wtedy nie zostanie nic. Ruszyłem dalej do krainy jezior i*

*lasów. Jadąc wzdłuż brzegów przybyliśmy do Lakewood.*

*Zatrzymałem się i zaczęliśmy spacer. Zobaczyłem znów lasy,*

*jeziora, drewniane budowle. Hotele były przepelnione. W*

*hallu hotelu Post goście grali w karty, gawędzili, dobiegały*

*nas słowa polskie, żydowskie, niemieckie. Okryłem nową*

*klientelę.*

*W drodze powrotnej, spoglądając na oświetlony zimowym*

*słońcem ocean, obmyśliłem sobie nowy plan. Przez cały ty-*

*dzień sprzedawałem w Nowym Jorku, a w sobotę*

*załadowałem do samochodu dwie walizy i pojechałem do*

*Lakewood. W Bronxie weekend był świętością, nie mógłbym*

*niczego sprzedać. Mężowie odpoczywali w domowych*

*pieleszach. Zaparkowałem samochód w pewnej odległości od*

*hotelu Post i wszedłem uważnie, badając wzrokiem*

*pomieszczenia, portiera, biuro właściciela, dużą salę pełną ziewających gości. Dzień był zimny, pochmurny, pogoda mi sprzyjała. Z walizką w ręku skierowałem się wolnym krokiem do dużej sali. Postawiłem swój bagaż w kącie. Na razie nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wyjąłem swój towar, apaszki, koszule, chusteczki do nosa i nagle chwyciłem pełne garście jedwabnych szalików i zacząłem powiewać nimi nad głową, nawołując łamaną angielszczyzną, przeplataną polskim, rosyjskim, niemieckim i jidysz. Zapadła chwila ciszy, potem kilka osób roześmiało się życzliwie. Zacząłem mówić, musiałem działać szybko, zyskać sobie sympatię gości, zanim „oni” się zjawią. Po chwili byli już przy mnie, ale zignorowałem ich, a śmiechy rozlegały się coraz głośniejsze.*

*- Kupujcie, kupujcie, Przybywam z daleka. Kupujcie!*

*Właściciel hotelu wziął mnie za ramię i usiłował wyprowadzić przy pomocy portiera.*

*- Antysemita! - zawołałem żartobliwie.*

*Wtedy cała sala wybuchła niepohamowaną wesołością. Obaj mężczyźni wahali się, nie wiedząc, jakie zająć stanowisko, ale natychmiast otoczyli nas hotelowi goście; szacowni panowie zaczęli dyskutować z właścicielem hotelu i w niecałą godzinę moja walizka była pusta. Ale miałem jeszcze dużo towaru w samochodzie.*

*Teraz wiedziałem Już, jak spędzać weekendy. Jechałem do*

*Lakewood, wchodziłem do hotelowych halli, udawałem błazna, stałem się atrakcją hotelowych gości, a właściciele zmuszeni byli mnie tolerować. W Lakewood oprócz chusteczek i koszul sprzedawałem również trochę samego siebie, toteż podniosłem nieco ceny. W dni powszednie handlowałem nadal w dzielnicy Bronx, ciągle w tych samych paru blokach, gdzie działałem według ustalonej metody. Po zaparkowaniu samochodu, wypatrywałem dozorców, a gdy droga była wolna, biegiem puszczałem się naprzód. Pewnego dnia jeden z nich, Włoch, podszedł do mnie, zanim zdążyłem wysiąść z samochodu. Pochylił się ku mnie i znudzonym tonem rzekł:*

*- Niechże pan parkuje trochę dalej, inaczej będę musiał kazać pana aresztować.*

*Mrugnął porozumiewawczo.*

*- Wcale nie mam na to ochoty, ale widzi pan, inni płacą, i to dobrze. Niech pan zostawi swój towar i pójdzie ze mną, wytłumaczę panu.*

*Obok wieżowca była włoska restauracja. Rozmawialiśmy, popijając czerwone wino. Dozorca krótko wyjaśnił mi sytuację:*

*- Kupcy pana wyniuchali, rozumie pan? Oni mi płacą; opłacają jeszcze innych pomocników. Któregoś dnia mocno pan oberwie. To wszystko.*

*Nie pozwolił mi zapłacić za wino.*

*- To honorowa sprawa - rzekł. - Mówię panu to wszystko, bo sprzyjam słabym.*

*Tego dnia nie szła mi sprzedaż. Zorganizowali przeciwko mnie kampanię: dozorczy i policja. Nie ryzykowałem życia, tak jak w getcie, ale obowiązywały tu te same reguły gry.*

*Uparłem się; czasem musiałem uciekać, raz straciłem walizę z towarem. Policjanci tropili mnie, ja zaś wymykałem się im.*

*Pewnego dnia ktoś przebił mi oponę, nazajutrz przedziurawiono wszystkie cztery. Niedługo zacznie się bicie. Nie bałem się, ale moje zarobki były coraz mniejsze, więc po co? Sprzedaż w Brorude stała się bezsensowna. Spoglądałem na te ogromne smutne bloki, gdzie, niczym pszczoły w ulach, żyły tysiące ludzi. Mógłbym latami przebiegać te korytarze, rozwinąłbym interes, rozszerzył system korespondencyjnej sprzedaży, ale to musiałoby jeszcze trochę potrwać. A teraz wypowiedzieli mi wojnę. Ameryka to nie getto; należało zmienić teren działania, przenieść się gdzie indziej, podobnie jak z partyzantami w Polsce przenosiłem się z lasu do lasu. Musiałem znaleźć lepsze źródło zarobku, zgromadzić jeszcze kilkaset dolarów, żeby potem zagrać o grubą stawkę.*

*Nadchodziło lato. Upał zaczynał już dręczyć Nowy Jork, myślałem o drzewach, o jeziorach. Jadąc wolno wzdłuż Hudson River spoglądałem na lasy Catskill Mountains. Między drzewami ukazywały się białe wille, to znów w pobliżu drow-*



*nianego bungalowu mignął mi biegnący truchtem koń ł goniące go jasnowłose dzieci. Byłem zaledwie o parę godzin od Bronxu, gołych, nieprzyjaznych ulic, tych ciemnych korytarzy, biegnących od drzwi do drzwi w sercach bloków, schodów, pnących się w rojowisku ludzkiego życia. Jechałem dalej; moja twierdza będzie odosobniona, pośród drzew. Tam, z dala od ludzi, moje dzieci wyrosną na prawdziwych ludzi.*

*Przyjechałem do Fallsburga. Sezon właśnie się zaczynał, malarze wykańczali jeszcze fasady niektórych domów.*

*Goldman wspominał mi o tym uzdrowisku, które nazywano „Barszczowy Pas”, gdyż przez parę tygodni hotele tutejsze zapelniali amatorzy barszczu. Żydzi z Europy Środkowej i Rosji.*

*Znałem ich, tych tłustych mężczyzn o wyrazistych niegdyś twarzach, których rysy stopniowo zalewał tłuszcz. Dorobili się majątków na konfekcji, tak jak Goldman pracowali na Siódmej Alei. Byli wśród nich fabrykanci, rzemieślnicy, krawcy, kupcy, antykwariusze. Obcując z nimi przypomniałem sobie Polskę.*

*Zatrzymałem się przed hotelem „Premier”. Mój plan był prosty: ci ludzie przyjechali na wakacje, mieli do wydania pieniądze, więc im w tym pomogę. Ich dolary muszą przejść do mojej kieszeni.*

*Zacząłem pracować w kuchni; zmywając kieliszki patrzyłem na kelnerów, którzy wbiegali na salę, zgarniali napiwki.*

*Chciałem być na sali, tak jak oni. Nagabywałem właściciela, sympatycznego grubasa, który urodził się w Warszawie.*

*- Niech mi pan da szansę!*

*Pan Berg wahał się: nie znałem przecież zupełnie tego fachu i źle mówiłem po angielsku.*

*- Dam sobie radę - zapewniałem go. - Przekona się pan.*

*Przekonał się. Zacząłem jako „bus-boy”, roznosiłem desery, rozmaite dodatki do potraw. Biegałem wśród klientów, balansując tacą na wyciągniętej w górę dłoni, błaznowałem. Byłem rad, gdy moje pojawianie się witano śmiechem. „Zamówienie złożone - gość obsłużony” - to była moja dewiza. W tydzień później Berg zaangażował mnie oficjalnie jako kelnera. Obsługiwałem sam osiem stołów. W kuchni dawałem napiwki i pierwszy otrzymywałem swoje 32 dania: zamówienie złożone, gość obsłużony. Zyskiwałem popularność wśród klientów.*

*- Stolik z Mendlem - prosili.*

*Mendel to byłem ja. Jeszcze raz zmieniłem imię: Marcin, Mietek, Misza, Mendel. Ale byłem zawsze taki sam, ciągle w ruchu, niezmordowany, wciąż realizujący jakiś nowy plan.*

*Minął jeszcze tydzień i zostałem szefem kelnerów. Większość z nich stanowili studenci, którzy podkpiwali ze mnie i mego opętania.*

*- Mendel, ty jesteś stworzony, żeby żyć w Ameryce - mówili. -*

*Zrobisz majątek; lubisz dolary, zdobędziesz je. Nie szalej tak,  
bo zapracujesz się na śmierć.*

*Co mi tam dolary; muszę zbudować twierdzę, ł to prędko, bo  
już od wieków czekałem na pokój. Spieszyłem się, byłem  
skazany na pośpiech. Oni ze swymi dyplomami, z całym ży-  
ciem przed sobą mieli dużo czasu, byli żołnierzami regularnej  
armii. Chroniono ich, przygotowano im etapy kariery. Nie  
posuwali się naprzód, licząc na uśmiech losu. Ja byłem w  
życiu partyzantem. Podczas przerw w pracy czytali, grali na  
pianinie, a ja myślałem o dolarach. Tak trzeba było; chciałem  
pozwolić sobie na trochę luzu, ja też miałbym czasem ochotę  
usiąść albo w najgorszej porze dnia, gdy goście grali w karty,  
pospacerować w lesie z Małgorzatą, ciemnowłosą studentką,  
która uśmiechała się do mnie zachęcająco. Nie miałem czasu.  
Wróciłem do Nowego Jorku, załadowałem do samochodu  
wszystkie chusteczki, szaliki i koszule, które mi pozostały, i  
zacząłem sprzedawać je w hotelowym hallu. Ale podczas  
trzech zmian w sali restauracyjnej byłem znów kelnerem,  
Mendlem, a wieczorem nosiłem gościom walizy. Potem odku-  
piłem koncesję na gry, wypożyczałem karty, sprzedawałem  
słodczyce i najrozmaitsze drobiazgi.*

*Berg zostawił mi teraz pełną swobodę działania, sprowa-  
dzałem aktorów, rozszerzyłem asortyment prasy, ożywiałem  
wieczory. Największy triumf odnosiłem w dni deszczowe. Po-*

*większyłem asortyment swoich towarów. Widokówki, krawaty, długopisy, sprzedawałem, słuchałem, gadałem.*

*Napływały dolary. Ale największą radość sprawiały mi nie pieniądze, lecz ci gromadzący się wokół mnie mężczyźni i kobiety, którzy teraz już mnie znali, z którymi wymieniałem porozumiewawcze uśmiechy. Dolary, które od nich brałem, i przedmioty, ; które im podawałem, były także wyrazem przyjaznego współżycia.*

*Pod koniec sezonu studenci wystawili dla gości rewię, w której grałem samego siebie: „Mendle” czarował klientów, łupił ich, ofiarowując wszystko, czego wcale nie pragnęli, a co jednak kupowali. Śpiewałem, skakaliśmy, trzymając się za ręce. „Mendle, Mendle, Mendle” - widzowie klaskali, wywoływali mnie. To było swego rodzaju szczęście. Nie byłem sam, miałem dokoła mnóstwo klientów, przyjaciół, dolary, ruch, ;| pracę, oszalałami mnie gwarem, pytaniami, słowami, i to dawało zapomnienie. Zostawałem na sali, dopóki nie opuszczała jej ostatnia para, a zjawiałem się wcześniej rano, przed porą śniadania, unikałem ciszy mojego pokoju, koszmarów. Gdy nie dość się nabiegałem, nie dość wyprężyłem ręce, żonglując tacami, za mało gestykułowałem - sen nie przychodził. Próbowałem leżeć nieruchomo, ale coś podrywało mnie, pchało ku oknu.*

*Czasem wychodziłem na korytarz, pukałem do drzwi kobiety,*

*która mnie wpuszczała, piłem, paliłem. Ale przeszłość napływała czarnymi falami. Warszawa, Miła, Leszno, moje ulice, kolumny dzieci w drodze na Umschlagplatz, żółty piasek. Moi najbliżsi. Wtedy obecne życie, moje plany, wszystko wydawało mi się błahe, miałem wrażenie, że żyjąc, śmiejąc się znieważam moich najdroższych. Wtedy załamywałem się na kilka godzin, rozpacz, uczucie beznadziejności, które zostawili we mnie oprawcy, zalewało wszystko. To były ponure noce.*

*Podczas jednej z nich poczułem się tak samotny, otoczony żniwem śmierci, że nie mogąc dłużej wytrzymać w tym obcym pokoju wsiadłem do samochodu i pojechałem do Nowego Jorku. W drodze opuściłem szyby i wdychałem słone powietrze unoszące się z doliny Hudsonu. Gdy wszedłem do mieszkania, zdziwiłem się na widok pozapalanych lamp i wuja, stojącego na środku pokoju.*

*- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - rzekł. Ziemia zapadła się, piach zasypał mi usta.*

*- To jeszcze nic strasznego. Po prostu ostrzeżenie. Ze złożonymi na kolanach rękami siedziała babcia na okrytym białą koronką fotelu. Uśmiechnęła się do mnie.*

*-Tak prędko przyjechałeś, Marcinku. Naprawdę, bardzo prędko.*

*Ubiegłej nocy doznała nagle wrażenia, że się dusi. Udało jej*

*się zawiadomić syna.*

*- To wiek - mówiła. - Przeżycia.*

*Schwyciłem jej rękę. Muszę się spieszyć, otoczyć ją radością,*

*będzie mieszkała ze mną, z nimi, w mojej twierdzy, pośród*

*drzew. Siedziałem przy niej całą noc, a gdy się rozwidniło,*

*wsiadłem znów do samochodu. Jechałem bardzo szybko.*

*Życie to wyścig, musisz pędzić, Mietek. Uaktywniłem się*

*jeszcze bardziej: gry, sprzedaż, obsługa restauracji,*

*widowiska. Gromadziłem dolary. Wieczorem wyczerpany*

*padałem na łóżko. Zdarzało się, że po południu*

*nawiazywałem znajomość z jakąś kobietą, ale pod koniec*

*dnia bywałem tak zmordowany, że często rezygnowałem z*

*umówionego spotkania, myśląc tylko o tym, żeby się wyspać.*

*Zmęczenie przepędzało zmory. Raz w tygodniu jeździłem do*

*Nowego Jorku. Z jednej z kabin przy 186 Ulicy telefonowałem*

*do babki. Odpowiadała natychmiast, poznawałem jej głos*

*pełen niepokoju, w tym pierwszym słowie była cała kruchość*

*życia. Naśladowałem głos Jednego z profesorów, specjalisty,*

*którego zaprosiłem do niej kiedyś na konsylium.*

*- To pani Feld, prawda? Jak się pani czuje? Mówi profesor*

*Waser.*

*Zaczynała uskarżać się na to i owo.*

*- Myślę, że wszystko jest w porządku, droga pani. Proszę się*

*nie martwić. Będę regularnie telefonował.*

*Odwiesiwszy słuchawkę jednym susem przesadzałem jezdnię, wbiegałem pędem na schody. Gdy otwierałem drzwi, stała jeszcze rozpromieniona przy telefonie.*

*- Dzwonił do mnie profesor Waser - oznajmiała. - Niepokoi się trochę o mnie. Nie czuję się tak dobrze, jak ci się zdaje.*

*Kłamała tak źle, chcąc, bym okazał jej tkliwość.*

*Brałem ją w objęcia, całowałem, przeklinając w duchu tego profesora, z którym nigdy nie miałem sposobności porozmawiać.*

*- Chciał pomówić ze mną osobiście - powtarzała. - Pamiętaj o mnie.*

*Była uszczęśliwiona i dumna, prostoduszna i szczerą jak dziecko. Szykując posiłek powtarzała, co powiedział jej profesor.*

*Moje kłamstwa były fortecą, którą wznosiłem wokół niej, aby ją chronić. Słuchałem jej słów, a ona mi wierzyła. Gdyby w każdym człowieku lśnił diament tak czysty jak w niej i gdyby wszyscy mieli w sobie tyle co ona słodczy, to któregoś dnia skończyłby się czas oprawców.*

*Mijały miesiące. Zostałem naczelnym dyrektorem hotelu.*

*Berg nie hamował mojej inicjatywy. Wspólnie z pierwszymi gośćmi, którzy przybyli w nowym sezonie, zorganizowałem szaleńczą zabawę na rzecz budowy państwa Izrael. Nigdy więcej nikt nie zamknie nas w murach getta, tam daleko*

*wznosi się teraz twierdzą dla całego narodu. Krzyczałem, kłaskałem z rozbawionym tłumem. Regularnie przekazywałem pieniądze na konto United Jewish Appeal, ale nie wyjechałem. To była moja nowa zmora, której nie umiałem od siebie odpędzić. Rozmawiałem o tym z Goldmanem, który na skutek choroby opuścił na pewien czas swoją wytwórnę odzieży na Siódmej Alei i przyjechał na dłuższy pobyt do hotelu. Po południu często zaciągał mnie do lasu.*

*- Wynagrodzę ci straty, jakie przez to poniesiesz - proponował ze śmiechem.*

*Niekiedy braliśmy łódź, wiosłowałem, a on opowiadał mi o swojej młodości, wypytywał o wiele rzeczy. Przez cały czas trzymał oba kciuki wsunięte za kamizelkę.*

*- Ty, Mendle, masz dobrą głowę, szybko się urządziłeś. Od pierwszego dnia wiedziałem, że tak będzie.*

*Opowiadałem mu o getcie, mówiłem o Izraelu.*

*- Czuję się winny. Pozwalam im się bić, a sam siedzę tutaj.*

*- Musisz trochę żyć. Ciągłe się bilesz. Naucz się żyć, bo nie umiesz.*

*Nigdy nie miałem czasu; wciąż nie mam czasu.*

*- Lubisz mówić, ryzykować. Wyzywasz los. Chciałeś przeżyć i przeżyłeś. Teraz chcesz zrobić majątek.*

*Potrząsnąłem głową: dolary, złotówki to tylko papier, metal, przedmioty martwe.*



*- Chcę mieć rodzinę, dla siebie, dla tych, których straciłem.*

*Wiosłowałem. Goldman zapalił cygaro.*

*- Nie wolno mi palić, ale co tam! Rodzina? To trudniejsze niż dolary, Mendel. Do tego potrzebna kobieta.*

*Pewnego dnia poprosił, żebym zawiózł go do Nowego Jorku.*

*Zatrzymaliśmy się na Trzeciej Alei. Między brudnymi domami przejeżdżała ze zgrzytem nadziemna kolej. Wszedłem z Goldmanem do sklepu z niemiecką porcelaną i francuskimi fajansami.*

*- To moja namiętność - powiedział.*

*Usiadłszy w fotelu, oglądał znaki na spodzie filiżanek, koronkowe brzegi talerzy. Zobaczyłem, że wypisał czek na 500 dolarów. W jego mieszkaniu ujrzałem kryształowe żyrandole i gabloty, w których stały rzadkie sztuki. Potem weszła uśmiechnięta gruba dziewczyna, jego córka.*

*- To jest Mendel - przedstawił mnie Goldman.*

*Podawała mi rękę; jej dłoń nie żyła, spoczywała w mojej bezwładnie, jak martwy przedmiot. Przed wieczorem odjechaliśmy obaj do hotelu. Nie rozmawialiśmy w drodze.*

*- Mógłbyś być dla mnie synem - rzekł, gdy dojeżdżaliśmy już na miejsce. - Niedługo umrę.*

*Ofiarował mi gotową twierdzą, żonę, ale nie mogłem przyjąć takiego daru. Ja sam, kamień za kamieniem muszę wznosić swoje mury, sam muszę znaleźć kobietę, która stanie u mego*

*boku, a może to być tylko ktoś, czyja dłoń będzie żyła w mojej,  
jak żyły od pierwszego dnia dłonie Zofii i Rywki -tam, w  
Warszawie. Potrząsnąłem głową.*

*- Nie liczyłem na to, Mendel. Ty jesteś z tych, co sami torują  
sobie drogę. Tak jak ja, dawno temu.*

*Słońce zapalało niebo za drzewami, które mijaliśmy w pędzie.  
Goldman to był prawdziwy człowiek.*

*- Pięćset dolarów za kilka filiżanek... - rzekłem. Wybuchnął  
śmiechem.*

*- Pieroński Mendel, chcesz wziąć się teraz za antyki?*

*Wśród gości hotelowych zauważyłem już dawno grupkę  
antykwarjuszy, którzy trzymali się razem, z dala od produ-  
centów konfekcji. Wynajmowali najlepsze pokoje, dawali  
szczodre napiwki. Niektórzy nosili na palcach grube pierście-  
nie.*

*- Bardzo możliwe, że ci się powiedzie - ciągnął dalej Goldman.*

*Pierwsza szansa - mawiał zawsze mój ojciec - wykorzystać  
pierwszą szansę. Pomysły są jak szansa, gdy przychodzą,  
trzeba je bezzwłocznie realizować. Wieczorem wdałem się w  
rozmowę z dwoma naszymi gośćmi, Jackiem i Joem Ellis,  
antykwariuszami z Trzeciej Alei. Dla nich byłem po prostu  
Mendlem, jednym z pracowników hotelowych. Opowiadali o  
pochodzących z Europy przedmiotach, które cieszyły się  
wśród klientów największym powodzeniem.*

*- Biją się o każdą sztukę. Odkąd nasi chłopcy byli za oceanem, nic tylko Europa i Europa. A myśmy stamtąd przyjechali, z tej Europy, co, Mendel?*

*Słuchałem uważnie. Atlantyk był nowym murem, Europa - aryjską Warszawą, Ameryka gettem, w którym są ludzie z kieszeniami pełnymi dolarów. Zamiast zboża chcieli kupować starą porcelanę. Słuchałem obu braci Ellis i już wiedziałem, jak przesadziwszy ten nowy mur kupuję tam, a tu sprzedaję towar równie cenny jak zboże. Nic się nie zmieniło, a w dodatku nie będę musiał ryzykować życia. Kupilem książkę o porcelanie, nauczyłem się jej na pamięć, skrupulatnie przeliczyłem moje dolary; posiadałem kilka tysięcy. Sprzedawałem i pracowałem nadal z takim zapamiętaniem, że Berg zaproponował mi, bym został jego współnikiem. Odmówiłem bez wahania; miałem teraz w ręku atutową kartę, którą trzeba było zagrać.*

*Pewnego wieczoru, pod koniec sezonu, zadzwoniono do mnie z Nowego Jorku. W słuchawce odezwał się jakiś nieznajomy głos.*

*-Mówi Shirley Goldman, córka pana Goldmana. Ojciec właśnie zmarł. Niech pan przyjedzie.*

*Nigdy nie oswoję się ze śmiercią, nie pogodzę się z niesprawiedliwością, jaką jest koniec ludzkiego życia. Nigdy. Jadąc do Nowego Jorku myślałem o ojcu, o Goldmanie, o*

*Ryw-ce, Januszu i tysiącach innych, zmarłych zbyt młodo, pełnych jeszcze sił witalnych, którzy nie wiadomo co mogliby osiągnąć, na jakie wspiąć się wyżyny, doszedłszy do pełnego rozkwitu. Myślałem o tych, którzy jak Janusz padli w pełni sił, nie dokończywszy swego dzieła; i o tych także, którzy umierając staro unoszą przecież ze sobą cały świat myśli i wspomnień. Ileż było istot, które żyły jeszcze w nich i dzięki nim, a teraz zniknę, zostawiając opustoszały świat. Siedząc w łódce, z cygarem w zębach, Goldman opowiadał mi o Berlinie z 1920 roku, o swojej młodości, teraz pogrzebanej razem z nim. Shirley przyjęła mnie z zaczerwienionymi oczami, powiedziała to, co mówi się w takich wypadkach, ale jej dłoń, którą uścisnąłem ze współczuciem, była tak samo bezwładna jak poprzednim razem. Podała mi kopertę.*

*- To dla pana.*

*Wyszedłem prawie natychmiast, nie mogąc wytrzymać w tym ciemnym pokoju, do którego kiedyś wprowadził mnie Goldman. Zostawiłem samochód i ruszyłem pieszo z kopertą w rękę. Doszedłem do parku Bovery na końcu Manhattanu. Usiadłem. Minęły prawie dwa lata, odkąd wylądowałem w tym dobrze mi już znanym kraju. Poznawałem go cierpliwie, godzina za godziną, spotkałem szpicli i ludzi, którzy mogliby stać się katami, gdyby żyli w Polsce w tamtych czasach, ale również wielu zupełnie innych - jak Berg lub Goldman*

*-żyjących w tym kraju, który otworzył się dla mnie gościnnie,  
gdy niczego nie posiadałem.*

*Rozdarłem kopertę. Wewnątrz był czek na moje nazwisko i  
kartka, na której chwiejnym pismem skreślił: „Od Józefa  
Goldmana dla Mendla antykwariusza z życzeniami powodze-  
nia”.*

*Słowo „antykwariusz” było podkreślone.*

*Dopóki będę żył, Goldman żyć będzie ze mną.*

*Szedłem prosto przed siebie*

*Wyruszyłem na Trzecią Aleję. Krok za krokiem od Bovery do  
57 Ulicy, krok za krokiem od 57 Ulicy do Bovery. Wiatr prze-  
wiewał na przestrzał tę długą, prostą aleję, szarą i brudną jak  
jakiś rów, wznosił tumany kurzu pod torami kolei nad-  
ziemnej, zalatując marną kawą i przypalonym mięsem. Wsze-  
dłem do sklepu jednego ze znajomych Józefa Goldmana.*

*Pamiętam, jak ten elegancki starzec dwoił się i troił, uś-  
miechnięty, życzliwy, gdy obsługiwał Goldmana.*

*„Naturalnie, proszę pana, oczywiście, jak pan sobie życzy”.*

*Teraz, nie przerywając pisania, ledwie rzucił na mnie okiem,  
na wpół schowany za małymi białymi figurkami, które brał  
kolejno do ręki i oglądał, coś notując. Od czasu do czasu  
spozierał sponad okularów ze znużeniem i ironią.*

*- Kupować? Kupuję wszystko i nic. Sztuka to nie towar na  
wagę. Widzi pan...*

*Pokazał mi jedną z figurek i zapytał, na ile bym ją wycenił.*

*Zachowywał dystans, traktował mnie z góry, z lekkim rozba-  
wieniem, ale nie przyszedłem, żeby go wysłuchiwać; chciałem  
dowiedzieć się, co on sprzedaje, zapoznać się trochę z  
rynkiem, z gustami klientów z Trzeciej Alei, którzy płacą  
pięćsetdolarowymi czekami. Wskazałem parę przedmiotów w  
gablote.*

*- Tak czy nie, interesowałoby to pana? Przestał pisać.*

*- Mam sporo tego w Europie. Mój ojciec posiadał tam firmę.*

*Goldman dużo u nas kupował. Podał mi pańskie nazwisko.*

*Był stary, sprytny, wyniosły, a przecież wziąłem nad nim*

*górkę, bo choć nie miałem pojęcia o porcelanie, to znałem tę  
palącą ludzi żądzę złota. Podniósł się.*

*- To zależy od cen - powiedział.*

*- Zobacz pan towar. Ale proszę mi powiedzieć, co by pan  
chciał?*

*- Dobrze, dobrze. Zdaje się, że dojdziemy do porozumienia.*

*Uśmiechnął się, podchodził do gablotek, stawiał różne  
przedmioty na stole.*

*- Oto, co im się podoba. Chcą imponować. Dobrze płacą, wie  
pan. To najczęściej nowobogacy. O, byłbym zapomniat o  
kałamarzach, o kałamarzach z XVIII wieku.*

*Nie mogłem się już od niego odczepić, powtarzał mi swój  
numer telefonu, zapewniał o przyjaźni dla pana Goldmana.*

*- Zadzwoń pan do mnie zaraz po powrocie, prawda?*

*Obiecałem to jemu i wielu innym w Trzeciej Alei; stopniowo wyjawiali zainteresowania swoich klientów, różne zawodowe tajemnice. Teraz wiedziałem już, co mam kupować w Europie.*

*- Proszę pamiętać, że liczę na pana - powiedział ostatni, którego odwiedziłem, szczupły, wyperfumowany młodzieniec w różowej koszuli.*

*Wszyscy możecie na mnie liczyć. Mietek na pewno zjawi się znów na Trzeciej Alei.*

*Ale miałem jeszcze jeden mur do przebycia: Atlantyk. Chodziłem od urzędu do urzędu. Podróż była kosztowna, nie byłem obywatelem amerykańskim i nikt nie mógł udzielić mi pozwolenia wyjazdu i powrotu. W Korei toczyła się wojna między Północą a Południem, wyglądało na to, że Stalin zagarnie wkrótce całą Europę. Moja babka płakała.*

*- Znajdziesz się znów w sercu wojny, nie wrócisz. Wuj powtarzał, że teraz, skoro mówię już po angielsku, mogę objąć posadę sprzedawcy, która wciąż na mnie czeka.*

*- Nie opuszczaj mnie - prosiła babka. - Przecież masz tutaj wszystko. Umrę, zanim wrócisz.*

*Czasem trzeba oderwać się od tych, którzy nas kochają i usiłują, jak na początku w getcie mój ojciec, zamknąć nas w swojej miłości, uwięzić w swych ramionach. Nie rozumieją.*

*- Zaczekasz na mnie, mamó. Przecież nie chcesz, żebym był*

*nieszczęśliwy.*

*Ocierala oczy. Dlaczego każdy stanowczy krok kosztuje tak drogo, dlaczego istnieje zawsze pokusa, by przestać walczyć z prądem i pozwolić sobą kierować bezwolnie, tak jak inni, godzić się na Umschlagplatz, doły i posadę ekspedienta?*

*- Mam rację, mam, ja zawsze mam rację. Chciałem w ten sposób przekonać samego siebie. W biurze paszportowym zwrócono mi moje podanie. Urzędnik z zadowoleniem kiwał głową.*

*- Mówiłem przecież. Nie może pan opuścić Stanów Zjednoczonych przed odbyciem służby wojskowej.*

*Szedłem ulicą nie widząc jej. Znów byłem w celi, zamknięty. Za każdym razem, gdy udawało mi się pokonać jakąś przeszkodę, natychmiast nieoczekiwanie pojawiała się następna, jeszcze większa. Los zawsze kazał mi się bić. W Zambrowie musiałem czepiać się śliskiego drzewa, by dostać się na szczyt wysokiego muru, spadać i znów wspinać się bez końca. Pono-wiłem swe zabiegi, molestowałem polityków, komisje pobo-rowe, biura paszportowe, składałem podania, odwołania, protesty, żądałem zwołania specjalnej komisji, przysięgałem, że w końcu położę się przed wejściem i skonam. Nie udało im się uwięzić mnie w dolnym obozie, przedostałem się przez mur, zasieki i ostrokoły w Zambrowie, uciekłem z siedziby gestapo w alei Szucha i z więzienia na Pawiaku, a oni liczą, że*



*zatrzymają mnie tutaj? Żeby wysłać mnie do Korei na wojnę o obcą mi sprawę. Nie znają Mietka! Gdyby Ameryka została zaatakowana na swoim własnym terytorium, broniłbym jej.*

*Wiedziałem, ile jej zawdzięczam, i w takiej wojnie gotów byłbym oddać życie. Ale nie wydawało mi się, żeby te boje na dalekim kontynencie miały decydujący wpływ na los Stanów Zjednoczonych. Zapłaciłem już za ludzkie barbarzyństwo.*

*Miałem prawo zrealizować swoje zamierzenia.*

*Zawezwano mnie wreszcie przed komisję. Wchodzący w jej skład trzech emerytowani oficerowie w cywilnych ubraniach robili wrażenie wyrozumiałych, życzliwych ludzi.*

*- Muszę wyjechać - zacząłem.*

*Powiedziałem, że w obozach uchodźców w Europie mam rodzinę, którą pragnę odszukać. Opowiedziałem kilka epizodów z mojego życia w getcie.*

*- Muszę wyjechać.*

*Jeden z oficerów przeglądał moje dokumenty, od czasu do czasu podnosząc na mnie wzrok. Czy rozumie, że gram o swoje życie? To jedno słowo na drukowanym formularzu, o które ich prosiłem, to dla mnie nadzieja, że będę wreszcie żył w spokoju, że zbuduję moją twierdzę. Patrzyłem na tych ludzi, którzy rozmawiali ze sobą po cichu. Tyle już razy ryzykowałem najwyższą stawkę, jakbym znał tylko jedną regułę gry:*

*wszystko stracić lub wszystko wygrać. Jeden z oficerów, z ob-*

*ciętymi najeża siwymi włosami, przyłożył pieczętkę.*

*- Na pana własne ryzyko - rzekł, podając mi formularz.*

*Wygrałem. Warto walczyć, Mietek, zawsze! Teraz pozosta-  
wało mi tylko oczekiwać dnia wyjazdu.*

*Odwiedziłem znów Fallsburg i Lakewood, jeździłem po la-  
sach. Zabierałem babcię na te wycieczki.*

*- Chcesz mnie przejednać, żebym ci wybaczyła - mówiła -ale  
wiem dobrze, że wyjeżdżasz. Obejmowałem ją.*

*-Będziesz na mnie grzecznie czekać. Obróć kilka razy, a  
potem cię zabiorę.*

*- Umrę do tego czasu.*

*Krzyczałem na nią, żeby ukryć niepokój. Pokazywałem jej  
fotografie dziewcząt, partnerek jednej nocy lub kilkutygo-  
dniowych znajomości; była uszczęśliwiona, że dopuszczam ją  
do moich sekretów.*

*- Z którą się ożenisz?*

*- Najpierw majątek.*

*Jeździłem samochodem, chodziłem, nie byłem w stanie  
wysiedzieć w czterech ścianach. Wróciłem na Trzecią Aleję, a  
w Bronxie upłynniłem resztki mojej konfekcji. Spotkałem  
znów włoskiego dozorcę. Ucieszył się na mój widok.*

*- Już o panu zapomnieli. Śmiało, śmiało - namawiał mnie,  
zacierając ręce. I dodał: - Pan to ma twardy łeb!*

*Schody, korytarze, drzwi, te same dzieci, takie same spoj-*

*rzenia kobiet, nic się nie zmieniło. Dzwoniłem, wahały się, tkwiły tam niezmiennie w swoich mieszkaniach, od lat, codziennie, dlaczego? Dlaczego zgadzały się na to?*

*Pokazywałem ostatnie już apaszki, nie chciałem słuchać odmowy, nalegałem. Żyły za tymi drzwiami, bierne, obojętne, czy to zmęczenie, wiek czy szczęście? Może wysokie stawki, które ryzykowałem, moja zasada: wszystko wygrać lub wszystko stracić, była szaleństwem, jakimś sposobem ucieczki, wyznaniem, że jestem skazany na wieczną niecierpliwość? Uchyłały drzwi, widziałem ciemne pokoje, czepiające się ich nóg dzieci. „Nie umiesz żyć, Mendel” - mówił mi Goldman. W ich matowych oczach czytałem smutek i strach, opuszczone ramiona wyrażały rezygnację. Co to znaczy żyć? Ci ludzie masowo korzystają z wolności weekendu, by potem znów wtłoczyć się w swój zwykły tydzień, w życie. Wciągnięci w błotko codzienności nie potrafią już lub nie mogą iść do końca. Żyć, żyć - to biegać od drzewa do drzewa, dojść do końca, ryzykować, wszystko wygrać lub stracić wszystko, jak podczas szturmów, jak w partyzantce.*

*Ale to nie było łatwe. Coraz gorzej znosiłem samotność. Gnębiące mnie zmęczenie i smutek nie opuściły mnie także i na statku. Otaczały mnie grupki ożywionych, wesołych podróżników, którzy gawędzili niefrasobliwie z oficerami z*

*„Ile--de-France”. Tylko ja jeden dostałem od razu choroby morskiej, a podróż dopiero się zaczęła. Odpłynęliśmy we mgle, a w parę godzin później statek kołysał się na długich falach, które znienawidziłem już podczas pierwszej podróży przez Atlantyk. Tymczasem inni tańczyli, śpiewali chórem refreny piosenek, zasiadali do brydża. Byłem sam, byłem człowiekiem odartym z uczucia radości; oddałbym wtedy całą przyszłość za którąś z kobiet z Bronxu, za ciepło jednego z tych smutnych mieszkań, za Shirley Goldman, za posadę sklepowego sprzedawcy. Podeszedłem do jakiejś kobiety w barze, zagadałem do niej, żeby usłyszeć dźwięk swojego głosu. Usmiechnęła się, a potem odeszła z kimś innym, i znów zostałem sam, bezczynny, z wszystkimi dręczącymi pytaniami, wydany na pastwę wspomnień minionych wydarzeń, twarzy, koszmarów. Piłem, wymiotowałem i, żeby zapomnieć, uciekałem w sen.*

*Po wielu dniach przyплыliśmy wreszcie do Cherbourga. Jako jeden z pierwszych wyskoczyłem na starą ziemię, moją ziemię. Chodziłem po ulicach wybrukowanych wydeptanymi płytami, jak Miła i ulice Starego Miasta w Warszawie, w Lublinie i w Białymstoku. Zapuszczałem się w zaułki, mijalem przysadziste domy, jakby spuchnięte ze starości, i brudne kawiarnie, z których dolatywały kuchenne zapachy. Znów znalazłem się na Długiej, to była moja ziemia, moja stara zie-*

*mia, Europa. Wykarmiła mnie radością i rozpaczą. Tu byli moi bliscy. Cherbourg, Paryż, Frankfurt, uczyłem się krajobrazu, miejscowości mieszały mi się ze wspomnieniami. Sekwana była Bugiem, Ren - Wisłą. Rozpoznawałem moją Europę, wieśniaków za pługami, kamienne dzwonnice, zabudowane gęsto miasta, przysadziste kamienice; zanurzałem się w przeszłość. Nie spałem, myślałem o dzieciach, które będę kiedyś miał i dla których znalazłem się tutaj, żeby przygotować im twierdzę. Może powinienem wychować je na ziemi, na której urodzili się i cierpieli moi najbliżsi, w której spoczywają, o którą walczyłem. Może na tej starej, bohaterskiej, pohańbionej ziemi, poprzerzynanej dolami, zrozumiałyby lepiej, jacy kiedyś byliśmy.*

*Rano pojechałem do Frankfurtu. Wokół dworca zaczęła się już odbudowa, uprzątnięte tereny przywoływały wspomnienia ruin. Nie znając miasta, wahałem się; te niemieckie głosy zbyt żywo przypominały mi wojnę. Podszedł do mnie jakiś młody człowiek z opadającymi na czoło ciemnymi włosami. Był bardzo podobny do owego młodzieńca, którego uratowałem pewnego wieczoru w Berlinie, kiedy radzieccy żołnierze chcieli go rozstrzelać.*

*- Dolary, zmienić?*

*Wahałem się: interes czy ostrożność?*

*- Sześć pięćdziesiąt - powiedział.*

*To był bardzo korzystny kurs. Spojrzałem na niego; ruchem głowy odrzucił w tył włosy, patrzył mi prosto w oczy.*

*Wyjąłem dwadzieścia dolarów.*

*- Idę po marki.*

*Wziął moje dwadzieścia dolarów.*

*- Nie jestem złodziejem, proszę pana. Zaraz wrócę.*

*Patrzyłem, jak oddalał się powoli, na rogu skręcił w jedną z ulic, które otwierały się naprzeciwko dworca. Jeszcze nim zniknął mi z oczu, zrozumiałem, że mnie nabrał. Czekałem parę minut, ale bez żadnych złudzeń. Ja, Mietek z getta i z Treblinki, dałem się oszukać jak pierwszy lepszy turysta, ledwo przybywszy do Niemiec. Zaufałem, zmniejszyłem czujność, źle zrobiłem. Ale jestem uparty. Przechadzałem się nad Menem, nie patrząc prawie na rzekę, wściekły na siebie, na nich. Te dwadzieścia dolarów to było całe moje życie, moja zemsta, zdobyty Berlin, który odbili jednym kantem. Wróciłem na dworzec, chodziłem po peronach, zwlekałem jeszcze, aby myśleli, że zrezygnowałem. Pod wieczór wyszedłem z grupką podróżnych; zobaczyłem go, stał nieco na uboczu, czatując na następną zdobycz. W ciemności zaszedłem go od tyłu, schwyciłem za szyję i przycisnąłem do płotu.*

*- Moje dwadzieścia dolarów - powiedziałem po niemiecku.*

*Dusił się i wyrywał. Rozluźniłem trochę palce.*

*- Pospiesz się.*

*Nie miał przy sobie ani grosza. Widocznie oddał komuś pieniądze. Szliśmy obok siebie, trzymałem go mocno za rękę. Idąc ze spuszczoną głową gadał coś o swojej siostrze, ojcu, matce. Wreszcie weszliśmy na schody jakiejś ciemnej kamienicy. Wziąłem go znów za szyję.*

*- W razie najmniejszego niebezpieczeństwa zabiję cię.*

*Ale to byli tylko niegroźni, drobni oszuści: stary człowiek z uśmiechem szpicla w półleżącej pozycji na łóżku, obok chuda dziewczyna. Wciąż trzymałem szyję tamtego w zgięciu łokcia.*

*- Moje dwadzieścia dolarów.*

*Popatrzyli na siebie, stary wyprostował się.*

*- Zabiję go bez wahania - rzekłem.*

*Nie wyglądałem na żartownisia. Stary wsunął rękę pod materac i wyciągnął plik dolarów.*

*- Dawaj wszystko.*

*Wymierzyłem mu kopniaka, wolną ręką wyrwałem banknoty. Odliczyłem cztery pięciodolarowe, a resztę rozsypałem po pokoju. Następnie pchnąłem ku nim młodego łotrzyka, skoczyłem do drzwi i pędem zbiegłem ze schodów. Wciąż jeszcze byłem Mietkiem; wygram swoją wojnę.*

*Biegałem po Frankfurcie; sklepy były ubogie, towar sprowadzano z Berlina. W dwa dni później wylądowałem na lotnisku Tempelhof. Zawsze najlepiej czerpać wodę prosto ze źró-*

dła.

*W Berlinie wszystko było mi znajome: ulice, niebo przemawiały do mnie wspomnieniami. Odnalazłem Tolka, któremu źle się powodziło. Chwytał się dorywczych zajęć, przemyślał o Polsce, o Izraelu, ale obowiązki rodzinne zatrzymywały go w Berlinie.*

*- Pracujmy razem - zaproponowałem mu.*

*Organizowałem bandę, jak za czasów Mokotowa-Mogily.*

*Odwiedzałem antykwariuszy, mając przed oczyma przedmioty z Trzeciej Alei. Targowałem się o ceny, usiłowałem zrozumieć, poznać sposób myślenia antykwariuszy, aby wiedzieć, jak można przeniknąć do tego klanu. Działalem ostrożnie, to byli drapieżni, chciwi kupcy. Miałem się na baczności, pozwalałem im się wygadać, a potem rzucałem cyfrę, mocno poniżej ich ceny.*

*- Pan chyba oszalał, mój drogi.*

*I znów zaczynaliśmy od początku. Przekonywałem ich tak długo, aż odstępowali częściowo od swoich wymagań. To nie była równa walka: im szło tylko o zarobek, ja walczyłem o swoją przyszłość. Musiałem dopiąć swego. I tu, tak jak w getcie, musiałem przesadzić mur, ale tu było łatwiej. Wszędzie zostawiałem swoje nazwisko, zamówienia i zapowiedź następnej wizyty.*

*- Przyjadę znów.*



*Powtarzałem te słowa jak hasło. Na miejscu został Tolek, którego mianowałem swoim przedstawicielem. U niego gromadziliśmy zakupione przedmioty, które numerowaliśmy i pakowaliśmy co wieczór. Tolek śmiał się po cichu, ocierając czoło.*

*- Jesteś zawsze taki sam, Mietek, czy szukasz hitlerowców, czy osiemnastowiecznych kałamarzy. Trawi cię gorączka.*

*- Nigdy nie mogę zdążyć.*

*Nie zdążyłem ani przeżyć dzieciństwa, ani zaznać szczęścia.*

*W pogoni za nim nie mogłem się zatrzymać.*

*Odprawa celna, transportery, statek i już moja pierwsza podróż dobiega końca. Gdy półżywy ze zmęczenia wysiadłem w Nowym Jorku, nie posiadałem już ani dolara przy duszy.*

*Pojechałem do domu metrem. Nowy Jork był pod śniegiem, zasypane samochody tworzyły bezkształtne bryły na ulicach.*

*Byłem jak pijany, spoglądałem na twarze, na tych obcych ludzi, podążających spokojnie 186 Ulicą. Który świat jest realny: ich, zastygły w stabilizacji, czy też mój, w ciągłym ruchu?*

*Zadzwoiłem do drzwi. I już babka przytulała się do mnie, gładząc mi ciepłymi dłońmi policzki.*

*- Jaki ty Jesteś zimny, Marcinku! Zupełnie zamarznięty.*

*Śmiałem się ze zmęczenia i radości: byłem w domu, prze-dostałem się przez mur. Przed drzwiami czekał ojciec, opowiedziałem mu, jak kupiłem i sprzedałem chleb, o ciastkach*

*od Gogolewskiego, o tramwaju.*

*-Wróciłem - rzekłem. - Widzisz, mamó, znów jestem w domu.*

*Wziąłem kąpiel i natychmiast pojechałem do portu. Nie miałem pieniędzy na oclenie mojego towaru i przewiezienie go do miasta, a musiałem sprzedać go prędko, żeby pojechać po nowy, wrócić, sprzedać, znów kupić. Udałem się do dyrektora firmy ekspedycyjnej mieszczącej się w Battery Park.*

*-Ale kim pan właściwie jest? - powtarzała sekretarka. -Pan Clark przyjmuje tylko umówionych uprzednio klientów.*

*- Nie odejdę. Jestem importerem. Przez panią wasza firma straci okazję zrobienia dużego interesu, świetnego interesu.*

*Pan Clark przyjął mnie.*

*- Rzykuje pan ze mną niewiele, ponieważ dam panu gwarancję i stanę się dużym klientem - powiedziałem jeszcze, nim zdążyłem usiąść. - Jestem importerem.*

*Dźwięk tego słowa zrobił na mnie wielkie wrażenie. Importer.*

*Wygrałeś, Mietek! Nie zabili cię, a teraz jesteś importerem.*

*Dyrektor przyglądał mi się, nie bardzo wiedząc, jak ma się do mnie ustosunkować. Uśmiechnąłem się.*

*- Nie importuję zboża ani ziemniaków, tylko przedmioty artystyczne.*

*Zacząłem opowiadać mu o getcie; po godzinie, pod zastaw całego mojego towaru, zgodził się opłacić cło, transport i*

*składowanie. Umówiliśmy się, że zwrócę mu wszystko, gdy upłynię tydzień. Teraz trzeba było sprzedać. Zaniósłem kilka przedmiotów na Trzecią Aleję. Antykwariusze pokazali wówczas swoje pazury. Młodzieniec w różowej koszuli usiłował obniżyć kolejno wszystkie moje ceny. Liczył, że ustąpię.*

*- Oczywiście, są nabywcy, ale przeżywamy obecnie trudny okres - tłumaczył.*

*Nie dyskutowałem. Niekiedy trzeba zręcznie obejść przeszkodę. Zabrałem oferowane rzeczy i zacząłem pertraktować z taksatorem w jednej z wielkich firm, gdzie odbywały się przetargi. zaproponowałem, że powyżej pewnej ceny, do której dojdzie w licytacji, będę sam odkupował swój towar, bez żadnej prowizji. Niełatwo było go przekonać. Argumentowałem, powtarzałem:*

*- Będę na miejscu i oczywiście będę windował ceny. Dla pana to żadne ryzyko. Proszę popatrzeć na te fajanse. Ręczę panu, że pójdą jak woda.*

*Wahał się. Wszyscy zawsze się wahali, w getcie, w Zambrowie, w Nowym Jorku, musiałem zawsze namawiać ludzi do działania, zawsze siłą wydzierać im decyzję. W końcu znużony taksator ustąpił.*

*- O.K., niech będzie. Ten jeden raz.*

*Podczas pierwszej aukcji stałem pośrodku sali, obserwując klientelę: undulowane blondynki w kapeluszach przychodziły*

*przeważnie we dwie lub trzy, z przyjaciółkami,*

*antykwariusze ze Środkowego Zachodu lub Kalifornii, dla których Nowy Jork był Berlinem. Pierwszy podniosłem rękę, żeby rzucić ceny, potem odzywałem się od czasu do czasu, żeby je podbijać. Licytacja była ożywiona, mój towar miał szalone powodzenie. Trzy dni, fantastyczne trzy dni, potok dolarów, podwajałem, czasem potrajałem ceny. Splaciłem Clarka. Wieczorem pomiędzy naczyniami na kuchennym stole ustawiłem przed moją staruszką małe stosiki: czeki, dolary, czeki. Kiwała głową, zachwycona, szczęśliwa, lecz jednocześnie niespokojna.*

*- Nie wyjedziesz już więcej? - spytała.*

*Wyjechałem dwa dni później. Ale skończyłem już ze statkiem, teraz naprawdę przeskakiwałem przez mur. Jeden sus samolotem do Frankfurtu, a stamtąd drugi do Berlina. Tolek oczekiwał mnie na lotnisku Tempelhof, uściskaliśmy się.*

*- Ruszyło się, Tolek! Ruszyło się.*

*Wziąłem taksówkę i objechałem antykwariszy. Podczas mojej nieobecności Tolek dał ogłoszenia do gazet i kupcy porozumiewali się z nami telefonicznie. Teraz nie targowałem się już o ceny. Przyjąłem zasadę: kupować i sprzedawać prędko. Zwielokrotniony mały zysk daje duży zarobek. Towar napływał. Berlin stał się dla mnie odległym przedmieściem Nowego Jorku, samolot - tramwajem. Przez kilka miesięcy*

*kręciłem się tak między dwoma kontynentami. Nabrałem upodobania do towaru francuskiego, zatrzymywałem się w Paryżu. W piątek, wczesnie rano, jeździłem na „pchli targ”, szukałem towaru „dla Amerykanów”: wesołych, bogato złoconych przedmiotów. W Paryżu widziałem niewiele, parę ulic, skrawek nieba; kupowałem nie targując się, tempo było moim atutem. Time is money. W poniedziałek wyjeżdżałem do Frankfurtu i do Berlina. Wkrótce włączyłem do moich podróży Londyn. Kupowałem, wskakiwałem do taksówki, do samolotu, spałem. Czasem mimo zmęczenia odczuwałem ochotę, żeby z kimś pogadać, wstępowałem do baru; niekiedy szukałem towarzystwa Jakiejś dziewczyny, ale kończyło się to zawsze rozczarowaniem. W Nowym Jorku spotykałem się z Małgorzatą, studentką, która kiedyś pracowała ze mną w hotelu w Fallsburgu. Była miła, łagodna.*

*- Żyj trochę wolniej, Mendel - mówiła, spoglądając na mnie, gdy na pół rozebrany paliłem, siedząc na brzegu łóżka. - Jesteś ciągle w biegu.*

*Próbowałem wyciągnąć się obok niej. Rozwidniało się, miałem mnóstwo towaru do skontrolowania na składzie. Wolałem pracę niż spokój, którego mogłem przy niej zaznać.*

*Może kiedyś Jakaś kobieta zdoła skłonić mnie do zwolnienia tempa, może któregoś dnia będę potrafił rozkoszować się odpoczynkiem. Wówczas, z taką kobietą, tylko z nią, zbuduję*

*moją fortecę.*

*Małgorzata nie miała pretensji, gdy odchodziłem.*

*- Naucz się być szczęśliwym, Mendle, ciągle gdzieś pędzisz.*

*Całowałem ją i odchodziłem, ale pamiętałem te słowa, które*

*zakłócały mi sen. To samo mówił Goldman. Kiedy wreszcie*

*będę mógł złożyć broń? Potem znów wpadałem w wir pracy.*

*Pewnego dnia, gdy podniosłem rękę w sali licytacyjnej, aby*

*podbić jakąś cenę, ktoś położył mi dłoń na ramieniu. Był to*

*Jack Ellis, jeden z gości hotelowych w Fallsburgu. Jack i Joe*

*mieli na Trzeciej Alei niewielki, trochę staroświecki sklep ze*

*składem. Zabrali mnie z sobą, zeszliśmy do piwnicy, wyobra-*

*załem już sobie poustawiane tam moje skrzynie, cisnących się*

*dokoła klientów. To był uśmiech losu. Jack i Joe zgodzili się;*

*jestem importerem, będę sprzedawał u nich, wypłacając im*

*pewien procent od transakcji.*

*Moja praca przybrała wówczas jeszcze szybszy rytm. Nowy*

*Jork, Londyn, Paryż, Frankfurt, Berlin, Frankfurt, Nowy*

*Jork, ulice tych miast, ich oblicza. Mówiący po rosyjsku lub*

*po polsku antykwariusze na „pchlim targu”, Berlińczycy*

*przesuwający się kolejno przez sklep w Trzeciej Alei, w*

*Berlinie - Tolek, taksówki, sen, który nagle walił się na mnie, i*

*te kilka minut wcześniej rano, gdy leżąc nieruchomo z*

*zamkniętymi oczami widziałem ich wszystkich, moich*

*najbliższych, ojca, matkę, braci, Rywkę i jeszcze innych,*

*których kochałem i których nigdy nie zapomnę. Potem zrywałem się, telefon, składy. Dla oszczędności często sam wyładowywałem ciężarówkę na Trzeciej Alei: osiemdziesiąt skrzyń, które trzeba było znieść do piwnicy i poustawiać jedną na drugiej; osiemdziesiąt skrzyń, które musiałem otworzyć. Klienci już czekali, przyjeżdżali z Los Angeles, z Houston, z Memphis, dekoratorzy, antykwariusze, kupcy, hurtownicy. „To dla mnie, pan mi obiecał!” Mrugałem okiem, odstawiałem dany przedmiot do jakiegoś kąta. Wciąż jeszcze byłem na peronie tramwaju, podrywałem worki zboża, podając je tragarzom. Potem znów ruszałem w drogę: Nowy Jork, Londyn, Paryż, Frankfurt, Berlin, Frankfurt, Nowy Jork.*

*Do Paryża przyjeżdżałem zawsze w piątek rano i zaraz gnałem na rynki, gdzie sprzedawano starocie: Yernaison, , Paul-Bert, Biron. Kupiłem sobie rower, którym pod moją nieobecność opiekowała się znajoma dozorczyńni, i jeździłem na nim, by zyskać na czasie. Zostawiałem go w pewnej odległości od sklepów, bo byłem przecież poważnym kupcem, amerykańskim antykwariuszem. Czasem w niedzielę, przed wyjazdem do Frankfurtu, wałęsałem się po ulicach, idąc za którąś z przechodzących kobiet. Lubiłem to miasto, rzekę, mosty. Siadałem w słońcu, zamykałem oczy, był wonny maj, ten most był mostem Poniatowskiego, za chwilę miałem spo-*

*tkać się z Zofią. Jedyne w Paryżu miałem ochotę spacerować bez celu. Ale nie miałem czasu.*

*W Berlinie rynek zaczynał robić się trudny.*

*- Niczego już nie ma, Mietek. , Tolek witał mnie teraz tym zdaniem, w którym było coraz więcej prawdy. Wszyscy amerykańscy antykwariusze rzucili się na Berlin, ogołacając z porcelany miasto i całe Niemcy. Tolek zaprezentował mi serię tac z zatartymi złotymi deseniami.*

*- To wszystko. Nie ma nic innego. Po prostu to, czym inni wzgardzili.*

*- Kupuj, Tolek, kupuj wszystko!*

*Znosił mi więc wyszczerbione kałamarze, odbarwione spodki.*

*- Zwariowałeś, Mietek - powtarzał.*

*Ale zarazłem go swoim zapalem i po dwudniowych poszukiwaniach znaleźliśmy starego rzemieślnika-malarza, który podjął się doprowadzić naszą porcelanę do zadowalającego stanu. Ilość klientów na Trzeciej Alei rosła ciągle, ale Tolek znów oświadczył:*

*- Naprawdę nie ma Już nic.*

*I tak było istotnie. Zostałem w Niemczech prawie dwa tygodnie.*

*- Wycofajmy się - radził Tolek. - Mamy już dosyć.*

*Ale nie osiągnąłem jeszcze swojego celu. Nie chciałem rezygnować. Szukałem i wreszcie znalazłem KPM, Królewską*



*Fabrykę Porcelany, żyłę złota.*

*Tolek śmiał się.*

*- Oszalałeś, Mietek. KPM produkuje wyłącznie dla królów i prezydentów.*

*Uważałem, że mogę się równać z jej założycielem, królem Saksonii, że my wszyscy, cały nasz naród, jesteśmy tyleż warci, co ci cesarze, królowie i książęta niemieccy, dla których wyłącznie KPM produkowała od początku XVIII wieku.*

*- KPM będzie pracować dla mnie, Mietka, Żydka z getta.*

*Procedura była długa i trudna. Rozmawiałem z dyrektorem, pertraktowałem, płaciłem, dawałem łapówki. Wreszcie pewnego dnia wielkie piece KPM zaczęły wypalać porcelanę dla mnie, uciekiniera z Treblinki. To była moja satysfakcja. A jednocześnie genialne posunięcie handlowe.*

*Fabrykowane przez KPM „antyki” były autentyczne. Dolary mnożyły się, a każdy tysiąc dolarów stanowił jedną ze ścian mojej twierdzy.*

*Zawsze stawiałem na szybkość, a KPM pracowała jak w XVIII wieku. Po kilku miesiącach nie byłem w stanie zaspokoić popytu; musiałem szukać innych rozwiązań.*

*Słyszałem o fabrykach w Bawarii; podczas jednej z podróży wynająłem samochód i pojechałem na południe. Lasy, doliny, niebo, okolice przypominały Rosswein i Doebbeln. Znajdowałem się teraz w innym świecie, a przecież o kilka kilome-*

*trów stąd na wschód zostawiłem towarzyszy, tych żołnierzy, którzy ukazali się na jednej z polskich dróg, wołając: „Na Berlin!” Jak potoczyły się losy tych bratnich żołnierzy? Zrobiłem rachunek sumienia: starałem się zawsze żyć zgodnie ze swymi zapatrywaniami, być sprawiedliwym. Spłacić, co byłem winien, i domagać się tego, co mi się należało. Ceniłem ludzi, prawdziwych ludzi, którzy są wszędzie, po obu stronach granic. Tak samo jak i oprawcy.*

*Zatrzymałem się w Mochendorfie, a potem w Hof. Nie opodal rozciągały się tereny górskie z wysokimi drzewami i rozległymi łąkami. Tu znalazłem się u źródła. Zwiedziłem jedną z fabryk w Mochendorfie, zobaczyłem robotników w białych kitlach, pochylonych nad wyrobami z porcelany, i innych, którzy doglądali pieców. Prosiłem o spotkanie z dyrektorem. Przyjął mnie w biurze, którego okna wychodziły na pola.*

*- Macie wielką tradycję - powiedziałem.*

*Uśmiechnął się, zadzierając głowę. Przypomniiał mi się Schultz, jak zadowolony, napuszony, przechadzał się po swoich „szopach” w getcie, a nas zmuszał do niewolniczej pracy. Schultz, którego aresztowano i wkrótce zwolniono. Teraz oni będą pracować dla mnie.*

*- Na pewno potrafią to zrobić w pana fabryce. Rozłożyłem na biurku modele, fotografie. Próbował się bronić, ale przerwałem mu:*

*- Płacę, kupuję wszystko.*

*W końcu zawarliśmy transakcję. W Hof również dopiąłem swego. Teraz byłem już nie tylko importerem i fabrykantem autentycznych antyków, ale również naśladowcą. Jechałem spokojnie do Frankfurtu: wprawilem w ruch maszynę i zaczęła się już obracać. Najtrudniejszy jest zawsze pierwszy skok, ale nigdy dotąd nie przesadzało się muru, a trzeba uczepić się jadącego tramwaju, nie wiedząc, jak zareaguje granatowy na peronie. Potem wszystko jest już proste, ryzykuje się życie, ale to też przechodzi w rutynę. Oplynałem cypel, pokonałem przeszkody, teraz unosił mnie prąd.*

*Zatrzymałem się w Norymberdze. Oto miasto, gdzie się zbierali, gdzie narodziło się zło, które zniszczyło miliony istnień ludzkich. Jadąc ulicami starałem się zrozumieć, wyobrazić sobie te czasy, gdy tutejsi ludzie pozwolili się otumanić. Mimo zniszczeń miasto nacechowane było szlachetnym pięknem. Przejechałem przez mosty na rzece Pegnitz, przyglądałem się ciemnym murom kościoła, pokręciłem się trochę po starych ulicach, a także po Hauptmarkt. Tu bruk był wyszczerbiony, wyboisty, jak w Cherbourg i na Milej. Patrzyłem na przechodzących obok ludzi, takich samych jak wszędzie, na dzieci; kilka lat temu zło porwałoby ich, zgromadziłyby się na stadionie, wśród wrzasków, w świetle reflektorów. Nigdy już nie wolno dopuścić, żeby to zło się znów*

*odrodziło.*

*We Frankfurcie wsiadłem do samolotu i wróciłem do Nowego Jorku, do mojej babki i braci Ellis. Sypało się coraz więcej zamówień. Wkrótce nadszedł towar wyprodukowany w Mochendorfie i w Hof. Rozkupiono wszystko natychmiast po wylądowaniu. Inkasowałem dolary, lokowałem je, inwestowałem.*

*Pewnego wieczoru, powróciwszy bardzo późno ze spotkania z Małgorzatą, znalazłem babcię w moim pokoju. Owinięta szalem spała, wyciągnięta na łóżku, siwe włosy splecione w dwa warkocze spadały jej na ramiona. Lekki oddech nieznacznie unosił pierś. Przez chwilę stałem patrząc na nią, taka była wątła, taka chuda. Nagle obudziła się. Wyciągnąłem rękę, żeby pomóc jej usiąść.*

*- Czekałam na ciebie.*

*- Ależ babciu, to przecież nie ma sensu!*

*- Musisz się pospieszyć, Marcinku. Nie zrozumiałem.*

*- Jeżeli chcesz, żebym zobaczyła twoje dzieci. Teraz jesteś już bogaty.*

*- Mamo, mamo!*

*Dławił mnie niepokój. Jej postać przypominała rzeczywiście ciała tych starców, których brałem w ramiona w „lazarecie” w Treblince.*

*- To może się zdarzyć lada dzień, Marcinku, lada dzień,*

*może jutro. Jestem stara.*

*Przytulilem ją do siebie, gładziłem jej włosy, szeptałem:*

*„Mamo, mamo!”, ale ona potrząsała głową.*

*- Lada dzień. Pospiesz się.*

*Zacząłem żartować. Przysiągłem, że ożenię się zaraz naza-*

*jutrz; potem, gdy położyła się w swoim pokoju, poszedłem*

*pocałować ją na dobranoc. W jej twarzy widziałem tylko nie-*

*bieskie oczy, przypominające oczy dziecka.*

*- Spiesz się - powtórzyła.*

*Nie mogłem zasnąć. Miałem teraz pieniądze, byłem obywa-*

*telem amerykańskim, importerem, fabrykantem, niedługo*

*otworzę filię w Kanadzie, drugą w Hawanie. Posiadałem nie-*

*ruchomości, spekulowałem na giełdzie. Jeździłem z jednej*

*stolicy do drugiej, moje przedmieścia nazywały się Paryż i*

*Berlin. Zdobyłem wiele, ale nie osiągnąłem celu, dla którego*

*robiłem to wszystko. Byłem samotny. „Mama” mogła umrzeć*

*lada dzień. Byłem sam, otoczony martwymi przedmiotami,*

*pośród skrzyń, dolarów, całej tej fortuny. I nie wyobrażałem*

*sobie, żeby to mogło się zmienić. Sypiałem w różnych łóżkach,*

*zmieniałem kobiety, ale żadna nie zdołała zagłuszyć we mnie*

*głosów, zatrzeć wizji twarzy, miejsc, które mnie nawiedzały.*

*Byłem z tymi kobietami w chwili uścisku, a potem leżałem*

*obok z papierosem w ustach, zapominając o ich istnieniu,*

*wydany na pastwę wspomnień o Rywce lub Zofii, o mojej*

*matce, braciach, o żółtym piasku. O tym myślałem po chwili  
pieszczot.*

*O świcie zatelefonowałem do Małgorzaty. Z nią jedną wi-  
dywałem się regularnie, ale po co wiązać ją ze mną? Ona też  
nie zaznała w życiu wiele szczęścia. Po co jej te zmory, które  
tak mnie dręczą, po co ma cierpieć, wiedząc że jestem zawsze  
daleko? Poszedłem do jej małego mieszkania w Brooklynie,  
niedaleko Flatbush Avenue. Wprowadziła się tam, gdy wysta-  
rałem się dla niej o posadę dekoratorki u zaprzyjaźnionego ze  
mną antykwariusza Wolкера. Otworzyła mi drzwi jeszcze za-  
spana, w szlafrocжку, z filiżanką kawy w ręku.*

*- Czy coś się stało, Mendel? Pocałowałem ją z  
roztargnieniem*

*- Chodź tutaj - rzekła. . . . i*

*Kazała mi zdjąć marynarkę.*

*- Siadaj i mów. Proszę!*

*Podawała mi swoją filiżankę.*

*- Wypij. Jest gorąca.*

*Chciałem porozmawiać z nią o sobie - co takiego tkwi we  
mnie, dlaczego jestem w ciągłym pędzie, skąd bierze się to  
nagle uczucie pustki, niemożność otrząśnięcia się ze wspo-  
mnień, gdy jestem z inną kobietą?*

*- Nawet z tobą, Małgorzato.*

*- Wiem, wiem.*

*- Pobierzemy się - oznajmiłem nagle. - Będziemy mieć | dzieci.*

*- Wypij, Mendel.*

*Pochyliła się ku mnie, gładząc mi włosy.*

*- Szukasz i szukasz. Ale to przyjdzie samo lub nigdy.*

*Znajdziesz kobietę albo nie. Ale ja na pewno nie jestem tą, której szukasz.*

*- Dlaczego nie?*

*- To stanie się nagle, nieoczekiwanie. Ty nie jesteś z tych, co kierują się rozsądkiem. Małżeństwo z rozsądku, jakie mi proponujesz, to nie dla ciebie.*

*Tak samo mówił Goldman. Ucałowała mnie.*

*- Zaslugujesz na to, by znaleźć.*

*Przytulilem ją do siebie; to była serdeczna przyjaciółka, dobra koleżanka, ale nie mogła zapełnić tej otchłani rozpaczy, która tak często otwierała się przede mną. Przespałem się u niej trochę, po czym wróciłem do martwych przedmiotów, które zapełniały mi życie. Wytwórnice w Mochendorfie i Hof pracowały dla mnie; nadal dokonywałem zakupów w Paryżu i Berlinie, oprócz dzieł sztuki importowałem również inne rzeczy: tryby kręciły się, dolary rodziły dolary. Podsuwano mi rozmaite pomysły: kupowałem i sprzedawałem europejskie samochody, zamawiałem w Paryżu antyczne żyrandole, o które błagali mnie klienci ze Wschodniego Wybrzeża, z Południa i Środkowego Zachodu. Byłem bogaty, ale mu-*

*siałem coraz więcej pracować, starając się w ten sposób za-  
pełnić otchłań, odpędzić zmory. Podróżowałem w coraz to  
szybszym tempie. Tolek powtarzał:*

*- Przypominasz mi galopującego konia. Któregoś dnia wy-  
stąpi ci piana na ustach.*

*Szedłem, szedłem prosto przed siebie.*

*Gdy pewnego wieczoru wylądowałem w Idlewłld, przed ko-  
morą celną podeszła do mnie stewardessa i podała mi bilecik.*

*Nim zdążyłem go przeczytać, już miałem przy sobie po obu  
stronach dwóch młodych mężczyzn o przystrzyżonych krótko  
włosach.*

*- Pan Gray? Prosimy do kontroli celnej.*

*W ich asyście wyszedłem z kolumny pasażerów. W od-  
dzielonym pomieszczeniu poddano mnie długiemu przesłucha-  
niu, a następnie gruntownej rewizji. Przynieśli wszystkim mój  
bagaż.*

*- Ale czego szukacie?*

*Nie odpowiedzieli, ale wiedziałem, że byli z FBI. Kazali mi iść  
ze sobą do magazynu portowego; skrzynie stały tam już  
otwarte.*

*- Dobrze - powiedzieli wreszcie.*

*Potem musiałem się udać do składu na Trzeciej Alei.*

*Sprawdzili moje książeczki czekowe, rachunkowość. Znosiłem  
to w milczeniu; byli władzą najwyższą, bezapelacyjną,*



*nieubłaganą. Niczego nie znaleźli.*

*- Zwyczajna kontrola celna - powtórzyli na odchodnym.*

*Ten banalny epizod bez żadnych konsekwencji stargał mi jednak nerwy. Bo przecież w każdej chwili, zmobilizowane przez jakiegoś zazdrosnego konkurenta, bezimienne siły mogą zniszczyć wypracowaną mozolnie strukturę, tak jak wroga armia i wojna burzy życie ludzkie.*

*Kiedy będę bezpieczny, wolny? Wsunąwszy rękę do kieszeni, natrafiłem na bilecik, który dała mi stewardessa i o którym zupełnie zapomniałem.*

*„Proszę natychmiast przyjechać na 567 Ulicę, Feld...”*

*Wpadłem w dół z żółtym piaskiem.*

*Znałem ją zawsze*

*Leżała na swoim łóżku, już ubrana, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Koło niej siedział mój wuj. Jej nieruchome wargi były wąskie, zaciśnięte, jakby wessane do wnętrza w ostatnim głębokim oddechu. Była chuda, taka chuda, ubrana odświętnie w te same rzeczy, które nosiła w porcie pierwszego dnia, gdy zobaczyłem ją w tłumie na końcu korytarza; a zbliżałem się do niej od placu Muranowskiego, od chwili, gdy ojciec wspomniiał mi o niej tamtej nocy, w wigilię naszego powstania w getcie. To samo miała na sobie, gdy siedziała wyprostowana w moim niebieskim samochodzie, w drodze do Atlantic City. To była jej odzież*

*żałobna i odświętna, z niedrogiego, cienkiego materiału; i  
gładziłem palcami tę taniutką tkaninę, która spowijała całość  
jej bogactwo, jej życie. Och, mamó, mamó, wciąż żałoba! Tylu  
już dotykałem zmarłych, tyle widziałem zwłok! Och, mamó, i  
ty także! Poszedłem wypłakać się w kuchni. Łkałem głośno.  
Wraz z nią umarło wszystko, ja także zmarłem; och, mamó!  
Dotykałem przedmiotów, naczyń, stołu, potem wróciłem do  
jej pokoju. Leżała martwa i nigdy już nie będę mógł niczego  
jej dać. Odjeżdżałem od niej, sprzedawałem, kupowałem,  
wskakiwałem z samolotu do taksówki, wzbogaciłem się,  
żyłem dla samego siebie, jak dzikus, zostawiałem ją samą.  
Powinienem był żyć przy niej i dla niej, doglądać jej, tulić w  
ramionach, taką szczupłą, taką wątłą jak małe dziecko.  
Nie mogłem wytrzymać w domu. Wyszedłem, wałęsałem się  
po ulicach, po barach i stacjach metra. Opuściłem ją. Żegnaj,  
mamó, żegnaj! Godzinami chodziłem w kurzu i hałasie. W  
środku nocy, może była to już druga noc, zjawilem się u  
Małgorzaty. Bez żadnego wyjaśnienia zacząłem płakać, za-  
nosić się łkaniem.*

*- Mendle, Mendle!*

*Nie powiedziała nic więcej, ale jej głos dobrze mi robił.*

*Rozdzierał mnie ten płacz, wsłuchiwałem się w swoją mękę,  
chwilami wychodziłem z siebie, ja, Mietek, waliłem się pię-  
ściami po kolanach z rozpacz, charczałem, tonąłem. Wresz-*

*cie odzyskałem trochę panowania nad sobą.*

*- Nie mam tu już nic do roboty, Małgorzato. Nie mam już sił*

*Nie zroszowała.*

*- Po co mam żyć?*

*- Jesteś zmęczony - rzekła. - Ty śmiesz tak mówić? Tak myśleć,*

*ty, Mendel?*

*Och, mama, całe jej życie, jej uśmiech, dłonie, które za-*

*gniatały ciasto, pytania, jakie zadawała mi przed wyjściem,*

*gdy zabierałem ją do Fallsburga lub do Lakewood.*

*„Czy uważasz, że mi do twarzy w tym kapeluszu, Marcin?”*

*„Wyglądasz jak młoda dziewczyna, mamo. Istna młoda*

*dziewczyna”.*

*Cała wieczność cierpienia, radości, miłości, zrozumienia,*

*wszystko to zmarnowane, zagrzebane w ziemi. Nigdy nie po-*

*godzę się ze śmiercią, a śmierć „mamy” otwierała znów tamte*

*doły, gdzie leżeli moi bliscy i wciągali mnie za sobą.*

*- Nie masz prawa, Mendel, dobrze wiesz, że nie masz prawa -*

*powtarzała Małgorzata.*

*Była moją serdeczną przyjaciółką, chciała mi pomóc. Poje-*

*chaliśmy na kilka dni do Fallsburga, po czym zostawiła mnie*

*tam samego w hotelu, wśród lasów. Wiosłowałem na jeziorze,*

*chodząc, aż niemal padałem ze zmęczenia. To był okres*

*wielkiej próby: biłem się, żeby przeżyć, żeby świadczyć i po-*

*mścić moich bliskich, utrwalić pamięć o nich, zbudować*

*twierdzą, mieć dzieci. Niezmordowanie szedłem do celu, wyskakiwałem z okien, kryłem się w piwnicach, przyczepiałem się do podwozia ciężarówki, skąpałem w łajnie, zabijałem, tropiłem bestie o ludzkich obliczach, podejmowałem najszaleńcze ryzyko, sto razy zmieniałem sposób życia. I ciągle zostawałem sam, ciągle mówiłem komuś: „Żegnaj, żegnajcie, moi najdrożsi, żegnaj, rudowłosy towarzyszu, żegnaj, mamo!” Byłem śmiertelnie znużony. Trzymasz się jeszcze, Mietek, ale stoisz jak toczona chorobą drzewo, kora wygląda pięknie, ale pień jest wewnątrz pusty. Byłem chory z nadmiaru samotności i nieszczęść. Po co przywiązywać do siebie kobietę, po co dawać życie, któremu wszystko zagraża? Po co wznosić twierdzą - dla kogo? Dla kogo?*

*Chodziłem po deszczu i w śniegu. Fallsburg opustoszał chłostany zimnym, północnym wiatrem. Gdy czasem świeciło słońce, zdawało się zamrażać niebo zamiast je ogrzewać. Dla kogo ta moja forteca? Nie miałem prawa odbierać sobie życia, ale nie miałem także prawa dawać życia. Mogłem tylko istnieć, jak te mrówki, podążające nieustannie tą samą drogą. Dotrę do końca, ojczy, ale teraz cel mi umyka. Zrobiłem to, co sobie postanowiłem: przeżyłem, biłem się, pomściłem was. Odnalazłem babkę, pomagałem jej żyć, nie tak jak powinienem, ale tak jak mogłem, zgromadziłem kamienie, żeby zbudować sobie twierdzą, jestem gotów. Ale nieszczęście tkwi we*

*mnie, a otacza mnie próżnia. Dla kogo forteca, po co?*

*Stałem się mechanizmem, punktualnym zegarem, który wykonywał wszystko, czego od niego wymagano: spotkania z dekoratorami, telefony do Clarka, depesze do Mochendorfu lub do Hof. Pracowałem sumiennie, nie spóźniałem się na samoloty, nie opuszczałem licytacji. Moje interesy nigdy nie szły lepiej, stałem się pochłoniętym bez reszty swoją pracą importerem, fabrykantem, businessmanem pozbawionym pozornie wszelkich kłopotów, odpowiedzialnym, pomysłowym. Mogłoby tak trwać do końca życia, inkasowałem, inwestowałem, kupowałem, inkasowałem; tak mijały tygodnie, miesiące. Potem zacząłem odczuwać bóle w plecach i rodzaj odrętwienia, promieniującego od nasady szyi na barki. Bolało mnie oko zranione przez niemieckiego żołnierza w Warszawie. W nocy męczyły mnie zmory. Rano wstawałem z trudnością. Ale nie zmieniłem trybu życia, inkasowałem, inwestowałem, kupowałem. Potem nowe ziarnko piasku zaczęło zakłócać pracę maszyny. FBI nie dawało mi spokoju, rewidowano mnie przy każdej podróży, traciłem przez to mnóstwo czasu. Po wylądowaniu zastawałem pootwierane skrzynie, czasem kilka stłuczonych sztuk porcelany. Przepraszali mnie, wypłacali odszkodowanie, ale następnym razem zjawiali się znów, przekonani - przez kogo? - że przewożę narkotyki lub że*

*okradam władze skarbowe. Przyzwyczailem się w końcu do tego ziarnka piasku i w urzędzie celnym na lotnisku Idlewild uprzedzałem policjanta, przerzucającego kartki grubej książki w czarnej oprawie: - Figuruje w tej książce, proszę, jestem gotów. Ale były jeszcze inne ziarnka, nieoczekiwane, bolesne jak ostrzeżenia. Leciałem samolotem z Montrealu do Londynu. Pasażerowie spali, ja drzemałem, spoglądając w ciemność. Nagle uczulem, że samolot przechyla się i zobaczyłem niebieskie i żółte płomienie, wydobywające się z jednego z silników. Podeszła do mnie stewardessa, zaciągnęła zasłonę na okienku i położywszy palec na ustach, wskazała innym pasażerów. Milczałem, zaciskając pięści ze złości, że nie mogę nic zrobić, że zmuszony jestem zdać się na innych. Wreszcie bez żadnych trudności wylądowaliśmy w Montrealu, a w parę godzin później odleciałem innym samolotem, ale zapomniałem zatelegrafować do oczekującego mnie w Berlinie Tolka, że spóźnię się o dzień lub dwa. Zatelefonowałem do niego z lotniska. Ucieszyłem się słysząc jego głos i opowiedziałem mu o wypadku, który opóźnił moje przybycie.*

*- Mogę się z tobą zobaczyć dopiero wieczorem - powiedział Tolek - ale bardzo mi zależy, żebyśmy się dziś spotkali. Odłożyłem słuchawkę bez dalszych wyjaśnień. Przez cały dzień załatwiałem interesy, a gdy przyszedłem do niego, nie*

*myślałem już o nie skrywanym gniewie. Jaki brzmiał w jego głosie podczas naszej rozmowy telefonicznej. Zastąpiłem go w domu z dziewczyną, którą znał od niedawna.*

*- Trzeba porozmawiać poważnie, Mietek.*

*Byliśmy braćmi; razem wkroczyliśmy do Berlina, ucałowaliśmy się, gdy żołnierze powiewali sztandarem zwycięstwa.*

*Wiedział o mnie wszystko. On i ja byliśmy jednym. A teraz brutalnie niweczył to wszystko.*

*- Myślisz tylko o sobie, Mietek, wydajesz rozkazy, jesteś dyktatorem. Nie mogę dłużej pracować z tobą. Rozliczmy wszystko.*

*- Jak chcesz, mój drogi.*

*Siedliśmy naprzeciwko siebie. Dziewczyna nie miała dość taktu, żeby zostawić nas samych. W jej obecności nie potrafiliśmy znaleźć słów pojednania, zdobyć się na gest braterstwa.*

*Paraliżowało mnie zmęczenie, smutek, uczucie zdumienia.*

*Zarzucałem sobie, że pogrążony w pracy nie miałem czasu na długie rozmowy z Tolkiem i oddaliliśmy się od siebie jedynie na skutek znużenia i ciężaru życia.*

*- Uporządkujmy nasze interesy - powiedział.*

*Nigdy dotąd nie rozliczaliśmy się, byliśmy braćmi. Teraz zaszła taka konieczność. Może odnajdziemy się któregoś dnia w przyszłości, jeżeli będziemy żyć w pokoju. Żegnaj, Tolku.*

*Pozostajesz we mnie, jak żywa część mojej istoty. Żegnaj!*

*Szedłem, szedłem prosto i dotrę do końca. Nie zmieniłem*

*trybu życia. Lekarze orzekli u mnie krańcowe wyczerpanie.*

*- Teraz pan płaci za swoje wyczyny - powiedział jeden z nich.*

*Z trudem unosiłem ramię; to była pamiątka z Pawiaka, gdy*

*związawszy mi z tyłu ręce, powiesili mnie za nadgarstki.*

*Płaciłem. Czy nie wyrównałem jeszcze tych rachunków? Któr-*

*regoś czwartku zatelefonowała Małgorzata.*

*-Jestem cała w skowronkach. Mendel. Mam dla ciebie miłą*

*niespodziankę. Twój „przyjaciel” Wolker powierzył mi bardzo*

*interesującą robotę.*

*Wolker kopiował moje modele importowane z Mochendorfu, z*

*Hof i Berlina; okazało się, że znalazł w Japonii fabrykantów,*

*których ceny były o 60% niższe od moich.*

*-Ty kopiujesz Niemców, a Japończycy ciebie - mówiła*

*Małgorzata ze śmiechem. - Sprawiedliwości stało się zadość.*

*Miałem szczęście w interesach; przed przybyciem porcelany*

*japońskiej zdołałem upłynnić prawie wszystko mój towar. Ale*

*zostałem sam, bez Tolka, bez Wolкера, ziemia rozstępowała*

*mi się pod nogami. Powodziło mi się dobrze, a moi bliscy*

*umierali, odnosiłem coraz to nowe sukcesy, a bracia*

*opuszczali mnie. Grzązłem, jak w tych moczarach, których*

*tak się bałem w polskich lasach. Ale mój mechanizm pozostawał*

*sprawny. Zareagowałem szybko: zadepeszowałem do*

*Niemiec, polecając wstrzymać produkcję. W przestronnym*



*biurze z oknami wychodzącymi na pola i łąki dyrektor fabryki w Mochendorfie zapewne przeklinał tego Amerykanina, który obiecał mu ogromne rynki zbytu.*

*Była sobota. Na dworze smętnie, zimno, szaro. Od śmierci babki zajmowałem nad składem w Trzeciej Alei pomieszczenie pełne skrzyń, niepotrzebnych mebli, bałaganu. Bałem się weekendów, samotności. Leżąc na rozgrzebanym łóżku przypomniałem sobie nagle o modelach, które zostawiłem w Mochendorfie, bardzo pięknych, wartych małą fortunę obiektach, które powinienem odzyskać. Nie mogłem wyjechać przed wtorkiem. Należało natychmiast napisać do Mochendorfu, wyjaśnić, o co chodzi, zapowiedzieć swój przyjazd. Nie umiałem dobrze pisać po niemiecku, a biura, gdzie miałem znajome sekretarki, są zamknięte w sobotę. Pomyślałem, że może Małgorzata zna kogoś, kto mógłby pomóc. Zadzwoiłem do niej, ale nikt nie odebrał telefonu. Wielokrotnie nakręcałem jej numer. Możliwość napisania owego listu w tę samotną sobotę stała się dla mnie obsesją, najważniejszą sprawą życiową. Wszystko stracić lub wszystko wygrać. Zatelefonowałem ponownie. W końcu pognałem na Brooklyn, zadzwoniłem do drzwi Małgorzaty, zostawiłem krótki liścik. Zatelefonowała do mnie wieczorem.*

*- Co za dziki pomysł, Mendell Masz przecież czas. Nie miałem czasu, ten list to dla mnie gardłowa sprawa. Roześmiała się.*

*- Jest u mnie ranna dziewczyna, nie mogę zostawić jej samej.*

*Ona zna trochę niemiecki.*

*- Już przychodzę.*

*Ponownie wybiegłem z domu. Zaczął padać śnieg, rzadkie, szare płatki wirowały wolno w powietrzu. Przed domem Małgorzaty poślizgnąłem się na chodniku i wstałem okryty błotem. Zadzwonilem i zobaczyłem Dinę. Stała przede mną, była żywym, uśmiechnęła się, a potem zmrużyła jedno oko.*

*- Wygląda pan dość dziwnie - rzekła.*

*Uśmiechała się, staliśmy nieruchomo. Czulem, że podnosi się we mnie fala śmiechu, jak rozkołysane morze, od mięśni brzucha aż do karku. Życie. Przede mną stało życie. Zacząłem się śmiać. W jednej chwili ustąpił ból, rozluźniła się ścisnąca mi skronie żelazna obręcz, śmiałem się. Weszła Małgorzata, uśmiechnięta, życzliwa, drugoplanowa.*

*- Co za wariat z ciebie, Mendel - rzekła.*

*- On jest wesoły, a ja zabawna.*

*Dina zrobiła komiczną minę i zaczęła śmiać się wraz ze mną. Potem na jednej nodze pokuśtykała do fotela, starając się nie urazić kostki w gipsowym opatrunku.*

*- Nie przedstawiłam was - powiedziała Małgorzata.*

*- Jesteśmy już starymi przyjaciółmi - rzekła Dina. Znałem ją zawsze, choć niczego o niej nie wiedziałem; wiek, nazwisko, wyznanie, to wszystko czcze słowa, umowne określenia. Była*

*tutaj, siedziała w fotelu, spoważniawszy nagle uniosła dłoń  
opadające jej na kark włosy; tchnęła we mnie życie, siłę,  
radość, ufność. Odkąd ją ujrzałem, stałem się znów drzewem  
pełnym życiodajnych soków. Zacząłem mówić, wybuchy  
śmiechu przerywały mi słowa w połowie. Czas mijał.*

*- A twój list? - przypomniała Małgorzata.*

*- Dina pójdzie ze mną, pokażę Jej. Podniosła się.*

*- Mogę chodzić.*

*Uczepiła się mego ramienia. Sypał jeszcze śnieg, byłem  
szczęśliwy, czując jej ciężar, jej dotyk, była dla mnie kimś  
najbliższym, od zawsze.*

*- Nie spieszmy się - rzekłem.*

*Czas przestał się liczyć. Ulice Nowego Jorku były puste, spod  
naszych opon tryskały fontanny błota. Mówiłem bez żadnych  
hamulców, mogłem powiedzieć jej wszystko, przyjmowała w  
siebie mój głos. Od czasu do czasu przerywała mi, zadawała  
pytanie dotyczące jakiegoś szczegółu, dwa albo trzy słowa,  
które otwierały nowy upust moim zwierzeniom. Zatrzymałem  
samochód przed moim domem i mówiłem dalej, a śnieg  
pokrywał powoli przednią szybę, odgradzając nas od ulicy.  
Opowiedziałem jej o getcie, o partyzantce, o dołach, a potem o  
ojcu, Rywce, Zofii, wszystkich najbliższych, wyznałem jej  
moje marzenie, że chcę zbudować twierdzę. Dla kogo? Wtedy  
ona z kolei powiedziała mi, że rozwiodła się z mężem, byłym*

*więźniem obozów koncentracyjnych, mówiła o swojej rodzinie, rozproszonej po całym świecie, w Holandii, Australii, Afryce. Powiedziała mi, że jest protestantką.*

*- Już bardzo późno - zauważyła w końcu.*

*Musiła wracać. Wsiadłem, aby odgarnąć śnieg. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym przejechaliśmy wolno ulicami Nowego Jorku. Mieszkała na Manhattanie. Odprowadziłem Ją do samych drzwi. Staliśmy oparci o siebie. Miała wyjechać do Holandii, ja - do Niemiec. Napisałem mój adres na świstku papieru.*

*- A pana list?*

*- Porcelana, co to takiego?*

*Roześmieliśmy się oboje. Potem staliśmy w milczeniu.*

*Przejeżdżające wolno samochody oświetlały nas w regularnych odstępach czasu. Słuchałem jej oddechu, zdawało mi się, że słyszę bicie jej serca, widzę, jak podnosi się jej pierś.*

*- Gdyby pani miała ochotę, proszę wstąpić, zobaczyć, jak mieszkam, podczas mojej nieobecności.*

*Wszystko stracić lub wszystko wygrać. Podałem jej kartkę z moim adresem i klucze. Zawahała się chwilę, po czym wsunęła klucze do torebki i podarła karteczkę z adresem.*

*- Adres jest niepotrzebny. Mam dobrą pamięć. Nie wiedzieliśmy, jak i po co się rozstać.*

*- Chciałabym mieć dzieci z takim mężczyzną, jak pan - rzekła*

*nagle.*

*Mrugnęła do mnie i utykając weszła do swojej kamienicy.*

*Była życiem.*

*Teraz nastąpiły najdłuższe dni, trawiła mnie gorączka.*

*Godziny wlokły się niemiłosiernie. Nie byłem w stanie napisać listu, nie chciałem telefonować. Odwiedziłem Paryż, Berlin, Mochendorf. Odzyskałem swoje modele, spierałem się z dyrektorem, likwidowałem kontrakty, dawałem nowe zamówienia. Nieomal się rozdwoiłem, chodziłem po Mochendorfie, targowałem się o żyrandole w Paryżu, a ten drugi ja był z nią na Trzeciej Alei i na Manhattanie. Wszystko wygrać lub wszystko stracić. Może to już koniec gry, a te ostatnie miesiące były ostateczną próbą, jak w Zambrowie, gdy zrezygnowałem z ucieczki przez płot. Nie miałem się o co zahaczyć, aby go przesadzić, i nagle wyczułem dłonią wystające deski, które pozwoliły mi podciągnąć się w górę. Ostatnia przeszkoda przed bezpiecznym lasem.*

*W przeddzień wyjazdu z Paryża wysłałem do niej na mój nowojorski adres depeczę, podając tylko jej imię, gdyż nazwiska nie znałem. Na lotnisku Idlewild żartowałem, gdy rewidowano mnie jak zwykle, po czym wsiadłem do taksówki.*

*Zapadł już zmrok, sklepy były pozamykane. Stojąc na chodniku przed wejściem do domu wyjąłem z kieszeni pęk kluczy, odłączyłem te, które otwierały moje mieszkanie i ci-*

*snąłem je daleko w pustą ulicę. Wszystko stracić lub wszystko wygrać. Na klatce schodowej było ciemno, cicho, nie dola-  
tywał dźwięk stłumionej muzyki, nie widziałem najmniejszej smugi światła.*

*Zapukałem do drzwi.*

*Ujrzałem ją przed sobą, moje nowe życie. Uśmiechnęła się, a potem mrugnęła figlarnie. Dostrzegłem w głębi nowe meble.*

*- Dałeś mi klucze, więc przeprowadziłam się - rzekła. - Nie lubię Manhattanu.*

*Wszedłem, owionął mnie delikatny zapach. Miałem dom, nie byłem już sam.*

*Część czwarta*

*Szczęście*

*Nareszcie spokój i radość*

*Od dwudziestu lat byłem w biegu: żeby przemyścić worek zbo-  
ża, żeby uratować życie, pomścić tych, których kochałem,  
sprzedać chusteczki i szaliki w wieżowcach w Brorude; lata-  
łem z Nowego Jorku do Paryża, do Berlina i Londynu. Moje  
dotychczasowe życie wydawało mi się drogą pod górę, przy  
czym szybkość wciąż się zwiększała, zakręty były coraz  
ostrzejsze, a ja nie umiałem, nie mogłem, nie chciałem zwal-  
niać, i coraz trudniej przychodziło mi kierować życiem, które  
mi się wymykało; nabierałem coraz większego rozpędu. Cza-  
sem musiałem walczyć z pokusą zejścia z tej trasy, gdzie za*

*każdym zakretem, za którym spodziewałem się ujrzeć bez-  
pieczną równinę, pojawiał się nowy stok, następny wiraż. Po-  
tem, gdy byłem już naprawdę bliski utraty kontroli, spotka-  
łem Dinę.*

*Była jak szeroka rzeka, spokojna, silna, kojąca. Uczyła mnie  
żyć, bo sama była życiem. Nie mogłem się napatrzeć, gdy  
wybierała jakiś obraz, nacieszyć, gdy czytała na głos wiersze  
Rilkego lub Rimbauda albo biorąc mnie pod rękę puszczała  
jakąś płytę i szeptała: „Słuchaj, zamknij oczy i słuchaj  
muzyki”.*

*Długo żyłem wśród zgrzytów i wrzasków, w spustoszonej,  
zdziczałym świecie, ale wiedziałem, że istnieje również inne  
życie ludzi, którzy nie wyzbyli się człowieczeństwa.*

*Odnalazłem je teraz. Spędziłem całe lata, przebijając się przez  
dni i miesiące, jak ciśnięty z furii kamień; teraz było rano, za-  
pach grzanek i kawy, gdy Dina wstawała. Krzątała się koło  
mnie, prześliczna, i mogłem bez niepokoju wziąć ją w ramio-  
na, nie groziła Jej wojna ani Treblinka. Zatrzymywałem ją,  
ilekroć przechodziła, chciałem dotknąć życia, przyjrzeć się jej  
urodzie, upewnić się, że mam ją przy sobie, taką piękną, gib-  
ką, żywą. Teraz był dzień, noc, jej życie, które otwierała  
przede mną. Gdy mówiła, śledziłem ruch jej warg, mówiłem z  
nią razem, stawiałem się nią samą. Ona też miała w życiu złe  
okresy. Wyszła za męża za byłego deportowanego i dla niego*

*opuściła Holandię. Ale nie rozumieli się i po wielu tarciach doszło do rozwodu. Potem samotność, zawód modelki, tęsknota za Europą, za spokojnym, prostym życiem, lekturą, dziećmi, drzewami. Jej także marzyła się forteca.*

*Kiedy dzwonił telefon, najczęściej nie podnosiłem słuchawki.*

*- Chcę mieć cię tylko dla siebie - mówiła. - Masz już dosyć dolarów. Zlikwidujmy wszystko i wyjedźmy.*

*Kryłem się w jej ramionach, a ona w moich, byłem jej ojcem, ona moją matką, byliśmy rodzeństwem, jej głowa była stworzona, by spoczywać na moim ramieniu, a całe jej ciało dla mojego. Gdy jej dotykałem, kładłem się obok niej, miałem ochotę wołać: „Nareszcie, nareszcie!” Darzyła mnie spokojem i życiem. Odradzałem się. Wszystko uspokajało się, życie nabrało sensu, miałem rację, że walczyłem, że nie chciałem umrzeć, wierząc, że i dla mnie nadejdzie czas pokoju. Przyszedł późno, gdy przestałem się już go spodziewać, gdy „mama” nie mogła już cieszyć się moim szczęściem. Ale Dina była przy mnie, widziałem ją, słyszałem, pieściłem, kochałem. Była moim ukojeniem: serdeczna, radosna. Śmiałem się z nią razem, odprężony i spokojny.*

*Prowadziła mnie, ukazywała mi nowy świat. Odkrywałem książki, muzykę. Poznałem jej przyjaciół: Grosza, Jacobiego i innych niemieckich intelektualistów, którzy uciekli z hitlerowskich Niemiec w tym samym czasie, co Brecht, i żyli bez*



rozgłosu w Huntington. Obcując z nimi poznałem nowe oblicze człowieka: ci ludzie potępiali przemoc, nie dbali o pieniądze; to byli twórcy, żyli dla swoich dzieł, swoich idei. Dina należała do tego klanu. Siedząc wśród nich rozprawiała o Bachu, komentowała malowidła Jacobiego. Przysłuchiwałem się, gdy wypowiadała swoje poglądy, rzucała pomysły, śmiała się. „Szampańska Dina” - mówił, mrugając do mnie, Jacobi. Była życiem.

Postanowiliśmy wziąć cichy ślub; świętowaliśmy nasze szczęście, codziennie, we dwoje. Zatelefonowałem do wuja, a Dina do Małgorzaty. Czekaliśmy na nich, spacerując wolno po City Parku. Trawniki pokrył śnieg, drzewa iskrzyły się w słońcu. Szliśmy, obejmując się w pół.

- Pamiętasz, pierwszego wieczoru mówiłam o dzieciach.

Będziemy mieć małych Marcinków, upartych tak jak ty.

Będziemy też mieć córeczki, podobne do Diny.

W pół godziny później wróciliśmy do mieszkania przy Trzeciej Alei.

Przed poznaniem Diny byłem samotnikiem. Tylko sobie mogłem ufać w tamtych czasach, gdy mylne odczytanie wyrazu czyjejs twarży oznaczało śmierć. Nie chciałem niczego nikomu zawdzięczać, nie lubiłem wspólnego działania, nawet w polskich lasach często walczyłem w pojedynkę, a później, w Armii Czerwonej, prowadziłem swoją osobistą wojnę. Z Dina

*dzieliłem wszystko, była częścią mnie samego. Ostatnie interesy robiliśmy wspólnie: to ona rysowała modele żyrandoli, które wrywali sobie klienci w całych Stanach Zjednoczonych; umiała rozpoznać rzadki obiekt, tworzyła piękno. Z jej pomocą mógłbym bez końca rozwijać interesy. Oczywiście, po co, skoro miałem przy sobie Dinę? Pieniądze były dla mnie tylko środkiem. Z myślą o zupełnym wycofaniu się z interesów zacząłem stopniowo zwalniać się ze zobowiązań kontraktowych i licznych transakcji handlowych. W moim otoczeniu nikt tego nie rozumiał. Wolker, mój konkurent, podejrzewał mnie o jakiś chytry manewr.*

*- To niemożliwe - powtarzał Małgorzacie. - Nikt nie rezygnuje z interesów, gdy posiada wszystkie atuty w ręku. Coś w tym musi być.*

*I było: szczęście.*

*Wyjechaliśmy do Francji w jedną z ostatnich podróży w interesach. Paryż z Diną był innym miastem, skąpanym w słońcu. Zamieszkaliśmy w jednym z hoteli na bulwarze St. Michel, w dzielnicy młodzieży, bo my też byliśmy młodzi. Di-na stroniła od luksusu, kobiet i mężczyzn opancerzonych złotem, rażących zmanierowaniem i pychą. Chodziliśmy po ulicach, trzymając się za ręce, ciągnęła mnie przed wystawy sklepowe, wydawała radosne okrzyki, a ja podnosiłem ją w*

*górze. W Paryżu uporządkowałem moje interesy i zawarłem nowe kontrakty, które miały nam zapewnić wystarczający dochód w przyszłości.*

*Potem pojechaliśmy samochodem na południe, gdyż Dina tęskniła do morza i słońca. Lubię wiejski krajobraz francuski złożony z symetrycznych deseni, lasy o linii wyrównanej ludzkim wysiłkiem, geometrię pól, szachownicę kolorów.*

*Podobały nam się otoczone wałami przysadziste miasteczka, staruszki spacerujące powoli po uliczkach, rumiani wieśniacy, omszałe fontanny, rzeźby nad drzwiami domów i zmurszałe ściany kamieniczek. Siedząc w cieniu platanów usiłowaliśmy zrozumieć przyczyny dobiegających nas głośnych wybuchów śmiechu i okrzyków, lecz sześć lekcji, które wzięliśmy w Alliance Française przy Bulwarze Raspail okazały się niewystarczające. Ale podobały nam się zarówno te głosy, jak i okolica.*

*Za Aixen-Provence zaczęła się kraina radości i słońca, granatowe niemal góry zamykały równinę porośniętą lawendą, dalej wznosiły się czerwone skały Esterel.*

*- Tutaj, Marcinie - powtarzała Dina.*

*Zatrzymaliśmy się w małym hoteliku w Nicei. Co rano jeździliśmy wzdłuż wybrzeża, wyprawialiśmy się w stronę kamienistych wzgórz. Dina śmiała się, śpiewała, rozpuszczone włosy fruwały jej wokół twarzy, czasem kładła się na siedze-*

*niu.*

*- Piję słońce - mówiła. - Żyję, żyję!*

*Ja także żyłem, jechaliśmy wolno, upajając się krajobrazem i własnymi marzeniami. Czasem jak błyskawica przesywała mnie myśl, że wszystko to jest nierealne, że za chwilę opasze mnie żelazna obręcz, wpadnę do dołu, a gdy otworzę oczy, będzie się na mnie sypać żółty piasek.*

*Ale nie, Dina obejmowała mnie za szyję, słyszałem jej głos.*

*- Znajdziemy - zapewniała mnie. - To będzie dom jak twierdza, niemal zamek, szlachetny, dumny, ale pełen prostoty, odosobniony. Dokoła będzie dużo wolnej przestrzeni, drzewa, ożywcze powietrze i słońce.*

*Spokojna ufność, z jaką przyjmowała szczęście, tchnęła we mnie życie. Obejrzeliliśmy kilkadziesiąt willi i dworców. Dina nie zawahała się ani razu.*

*- To nie to - twierdziła. - Wiem, czego chcemy.*

*Pewnego ranka zjechaliśmy z szosy Nationale 7 do Mandelieu, na południe od Cannes. Nad równiną wznosił się przysadzisty, ciężki masyw górski, jak żółta plama w krajobrazie: Le Tanneron. Wolno jechaliśmy pod górę, wśród kwitnących drzew mimozy, wdychając lekki zapach kwiecia, aż stopniowo odłoniła się przed nami lśniąca tafla morza, pas wybrzeża i wyspy, jak ciemne głązy.*

*- Jakie to piękne - rzekła Dina. - Wspaniale.*

*Zatrzymałem samochód i poszliśmy dalej wąską dróżką.*

*Morze rozciągało się tuż, o parę minut od nas, a my byliśmy w górach, widzieliśmy las, sosny, miejscami zielone i żółte obszary, pola i mimosy. I nagle pośrodku niewielkiego płaskiego terenu ukazał się dom, półokrągły, niski, zbudowany solidnie, dający wrażenie bezpieczeństwa i siły, jak twierdza.*

*Dina ścisnęła mi rękę.*

*- Znaleźliśmy - rzekła.*

*Tu chcieliśmy zamieszkać, tylko tutaj, w pobliżu sosnowych drzew, na uboczu, w starej siedzibie, gdzie życie już dawno zostawiło swój ślad, tu, między morzem, ziemią i rozległym niebem.*

*Dom wydawał się nie zamieszkany.*

*- Trzeba się zaraz dowiedzieć - rzekła Dina.*

*Wróciliśmy do Cannes. Miałem tam znajomego antykwariusza, który udzielił nam informacji: posiadłość Les Barons miała już być sprzedana, ale powstały trudności, ponieważ należy do sześciu właścicieli.*

*- Więc jeszcze nadal... - spytała Dina.*

*Pierwszy raz widziałem ją zaniepokojoną. Ale posiadłość była jeszcze na sprzedaż. Bezzwłocznie zacząłem działać. Wszystko przegrać lub wszystko wygrać. Skoro musimy nabyć tę posiadłość - pomyślałem - będzie nasza. Odwiedziłem kolejno wszystkich właścicieli, każdemu wydzieralem zgodę na*

*sprzedaż, z każdym wychylałem kieliszek, by przypieczę-*

*tować ubity interes, i udawałem się do następnego. Dina towarzyszyła mi, całowała mnie.*

*- Kupimy go, jestem pewna. Wiem, że to jest nasz dom.*

*Choć nie mówiliśmy po francusku, w jeden dzień dogadaliśmy się z wszystkimi sześcioma właścicielami i kupiliśmy Les Barons. Nasz dom, nasze przeznaczenie. Wieczorem wróciliśmy, żeby go jeszcze raz zobaczyć, stąpaliśmy po ziemi, na której mieliśmy zamieszkać, wchodziliśmy do pokojów o grubych ścianach, które miały nas przygarnąć.*

*- Nasza twierdza, Marcinie. Dotarliśmy do celu.*

*Dina biegła po niewielkich pokojach, mówiła, snuła plany, ściany waliły się, tu będzie duża sala z kominkiem, tu jeszcze jeden pokój, tam schody.*

*- A tu, popatrz, pokój muzyczny.*

*Brałem ją w ramiona. W jej marzeniach widziałem swoje własne.*

*- Wezmę się do malowania, biorę na siebie dekorację wnętrz, a ty zajmij się drzewami, roślinnością.*

*Uniosłem ją w górę i trzymając w ramionach, patrzyłem z nią razem w niebo, widoczne przez szczeliny w dachu.*

*- Nareszcie będziemy żyć, Marcinie.*

*- Brak tylko dzieci.*

*- Nie martw się. Les Barons zapelnia się niedługo mnóstwem*

*małych Marcinków.*

*Niepokoilem się jednak. Chciałem mieć dzieci, w nich odrodzą się moi najbliżsi, uśmiech mojej matki i „mamy”, siła ojca; chciałem, żeby były podobne do Diny, aby nawiązał się łańcuch między nią, mną, tymi, co zginęli, i przyszłością.*

*Zostaliśmy jeszcze parę dni na Lazurowym Wybrzeżu; co rano przyjeżdżaliśmy do naszego domu, odkrywaliśmy wciąż zmieniające się niebo, powietrze pachnące sosnami i morzem, brutalne powiewy suchego, gorącego mistralu i zimnego wiatru, wiejącego z głębi kraju. Pokochaliśmy już te mury, tę ziemię. Dina była niezmordowana, zawierała znajomości z wieśniakami, szukała murarzy, szkicowała plany. Ale musieliśmy wracać do Nowego Jorku; nie zmienia się tak łatwo życia, musiałem przygotować wszystkie te lata, które spędzimy w Les Barons. W Nowym Jorku poszedłem z Dina do doktora Kugla.*

*- Będzie pani mogła mieć dzieci - powiedział - ale trzeba poddać się leczeniu, może operacji.*

*Dina była optymistką, ale ja nie chciałem jej narażać.*

*Pewnego wieczoru odwiedziła nas Małgorzata; przyprowadziła klientów. Gdy tylko weszli do magazynu na Trzeciej Alei, oboje z Dina zwróciliśmy uwagę na towarzyszącą im dziewczynkę; wysoka brunetka nie mogła być córką pary otyłych, starszych już mieszczuchów,*

*niewątpliwie adoptowali to dziecko. Ale Dina uparła się, chciała koniecznie dowiedzieć się, jak ta sprawa wygląda. Zatelefonowała do Małgorzaty i okazało się, że małżeństwo, które nas odwiedziło, czekało na tę swoją córeczkę trzynaście lat, aż do dnia, gdy dowiedzieli się o istnieniu doktora Grossa, który leczył postem i stosowaniem ścisłej, bezmięsnej diety. Byłem stałym gościem w Manny's Wolfe Steak House, pizałem hamburgery w barze P. J. Clarcka, słynnej restauracji na 33 Alei, pijałem polską wódkę i spirytus przemysłowy, objadałem się surowym mięsem. Wszystko to skończyło się w kilka dni. Dina zabierała mnie na zebrania, rano czytała mi głośno książki wegetarianów.*

*- Natura, Marcinie. Powrót do natury.*

*Przestaliśmy palić. Bawiło nas to, upajała nas nasza solidarność, poczucie jedności, razem budowaliśmy sobie przyszłość, wyrzekając się tych drobnych uciech, które stanowiły dotąd okrasę naszego życia. Zrezygnowaliśmy z mięsa i soli, żywiliśmy się grejpfrutami, orzechami, bananami.*

*- Czuję się świetnie, Marcinie. Jestem taka lekka!*

*Odradzaliśmy się oboje, jedno dzięki drugiemu. W klinice doktora Grossa Dina pościła przez dwa tygodnie. Nie opuszczałem jej, poilem ją sokiem z grejpfrutów, przyglądałem się jej, gdy spała, z każdym dniem wydawała mi się młodsza. W miesiąc później zaszła w ciążę.*



*- Widzisz - mówiła - widzisz!*

*Tuliła się do mnie, łagodna, szczęśliwa.*

*- Trzeba mieć zaufanie. Ja wierzę w naturę.*

*Całowałem ją, pieściłem jej brzuch: tam było już życie, jej życie i moje. Ja także chciałem, musiałem się oczyścić, odmienić. Zacząłem długi post w klinice doktora Grossa. Czulem się wspaniale, leżąc z przymkniętymi oczyma, byłem lekki, inny. Doktor Gross nalegał, abym dużo spał, ale to było niepodobieństwem, gdyż nigdy dotąd umysł mój nie pracował tak żywo. Pojmowałem sens rzeczy, widziałem nasze życie na Lazurowym Wybrzeżu, w słońcu, nasze dzieci, które wyrosną na prawdziwych ludzi. Trzydzieści osiem dni postu. Moi dawni wspólnicy telefonowali do Grossa, do Diny.*

*- Nie pozwalajcie na to - mówili. - To go zabije.*

*Ja tymczasem odradzałem się, strząsałem z siebie kurz getta i błoto polskich lasów, wyszedłem z lochów, pozbyłem się krwi przyschniętej do moich dłoni, obsesji żółtego piasku i potu z Treblinki, widma śmierci. Ubyło mi siedemnaście kilogramów. Nigdy nie czulem się tak młodo; moje kości i mięśnie, tyle razy kaleczone i zwichnięte, odzyskały giętkość i krzepę.*

*- Taki jesteś chudziutki - cieszyła się Dina - czyściutki, nowiutki!*

*Oboje staliśmy się nowi jedno dla drugiego i dzięki drugiemu.*

*Nicole urodziła się 27 listopada 1960 roku. Wybraliśmy to imię z myślą o naszej nowej siedzibie i o Francji, gdzie mała będzie mieszkać. Chcieliśmy, żeby urodziła się w domu, ale w Nowym Jorku było to niemożliwe. Nasze następne dzieci będą na pewno przychodzić na świat w domu i obejdziemy się bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz, bo narodziny to najprostsza i najcudowniejsza funkcja życia.*

*Nie widziałem, jak Nicole przychodziła na świat; czekałem wraz z innymi w wielkiej sali Doctor's Hospital na Manhattanie. Hedy i Feliks Gluckseligowie, znani wiedeńscy antykwa-riusze, z którymi zapoznała mnie Małgorzata, żartowali sobie ze mnie.*

*- Jesteście jak wszyscy mężowie - mówiła Hedy.*

*Brała mnie za rękę, usiłowała mnie uspokoić, ale wiedziała dobrze, że narodziny tego dziecka były dla mnie wydarzeniem o wiele ważniejszym, niż bywa zwykle przyjście na świat potomka. W tym dziecku mieli odrodzić się moi zmarli. Powitałam to nowe życie w imieniu wszystkich, których kochałem.*

*Wreszcie przyszła do mnie uśmiechnięta pielęgniarka.*

*- Dziewczynka - oznajmiła.*

*Dziękuję ci, Dino, w ich imieniu i w moim.*

*Poszedłem z pielęgniarką, powtarzając imię tej nowej istotki, Nicole, oraz drugie imię, Ida, które wybraliśmy dla niej, by uczcić pamięć mojej matki. Zobaczyłem to nowe życie wydane*

*na świat, drobne ciało, które będzie mogło się rozwijać tylko dzięki Innym ludziom, Dinie i tnie. Nie mogłem wyjść z tego pokoju, oderwać się od nich obu. Były moim ciałem, a w Nicole ożyła moja matka, Rywka, „mama”, wszystkie naraz uratowane. Dziękuję ci, Dino. w ich i w swoim imieniu.*

*Następne dni przeżywałem w radosnym podnieceniu. Na-  
leżało zrobić wszystko, aby chronić to nowe życie. Gdyby  
trzeba było zmienić świat, a ja miałbym po temu możliwości,  
byłbym to na pewno uczynił. Ale wszystko, co mogłem zrobić,  
to przygotować dla tej małej istotki twierdzę w Les Barons.*

*Po tygodniu wezwał mnie ordynator Doctor's Hospital.*

*Spoglądał na mnie zatroskany.*

*- Pańska żona wyjdzie ze szpitala. Trzeba ją przymusić do  
jedzenia mięsa. Inaczej dziecko umrze.*

*Uspokoilem lekarza. Byłem pewien, że Dina wie, co robi, i że  
ma rację, a Nicole zjawiała się z bardzo daleka i nic jej nie  
zagroza. Dina żywiła się dalej grejpfrutami i orzechami, a na-  
sze dziecko było piękne, okrągłutkie, żywe, jak drobna część  
Diny, uczepiona do jej piersi.*

*Dlatego właśnie musiałem przeżyć. Oto wasz świadek, wy  
wszyscy, bracia moi, cud ofiarowany wam, którzy nie zdołali-  
ście się uratować.*

*Wówczas wziąłem nowe życie w swoje dłonie*

*Wróciliśmy do naszej posiadłości. Dzika mimoza zarosła teren aż po mury. Zabrałem się do oczyszczania dróg; Dina z Nicole w ramionach chodziła po pokojach. Wycinałem, kopałem, własnymi rękami nadawałem kształt swoim marzeniom, to była moja ziemia, moja forteca, a z domu dobiegał śmiech, śpiewy, krzyk dziecka. Andrzej, młody włoski murarz, przystąpił do roboty, burzył wewnętrzne ściany, zaczął naprawiać dach. Chcieliśmy mieć dom w regionalnym stylu, kryty piękną, starą dachówką, związany ściśle z tą ziemią, na której go niegdyś zbudowano. Co rano murarz wyganiał nas z pokoiów, w których nocowaliśmy; wówczas szedłem narąbać drewno, oczyścić z zarośli następny kawałek naszej ziemi.*

*Zaangażowałem ekipę ludzi obznajomionych z robotami niwelacyjnymi, a następnie wynająłem spychacz, by wyrównać teren. Motor dyszał, ale jego pochrapywanie było tutaj życiem.*

*Wytyczyliśmy sad, nieco dalej ogród i warzywnik, który będzie nam rodził jarzyny, nasze wyłączone pożywienie, świeże i zdrowe. Zasadziłem nasze pierwsze brzoskwinie, a w jakimś kącie posiadłości odkryłem niespodziewanie źródło.*

*Siadaliśmy koło niego w trójkę; patrzyłem na Nicole i Dinę, aby się upewnić, że są tu istotnie na naszej ziemi, a to stukanie to murarz, który pracuje w naszej fortecy.*

*Byliśmy zajęci od świtu do nocy i od świtu do nocy pa-*

*trzyliśmy, jak zmienia się niebo, gubiliśmy się na rozległym horyzoncie, w otaczającej nas przestrzeni. Stopniowo poznawaliśmy wieśniaków z Tanneron, solidnych, spokojnych, ostrożnych ludzi morza i gór. Bliziotko, w zasięgu wzroku, mieli miasto: zamożne Cannes, ale tkwili na swojej ziemi, nad całym tym zgiełkiem i hałasem. A my byliśmy wśród nich. Chodziliśmy z Dina i Nicole do wsi, byliśmy tu „Amerykanami”, ale Dina rozbrajała wszystkich, tryskała życiem.*

*„Szampańska Dina” rozweselała innych, śmiała się, żyła. Gdy brałem ją pod rękę, przytulała do siebie, do mnie Nicole, dostrzegałem błysk przyjaźni w oczach wieśniaków z Tanneron.*  
*- To mogło być tylko tutaj - powtarzała.*

*Tu należało żyć, tu była nasza twierdza, nasz los. Budząc się rano w pokoju, gdzie obozowaliśmy, przysłuchiwaliśmy się Nicole, która sypiała z nami, i leżąc nieruchomo, ramię przy ramieniu, patrzyliśmy na naszą córeczkę, nasze życie.*

*Niekiedy, nim wstaliśmy, Dina szeptała:*

*- Opowiadaj mi, chcę wiedzieć, chcę wiedzieć o tobie wszystko.*

*Wtedy odgrzebywałem z pamięci tę barbarzyńską prahistorię, którą przeżyłem. Mówiłem, były przy mnie, nie dałem się oprawcom, moi bliscy żyją dzięki niej, dzięki temu wspinałemu, zdrowemu dziecku, dzięki nam.*

*- Co dzień poznaję cię lepiej - mówiła Dina - i co dzień więcej i*

*mocniej cię kocham.*

*Stopniowo nasza twierdza nabierała rumieńców życia: naj-  
pierw obszerny salon z wielkim kominkiem i szerokimi okien-  
nymi wnękami według rysunków Diny. Stolarz wstawił stare,  
dębowe drzwi, ale chciałem, żeby było niewiele drzwi, żeby  
nasze głosy i muzyka przenikały swobodnie z pokoju do po-  
koju, żeby zamykały się jedynie drzwi wejściowe.*

*Patrzyliśmy, jak zaczynają wznosić się schody i wysoki  
stożkowaty kominek w pokoju muzycznym, który sięgał pod  
sam dach. Nad tym pokojem Dina poleciła skasować piętro.*

*- Tutaj panuje sztuka. To pomieszczenie musi być szlachetne,  
wielkie jak zamkowa sala, jak świątynia. Tu będziemy  
słuchać mistrzów.*

*Wchodziliśmy z murarzem do pokoików na pierwszym pię-  
trze. Dina była wszędzie.*

*- Będziemy musieli kiedyś gościć dzieci, o ile zechcą, w  
przyszłości, gdy się pożenią.*

*Pomieszczenie na nową kuchnię dla dzieci było już gotowe.*

*Murarz i inni robotnicy słuchali jej ze śmiechem.*

*- Pani Gray wie, czego chce, i wszystko potrafi zrobić.*

*Nie mogłem się jej napatrzeć. Zachwycalo mnie w niej  
wszystko, jej głos, uśmiech, ruchy, gest, jakim unosiła włosy z  
karku. Była samym życiem, silna, zdrowa, chodziła boso,  
myła się u źródła, piękna bez szminki, prawdziwa jak drzewo.*

*Pod koniec lata wróciliśmy z konieczności do Stanów. Nasza siedziba nie nadawała się jeszcze do zamieszkania, poza tym musiałem polikwidować ostatnie interesy, zorganizować naszą przyszłość, zainwestować pewne kwoty, znaleźć odpowiednie lokaty dla Innych, przewidzieć najkorzystniejsze posunięcia. Ale już od pierwszego dnia Nowy Jork przytłoczył nas: nie umieliśmy już przystosować się do gorączkowego tempa wielkiego miasta, trudno nam było się rozłączać.*

*Umialiśmy żyć tylko razem, spokojnie, pod naszym niebem, w naszej twierdzy, towarzysząc Nicole, gdy stawiała pierwsze kroki, śmiejąc się z jej upadków. Umiałem już tylko sadzić drzewa, zrywać warzywa i owoce. Nie mogliśmy odżywiać się ani żyć tak jak inni. Stworzyliśmy sobie nowe życie. Miesiące w Nowym Jorku dłużyły nam się. Wyjeżdżaliśmy do lasów w Fallsburgu i w Lakewood lub New Jersey, ale to nie były nasze drzewa. Tęskniliśmy do Les Barons, do przestrzeni, drzew mimozy i do morza. Oznajmiając mi, że zaszła w ciążę, Dina rzekła:*

*- On musi urodzić się tam, u nas.*

*Przyjechaliśmy na wiosnę. Drzewa i trawa barwiły się delikatną zielenią, droga wspinała się wśród krzewów mimozy; milczeliśmy, upajając się tym powietrzem, ciszą, niebem, które spływało do morza. Za zakrętem, otoczone drzewami, ukazało się nam Les Barons. Zatrzymałem samochód; przed nami*

*była nasza twierdza, rzucał się w oczy jasny dach, w olśniewającym słońcu mury wydawały się białe.*

*- On tu przyjdzie na świat.*

*Dina położyła moją dłoń na swym brzuchu.*

*- Chcę, żebyś to był ty, ty, w naszym domu.*

*Wprowadziliśmy się z Nicole do pokojów na pierwszym pię-*

*trze. Przeczytaliśmy kilka książek z zakresu położnictwa i*

*zdecydowaliśmy, że lepiej będzie, jeśli asystując i pomagając*

*przy porodzie pierwszy raz, będę jednak miał przy sobie*

*akuszerkę. Dina pracowała do ostatniej chwili, przestawiała*

*meble, doglądała układania kafelków i wykańczania kuchni.*

*Robotnicy opowiadali sobie o niej mity, jakby stanowiła część*

*otaczającej nas natury, jakby wywodziła się z drzew i dlatego*

*żywiła się wyłącznie owocami i warzywami. Odgrzewając*

*sobie potrawkę, murarz przyglądał się, jak robiła sałatkę w*

*drewnianej misie.*

*- To niepodobna, żeby nigdy nie jeść mięsa - mówił.*

*- Mięso to coś martwego. Żeby je zjadać, trzeba zabijać. Nie*

*rozumiał tego, nie wierzył.*

*Któregoś wieczoru przyszła akuszerka. Zaprowadziłem ją na*

*górze. Dina położyła się.*

*- Chcę, żeby mój mąż był przy tym sam.*

*I wziąłem we własne ręce to nowe, pulsujące życie,*

*wyczuwałem dłońmi jego ruchy, wsłuchiwałem się palcami w*



*krzyk, który się narodził, ujrzałem nową twarz z twarzy  
moich bliskich, wszystkich moich bliskich. Nie było już  
śmierci ani zmarłych, nigdy nie kopano rowów w żółtym  
piasku.*

*Osiemnastego maja 1963 roku wziąłem nowe życie w swoje  
dłonie.*

*Zuzanna wniosła nową radość w nasze nie zakłócone niczym  
szczęście. Wszystko dokoła napawało radością:*

*różowo-fioletowy świt, rozmowy z Dina w naszym cichym  
domu, jej szept, nasze ciała, spoczywające tak blisko siebie, że  
tworzyły jedno, krzyk Zuzanny, gdy domagała się piersi, i  
tupot stóp Nicole, która przybiegała i wsuwała się między  
nas, tak że tworzyliśmy jedno ciało o przytulonych do siebie  
czterech sercach. Radość dawał nam chłód poranka, ożywcze  
powietrze, owoce na śniadanie, drzewa i Nicole, gdy  
przyglądała im się z powagą, trzymając mnie za rękę, i  
muzyka mistrzów, którzy akompaniowali naszym głosem.*

*Zainstalowałem w ogrodzie głośniki i melodie mieszały się z  
szumem wiatru. A w południe - promieniujące siłą i radością  
słońce; salaterki pełne surowych warzyw i Nicole,  
wgryzająca się z apetytem w miąższ czerwonego arbuza.*

*Potem morze: Nicole siedzi mi na barkach, w ramionach  
trzymam Zuzannę, która piszczy radośnie, gdy zanurzam ją  
w wodzie; wieczorem powrót do ciszy, tam, na górze, do*

*migocących na granatowym niebie strumieni gwiazd; siedząc obok Diny, Nicole wygląda pierwszej, która odłączy się od strugi i lecąc ku nam, wpadnie do morza. Szczęście promieniowało od ognia na kominku, gdzie w rozżarzonej popiele piekły się kartofle, jak kiedyś, w polskiej puszczy. I jeszcze muzyka, i Nicole, obejmująca mnie ufnie za szyję, gdy zanosilem ją do łóżka, na wpół już śpiącą; i wreszcie chłodna noc, w której nasze ciała odradzały się dla siebie.*

*Każdy dzień był taki sam jak poprzednie, a przecież inny.*

*Dina zdobiła dom, komponowała coraz to nowe potrawy z tych samych owoców i warzyw. Czasem słyszałem jej rozmowy z panią Lorenzelli, która przychodziła nam pomagać.*

*Dina usiłowała namówić ją, by zrezygnowała z jedzenia mięsa i tłuszczów.*

*- Nie mogę, proszę pani, nie mogę. Pani to co innego, pani wszystko wie i może coś zrobić, gdy sobie postanowi, a ja...*

*Dzieci czepiały się pani Lorenzelli, wołając:*

*- Lelli, Lelli, słuchaj mamy!*

*Lubiliśmy ją wszyscy za jej dobroć i łagodność.*

*Dina nalegała, była życzliwa ludziom, chciała ich dobra.*

*Pomagała wieśniakom, dawała im drobne upominki, nieraz kupowała od nich rzeczy, których wcale nie*

*potrzebowaliśmy. Słuchałem jej głosu, nie spuszczałem z niej oka; szyła, zawieszala firanki, układała kwiaty, każdy jej gest*

*przepojony był miłością. Lubiła rozmaite stworzenia i przedmioty, tworzyła piękno. Rozmawiała z Nicole, pokazywała jej pierwsze kroki taneczne, a mała powtarzała je z przejęciem i wytrwale, aż wykonywała je równie dobrze jak matka. Mógłbym przyglądać im się godzinami. Czasem myślałem o moim dzieciństwie, usiłowałem wydobyć z pamięci jakiś epizod z przedwojennych lat, lecz tak mało zostało mi wspomnień, barbarzyński huragan zmiotł moją rodzinę, moją ulicę Senatorską. Teraz zaczynali znów żyć, tutaj, z nami, dzięki tym dzieciom.*

*- Będziesz musiał kiedyś opowiedzieć naszym dzieciom, Marcinie - mówiła Dina. - Jesteś to winien im i swojej rodzinie.*

*Owszem, ale dopiero później, gdy będą silniejsze. Na razie milczałem. Dla naszych znajomych we Francji i wieśniaków z Tanneron byłem jednym z tych bogatych Amerykanów, którzy nie zaznali nigdy niedoli i żyli beztrąsko z odziedziczonej fortuny. Utrzymywałem ich w tym mniemaniu, pozwalałem im wierzyć w mit, jaki sobie o nas stworzyli.*

*Wiedzieli, że dziesiątego października 1964 roku sam jeden pomogłem Dinie wydać na świat naszego pierwszego syna, Karola, i że w parę godzin później Dina była już w ogrodzie z noworodkiem w ramionach. Wiedzieli, że nie jadamy mięsa, soli, słodczy ani tłuszczów, nie uznajemy szczepień, leków i*

*lekarzy. Opowiadali o stanowiących nasz południowy posiłek sałatkach, przyprawionych różnymi ziołami i cytryną.*

*Widzieli, jacy jesteśmy szczęśliwi, a ci, którzy raz nas odwiedzili, wracali potem kilkakrotnie. Słuchali u nas muzyki; Zuzanna grywała teraz na fortepianie w dużym salonie.*

*Nicole tańczyła.*

*- Czy jesteście jaroszami? - pytała Nicole naszych gości.*

*Śmieli się.*

*- Więc zabijacie, żeby jeść?*

*Nie chcieliśmy zabijać. Byliśmy tak blisko związani z tą przyrodą, chodziliśmy boso, w słońcu, biegaliśmy po naszej ziemi, patrzyliśmy, jak rosną nasze drzewa, zrywaliśmy brzoskwinie, truskawki. Jeździliśmy nad morze. Nicole i Zuzanna zaczęły uczyć się tańca u Roselli Hightower, a Dina też brała lekcje, aby móc lepiej kontrolować postępy dzieci. Jakże ją kochałem, była najmłodsza, najpiękniejsza, najruchliwsza spośród obecnych na lekcji dziewcząt, a Nicole tańczyła koło niej. Wracaliśmy wieczorem znużeni towarzystwem obcych, którzy zakłócali nam naszą intymność w twierdzy.*

*Co roku musiałem na dwa tygodnie rozstawać się z Dina i dziećmi i jechać do Nowego Jorku, gdzie czekały mnie interesy do załatwienia, telefony, męczący pośpiech, samotność.*

*To była męka. Odprowadzali mnie na lotnisko w Nicei, ścisaliśmy się i zostawałem sam. Ogarniał mnie strach, że ich*

*więcej nie zobaczę, koszmarne przecucie nieszczęścia, które ich zabierze. W Nowym Jorku pracowałem po szesnaście godzin na dobę, w dwa tygodnie wykonywałem robotę, która normalnie trwałaby miesiąc, tonąłem w pracy, żeby zagłuszyć niepokój. Gdy spotykałem się z Hedy Gluckselig, opowiadałem bez końca o mojej rodzinie. W niedzielę o ósmej rano jeździłem do Wschodniej Dzielnicy i w żydowskich sklepikach kupowałem odzież dla nich wszystkich: całe mnóstwo sukienek, spódniczek, bielizny, a także zabawek. Robiąc te zakupy byłem z nimi, żyłem dla nich. I wreszcie powrót; Nicole zawsze biegła ku mnie pierwsza, za nią Zuzanna i Dina z matym Karolkiem w ramionach. Obejmowali mnie, tuliłem ich do siebie, znów tworzyliśmy nierozłączną całość. W naszej twierdzy witała mnie zawsze muzyka. Nicole i Zuzanna śpiewały pasażę z IX Symfonii, Nicole wykonywała nowe taneczne kroki. Chciały pokazać mi wszystko, co zrobiły i czego nauczyły się podczas mojej nieobecności; Zuzanna popisywała się rysunkiem przedstawiającym dziewczynkę z wyciągniętymi ramionami; Nicole przynosiła zeszyt, w którym nauczyciel napisał kilkakrotnie, że jest najlepszą uczennicą w szkole w Tanneron. Potem przebierałem się w wiejski strój i wychodziłem na moją ziemię, popatrzeć na drzewa. Niosłem*

*Karolka, który obejmował mnie za szyję, Zuzanna i Nicole szły obok. Opowiadałem im o Nowym Jorku, wyjmowałem z walizek barwne tkaniny i koronki, ale w naszej twierdzy te fatalaszki nie miały już dla mnie żadnego znaczenia. Miałem ich wszystkich koło siebie, moich najdroższych. Byliśmy szczęśliwi, Dar-ling, Lady i Yellow skakały wokół nas, Nicole odganiała je, ale psy chciały wdrzeć się do rodzinnego kręgu. One też odczuwały nasze szczęście, zwłaszcza Yellow, którego kupiłem kiedyś w Berlinie. Był wtedy smutny, zły, jego pani trzymała go w zamknięciu, w hotelu, w którym się zatrzymałem, ale któregoś dnia pies wszedł za mną do mojego pokoju i nie chciał mnie więcej opuścić. Po długich pertraktacjach jego właścicielka odstąpiła mi go i odtąd Yellow mieszkał z nami w Les Barons. Ten potężny konglomerat mięśni i wojowniczości bawił się z dziećmi, pozwalał im dosiadać się jak konia, potrafił kontrolować swoją siłę. Gdy wracałem, Lajtak powracał także, jakby znał datę mojego przyjazdu. Był to duży kot, niezależny, jak tamten z nadwiślańskiej skarpy; często znikał, wyprawiając się na długie wędrówki po okolicy, a potem zjawiał się niespodzianie, wyniosły, wspaniały. Utrzymywał dystans, ale gdy zapomniano o nim, miauczał i trzeba było wziąć go na ręce i popieścić, aż uznał, że już dostatecznie okazał swoje przywiązanie. Wtedy dawał susa i znikał na parę godzin lub*

dni.

*Mijały lata, szczęście szybko płynie. Koło domu, na polu i w sadzie rozrosły się brzoskwinie, a obrzeżające drogę jędrne cyprysy tworzyły teraz gęsty szpaler. Wszyscy byliśmy krzepcy i zdrowi. Karol siłował się ze mną, biegaliśmy razem, zabierałem go na motocykl i wyruszaliśmy na długie przejażdżki w pola. Mój syn! Nadejdzie dzień, gdy opowiem mu o moim ojcu, o Julku Feldzie, o naszej walce, o getcie, gdzie broniliśmy każdego kamienia, o Treblince i o partyzantach. Czulem uścisk ramion, którymi mnie opasywał, opierał mi głowę o plecy. Tak, synu, możesz być spokojny, jestem tu, przy tobie.*

*Zatrzymywaliśmy się przed domem; Zuzanna grała na fortepianie. Prosiłem Karola, by zachowywał się cicho. Słuchałem. Te czyste tony budziły we mnie odwieczną ludzką radość życia, poczucie niezniszczalnej wielkości człowieka, potężniejszej niż wszelka tyrania. Uderzeniami palców moja córka tworzyła piękno; moja córka, którą przyjąłem w swoje dłonie jeszcze wilgotną, uwiązaną do matki, która podawała mi ją całym ciałem. To była moja córka, moja duma.*

*Potem, 9 grudnia 1968 roku, urodził się Ryszard. Byliśmy wszyscy przy Dinie, patrzyliśmy, jak wydaje na świat nowego członka naszej rodziny. Dina, oblana potem, uśmiechała się. Nicole przecięła pępowinę. Teraz był na*

*zawsze związany z nami. Wkrótce potem Dina wstała i wyszła do ogrodu, gdzie ochrzciła noworodka słońcem i wiatrem.*

*Miałem wrażenie, że nieustannie trzyma go w ramionach.*

*Malec rósł szybko, machał rączkami, z policzkami*

*umazanymi wiśniowym sokiem pełzał na czworakach po*

*tarasie, ale Dina prędko podnosiła go z ziemi i przytulała do*

*siebie. Patrzyłem na nią. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak*

*pięknie, tak młodo.*

*Minęło kilka tygodni. Jeździłem z Dina i Ryszardem po*

*starsze dzieci do szkoły, gdyż nie mogły tam jeść śniadania.*

*- Inni są mięsożerni - powtarzała Zuzanna. - Zjadają martwe zwierzęta, które zabijają.*

*- Tak to już jest - odpowiadała Dina. - Oni nie rozumieją.*

*Pewnego dnia pojechaliśmy do Włoch, ojczyzny Lelli. Nicole*

*chciała kupić szkolną teczkę, którą mogłaby nosić na plecach,*

*a którą podobno można było nabyć w Yintimilli. Słońce*

*prażyło; Karol skakał w samochodzie, myślał, że Włochy to*

*odległy kraj. Gdy przejechaliśmy granicę, opadł na siedzenie.*

*- Nie widzę żadnej różnicy - rzekł.*

*Uparcie powtarzał to zdanie; nie znał ludzi, ich okrucieństwa,*

*wojen i blizn, jakie zostawiają na ziemi, gdy ją dzielą. Mówił*

*jak dziecko, jak nieskażony, prawdziwy człowiek. Na*

*śniadanie jedliśmy minestrone i nasze dzieci poznały smak*

*solu, która piekła im usta.*



*- Po co parzyć sobie wargi, tato? - protestował Karol. - Ja-*

*rzyny są takie pyszne. Wracajmy prędko do domu!*

*Byli jeszcze tacy młodzi, otoczeni tkliwą opieką, ale wie-*

*działem że przyjdzie czas, gdy sami będą musieli dawać sobie*

*w życiu radę. Kupiłem więc dla nich tereny graniczące z Les*

*Barons, aby mogli w przyszłości mieszkać niedaleko nas, jako*

*budownicowie lub może architekci. Snuliśmy z Diną plany*

*na ich przyszłość i naszą. Przecieraliśmy dla nich drogę, Dina*

*rysowała plany, a ja doglądałem prac przygotowawczych na*

*pierwszym miejscu budowy. Towarzyszył mi Karol, chciał*

*wiedzieć, jak wierci się skałę, jak zaczynają się wznosić mury.*

*Kiedys, w przyszłości, on i Ryszard będą przychodzić do tych*

*warsztatów i pracowni na ziemi, gdzie się urodzili, w pobliżu*

*domu, w którym mieszkali ich rodzice i siostry -i wracać do*

*naszej twierdzy.*

*Któregoś dnia o świcie opowiadałem Dinie o moich braciach,*

*których zamykałem w schowku w naszym mieszkaniu na*

*Milej, aby ocalić ich od zagłady; moi synowie byli także*

*moimi braćmi, wszystkimi uratowanymi z getta dziećmi.*

*- Musisz to wszystko napisać - rzekła Dina.*

*Wyjechałem w doroczną podróż do Stanów Zjednoczonych.*

*Od kilku miesięcy była piękna, bezdeszczowa pogoda. W*

*Nowym Jorku jak zwykle zabijałem czas pracą. Gdy*

*wróciłem, od razu po powitaniu Dina zaciągnęła mnie do*

*jednego z bocznych skrzydeł naszego domu.*

*- Przygotowałam dla ciebie niespodziankę - rzekła. W jednym z widnych pokoi urządziła dla mnie gabinet do pracy.*

*- To dla ciebie - rzekła, żebyś opisał wszystko, co widziałeś, dla mnie, dla nich.*

*Przytulilem ją do siebie, dzieci klaskały i tupały, podskakując w oszklonej niszy, wychodzącej na pola i las. Na dworze, w miejscu osłoniętym od wiatru, Dina ustawiła biały fotel.*

*- Zawsze będę tutaj, blisko ciebie; będę cię widzieć, ale nie będę ci przeszkadzać.*

*Minęło jeszcze kilka dni. Upał nie ustępował, choć lato już się skończyło. Dzieci wróciły do szkoły w miasteczku.*

*Wieśniacy uskarżali się na pogodę; od tygodni, a niektórzy mówili, że od miesięcy, w Tanneron nie padał deszcz.*

*Część piąta*

*Przeznaczenie*

*Żegnajcie, najdrożsi*

*W sobotę 3 października 1970 roku zerwał się mistral, suchy wiatr, który wyje w drzewach, smaga brzoskwinie, chyli po-  
żółkłą trawę ku spękanej ziemi. W dali szare, porysowane  
czarnymi pręgami morze.*

*To był tylko wietrzny dzień, często zdarzały się takie w*

*Tanneron, gdy wichur gnał chmury po niebie, odsłaniając  
wybrzeże i Esterel.*

*- Wszędzie są pożary - oznajmiła pani Lorenzelli - w Tulo-nie,  
w La Gardę. Przy tym wietrze...*

*Dina słuchała jej nucąc. Wybierała się do Cannes. Spoglą-  
dałem jej przez ramię na gratulacyjny liścik do znajomych,  
którym urodził się syn.*

*Cześć, Michał. Witaj na tym zwariowanym świecie. Spo-  
dziewam się, że zrobisz coś, żeby go ulepszyć, a może przy-  
czynisz się do rozpętania jeszcze większego szaleństwa. Witaj  
nam!*

*Dina*

*Pojechaliśmy do Cannes. Wiatr był tak silny, że musiałem  
mocno trzymać kierownicę. Wróciliśmy w południe.*

*- Co za wichura - powiedziała pani Lorenzelli, zbierając się do  
domu.*

*To był tylko wietrzny dzień.*

*Zasiedliśmy do śniadania. Dina trzymała Ryszarda na ko-  
lanach. Nicole zasypywała nas pytaniami, na które Zuzanna  
usiłowała odpowiedzieć. Karol protestował:*

*- Dlaczego zawsze Mozart, a nie Czajkowski? - nalegał,  
powtarzając to nazwisko, gdyż podobało mu się jego śpiewne  
brzmienie.*

*Lubili egzaminować się ze swoich wiadomości, a Dina była  
arbitrem. Nagle przez otwarte okno wpadł gorący powiew,  
pachnący spalonym drzewem. Skoczyłem do okna: płonęło*

*; całe wzgórze za domem, kolumny dymu, przetykanego  
iskrami, strzelały w niebo, wirowały żółte i czerwone  
płomienie, widziałem, jak sosny zajmują się błyskawicznie i  
zwarty front ognia sunie ku domowi. Palilo się getto, znów  
patrzyłem na tamte płomienie, ujrzałem ową kobietę stojącą  
przy oknie z dzieckiem w wyciągniętych ramionach, gdy  
wołałem, żeby nie rzuciła go na ulicę, słyszałem huk  
walących się domów, widziałem mężczyznę, który uniósłszy  
ręce, w płonącej odzieży wyskoczył na bruk. Getto zjawilo się  
tutaj, sunęło ku nam piekło, ożył koszmar.*

*Dzieci zaczęły krzyczeć. Dina starała się je uspokoić. Nagle  
pomyślałem o samochodzie w garażu, o zbiorniku, który wy-  
buchnie, przypomniałem sobie o pełnej mazutu kadzi, stojącej  
o parę metrów od nas. Dzieci płakały, ich krzyki rozdzierały  
mi czaszkę; znów zerwał się barbarzyński huragan, nigdy nie  
wyszedłem z piekła, masz je znów koło siebie, Mietek.*

*Krzyknąłem:*

*- Mazut!*

*- Odjeżdżam z dziećmi - rzuciła Dina. Pobieglem z nimi do  
naszego R 8 (Renault 8), Yellow wskoczył za nimi, Dina  
pomachała mi ręką. Zawołałem dwa razy:*

*- Mandelieu, Mandelieu!*

*Poszedłem do garażu, próbowałem wyprowadzić samochód  
na drogę, nadaremnie. Wyszedłem na dwór; ściana ognia*

*przy-*

*blizła się, gorąca fala uderzyła mnie w twarz, żar płonącego getta przylgnął mi do stóp, do policzków. Wzgórze wyglądało teraz jak wielkie pogorzelisko. Tam stał dom rodziny*

*Lorenzelli; w naszej siedzibie mury były kamienne, ale nic nie jest warte tyle, co życie. Wsiadłem na motocykl i wąską dróżką przez pola ruszyłem w stronę ognistej zapory.*

*Powietrze parzyło, dym wygryzał mi oczy, przyspieszyłem, gdy nagły podmuch wiatru zwałił na mnie kłęb dymu, zacząłem się dusić. Getto, Mietek, getto. Położyłem motocykl, wygrzebałem w ziemi dziurę i na chwilę zagłębiłem w niej twarz. Przeczekałem kilka sekund. Dym rozwiął się, została tylko gorąca fala. Wsiadłem znów na motor i dojechałem do domu Lorenzellich. Lorenzelli miał poważnie poparzone ramię i barki.*

*- Jestem ślepy - powtarzał, potrząsając głową. - Jestem ślepy.*

*Próbowałem go uspokoić, zapewniając, że to tylko dym.*

*Ogień palił się z trzaskiem, w silniejszych podmuchach wiatru płomienie zginały się ku ziemi, a potem znów strzelały w górę, jaskrawożółte, z niebieskawymi i czerwonymi odcieniami, którymi barwiły się tłuste soki mimozy. Wrócił barbarzyński huragan i dopadł nas znienacka, aby zburzyć nasz spokój, nasze szczęście.*

*- Trzeba pojechać do szpitala. Zawiozę pana na dół.*

*Krzyczałem, Lorenzelli wahał się, to zgadzał się, to protestował. Nagle zobaczyłem, że front płomieni dotarł już prawie do mojego garażu. Odjechałem, motocykl skakał po nierównym terenie. Nagromadzone w garażu różne rupiecie zaczynały się już tlić. Usiadłem za kierownicą samochodu, silnik zawarczał wreszcie. Zajechałem przed dom, potem, gdy motor zgasł i nie udało mi się ponownie go zapalić, wsiadłem znów na motocykl.*

*Trochę dalej, na następnym wzgórzu, płomienie rozprzeszczerzyły się, osaczając jakiś niewielki domek. Skierowałem się w tę stronę, gorące gałęzie biły mnie po rękach, jakiś rozżarzony kabel zranił mi szyję. Znow otaczał mnie nieokielznany żywioł. Dojechałem wreszcie do tamtego domku.*

*- Przemknijcie przez pola! - zawołałem. - Zejdźcie, żeby mi pomóc. Trzeba ratować Lorenzellięgo.*

*Teraz trzeba było zobaczyć, co się dzieje z rodziną Magne. Wykorzystując powiew wiatru puściłem motor na pełny gaz i przedostałem się przez zaporę dymu i ognia; musiałem kilkakrotnie powtórzyć ten manewr, aż wreszcie motocykl przejechał. Zostałem całą rodzinę Magne na miejscu, kataklizm oszczędził ich. Poprosiłem, aby oczyścili drogę i zajęli się Lorenzellim; Magne poszedł szukać ludzi do pomocy. Byłem zmordowany, miałem poparzone ramiona, szyję, palce,*

*odzież w strzępach. Odetchnąłem głęboko i nagle żelazna obręcz ścisnęła mi skronie, serce, całe ciało. Nie, nie, Mietek. Chyba oszalałeś! Uspokój się, Mietek! Ale żelazo nie zwalniało uścisku. Byłem Mietkiem w getcie, który ujrzał nagle matkę i Rywkę w długiej kolumnie, uszykowanej do wymarszu na Umschlagplatz. Znowu byłem w Treblince i układałem w dole moich braci. Przeszywał mnie krzyk. Nie, Mietek!*

*Pani Magne nie widziała, żeby tędy przejeżdżali. Wsiadłem na motocykl, usiłowałem rozluźnić żelazną obręcz: na pewno dotarli do Mandelieu, są bezpieczni, uległem złym wspomnieniom. Może Dina i dzieci czekają na mnie i także myślą, że zginąłem.*

*Krzycząc sam do siebie: „nie, nie”, aby zagłuszyć niepokój, pędziłem w kłębach dymu drogą zasypaną gałęziami i wąskimi dolinkami, w których walały się czarne pnie. Szukałem. Zobaczyłem dom, który zaczęliśmy budować; okiennice były zamknięte, pewnie Dina pchnęła je, przejeżdżając tędy. Ta myśl dodała mi otuchy, ale na widok martwych drzew, całego tego spustoszenia żółty piasek zasypał mi usta; rozwierał się przede mną dół, czułem wokół siebie, na sobie ich martwe ciała, krzychałem: „nie!”*

*Wołałem, jak gdyby ktoś mógł mnie usłyszeć: - Pomóżcie mi, pomóżcie mi!*

*Wjechałem na drogę do Mandelieu. Powietrze pełne było*

*ciężkiego dymu i zapachu spalonych drzew, powiało gettem i Treblinką. Byłem wraz z rodziną zasypany w bunkrze wśród ruin.*

*Na dzień któregoś wąwozu dostrzegłem samochód. Pędem zbiegłem na dół, potykając się o rozprażone pnie, padając, czołgając się po ziemi. Drzwi były otwarte, samochód rozgrzany. To był nasz samochód, na dachu bagażnik, w przegródce na rękawiczki moje okulary. Ległem w obozowym dole. Zapadał zmierzch, nie widziałem żadnego ciała. Może uciekli, może samochód był pusty, gdy wpadł do wąwozu.*

*Zacząłem wdrapywać się z powrotem na skarpę, kamienie raniły mi ręce, krzychałem:*

*- Pomóżcie mi, pomóżcie mi!*

*Wdrapałem się wreszcie na drogę, wskoczyłem na motocykl, ale silnik nie chciał zapalić. Wtedy zacząłem biec w stronę naszej twierdzy. W dali ogień przesłaniał czerwone niebo. Na spotkanie wyszło mi dwóch żandarmów.*

*- Pomóżcie mi, pomóżcie mi! Trzeba ich szukać.*

*Zaprowadziłem ich nad wąwóz. Na drodze, rozdzierając warkotem powietrze, wylądował właśnie helikopter. Motor sapał i sapał, jak kiedyś tamta koparka. Znow była Treblinką, nie kończąca się wojna. Płonął autokar pełen esesmanów, żegnajcie najdrożsi, żegnaj ojczyznę, Rywko, żegnajcie bracia, usiłowałem odrzucić piasek, którym zasypywał mnie Iwan.*



*Zginąłeś pod razami, w moich oczach, rudowłose to-  
warzyszu!*

*Silnik helikoptera dyszał, potem zaczął miarowo wybijać  
tempo, zawył i maszyna uniosła się, aby po chwili zsunąć się  
w głąb wąwozu. Od czasu do czasu jeden z żandarmów coś do  
mnie mówił, potem drugi zaczął schodzić na dół, do  
samochodu.*

*Słyszałem odgłos silnika, słyszałem koparkę.*

*- Niczego nie znalazłem - powiedział żandarm, wróciwszy do  
nas na drogę. Nie patrzył na mnie.*

*- Martwa owca, tam jest tylko martwa owca. To wszystko.*

*Chciałem mu wierzyć. Musieli zaraz wracać do Mandelieu.*

*Udałem się tam również. W merostwie w Mandelieu pano-  
wało przygnębienie, kręcili się ludzie z twarzami osmalonymi  
dymem. Niczego nie wiedzieli. Gdy ich wypytywałem, odwra-  
cali głowy.*

*Wróciłem nad wąwóz.*

*Na skraju drogi stała grupka żandarmów, którzy odsunęli się  
na mój widok. Nie krzychałem już, krzyk uwiązał gdzieś w  
moim wnętrzu, w głowie tętnił mi skowyt rozpacz. Nie, nie  
Mietek! Żandarmi odsunęli się, szedłem, błagając ich wzro-  
kiem: „Pomóżcie mi, pomóżcie mi”. I coraz głębiej zapadałem  
się w żółty piasek Treblinka.*

*Podszedł do mnie jakiś mężczyzna; poznałem go, był to*

*hodowca mimozy z Tanneron. Położył mi ręce na ramionach,*

*zaczął mówić:*

*- Proszę pana, panie Gray...*

*Miał łzy w oczach, głos mu się łamał, nie chciałem uprzytomnić sobie tego, co już wiedziałem. Krzyknąłem do siebie, do nich: „Nie, nie!” I chciałem wyrwać żandarmowi rewolwer, żeby zamilkło rozziewające mnie wycie rozpacz, ten głos, który powtarzał tyle razy, przez tyle lat: „Żegnajcie mi, najdrożsi, żegnajcie!”*

*Dzień za dniem*

*Nie odebrałem sobie życia. Chciałem. Ale nie mogłem, gdyż czuwano nade mną.*

*Po nich zostały mi tylko martwe przedmioty: trzy harmonijki, zabawki, zeszyty, portrecik małej dziewczynki z wyciągniętymi ramionami, ich odzież. I jeszcze fotografie, płaskie, nieżywe.*

*- Kto mi zwróci ich życie? Kto zwróci mi życie?*

*Nie zabiłem się. Mówię, jem, poruszam się. Przeszedłem okres, gdy tęsknota do śmierci była mi jedyną przyjaciółką. I okres, gdy jedynym pytaniem było: „Dlaczego, dlaczego właśnie ja? Dlaczego dwa razy moi najbliżsi? Czy nie splaciłem należnej daniny ludziom, losowi? Dlaczego?”*

*Mówię, opowiadam o swoim życiu, żeby zrozumieć ten łańcuch szaleństwa, przypadków i nieszczęść, które mnie zmiażd-*

*dżyły.*

*I żyje, jeni, chodzę. Chciałem wiedzieć. Przychodzę ze świata, gdzie nauczyłem się patrzeć śmierci prosto w twarz. Nie słucham tych, którzy mi mówią: „Oni nie cierpieli”. Wiem, że cierpieli straszliwie, gdy wyskakiwali z samochodu, gdy uciekali przed płomieniami; aby móc biec szybciej, Dina oderwała obcasy od swoich pantofli, przygarniała czepiające się jej dzieci, udało im się oddalić o parę metrów od sunącego ku nim piekła; potem dopadły ich płomienie. Zostały mi te obcasy, kilka odbarwionych w żarze guzików i obroża psa Yellow.*

*Żyję, w ustach mam żółty piasek, piasek o smaku śmierci.*

*Dlaczego?*

*To nie własne cierpienie mnie druzgocze, nauczyłem się znosić ból. Ale oni, Nicole, Zuzanna, Karol i Ryszard, moje dzieci; nie wiedzieli nic o życiu; matka wydała ich na świat w moje ręce. Szedłem za nimi krok w krok, widziałem, jak rosną ci prawdziwi mężczyźni, te piękne kobiety - zabite, nim zdążyły żyć. Moi najdrożsi. Widziałem, jak rozkwitła Dina. O to wszystko walczyłem, po to przeżyłem wieki barbarzyństwa, i znów wołam: „Żegnajcie, najdrożsi!”*

*Mówię, usiłuję zrozumieć. Ich śmierć otworzyła wszystkie zasypane doły; w tych dzieciach ożyli moi najbliżsi, którzy zginęli, a teraz zmarli po raz drugi. Mówię, chodzę, walęsam*

*się po domu, moja twierdza jest pusta jak wydrążony owoc,  
spoglądam na drzewa, na spustoszoną okolicę. To była nasza  
forteca; teraz jest martwa. Moja suczka, Lady, uciekła; ko-  
chała nas i nasze szczęście, po co miałyby tu teraz zostać? Kot  
Lajtak nie wraca już więcej, do czego miałyby wrócić?*

*Chodzę, słucham krzyku, który podnosi się we mnie, głowa mi  
pęka. Ale żyję. Jestem znów rozdwojony, obecny na świecie,  
wewnątrz martwy. Oglądam fotografie, przerzucam ich  
zeszyty, siadam przed drewnianymi urnami, które Dina  
ustawiła w oszklonej niszy.*

*Placzę. Nie nad sobą. Kimże ja jestem? Człowiekiem wciąż  
jeszcze żywym. Placzę nad nimi, ich łzami, jestem ich cier-  
pieniem, ich złamanym życiem, przyszłością, której nie po-  
znają. Widzę ich, słyszę was wszystkich, ukochani. Zuzannę,  
to pierwsze życie, które trzymałem w dłoniach, gdy  
przychodziło na świat, i Nicole, Karola, Ryszarda. Wchodzę  
do pokoju, w którym się urodzili, nie potrzebuję przymykać  
oczu, widzę ich, tryskających życiem. Widzę ich martwych.  
Żegnajcie, ukochani!*

*Wyszedłem na taras. Patrzyłem na morze, na zniszczony las.  
W kącie został jeszcze futerał dubeltówki, za pomocą której  
chciałem skończyć ze sobą po tej sobocie trzeciego paź-  
dziernika. Teraz moi przyjaciele już odeszli, ufają mi.*

*Chodzę, mówię, nie mogę spać, głowa mi pęka, ale żyję.*

*Odwiedził mnie burmistrz. To on wyniósł z wąwozu ciała. Jest  
zacny, prawy, nie wygłasza frazesów. W tę sobotę zginęło  
jeszcze więcej osób. Burmistrz bada przyczyny, okoliczności.  
Zaszyłem się w swoim nieszczęściu. Jestem w Treblince, w  
baraku, na placu, gdzie sortowano odzież, w „lazarecie”.  
Pamiętam wszystko, pod wpływem bólu moja pamięć rozpry-  
sła się na tysiące faktów i szczegółów, przypominam sobie  
woń dołów, warczenie koparki, spojrzenie oficera o białych  
oczach. Wspominam ojca, Julka Felda, całą moją rodzinę,  
wszystkich towarzyszy. I moich synów, żonę i córki, ich  
śmiech i wyścig łąkami do domu, gdy teczki szkolne fruwały  
w powietrzu, a Darling, Yellow i Lady skakały, ujadając  
radośnie. Poznałem barbarzyństwo i szczęście, śmierć i życie.  
Doświadczyłem na sobie, że na świecie wszystko jest możliwe,  
wiedziałem, że istnieją oprawcy i prawdziwi ludzie, pokój i  
ogień. Nigdy nie odnosi się definitywnego zwycięstwa; za  
murem, który udało się przesadzić, wyrasta natychmiast na-  
stępny; na ruinach zdruzgotanego getta powstaje drugie.  
Wiedziałem. Nie ma już tych, którzy się tu uczyli, słuchali  
mojego głosu, a z gabinetu, gdzie teraz siedzę, widać spusto-  
szoną okolicę, biały fotel, który pozostanie pusty, i oszkloną  
wnękę, do której nie przybiegną już bawić się moje dzieci.  
Wiem. Ale tylu innych nie wie. Tyle innych dzieci nie ma po-  
jęcia, że ziemia może dać wszystko, że drzewo może uratować*

*życie lub zabić, że ogień rozprzestrzenia się szybko i pustoszy wszystko dookoła.*

*Tyle dzieci o tym nie wie. Ojciec mawiał w getcie, że prawdziwy człowiek to ten, który idzie do samego końca, a ja powtarzałem swoim dzieciom, że człowieka ocenia się miarą jego czynów. Tego chciałem ich nauczyć, ale nie przekonują się o tym nigdy. Muszę pozostać uczciwy wobec nich, wobec wszystkich moich bliskich, wobec samego siebie. Zrezygnowałem z użycia strzelby, muszę zatem żyć aż do końca.*

*Ponownie wydostałem się z Treblinky. Uzbrojony w swoje nieszczęście wyszedłem ku mieszkańcom tej okolicy, gdzie znalazłem życzliwość i spokój. Wszystko stracić lub wszystko wygrać. Rozpocząłem znów walkę, nową kampanię w imieniu wszystkich moich bliskich, żebym nigdy nie mógł sobie powiedzieć: „Wiedziałeś, a nie głosiłeś tego”. Organizowałem spotkania burmistrzów, mówiłem o ogniu, o ludzkiej niefrasobliwości i ignorancji, pouczałem, jak należy przestrzegać dzieci. Dotarłem do odpowiednich ministrów, odwiedzałem liczne instytucje, postarałem się o wydrukowanie broszurek, afiszy. Przemawiałem w telewizji, odwiedziłem wiele francuskich miast. Tak, ukazałem moich zmarłych, rzuciłem ich na ekran, na karty publikacji, odważyłem się rozgłaszać swoją żalobę, powoływać się na nią. Nie chcę, żeby śmierć Diny i moich dzieci była bezowocna, żeby o nich zapomniano. Ich*

*zadaniem będzie nawoływanie do czujności, ocalenie innych;  
to jest ich przyszłość, o to teraz walczę.*

*Istnieją inne klęski, innego rodzaju boje. Nie cofam się przed  
nimi, aby ratować moich bliskich, moją pierwszą rodzinę.*

*Dziś podjąłem tę kampanię, gdyż ogień brutalnie zniszczył  
moje życie.*

*Żyję, działam, poruszam się. Uciekłem z Treblinki, przeżyłem  
wojnę, zbudowałem swoją twierdzę. Ale wszystkie twierdze  
są kruche, prowizoryczne. Jeszcze coś robię, nie chcę żyć  
tylko dla siebie, bo po co? Dawniej, stawiając czoło opraw-  
com, żyłem dla moich bliskich. Dzisiaj też żyję dla nich, dla  
mojej rodziny, a daleko, daleko poza nią, z myślą o moim  
pradawnym narodzie, za który jestem odpowiedzialny. Mylą  
mi się wszystkie twarze. Jestem tylko tym, czym mnie uczy-  
nili, co mi dali; istnieję tylko dzięki temu, co im dawałem.*

*We mnie jest pustka.*

*Działam. W ciągu kilku miesięcy powołałem do życia*

*„Fundację imienia Diny Gray”. Zaprosiłem dziennikarzy do  
Les Barons. Przemawiałem. Moi najbliżsi żyją, moja żona i  
dzieci walczą, bo cóż to znaczy żyć, jeśli nie działać dla dobra*

*Innych?*

*Działam, chodzę, opowiadam tę długą historię, swoje życie.*

*Gdy patrzę na siebie, powtarzam w duchu: „Po co, po co?” Ale  
chcę jeszcze mówić, kontynuować to, co zacząłem, pozostać*

*wiernym. Życ aź do końca, a któregoś dnia, jeśli przyjdzie  
taki czas, dać nowe życie, aby moja śmierć i śmierć moich  
bliskich była niemożliwa, aby zawsze, dopóki istnieć będą  
ludzie, znalazł się wśród nich jeden, który będzie mówić i  
świadczyć w imieniu tych, których kochałem.*